D[R] STANISŁAW MORAWSKI

KILKA LAT MŁODOŚCI MOJEJ W WILNIE (1818–1825)

WYDALI
ADAM CZARTKOWSKI I HENRYK MOŚCICKI

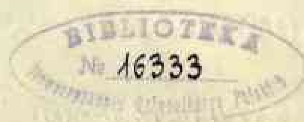
Z 24 ILUSTRACJAMI

WARSZAWA 1924

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLJOTEKA POLSKA"



Dr. Stanisław Morawski.



Zakłady graficzne Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy

W S T Ę P

Autor niniejszego pamiętnika, dr. med. Stanisław Morawski urodził się w d. 22 lipca 1802 r. w Mickunach pod Wilnem, majątku swej matki, w parafji ławaryńskiej położonym, jako pierworodny i jedyny syn Apolinarego, szambelana Stanisława Augusta, i Marjanny z Siemaszków. Rodzice jego, ludzie bardzo zamożni, pobrali się byli z wielkiej miłości, ale „w skutku familijnych, dramatycznych i prawdziwie nadzwyczajnością swoją ciekawych intryg matka w siedemnastym roku życia przymuszona była rozstać się prawnym obrządkiem z mężem, którego kochała". W 1813 roku „ta nieszczęśliwa kobieta, zgnieciona tak wielką boleścią i różnemi klęskami, trawiącemi serce, z suchot umarła" w Wilnie. Po rozwodzie mały Stanisław pozostał przy ojcu. Smutne było jego dzieciństwo. Z głębokim żalem wspomina o niem w rozmaitych miejscach swego pamiętnika. Było smutne nietylko dla braku matki (zacna macocha, Chrapowicka z domu, starała się, jak mogła, ten brak mu zastąpić), lecz w jeszcze większym stopniu ze względu na stosunek ojca do syna.

Ojciec, człowiek niewątpliwie wybitny, zdolny, inteligentny, obrotny, bardzo ustosunkowany i związany przyjaźnią z wielu najwybitniejszymi ludźmi swego czasu, bon-viveur i lowelas, „najpoczciwszy i najzacniejszy w świecie", dziwnie „cierpko, srogo i surowo" traktował swego jedynego syna. „Ojciec ani razu w życiu swojem nie pocałował mnie w twarz; dziecięciu, jedynemu dziecięciu, ani jednej nigdy zabawki lub cacki nie kupił... Do lat trzydziestu ani w domu, ani w kompanji żadnej usiąść mi przy nim nie było wolno..."

Wielce oryginalne było już pierwsze spotkanie ojca z synem. „Przyjeżdża surowy, spartański ojciec zimą z Warszawy. Przyjeżdża i tę matkę pozdrowi, i to dziecię swe pierwszy przeżegna, ze wszystkich stron obejrzy, uściska, a ukłękłszy i zmówiwszy pacierze, natychmiast i te bebechy, i te koronki, i te falbany, i same dziecko, słowem, wszystko razem na śnieg na dworze wyrzucić każe. „Niech się błazen hartuje", powiada: „Niech się na wszystko zgóry przygotuje! Albo niech lepiej nie żyje!"

Było w tem wszystkiem dużo „staropolskich uprzedzeń", dużo „obyczaju dawno już ubiegłego czasu", ale też wiele niezadowolenia, że właśnie ten syn się urodził. „Zawsze ci to powtarzam, żem nie chciał nigdy mieć dzieci, a jeśli już być miały, wolałem mieć córkę, niż syna. Taka na moje nieszczęście była wola Boska! Dał mi syna... cóż robić!" — prawił nieraz szambelan J. K. M. swemu synowi.

Pomimo tego jednak spełniał sumiennie wszystkie obowiązki, jakie na nim względem potomka ciężyły. Wychował go zdrowo i dał mu staranne wykształcenie. Początkowo kształcił się Stanisław w domu pod kierunkiem guwernerów — i to nie byle jakich: Michała Konarskiego, tłumacza powieści francuskich na polski, późniejszego nauczyciela najmłodszego syna Szczęsnego Potockiego z Tulczyna, i Zacharjasza Niemczewskiego, następnie profesora matematyki na Uniw. Wileńskim i dziekana wydziału fizycznego. Gdy zaś podrósł, został oddany do szkoły powiatowej w Kownie, w której w rok po ukończeniu jej przez Morawskiego zasiądzie na katedrze, jako nauczyciel, Adam Mickiewicz.

Szkoła ta słynęła wówczas z dobrych nauczycieli i wychowawców. „Z samego Wilna, soczewki nauk na Litwie, wielu tutaj wychowywało synów... Zewsząd tam dzieci wieziono... Przy równie dobrze, jak w gimnazjum, wykładanych naukach daleko szczęśliwiej tutaj wpływano na usposobienie moralne i prowadzenie się młodzieży. Dozorcy i nauczyciele w tej szkole byli to ludzie, co dawny rygoryzm ojców jezuitów z nowemi wyobrażeniami, wlanemi przez różne komisje, w celu poprawy początkowego wychowania wytknięte, pojąć, połączyć i przeżuć umieli".

„To życie, ten tak szczęśliwy kierunek i popęd dawało szkole kowieńskiej dwóch prawdziwie rzadkich i w swoim rodzaju genjalnych ludzi. Dwie prawdziwe nauczycielskie gwiazdy: Szymon

Ławrynowicz, prefekt, i Stanisław Dobrowolski, profesor historji i literatury".

Z wdzięcznością wielokrotnie wspomina w swych pamiętnikach obu tych nauczycieli. Ławrynowicza za to, że swem wszechwidzącem okiem strzegł młodzież od wybryków bujnych temperamentów i rozpusty i dążył do „wpojenia w nią religji, moralności i spartańskiej cnoty"; Dobrowolskiego zaś za to, że chciał z nich „zrobić poetycznych średniego wieku rycerzy, szlachetnych i pełnych wdzięku wojowników, Zawiszów Czarnych, mających się dąsać ze stojącym tuż przed nami i na nas uzbrojonym światem", i że „starał się, jak mógł, zwilżać oschłość nauki... i w dzieciach prawdziwą, serdeczną do niej ochotę i zapał zaszczepić. A jak ci zaczął wybitniejsze z historji rzymskiej lub greckiej malować czyny, i dreszcz po ciele przechodził, i gorące od serca po tobie rozlewało się ciepło! I tybyś, zda się, murem stanął w tych Termopilach! I tybyś wielką Kamila potrafił naśladować duszę! I tybyś „to mniej boli" zawołać umiał!"...

Mieszkał Morawski na pensji właśnie u Dobrowolskiego, umieszczony tam przez troszczącego się o dobre wykształcenie i wychowanie ojca. Zdawałoby się, że tu, u tego tak wybitnego pedagoga, tak rozumiejącego młodzież, znajdzie ten wątły, wrażliwy i cierpiący serdecznie wskutek braku pieszczoty ojcowskiej chłopak jakąś cieplejszą atmosferę. Stało się inaczej. Był najmłodszym w pensjonacie wśród znacznie starszych i bardziej fizycznie rozwiniętych chłopców; stał się ich kozłem ofiarnym, na którego zwalali wszystkie, jakie się dały, swoje sprawki. Stąd kary „wprawdzie łagodne, ale drapiące niedźwiedzim pazurem po zadraśniętej duszy", pełnej ambicji, — stąd poczucie „oburzającej niesprawiedliwości", stąd znowu tęsknota za „rozkoszą karesu". Wszystko to tworzyło na pewno w głębi duszy jego pierwszy osad, pierwszy zaczyn późniejszej mizantropji, późniejszego żalu do świata.

Pilny, zdolny, inteligentny i ambitny chłopak gładko przeszedł przez szkołę, a ukończywszy ją w 1818 r., jako szesnastoletni, dobrze już rozwinięty i na ciele i na umyśle młodzieniec zapisał się na wydział medyczny Uniw. Wileńskiego, znowu poddając się tyrańskiej woli ojca.

Pomimo, iż nikt z odpowiadającej mu sfery ziemiańskiej nie uczęszczał na ten wydział, pomimo, że sam adept dostawał mdłości

na widok trupa, pomimo, że po ukończeniu studjów również z woli ojca nie będzie się stale zajmował płatną praktyką lekarską — musiał studjować medycynę.

Studja uniwersyteckie Stanisława Morawskiego przypadły na okres najbujniejszego rozwoju Uniwersytetu Wileńskiego, oraz na punkt kulminacyjny ruchu filareckiego wśród młodzieży. Wziął też w nim udział. Michał Czarnocki w swym pamiętniku p. t. „Krótkie wiadomości o tajnych Towarzystwach uczni Uniwersytetu Wileńskiego aż do ich rozwiązania" (Roczn. Tow. Przyj. Nauk w Wilnie, I. 1907) podaje, że Stanisław Morawski został przyjęty do Tow. Myślącej Młodzieży w marcu 1819 r. pod pseudonimem „Patrokl" i że czytał na zebraniu dnia 15 marca rozprawę „O wolności narodu", zaś w dniu 7 czerwca „Życie i rządy kardynała Richelieu", a sam w pamiętniku niniejszym (str. 190) stwierdza, iż był „jednomyślnie wybrany w Promienistych wojewodą, a w Filaretach przewodnikiem granatowego grona". Istotnie wydana przez prof. Czubka „Korespondencja Filomatów" (Kraków, t. II, III, V pass.) pozwala nam ustalić bliższe daty, co do stosunków Morawskiego z organizacją filarecką. Dn. 17 kwietnia 1820 r. został członkiem Związku Przyjaciół, od 5 grudnia zaś tegoż roku był członkiem korespondującym Towarzystwa Filomatów.

Lubiono go i oceniano bardzo przychylnie: Czeczot w liście do Adama Mickiewicza z dn. 13 maja 1820 r. donosi: „Poznałem Morawskiego; dobry chłopiec, podobał mi się niezmiernie i z układu i z rozmowy"; Malewski również w liście do Mickiewicza z dn. 23—27 maja 1820 r. zwie go „złotym chłopcem", a w piśmie z dn. 3 czerwca t. r. wyraża się o nim jak „o szkle, przez które nawskroś przejrzeć się można", wreszcie sam Arcy mówi o nim, jako o „kownianinie, ostrym i cierpiętliwym". Był też darzony zaufaniem. Gdy wiosną i latem 1820 r. chodziło o wybadanie Ksawerego Ogińskiego w sprawie stosunków jego z tajnemi organizacjami warszawskiemi, do ścisłego koła, które miało to uczynić, obok najpierwszych kierowników organizacyj młodzieży wileńskiej obrano i Morawskiego (Pietraszkiewicz do Adama Mickiewicza dn. 23 maja 1820 r. „Koresp. Filomatów", II, str. 110, Malewski do Mickiewicza dn. 23—27 maja 1820 r. Ibidem, II, str. 117). O wartości i powadze tego skądinąd wesołego i pustego nieraz młodego człowieka świadczy również i ten fakt, o którym dowiadu-

jemy się z „Koresp. Filomatów" (Malewski do Mickiewicza — 6—7 kwietnia 1821 r., III, str. 251.), że, mając niespełna lat 20, był już człowiekiem loży masońskiej, pozostającej pod przewodnictwem Jana Chodźki. [W rodzinie istnieje tradycja, że Stanisław Morawski należał do loży „Gorliwy Litwin" w Wilnie, dowodem czego ma służyć odznaka tej loży, dochowana dotychczas. Trudno jednak twierdzić to z pewnością, gdyż wszystkie papiery masońskie zostały po jego śmierci spalone przez jakąś dewotkę. W „Obrazie spraw.·. i Dosk.·.□.·. Śgo Jana p.·. o.·. n.·. Gorliwy Litwin pod W.·. Wilna pracuiącey na r.·. p.·. ś.·. 5821" (1821), ogłoszonym w ks. Stanisława Załęskiego „O masonii w Polsce" (Kraków 1908, II, str. 220—228) nie znajdujemy Stanisława Morawskiego, spotykamy natomiast jego ojca Apolinarego i przyjaciela Karola (Nałęcza) Morawskiego, ases. Sądu Gl. 2. depart. wileńskiego; oprócz nich z ludzi bliskich naszemu pamiętnikarzowi należeli do tejże loży: Stanisław Müller i Konstanty Nowomiejski].

Zajmując wśród młodzieży filareckiej pewne stanowisko, związany z nią węzłami ideowemi, oddający się przytem z zapałem studjom, był między swymi najlepszymi kolegami i przyjaciółmi (Fortunat Jurewicz, Karol Muyschel i t. p.) pod pewnym względem wyjątkiem. Oto ojciec, pamiętny jeszcze dawnych czasów, gdy stosunki z magnatami były podstawą karjery każdego młodego szlachcica, wprowadził go tam, gdzie mógł spotykać ciągle Radziwiłłów, Tyzenhauzów, Chreptowiczów, Platerów, Przeździeckich, Tyszkiewiczów i innych arystokratów, i nakazał mu „pod batogiem" podtrzymywać te stosunki. Zresztą był to z ojcowskich rozkazów dla niego, bodaj, najmniej przykry. Pokrewny przez generała Morawskiego Radziwiłłom, a przez macochę spowinowacony z Chrapowickimi, dobrze wychowany, dobrze ułożony i wypolerowany młodzieniec, „piękny Morawski", jedynak u zamożnego ojca, a w dodatku, jako medyk, „wiedzący dokładnie, co jest pod paznokciem małego palca u nóżki młodej dziewczyny lub młodej kobiety" — był bardzo interesujący dla płci pięknej. Spotykały go też liczne awanturki: to mu się rzuciła na szyję mijająca go na schodach piękna księżna, — to go wyściskała, lecząc się od migreny, poważna matrona, — to go obrzuciły z okna różami białe rączki uroczej nieznajomej...

stosunki jego z ojcem stały się nie do zniesienia. Despotyczny starzec tak go dręczył swą tyranją i kaprysami, że nawet o samobójstwie poważnie zamyślał. Zapanowawszy jednak nad swem rozdrażnieniem, zerwał ostatecznie wiążące go pęta, wyrzekł się wszelkiej pomocy od ojca i wyniósł się koło 1829 r. do Petersburga, by rozpocząć tam praktykę lekarską i w taki sposób zapewnić sobie niezależne istnienie.

Osiadłszy nad Newą i oddając się tam swym zajęciom zawodowym, jeszcze bardziej zbliżył się z poznanymi tam za pierwszego swego pobytu w stolicy carów.

A było to przeważnie to samo koło, w którem żył w owym czasie Mickiewicz: Malewski, Malinowski, Oleszkiewicz, Orłowski, Przecławski, Rogalski, Sękowski, Szymanowska, Wańkowicz, Zaleska Bonawenturowa, Żelwietr... Szczególnie bliskie stosunki nawiązały się między nim a domem Szymanowskiej, gdzie go wprowadził Malewski. Wkrótce połączyła go przyjaźń serdeczna i szczera z samą panią domu, sympatja z obu jej córkami i o mało nie związały go węzły małżeńskie z jej siostrą Kazimierą, która, jak sama wyznaje w jednym z listów, pisanym do Morawskiego w kilkanaście lat później, miała dla niego uczucie głębokie i gorące.

W wielkiej przyjaźni żył też z Orłowskim, którego leczył w ciągu ostatnich lat jego życia, i z Oleszkiewiczem. O bliskich stosunkach z tymi malarzami świadczą pozostawione mu w spadku — przez Orłowskiego — szkicownik z 75 rysunkami (był na wystawie dzieł Orłowskiego w Warszawie w 1910 r. katalogu Nr. 120), a przez Oleszkiewicza książki. Niezależnie od tego młody, przystojny — jak świadczą portrety pendzla — Kaniewskiego, dołączony do niniejszego tomu, i Oleszkiewicza, który damy w tomie wspomnień petersburskich, — dobrze światowo prezentujący się, dowcipny causeur dzięki stosunkom z dr. Arendtem, lekarzem cesarskim, łatwo wyrobił sobie imię w wielkim świecie petersburskim. Zaczął nawet stawać się groźnym współzawodnikiem dla innych lekarzy, zaczął odbierać im bogatą klientelę. I właśnie dlatego, zupełnie nieoczekiwanie dla siebie, został we wrześniu 1830 r. wysadzony przez nich z siodła.

Była to chwila, gdy nad Wołgą rozszalała niezwykle groźna epidemja cholery, choroby dotychczas w Rosji nieznanej, której nikt nie umiał leczyć. Wybuchła też panika zarówno wśród klas

nieoświeconych, jak inteligencji. Rząd musiał sięgnąć po metody energiczne i skuteczne. Stworzono komisję do zwalczania cholery i dzięki zabiegom rywali na jej członka między innymi mianowano i d-ra Stanisława Morawskiego. Na rozkaz cesarski musiał w ciągu 24-ch godzin zlikwidować wszystkie sprawy nad Newą i udać się stante pede do gubernij nadwołżańskich w sam środek terenu, objętego epidemją. Wyjeżdżał zrujnowany gwałtownem zwinięciem mieszkania, żegnany przez przyjaciół, znajomych, a nawet przez szary tłum z płaczem, jakgdyby idący na pewną śmierć, tymczasem, nim dojechał do Moskwy, również nagle zmieniła się jego pozycja — tym razem na lepsze.

Minister spraw wewnętrznych, hr. Zakrewskij, udający się z nieograniczonemi pełnomocnictwami cesarskiemi również do okręgów cholerycznych, zetknąwszy się z nim i poznawszy jego wartość, zatrzymał go przy sobie i ze zwykłego małego urzędnika zrobił z niego jedną z naczelnych figur w komisji.

Po rocznej blisko pracy i tułaczce po rozmaitych zakątkach Rosji nadwołżańskiej wrócił w lecie 1831 r. Morawski do Petersburga, gdzie zajął wydatne stanowisko urzędnika do szczególnych poleceń przy cywilnym generał-sztab doktorze, t. j. dyrektorze departamentu medycznego. (Por. Zmiejew L. T. „Russkije wraczi-pisatieli" Petersburg, 1886, zesz. 2, str. 20. Ciekawe, na jakiej zasadzie autor pisze, że M. pochodził ze szlachty „prawosławnej"?). W styczniu zaś 1833 r. został lekarzem Sekretarjatu Stanu dla Kr. Polskiego, którego urzędników leczył od 1829 r. i gdzie był ceniony i lubiony, zwłaszcza przez min. Stef. hr. Grabowskiego i wicemin. Ign. Turkułła.

W tym że roku zmarła w Paryżu córka wuja jego, Siemaszki, który ekspatrjował i osiadł we Francji; pozostały po niej znaczny majątek spadł na Stanisława Morawskiego. Za specjalnem zezwoleniem cesarskiem udał się tedy w jesieni tego roku nad Sekwanę; zetknął się tam z szerokim światem, z licznemi wybitnemi osobistościami, zetknął się też znowu z Mickiewiczem. I wyswatał za niego — jak sam powiada — córkę Szymanowskiej, Celinę, którą znał młodą panienką w Petersburgu.

W grudniu 1835 r. podał się do dymisji ze stanowiska lekarza, rzucił ten zawód i został urzędnikiem komisji prawodawczej, używanym do przekładu „Zbioru Praw" z rosyjskiego na polski.

Na tem stanowisku pozostawał przez lat kilka do kwietnia 1838 r., t. j. do chwili śmierci ojca.

Odziedziczywszy po ojcu Ustronie, bierze dymisję i osiada na wsi. O stanie jego duszy w tym okresie, o zamiarach jego, o uczuciach, miotających nim po śmierci ojca, świadczy bruljon listu do jakiejś znajomej, dochowany w archiwum po nim: „Długoby było opisywać Pani cały szereg uczuć, walk, umartwień lub pociech, jakie w sercu mojem przez te ostatnie miesiące koleją gościły i włos mój gwałtownie bielić zaczęły... En resumé to tylko powiem, że w niezepsutym moralnie człowieku, chociażby ten był przez całe życie ofiarą krzyczącej niesprawiedliwości ze strony najbliższej sercu jego osoby, że, mówię, w takim człowieku śmierć tej osoby sprawia żal do nieopisania i trąca w struny, które dotąd żadnego nie wydawały tonu. Ręka, której żelazny ciężar przycisnął i zniweczył młodość moją, zstępując do grobu, zostawiła we mnie i dla mnie ślad, który wystarczy na całe życie, a jednak, wylewałem łzy, których nigdy dawniej przewidzieć nie mogłem. Silniejszą jest od wszystkiego moc przyrodzenia. Szkoda, że się ta we mnie jednym tylko odezwała! Pomimo najuciążliwszych obwarowań, umyślnie dla przyszłości mojej zrobionych, a mogących być usunionemi nielegalnością zrobionej ostatecznej dyspozycji, je me suis conduit en homme qui avait merité votre estime, nie dlatego, żem wszystko dobrowolnie uprawnił i przyjął wszystkie kondycje, ale dlatego, że w sercu mojem myśl nawet się nie znalazła burzyć to, co ręka takiej osoby napisała. Wszystko wypełniłem i pozostałe wypełnię à la lettre, a Bóg zapewne pobłogosławi, bo on Jeden widzi, co się w nas dzieje. Pomimo przyzwyczajenia, przywiązania, potrzeby życia w mieście, znajduję, że wdzięczność wymaga, abym zrobił poświęcenie z moich chęci dla szczęścia i przyjemności drogiej dla mnie osoby. Je quitte tous, biorę dymisję i w końcu maja zamykam się w Litwie, w moim małym domku, ażebym Matce mojej resztę mojego życia poświęcił... Oto są moje projekty, lękam się tylko, aby mi gwiazda mojego uprojektowanego, a niewinnego nie pozazdrościła szczęścia... Wyciągając otwarte ręce do mojej Matki, boję się, abym czasem zimnem spotkany nie został... et alors wszystko się spaczy i adieu le bonheur na zawsze. Od niej zatem zależeć będzie, de son premier

p a s, zapewnić lub zniszczyć plany, którem w mojej głowie ułożył. Jednej to Pani tylko powiadam...“

Widocznie jednak „gwiazda pozazdrościła mu uprojektowanego szczęścia“, bo oto wbrew wszelkim przypuszczeniom, że teraz nastanie dla niego nowa epoka, że zupełnie samodzielny i niezależny rozwinie skrzydła do lotu, że stworzy ognisko rodzinne, w którem dozna spokoju duszy, dotychczas nieznanego, ten młody, sił pełen, zamożny i mający wszelkie dane, by być szczęśliwym, mężczyzna usuwa się zupełnie od życia społecznego i towarzyskiego, odgradza się od ludzi chińskim murem i wpada w mizantropję. Otacza się komfortem, dziełami sztuki i literatury, zakłada ogród, gdzie hoduje piękne kwiaty, oddaje się gospodarstwu i rozmyślaniom, ale obcych widywać nie chce i nie tęskni za nimi. Dochodzi do tego, że nawet w pismach podają, jako fakt szczególny, wypadek odwiedzenia go przez jedną z ówczesnych ekscentryczek wileńskich (Por. Pamiętnik Naukowo-Literacki pod redakcją Romualda Podbereskiego. Wilno 1849, zesz. I, str. 78. Kalejdoskop Faustyna Wszędobylskiego. — Z notat podróżnych).

Tak samotnie przeżył 14 ostatnich lat swego życia z wyjątkiem 1845—1846 r., który spędził w Warszawie, nawiązawszy tu stosunki między innymi z Eleonorą Ziemęcką, z którą po powrocie do swej pustelni prowadził ożywioną korespondencję. Zajmował się też hipnotyzmem, co interesowało go jeszcze za wileńskich czasów, kiedy brał udział w posiedzeniach z medjum-Agatką, organizowanych przez Ign. Em. Lachnickiego. („Koresp. Filomatów“. Czeczot do Pietraszkiewicza 25. XI. 1820 r.: „Nasz Morawski niepospolitą tam grał rolę, magnetyzował i nawet lepiej się Agatce podobał“. III, str. 49) — i zasłynął nawet z tego w okolicy. Czyniło go to jeszcze bardziej oryginalnym i zagadkowym.

Zmarł dn. 6 października 1853 r., unosząc z sobą do grobu tajemnicę swej mizantropji, której nie możemy sobie wytłumaczyć na zasadzie dokumentów i spuścizny rękopiśmiennej. Pochowany w Niemoniunach (pow. trocki, gmina Jezno, okręg wiejski Wieżany) w kaplicy, którą zbudował sobie jeszcze za życia. Majątek dostał się po nim w spadku Apolinaremu Morawskiemu, bratu stryjecznemu, którego potomkowie dotychczas władają Ustroniem.

Zamieszkawszy w Ustroniu, dr. Stanisław Morawski słodził sobie samotność długich wieczorów jesiennych i zimowych pisa-

niem. Już podczas pobytu swego w Petersburgu sięgał po pióro. W „Tygodniku Petersburskim", założonym przez serdecznego jego przyjaciela Franc. Malewskiego, a redagowanym przez Józefa Przecławskiego, umieścił w 1830 r. K i l k a u w a g o r a d a c h p o p u l a r n y c h, a s z c z e g ó l n i e o s ł a w n e m l e k a r s t w i e L e r o a (L e r o y) *(No. 6 i 7) i* W y j ą t k i z e s ł o w n i k a l e k a r s k i e g o. M a g n e t y z m. W o d y m i n e r a l n e *(No. 30), a w 1834 r. w wydawanem przez Józefa Sękowskiego czasopiśmie rosyjskiem „Bibljotika dla cztienja" dłuższą rozprawkę polemiczną p. t.* O w o d a c h m i n e r a l n y c h s z t u c z n y c h w P e t e r s b u r g u. *W Ustroniu rozpisał się na dobre. Pisał pamiętnik o czasach wileńskich, wspomnienia petersburskie, satyryczne utwory sceniczne, rozważania filozoficzno-historyczno-społeczne, poezje, wreszcie zbierał pieśni ludowe. Pozostał też po nim obfity spadek rękopiśmienny, wynoszący setki arkuszów w kilkudziesięciu tomach i zeszytach, który od spadkobiercy dostał się do rąk A. H. Kirkora i został przez niego w małym zaledwie ułamku zużytkowany w „Tece Wileńskiej", gdzie w tomie z 1858 r. (No. 4, 5, 6) ukazał się utwór, noszący tytuł „Od Merecza do Kowna", a podający opis miejscowości, leżących na brzegu Niemna pomiędzy temi dwoma miastami.*

Kirkor zapowiedział druk dalszych utworów, jak również życiorysu ich autora; nie dotrzymał jednak obietnicy, zapewne ze względów cenzuralnych.

Następnie wszystkie rękopisy Morawskiego znalazły się w bibljotece Włodzimierza Spasowicza, który ogłosił z nich parę szkiców pamiętnikarskich w „Ateneum" warszawskiem (Szymanowska, Sękowski, 1898, I, str. 326, 476) i w „Kraju" petersburskim. (Orłowski, Zelwietr, 1890. Przegląd literacki — dodatek No. 29, 30, 31, 48, 49, 50), oczywiście również krępowany cenzurą. Po śmierci Spasowicza wraz z całą jego bibljoteką przekazane zostały Bibl. Ord. Krasińskich i są tam zapisane w inwentarzu rękopisów pod No. 4517, 4518, 4519, 4520, 4521 i 4522.

Oto ich spis szczegółowy, ułożony chronologicznie według dat, podanych przez autora:

1. G ł u p i e i b ł a z e ń s k i e n o t a t k i, p i s a n e

w Petersburgu w 1829 r. (Data błędna, dopisana później. Notatki, jak wskazuje ich treść, pochodzą z 1830 r.).

2. Pierwsze półrocze lekarskiego życia. Opowiadanie. Napisane w 1831 r., przepisane i wstępem zaopatrzone w 1850 r.

3. O wodach mineralnych sztucznych w Petersburgu. 1834 r.

4. Politycy. Bzdurstwo. Utwór sceniczny. Bruljon i czystopis, 1839 r.

5. Fantazja o wężu, o jabłoni i Najświętszej Pannie. Wiersz. 19 czerwca 1841 r.

6. Koszałki — Kobiałki i Dwie Anegdoty. Zbiór anegdot. Czystopis i bruljon „Dwuch anegdot". 12 października 1847 r.

7. Kilka lat młodości mojej w Wilnie. Pamiętniki Pustelnika (1818—1825). Bruljon — 1 tom. Czystopis — 2 tomy. Listopad 1848 r.

8. Uwagi Pustelnika w Ustroniu o wypadkach publicznych 1848 r., w tem co się stosuje do starej Europy. 24 grudnia 1848 r.

9. Wspomnienia Pustelnika (zeszyt I — Puszkin, Sękowski. Zeszyt II — Orłowski, Żelwietr. Zeszyt III — Oleszkiewicz. Zeszyt IV — Szymanowska). 27 stycznia — 18 maja 1849 r.

10. Sejmik na Litwie w pierwszej ćwierci XIX wieku. Dialog. Dzień 1-szy. Słudzy wielcy, słudzy mali. Utwór sceniczny 1849 r.

11. Obrady sejmikowe na Litwie. Bzdurstwo. Utwór sceniczny. Bruljon i czystopis. 4 lipca 1849 r.

12. Znasz li ten kraj? Zabawka żółciowa i złośliwa. Poświęcona Antoniemu hrabi Chrapowickiemu. Wiersz. 12 października 1849 r.

13. Pogadanka przyjacielowi na pamiątkę. Do Antoniego Chrapowickiego etc. Wiersz z przypisami, 18 października 1849 r.

14. Z każdej chatki po chłopku. Tom I-szy. Od Merecza do Kowna. Gawęda Pustelnika. 1849—1850 r.

15. *Z każdej chatki po chłopku.* (*Tom II*). *Szlachta-bracia. Gawęda Pustelnika. Dwie części.* 1. XI. 1849 — 2. II. 1850 r.

16. *Polityczne mrzonki Pustelnika.* 8. II. 1849 — 22. III. 1850.

17. *Pół-słowa o J. I. Kraszewskim i o spaczonej dążności wielu dzisiejszych polskich pisarzy.* 7 i 8 stycznia 1850 r.

18. *Niewinna zemsta doktora.* Nowelka. 4 marca 1850 r.

19. *Wesela i pieśni włościan nadniemeńskich pomiędzy Mereczem a Kownem.* 4 grudnia 1850 r.

20. *Plotki.* (*Czterdzieści i oko*). *Plotki nasze. Plotki cudzoziemskie.* Zbiór anegdot. 27 lutego — 8 marca 1851 r.

21. *Taki to egoista! Taka egoistka! Bzdurstwo w morale i morał w bzdurstwie.* Utwór sceniczny. 1 lipca 1851 r.

Oprócz tego w archiwum Tow. Lekarskiego w Wilnie, którego członkiem dr. Morawski był od 1825 r., znajduje się rękopis, zatytułowany:(22.) „*Zasady fizjognomistyki kobiet cywilizowanych*" i zaginęły (23.) *O systemie Leroy* oraz (24.) *Kilka myśli o dowcipie*, o istnieniu których dowiadujemy się z (25) autorskiego własnoręcznego spisu utworów, znajdującego się w Bibl. Ord. Krasińskich. W „Tygodniku Petersburskim" przy artykule „Wyjątki ze słownika lekarskiego" czytamy dopisek redakcji: „Dzieło, z którego dajemy niniejsze wyjątki, jest już całkowicie wypracowane. Znane zalety autora i w medycznym i w lekarskim względzie nie pozwalają wątpić o pożyteczności tego dzieła i każą wyglądać chwili, w której drukiem ogłoszone zostanie". Niema jednak tego dzieła ani w spisie utworów, ręką autora sporządzonym, ani wśród spadku rękopiśmiennego. Przypuszczać raczej należy, że napisane nie zostało, gdyż w autorskim spisie rękopisów znajdujemy wymienione wszystkie utwory, napisane w Petersburgu.

Cała ta spuścizna po dr. Stanisławie Morawskim świadczy, że był to umysł wcale nieprzeciętny, a pióro w każdym razie nie

bez talentu. Styl jego gładki, potoczysty, wzorowany na prozie łacińskiej, skrzy się i mieni dowcipem, humorem, ironją, głębszem uczuciem, niekiedy uniesieniem lirycznem, przesłoniętem mgłą melancholji. Umie on w kilku rysach dać zwięzłą, ale dosadną charakterystykę postaci, umie w obrazie czasu i ludzi rzucić jasne plamy obok bardzo głębokich cieni, umie wpleść zwrot wysoce uczuciowy, a razem stworzyć całość, drgającą życiem i przykuwającą całą uwagę czytelnika. Jeden wszelako ton dominuje nad tem wszystkiem, mianowicie rozgoryczenie do poszczególnych ludzi i do całego społeczeństwa. Stąd płynie przewaga cieniów w jego obrazie, zbyt może pochopne podkreślanie stron ujemnych i w ludziach i w społeczeństwie, a nawet, można powiedzieć, rozmyślne ich wyszukiwanie.

Najważniejszą dla nas jest ta część jego spuścizny rękopiśmiennej, która mieści w sobie pamiętniki i wspomnienia, a więc K i l k a l a t m ł o d o ś c i m o j e j w W i l n i e, W s p o m n i e n i a i S z l a c h t a - b r a c i a. Zawierają one tyle faktów ciekawych, takie bogactwo typów, taki wypukły obraz społeczeństwa, w którem żył autor, że naprawdę musimy je uważać za jedne z najlepszych pamiętników polskich.

I gdy się zamyka ostatnią ich kartę, czuje się żal do autora, iż nie napisał ich więcej, iż nie dotrzymał słowa, że opowie o tylu, a tylu pierwszorzędnych faktach i osobach... A może do losów, które nie pozwoliły mu tego dokonać... Zastanawia nas jedno tylko: — że o wielu rzeczach, osobach i zdarzeniach zamilczał. Przedewszystkiem dlaczego nie dał nam nigdzie, ani w pamiętniku wileńskim, ani w wspomnieniach petersburskich, nigdzie, słowem, — portretu największego z pośród znanych mu ludzi — Mickiewicza. Rozumiemy, że wiele względów politycznych kazało mu przemilczeć zupełnie szczegóły życia młodzieży filareckiej, jak również uniemożliwiło roztoczenie szczegółowego obrazu jej organizacji, ale dlaczego nigdzie obszernie nie mówi o tym, kto był jej wodzem, z kim stykał się i którego nawet leczył, i w Wilnie, i w Petersburgu, i w Paryżu, o którym i potem przecie na pewno z ust serdecznych swych przyjaciół, Franciszkostwa Malewskich, niejedno słyszał?... Mógł wszak tyle nam o nim opowiedzieć...

Wydając tymczasem K i l k a l a t m ł o d o ś c i m o j e j w W i l n i e (1818—1825) z opuszczeniem zaledwie paru anegdot

o niejakim Popinim, słyszanych przez autora z ust osób trzecich, czynimy dostępną dla czytelników jedną z najważniejszych części spuścizny po d-rze Stanisławie Morawskim. Tekst drukujemy według czystopisu autora, zachowując wszystkie właściwości języka i stylu, uzupełniając wydarte w nim karty odpowiedniemi ustępami bruljonu i modernizując pisownię; wszystkie drobniejsze przypiski autora wstawione zostały do tekstu w nawiasach, obszerniejsze natomiast przenieśliśmy do aneksów poza tekstem. W tych samych aneksach znalazły miejsce liczne notatki i anegdoty, odnoszące się bądź do osób, bądź do faktów, wspomnianych w tekście, a rozproszone po innych rękopisach. W ten sposób rozszerzyliśmy znacznie ramy pamiętnika o czasach wileńskich i wykorzystaliśmy te rękopisy, które nie mogły być wydane, jako odrębne całości (Nr. spisu rękopisów 6, 12, 13, 14, 15 i 20). Przy końcu każdego aneksu podajemy kursywą tytuł rękopisu, z którego pochodzi ustęp. Niepodpisane są przypiskami autora do pamiętnika. Litera A (z numerem) w tekście oznacza odpowiedni aneks. Wszystkie nasze przypisy, objaśniające nazwiska lub fakty, podane przez autora, umieściliśmy poza aneksami, nie dając odsyłaczy w tekście, natomiast zaznaczając w przypisach stronę, do której się odnoszą.

Dołączone do tekstu ilustracje staraliśmy się dobrać tak, aby tworzyły z nim całość. Coprawda o należyte zilustrowanie postarał się już sam autor, dołączając do czystopisu kilka przez siebie zrobionych ołówkiem portretów. Udało się nam dopełnić ten zbiór jeszcze kilkunastu nieznanemi albo prawie nieznanemi ilustracjami i przez to uczynić czytelnikowi świat ówczesny jeszcze bliższym.

Kończąc ten wstęp, poczuwamy się do miłego obowiązku złożenia wyrazów gorącej podzięki wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób ułatwili nam wydanie tego pamiętnika. A więc przedewszystkiem Bibljotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie za udostępnienie rękopisów Morawskiego i za pozwolenie korzystania z obfitych zbiorów podczas opracowywania niniejszego wydania; panu Zygmuntowi Morawskiemu z Ustronia za stałe i gorące interesowanie się sprawą wydania spuścizny po stryju i za dostarczenie dokumentów, listów i portretów z archiwum rodzinnego; panu Wacławowi Studnickiemu z Wilna za nader łaskawe nadesłanie szeregu wiadomości oraz odpisów dokumentów

archiwalnych; panu d-rowi Władysławowi Zahorskiemu z Wilna za ułatwienia w poszukiwaniu materjałów do życiorysu autora; pp. Helenie Romer-Ochenkowskiej i Adamowi Zawadzkiemu z Wilna za pozwolenie reprodukowania portretów z ich zbiorów, p. Michałowi Brensztejnowi z Wilna za udzielenie do reprodukcji No. „Egidy", znajdującego się w jego zbiorach, p. Kazimierzowi Konarskiemu, dyr. Arch. Akt Dawnych w Warszawie i p. prof. Januszowi Iwaszkiewiczowi za ułatwienia w poszukiwaniach archiwalnych, wreszcie Instytutowi Wydawniczemu „Bibljoteka Polska" w Warszawie, który nie szczędził kosztów, by wydawnictwo niniejsze postawić na wysokim poziomie.

Warszawa, dn. 20 listopada 1923 r.

ADAM CZARTKOWSKI. *HENRYK MOŚCICKI.*

„Je n'écris d'amitié, ne trouvant que feintise,
Je n'écris de vertu, n'en trouvant point ici"...
Du-Bellay.

Mówili tedy Piłatowi najwyżsi kapłani! „Nie pisz tak"...
Odpowiedział Piłat: „Com napisał, tom napisał"...

,,Les générations ont envahi les générations et m'ont laissé errant au milieu des hommes et presque inconnu sur une terre, ou rien de ce qui m'entourait ne m'étais jadis étrange''....

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I.

... W liczbie przyjaciół ścisłych, których mój ojciec miał w Wilnie, był brat jego cioteczny ksiądz Michał Dłuski, prałat, archidjakon katedry wileńskiej.

Ksiądz prałat był podówczas luminarzem, gwiazdą, słońcem kapituły. Nikt dzisiaj nie ma już pojęcia o znaczeniu, powadze, poszanowaniu, jakie członkowie kapituły wileńskiej mieli, jakiem otoczeni byli i w całym zabranym kraju, i w samem Wilnie za mojej jeszcze pamięci.

A już i wtedy nawet sarkano, że się tam byli wcisnęli intruzi. Za czasów księcia biskupa Massalskiego i później nie było innych prałatów, jak sami arystokraci. Łopacińscy, Wołłowicze, Kossakowscy, Strojnowscy, Brzostowscy, Zienkowicze, świętością życia wywyższony od innych święty biskup Pilchowski i tym podobni zajmowali te duchowne posady. Łączyli oni z pięknem wychowaniem i własnym, zwykle wielkim, majątkiem ogromne dobra beneficjalne, a co najwięcej powagę wszystko podówczas znaczącego imienia. Ozdobieni gwiazdami św. Stanisława i Orła Białego, w paradnych kapituły wileńskiej togach zasiadając na wspaniałych stalach dziwnej piękności katedralnego kościoła, wyglądali, jak owi senatorowie rzymscy, kiedy ich, oczekujących na śmierć, zaszli Gallowie.

Później zmiany polityczne, przedwczesna śmierć wielu z prałatów i już pod wpływem nowożytnych nauk i Uniwersytetu zaczynające się demokratyzować wyobrażenia oddały większą część tych prelatur i kapitulnych posad profesorom teologji świętej w tej najwyższej szkole. Oddały je ludziom po większej części z drobnej i biednej szlachty i, jak mówią, małego ekstraktu.

A na ucho nawet szeptano, że nieraz i z chłopów siłą talentu albo intrygi wywyższonym.

Jakkolwiekbądź zawsze jednak byli tam jeszcze i Brzostowski, i Kossakowscy, i Bogusławski, a z uczonych matematyk Narwojsz, Mickiewicz, Kłągiewicz, Chodani i Kundzicz. Cywiński, szlachcic, ale starożytny i czystego imienia, chociaż był już oficjałem, nie myślał nigdy podówczas doczekać się roli, którą mu potem dały okoliczności. Widziałem go nieraz wyprężonego u drzwi Dłuskiego i ledwo że się dawał uprosić usiąść na krześle. Widziałem to, ale mi to nigdy na złe nie wyszło; bom nigdy nie miał z tym przyszłym biskupem żadnych stosunków, chociaż się je czasem z dyrygowanemi przez niego osobami miewało. Wogóle jednak lepiej nie widzieć uniżonej skromności ludzi, którzy się potem na świecznik wyniosą: bo, jak się już wyniosą, świadków pokornej przeszłości swojej zawsze bardzo nie lubią. A ci świadkowie najczęściej mimowolnie, najniewinniej i najczęściej baraniemi oczyma na to patrzali! Ale zawsze winni potem: „Dlaczego patrzali, dlaczego widzieli!" Jest to coś nakształt losu Owidjusza, który ciągle narzekał: „*Cur aliquid vidi, cur noxia lumina feci!*" Ksiądz Michał Dłuski, wychowany w szkole księcia biskupa Massalskiego, pana wytwornością, wspaniałością, nauką, grzecznością i przepychem po całym kraju słynnego (A_1), asystujący księciu we wszystkich jego podróżach zagranicą, nabrał tego taktu, tego wdzięku w obejściu się z ludźmi, tego poloru, jakiego dzisiaj nie widzimy już przykładu. Oświecony a raczej uczony encyklopedycznie, bo we wszystkich gałęziach wiedzy, posiadający gruntownie sześć języków a siódmy ruski, którego się później w nieszczęściu wyuczył, rysujący i malujący olejno po mistrzowsku, do tego jeszcze architekt i agronom — nawet w owym świetnym czasie, kiedy było wiele prawdziwie uczonych ludzi, którzy nie z dzienników i gazet czerpali naukę, ale z ciągłej statecznej nad księgami pracy i którzy zadziwiającemi już dzisiejszych mędrków wiadomościami ozdobiali umysł i serce, — Dłuski, powiadam, mógł bez zmrużenia oka podówczas prym trzymać i trzymał go niezawodnie. Jeżeli był kiedy na świecie ksiądz chrześcijański, ręką Boga anielskim naznaczony obliczem, to pewno ksiądz Michał. Kształtny w budowie ciała, wzrostu więcej niż miernego, ruchów i poważnych

i szlachetnych, ręki prawdziwie pańskiej, układu skromnego, cichego, chociaż nie jezuickiego — każdego, co go tylko zobaczył, porywał za serce. Ale główną tego ciała ozdobą była twarz tego człowieka i wyraz jej, kiedy z kim mówił. Oczy niebieskie, włosy jasne, długie, na szyję w pięknych przyrodzonych kędziorach spadające, łagodność wejrzenia robiły go zaprawdę podobnym do anioła, albo przynajmniej do owego wymarzonego Gabrjela, którego w „Wiecznym Żydzie" Eugenjusz Sue fantazją swoją wymyślił. Z mnóstwa portretów księdza Michała tylko minjatura, która mi się dostała po ojcu, nieźle go przypomina. Nim zaczął mówić nawet w potocznej rozmowie, wargi jego nieznacznie dotykały się siebie nawzajem, jak żeby miał dać leciutkie ust pocałowanie, albo jak czynią niekiedy mający grać na flecie. I w rzeczy samej wdzięczny głos jego wkrótce potem jak dźwięk instrumentu, wpadał do ucha. Ten mały tik, nie wiem, czy przez kogo z jego poufałych i znajomych dostrzeżony, mnie bardzo młodego i z uszanowania zawsze mającego wlepione w niego oczy zwykle uderzał. To pewna, że nietylko nie szpecił go, ale mu więcej jeszcze wdzięku dodawał. Oprócz własnego funduszu, który miał w kapitale, ksiądz Dłuski posiadał probostwo w katedrze i dwa znaczne beneficja: Rukojnie i Michniszki.

Z Rukojni, miejsca z pozycji martwego, żałobnego, nudnego ale bliskiego do Wilna i na letnią rezydencję przeznaczonego, zrobił natychmiast rodzaj małego raju. Klombami drzew, malowniczo zasadzonych, potworzył najpiękniejsze widoki. Dom mieszkalny, kościół murowany i insze zabudowania wystawił. Botanik i amator kwiatów, ogród założył wspaniały i ten kanałami zarybionemi, klatkami dla najrozmaitszych ptaków, chatkami szwajcarskiemi, pustelniczą z pustelnikiem, starcem, *de sola missa* wyświęconym, jednem słowem wszelkiemi ozdobami wiejskiemi wzbogacił.

Wszystkiego tego równo ze śmiercią jego śladu nie zostało i niema! Rukojnie wróciły do tego, czem dawniej były, dostawszy się po Dłuskim zgrzybiałemu i zdziecinniałemu prałatowi, hrabiemu Brzostowskiemu, referendarzowi W. Ks. L., który przez dziwny jakiś kaprys i fantazję od tego zaczął, że wszystko w pień wyciąć i zburzyć kazał. A był to jednak ten sam Brzo-

stowski, który w młodszych latach stworzył i zorganizował Pawłów. Pawłów, tak sławny w ostatnich chwilach konającej już Polski i Litwy. Przy tych zaletach nasz prałat Dłuski nie bywał bez grzechu. Spadali anieli, jakże nie miał czasem upaść i człowiek, chociaż mający postać anioła? Piękny, świetny, bogaty, uczony, pełen talentów, narażony był na pokusy. Skusiła zaś go kobieta, jak zwykle. A choć nieraz może w życiu powiedział niewieście: „Idź precz, szatanie!" upadł jednakże nakoniec przed jednym z tych szatanków. Ale też i z takiego konia spaść było można bez wielkiego wstydu, jeżeli mam sądzić z tego, com w tej kobiecie w kilkadziesiąt lat potem jeszcze był widział! Wszakże miłość Dłuskiego nie była rozpustą taką np., jakiej się, nie obmawiając nikogo, dopuszczał garbaty najokropniej i zprzodu i ztyłu prałat Zienkowicz, w którego objęcia rzucały się same ledwie nie wszystkie modne panie wileńskie dlatego, że był bogaty, a raczej dlatego, że go natura obdarzyła nadzwyczajnie wielkim do rozrzutności i marnotrawstwa pochopem.

Dłuski skromny, czułego serca nie dotrwał przed niebieskiem spojrzeniem i sieciami, nastawionemi na niego, prześlicznej, pełnej przyjemności i wdzięków, oświecenia i poloru pani generałowej Łobarzewskiej, z domu Narbuttówny, która potem, przeszedłszy przez ręce, serce i kieszeń księcia Kutuzowa Smoleńskiego, podówczas generał-gubernatora Wilna, i kilku jeszcze panów w Petersburgu, wyszła nakoniec za ministra oświecenia, admirała Szyszkowa. Kiedym ją poznał, była już wówczas stara ale dziwnie piękna, czerstwa i miła, i była już ministrową. A była tak zupełnie na swojem miejscu, tak robiła honory domu, taką zachowała powagę przy dziwnej uprzejmości i grzeczności, szczególniej dla Polaków, jakby nigdy niczem innem, jak ministrową, nie była.

Owóż Dłuski, nie wiedzący może o tem, co jeszcze w XV-ym wieku legat i nuncjusz papieski w Polsce, Eneasz Silvius, potem jako papież Pius II-gi znajomy, o Narbuttównach w kronice swojej powiedział, wklepał się nieborak w tę kobiecinę po same uszy! Czy z trzpiotalstwa, czy chcąc go dobrze obedrzeć, ta milutka pokusa zamiast ukrycia związków rozgłaszać je zaczęła umyślnie. Powstało stąd zgorszenie, które jak najprędzej przytłumić i zalać potrzeba było.

Ojciec mój zerwał te związki gwałtownie, jak Mentor Telemaka ze skały zrzucił. Łobarzewska, gorzkiemi zalewając się łzami, żądała dwóch tysięcy dukatów na zagojenie swej kallipsowej rany. Ojciec mój w rodzaju kompromisarza, mając po sobie siostrę Łobarzewskiej, Dalecką, którą *od hoc* zbałamucił i która mu się i duszą i ciałem była oddała, przy pomocy generała Chackiewicza, który Łobarzewską chciał wziąć natychmiast na swój rachunek, skończył na tysiącu dukatów. Ale Łobarzewska, żegnając się z nim, wieczną mu zemstę nie za zmniejszoną sumę, ale za rozerwanie tak słodkiej miłości otwarcie przysięgła. Tej jednak, muszę tu zaraz dodać, nie dotrzymała, bo była kobietą rzeczywiście miękkiego, dobrego i niepamiętnego urazy serca. W 1828-ym roku, będąc już żoną ministra, przyjęła mnie w Petersburgu jak syna, każołowała, protegowała, gdzie mogła, i w domu jej podówczas wielkim, znakomitym i świetnym w stolicy wiele przyjemnych spędziłem momentów; ale o niej potem (A_2). Otóż żeby już pobieżniej biografję Dłuskiego zakończyć, dodam to tylko, że on, podróżując jeszcze z księdzem biskupem po Europie, wszedł do towarzystwa masonów. A gdy się później masoni, jak rydze we mchu, na Litwie i w Polsce rozmnażać zaczęli, okazało się, że on i krewny nasz wspólny, generał hrabia Karol Morawski byli najdawniejszymi ich członkami w tym kraju. (Ten hrabiowski tytuł kupili mu u Cesarza Rzymskiego Radziwiłłowie nieświescy, z którymi w podwójnej był koligacji, bo i sam się z Radziwiłłówny rodził i jedyną córkę swoją za ostatniego nieświeskiego Radziwiłła wydał. Chciał on mnie koniecznie przysposobić za syna, alem się na to z niemałem ojca mojego nieukontentowaniem nie zgodził). Morawski mieszkał ciągle na wsi w Zauszu. Stąd główny kierunek towarzystwa prałat Dłuski na siebie wziąć musiał. Miłosierny i hojny z siebie nieraz też znaczne wsparcia w składkach brackich dla artystów, dla uczonych bez funduszu, dla biednych i sierot rozdawał i z tego względu powszechnie był znajomy.

Nadbiegł nareszcie rok 1812. Zjawienie się cesarza Napoleona ze zdradliwie wystawioną Polakom błyskotką, Polakom, którzy wówczas niezależności swojej nietylko zapomnieć jeszcze nie mogli, ale owszem wszelkiemi siłami i drogami do odzyskania jej dążyli, — nowy stan, nową postać rzeczom nadało. Dłuski,

gorliwy i zacny Polak, całą duszą przylgnął do nadziei, w tak zielonym jawiącej się kolorze. A w dzień imienin cesarza Francuzów powiedział z ambony katedralnego kościoła sławną mowę, nazwaną kazaniem, która wielkie zrobiwszy na wszystkich wrażenie, zaraz przez szpiegów rosyjskich do ich obozu przesłana została. Była tedy już na nim *mala nota*. Ale, że było więcej gorzej od niego skompromitowanych, jakośby mu to uszło na sucho za powrotem wojsk moskiewskich, gdyby los niefortunny nowego mu na głowę nie ściągnął gromu. A ten grom był taki.

Za nadejściem do Wilna zwycięskich już wojsk rosyjskich, Francuzi w odwrocie, gdzie kto mógł, chowali się i kryli w ciągłej nadziei, że lada moment wypadłe z ich ręki zwycięstwo czwałem do nich powróci. Wyżsi oficerowie w sukniach cywilnych albo w mundurach prostych żołnierzy ukrywali się przed okiem rozsrożonego za niedawny rabunek pospólstwa, a szczególniej przed ciekawem a zręcznem okiem Żydów, donoszących ruskiemu wojsku o wszystkiem. Jeden z francuskich generałów, mason, który bywał w loży wileńskiej i znał Dłuskiego, znalazłszy sposób ucieczki, udał się do mistrza z prośbą o wsparcie dla dokonania swego zamiaru. Ten czy ze swoich, czy z brackich funduszów, dał mu sto czerwonych złotych i na tem się skończyło. Zapomocą tego forszusu generał, przez różne przechodząc koleje, dostał się aż do Drezna, a mając pozostałego w Wilnie, również kryjącego się przyjaciela i nie myśląc o tem, co robi, pocztą napisał do niego, ucząc go, jak ma uciekać i dobrać się aż do Saksonji. „Jeśli zaś", pisał mu: „nie masz zaco przedsięwziąć tej drogi, udaj się do tego zacnego i świętobliwego kapłana, prałata Dłuskiego, który mnie dopomógł, a on ciebie pewno nie opuści". List ten wpadł w ręce Kutuzowa, stamtąd dostał się cesarzowi Aleksandrowi i wyszedł rozkaz zesłania Dłuskiego na Syberję! Kiedy się tego najmniej spodziewał, zaszła kibitka i ledwo że już nie starca podówczas porwano do Tobolska, za wielką łaskę dozwalając mu wziąć zasłużonego i przywiązanego kamerdynera Towiańskiego dla jakiejkolwiek przynajmniej posługi.

Odebrawszy o tem wiadomość, ojciec mój, jak wrzątkiem oblany, poleciał do Wilna, poruszył wszystkie sprężyny, dwa lata wszystkie wycierał progi, aż nakoniec doczekał się powrotu Dłuskiego. Ale już to nie był ten Dłuski! Męcząca droga, długie

cierpienia moralne, klimat, prześladowanie, grubjaństwa, hańba, której u rozdrażnionych Rosjan na wygnaniu był ofiarą, chociaż w duszy swojej i w opinji reszty ludzi w większy jeszcze zaszczyt obleczony został, strawiły go i smutne wpływy na umysł, na stałość charakteru i na zdrowie jego wywarły. Odtąd żył już ciągle zamknięty i smutny, widując tylko nas, bliskich jego sercu, i wyglądając jakby końca życia swojego. Jakoż w niewiele lat potem, bo w 1820 roku, przybywszy pod kościół Św. Stefana, gdzie był zwykł pannom marjawitkom w pewny dzień Mszę Świętę odprawiać, wysiadając z karety, tak nieszczęśliwie stąpił, że złamał nogę w goleni, aż mu kość nawylot przez skórę wyszła! Najczulsze starania wszystkich, pilny dozór najpierwszych lekarzy i chirurgów, kiedy się na odcięcie nogi zgodzić nigdy nie chciał, na nic się nie zdały i ten nieszczęsny przypadek sprowadził go do grobu.

Taki był koniec tego niepospolitego ze wszech miar męża, nie dla siebie, ale dla ludzkości, dla kraju godnego zupełnie innego losu. Do którego, gdyby nie śmierć przedwczesna, pewnoby doszedł, bo ani wówczas nie było, ani po dzień dzisiejszy niema katolickiego w kraju naszym księdza, któryby miał podobną jemu naukę i podobne serce, podobny układ i podobną postać.

Siostra jego, Konstancja, przez lat zgórą trzydzieści przełożona panien wizytek wileńskich, pani święta, powszechnie w kraju i zagranicą znajoma i wielbiona, pełna łagodności, wiadomości, prawdziwie chrześcijańskiego światła, wykształciła na pensji dziewcząt, w tym klasztorze urządzonej, tysiące młodych i biednych i bogatych panienek, — dzisiaj już matek, a może i babek, które z błogosławieństwem mistrzynię swoją wspominać muszą. Ja wdzięczny jej jestem za smaczne pierniczki i ładne kieseczki, któremi mnie zawsze obdarzać raczyła. Prócz tej ostatniej już siostry, bo druga, także wizytka, dawno już była umarła, ksiądz Michał nie miał, jak mi mówiono, bliższego krewnego nad mojego ojca. Wola prałata z dawnego czasu, jak mi to także nieraz w różnych okolicznościach powtarzano, była ta, żeby wszystko, co on posiada, po śmierci jego stało się własnością ojca mojego. Ale ten był szlachetny i prawdziwie nieinteresowny człowiek, a stąd nietylko, że myśl przeżycia Dłuskiego od siebie odrzucał, lecz i wszelkie za tą myślą idące następstwa.

Pamiętam, że mogłem wtedy mieć lat około dziesięciu, kiedy przywieziony do Wilna byłem na obiedzie z ojcem u prałata. Prałat z obszernej dosyć i doborowej bibljoteki swojej wydobył oprawną francuską książkę z rycinami kolorowanemi zwierząt, a jak na czas tamtejszy bardzo ozdobną i piękną — i na pamiątkę ofiarował mi ją. Ojciec, żałując, że się ta książka na mojem ręku styra, (a mam ją jednak, choć oskubaną, aż po dzień dzisiejszy) perswadować mu zaczął, żeby tego nie robił i zbioru swojego nie krzywdził. Wtedy ksiądz Dłuski rzekł: „Bracie mój, poco chcesz toczyć wojnę z samym sobą? To twój syn, a przecież wkrótce i to (pokazując na bibljotekę), i to (pokazując na zbiór wielki obrazów), i, co mam, nie komu innemu, ale się wam dostanie. Pocóż sobie samemu tej książki żałujesz?" Jam ani wówczas, ani potem o podobnej rzeczy ani pomyślał, mając za podłość spuszczanie się lub czekanie na śmierć czyjąś i sukcesję. Wspominam o tej okoliczności, bo się ona zda może potem dla wytłumaczenia niektórych późniejszych wypadków życia mojego.

Pogrzeb księdza Michała był świetny, najświetniejszy może jaki kiedykolwiek był w Wilnie. Nie tak dlatego, że na nim wystąpiła kapituła z całym przepychem i radością, że dwa znaczne beneficja do któregokolwiek z jej członków przejdą niezawodnie, jak dlatego, że mu towarzyszyła szczera jednomyślna żałość całego miasta. Bo wystąpił tutaj lud cały, jakby jeden mąż, dla oddania ostatniej czci zmarłemu. Od Zamkowej Bramy do katakumb przecisnąć się nie było można! Mistrz masonów musiał hołd i od nich w tym momencie odebrać. Jacy tedy byli podówczas w Wilnie masoni, za zgodą rządu szli ze świecami w ręku w czarnych cywilnych ubiorach ordynkiem zaraz za nami, krewnymi, i niemało się przyczyniali do okazałości obchodu. Konwenty na to ściskały zęby i cicho niemi zgrzytały w wiecznem nieszczęśliwem przekonaniu księży, że masonerja jest dziełem i wymysłem djabła! (A_3) A to tak dalece, że kiedy przy katafalku trzeba było wystawić portret zmarłego, a ten najpodobniejszy był, co się w loży znajdował, pędzla Rustema z insygnjami mistrza; przeniesiono go tedy z loży i Rustem jakoś tam na ten raz wszystkie naprędce zamalował insygnja, zostawując tylko ordery świeckie i dystynktorja. Jak na licho, stawiąc ten portret, jeden z bernardynów rękawem otarł trochę niezaschłą jeszcze farbę

i dostrzegł pod nią cyrkla czy kielni. Nuż tedy wymyślać, dowodzić, że kościół sprofanowany, i bluźnić! Oporem takim rozchodziło się w masie, rozbrzmiało i rozsrożyło, podnosząc uszy do góry, zbiorowe, to jest ogólnie wszystkich ojców bernardynów, tam zgromadzonych, głupstwo; i stała się suma jego bardzo wielką tak dalece, że ledwie i ledwie do jakiejś gorszącej sceny w zakrystji nie przyszło. Kiedyśmy już za ciałem wystąpić mieli, a ja, w ręku zapaloną trzymając świecę i czekając na hasło ruszenia naprzód, coś z panem Konstantym Nowomiejskim, od lat czterech i krewnym i ogólnym dóbr i interesów księdza Dłuskiego administratorem, mówiłem, zbliżył się do mnie młody i nadzwyczaj przyjemnej twarzy mason, prosząc o pozwolenie zapalenia świecy. Zrobiłbym to z uprzejmością każdemu innemu, ale w tym momencie uczułem taki do tego człowieka pociąg, że ten wydał się natychmiast razem z ciekawością, ktoby to był taki, na mojej nic ukryć nie umiejącej twarzy. Postrzegł to Nowomiejski i rzekł: „Jak to, panowie, jak widzę, nie znacie się dotąd, a przecież imiennikami jesteście?“ Był to rzeczywiście Karol Morawski, zacny, poczciwego serca i niepospolitej głowy człowiek, wielkiej już podówczas, jako prawy urzędnik, używający opinji. Był wtedy sędzią kryminalnego departamentu. W takim tedy momencie poznaliśmy się z Karolem Morawskim, z którym wkrótce dla rzadkich duszy jego przymiotów w ścisłą wszedłem przyjaźń. Nim o niej i o innych z niej wynikłych związkach, wielki wpływ na życie moje potem mających, jak należy opowiem, powinienem tu wspomnieć o panu Nowomiejskim, o którym umyślnie dotąd nic nie mówiłem, chcąc mu, jako typowi w swoim rodzaju, osobny poświęcić rozdział, a może i więcej.

ROZDZIAŁ II.

Konstanty Nowomiejski, karmazynowy, ale ubogi szlachcic wołkowyskiego, zda się, powiatu rodził się podobno z jakiejś Dłuskiej. Przetarłszy się po domach sąsiedzkich i w publicznych szkołach, a przetrzeć się mu było nietrudno już dla naturalnego czystego rozumu, już dla dziwnej w naśladowaniu innych zdolności, — udał się do Grodna z celem wejścia do służby publicznej w jakiejkolwiek kancelarji tamtejszej. Ujmujący i pokorny, niepiękny, ale miłej twarzy, potrafił sobie znaleźć dużo zaletnych listów. Mimo tego coś mu nie szło ręką. Raz tedy w niedzielę postrzegł starca w dosyć wytartej sukni, stojącego właśnie przy jego ławce, a miejsca nigdzie, żeby usiąść, nie było. Zerwał się zaraz i, jak mówił, nie wiedząc z kim rzecz ma, ofiarował starcowi swoje.

Był to poważny, możny i pełen rozumu, ale i dumy, człowiek, pułkownik Lachnicki. Postępek młodzieńca i uszanowanie wieku, już i wtedy nie bardzo powszednie, zobowiązały go; przytrzymał więc Nowomiejskiego za rękę a, wyszedłszy potem razem z nim z kościoła i rozpytawszy się o wszystkiem, wprowadził go do domu swojego, najświetniejszego w Grodnie, i zajął się losem jego.

Wtedy właśnie składano komitet dla ocenienia wynagrodzeń obywatelom Litwy za dostarczanie wojsku rosyjskiemu produktów w 1812 r. Była to masa i projektowanych pieniędzy, których ledwie część jakąś w lat kilkadziesiąt potem oddano, i masa pracy. Lachnicki, podobno sam członek tego komitetu, zasiadającego w Wilnie, którego prezesem był szwagier ojca mojego, Antoni Chrapowicki, wpływem swoim dał posadę sekretarza Nowomiejskiemu (A_1). A płaca gruba była. To tedy był

moment, kiedy ten człowiek ze dna zaczął iść wgórę. Nie umiem powiedzieć, jaką drogą stało się potem, że się z Dłuskim, jako krewnym, zapoznał. Że wkrótce, po zamknięciu komitetu zostawszy sekretarzem komisji radziwiłłowskiej, ściślejsze z tymże Dłuskim zrobił stosunki i nietylko jego interesy na siebie przyjął, ale się do jego domu przeniósł i w nim z równą samemu Dłuskiemu pańską wygodą i usługą mieszkał. Ale zdaje mi się, że i ojciec mój, całą duszą kochający Dłuskiego, sam się najwięcej przyłożył do tego, chcąc poczciwego prałata od trosk gospodarskich uwolnić. Z drugiej strony znowu lubił bardzo Nowomiejskiego, którego układ, rozsądek, dowcip, takt, a co więcej, akuratność, ochędóstwo i porządek wysoko cenił, sam się w tem wszystkiem niepospolicie kochając. To wiem, że ojciec mój i sam ze siebie, i proszony niekiedy przez Nowomiejskiego, zalecał go i wskazywał prałatowi za sukcesora, w przyjaźni i życzliwości dla Nowomiejskiego do śmierci swej dotrwał. Czy pojął to wszystko Nowomiejski, jak należało, czy też jakaś myśl tajemna względem nas w nim zaległa, która się może stała potem przyczyną jakiegoś wewnętrznego samemu sobie wyrzutu, jak to bywa niekiedy pomiędzy ludźmi, którzy za własne uczucia drugich odpowiedzialnymi czynią, jeden Bóg wie tylko, a ja do śmierci tego nie zgadnę.

Jak powiedziałem, ojciec mój zakochany był w Nowomiejskim. Matka, t. j. macocha, ale ją przywykłem zwać matką, czy to instynktem kobiety, czy też wrodzoną dysymulacją powodowana, jakoś zawsze na dwoje wróżyła. Ale ciągle z wielką o nim odzywała się przychylnością. To wszystko było przyczyną, że, kiedym na święta i na wakacje z Kowna do domu przyjechał, ciągle mi go tylko za przykład we wszystkiem stawiano. Uszy mnie nim przebębnili! Mimo to pozbawiony wszelkiej do ludzi zawiści, owszem po dziś dzień z entuzjazmem przyklejający się do piękną mających sławę nietylko, nie widząc go nigdy, wielkie sobie o nim zrobiłem wyobrażenie, alem się jakoś sercem mimowolnie do niego przywiązał. Pragnąłem go poznać, a razem obawiałem się jego wyższości. Widziałem listy jego, do rodziców moich pisane czystym pięknym stylem, piękną i czystą ręką, a co najwięcej, od początku do końca równą i wycackaną. Tego ja z wielkiem a ciągłem ojca mojego zgorszeniem nigdy w życiu

dokonać nie mogłem i nie mogę! Zaczynam dobrze, a kończę nawet w prośbach i listach do najwyższych osób w kraju, tak lecącem piórem, że początek i koniec pisma co do liter zawsze się znajduja w sprzecznosci. Listy Nowomiejskiego były najwięcej z powinszowaniem imienin czy świąt. Nowe nade mną zwycięstwo! Bo tego ja także, wyjąwszy dla rodziców, dla nikogo nigdy dopilnować nie byłem w stanie. Przyszedł nakoniec czas zjawienia się mojego w uniwersytecie. Kończyłem wówczas rok piętnasty. Głowa pełna szkolnych nauk, bom się tęgo uczył, pełniejsza tych, które się z czytania dorywkiem nocami i rankami nabyło. Wracaliśmy z Warszawy. Wchodzimy z ojcem do Dłuskiego. Przyznam się, żem się nieco stropił, czekając na jego siestrzana. Wchodzi, wita się z ojcem i bez żadnych ceremonij z najprzyjemniejszym i wesołym uśmiechem całuje mnie w oba policzki, a potem w usta, jakbyśmy się sto lat już znali! Podbił mnie odrazu, ale podbił tak, jak niewolnika, jak jakiego ilotę.

Był to człowiek najmniej o dziesięć albo i o piętnaście lat starszy ode mnie. Więcej niż średniego wzrostu, szczupły w sobie, o twarzy dość pełnej, śniadawej; na niej gdzie niegdzie po ospie znaki, nie szpecące wcale. Usta grube, mięsiste, ale na nich uśmiech przyjemny. Zęby rzadkie, niełądne. Paznokcie zepsute na kilku palcach, a ręce nadzwyczaj długie, że, gdyby je doprawdy kiedy wyprostował, przeciw wszelkim rysunku prawidłom dłonie z palcami doszłyby za kolana. Ale czy instynktem, czy wyrozumowaną znajomością tego niedostatku ostrzeżony tak je umiał zawsze schylać i takie przybierać pozy, że rzadkie bardzo oko dostrzec tę wadę mogło. Wlosy miał ciemno kasztanowate, ciało zaś, jakem potem zobaczył, tak włosem, jak u niedźwiedzia, porosłe, żem trzech tylko takich mężczyzn w życiu mojem widział. Do tego wszystkiego łączył się niepospolity i rzadki talent naśladowania innych w ruchach, mowie, głosie. Dowcip malutki i bez inwencji ogromnego, oryginalnego nabierał wsparcia od tego ostatniego talentu. Przy tem umiejętność nieśmiania się aż potem w rzeczach śmiesznych, przez niego przedstawianych lub mówionych, usłużność dla każdego bez najmniejszego znaku niechęci albo znudzenia się, przywiązanie do drobiazgów, jakiemi lubią zajmować się kobiety, znajomość siatki i haftów, które już wtedy

były w modzie, robiły go faworytem i prawdziwym benjaminkiem kobiet. Kobiet, które właśnie, jakem się potem przekonał, takich ludzi biorą zawsze pod swoją opiekę, udając, że ich bardzo cenią, — ale w istocie używają ich tylko za parawan do osłonienia innych zabawek, które im śmielej, zuchwalej i bardziej po męsku do serca i oczu lazą. Tego on podobno nie czuł i ani się domyślał! Po pierwszej z nim rozmowie poznałem zaraz, że pod względem nauki ta, jaką ja miałem już wtenczas, jakkolwiek mała i czerkieska, daleko przechodziła wiadomości przyszłego przyjaciela mojego. Ale, żem w duszy mojej zawsze był przejęty jakąś względem siebie skromnością, *eo instanti* powiedziałem sobie: „Cóż dziwnego? ja teraz ze szkół wychodzę i wszystko mam w świeżej pamięci, a on już i zapomniał, kiedy był w szkołach.“ Zatoż znowu pod względem rezonowań o moralności nietylko, że pięknie mówił to, co ja i bez niego wiedziałem, ale i robił tak, jak mówił, — co właśnie bardzo się rzadko pomiędzy ludźmi wydarza. Przez kilka lat mając z tym człowiekiem pożycie, nie dostrzegłem, żeby się z głównemi zasadami swojemi rozminął. Jednem słowem robił zawsze tak, że nikt mu prawnie nic zarzucić nie mógł. Nie czytałem był jeszcze podówczas pewnika sławnej kobiety: „*Que, qui n'est honnête qu'au terme de la loi, n'a droit qu'au respect du bourreau.*“

Ja tedy, lepki i kochającego serca człowiek, całą duszą, całą moją istotą przywiązałem się, przylgnąłem do niego. Ojciec mój nie przeszkadzał, owszem się z tego cieszył, bo sam go kochał. Tym sposobem człowiek ten rzadkiego w pożyciu z ludźmi talentu stał się, a przynajmniej uważany był przez każdą osobę naszej familji, przez każdego z nas trojga za powiernika, za przyjaciela ojca, matki, syna, chociaż interesy, dążenia, cele, wyobrażenia, uprzedzenia tych trzech osób w wielu potocznych rzeczach wielce sprzeczne były. Żadnemu z nas trojga, nie mających nic ciężkiego na sercu, na myśl nie przyszło, że on, kochając tak szczerze nas wszystkich, dla żadnego z nas nie może mieć prawdziwej przyjaźni, przyjaźni gorącej, poświęconej, gotowej wyzuć się ze skóry dla dobra osoby, którą kochamy. Tak jednak pojmował przyjaźń mój ojciec aż do samej śmierci i dowiódł tego całem życiem swojem. Tak i ja

ją pojmowałem i zdaje mi się, że nieraz także tego dowiódłem. Mówić: „Kocham, kocham", a nigdy tego niczem nie dowieść jest to szachrajstwo duchowe, sto razy gorsze od tego, jakie ma miejsce na Szklanej ulicy.

W parę lat potem, jeszcze nie wychodząc na świat, miałem maluczką zręczność przekonać się o jego sercu, to jest o stopniu jego dla mnie przyjaźni. Ale to była tylko próbka studencka. Okoliczności zdarzyły się tego rodzaju. Ojciec mój dawał mnie na roczne utrzymanie się od 450 do 500 rubli srebrnych. Z tego powinienem był nająć mieszkanie, stół, odziać się, kupić książki, opłacić lekcje muzyki na fortepianie, języka niemieckiego, włoskiego, tańców i fechtów. Lekcje konnej jazdy brałem w ciągu wakacyj w Jeźnie (A_8) u berejtera Pęczkowskich, Gablensa, którego ojciec od siebie opłacał. Bieliznę sprawiano mnie w domu, bo cena płócien daleko była niższa w Warszawie, niż w Wilnie, a do Warszawy co zimę rodzice moi jeździli i stamtąd, co było trzeba, na wieś z sobą zawsze przywieźli. Jakkolwiek każda z wyżej wymienionych lekcyj od dukata do dwóch kosztowała na miesiąc, jakkolwiek książki fakultetu, na którym się kształciłem, były drogie, przy rządnem jednak życiu i niewdawaniu się w karty, w które nigdy aż po dzień dzisiejszy nie grałem, byłoby to dla mnie więcej niż dostateczne, gdyby ta kwota naznaczona mi była stale i dochodziła mnie czy razem, czy w oznaczonych terminach. Ale ojciec chciał właściwie, żebym to jego wsparcie nie za powinność i jakąś pensję, ale za łaskę i szczególne względem mnie miłosierdzie stale uważał. Żebym zawsze myślał, że to mnie minąć może, że od jednego jego słowa mogę natychmiast zostać bez grosza na bruku. Szło mi zaś z mojej strony dla uregulowania mojego życia, żeby takowy od przypadku niejako zależny datek, a przez to samo wielce niedogodny dla mnie, na stałą pensję zamieniony został. Prowadzenie się moje w tak młodym wieku bez żadnego na własną moją prośbę dodanego nade mną dozoru było dostateczną rękojmią, że tej pensji nie użyję na zło, ani jej lekkomyślnie na wiatr odrazu nie puszczę. Powody moje zdawały się dobre. Kiedyś matka o tem wspomniała. Ojciec się przed nią czy doprawdy, czy udanie, jak lew, jak żubr, rozchodził. Nie było rady! Trzeba było zamilczeć!

W każdym w życiu mojem interesie, w każdej ugodzie pierwszą myślą moją było zawsze nie zarobić, ale ze stratą nawet spokojność okupić. Znając stosunki ojca z Nowomiejskim, kiedy raz ojciec na dni parę do Wilna przyjechał, poszedłem do drogiego przyjaciela mojego i, ze łzami w oczach wystawiwszy mu trudności, na jakie przy regularnem i nieposzlakowanem, a jemu wiadomem życiu z wyżej wyrażonych powodów narażony byłem, prosiłem byłem raz pierwszy od poznania się naszego, ażeby wpływem swoim to zyskał, żeby mi ojciec dawał już tylko 400 rubli sr. rocznie, a zatem o sto rubli mniej albo razem, albo w oznaczonych ratach. Ostrzegłem, że tylko dzień, a najwięcej dwa dni zabawi i że z czasu korzystać trzeba. Nowomiejski z maleńkim marsem na czole, który za wyraz współczucia przyjąłem, znalazłszy słuszność we wszystkiem, com powiedział, obiecał to zrobić, lubo nie taił trudności w przełamaniu uporu starca i za nic nie ręczył. To było rozsądne. Wyszedłem spokojny. Nazajutrz rano przychodzę do niego. Powiadają mnie, że wczoraj zaraz po mojem wyjściu kazał konie założyć i na trzy dni do Hornowskich na polowanie wyjechał!

Ojciec, jak sobie założył, na drugi dzień opuścił Wilno; z Nowomiejskim naturalnie się nie widział. Ze zbolałem i upokorzonem sercem na taką względem mnie przyjaciela mojego nieczułość odważyłem się sam napisać do ojca. Wyraziłem mu moje trudności. Trafiłem na dobry moment. Zgodził się. I sam przez siebie uzyskałem to, co chciałem być winien przyjaźni i coby ona uzyskała najpewniej, gdyby tam było mniej egoizmu.

Ale drugi wypadek, który najzupełniej zdarł mi z oczu zasłony, był daleko ważniejszy. Ludzie w wielkich tylko zbrodniach szukają albo silnych i podobających się im wzruszeń, albo logicznych powodów narzekania na ten rodzaj stworzenia, do którego sami należą. Mylą się. To właśnie zbiór drobnych a ciągłych przestępstw, jak kropla wody opadająca na kamień, trwałe pod tym względem wyrabia w nas przekonania. Wielkie zło, jak meteor, uderza nas, zadziwia, wzrusza, oburza. Ale się człowiek tem cieszy, że ten meteor jest meteorem tylko. Że pamięć jego w nas, jak historyczny tylko pozostanie wypadek. Ciągłe zaś małe a brudne niedostatki naszej natury

zrażają nas i kwaszą, jak deszcz jesienny, co z łyżki wody robi wiadro nieznośnego błota.

Po śmierci Niemczewskiego, dziekana Uniwersytetu w wydziale fizycznym, a kiedyś guwernera mojego, który był plenipotentem mojego wuja, podówczas już ekspatrjowanego i mieszkającego stale w Paryżu, po śmierci mówię Niemczewskiego, który, na zabranych, oprócz innych rzeczy, po rodzonej matce mojej gobelinach tarzając się, jak męczennik, na podłodze, nie wiem komu ducha swego oddał, Znosko, dziekan fakultetu prawnego, był jego ekzekutorem. (Nie wiedząc, czy mi czasu, ochoty, tchu wystarczy na całe pamiętniki mojego życia, dodać tu dla jasności winienem, że w skutku familijnych, dramatycznych i prawdziwie nadzwyczajnością swoją ciekawych intryg matka moja w siedemnastym roku życia przymuszona była rozstać się prawnym obrządkiem z mężem, którego kochała. W kilka lat potem ta nieszczęśliwa kobieta, zgnieciona tak wielką boleścią i różnemi klęskami, trawiącemi serce, z suchot umarła. Plenipotent jej brata, Niemczewski, zapomniawszy niby, że ja jestem na świecie, wszystko, co pozostało temuż bratu, jako spadek, do Paryża odesłał, wziąwszy coś i dla siebie, żeby pamięci dobrego uczynku nie stracił. Ojciec mój, nie lubiący kłótni i procesów, nie chciał się w to wdawać. Dopiero w wiele lat potem sprawiedliwszy sąd Boży wrócił mnie część zabranego kiedyś majątku i to w chwili, kiedym się tego najmniej mógł spodziewać, a nigdy o tem nie myślał). Nieraz mi ojciec w czasie choroby Niemczewskiego powiadał, jak tylko był w Wilnie: „Pódź, pokaż się jemu, może na twój widok wzruszy go sumienie." Ale nie miałem serca! Nie chciałem być mu przy śmierci żyjącym dotykalnym wyrzutem.

Niemczewski od pewnego czasu już nie żył, kiedy raz sekretarz Uniwersytetu przyszedł do mnie z wezwaniem, żebym się stawił u Znoski dla ważnego jakiegoś interesu. Poszedłem nazajutrz. Znosko wyjął z biura opieczętowany pakiet i rzekł mi: „Oto są papiery, należące do pana, które stosownie do słów śp. Niemczewskiego oddać panu winienem. Proszę o rewers." Spojrzałem na pakiet. Ręką Niemczewskiego tam stało: „Papiery należące do w-go Stanisława Morawskiego, które jemu w ręce oddać należy po mojej śmierci." Zadziwiony, że Niem-

czewski, co wakacje na wsi mnie widząc i przez dwa lata już w Wilnie podpisując co miesiąc akademickie moje świadectwo, nigdy mi o tem nie wspomniał, wydałem żądany rewers i z pakietem, jak był, poszedłem do siebie. Było to już późno wieczorem. Długom się ważył z ciekawością, alem ją postanowił w sobie przełamać. Zostawiwszy tedy wszystko, jak było, do jutra, poszedłem spać i spałem, jak zabity. Z rana znalazłem tam kilka dokumentów, tyczących się matki mojej, testament wuja mojego, zapisujący mnie całą jego ogromną podówczas fortunę, ale już nieważny, bo były inne późniejszej daty; — ale znalazłem tam także dokument ojca mojego, o którym mi się ani śniło nigdy, a którym on przy rozwodzie z matką i jako konieczny warunek rozwodu dla zapewnienia mojego losu zapisuje mnie niezależnie od innych dojść mnie mających funduszów — 60 000 złotych polskich. Dziwiło mnie bardzo, że ja, podówczas osiemnaście już lat mający, ani od ojca, ani od Bobiatyńskiego, co umarł potem senatorem w Moskwie, ani od innych tam podpisanych świadków, ani od Niemczewskiego, który za życia co rok prawie w sąsiedztwie razem u niejakiego Pruskiego lato całe przebywał, słowem, od wszystkich tych osób, które widywałem nierzadko, żadnej wzmianki o tem nie miałem. Co tu robić? Włożyłem cały ten pakiet do kieszeni i poszedłem do najlepszego przyjaciela mojego, do Nowomiejskiego po radę.

Dał mi taką w treści: „Świeżym ukazem monarszym zapowiedziano, że dla wszystkich nieaktywowanych w przyzwoitym czasie i przepisanej formie dokumentów i obligów roczny prekluzyjny termin się daje, poczem już podobne akty walor swój stracą. Termin ten bliski wyjścia. Jeżeli dokumentu swojego do akt nie wniesiesz, zrobisz go żadnym. Nie przeczę, że ojciec twój jest zawsze ojcem. Ale, ponieważ się tak często po staropolsku z myślą usunięcia ciebie od dziedzictwa przy najmniejszym kaprysie odgraża, kto zaręczy, że to, co teraz mówi dla postrachu i utrzymania cię w klubach, nie przyjdzie mu kiedy na myśl doprawdy i że sam w to uwierzy! Tymczasem żona jego, ciągle chora i czekająca śmierci, lada moment zamrzeć może. Twój ojciec, człowiek jeszcze piękny, czerstwy, lubiący namiętnie kobiety, natychmiast się znowu ożeni. Będą dzieci. A wówczas to, co tylko jest w ustach jego strachem na wróble

i próżnym dymkiem, może się stać rzeczywistością w pewnych przynajmniej obrębach. Idź tedy natychmiast dzisiaj jeszcze i wnieś do akt ten dokument." Wszystko, co mówił, trafiało najzupełniej do przekonania mojego i otwierało mnie oczy. Zrobiłem mu jednak uwagę, że jakkolwiek wszystkie te powody są racjonalne, jedna mnie myśl od wszelkich uprawnień odstręcza, a to jest: czy w czasie, kiedy jeszcze wnoszenie do akt dokumentów pieniężnych uważa się na Litwie za niedelikatność i dowód nieufności, czy, mówię, ojciec mój, dziwnie w podobnej materji drażliwy, nie będzie miał choć raz w życiu słusznego powodu nieukontentowania do mnie? Na to mi odpowiedział, że jestem dziecko. Że ludzie, co żyją na świecie, wiedzą o tem dobrze, że aktykacja dokumentów nie jest w stanie obrazić strony, układ jakikolwiek robiące. Że ojciec mój, wydawszy raz taki dokument, nadto jest zacnym człowiekiem, żeby się chciał go zapierać. Że jeśli, nakoniec, nigdy mi o nim nie wspominał, to tylko dlatego, że nie chciał, ażebym w tym jeszcze wieku wiedział, że mam coś swojego, albo że myślał, że zapis ten u wuja w Paryżu w papierach jego zaginął.

Tak mnie uspokoiwszy, posłał zaraz wiecznie siedzącego za stolikiem skrybenta swojego do jakiegoś pana Okołowa, jak dziś pamiętam, regenta ziemskiego, uprzedzając go, że przyjaciel jego, to jest ja, przyjdę dziś z dokumentem, i prosząc żeby mi formalności jak najrychlej ułatwił z uwagi, że czas mój cały naukom w Uniwersytecie i ciągłym lekcjom jest poświęcony. Poszedłem tam po południu. P. Okołow zrobił wszystko najgrzeczniej. Wyekspedjował mnie w okamgnieniu, przyjął opłatę, 12 r. sr. wynoszącą, i dokument ulegalizowany mnie zwrócił. Wszystko to stało się tak nagle i tak poszło gładko, jak z płatka; tak się to naturalnem Nowomiejskiemu i kancelarji ziemskiej zdawało, żem już dalszej na całą tę okoliczność nie zwracał uwagi.

Rodzice moi mieszkali tę zimę w Warszawie. Pisząc do ojca podług jego rozkazu raz jeden na miesiąc (A_6), w zupełnej niewinności duszy, jak owca, nie umiejąc nic ukryć przed tak bliską mnie osobą, nakoniec zapewniony przez pełnego doświadczenia przyjaciela mojego, że to, co zrobiłem, dobre jest, opisałem ojcu niespodziewany zwrot dokumentu tego przez

znoskę i że dopełnienie form, jakich potrzebował, zgórą mi cztery wyciągnęło dukaty, którebym wolał na coś lepszego użyć. Napisawszy to bez żadnej wstecznej myśli, najzupełniej zapomniałem o całej rzeczy, jakby jej nigdy nie było. Dodam nawiasem tutaj uwagę dla każdego pożyteczną w życiu. Dobrze jest, żyjąc w społeczeństwie ludzkiem, a tem samem w ciągłych z ludźmi zostając stosunkach, nie ukrywać przez chytrość naszych postępków przed tymi, z którymi mniej lub więcej ścisły związek nas łączy. Gdybym, robiąc niby rozumniej i chytrzej, całą tę rzecz ukrył przed ojcem, za rok najdalej wszystkoby się samo z siebie wykryło, ale w krzywdzącem mnie świetle. Kiedy bowiem w rok potem dla jakiejś afery ojciec mój potrzebował od władzy świadectwa na zupełną hipoteczną czystość swojego nieruchomego majątku, Izba Cywilna wileńska, jako zarzut, z dokumentem mnie służącym wystąpiła i póty rzeczonego świadectwa wydać nie mogła, póki ja zrzeczenia się pierwszeństwa ewikcji mojej nie dałem. Jeśli zatem nie ode mnie, toby z tego potem źródła dowiedział się ojciec o wszystkiem, ale rzecz innyby wcale kształt wzięła.

We trzy może tygodnie potem, kiedym siedział zamyślony nad ogromnem pudowem dziełem Paracelsa i ani słowa z tego, com od godziny czytał, nie rozumiałem i kiedym sam sobie zadawał pytanie, czy też ten człowiek rzeczywiście drwił z ludzi albo czy dzieło to stało się już dla nas taką, jak hieroglify egipskie, zagadką, — pocztyljon oddał mi list ojca z Warszawy. Wyznać tu muszę, że sam widok tych listów zawsze we mnie wzbudzał bolesne drażnienie nerwowe.

Przy najpiękniejszym wzorowym, nienaśladowalnym listowym stylu zawsze tam się dla mnie tyle pieprznych, żółciowych a niezasłużonych znajdowało przymówek lub uwag, że podziwienie i cześć dla tak zręcznego i gładkiego pisarza powiększały jeszcze boleść, jaką szorstka treść tych listów we mnie rodziła. Przerobić w tem ojca mojego żadna ludzka siła nie była zdolna. Staropolskie wrosłe w niego uprzedzenia były takie: „Syn jest zupełną własnością ojca. Gań i karz syna, kiedy zły, żeby się stał lepszym. Gań go i karz, kiedy dobry, dlatego, żeby się nie zepsuł". Od tego prawidła na jeden włos do śmierci swojej, w 73-im roku życia jego przypadłej, i kiedy ja 36 lat już miałem, nie odstąpił nigdy.

Jeżeli każdy, jak mówię, list ojca mojego był dla mnie gorzki, a tego zbiór tych listów co do jednego od samego dzieciństwa mojego jest świadkiem, — cóż się ze mną stać musiało, odebrawszy ten, wszystkiemi piorunami ojcowskiego gniewu i ojcowskiej władzy nietylko napełniony, ale trzaskający niemi na wszystkie punkty i serca, i głowy. Struchlałem! Wymówki i wyrzuty były silniejsze od naczynia, w które były rzucone. Wina to zapewne i zbytecznej drażliwości mojej. Ale cóż na to począć, kiedy kogo natura takim już stworzyła. Lepiejby zapewne było, gdybym mógł być kamieniem lub ścianą, od której każdy rzucony groch odskakuje!

Przeleżawszy z godzinę prawie bez pamięci w mojem mieszkaniu, pierwsza zdrowa myśl moja była: biec do Nowomiejskiego, kochanego przyjaciela i doradcy mojego, i to wszystko jemu pokazać, szukając razem na jego łonie pociechy. Zrobiłem to. Któż da wyobrażenie tej nowej męki, tej nowej katuszy i tak zbolałego już, a młodego serca, tego wytrzeszczenia oczu i przewrócenia się całej fizjonomji mojej kiedy ten, przeczytawszy list, z najzimniejszą krwią rzekł do mnie: „A czyż się Boga nie bałeś zrobić rzecz taką? Jakto? znając twojego ojca, jego surowość, jego względem ciebie słynny na całą Litwę despotyzm, ty, ty aktykowałeś dokument, przez niego dla ciebie wydany? Ty odważyłeś się jemu taką pokazać nieufność?"... O! w tym momencie i we mnie wzmocniło się serce! podniósł się duch mój tej tęgości i hartu, jaki w poczciwych duszach powtórzone wzbudzają klęski. W jednej chwili przeżyłem lat kilka! Nie rzekłem ani słowa. Włożywszy list w zanadrze, pożegnałem, jak zwykle, co większa, kochałem go, jak zwykle. Ale, panie Konstanty, żyjący jeszcze choć bez nóg i władzy, panie Konstanty, twoja ręka pierwsza zadała mi wtedy w samo serce tę ranę, która się odtąd nigdy dobrze zagoić nie mogła! *Et la douleur combla la place où fut mon coeur!*

Przybył pod wiosnę na kontrakty świętojerskie i ojciec mój z Warszawy. Jakkolwiek w jego sercu ani gniew, ani żal do ludzi długiego nie miewał popasu, przy zobaczeniu się ze mną zawrzał cały oburzeniem i żółcią. Wszystko, co wyobrazić sobie można w ustach popędliwego, rozdąsanego, a pełnego wymowy i trafności w dobraniu słowa człowieka,

wylało się na mnie, jak lawa! Wytrzymałem napad. Myślałem, że się wszystko na tem, jak zwykle bywało, zakończy. Jako żywo! Po południu — tożsamo! Nazajutrz — tożsamo! Zmiarkowałem, że go to wszystko doprawdy wzięło za serce. I że tego wszystkiego przyczyną ja, którybym osładzać mu życie powinien, ja, który aczkolwiek w sprawiedliwej i świętej rzeczy ten niezwyczajny własną ręką rozpaliłem pożar!

Nie radząc się więc już nikogo oprócz własnego serca, na czwarty dzień, jak tylko, zobaczywszy mnie, nowym płomieniem wybuchnął, nie mówiąc ani słowa, wyjęty z zanadrza dokument w jego włożyłem rękę. Dusza moja, pragnąca zawsze pomimo ognistego i palnego temperamentu tylko pokoju i zgody, serce, łaknące łaskawego ludzkiego wejrzenia, tylko jedynej nagrody za wiele poświęceń cnocie, które wywalczyłem sam z sobą, obiecywały mi, że dojdę nakoniec do celu. Wziął dokument, cisnął go na stół, łajał mnie jeszcze z dobre pół godziny, ale, jak się zdaje, już tylko dla formy. Ani słowa nie wyrzekł, ani cienia nie pokazał, że go ten mój postępek mógł ująć! Ale dodać i to zaraz muszę, że pomimo to wszystko dokumentu nie zniszczył i że mi go po śmierci zostawił, wspomniawszy o nim w testamencie swoim.

Ukończywszy w tak szczęśliwy sposób drażliwy familijny interes i okupiwszy na ten moment spokojność swoją taką ofiarą, skorom tylko ten próg boleści, próg mieszkania ojca mojego przestąpił, nie mogłem sam sobie spartańskiego nie dać poklasku, żem przez dni cztery najsilniejsze wytrzymał furje, mogąc, i słusznie, jednem słowem przenieść je na Nowomiejskiego, skorobym tylko oświadczył, że w całej tej rzeczy szedłem za jego radą! Ale taka jest właśnie siła i godność w poczciwem sercu obowiązków szlachetnej przyjaźni, że, znając już nawylot całą nędzę tej, jaka Nowomiejskiego ze mną łączyła, że zdradzony, opuszczony przez tego człowieka wolałem znieść wszystko w tym momencie, wszystko wziąć na siebie, wyrzec się 60 000 złotych, a co większa, poddać się dalszym skutkom tego wypadku, niż wystawić na sztych przyjaciela mojego i zerwać moją ręką niechybnie te związki, w jakich od tak dawna z ojcem moim zostawał. Nie może być, żeby ojciec, któryby się udusił, udławił, gdyby natychmiast nie wypowiedzieć, co ma na duszy, nie

przyniósł Nowomiejskiemu na ciepło skarg swoich na mnie. Ciekawe byłoby wiedzieć, co on na to i z jaką odpowiadał miną. Wątpię, żeby mnie jakoś przynajmniej nie bronił, bo na bezwarunkowe i śmiałe oskarżenie brakowało mu może nie chęci, ale siły ducha. Na zło i na dobro trzeba zawsze pewnego hartu! I jedno i drugie mało się udaje moralnym kastratom. To pewna, że Nowomiejski nigdy mi już a nigdy o tem później nie wspominał.

Nie oddalając się być może o tyle, jak się zrazu zdaje, od porządku materji, owszem ściślej się do niego zbliżając, wspomnieć tu muszę, że, lubo wiem, jak od niepamiętnych czasów ludzie młodzi przyganiają starszym fałszywy pogląd na obecny stan rzeczy, jakkolwiek starzy naprawdę gania czas obecny, nie widząc, że nie czas, ale najczęściej oni sami zepsuli się i styrali, jakkolwiek filozofowie dawni a i nasz kochanek Horacjusz drwił sobie z tych, których nazywał *laudatores temporis acti*, ja jednakże w wieku, w którym żyję, nie mogę nie przyznać, że do tych horacjuszowskich ludzi bez najmniejszego rumieńca należę. Śledząc, ile mnie pojęcie dozwala, krok w krok za postępem wieku tego, wyznaję szczerze, że nie jestem jego stronnikiem! Bóg w swojej potędze rzeczom, uczuciom, myślom pewną równowagę naznaczył. Być może, że zło i dobro w masie wieków o jeden łut siebie nie przeważa. Ale każdy wiek, zosobna wzięty, ma także swoje ale i narowy, które kształci i doskonali. Co wybierasz? — Jeżeli cenisz materję, jakże być ślepym, jak porównać wiek przeszły z naszą połową XIX-go wieku. Ale, jeśli duch wyżej nad wszystko stawisz, zgodzić się rumieniąc musisz, że ludzie gorsi są teraz jak dawniej i że, jeżeli teraz czystszą noszą sukienkę, wewnątrz pełniejsi są brudów i gnoju.

Rozumowania mało, trzeba stawić fakty. Owóż wspomnienie o dokumentach moich w tem, naprzykład jednem, co się tyczy dobrej wiary, punktu honoru, następne niezaprzeczone podaje wypadki. O delacjach, denuncjacjach, tak nazwanych donosach, których nazwiska dawniej nie znano, o zupełnem zniknieniu gościnności i wiele innych przedmiotach gdzie indziej zapewne powiem. Owóż, ojcowie nasi nie znali, nie domyślali się tego jakto wyprzeć się dokumentu lub zaprzeć obligowi, a nawet kartce dlatego, że do akt wniesionymi nie były. Stary kontusz-

by się obwiesił, żeby go o taką podłość można było posądzić! Było dosyć słowa, a dla pamięci na krocie, na miljony dawano świstek, malutkę karteczkę, najczęściej bez podpisu świadków. A jednak rzecz była święta. Proszę przejrzeć obligi Radziwiłłów, Paców, Pociejów i t. d. Nie było przykładu, żeby się kto ich zaparł. Żeby dzieci, nawet w ubóstwie, za ojca swojego równo z pokazaniem takiego świstka, kiedy tylko mogli, nie wypłacili. Nacóż! Ojciec mój, pisząc się już za rządu rosyjskiego, jako kawent, do obligów przyjaciół swoich Pęczkowskich na blisko sześć kroć sto tysięcy złotych, musiał z natury rzeczy wziąć od nich asekurację, że ta suma nie przez niego, ale przez nich i dla nich użyta była. Wziął tę asekurację. Trzymam ją w ręku. I cóż?... jest to czwarta część ćwiartki sinego papieru, podpisana przez obudwóch braci Pęczkowskich bez świadków. A jednak i ci, co dali ten rewers, i ten, co go przyjął, wiedzieli dobrze, co robili. Za tym świstkiem uiszczono się ze wszystkiego i uwolniono ojca mojego od dalszej odpowiedzialności (A_7).

Pierwszym, co się w Litwie odezwał z zaprzeczeniem obligowi dlatego tylko, że nie był aktykowany i nie na walorowym papierze, był Józef hrabia Zabiełło, były marszałek kowieński. A zrobił to Józefowi Gorskiemu w 1822 roku, jak mi się zdaje. Oburzenie powszechne i wzgarda okryły osobę i imię tego nędznika, że się aż z miasta i z kontraktów cichaczem wynosić musiał. Dlaczegoż to wówczas tak powszechnie, tak silnie do serca przyjęto, a dziś na tysiące takich postępków nikt ani wąsem nie ruszy! Przyzwyczajono się do niegodziwości, hańby i zgrozy! A więc dawniej tego nałogu nie było?...

Ja sam, kiedy to piszę, przegrałem najświętszą sprawę w senacie z zięciami Stanisława Karwickiego, możnego bardzo obywatela z pod Żytomierza, który każdej ze swych córek po miljonie posagu zostawił. Wyszły zaś jedna za Złotnickiego, druga za Madeyskiego. Karwicki w Paryżu, osadzony w St. Pelagie, wykupiony został z więzienia za długi przez litość wuja mojego za dwa tysiące dukatów. Karwicki część spłacił, na resztujące tysiąc trzysta czerwonych złotych obligi wydał, do akt tamtejszych zaniósł i, mając natychmiast te pieniędze wypłacić, wrócił do kraju. Ale wkrótce, wdawszy się w polityczne spiski, osądzony na prostego żołnierza, gdzieś na Syberji umarł.

Córki i zięciowie, objąwszy po nim majątki, nie chcieli mnie za obligami własnoręcznemi ojca i teścia swojego zapłacić, chociaż byłem urzędownie i we Francji, i w Rosji przyznanym sukcesorem mojego wuja, odrzucili nawet wszelką ofiarowaną za jaką bądź cenę ugodę. Stąd sprawa. Czemże się we wszystkich instancjach bronili? Oto tem, że wprawdzie obligi te są ręką ich teścia pisane, że im nic zarzucić nie można, ale że we właściwej porze w Rosji aktykowanemi nie były! Ja proces ten na głowę przegrałem, bo mi jeszcze za niesłuszną apelację do senatu 400 rs. sztrafu zapłacić kazano. Nie winię rządu, bo ten się może trzymał litery prawa. Tym zaś łotrom, co mieli czoło dać powód do sprawy, zostawało dawniej dać w pysk i plunąć w oczy. Przed dziesięciu jeszcze laty niktby z uczciwej szlachty z niemi na znak pogardy nie mówił. Dzisiaj marszałkują obadwa w swoich powiatach i są przewodnikami tej szlachty; są perlą, są wzorem, są zazdrością całego swojego obywatelstwa! Teraz, *sic itur ad astra*.

Patrjotyzm, religja, honor, wygórowana idea miłości, wściekłe i zapamiętałe rzucanie się na nadużycia, namiętna żądza obrony praw człowieka były wahadłem, popędzającem poprzednie wieki do ruchu. Dzisiaj kruszec jest główną tego ruchu sprężyną. Wyrwać go jakkolwiek z rąk bliźniego — to teraz kapitalna cnota. A jeśli w tym brudnym tyglu, który dziś światem cywilizowanym zowiemy, dopatrzysz cień jakiego niematerjalnego uczucia, to znajdziesz w nim tylko zazdrość próżniaka i łotra do każdego, co oszczędnością i pracą zachował dla siebie i dziatek kawałek chleba! Znajdziesz tylko zawiść nieuka i osła do człowieka, co się prawdziwym trudem oświecił! Nie przeczę — i być to bardzo może, że to są wszystko nikczemni i upodleni iloci, pracujący po swojemu dla szczęścia przyszłych pokoleń Sparty.



Marjanna Apolinarowa Morawska.

ROZDZIAŁ III.

Wracam do Nowomiejskiego, spodziewając się, że po dwóch wyżej przytoczonych o nim przykładach nikt mi nie zaprzeczy, że to był archidjakon biskup, kardynał wszystkich egoistów. Ale egoizm tego człowieka był zupełnie odrębnego rodzaju, *sui generis.* Przyzwyczajony zamłodu wyginać się, szukać protekcji i łaski, czepiać się po gałęziach drzewa fortuny to sobie za cel życia położył, w tem miał punkt honoru, żeby się każdemu podobać, każdemu się czy doprawdy, czy pozornie zasłużyć, pokryć egoizm płaszczykiem poświęcenia się, wiele rezonować o cnocie, pełnić co do litery pisane jej warunki, udać oddanego ludzkości filantropa, nie obrazić nigdy nikogo, nie zetrzeć się z niczyją miłością własną, swojej nie wykazać nigdy i temi drogami wydźwignąć się na świecznik, trzymając się po drodze gorsetu i czepka.

Jakkolwiek człowiek, w towarzystwie żyjący, strzegłby się narazić bliźniemu, nigdy tego nie potrafi dokazać. Próżna fatyga! Kiedy się więc dwa sprzeczne z sobą interesy przed Nowomiejskim w oczy spotkały, wtedy już nie było ratunku; jezuicki nie pomagał płaszczyk; musiał się nieborak narazić. — i wtedy, naturalnie, wolał się narazić słabszemu. Tak właśnie było i ze mną w dwóch przytoczonych z pomiędzy wielu przykładach. W innych razach przyjaźń swoją ofiarowywał każdemu, a zatem stał się przyjacielem wszystkich — to jest niczyim. Bo całego świata zarówno kochać nie można, albo trzeba *faire de l'eau claire.* Tymczasem udać, to było właśnie jego manja, dążenie, pycha. Wszystko na tem się w rezultacie skończyło, że się stał nawet niezdolnym zrozumieć prawdziwą przyjaźń. Pod tą, jakem opisał, chodząc pokrywką, każdemu o każdym

mówił na ucho, że to egoista. I ten wyraz tak w ustach swoich zrobił powszednim, że ci, co go słuchali, nie mogli nawet przypuścić, żeby ten, co na każdym kroku widzi ludzki egoizm, sam nim był przepełniony do szpiku. A jednak tak było! Tchórz i lękliwy z przyrodzenia, spartańskiego w mowie skromnej udawał zucha. Ale, jak tylko wypadł komu z jego przyjaciół lub przyjaciółek taki interes, gdzie mu trochę siebie nadstawić przyszło, zwinął chorągiew i *fugas chrustas!* Ale zwinął chorągiew zręcznie, z godnością odmawiając swojego współdziałania z powodu przyjaźni, związków, stosunków, obowiązków i temu podobnych przyczyn. Było ludzi wielu, co go prędko, jakim był, zwietrzyli, a i matka moja jedną z tych była. Ja wszakże takem się w nim zacietrzewił, że lękając się, wrodzonej podejrzliwości mojej, odpychałem od siebie ze zgrozą wszystkie dotykalne fakty, i kąsałbym sam siebie, gdyby mi w głowie o nim nieczysta myśl mignęła.

Przyszedł już nakoniec czas, że mi trzeba już było na świat wystąpić. Ojciec mój tego życzył po swojemu dla stosunków, związków i dalszych na świecie widoków. Chciał się także, jak mówią, synem-nieułomkiem popisać: była to jego słabość popisywać się żoną i synem. Ja z mojej strony życzyłem tego sam dla siebie, żeby się lepiej przetrzeć, ze zwyczajami świata obeznać, oswoić, żeby ciężką pracą nabytych wiadomości i talentów użyć i zastosować je w społecznem pożyciu. A co może najwięcej, żeby też choć raz już być bliższym tych pięknych i strojnych kobiet, tych młodych i ładniutkich dziewcząt, do których rozwinięte siły duszy i ciała i ogniste wyobrażenia nieprzełamanym pociągiem wabiły. Mało kto z młodych ludzi przy łaskawszych okolicznościach puszczał się na fale życia. Imię moje było już całemu Wilnu wiadome. Żądano mnie w wielu domach miasto tego, żebym się sam starać miał o fawor względnego przyjęcia. Bo tak zawsze bywa. To, czego sami ludzie nie szukają, zawsze prawie ich szuka. Przyczyny do tej względności były jeszcze inne. Naprzód, widywano mnie tylko w dwóch poważnych domach przyjaciółek ojca mojego: pani stolnikowej Janowiczowej i pani wojskiej Goreckiej. Powszechnie szanowana i kochana córka pani Goreckiej, Wysogierdowa, przyjaciółka ojca mojego, także była na mnie wielce łaskawa. Wie-

dziano, powtóre, o zbytecznej i więcej niż staropolskiej surowości względem mnie ojca mojego, jako też o uległości i pokorze, z jaką to znoszę. A takie wyjątkowe zdarzenia interesującym młodego człowieka mimowolnie czynią. Jako uczeń Uniwersytetu w wydziale lekarskim, znajomy byłem z konduity i pilności w naukach. Żyjąc i starając się żyć zawsze z starszymi ode mnie ludźmi, żeby od nich czegoś nabywać, wiele starców było mi i duszą i sercem oddanych i ci wszędzie o mnie ledwie że nie z uniesieniem mówili. Młodsi od nich, nie widząc mnie w żadnem modnem kole, a tem samem nie narażeni na żadne ze mną kolizje, spotykane co moment w salonach, nie myśląc o tem, że mnie tam kiedyś mogą zobaczyć, odzywali się o mnie nietylko bez zawiści, ale i z wielkiem pobłażaniem. Przywiązanie do mnie prześlicznej panny Weroniki Sackenówny, z zapatrzenia się przez okno bez poprzedniej znajomości powstałe, z którego zwierzyła się poczciwemu Ignacemu Lachnickiemu, krewnemu swojemu, a ten sekret jej przez trzpiotalstwo rozniósł po mieście, niemałą także wzbudzało ciekawość. Toż sprawiało kilka słów, z przypadku szczęśliwie i trafnie wymówionych i przez młodzież pochwyconych i rozpuszczonych po Wilnie. Nakoniec genjalny, szanowny, zacny, kochający wszystko, co dobre i piękne, i unoszący się nad wszystkiem, co dobre, Józef Frank, od lat dwudziestu w tylu codzień bywający domach, a w przychylności swojej wielkie i nieuiszczone o mnie tworzący nadzieje, wszędzie Litwie winszował, że pilnością, trafnością rzutu oka i dobrą miarą odznaczający się człowiek będzie niedługo polskim Buffonem, Réaumurem. Myślał poczciwy Niemiec, że ja się na całe życie po niemiecku w uczoności zakopię! A ja i wtedy już niczegom się tak w duszy nie lękał, jak być literatem albo uczonym! Sama oryginalność nawet poświęcenia się mojego nauce medycyny była już jakąś dla kobiet, które ton dają, przynętą. Młody chłopiec, w dziewiętnastym roku wiedzący dokładnie, co jest pod paznokciem małego palca w nóżce młodej dziewczyny lub młodej kobiety, był już sam z siebie interesującą figurą.

Prawda, że starzy kontuszowi, a i niekontuszowi nawet, ściskali ramionami, że się mogłem na to odważyć. Pamiętam jak stary Zaleski, starosta szwentowski, przyjaciel ojca mojego, który się sam sobie nigdy nie dziwił, że był jurystą, interpelował

mnie raz w pokoju synów swoich, jak to być może, żebym ja, karmazynowy szlachcic i posesjonat, uczył się medycyny! Takie to były uprzedzenia czasu! Uprzedzenia konającej już falangi starych Polaków z końca przeszłego wieku. Nie pojmowali oni lekarza, jak tylko w osobie Francuza, Niemca, Węgrzyna lub Włocha. A to wszystko, mości dobrodzieju, jako nie mające indygenatu na mocy konstytucjów, nie mogło być szlachtą. Trwać i dotąd poniekąd musi to uprzedzenie, bo mi się nie zdarzyło tu słyszeć, żeby mój przykład miał naśladowców. Do powyższych korzystnych dla młodości mojej pomocy dodać i to potrzeba, że, nie wiem dlaczego, całe Wilno podówczas nazywało mnie „*pięknym Morawskim*". Taki był wprawdzie słuszny przydomek ojca mojego — Apolinarego; ale też to był rzeczywiście człowiek dziwnie pięknej, niepospolitej, znaczącej i wzbudzającej uszanowanie twarzy. Ojciec mój z matką, czy to dlatego, że zwyczajnie chcieć mogli, żebym był piękniejszy, czy dla zdrapania i zerwania ze mnie zwykłego w młodym wieku pod tym względem zarozumienia, czy nakoniec, że twarz moja i postać doprawdy niebardzo była w ich smaku, powtarzali mnie po kilka razy na dzień, żem wprawdzie był przystojny i że za to Bogu dziękować powinienem, bo mi dał, jak ojciec mówił, dobry list rekomendacyjny u świata, ale że mnie do piękności daleko. Ja się potem, myśląc o tem, w głowe drapałem, nie wiedząc, czego oni chcą ode mnie! Przyznam się bowiem najszczerzej, jak na Spowiedzi Świętej, że przywykły już nauką, wychowaniem i przykładem rodzicielskiego domu do uwielbienia wszystkiego, co było z jakiegokolwiek bądź powodu piękne i wzniosłe, i znając się poczęści już na tem, nie znajdowałem w powierzchownej formie twarzy mojej, dalibóg, nigdy tej zalety i dlatego nigdy w życiu mojem z tego powodu nie szedłem w butę. Musiało jednak, jak się teraz domyślam, być tam coś takiego w samej rzeczy czy to w twarzy, czy w postaci, czy w układzie, czy w gestach, czy w ruchawości i wyrazie fizjonomji, kiedy mnie wówczas spotykały zdarzenia, mogące mniej skromnemu chłopcu zupełnie zawrócić głowę. W wiele lat potem, kiedym już był dorosłym mężczyzną, przyjaciel mój zacny i poczciwy, Konstanty książę Giedroyć, syn rycerza, generała Romualda Giedroycia, co to w powstaniu Kościuszki rzadkiego męstwa

dał dowody, a potem przyjacielskiem okiem u cesarza Francuzów był widziany i wysoce stawiony; Konstanty, mówię, Giedroyć znajdował się ze mną razem w domu pewnej poważnej i zacnej pani w Petersburgu. Kilka bab szkaradnych w potocznej rozmowie odezwało się tam, mówiąc o sobie: „Byłam wtedy młoda, byłam piękna". Giedroyć, odwróciwszy się do mnie, rzekł cicho po polsku: „Mój Morawski, powiedz mi, gdzie byli podówczas brzydcy, bo każdy o sobie powiada, że był piękny za młodu". Odpowiedziałem mu na to: „Nie dziw się, tak i my kiedyś o sobie powiemy". A on rzekł: „Przecież ja, jak ja, ale kiedy ty o sobie to powiesz, nie będzie wielkiego grzechu. Nie widziałem w życiu tak pięknego chłopca, jakim ty byłeś w 1820 roku, kiedy ciebie poznałem na Żmudzi". O gustach nie dysputować. Mężczyzna, co przywiązuje walor do swojej twarzyczki i pyszni się z tego, błazen jest. Jeśli jest rzeczywiście piękny, darują mu tę piękność ludzie, ale mało cenią. A i kobiety rzadko się kiedy samą pięknością na wędę ułowić dadzą! I dlatego częściej daleko ludzie niepiękni, jak piękni, silne w nich wzbudzają namiętności. Ale jeśli Bóg dał komu wszystkiego w miarę, a ten ktoś „list swój rekomendacyjny" z przyzwoitą umie ludziom wręczyć godnością, jeśli rysy i postać jego otwartą i poczciwą duszą ożywione będą, taki mimo własnej wiedzy może się na świecie spodziewać sukcesów. Wspomniało się to wszystko dlatego, że, mówiąc o młodości, trzeba cośkolwiek o głupstwach młodości napomknąć. Dlatego także wracam do wyżej zapowiedzianych zdarzeń, które same na mnie nabiegły. Przytoczę trzy tylko dykteryjki, trącące klasycyzmem, bo jedna z nich w orfeicznym, druga w harpijnym, trzecia, niestety, w czysto cyterejskim duchu i stylu.

Byłem naprzykład raz po południu z wizytą u pani Janowiczowej, stolnikowej jakiejś tam litewskiej ziemi, bo już tego zapomniałem; jednem słowem, u pani stolnikowej, przyjaciółki ojca mojego, zacnej, poważnej, powszechnie szanowanej dziewięćdziesiątletniej kobiety. Tę wizytę ojciec mnie pod błogosławieństwem i pod „batogiem" przynajmniej po razu na miesiąc polecił. Na ten moment trafiło się u niej tak, że nie było więcej nikogo, lubo salon jej zwykle od południa przez cały dzień bywał pełny. Między stuletnią niewiastą i siedemnastoletnim

chłopakiem pomimo całej uprzejmości gospodyni domu jakoś się nudno trochę i markotno zrobiło. Myślałem tylko o tem, jakby się gracko wymknąć, spełniwszy zadaną przez ojca pensę. Babcia zaś ze swojej strony, niezwykła z samotnością, rada była, że choć taki, jak ja, szpaczek siedział przed nią, i dlatego tysiącem małych ploteczek przytrzymać mnie chciała. Ten rodzaj tajemnej dyplomatycznej między nami wojny już się dobrze pół godziny przedłużał, kiedy na moje szczęście posłyszeliśmy oboje stuk podjeżdżającej pod bramę karety. A więc ktoś przyjechał. Korzystając z tej chwili, dalejże za kapelusz z parkietu, bo do tej familjarności z kapeluszem miałem u pani stolnikowej już prawo, i pożegnałem staruszkę. Pani stolnikowa mieszkała we własnym domu na Zamkowej ulicy i umiała urządzić go już wtedy podług wszelkich prawideł dzisiejszego komfortu. Sieni tedy dolne, sieni górne i schody były opalane, ledwo że nie jednym podówczas przykładem. Wilno pod tym względem było jeszcze a jest i teraz bardzo kapcańskie. Dumy wiele. Rzeczy i prawdziwych wygód mało. A Kowno, odwieczne miasto, do dziś dnia przedpokojów nie ma! Gość musi czy płaszcz, czy kosztowną szubę zostawiać na schodach, których nikt nie pilnuje, albo ciągle za sobą włóczyć lokaja. Prawda zato, że w Kownie przez lat dwadzieścia nie widziano złodzieja. Dopiero się teraz znaleźli, jak lepszą zaprowadzono policję. Ale zejdźmy do dalszego ciągu. Wychodząc z przedpokoju pani stolnikowej, spotkałem już na górze suto galonowanego lokaja; minąłem go. A że na schodach było ciepło, a w dalszych sieniach zoczyłem dwie damy, schodziłem sobie zatem powoli i *chapeau bas*. Była to księżna *** i krewna jej pani marszałkowa ***, obie mnie znajome tylko z widzenia. A z widzenia na mszy eleganckiej u ks. ks. dominikanów w piątki i niedziele, gdzie się wszystkie kobiety wyższej sfery, elegantki dla słuchania niby sławnego kaznodziei Falkowskiego, dominikanina, zjeżdżały, a dokąd i nas w chwile wolne od lekcyj djabeł czasem ciągał. Skorom się tedy z temi damami na schodach zrównał, księżna podówczas młoda, świeża, prześliczna, spojrzawszy na mnie dziwnym jakimś wzrokiem, udając, że nie wie, gdzie jest, i nie zna tego domu, gdzie po dwa razy na tydzień regularnie bywała, zatrzymuje mnie pytaniem: „Czy tu mieszka pani stolnikowa?" Z głębokim ukłonem od-

powiadam: „Tak jest.“ W tym razie księżna, obejrzawszy się nagle naokoło i wgórę i widząc, że nikogo obcego niema, jak mnie chwyci raptem za szyję — i pocałowała naprzód oba policzki a potem w usta, ale tak, że się w nich znalazło przynajmniej z połowę jej koralowego języczka. Marszałkowa szła tymczasem sobie poważnie na górę. Trwało to wszystkiego sekundę. Zgłupiałem, zgapiłem się, zaczerwieniłem po uszy, jak burak, i dalej za uszy, a księżna, odwróciwszy się do swojej towarzyszki, która jej nieraz za parawan służyła, idąc dalej, jakżeby nigdy nic, bez najmniejszego zmięszania się rzekła: „*N'est-ce pas, qu'il est beau, comme un ange?*“ Przypominając sobie to wielem nie powtórzył razy: „*Ah, si jeunesse savait, si vieillesse pouvait!*“... Wprawdzie spotkałem się z nią potem w lat 15 w innym zupełnie kraju, ale już oboje byliśmy inni! a gra niewarta była świecy.

A może by tutaj nie było grzechem przy zręczności, którą nie wiem, czy rychło potem znajdę, powiedzieć słów kilka o pani stolnikowej, które mogą dać jakieś wyobrażenie o ostatkach dawnych naszych czasów.

Kaszycówna z domu, majętna, wyszła za bogatego starego obywatela, jurystę. Wieść była powszechna, że w skutku organizacji i olbrzymich form ciała pan stolnik, przytem już w wieku i drabując ciągle Pandekta, zostawił żonę swoją w najzupełniejszej niewinności, w której ona potem do stu lat dotrwała. Zrobiwszy z nią zwyczajem ojców naszych dokument na przeżycie, umarł wkrótce, a pani została właścicielką znacznego majątku i to w gotowym groszu. Kapitały swoje zatem w pewne ręce oddawszy, urządziła dom swój na piękną stopę, zamieszkała w Wilnie i tam zgórą siedemdziesiąt lat przeżyła.

Była to pani prowadzeniem się swojem, ostrożnością w obmowie tak łatwej w każdem niewielkiem mieście, uprzejmością, gościnnością, familijnemi stosunkami najwyższego poważania godna. I to dla niej uczucie we wszystkie generacje, z któremi żyła, było jakby wszczepione i wrosłe. Najstarsi ludzie z XVIII wieku, z którymi o niej mówiłem, nie mogli jej nic zarzucić. Sama zaś i mnie, i drugim powiadała o sobie, że się w niej nigdy nikt nie kochał i że wzajemnie ona nigdy się w życiu nie kochała w nikim. Jużciż to nie do zazdrości, ale zawsze niepospolite! Była dosyć wysokiej urody, chuda, jak czapla, ba — owszem

chudsza od czapli, nie wiem czy pud ważyła, a nosiła się na korkach podług przedwiecznej mody, co ją jeszcze wyższą robiło. Cały salon jej był pełny papug, gadających, łających, wrzeszczących, uprzykrzonych i złych, jak żmije. Trzymała stół otwarty dla krewnych, znajomych i przyjaciół. Dosyć było wejść około 1-ej z południa, żeby tam znaleźć miejsce i bardzo smaczny obiad (A_8). Co było najświetniejszego w Litwie, to się wszystko za przybyciem do Wilna do niej natychmiast cisnęło i musiało być u niej. Znakomitsi nawet oficerowie polscy, wpadłszy w 1812 r. w awangardzie do Wilna, pędząc za uciekającymi kozakami galopem, zatrzymali przed jej balkonem swe konie, wywoływali ją na ganek i od niej pierwszej pozdrowienia i oświadczenia nadziei odrodzenia ojczyzny zaczęli. Wszystko to działo się nie dlatego, żeby kiedykolwiek komu w czemkolwiek pomogła, bo się nigdy w to nie wdawała, ale że to już była półwieczna od ojców przejęta moda i zwyczaj. Dlatego też ojciec mój, człowiek starodawnej szkoły, pomimo nabytej nowej cywilizacji pełen dawnych uprzedzeń o stosunkach i związkach, kazał mi tam bywać, gdzie spotykałem ciągle Radziwiłłów, Tyzenhauzów, Chreptowiczów, Weyssenhoffów, Platerów, Jelskich, Przeździeckich, Tyszkiewiczów, Woyniłłowiczów i innych. To dziwna, że przez lat tyle nikt nigdy nie słyszał, żeby pani stolnikowa dała komu jałmużnę czy wsparcie. W rozmowie zdawało się, że nędza ją nie obchodziła i że nie pojmowała nawet, „jak można być biednym". Czy to była skromność i tajenie świadczonych dobrodziejstw, czy egoizm starej stuletniej baby, to już tylko jeden Bóg wiedział. Nie interesowało ją nic na świecie oprócz choroby i śmierci którejkolwiek z jej starych przyjaciółek, kwok zgrzybiałych, które naturalnie schodziły przed nią ze sceny, na której ona do stu lat grała. Jedyną jej namiętnością były karty, a grała szczęśliwie. W lepszych czasach, jak mówiono, rzadki bodaj był wieczór, żeby babka stu dukatów do kieszeni nie wcisnęła, którą po staroświecku pod materjalną suknią zawsze nosiła. A jak jej trzeba było co stamtąd dobyć, przy wszystkich zadzierała suknię, jakby wszystko podjąć i pokazać miała, z wielkiem zadziwieniem obecnej młodzieży, do tego tyku niezwykłej. Widać, była to dawniejsza moda, bo i babka moja akurat tak robiła, a i hrabina Scipio, siostra sławnego ministra,

księcia Ksawerego Lubeckiego, do śmierci swojej, w 1847 r. przypadłej, także tak wiecznie robiła, chociaż i jej ani na polorze ani na przetarciu światowem nie zbywało najpewniej, kiedy rok w rok po sześć miesięcy przesiadywała w Paryżu.

Otóż tedy stolnikowa lubiła karty i grała co wieczór. Dobrze było, kiedy wygrywała. Ależ zato, kiedy przegrywać przyszło, proszę było na nią spojrzeć! Oprócz zmiany fizjonomji zaraz miała jakiś interes do swojego czepka i swojej peruczki. Co moment je poprawiała i kręciła to tak, to owak, a kończyło się na tem, że i jedno, i drugie poszło w zupełnie przeciwną stronę i najdziwaczniejszy, najśmieszniejszy dla nas młodych sprawiało widok. Obok niej za mojego czasu siadywała zwykle siostra jej, panna Tekla, siedemdziesiątletnia baba z wargą obwisłą. Która to panna cały swój posag, kilkakroć sto tysięcy wynoszący, w karty przegrała i potem, nie znalazłszy już męża, ukryła siebie u panień Świętomichalskich czy Zarzecznych i wieczorami przy siostrze swojej wyschła zacierała ręce, ciesząc się już tylko z jej zwycięstw kartowych. Powiadano, że zawsze z wygranej spadał dukat jakiś do jej kieszeni i że dlatego tak widocznie była rada, że siostra wygrywa.

W domu stolnikowej poznałem oprócz wielkich panów dwóch sławnych i wziętych lekarzy: żyda Lieboschütza albo Lejboszyca, jak go powszechnie u ludu nazywano, podówczas już ślepego, ale genjalnego, prawdziwie niepospolitego i szczególnym lekarskim węchem obdarzonego człowieka, o którym mówili wszyscy: „*Deus et Judeus*", — i Barankiewicza, uzurpowanej sławy, jak to bywa najczęściej, lekarza, ignoranta, słynnego z wielkiego już zebranego majątku ze swojej praktyki i z tego, że go Niemcy zagranicą nie Barankiewicz, ale „Baron von Kiewicz" nazywali.

U niej też widywałem zawsze bardzo wziętego, poważanego i szanowanego powszechnie urzędnika, a przytem bardzo majętnego obywatela, prezesa Sądów Głównych wileńskich Umiastowskiego, któremu Tomasz, bodaj, było na imię. Nie pokazałeś ani jednego ważnego interesu na Litwie, żeby się bez niego w owym czasie obeszło. Kiedym go poznał, był wtedy dobrze już stary. Nosił się po polsku. Nie widziałem nigdy a nigdy w życiu równie chudego, równie cienkiego, równie suchego przy dość dużym wzroście człowieka. A ojciec mój, który z nim w ści-

słej oddawna zostawał przyjaźni, powiadał, że on tak cały jeszcze w flanelach i watach chodził, raz dla wielce słabego zdrowia, drugi raz dlatego, żeby mu się ten pas nieszczęśliwy na biodrach jakkolwiek trzymał. Bo nikomu ani na myśl przyjść nie mogło, żeby się Umiastowski z brzuchem i kiszkami kiedykolwiek urodził. Jeżeli więc to prawda, że był i watą jeszcze wypchany, to już, dalipan, i sam Wolter, którego niezwykła chudzizna poszła była kiedyś w przysłowie, jeszczeby się przy nim opasłym bernardynem wydawał. Ale jeżeli natura w momencie jakiegoś kaprysu sprowadziła prawie do zera objętość jego ciała, dała mu zato w nagrodę nos arcypotężny, kończący się ogromną granatową śliwą, która na siebie zawsze ciekawe oczy moje zwracała. Szkoda mówić! Twarz była nie do portretu. Taki jak był jednakże Umiastowski, był opiekunem całej sierocej Litwy! Nie było bowiem testamentu, żeby na nim imię jego, jako pierwszego opiekuna, nie stało. Ciągła kamienna praca, wielkie zdolności, wielka znajomość prawa, wiele krwi zimnej dawały mu to chwalebne przed innymi pierwszeństwo. A że z ubogiego, jak sam mówił o sobie, szlachcica statkiem i pracą na bogacza wyszedł, podła nasza zawiść wymyślała na niego niesłuszne potwarze; jakoby wielki ten swój majątek zebrał kosztem powierzanych jego opiece sierot! Nikt się jednak na jego czynności nigdy nie żalił. Owszem wiele wychodzących z jego opieki młodzieńców czciło go ciągle, jak ojca. W ciągu sześciu czy siedmiu lat, przez którem go ciągle widywał, widziałem go zawsze w jednym i tymże samym seledynowym z grubego sukna kontuszu i nędznej starej słuckiej pasinie. Całe życie jego odznaczało się wielką skromnością i pogardą wygód. Jedyny zbytek, w którym się już na starość kochal, były to prześliczne dwa konie taranty i odpowiednia im w wytworności kareta. Nie dziw zatem, że, żyjąc długo a mało wydając, tak dużo zebrał. Doświadczywszy wszystkiego, czego i na świecie i czego tu w nas na Litwie człowiek poczciwy doświadczyć może, nabyl on osobliwszego przysłowia, które bardzo często, sam o tem nie wiedząc, powtarzał, szczególniej w rozmowie o interesach. Przysłowie to było: „Szelmy ludzie, szelmy ludzie". Wstrzymać się nawet przez grzeczność od podwójnego zawsze wygłoszenia tej prawdy, czy tego fałszu było więcej nad niego! Ile że na lat kilka przed śmiercią silniej się

jeszcze w tem przysłowiu ugruntować musiał. Bezżenny bowiem, unikając zawistnych gadań i plotek, kupował nieraz dobra za swoje pieniądze na imię biednych i jegoż kosztem po pańsku wychowywanych synowców, którym bez tego miał wszystko po sobie zostawić. A ci przez wdzięczność, jak tylko lat doszli, zaraz mu te dobra przez proces bezczelnie jako swoją własność zabrali. I gdyby innych nie miał funduszów, pewnoby starca zostawili na bruku! To już były prawdziwe dziatki XIX-go wieku! Takiej cnoty Umiastowski, choć stary prawnik, co wszystkie zęby zjadł nad statutem, jako dawnej daty człowiek ani domyśleć się nawet nie umiał.

Opuszczam anegdoty, tyczące się pani stolnikowej w godzinę jej śmierci, bo pomimo stu lat nakoniec umrzeć trzeba było! Należą one do familijnych sekretów. Ale że nikt nigdy przez lat tyle nie widział, czy była kiedykolwiek u spowiedzi, chociaż zapewne spowiadała się w domu, lud ją miał za ateuszkę i duszę, djabłu oddaną. Ona sama okrutnie wzdragała się umierać, a w takich starych zawsze rogata dusza. W ostatnich momentach rzeczywiście jej się zdawało, że widzi przed sobą djabła i że ten porwać ją chce. Stąd otaczające ją przyjaciółki i szczególniej matkę moją, która znowu przeciwnie za świętą kobietę do śmierci wszędzie słynęła, ciągle o ratunek od chwytającego ją djabła prosiła. Były to złudzenia wiekiem i chorobą spaczonych zmysłów. To pewna, że stolnikowa ani mową, ani postępkami swojemi nikomu dać prawa do myślenia, że jest ateuszem, czy ateuszką, nie mogła.

Zabawniejszy może przypadek, który mnie na myśl przychodzi, był z nią następny. Stolnikowa, nadzwyczaj dbała o życie, regularna i chuchana przez suto opłacanych lekarzy, doszła przy ich staraniu do tego, że w zwyczajnym stanie zdrowia o dziewiątej rannej miała zawsze otwarty żołądek. W tym celu podawano jej do łóżka umyślnie nato sporządzone porcelanowe naczynie, w które ekspedjowała się, siedząc w łóżku, kołdrą przykryta. Że do południa żadnych wizyt nie przyjmowała nigdy, stąd cała jej pokojowa służba, której było dosyć, rozłaziła się po mieście i nie pilnowała rankami domu. Raz, jak na licho, prowincjał ojców bernardynów, poważny starzec, ale kodeksów światowych nieświadomy człowiek, przybywszy do Wilna, chciał

osobiście czołem uderzyć przed tak zacną panią i przyszedł właśnie o tej kanonicznej i statecznej porze, kiedy stolnikowa, sucha i lekka, jak piórko, na porcelanowym zasiadała tronie. Nie znalazłszy nikogo ze służby w przedpokoju, szedł sobie dalej i dalej i doszedł nakoniec do samej sypialni. Można sobie wyobrazić przerażenie, wstyd, ambaras stolnikowej. Ksiądz jednakże niczego się nie domyślił, a co szczęśliwsza, niczego nie zwietrzył. A nie domyślił się naprawdę dlatego, że siedział przy jej łóżku przez trzy zgórą kwadranse w fotelu, a stolnikowa siedziała sobie akurat tyleż czasu na porcelanie i rada nierada prowadziła z nim rozmowę. Jedno tylko poczciwe księżysko odchodząc zadziwienie oświadczył, że mu się jakoś stolnikowa wyższą wydała z urody, niż była dawniej.

Kończąc ten obrazek, winienem dodać, że to, com o stolnikowej i jej domu powiedział, stosuje się do tego, com widział na własne oczy, kiedy już około stu lat miała. Jeżeli wspomniałem o jej ówczesnej obojętności na cudze biedy i o zaparciu się wszelkiej protekcji i wpływów na interesy cudze, to zimno takie mogło być skutkiem nietylko wieku ale i bolesnych śród tak długiego wieku doświadczeń! Bywało dawniej inaczej! Przyjaciele jej wiedzieli, że w czasie emigracji kościuszkowskiej mnóstwo najpierwszych litewskich panów, opuszczając ojczyznę, u niej złożyło bez najmniejszego piśmiennego dowodu ogromne sumy w gotówce i znaczne kosztowności w klejnotach. Wszystko to im po powrocie do kraju święcie zwróciła. A przyjaźń pełna uszanowania, jaką dla niej mieli Repnin, Bułhakow, Friesel, Moensch (A_8), Galicyn, dozwalała jej wówczas trafiać u nich na takie momenty, które niejednemu z więźniów skruszyły łańcuchy, albo niejednego wygnańca z najgłębszych Syberji wróciły zakątków.

Stara pani Gorecka, wojska podobno wileńska, wdowa po zacnym, znakomitym i wielbionym mężu, z domu Reuttówna, sławna była z zapamiętałego patrjotyzmu. Ona to w 1792 r. i potem, mając małych jeszcze synów, wynosiła ich na dziedziniec na ręku, choć już byli ciężkawi, i najmowała, płacąc po rublu od głowy, moskiewskich żołnierzy, żeby się tym dziatkom bić w twarz dozwalali. A ona ciągle synom nad uchem przez ten czas wołała: „Bij Moskala, bij Moskala". Pani Gorecka miała podów-

czas przy sobie obu swoich synów: Antoniego, polskiego pod Napoleonem wojaka, poczciwego, miłego ale zgranego już w karty bajkopisarza i pełnego przedziwnej prostoty poetę, — i Józefa także sławnego, ale tylko z samej szulerki, choć i on w wojsku polskiem z honorem dawniej był służył. Józef był popędliwy, dumny, niemiły, ale że był podobny do matki, przykleiła właśnie za to do niego serce. A i tak nie było za co! Ten Józef, zgrawszy się raz do koszuli, z rozpaczy utopił się szczęśliwie we własnym majątku. Antoni młodszy, twarzą brzydki, jak grzech śmiertelny, ale, jak mówiłem, najmilszy człowiek, który patrząc się w lustro, ściskał ramionami i sam na siebie „czysty żydek" powiadał, ożenił się z rafaelowską Madonną, z dziwnie anielskiej postaci panną Ejdziatowiczówną i w roku 1831 emigrował do Francji. Był dom pani wojskiej Goreckiej jednym z najbardziej poważanych w Wilnie. Dom staropolski, do którego nowomodne ówczesne sfrancuziałe innych panów domy ani się umyły, dlatego też o nich, jak mi się zdaje, nigdzie obszerniejszej nie uczynię wzmianki, bo i dziś wszędzie takich pełno. Ale dom Goreckiej odznaczał się przy największem ugrzecznieniu osób, przy szczególnej piękności dam, które tam bywały, przy zupełnem usunięciu stamtąd „pobratymczego" żywiołu szczególnym jakimś kontuszowym aromatem. Chociaż obaj synkowie porządnie oszczypali matkę, która ich długi nieraz spłacała, baba jednak czyściutkich kilkakroć sto tysięcy potrafiła ocalić, co na Wilno podówczas dosyć było nawet na życie wystawne. Córka jej, Wysogierdowa, nie była piękna. Śniada i chuda nie rwała oka, chociaż brzydka nie była. Ale była to osoba bardzo dystyngowanego obejścia się, bardzo grzeczna, miła, uprzejma, stosująca się do humoru każdego w domu, oczytana, światła, na wszystkich europejskich dworach z odznaczeniem się przyjęta. Miała tedy więcej jak piękność, bo przyjemność i dobroć. Była z siebie bogata. W domu jej, oddzielnym od matczynego, bawiła się młodzież dziwnie szlachetnie, przystojnie i dobrze, prawdziwie po staropolsku; a dom jej stanowił niejako tranzycję, niejako połączenie i skojarzenie poczciwe dawnych obyczajów z nowemi Był to honor młodemu, kiedy go tam przyjmowano. Liczba przyjętych nie była wielka. Mówiono u niej naprzemian i po polsku i po francusku bez zwracania na to szczególnej uwagi wówczas,

kiedy u pani Goreckiej panujący język był koniecznie polski — a kto z damami francuzić zaczął, tego tam już zato tylko miano za błazna. Mimo to ci wszyscy, co tam bywali, nie po jednym posiadali języku, ale się do narowu staroświeckiej matrony stosować musieli. I matka i córka, widać, że słuszność miały, bośmy i tu, i tam wybornie czas przepędzali. Oba domy szanowano i kochano serdecznie. Weszło nawet było pomiędzy wyższą młodzieżą w nieodzowną modę, żeby się koniecznie kochać we wdówce Wysogierdowej. *Volens-nolens* trzeba się było do tego przyznawać i wzdychać albo być mianym za cztery litery. Ona zaś poczciwa i milutka kobiecina nie kochała się w nikim z nas błaznów i, żadnej nie mając kokieterji, nie wiedziała nawet o tem, że jest u nas w tak wielkim respekcie. Wydana zamąż z przymusu arbitralnej matki, dopiero jak owdowiała raz się była zakochała. Tym jedynym do owego czasu człowiekiem, co jej tak silną natchnął namiętność i za którego najpewniej zamąż wyjść miała, był ów sławny Kozietulski, pułkownik polski, rycerz i honor polskiego oręża i wojska. Kozietulski, co to mu kula hiszpańska pod Saragosą kitkę nawpół przecięła i tak go na obrazach historycznych malują. Ale, jak Kozietulski w Dreznie dostał pomięszania zmysłów, już się nieboraczka Wysogierdowa w żałobie serca swojego zamknęła i aż dopiero w 1829 roku na starość zrobiła głupstwo. Rozmiłowawszy się we własnym siostrzanie, Ludwiku Zambrzyckim, pięknym, jak anioł, chłopcu, który zaraz do Francji emigrować musiał i tam z suchot umarł, — wyszła za niego za papieską dyspensą — dwa razy od niego starsza! A bodajże i on wolał się wklepać w powstanie, jak w objęcia starej już baby, przynajmniej dla niego.

Owóż matka jej, pani wojska Gorecka miała już wtedy górą lat 60. Czarna, jak węgiel, — sucha, jak mumja. Mówiono, że kiedyś była piękna i hoża, ale to już być bardzo dawno musiało! Kiedym ją poznał, sparaliżowana na nogi, leżała ciągle na łóżku albo też dla mocji wozić się na mechanicznem krześle kazała. Twarz jej była sroga i groźna, ale to tak, że kiedy mnie ojciec mój jej prezentował i spojrzałem na nią, łydki mnie doprawdy drgały. Ale niezawsze djabeł tak straszny, jak go malują. Do osobliwości u niej należało to, że ciągle pisała, pisała

listy do całego świata, a nigdy w żadnym wyrazie wszystkich liter skupić nie mogła.

Nawet podpisując swoje nazwisko, nie napisała nigdy „Gorecka", ale albo „Grka" albo „Grcka" i t. p. Gorzej wprawdzie robiła od niej pani hetmanowa Kossakowska, żona powieszonego w 1794 roku. Bo ta, jak jej papieru nie stało w liście, kończyła przez dystrakcję pismo na stole, a potem, jak żeby nic, składała, pieczętowała i odsyłała pismo, nie myśląc zgoła, że reszta a może najważniejsza na mahoniowym stoliku u niej została. Ale i Goreckiej listy były wyborne.

Ojciec mój u niej był, jak u siebie. Chodziły wieści z dawnej bardzo daty, że ów sławny i żadnej nie umiejący darować kobiecie lowelas w ścisłych z nią kiedyś był stosunkach i że raz przebrany za lokaja za jej karetą kilkadziesiąt mil na Białoruś aż do Siebierza ujechał. Potem się rozeszli, ale przyjaźń stale do śmierci została. Może też, to tylko starych bab plotki (A_{10}).

Dom pani wojskiej, w którym także pod zapowiedzianym „batogiem" ojca bywać musiałem, byłby mi wielce nudny, bo chora, stara gderaczka, kapryśna, kwicząca, także na nieszczęście, jak i pani stolnikowa, lubiła karty, w które ja nigdy w życiu nie grałem, ale tam inna była przynęta! Miała ona zawsze u siebie kilka młodych panienek, krewnych lub rezydentek, do których się w gościnę to z pensji, to z miasta, to ze wsi inne pokusy zjeżdżały. Była tam ciągle panna Hahnówna, panna Wańkowiczówna, siostra sławnego i wcześnie zgasłego malarza, panna Dmochowska, panna Berthierówna, zda mi się, i tak dalej bez końca. Wszystkie albo bardzo ładne, albo bardzo miłe. Jak się baba zagra w swoim pokoju, to my wtedy w zalecanki! ale w zalecanki skromne, uczciwe, godziwe, w westchnienia, wzdychania, przewracania oczu! Raz przychodzę — drzwi od pokoju starej zamknięte. Panny mówią: „Pani wojska bardzo cierpiąca nie przyjmuje dzisiaj nikogo", i kwaśne robią minki. „Mała bieda", pomyślałem sobie: „kiedyście wy mnie przyjęły". Po kwadransie gawędki baba silnie dzwonić poczęła. Wnuczka jej Wańkowiczówna pobiegła do niej i wraca, mówiąc: „Pani wojska prosi pana do siebie". Idę. Drzwi za mną znowu zamknięto. Postękawszy trochę, poskarżywszy się trochę, dawaj mnie baba prosić serjo, żebym się pozwolił pocałować. Oj źle! Ale cóż

było robić? Chwyciła mię tedy trzęsącemi się, wyschłemi rękami i wycałowała porządnie i z ogniem, ile jej było potrzeba. Potem dziękowała, że jej się już teraz lepiej zrobiło. „Ależ bo ty, Stasiu, taki ładny, że mnie starej wytrzymać trudno", dodała. Zrobiło się jej od tego widocznie lepiej, bo zaraz po tej nieszczęśliwej, odbytej nade mną operacji kazała drzwi swoje narozciąż otworzyć i przybyli goście grali z nią cały wieczór w bostona.

Pani wojska mieszkała na Św. Jańskiej ulicy w domu Wróblewskiego. Naprzeciw stał dom duży, na który nie miałem czasu nigdy zwrócić uwagi, bom się zacietrzewił do okien Goreckiej i chodziłem zawsze na lekcje uniwersyteckie z tej strony ulicy dlatego, żebym mógł, zwyczajnie jak młody wisus, pannę Hahnównę czy inną z nich jaką zobaczyć, ukłonić się i wyszczerzyć. Otóż, raz w lecie idę sobie swoim zwyczajem na lekcje akurat Bojanusa, sławnego w całej Europie naturalisty, patrzę w okna Goreckiej; niema nikogo! A psotnice wiedziały o mojej albo może i innego jakiego trzpiota godzinie i najczęściej wtedy trzeba im było coś robić przy oknie. Spuściwszy zatem nos na kwintę, że nikogo nie widzę, jużem był sobie tak i owak o tej mojej klęsce medytować począł, kiedy raptem spada mi coś na głowę. Spojrzę wdół — kilkadziesiąt świeżych róż! Spojrzę wgórę — a tu z białej, malutkiej, rączki i ślicznego koszyka ostatnie już na mnie wylatują kwiaty! Któżby to taki? — nie wiem! Instynktem zajrzałem znowu w okno Goreckiej. Aż tam, jak na biedę, stał już szpieg i świadek, panna Hahnówna, która na całą tę scenę patrzała z zadziwieniem i zgorszeniem tak, że załamała paluszki i obie ręce przyłożyła do buzi. Zmięszany poszedłem dalej. W składkach kapelusza mojego jeszcze były trzy czy cztery róże zostały, z których się błazny, moi koledzy, dosyta na lekcyjnej sali nadrwili. Ale oprócz róż została we mnie i ciekawość, czyja to była ta rączka? Łatwoż mi było dojść do tego, kiedy mnie do szczęścia bez żadnych moich starań tak kwiecistą wzywano drogę! Poznałem nakoniec tę oryginalną, dziwną i jaśniejącą cudownemi wdziękami i duszy, i ciała kobietę. Jeszczem raz w życiu spotkał się z podobną nóżką — nigdym już odtąd nie widział podobnej rączki!

Spuszczam zasłonę na to wszystko, co było naturalnym wypadkiem nierozważnego może i na ten raz płochego tej osoby po-



Apolinary Morawski.

stępku. Sama się w tem natychmiast zeznała — a więc któżby potem mógł rzucić na nią kamieniem? Te jednak róże, spuszczone na mnie nieznajomego, zajmują dotąd najmilsze i najszczęśliwsze miejsce w mojej pamięci! Jeżelim kiedy jednocześnie doznał prawdziwej i duchowej, i materjalnej rozkoszy, to było tylko w twoich sylfowych objęciach, nieoceniona, żadnem piórem, żadną wymową, żadnym językiem nie dająca się opisać Juljo! Dzisiaj jeszcze, kiedy lodem lat, masą błędów, ciężarem doświadczenia przygnieciony do ziemi po tyle razy na dzień opłakuję twą stratę, wkrótce potem i w dwudziestym roku życia powołany do nieba aniele! — nie mogę nie wyznać, że ty byłaś dla mnie jedyna! Że pamięć twojej dobroci, twojej miłości, twojej rzadkiej piękności i kształtów, pamięć ognia i siły, z jakąś duszę twoją z moją zlewała, rozgrzewa jeszcze dzisiaj stygnącą już, bodaj, krew moją i drażni wszystkie fibry oddawna zamarłego dla miłości serca!

ROZDZIAŁ IV.

Kiedym się zatem w różnych domach powoli instalował i rozgaszczał, mój Nowomiejski tymczasem samemi drobnostkami zajęty, nosząc, koncypując zręczniejsze szpilki, wybierając i dobierając włóczki, przysługując się receptami kruchych sucharków, smacznych pierniczków, konfitur, likierów, zapomniał zupełnie, żem ja już wyliniał, jak rak, wylazł ze studenckiej skóry. Raptem, niespodziewanie zetknęliśmy się w kilku domach. Ja z poważaniem jemu, jako starszemu wiekiem, należnem; on z powagą i jakimś protekcyjnym tonem, jakby jakiego mentora. Ale się dekoracja zmieniła! Bystry dostrzegacz, uczul on odrazu, że stoję na twardej nodze, i to mu się nie podobało. Tam ceniono wyżej moich lat dziewiętnaście czy dwadzieścia od jego trzydziestu kilku; ówdzie przenoszono rozmowę lekką, ale oświecającą, nad zwyczajne jego naśladownicze farsy. W innych domach, jak to zwykle bywa w mieście, dokąd się dla wypchnięcia córek rodzice zjeżdżają, stawiano niżej plenipotenta ks. prałata Dłuskiego od bogatego, a rodzącego nadzieję familijnych związków panicza. Samo lekceważenie przeze mnie robótek i haftów na kanwie, o których nie mówiłem nigdy, a w czem on uporczywie przed młodemi osobami wykazywał się znawcą i krytykiem, drażniło na moją korzyść dziewczęcą próżność. I nieraz ta sama rączka pierwiej tajemnie moją uścisnęła, nim w sekundę potem posłuszna uwadze szanownego krytyka podług jego metody igłę z włóczką inaczej w kanwie utkwiła.

W tych drobnych, malutkich i napozór dziecinnych zajściach dwóch tutaj wystawionych ludzi badawcze oko dostrzeże właśnie moment walk dwóch już różnych między sobą epok

i nieznacznego przejścia od drobiazgowych zwyczajów i przesadzonej galanterji XVIII-go wieku, którego tyle jeszcze było żyjących świadków i aktorów, do nowych, więcej poważnych a mniej na drobnostkach opartych towarzyskich odcieni i kształtów. Młodzież ówczesna, w domu, u siebie szczerze przysiadująca fałdów nad książką, karmiąc się naprawdę teorjami, wyższe odkrywającemi cele, — za domem i w towarzystwie kobiet mimowolnie nawet mięszać musiała przyjemność z pożytkiem, hołd dla płci pięknej powinny z uczuciem własnej godności. Ale to, co wówczas było szczere, a zatem i czegoś warte, przez źle zrozumiane naśladownictwo i spaczone o rzeczach pojęcie stało się tylko obłudą, nieszczęśliwem i niezgrabnem najczęściej udaniem i ciągłą hipokryzją w następnem pokoleniu młodzieży.

Do śmieszności Nowomiejskiego, a każdy z nas mieć ją musi koniecznie, należała naprzód drobiazgowość w każdym możebnym przedmiocie. Krawiec i szewc jego był umęczony. Z każdego przybyłego z Warszawy lub Paryża fraka własną ręką zaraz wykrajał z papieru formy i zszywał, z każdych butów kazał robić prawidła. Nim suknię lub but przyjął, ze dwa tygodnie majstra poprawkami do rozpaczy nadręczył; i kiedy już wszystko niby do najwyższego stopnia precyzji i doskonałości doszło, i kiedy już to wszystko na siebie włożył, — wszystko akurat leżało niezgrabnie, jak worek, a obuwie dla złego kształtu nogi zawsze haniebne być musiało. *Il y en a, sur qui les belles robes pleurent.*

Być u niego, broń Boże, z interesem było także niemałą męczarnią. Tylko coś z nim zaczął jakąkolwiek wymagającą uwagi rozmowę, — wchodzi lokaj.

— ,,Pani A. kłania się i zapytuje o zdrowie".

— ,,Rączki pani A. całuję. Proszę bardzo podziękować" (i wtyka w rękę złotówkę).

Siadamy na nowo. Odchrząknąłeś i tylko co chcesz dalej rzecz swoją prowadzić, wbiega subretka.

— ,,Hrabina B. kazała się kłaniać, zapytać o zdrowie, przysyła panu paczkę suchych listków geranium".

— ,,Dziękuję najczulej. Całuję nóżki za pamięć" (a w rękę wetknął pół rubla).

Pomyśliłeś sobie: „Przecież wyszła!" — a my dawajże do swojego. Jako żywo! znowu lokaj!

— „Księżna C. kłania się i prosi, czy pan nie będzie łaskaw wyszukać u Fiorentiniego tej szafirowej włóczki, o której pan wczoraj mówiłeś".

Oglądnąwszy się na obecnych z pewnym rodzajem dumy, odpowiada:

— „Bardzo dobrze, najchętniej zrobię to natychmiast i będę u księżnej zaraz po południu, póki dobre światło dla ocenienia koloru".

Jeszcze lokaj nie wyszedł, znowu dzwonią! Wchodzi dziewczynka z klasztoru:

— „Panna matka kłania się panu, zapytuje o zdrowie i przysyła sześć pierniczków cukrowych, cztery miodowe, ośm kawałków smażonego ajeru i flaszkę likieru" (NB. od trzech kieliszków).

— „Całuję nózi, całuję nózi panny matki, moja śliczna panienko, i świętym się jej modlitwom polecam. W niedzielę osobiście podziękuję".

Tu zapisuje w agendzie przy dziewczynie, mówiąc głośno: „Być w niedzielę u siostry przełożonej".

Przecież wyszła!

Otóż, panie Konstanty, dobrodzieju..." — zaczyna interesant. Dzwonek tymczasem odezwał się na nowo! Nowy lokaj.

„Pan N. słyszał, że suka pańska, wyżlica, oszczeniła się i ma piękne szczenięta; prosi, jeżeli można, o jedno szczenię."

— „Najchętniej, najchętniej. Hej! Pafnucy! przynieś tu szczenięta po Lotce, wybierzemy natychmiast."

I tak dzień cały, obrączkowy! bez żadnej przerwy!

Cóż w takim razie robić? jak tylko ścisnąć ramionami i powiedzieć: „Bywaj zdrów, panie Konstanty! O interesie pomówimy potem, bo dziś jesteś bardzo zajęty".

— „Otóż widzisz! cały dzień, jak wół, dla ludzi pracuję." Wyobrażał sobie także, że jest myśliwym. Rezonował o tem z najpoważniejszą pedanterją, chował psy rozmaite, z kosztem skupował, przerabiał, dobierał fuzje, torby, szrotownie i trąbki. A w ciągu lat dwudziestu ni razu nie strzelił! chociaż może z parę razy w tym czasie na polowanie wyjechał. Jadąc o trzy

mile w gościnę, miał flaszki ze śmietanką, z sokami, puszki na krupy i kaszkę drobną i grubszą, słowem wszystkie przybory, jakby miał jechać na księżyc! Druga, szkodliwsza dla jego miłości własnej śmieszność była — dobroduszne przekonanie, że się w nim co do jednej wszystkie kobiety kochały! Że je mógł zbierać, jak grzyby!

Jakkolwiek ta śmieszność w człowieku skądinąd rozsądnym zdawałaby się niepodobną do wiary, była ona w nim jednak i być może w ludziach, bom tego jeszcze na trzech innych bliskich moich znajomych w dalszem życiu dopatrzył. W Nowomiejskim usprawiedliwiać się to jakoś mogło tem ustawicznem lezieniem mu w oczy, które opisałem wyżej, a które, jak potem żyjąc dłużej poznałem, jest tylko skutkiem próżniactwa dam naszych i skłonności do dawania komisów, żeby jakkolwiek czas przepchnąć. Byleby najmniejszą ku temu znalazły w mężczyźnie podatność, obracają go zaraz w salonowego swojego parobka i biada mu, jeśli się tylko choć raz jeden błazeństwu poświęcić zechce.

Dopókim siedział tylko na studenckiej ławce z wysokiem wyobrażeniem o wyższości przyjaciela mojego, z przywiązaniem serdecznem, bezwzględnem, jakie miałem dla niego, wierzyłem naiwnie, jak dudek, we wszystkie jego całe i pół-powierzania się. Nie zazdrościłem, cieszyłem się; — ale i dziwiłem się niepojętemu szczęściu tego człowieka, że mu dość było palca zakrzywić, połę nadstawić, żeby go najwyższe z rojonych szczęść mężczyzny, miłość kobiety, na rozkaz wszędzie spotkało.

„Gaudeant bene nati", myślałem sobie sto razy! On sam nawet, za to ręczyć mogę, nie kłamliwie, ale dobrodusznie, szczerze w tę swoją gwiazdę najzupełniej wierzył i nie z próżnej błazeńskiej chluby, ale z wewnętrznego przekonania tem zwierzaniem się dzielił się ze mną. Ach! jakże się mylił nieborak! Dam tylko tutaj dwa przykłady. W liczbie osób, naprzykład, które tylko skinienia jego czekały, żeby się poddać, jak bezbronna synogarlica, orlej sile i magnetycznej władzy tego jastrzębia i które on tylko przez miłość cnoty jakoby oszczędzał, była, jak mi mówił, pani Ksawerowa Müller, czasem tylko przyjeżdżająca do Wilna. Nie znałem jej wówczas, ale jak słyszałem, była to dama z postaci, talentów, cnót i niezwykle wesołego dowcipu powszechnie wielbiona, lubo ją zawsze po zawarciu nieszczęśliwego mał-

żeńskiego związku wiejskie trzymało ukrycie. Tu to tylko powiem, że, jak się przekonałem wkrótce, ta pełna żeńskiej przenikliwości osoba odgadła Nowomiejskiego odrazu i nigdy nawet za godnego przyjaźni swojej uznać go nie chciała. Drugą śmiertelnie w nim zakochaną miała być pani Wysogierdowa, wdowa, o której już wspomniałem. O tej, ponieważ zda mi się, że po raz ostatni mówić mi przyjdzie, jeszcze kilka słów dołożę. Mówiłem już o namiętnem przywiązaniu jej do Kozietulskiego. Po jego nieszczęściu długo, bo około lat piętnastu, dobra i szanowna kobieta opierała się westchnieniom całej wileńskiej młodzieży i wielu znakomitych obywateli z prowincji, naprzykład, Giełguda. Nakoniec przemógł głos przyrodzenia. Przybyli dla nauk do Wilna dwaj jej siestrzani Zambrzyccy. Oba piękni, dobrzy, mili, młodziutcy i oddani pod jej opiekę, którą się ona zrazu po macierzyńsku zajęła. Oni, na częste z nią narażeni stosunki, dom ciotki za dom rodzicielski uważać musieli. Przed wdziękiem, zacnością i męską dobrocią przyjaciela i kolegi mojego Ludwika Zambrzyckiego nie mogło dostać i dotrwać w chłodzie biedne serce ciotki, długiem wdowieństwem i długim przeciw mężczyznom oporem zmęczone. Gwałtowny wybuch silnej namiętności, którą ona zrazu za prostą krewną brała przychylność, olśnił tę zacną, czułą i godną zewszechmiar kobietę! Długo, niebożątko, nietylko przed ludźmi, nietylko przed celem swojej miłości, ale przed sobą samą pilnie taiła tę przepaść, którą pod jej nogami nadto tkliwe serce wyryło! Był to właśnie moment najbliższych z Nowomiejskim stosunków. Ten pochlebiał sobie, że się Wysogierdowa w nim kocha. Ona zaś, czując całą niestosowność wieku swojego do wieku siestrzana, czując fałszywą swoją pozycję, brała go tylko, jak rzeczywiście i było, za uczciwego, za życzliwego jej człowieka. W rozmowach z nim napełniona, przepełniona gwałtowną namiętnością, którą przed wszystkiemi kryć musiała, ufna w jego dyskrecji mgłą czarnych rzęsów przykryty wzrok swój zwracała często do niego. A w ogólnych o uczuciach kobiet i słabościach serca rozprawach szukała tej ulgi, tego *mezzo-termine*, które, nie zwierzając się z niczego, zgoła na moment jednak duszę kobiety od ciężkich gniotów uwalnia. Miłość własna Nowomiejskiego przyjęła te ogólne zeznania na swój

rachunek i za pewny rodzaj awansu. Można tedy wyobrazić sobie zadziwienie jego, kiedy się raptem dowiedział o wyjściu jej zamąż za Zambrzyckiego! Za Zambrzyckiego, o którym dla niepojętego fatum, ciężącego nad jego imieniem, dla większej wiary w mało dzisiaj cenione słowa Pisma Św., dla nauki człowieka, który to czytać będzie, kilka słów powiem.

Jedna z córek pani wojskiej z Reuttów Goreckiej wyszła za Zambrzyckiego, zacnego i godnego obywatela białoruskiego, skąd i znakomita familja Reuttów gniazdo swe bierze. Mąż, czule kochający żonę, niepodejrzliwy w szczęśliwem, jak mu się zdawało, pożyciu śród ślicznych, jak aniołki, dziatek, spokojnie pędził swe życie, kiedy raptem zdrowie jego małżonki cierpieć zaczęło. Śladów widocznych choroby nie było, a była chora! Świeżość, czerstwość jaśniała na twarzy, a jednak codzień skarżyła się i ślęczała! Troskliwy mąż różnych, pod ręką będących, radził się lekarzy. Codzień jednak gorzej i gorzej! Gdy ci zatem żadnego nie przynieśli skutku, z własnego, jak mu się zdawało, natchnienia postanowił jeszcze zasięgnąć rady u sławnego w tamtych stronach lekarza, Emmego, o którym dotąd nawet różne żartobliwe po kraju chodzą powiastki. Był to już niemłody, ale czerstwy pudrowany Niemiec, który się był szczerze do Polaków przywiązał i, wyuczywszy się niby po polsku, najdziwaczniej wyrazy przekręcał, a tem tysiące mnożył kalemburów. Emme zajął się kuracją pani Zambrzyckiej, — wszystko zaczęło iść lepiej! Mąż uszczęśliwiony lekarza do ciągłych starań zamówił. Emme, bogaty już wtedy doktor, dziedzic włości, raz na tydzień statecznie tam zjeżdżał. Ustaliła się tkliwa między mężem a lekarzem przyjaźń. Zambrzycki staropolskim panów zwyczajem godzinkę po obiedzie sypiał. Ten czas gość-doktor w towarzystwie żony jego zawsze przepędzał.

Raz, kiedy Zambrzyckiego sen poobiedni coś nie brał, wstał z sofy i poszedł z wesołą twarzą na drugą stronę domu do żony i do przyjaciela gościa. Wchodzi i znajduje starszego od siebie Emmego na niewątpliwem praw małżeńskich zgwałceniu! Przymknął drzwi, nie powiedział ani słowa, cofnął się nazad do swoich pokojów i tam z rozdartem sercem i z zrozpaczoną na żony niewiarę duszą, schwyciwszy wiszący nad łóżkiem pistolet, w łeb sobie natychmiast wypalił! Równo z tym mo-

mentem niebłogosławieństwo boskie usiadło nad szczęśliwym dotychczas domem! Śmierć, kalectwa, straty, pożary szły jedno za drugiem. Ostatni dwaj synowie anielskiej urody przybyli do Wilna. Starszy w 23-cim roku życia, chudy i wysmukły, apopleksją tknięty, sparaliżowany w mękach wkrótce umarł. Młodszy, niestosownie, a więc i nieszczęśliwie z ciotką ożeniony, niepomyślny dla nich obojga zawarlszy związek, opuścił zaledwie pojętą żonę, poszedł w 1831 r. na Moskali ze szwagrem Antonim Goreckim i w bitwie pod Wilnem tak szczęśliwie raniony został, że kula nieprzyjacielska, wpadlszy mu z boku pomiędzy otwarte usta, nietknąwszy zębów, ucięła tylko wnętrze wierzchnej wargi. Tym sposobem jedno to, co go, jeśli tak powiedzieć można, szpeciło, bo ją był miał dotąd nieco podwójną, kiedy się zaśmiał, dziwnym trafem usunięte zostało. Po tej bitwie emigrował do Francji. Widziałem go w Paryżu najwyższym urody, najpiękniejszym twarzą, najmilszym wdziękiem mężczyzną. Był tylko ciągle zadumany i smutny, nie chciał mi wyznać, ale czuł to dobrze, że gdyby siebie niestosownem małżeństwem nie związał, tysiące paryżanek ozłocone do niego wyciągnęłyby ręce. W pół roku potem dowiedziałem się z boleścią serca i łzami, że ten, jak lew, w siłę rozrosły z piersią żubra i pantery zwinnością mężczyzna umarł z suchot w Paryżu! Na nim się przeciął dom tego imienia, z cnót i zamożności dawno znajomy.

Nieszczęśliwa żona jego tysiącznym potem z powodu politycznych okoliczności uległa klęskom i prześladowaniom i w kilkoro artretyzmem skurczona, znosząc z dziwną stałością duszy i niezmienną łagodnością charakteru tę sukcesyjną po matce i babce chorobę, w mękach i bólach ostatek nędznego, ale poczciwego prowadzi życia.

Nie mogło jednakże być, żeby taki człowiek, jak Nowomiejski, w pewnym względzie będący w modzie, ciągle pokazujący się w świecie, znajomy ze szlachetnego sądu o rzeczach i prawości w interesach pieniężnych, która już wogóle u Litwinów rzadką się bardzo stawać zaczęła, z mnóstwa drobnych towarzyskich zalet, w młodym jeszcze wieku z przyjemną twarzą, nie zasłużył sobie, nie podbił sobie jakiegoś serca. Francuzi mówią, *que chaque vilain trouve sa vilaine*, a cóż dopiero po-

wiedzieć o nim. Zresztą kobieta nie kocha się w mężczyźnie, w którym się kocha, ale się kocha w ideale, który sobie z niego utworzyła. A podobny ideał bardzo jest elastyczny, jak skoro od indywidualności kobiety zależy. Odgadnąć czy podtrzymać tylko ten ideał czy instynktem, czy rachunkiem, czy, co najwięcej bywa, przypadkiem — głównem jest w tej materji dla mężczyzny zadaniem.

Zwalczona wyższością Nowomiejskiego nad innymi, których spotykała, panna Mazurkiewiczówna, wychowanka hrabiny Apolinary Platerowej, córki sławnego owego z nadzwyczajnej srogości wojewody połockiego Żaby, o którym dawniej tyle mówiono i o którym już teraz, jak o typie, zaczynają pisać, — zwalczona, mówię, ta panienka milutka i dobra przywiązała się tak szczerze do niego, że to uczucie przez lat trzydzieści, bo aż dotąd, stale mu dochowała. Dochowała je bez względu na to, że nasz Adonis bardzo krótko do tej miłości przywiązywał cenę. To jest jedyna, o której ja wiem, zwycięstw jego młodości ofiara.

Śmierć Dłuskiego, robiąc Nowomiejskiego na mocy testamentu sukcesorem całego funduszu, wprowadziła go w zatargi i procedery ze chciwą grosza kapitułą wileńską. Znalazła ona jakieś pozorne przeszkody i przyznać mu nie chciała *annum gratiae*, to jest jednorazowo rocznego dochodu z beneficjów każdego prałata dla następców prawnych, od niepamiętnych czasów zapewnionego. *Annus gratiae* w tym przypadku do stu tysięcy złotych wynosił, nie licząc ulepszeń w zabudowaniach, gospodarce, zapomogach dla włościan, przez Dłuskiego robionych i kapitule darmo się dostających. Żyjącemu z gotowego, a dziś z własnego już grosza, żyjącemu na kosztownej kawalerskiej stopie tak, jak to było dawniej na rachunek dochodów prałata, trzymającemu zawsze i psy, i konie, wkrótce źródła Paktolu zmniejszać się i wysychać zaczęły. Z kapitułą nie było ani nadziei końca. Trzeba było pomyśleć o jakimsiś zajęciu.

Radziwiłłowie żyrmuńscy, Mikołaj, Karol, Franciszek, po śmierci stryja Radziwiłła berdyczowskiego, objąwszy z sukcesji Berdyczów z interesami dziwnie zaplątanemi, sami bez zdolności, w długach i w kłótni ze zdolnym bratem swoim, Michałem, i z siostrami, Chrapowicką i Radziwiłłową, wdową po stryju, co

potem za Lubomirskiego wyszła, potrzebowali plenipotenta. Czeczot, plenipotent starego Tyzenhauza, wielkiego ale zjadliwego dowcipu człowiek, a najokropniejszy na flażolecie morderca, zabójczo i przeraźliwie nad ludzkiemi uszami piszczący w przekonaniu, że gra, jak Orfeusz, polecił Radziwiłłom Nowomiejskiego. Nastąpiły długie dosyć i nieraz przerywane układy, poczem ten ostatni wyjechał do Berdyczowa zrazu, jako pełnomocnik jednego tylko księcia Franciszka. Za życia jeszcze Dłuskiego przywlókł się był do Nowomiejskiego rodzony brat jego Wincenty, młodszy nieco od niego człowiek. Przyjął go jużciż, ale na takiej nodze, że każdy lokaj więcej od tego brata miał w domu znaczenia. Prawda, że różnica pomiędzy braćmi była piramidalna. Ależ zawsze przyzwoitość żądała, żeby brat Wincenty, kiedy już raz był w domu, cokolwiek stał przecież wyżej od Wincentego, lokaja, Mazura, legjonisty, ozdobionego na placu bitwy krzyżykiem legji honorowej, który podówczas, bo tego było wszędzie pełno, u Nowomiejskiego na służbie zostawał. Bolał mnie widok tak cierpkiego z bratem obejścia się, bolało i to, że odzież Wincentego, ze starszego brata na niego schodząca bez najmniejszego przerobienia, najśmieszniejszą dawała mu postać, szczególniej z uwagi na długie rękawy, bo młodszy nie tak długie miał ręce, lubo ich niekiedy zręcznie na swoją korzyść używał. Tegom i na sobie samym od niego doświadczył, bo łaził do mnie z pokorą i kłanianiem się, prosząc o wdanie się do starszego brata, żeby miał większy wzgląd na niego. Zrobiłem to sumiennie i z ogniem. Ale kiedy mi ten znowu otwarcie powiedział, że wie, co robi, i że mię zapewnia, iż ani znajomość, ani poufałość z takim człowiekiem mnie nie przystoi, kiedy dodał, że ze smutkiem widzi, iż przez delikatność może staram się z nim, jak z bratem przyjaciela mojego postępować, a on tego niewart, — zawierzyłem, jak być było powinno, słowom przyjaciela i, zachowując należytą grzeczność, wszystkie odtąd stosunki z bratem zerwałem. Brat ten wkrótce potem czy z rozpaczy, czy co podobniej w skutku dawniejszych a licznych błędów, wpadłszy w różne nałogi, skończył na paraliżu i odjęciu władzy w nogach i w młodym jeszcze wieku w nędzy zamarł.

Niedarmo tutaj ten szczegół umieszczam, będzie on potem potrzebny, jako i to, że Nowomiejski, taki filantrop, nepotysta,

który mnie uczył, jak dla dalekich krewnych, nieprzyjaźnych, niewdzięcznych, żadnego względu niewartych, wyzuć się ze wszystkiego potrzeba, ani mnie, ani komukolwiek bądź w mieście nie wyznał nigdy, że ma dwóch jeszcze rodzonych braci! Nie powiedział zaś tego dlatego tylko, że jeden z nich, poczciwy zresztą bucyfał, troszkę zanadto w winnicy pańskiej pracował, a drugi, bardzo przetarty i bystry, że był sprawnikiem! Nieprędko, bo w 1845 r. dopiero, kiedy okropną dotknięty niemocą przez całe miasto ze współczuciem jako pierwszego rzędu filantrop był odwiedzany, zlecieli się do Wilna i ci dwaj utajeni bracia, jak się zdaje, dla objęcia spodziewanego już po nim spadku. Odrzucając nawet tę drażliwą przykrość, której nie czuć nie mógł, cóż to musiało się dziać w duszy jego, kiedy każdy z odwiedzających, od pierwszego do ostatniego, w obliczu tychże braci, a co gorsza w obecności mojej, bom i ja wtedy, jak na licho, do Wilna przybył, nie mógł ukryć zadziwienia, że o egzystencji tych braci nigdy od niego nie słyszał! Tak to, jak się dalej okaże, widząc źdźbło na mojem oku i to dlatego tylko, że przez fałszywe patrzył okulary, na swoich oczach takich belek nie dostrzegł!

Od daty wyjazdu jego do Berdyczowa straciłem go z oczu i żadnych nie miałem z nim stosunków, lubo przywiązanie moje do niego i przychylność zostały też same jeszcze. Ja tom mieszkał na wsi u rodziców, to w Wilnie, a potemem do Petersburga pojechał. Tymczasem nastąpił dzień 14-go grudnia 1825 r. Wybuchł natychmiast stłumiony obszerny w Rosji spisek, o którym wiele już powiedziano, a więcej powie historja. Schwytanie głównych jego przewódców, zarządzone z tego powodu najściślejsze śledztwo wykryło i ten fakt, że spiskowi rosyjscy mieli stosunki z członkami towarzystwa politycznego, pod nazwiskiem *Masonerji Narodowej* w Litwie egzystującego, a wynikłego w części z reformy lóż masońskich, do których się było mnóstwo łotrów wcisnęło tak, że jakakolwiek bądź reforma nieodbitą się stała. Nowomiejski, chociaż wtedy na Wołyniu mieszkający, wespół z Michałem Römerem, marszałkiem Ignacym Zawiszą, sławnym z rzadkiej wymowy, Strumiłłą, Wagnerem, Czarkowskim, siedmdziesiątletnim oboźnym litewskim, Karolem Prozorem i innymi schwytany, uwięziony, sądzony, wożony po rosyjskich turmach oparł się nakoniec w kazamacie Petropawłow-

skiej fortecy w Petersburgu. Po pewnym czasu przeciągu razem z kolegami wolnością przez monarchę w 1828 czy 1829 r. darowany został. Ja mieszkałem podówczas stale już w Petersburgu. Odwiedził mnie zatem na moment. Ja jego i ich, jako razem wszyscy u Demutha mieszkali, odwiedziłem na kilka minut wzajemnie, bo i czasu nie mieli, mając zalecenie wybrać się ze stolicy natychmiast, i trzeba im było starać się o ułatwienie środków tej podróży, a czas był zimny i śnieżny. Mickiewicz Adam potrafił tegoż jeszcze dnia dać obiad dla Zawiszy, na którym i ja byłem. Inni lękali się, i słusznie, nosa wystawić z komnaty, żeby ich na nowo do kozy z przypadku nie wzięto. Wszyscy, wielu ich było, byli biali na twarzy, jak holenderskie płótno, jakżeby ich kto mąką posypał! Od tylu lat nie widzieli słońca! Odtąd, to jest od 1829 do 1834 roku, tylkom się z Nowomiejskim komunikował listownie, spełniając dawane mi komisy i sprawunki. Dopiero w 1835 roku, wracając z Paryża, zajechałem dla interesów do Wilna. Bawiłem tylko dni pięć, bo mi urlop wychodził. Naturalnie, że się z nim widziałem. Dałem mu skroić papierowe formy z fraków moich i garderoby i coś z bagateli na pamiatkę, ale że byłem w Paryżu dla odebrania spadłej tam na mnie sukcesji, wyobraził więc sobie, żem już bardzo bogaty. A on, zjadłszy, co miał, nic pewnego nie miał. Widziałem, że mówiąc o sytuacji swojej i o tem, co jeszcze na mnie spaść może, wzdychał a wzdychał. To była rodząca się już zawiść, ale ja, do niej niezwykły, mało wtedy na to zwróciłem uwagi. To jest jednak pierwsza przyczyna tajemnej jego do mnie niechęci, która, jak i wszystkie inne, z innych źródeł wynikłe, była tem dla niego bardziej drażliwą, im więcej skryć ją przede mną, przed ludźmi, przed wspólnymi przyjaciółmi, a może nawet przed samym sobą pragnął.

W rok potem, mając przez niektórych krewnych moich wytoczony niesumienny, niepoczciwy, bezbożny proces, znowu przybyć musiałem do Wilna. Potrzebowałem był jechać na nowo za granicę. Ale żeby darmo nie tracić w paszporcie terminu, życzliwy i przychylny mnie bardzo minister Królestwa Polskiego, Stefan hrabia Grabowski, sam mnie ten podał projekt, żebym jechał za prostem jego świadectwem do Wilna i tam interesy urządził, skoro zaś czas przyjdzie, żebym mu doniósł, a on na-

tychmiast zagraniczny paszport u cesarza wyrobi. Ministerjum polskie liczyło się do rzędu kancelaryj, pod osobistym J. C. Mości zarządem zostających, a stąd żaden urzędnik tego ministerjum bez jego wiedzy, jako szefa, ani przyjęty, ani uwolniony, ani urlopowany być nie mógł. Tak dla sprawy, jako potem i czekając na paszport, musiałem przesiedzieć w Wilnie, ale już nie w dawnem Wilnie! zgórą trzy miesiące. Przyjmowano mnie jak brata z wielką dystynkcją. Naturalnie, żem się w kilku domach i z Nowomiejskim zetknąć musiał. Widziałem w nim zawsze, jak mię tylko gdzie znalazł, albo jakem ja go gdzie zdybał, jakiś kwasek, jakieś wzdychania, jakiś zły raptownie humor, jakieś uśmiechy kobiet i szeptania pomiędzy sobą, słowem, coś tak na niego moralnie działającego, że, jakby zjadł mydła, wszystkich pokwasił a nakoniec i sam, nie mogąc dosiedzieć, zmykał. Długom się domyśleć nie mógł jego przyczyny, ale kiedy się to ledwie nie codzień zdarzało, odezwałem się raz o tem przed gospodyniami domów, a te mnie wręcz śmiejąc się odpowiedziały: „Czyż dotąd nie chcesz wiedzieć, że to fiksat, zazdrości tobie grzecznego od kobiet przyjęcia". Takiemu błazeństwu, dalibóg, wierzyć nie mogłem! Alem się wkrótce o prawdzie przekonał i zasmucił, że on, człowiek rozumny, ma tak wielką dozę niedarowanego pod tym względem głupstwa!

Było to tak. Brat macochy mojej, Antoni Chrapowicki, wielce mnie życzliwy, będąc raz u mnie, powiedział mi: „Panie Stanisławie, czemu się nie żenisz?" — A miałem już wówczas lat trzydzieści trzy: jezusowe lata! — „Oto jest" — powiada: „tutaj moja cioteczna siostrzenica, Ciechanowiecka, śliczna, jak anioł, dobra, pięknie wychowana i bogata panienka. Poznaj się z nią, poproś o rękę; daję ci słowo honoru, że będzie twoją". Zaśmiałem się w duchu; bo oprócz tego, żem zawsze inaczej zawarcie małżeńskiego związku pojmował i nie miał go za aferę, jeszcze, znając już świat i wchodząc tak często w najskrytsze wielu familij tajniki, tegom był zdania, co hrabia Maurycy de Saxe, który powiadał, że się dlatego nie ożeni nigdy, „że dotąd nie widział jeszcze męża, któryby wart był dobrej żony, ani żony, któraby warta była dobrego męża". Chrapowicki, wiedząc, że będę na balu, który cała gubernja dawała owemu wielkiemu łotrowi księciu Dołgorukiemu (A_{11}), generał-gubernatorowi Litwy,

zapowiedział mnie, że mi tam pannę pokaże w całej świetności. Jakoż pokazał mi ją. Była to malutka z większym trochę, niżby potrzeba, noskiem osóbka. Ale wcale nieszpetna. Powiadano, że bardzo dowcipna i miła. Bardzo tego jej winszowałem w duszy, ale czy tak, czy owak nie podobała mi się. Żeby krótko rzecz skończyć, powiedziałem Chrapowickiemu, który przede mną przedefilował był z nią kilka razy, że daję za wygranę i poznawać się z nią nie mam ochoty. Musiał się z tem stary birbant przed jej matką czy przed nią jakoś wygadać. Naturalnie, że to mi u nich dobrego nie zrobiło odoru. Ale, że i matka moja tym samym projektem zacietrzewiona była, że znowu bracia panny, bardzo miłe chłopaczki, z rozkazu matki swojej poznali się ze mną i u mnie bywali, nie mogłem choć raz się tam nie pokazać. Nowomiejski był tam *l'enfant gâté*. Haftował z córką i dobierał jej włóczki, matce jej, zacnej, godnej, szacownej kobiecie, przynosił lub czytał książki i zrecznie pochlebiał. Kiedym tam przyjechał, zastałem Nowomiejskiego. Z początku, jak mnie zobaczył, zabrał się w kąt po swojemu. Panna, widocznie obrażona i kwaśna, starała się dać mi to poznać, że niewiele dba o mnie, i traktowała mnie z lekceważeniem jakiemsiś, pokrytem, rozumie się, kopertą wyszukanej światowej grzeczności, które jednak ludzie z taktem i, co żyli w świecie wielkim, łatwo zaraz zwąchać i ocenić umieją. Mówiąc nawiasem, najśmieszniejszą rzeczą jest bronienie się kobiety, kiedy jej nie atakują i atakować nie myślą. Mniej śmiesznym, ale zawsze śmiesznym jest także ów lis, który nie bierze winogron i o nich z pogardą mówi dlatego, że zielone, a rzeczywiście dlatego, że ich dostać nie może. Dotąd tedy byłem zupełnie kontent, admirując ludzką naturę i dziwiąc się, że nasze ziemskie aniołki, jak tylko draśnięte, zaraz w małe przemieniają się żmijki. Ostrzegł o tem węch Nowomiejskiego i już się z kąta na środek wysuwać zaczął. Byłoby się na tem skończyło. Ale djabeł mi dał powiedzieć ogromne głupstwo! Zmięszałem jakoś w pamięci wypadki romansu, który u nich leżał na stole, z innym, który ja niedawno czytałem. I wziąwszy jedna intrygę za drugą, z podobieństwa tytułów palnąłem bąka, wyciąłem *une fière bévue*. Patrzano mi w oczy, bo tam tego romansu nie znano, a ja i jeden znałem i drugi! Nowomiejski postrzegł, że bardziej jeszcze na wadze tracę: wylazł więc ze

swojego dalekiego fotelu, był w różowym, najszczęśliwszym humorze i, o ile mógł, starał się dać mi uczuć wyższość swoją i walor w tym domu. Pocieszyłem się z duszy, żem mu tę małą zrobił przysługę. Przyszły mi wszakże na myśl zaraz te miejskie szewczyki, krawczyki, co to, włożywszy w niedzielę kupioną na tandecie suknię, która dla nich całym jest skarbem, jeżą się, juszą się i nadymają z pychy przed każdym chociażby najlepiej ubranym na ulicy przechodniem. Panna wyszła potem szczęśliwie za Tyszkiewicza.

W kilka dni później przyjaciel mój większy jeszcze daleko miał tryumf. Matka, będąca wtedy w Wilnie, prosiła mnie jak o łaskę nie żartem, żebym dla niej to zrobił i był z nią u niejakiej pani Moraczewskiej, krewnej jakoby Nowomiejskiego, który miał w niej się kochać i w którym, jak on mnie potem się zwierzył, pani Moraczewska, wdówka, śmiertelnie zakochana być miała. Dodała mi matka i to, że Nowomiejski tego sobie najmocniej życzył i to jej oświadczył, ale na mnie samego o tę wizytę nalegać nie śmiał. *A la bonne heure!* Zgodziłem się. Dzisiaj jeszcze znaczy to coś, ale wtedy człowiek młody, przybyły ze stolicy, z Petersburga, gdzie stale mieszkał, z orderem, wracający z tylko co odbytej do Paryża podróży, był coś bardzo interesującego i poważanego, choćby był głupi, jak Bela; bo taka jest słabość ludzi w ogólności, a kobiet w szczególności do wszystkiego, co na prowincji niezwykłe. Takiemu, gdyby i nos w garść sobie utarł, uszłoby za dobre, za przyzwoite, za modne i stosowne z tonem wielkiego świata. Ostatni przeto gap i osieł przy tych warunkach może za coś uchodzić. Miałem zatem prawo myśleć, że pani Moraczewska, której ja, zmuszony naleganiem, wizytę oddaję, będzie przynajmniej grzeczna, jeśli nie bardzo i bardzo grzeczna. Pojechaliśmy. Na drodze łamie się kareta matki mojej; szczęściem moja, najęta, szła za nami, bośmy się stamtąd rozjechać w różne strony mieli. Śmiejąc się, prosiłem matki na inny raz tę wizytę odłożyć, bo wyraźnie zły znak i prognostyk. Matka uparła się. Przesiedliśmy się zatem do mojego pojazdu i dojechaliśmy szczęśliwie. Pani Moraczewska może i dla dogodzenia tam obecnemu adoratorowi swojemu, jeśli go dobrze znała, przyjęła matkę moją z największemi zbytecznemi atencjami, mnie ledwie że powitała i najmniejszej nie okazała grzeczności

Nie wiem, czy parę słów do mnie przemówiła, lubo to było obowiązkiem gospodyni domu i lubo sama mieć mnie u siebie życzyła. W całem jej obejściu się widać było jakiś osobliwszy ambaras, z pozycją jej na świecie i z jej wychowaniem najzupełniej niezgodny. Nowomiejski z iskrzącem się od wdzięczności okiem wyrósł natychmiast na sążeń i triumfował wielkim rzymskim tryumfem.

Pomimo tę zrobioną dla niego uciechę nie zdawało mi się przyzwoitem dłużej tam pozostać nad czas ściśle momentalnym wizytom poświęcony. A dostrzegłszy, że jakieś wcześnie widać obmyślone przygotowują po parafjańsku śniadanie, żeby wzajemnie od niechcenia drasnąć czy niegrzeczną, czy głupią panią domu, wstałem i tym ruchem zmusiłem i matkę do pożegnania. Śniadanie zjedli już oni sami, patrząc sobie we cztery oczy, jeśli się doprawdy kochali, albo w talerz i majonezy, jeśli się oszukiwali wzajemnie. Matka, kobieta dziwnej bystrości i znajomości świata i nadzwyczaj trafny postrzegacz, przepraszała mnie najmocniej za przymus do tej głupiej wizyty. Ja byłem rad. Czy to wszystko, jak myślę, było skutkiem przypodobania się Nowomiejskiemu, czy też nieznajomości świata, albo jakiegoś przypadku, sądzić z pewnością nie mogę, bom już tej baby, a była wcale nieszpetna, nigdy odtąd nie widział, chociaż miałem potem w Warszawie wielokrotne do tego zręczności. Wiem to, że synów swoich wyprowadziła na wilkołaków, czy na lwów dzisiejszych, ale może się i oni sami na to własną dążnością wyprowadzili. Dzisiaj matki niewiele nad dziećmi mogą! Chłopcy te, wcale nieszpetnie stworzone, nie nadto dobrem okiem w warszawskich znakomitszych domach uważane były. Mnie w tych błazeństwach o to tylko idzie, że gdziekolwiek mnie tylko na włos uchybiono w najzwyczajniejszych prawach gościnności, to jest w dwóch pomienionych miejscach, mój pan Konstanty był dowcipny, hoży i lekki, słowem, był sobą. Jakże tylko przyjmowano mnie z jakąkolwiek wyższą dystynkcją, a to było wszędzie a wszędzie, tam już był bez rogów, bez siły, bez nerwów i włókł za sobą wagi z dziesięć centnarów. Dwa te na jego korzyść zdarzone wypadki nie zdołały na nieszczęście zatrzeć zawiści, tak marną i niezawisłą ode mnie wywołanej przyczyną. Od tego czasu ciągłej doświadczałem jego złej woli, ukrytej pod zdradli-



Generał Karol Morawski.

wym płaszczykiem najżyczliwszej przyjaźni. Nigdym jednak nie sądził jeszcze przez lat kilka przynajmniej, żeby serce jego w tak smutny dla mnie oddaliło się sposób, — i sam zawsze i wszędzie na każde zawołanie, pokrywając wyrozumieniem jego słabości, byłem mu zupełnie oddany. Odmowna odpowiedź cesarza na wielokrotne prośby hr. Grabowskiego i p. Turkułła, wzbraniając wyjazdu do Francji, wróciła mnie zpowrotem do Petersburga. Na nowo przyjęty do służby publicznej w wydziale prawodawczym znowu się tam rozlokować musiałem z wielką stratą funduszu, bom odjeżdżając, całą ruchomość, meble, konie, pojazdy za bezcen przedał albo i darował, a terazem na nowo w to wszystko wzbijać się musiał. W innych miejscach wspomnieć nieraz mi przyjdzie o szczególnych ku mnie względach i łasce byłego ministra skarbu Królestwa Polskiego, a podówczas czynnego członka Rady Państwa, księcia Ksawerego Lubeckiego, człowieka, genjuszem swoim górującego w Europie, a dobrocią swoją górującego zapewne na całym znajomym świecie. Książę nieraz, leżąc w podagrze, na świadectwo i prośbę moją za biednym jakim rodakiem kazał nogi okręcać w baranią skórę i jechał do ministrów osobiście, żeby dla tego biedaka wyprosić miejsce. Nowomiejski, bez pewnego sposobu do życia, dowiedział się o tem. Zubożony prześladowaniem politycznem, oszukany od Radziwiłłów nie miał żadnego punktu oporu. Na jego więc prośbę wyrobiłem mu przez księcia Lubeckiego rekomendację do Kożuchowskiego, głównego plenipotenta Wittgensteinów, który i dla mnie był bardzo życzliwy, żeby Nowomiejskiego mianować członkiem Komisji Radziwiłłowskiej w Wilnie. Członek taki brał tysiąc dukatów na rok. Nowomiejski byłby tę posadę najpewniej otrzymał, ale odezwawszy się i nieraz po mieście, że w duchu Kożuchowskiego działać nie będzie, w czem go zresztą wcale nie ganię, tak Kożuchowskiego od siebie odstręczył, że ten nakoniec i księciu, i mnie odpowiedział odmownie.

Tworzyło się wówczas i było w samym zarodku ministerstwo dóbr państwa. Chciałem go tam w skutku jego prośby wsadzić na prezydenta izby, co dosyć było łatwe z początku, tak się mało kto garnął do tego rodzaju służby, bo nikt przewidzieć nie mógł, że to wkrótce na kołnierz całego państwa wylezie i więcej nad inne administracyjne wydziały rozkoszować się będzie.

Znowu książę Lubecki pojechał do Kisielewa. Hrabia Kisielew przyrzekł pod warunkiem, że Nowomiejski nie należał do żadnych politycznych towarzystw. Taką bowiem dla swoich urzędników hrabia położył zasadę. Lubecki, który nie znał nigdy i tylko ode mnie słyszał o Nowomiejskim, miał tę rzecz za skończoną. A tu właśnie ten człowiek lat kilka za te grzechy siedział w fortecy!

Nakoniec siostra księcia Lubeckiego, hrabina del Campo-Scipio z mojej instancji rekomendowała go na plenipotenta do księcia Konstantego Lubomirskiego, generała wojsk rosyjskich i najgodniejszego w świecie człowieka. Nie wiem, dlaczego to nie doszło, i pomimo uwiadomienia o gotowej i bardzo korzystnej posadzie (książę miał za sobą bogatą Tołstojównę) dowiedziałem się, że Nowomiejski przyjął za bezcen takąż samą funkcję u sławnej księżnej senatorowej Ogińskiej, z domu de Neri, której, jako osobliwszej pod wielu względami kobiecie, wyłącznych kart kilka będę musiał w tem pisemku poświęcić.

Tak tedy żaden z projektowanych pomiędzy nami układów i planów dla zapewnienia losu jego nie doszedł wprawdzie do skutku. Ale to łepsko, że wkrótce, bo w kilka zaledwie miesięcy, wyparł się przede mną samym, w żywe oczy, że tych planów nigdy nie było, że mię o to nigdy nie prosił! Czy że o tem doprawdy nie prosił, czy że tak mu było potrzeba.

W ciągu całego tego czasu ostrzegano mnie anonimowo w Petersburgu, żebym się z powodu familijnych moich interesów na większej miał pieczy, że przyjaciele moi wileńscy zdradzają mnie. Że listy moje poufne do nich pisane widziano w ręku osób, które nieprzyjaźne dla mnie mają chęci. Ale nie wymieniano nikogo. Tymczasem z kilka osobami miałem w Wilnie korespondencję! Nie mogłem, gdybym i chciał zgadnąć, kto z moich przyjaciół mnie się sprzeniewierza. A żem duszę zawsze na dłoni nosił, szedł prostą drogą i sekretów nie miał, mało o zdradę dbałem. Dopiero za powrotem moim do Litwy dwie kobiety, dawne przyjaciółki moje, wyznały mi, że te listy bezimienne od nich były, że myślały w nich o Nowomiejskim, ale bojąc się; zwyczajnie jak baby, żeby list ich, na pocztę oddany, nie wpadł w ręce Nowomiejskiego, jaśniej się tłumaczyć nie śmiały.

Może dalej opiszę z innych powodów, w jak zawikłanych i drażliwych byłem podówczas familijnych stosunkach i jakie

pode mną nawet u ojca mojego bezecne kopano dołki. Nie wiem, czy się cieszyć, czy smucić się z tego, że przysłowie nasze o dołkach sprawdziło się tu najzupełniej, bo ja w żaden z nich nie wpadłem. Nie przewidywałem tego w tych bolesnych momentach, że serce moje wkrótce najsilniejszą boleścią dotknięte zostanie! Zbliżył się czas ręką Boga naznaczony i, kiedym najmniej do podobnej klęski był przygotowany (A_{12}), zacny, cnotliwy, szlachetny, światły, nieoceniony a dla mnie tylko jednego na całym świecie prawdziwie srogi i cierpki człowiek, ojciec mój zakończył życie! Dano mi o tem wiedzieć sztafetą do Petersburga. Że z pogrzebem na mnie czekano, na czwarty dzień od sztafety byłem już w Wilnie. Ale ten wypadek wysadził mnie raz jeszcze z zawias, na których w Petersburgu znowu już swobodnie chodzić zacząłem.

W całem życiu mojem nie miałem w pomocy szczęścia. To, com sobie wyrobił, krwią i potem wyrobiłem sobie! W całem życiu mojem los mię zawsze, jak Tantala, odsadzał od wody w tych właśnie momentach, kiedym się do niej ustami przybliżył. Tak było i wtedy! Najpiękniejsze widoki spękać się musiały przed okolicznościami, wywołanemi śmiercią ojca mojego, o których potem w swojem miejscu opowiem.

Tymczasem do posiadanej już przeze mnie fortuny, jak zwykle, w oczach ludzkich podwójnie, ba i poczwórnie cenionej, przybyła nowa! Tu już Nowomiejski dotrzymać nie mógł! Odtąd, nie schodząc z drogi przyzwoitości, towarzyskiemi oznaczonej prawami, w skrytem działaniu stał się najpierwszym moim nieprzyjacielem. Zdanie jego i sądy o mnie, ostrożne ale jezuicko-dyplomatyczne, starały się podkopywać i wzruszać tę opinję, na jaką sobie długą zasłużyłem pracą i niczem niepoposzlakowanem życiem. Nie mógł, naturalnie, nic do zarzucenia znaleźć, ale i znieść nie mógł, że po swojemu, a nie według niego rzeczy kieruję. Chciał być moim guwernerem i wziąć w swoją opiekę. Nie udało się, więc tak robił: gdzie tylko w obecności jego była o mnie mowa, dodawał swoje, jako przyjaciel, pochwały w takim sposobie: „Tak, tak, to bardzo uczciwy, prawy, uczony człowiek; to człowiek szacowny, ale dumny, zarozumiały, egoista, ale..., ale...,“ i tych ale... bez końca. Byłoby to jeszcze nic, bo każdy człowiek ma swoje *ale*. A ten jeszcze niech Bogu dziękuje, czyje choćby najliczniejsze *ale* nie są podłością, szelmostwem!

Gorzej mi było z tem, że ten człowiek, bawiąc się niejako, bruzdził mnie w interesach i, nie znając stanu mojej fortuny, najlepiej obmyślane przeze mnie krzyżował drogi. Każdy, co bierze jakikolwiek spadek, kiedy jeszcze zdaleka po niego przyjeżdża, otoczony jest natychmiast tysiącami wyrosłych w jednym momencie, jak grzyby, ubogich krewnych, albo raczej mianujących się krewnymi, o których pierwiej, kiedy nic nie miał, ów spadkobierca nigdy nie słyszał. Cała więc taka hałastra mniemanych krewnych, których w życiu nigdy nie znałem, o których nie słyszałem nigdy, jak szarańcza, na mnie spadła i żywcemby mnie z miłości ze skóry obdarła. Jest to podłość. A ja podłości czy względem mnie, czy względem obcych nienawidzę i wściekam się na nią!

Wiedząc z doświadczenia cudzego, że tak zawsze bywa, przygotowałem się wcześnie do sposobu, jakim te umizgi, pochlebstwa, wdzięczenia się i serdeczności przyjmować. Wstyd byłoby nawet przed parafjańskimi oszustami pokazać się głupim i dla ludzi niedelikatnych, co podle na twoją delikatność rachują, otworzyć zupełnie i worek i serce. Ale ja bez tego doprawdy miałem o co skrobać się w głowę! Obarczony niespodziewanie spadłemi na mnie interesami i osobami, co rzeczywiście należały do mnie, mając na karku moim macochę z całym dworem, z końmi, stryja i stryjenkę, którzy cały swój fundusz stracili, także z ich dworem, obciążony legatami ojca i długami jego, o których mnie nigdy, ani w testamencie nawet nie wspomniał, spodziewając się sam je za życia swojego wypłacić, — nie na różach leżałem w tej chwili. Dopełniłem jednak, Bóg wie o tem, wszystkiego, jak uczciwemu szlachcicowi przystało. Wszystkie długi za karteczkami tylko, od ojca mojego wydanemi, opłaciłem każdemu, nie patrząc na to, że „nie są formalne" albo że do „akt nie wniesione". Wyglądałem wprawdzie w tym razie, jak turecki święty, bom na te potrzeby wydał własną moją a nie spadkową gotówkę. Pomimo to tym ludziom, co tego warci byli, natychmiast udzieliłem wsparcia. Łotrom, trutniom i fałszywym krewnym, co jak na rozstajnej drodze sięgali do mojej kieszeni i myśleli, żem głupi, uwieść się nie dałem i na sałatę ich puściłem. Ci tedy poszli szukać instancji u przyjaciela mojego, u Nowomiejskiego. A ten dawaj im spohadać!

Dawaj mnie przed nimi oskarżać! Komu dałem pięć dukatów, żałował go przed nim samym, czemu nie pięćdziesiąt! Komum miejsce płatne w służbie publicznej wpływem swoim wyrobił, tego znowu żałował, że mu jeszcze i rocznej pensji od siebie nie wyznaczyłem! Nic mnie o tem nie mówiąc, wszędzie najniesprawiedliwiej rozprawiać zaczął i obszernie egoizm i wady moje wywodzić. Zaintrygował i wmięszał w te rzeczy znajome mnie, a jemu oddane stare próżniaczki i kwoki. Nie chciał nieborak mnie poznać, nie chciał się tego domyślić, że aż po dziś dzień najprzykrzejszą dla mnie rzeczą jest komukolwiek w czemkolwiek odmówić! Nie wiem czy serce, czy duma, czy raz to, a drugi raz drugie bolą mnie wtedy zawsze? Ach, czemuż tego rodzaju uczucia nikt z bliskich mnie osób pojąć nie umiał, nie umie? O, ja daję z rozkoszą! Daję niestety! i dzisiaj nawet po tylu doświadczeniach, wybitnie świadczących, że to na żadną nie zasłuży wdzięczność. Ale co mnie po wdzięczności? Albo ja jej szukam?... Otóż Nowomiejski, jak mówię, domyślić się tego nie chciał. Każdego więc uczył, jakby mnie wypadło postąpić i jak źle robię, że tej rady jego, jaką on mnie niby daje, nie słucham. Rady zaś nie dawał mnie nigdy żadnej, a tylko przed znajomymi moimi powiadał, że powinienbym zacząć życie moje w Litwie od wypłacenia długów krewnych moich, którzy po traktjerach, bilardach, dziewczętach i podobnych zabawkach szczęśliwie i wesoło to, co mieli, stracili! Takiemi jezuickiemi utyskiwaniami, bo wyraźnie do jezuickiego klanu należał, wiele życzliwych mnie dotąd osób przeciwko mnie zbuntował, a ja nadto miałem dumy, żeby ich z błędu wyprowadzać i z tego, co mam, przed nimi się spowiadać. Jakem się tylko w Wilnie pokazał, przez różnych do mnie za swoimi protegowanymi trafiać przezornie umiał, sam wiecznie umywając ręce, i tak mi nakoniec Wilno obrzydził, żem się już nigdy w niem pokazać nie chciał. Odprawione ode mnie za złą konduitę sługi pod swoją brał opiekę i o miejsca im się stateczne wystarał; hańbiących imię moje krewnych do największej przypuszczał ścisłości. Słowem dosyć było tego, żebym ja kogo zganił i od siebie odepchnął, żeby na pewno znalazł w Nowomiejskim plecy! Ale w oczy zawsze najlepszego przyjaciela udawał i czynione na większą jeszcze ich zgubę marnotrawnikom i łotrom forszusy i pożyczki dobrocią

serca swojego, filantropją, niemożnością odmówienia wymawiał. A przytem regularnie i stale co rok na imieniny moje powinszowanie przysyłał! Poznał się nakoniec na wdzięczności tych osób a może i na mnie, ale już było późno. Jego kochać najzupełniej przestałem, chociaż jeden Bóg wie tylko, do jakiego stopnia dawniej go kochałem; oni go nigdy nie kochali!

Ciężka choroba, paraliż nóg, spadła z kołtunem na tego człowieka i w tym stanie dotąd żyje, zżymając się, przysięgnę, w duszy, że ja jeszcze na moich dwóch chodzę. Śród choroby nawet kłamał! Jeden z krewnych moich po mieczu, człowiek z konduity i zatwardziałego w złem serca, niewart niczyjego szacunku, ale młody jeszcze, który przy rozsądnych uwagach mógłby się może poprawić, był jego domowym i niby przyjacielem od duszy. Widziałem także i to, że zamiast użycia wpływu swojego na poprawę tego człowieka pochlebiał jego wadom i bronił go przed światem dlatego tylko, że ten ze zdrowemi i młodemi nogami mógł mu służyć na różne po mieście ambasady. To jest innem słowem, że wolał, żeby się w nim na zawsze wielkie zakorzeniły wady, dlatego tylko, żeby głupi a dumny młodzieniec przez wdzięczność był mu użyteczny.

Zdaje się, że lepszego i w oczach boskich zaciętszego egoizmu nie trzeba! Ten młody człowiek tyle i mnie i pamięć ojca mojego, który mu dla wsparcia i na początek życia tysiąc dukatów zapisał, niewdzięcznością swoją zakrwawił, żem go nierad widywał i, póki się lepszym nie stanie, widoczny do niego dla jego własnego dobra wstręt okazywać musiał. Naturalne było, że się z rekursem do Nowomiejskiego udał, i że ten, jako odpychanego ode mnie, oburącz pod swoją przyjął opiekę. Przyjechałem raz do Wilna. Uszy mnie nabębniono swawolami bezwstydnemi, podłemi tego młodego człowieka. Poszedłem do Nowomiejskiego. On wśród rozmowy żalić mi się zaczął na niewdzięczność tego mojego krewnego, że go opuścił, że zerwał z nim znajomość i t. d. i że od roku nigdy go już nie widział. W parę dni potem wracam znowu go odwiedzić. Na schodach spotkałem jego klucznicę, czy kucharkę, która mi powiada, że Nowomiejski tak jest cierpiący, iż nikogo przyjąć nie może. Nie dając wizytowej karty, „Kłaniaj się mu, moja pani, ode mnie", rzekłem: „i powiedz, że był Morawski, tylko nie zapomnij mojego

nazwiska". — „Jakżebym go zapomnieć mogła, kiedy u nas pan tegoż nazwiska codzień a codzień bywa i wczoraj jeszcze u naszego pana wyżła na polowanie pożyczył". Czuł widać nieborak, że grzeszy przede mną, kiedy kłamał, ale kłamał jednakże!

W rzeczach nieznanych każdy człowiek pomimo woli i wiedzy swojej tworzy sobie oddzielną, mądrą czy głupią teorję. Najtrudniejszą może w moralnym względzie zagadką jest sprzeczność sprawiedliwości boskiej ze sprawiedliwością ludzką w tem, co się tyczy złych ludzi, na naszym żyjących świecie. Nieraz ten, co oczywiście wart szubienicy, chodzi zdrowy, wesoły, bogaty, szczęśliwy, a cnotliwy cierpi czy na duszy, czy na ciele i różne znosi męczarnie. Ten, co w nic nie wierzy, przypisuje to wszystko losowi, przypadkowi, mniejszej lub większej zręczności człowieka. Teologowie i moraliści po swojemu to tłumaczą. Mnie się zaś zdaje dlatego, że wierzę, że Bóg ułomności ludzkie i nawet krzywdy bliźniego materjalne, wyłączając krew i to rozmyślnie wylaną, przebacza, daruje, a przynajmniej w tem życiu puszcza w niepamięć, jeśli się tylko człowiek ludzkiej duszy zupełnie nie wyrzekł. Że cnotliwym tutaj daje ostatnią próbę, żeby ich z ziemskiego oczyścić brudu. Ale, że ludziom, co zgrzeszyli najwięcej boską cząstką człowieka, co zgrzeszyli sercem i duchem, co wadami zepsutej duszy, zdradą, niewdzięcznością, tajemną zemstą życie bliźnich swoich zatruli, zdaje mi się, powiadam, że takim ludziom oprócz kar wyżej przygotowanych Opatrzność jeszcze i tutaj prędzej czy później zasłużoną a ciężką posyła karę i że wogóle, jeżeli się mści, to więcej za duch grzeszący, jak za grzeszącą materję. Rozpamiętywując moją tutaj pielgrzymkę, dlaczegoż, naprzykład, ani jednego nie widzę człowieka z tych, co duszę moją niecnie zadarli, któryby bez wdania się w to zemsty mojej, bom się w życiu na nikim nie pomścił, gorzkiego prędzej czy później nie pędził życia? Dlaczego niektórym z tych ludzi Pan Bóg tak rozum pomięszał, że przy zdrowych zmysłach własną ręką pod sobą wykopali przepaść? Dlaczego innym, z których powodu ja, niewinny jak owca, tyle łez wylałem, tyle poniosłem gorzkich serca boleści, Pan Bóg to nogi, to głowy, to ręce tutaj odebrał? Dlaczego znowu innym w te ręce samobójcze włożył żelazo?

Zakończmyż o Nowomiejskim. Widzisz tedy, bracie mój,

jaki to był mój tyloletni a tak ode mnie namiętnie kochany przyjaciel! Widzisz, com, szanując związek, w duszy, silnie kochającej, ale razem samoistnej i hardej, mąk wycierpieć przez tyle lat musiał. Nie odpędzisz wilka z lasu! Drobnostki nie opuściły go dotąd, bo to już przeszło w naturę. Ale co było zabawne, a może i miłe w młodości, stało się w nim na starość godnem politowania błazeństwem. Ktoby mógł po tem wszystkiem pomyśleć, że, naprzykład, wiara jego w gwiazdę miłości nie opuściła go dotąd! Sparaliżowany, trzymający ciągle przed sobą szklaneczkę, jeszcze o zalotach myślał! Kiedym pomimo krwawych krzywd, sercu mojemu zadanych, zbolały nad smutnym jego stanem radził mu, żeby się z zawsze jemu wierną, chociaż już starą panną, ową Mazurkiewiczówną ożenił, rozumie się, dlatego tylko, żeby w stanie swoim wiernego i czujnego miał stróża, a panna, równie jak i on, potężny kołtun nosiła, — słuchać mnie o tem nie chciał! A dlaczego? Oto dowodził mi z ogniem, że gdyby to zrobił, jakieś tam dwie bogate na Wołyniu panny, jakby się dowiedziały o tem, z miłości i zazdrości zwarjują! A on nadto jest szlachetny, żeby je, biedaczki, sadząc do czubków, na taką wystawiał próbę. Myślicie może, że kłamię. Jak mi Bóg miły, tak prawda! Skończył więc na tem, co kiedyś Alfons Karr, w Osach swoich powiedział: „*A la fin de sa vie on decouvre, qu'on n'a jamais autant souffert de personne, que de son meuilleur ami*". Boleję nad tem, żem tego człowieka użyć tu musiał. Wolałbym, żeby kto inny za kanwę do tych obrazów mnie służył, niechajby te jego grzeszki domową jakąś pokryte były zasłoną. Ale stosunki jego z tylu imionami, składającemi ówczesne towarzystwo wileńskie, złączone były, a on sam tak się wydatnie i rześko w towarzystwie tem odznaczał, taki miał sobie właściwy charakter, pod takim płaszczem po świecie chodził, że, chociaż z bólem serca, jego na tym pierwszym planie wystawić musiałem.

ROZDZIAŁ V.

Żem wyżej wspominał i przyrzekł powiedzieć coś z tego, co się w mojej rodzinie spamiętać dało o księżnej senatorowej Ogińskiej, w krótkości tutaj zamieszczę, jako o typie, rzadkim a w potocznem życiu niemało mogącym dać nauki. Jej to interesy Nowomiejski prowadził. Żebym był lepiej pojęty, zasięgnąć muszę trochę dawniejszego czasu.

Jeszcze dobrze za rządów Stanisława Augusta jaśniała na Litwie dziś zgasła familja Nagurskich, bądź siłą familijnych związków, bądź znacznemi bogactwy. Działające podówczas z tej rodziny osoby były: stary Nagurski, ojciec, bogacz, kutwa, skąpiec i chciwiec, i dwaj synowie jego, Kajetan i Jan, przez sukcesje, wprost na nich spadłe różnemi drogami, również, jak ojciec, bogaci. Tego im czerstwy starzec jeszcze, mimojazdem mówiąc, ciągle zazdrościł, i kwas do życia ich wlewał, życząc sobie prawie otwarcie ich końca, żeby sam mógł zostać ich sukcesorem. Tak było w domowych, w publicznych zaś interesach wszyscy trzej dobrzy obywatele, dobrzy Polacy wszystkiemi zależnemi od nich siłami gasnące życie ojczyzny podtrzymać starali się. Z synów — Kajetan słabego zdrowia, skąpy, nudziarz, tetryk, śledziennik, i gderacz, wyglądał z twarzy na zeschłą pomarańczową skórę i mało był lubiony. Jan — przystojny, zdrowy, młody, ludzki, otwarty, najszlachetniejszego, pańskiego, wspaniałego umysłu i serca powszechnie był kochany. Z tym ostatnim ojciec mój w najściślejszej po grecku, jak Orestes i Pylades, żył przyjaźni. Siłę tych węzłów wzmocniła jeszcze pomoc ojca mojego na sejmach, który Janowi, dobremu patrjocie i pełnemu rozumu, ale z trudnością pisać i mówić publicznie zdolnemu, wymową ognistego i pięknego pióra swojego ciągle sekretnem

był wsparciem. Cała Litwa wiedziała o ich przyjaźni. Stary Nagurski i syn jego Kajetan, każdy się ze swojej strony, na to marszczyli osobliwie, kiedy powzięli języka, że raz Nagurski Jan na imieniny przysłał ojcu mojemu dokument na sto chat czy w wiłkomierskim, czy w którymś ze żmudzkich powiatów. Powinszowanie to z taką delikatnością było zrobione, że ojciec mój od przyjęcia wymówić się nie mógł a i nie było czego się od takiej rzeczy wymawiać. Ale młody podówczas, drażliwy i dumny, lękać się w duchu zaczął, żeby ten dar nie dał Janowi prawa do jakiejś supremacji w ich dotychczasowych przyjacielskich stosunkach. Ta myśl zasiadła mu w głowie. Nie spieszył się więc z intromisją do tego majątku. A tymczasem raz, jak umyślnie, jak na licho, przemówiwszy się nieco z tym przyjacielem a równym sobie gorączką, i wyobraziwszy, że on chce mu imponować z powodu swojego daru, dokument, do akt nie wniesiony, w oczach jego wyjął i zdarł go w kawałki. Nagurski, jak powiadam, był delikatny, to jest pełen delikatności człowiek. Uczuł obrazę ale i pojął jej powody. Przyjaźń tedy dawna zaraz z podwójnym może szacunkiem wróciła, ale już drugi raz z dokumentem nie wystąpił. I na tem się owe sławne sto chat, o których tak długo i za mojej jeszcze pamięci mówiono, skończyły.

Wkrótce potem Jan Nagurski zakochał się w Karpiównie. Oświadczył się. Z otwartemi rękami obietnicę jej ręki od Karpia otrzymał. Śród zrobionych obustronnie a dla rozmaitych wypadków przeszkód, odkładanych kilkakrotnie przygotowań do wesela, kiedy się już ostatecznie na ślub do Karpia był wybrał, w drodze odkrył w sobie nieszczęściem rozwiniętą a zachwyconą, nie pomnę już, w Warszawie, czy w Wilnie najlżejszą wstydliwą chorobę, czego przy wcale skądinąd wstrzemięźliwem życiu i przedsiębranych ostrożnościach nigdy, przenigdy spodziewać się nie mógł. Drażliwy, pełen delikatności, zakochany, wiedząc, że kuracja kilka tygodni zabrać znowu musi i o nową dwa tak wielkie domy przyprowadzić zwłokę, nie śmiejąc z drugiej strony wziąć ślubu i uchylić się na czas jakiś od miłością wskazanych obowiązków, nie mając nikogo przy sobie do pociechy i rady, zaszedł biedak w głowę i z włożonego do ust pistoletu w siebie wystrzelił! Strzał cudem jakimś skiełzem jednakże poszedł; nie odjął mu życia. Lekarze i ojciec mój, przypadkiem niedaleko

stamtąd bawiący, zlecieli się do niego. Szwy chirurgów i przyjazne ojca mojego uwagi uspokoiły, jak się zdawało, i ciało, i umysł. Za życie doktorowie ręczyli. Wyprawiona przez ojca mojego sztafeta przywiozła od jego narzeczonej słowa pociechy, a list ten dotąd u mnie się znajduje.

Nagurski zdawał się wesołym i radym, że żyje, ale sekretnie ułożył i podpisał testament króciutki. We wszystko, co przyjaźń w serce jego i umysł włożyła i ciągle kładła, z ufnością wierzył i radość z niespodzianego powrotu do życia pełnemi wdzięczności malował słowami, wszystkiemu tak naturalnie potakiwać zdawał się, że wszystkich, co do nogi, w błąd tem wprowadził. I kiedy na siódmy dzień po dokonanym zamachu żadnego już wielkiego niebezpieczeństwa nie było, a ojciec mój, dzień i noc od chorego przyjaciela nieodstępny, z sił wybity, zostawiwszy rozsądne stróże, sam nakoniec na parę godzin do spoczynku pójść musiał, chory, co tylko tego czekał, udał śpiącego, uśpił tem i straż swoją, a napisawszy ołówkiem kilka słów do ojca mojego, „że kto raz życie sobie odbierał, ten dla samego honoru żyć już więcej nie może", wszystkie szwy i plastry własnemi rozerwał rękami, rany porozdzierał i w parę godzin krwią zalany i zlany życie zakończył. Taki był koniec jednego z najszlachetniejszych, najpoczciwszych, najgodniejszych, najwięcej obiecujących ludzi konającej Polski. Ojciec mój przez lat blisko pięćdziesiąt, do ostatniego dnia życia swojego bez łez o nim nie mówił i dnia nie przeszło, żeby o nim przy jakiemkolwiek zdarzeniu nie wspomniał. Najmniejsze, kiedyś do niego należące drobnostki, jak relikwje chował i mnie one w spuściźnie zostawił.

Karpiówna, tak silnym grotem w samo uderzona serce, czas pewny łzom i rozpaczy oddawszy, zamknąć się chciała w klasztorze. Ale rozkazom surowego ojca uległa ze zranioną na wieki duszą rękę swą Tyszkiewiczowi, staroście wielatyckiemu, oddała.

Ród Tyszkiewiczów, znakomity domowemi, a czasem i publicznemi cnotami oddawna, wyrósł od blisko pół-wieku w znaczne bogactwa tak, że w ostatnich czasach tenże sam starosta wielatycki, Michał był najbogatszym panem na Litwie. Zostawił trzech synów i córkę, co za Leona Sapiehę wyszła, a wszyscy oni pomimo takiego działu pierwsi w tym kraju bogacze. Żaden Tyszkiewicz

siebie niczem nie splamił. Nigdy bliźniemu nie zrobił krzywdy. Jeśli, mając pieniądze, czekał na to, by tanio kupić drogi majątek, to któż cokolwiek chce kupić drogo? Ale ta linja sławną zawsze była z sukcesyjnego skąpstwa aż po dziś dzień włącznie. Co, lubo nikomu nie szkodzi i może najmniejszym jest grzechem, wielką jednak zawistnym do gawęd podaje pryzę. Jak się u skąpych robią wielkie majątki i czemu było ich nie robić w owych czasach, niechaj następna anegdotka homeopatycznie oświeci.

Ojciec mój, kiedyś, jadąc właśnie do Jana Nagurskiego w same roztopy, chwycił leciutką bryczkę i w niej się puścił. Gdzieś tam na Żmudzi po okropnej drodze oś mu się złamała. Dowlókł się z podstawionym drągiem do pierwszej karczmy.

— „Kowala!" — „Niema, panie, kowala i niema go na trzy mile wokoło", — odpowiada karczmarz.

— „A niechże was śnieg spali! Co tu począć? Posyłać o trzy mile nie sposób!"

Karczmarz litościwy, skrobiąc się w głowę, powiada: „Jest tu jusciż kowal we dworze, ale nie ma prawa innej, jak dworną, robić robotę. Gdybyś pan ot tu zaraz poszedł do dworu, a i sam dziedzic od kilku tygodni teraz tu bawi, zapewne nie odmówionoby w takiej przygodzie pomocy."

— „Czyjże to majątek?"

— „Hrabiego Tyszkiewicza" (ojca właśnie, czy dziada, bo tego nie pomnę, starosty wielatyckiego).

Nie było co robić! Poszedł mój ojciec po błocie. Przeszedł bramę, ani pies nie zaszczekał, ani kogo spotkał; żywej duszy nie widać! Szedł tedy do wielkiego, pańskiego, drewnianego budynku. Sienie ogromne. Znowu nikogo niema! Wziął się więc na lewo we drzwi dębowe i te otworzył.

W ogromnej izbie, ostawionej drewnianemi stołkami i czystemi dębowemi stołami, siedział na przystawionej do jednego ze stołów ławie mały staruszek siwy, jak gołąbek, pięknie uczesany i podgolony, w koszuli, parcianych gaciach, przeciśniętych rzemieniem na sprzączce, w kozłowych butach i plótł sieci. Na widok przybysza staruszek powstał i cichym głosem zapytał, kto on jest i czego żąda? Ojciec mój odpowiedział, że chciałby mieć przyjemność widzenia się z hrabią. Staruszek

jeszcze cichszym głosem odrzekł, pokazując na drzwi uboczne tej izby: „Hrabia jest tam i chciej pan łaskawie tu się zatrzymać i przysiąść, ja pójdę go obudzić i uprzedzić o przybyciu pańskiem.“ Poszedł.

W dziesięć minut potem najdalej wyszedł sam hrabia. Ale jakież było zadziwienie mojego ojca, kiedy w nim poznał właśnie tego staruszka, tegoż samego staruszka, tylko przebranego w żupan, kontusz i inne buty! Starzec interesu uprzejmie wysłuchał. Natychmiast pojazd i ludzi, i konie do dworu sprowadzić kazał. A pojazd darmo na swój koszt zreparować polecił. A że było już dosyć późno, na noc ojca mojego zatrzymał. Bawili się do ciemnego wieczora gawędką. Ojciec mój wrzodu w gębie nie miał. Stary oczarowany był swoim gościem i rad mu był, jak sobie samemu. Dano nakoniec wieczerzę. I cóż podano? Na pierwsze: buraczki z wędliną. Na drugie: krupniczek z wędzonym półgęskiem. Na trzecie: kleik owsiany ze śledziem. Stary jadł wszystko z godnym zazdrości apetytem i gościa swojego zachęcał. Pożegnali się potem najprzychylniej i ojciec mój jak świt w dalszą drogę ruszył. Trzy zupy, trzy takie zupy, jedna po drugiej! to zgroza! i jakież jeszcze zupy! Odrzucam skąpstwo; ale to była widać dawna litewska moda. Bo i ja sam nawet takiż bankiet pamiętam.

Ojcowie nasi z powodu szkaradnych, obrzydliwych karczem, w całym kraju mieli wszędzie po wszystkich drogach znajomych, albo przyjaciół, do których na popasy i noclegi zajeżdżali zawsze. Ojciec mój całe życie tak robił, dopóki tych znajomych nie przeżył. Raz, kiedy on dla kuracji żony siedział u Hufelanda w Berlinie, Bernard Pęczkowski, pułkownik wojsk polskich dawnego autoramentu, przyjaciel nasz i sąsiad, takiegoż, jak i wszyscy, trzymający się w podróży systematu, jadąc na imieniny do wspólnych naszych przyjaciół w Nowogródzkiem do Siennej, zabrał i mnie, trzynastoletnie podówczas chłopię, i tymże sposobem od domu do domu zajeżdżał. Trzydzieści mil jechaliśmy bodaj dni dziesięć! W ciągu takiej jazdy na raku zdarzyło się, że jakoś tam zajechał na popas do bardzo poważnych a bielutkich, jak śnieg, staruszków, męża i żony. Nie pamiętam ich nazwiska. Radzi byli od serca poczciwi i dostatni gospodarze, widać to było na ich anielskich twarzach. Krzątali się, tuptali

gorliwie, żeby nas ugościć, i dali nam akurat cztery zupy! Chłodnik, rosół z kurczęcia, barszczyk z wędlinką i krupniczek z wołowym ogonem, a jak dawniej mówiono „z królewskim nosem", bo Stanisław August miał nos zakrzywiony, orli. Poczciwe staruszki! Śmiesznie nam dzisiaj taka obiadowa karta wygląda. A jednak ludzie długi czas tem się kontentowali i syci byli, i tłuści byli, i szczęśliwsi zapewne od nas być musieli! Dziś, w materjalnych tylko grzebiąc się zasobach, wybredne brzuchowi niesiemy dary. Bo dziś, gdzie brzuch, tam i serce nasze! Przodkowie nasi, daleko więcej czasu poświęcając duchowi, mniej o rozkosze kiszek swych dbali. Ale pomijając to wszystko, opowiem tu jeszcze jedną anegdotę o tym samym starym Tyszkiewiczu, który tak utraktował ojca mojego wieczerzą.

W majątku, gdzie ciągłą miał rezydencję, był murowany lamus dwupiętrowy, zamczysty. Na drugim piętrze były drzwi żelazne z kilku wnętrznemi i wiszącemi zamkami. Całe to piętro składało się z jednej dużej izby i wyłożone było wyborną kwadratową holenderską cegłą. Tam to był skład gotówki starego bogacza; gotówki zsypanej, jak zboże, na kupę. W jednym kącie były miedziaki, w drugim talary bite albo *musztyny*. Pośrodku zaś holenderskie dukaty leżały także na kupie. Staruszek często incognito tam właził i bawił się, przesypując złoto przez palce, jak dzieci piasek. Na tem piętrze były dwa okrągłe wysoko osadzone okienka, ale tak ciasne i wąskie, że nikt się przez nie do środka niczem dostać nie mógłby. Jednego razu stary dopatrzył, że złotko jego jakby ruszone! Ale sam sobie nie wierzył! Znowu je oznaczył, jak ekonom zboże. Znowu ruszone! Oj źle! Nuż zaczajać się i pilnować, nikomu o niczem nie mówiąc. Wiadomo, że na wsi w rządnych domach szczególniej lepsza od nocy, owszem najlepsza dla złodziejów pora jest samo południe. Wtedy bowiem czeladź i dworscy na głos bębna czy dzwonka zasiadają razem do stołu i dom puścieje. Wtedy biada sadom i fruktom, biada ogórkom, harbuzom! Ze wszystkich kątów wyłażą tam złodzieje pewni, że nikt ich nie dopatrzy. Stary, rozumie się, wiedział o tem. Więc się raz zakradł w lamusie o samem południu. Lamus do sadu przytykał. Około niego stało duże drzewo. Już był tam nasz strażnik dobry posiedział kwadransik, kiedy szelest w okienku zwrócił jego uwagę. Patrzy, na krzy-

wym a długim kiju wlazł przez okienko mocno przywiązany i w smołę umazany kurp czyli łapeć. Łapeć ten kilkakrotnie o kupę dukatów otarł się. Złoto przylgnęło do smoły. Dołem silnie kij wstrząsać zaczęto. Słabo przyklejone dukaty spadły sobie zpowrotem na kupę. Nakoniec powoli ostrożnie i kij i łapeć zniknęły. Starzec, który na to wszystko cierpliwie patrzał, jak tylko skończyła się robota, wspiął się na okienko i dostrzegł, że chłop jego, skierdź, to jest pastuch dworny, złazi z drzewa, spuszcza się po przystawionej ogrodniczej drabinie, obiera z łapcia dukaty i w garści dalej niesie. Wiedział tedy już, kto zdrajca, ale trzeba się było jeszcze dowiedzieć, gdzie on te chowa pieniądze. Pastuch, uszedłszy kilkanaście kroków, obejrzawszy się naokoło, poszedł pod krzak porzeczek i dniowy swój zakopał zarobek. Jak stary po chwili poszedł do porzeczek, znalazł w tem miejscu zebranych i tym sposobem złożonych około tysiąca dukatów...

Ale wróćmy już do Nagurskich. Po śmierci Jana ojciec jego i brat zbiegli na pogrzeb; otworzono testament. Nieboszczyk, nie chcąc ojca swojego zadrasnąć, zrobił go wespół z bratem Kajetanem sukcesorem pozostałego funduszu. Zaraz się o to poróżnili. Co gorsza, w testamencie tym znalazł się zapis 7000 dukatów dla ojca mojego, o którym on zgoła nie wiedział. Stary Nagurski chciwie szukał sposobu znikczemnienia tego zapisu. Syn Kajetan, więcej uczciwy człowiek, ale również chciwy i skąpy, wynalazł *mezzo-termine*. Zaproponował połowę. Ojciec mój obudwom im odpisał, że żal po świeżej stracie jedynego, jakiego miał w życiu, przyjaciela nie daje mu czasu myśleć o interesach pieniężnych, że się we wszystkiem na ich wolę zgadza, chociażby ani grosza mu nie dali. Zaliczono mu natychmiast potem cztery tysiące dukatów, a on wydał rewers na wszystko. I tak się ten smutny rachunek ukończył.

Już tu wyznać należy, że się mój ojciec w czepcu urodził na te zapisy! Mniejsze i większe, jak grad, sypały się na niego, a to bez starań, kiedy się tego ani spodziewał! Jednym z najzabawniejszych takich zapisów był w testamencie Sylwestrowicza, starego, majętnego, bezdzietnego obywatela — jurysty, zagorzałego patrjoty, wielce dowcipnego, rubasznego, ale poważnego w swoim czasie człowieka. Sylwestrowicz, rozpisując

kapitały swoje, powiedział: „Przyjacielowi mojemu, p. Apolinaremu Morawskiemu, zapisuję na pamiątkę dukatów dwieście za to, że się bardzo pięknie nosi po polsku. A panu Stanisławowi Orzechowskiemu zapisuję dukatów sto za to, że pięknie nosi czapkę nabakier".

Tymczasem ojciec, zmuszony przez matkę moją, piętnastoletnią wówczas panienkę, wychowaną na nowy już sposób w Wąrszawie, do przebrania się po francusku, kiedy to za główny warunek przyjęcia ręki jego położyła, — zmienił strój. W rok czy coś potem umarł Sylwestrowicz. Czytają testament jego, o którego treści nikt wprzódy nie wiedział. Znajdują zapis ojcu mojemu, jak wyżej. Ale w kodycylu znaleziono te słowa: „Panu Morawskiemu, który już się przebrał po francusku, cofam wyżej zrobiony zapis, bo mu pod każdym względem lepiej było w kontuszu". Śmiano się wówczas powszechnie z dziwactwa tego starca! a dziś może niejeden pomyśli, że on lepiej rzeczy pojmował!

Lubo się ojciec mój z Kajetanem Nagurskim wcale nie lubił, dawna atoli z bratem jego zażyłość była powodem, że się na stopie dobrej znajomości utrzymywali ciągle. Kajetan po śmierci swojego ojca i brata stał się jednym z najbogatszych panów na Litwie. Ale wkrótce wystąpił Kościuszko, Jasiński. Nagurski złączył się z nimi i po bitwie pod Maciejowicami zemknął do Wenecji. Tam się zjechał ze zbiegłym także Wysogierdem i obaj w jednejże ubogiej stanęli oberży. Oberżysta, niejaki Neri, a razem i *gondoliere*, wesołe Włoszysko, dowiedziawszy się zboku, że ma znakomitych emigrantów u siebie, pochlebiał, śpiewał i grał tym biedakom. Starsza córka jego, dziwnej piękności dziewczyna, usługiwała im i także barkarole śpiewała. Zakochali się w niej oba. Wysogierd, zwinniejszy i młodszy, dostrzegł w koledze rywala, porwał młodą Marysię i uciekł z nią do Florencji. Nagurski natychmiast w pogoń się puścił, odkradł ją u Wysogierda, obiecał się z nią żenić, a dowiedziawszy się po drodze, że już śmiało do kraju powracać może, czmychnął z nią aż do Warszawy. Tam dopiero, ostygłszy już w pierwszych zapałach, dostrzegł, że jego *bella*, żadnej nie posiadając nauki, żadnej maniery, ledwie umiejąca pisać i czytać, nietylko żoną jego, ale i nałożnicą być nie może bez wzbudzenia we wszystkich



Anna z Jundziłłów 1° v. Karolowa Morawska,
2° v. Piotrowa Bielińska.

znajomych w Litwie i żartów i drwinek. Nie będąc jeszcze w stanie rozstać się z nią na zawsze, najął jej mieszkanie na pensji, dał jej kilka guwernantek i, wagą złota okupiwszy najściślejsze odosobnienie tej dziewczyny i sekret, sam dla uregulowania interesów przyjechał do Wilna. Tu już znalazł Wysogierda i tu się obadwa ze swoich włoskich miłostek dosyta niby naśmiali.

Już po zdjętych sekwestrach z majątków i powrocie Kajetana minęło było około ośmiu miesięcy, kiedy interesy znagliły ojca mojego jechać do Warszawy, dokąd podówczas nadzwyczajnie trudno dawano paszporty. Jadący tam byli liczeni. Nagurski dowiedział się o tej podróży i w wigilję wyjazdu przyszedł z pożegnaniem niby do ojca mojego. Ale potem, obejrzawszy się, że więcej nikogo tam niema, drzwi wszystkie na klucz zamknąwszy i wziąwszy od ojca mojego słowo, że sekretu dochowa, przyznał mu się we wszystkiem o wenecjance Neri i błagał go, żeby w skutku danego listu do jej opiekunki poznał się z Neri, bywał u niej, wyegzaminował stopień postępów, jakie ta zupełnie jeszcze niezgrabna i nieokrzesana dziewczyna zrobić już mogła w naukach i językach, i żeby jej dał 600 dukatów na wydatki. Oprócz tego prosił, żeby listów, które przejęte być mogą, nie pisał, ale sam osobiście o wszystkiem go uwiadomił za swoim powrotem. Ojciec mój przyrzekł. Pojechał. Poznał się z tą panną. Wchodząc, naturalnie, spodziewał się spotkać z jakąś subretką. Jakież było jego zadziwienie, jakie wyobrażenie o jej genjalnych zdolnościach, kiedy ujrzał przed sobą damę dziwnej piękności, robiącą już doskonale honory salonu, mówiącą już dobrze po francusku, bez weneckiego akcentu po włosku, piszącą biegle i bez wielkich ortograficznych pomyłek, słowem, doskonale wychowaną panią, która w żadnym względzie nie trąciła oberżą! W jednej tylko muzyce żadnego nie zrobiła postępu, co wielce ojca mojego martwiło, bo lubił namiętnie muzykę a i sam śpiewał i grał z wielkim gustem na dwóch instrumentach.

(Na gitarze, którą dotąd znają, i, jak mówili Polacy, na wildamorze *(viole d'amour)*, którego teraz nikt już nie zna. Chociaż dziś w muzyce wszelką odrzucają śpiewność, dziwna jednak rzecz, że ten dziwnie śpiewny i dźwięczny instrument zupełnie zarzucony został; tak dalece, że ja go tylko u ojca mojego

spotkałem. Ojciec raz, żartując sam ze swoich przedwiecznych talentów, którym jednak tyle zwycięstw w młodości swojej był winien, kazał przynieść ze skarbca wildamor, żeby mi dać poznać, jak się na nim grało. Prawda, że mogłem mieć wtedy lat 14-cie tylko, ale, jak wziął na nim kilka akordów i zagrał potem jakąś serdeczną piosenkę, rozbeczałem się, jak baba. Niechajże ja, ale stary jeden nasz sąsiad, będący wtedy u nas w gościnie, gorliwie mnie pomógł).

Jak się tedy nowy pan opiekun z pupilą swoją poznali, jak zaczęli o muzyce rozprawiać a razem i grać, i śpiewać, pokochali się niebożęta, jak koty, i w tej zupełnie pod wszelkim względem zadowolnionej miłości blisko pół roku przetrwali. Przyznać tu muszę, że ten rodzaj zawodu ufności względem Nagurskiego ojciec mój sam sobie zawsze wyrzucał i temu właśnie przypisywał potem fatalne i zgubne dla jego fortuny skutki rozterek z tą osobliwszą kobietą. Tak on to pojmował, lubo był dobrze napojony ówczesną galanterją francuską, która podobne psoty za żart i koncept uważać kazała, i lubo z drugiej strony cały świat wiedział, że się obadwa z Kajetanem nigdy nie lubili; a więc podstawić mu stołka nie było tak ciężkim, tak śmiertelnym grzechem.

Rad nie rad, trzeba było nakoniec wyjechać z Warszawy i rzucić ten raj Mahometa! Ale jeszcze sobą oboje nie byli syci! Ojciec mój, cały pannie Neri oddany, opisał Nagurskiemu z zapałem postępy tej, we wszystkiem w tak krótkim czasie zrobione, i radził, żeby ją jak najprędzej przywieźć do Litwy. Nagurski, znacznie przez te kilka miesięcy podupadły na zdrowiu, dręczony czarną chroniczną żółtaczką, łudził się nadzieją, że przyjazd kochanki zdrowie mu i humor powróci. Sprowadził ją tedy i nowy Pigmaljon, odurzony układem, manierą i dobrym tonem swojej Galatei, zaraz ją publicznie wszędzie jako żonę, sekretnie pojętą we Włoszech, przedstawiać zaczął, tym sposobem okropnego reszcie familji, czekającej na zgon jego, napędził piotra! Zaczęto śledzić, puszczono wieść, że to nie żona. Oburzyły się wileńskie damy na jego zuchwałość i bezwstyd. „Jak śmiał on w uczciwe domy wprowadzać swoją nałożnicę!"

Neri o tem się dowiedziała. A i jej samej podobno na ten raz tylko zabrakło taktu. Nasyciwszy już rozkoszą schorzałego

pseudo-męża, a ciągle z ojcem moim dawną prowadząc intrygę, udając gwałtowne przywiązanie do Nagurskiego, karesując go ustawicznie, siedząc mu ciągle na kolanach, smokcząc, całując, znudziła do ostatka cherlaka, trwożącego się o wycieńczone już siły życia. Kiedy więc z jednej strony rozchodzić się wieść poczęła, że nie jest żoną, — z drugiej dostrzegła wstręt do siebie w Nagurskim, od którego jeszcze żadnego zapewnienia losu nie miała. Przepędziwszy tedy raz godzin parę na miłosnej schadzce, padła do nóg ojcu mojemu, prosząc, aby ją z tej toni wydźwignął, Nagurskiego do wzięcia ślubu nakłonił. Ale Nagurski, żadnych wszakże nie mający podejrzeń, ani mówić sobie o tem nie dał, a nawet w propozycjach swoich zaledwie na danie kosztów podróży do Wenecji dla panny Neri się zgadzał.

Wtedy ojciec mój, ze świętym kapłanem, księdzem biskupem Pilchowskim zażyły, udał się do niego i siłą wymowy swojej dokazał, że ten złotousty, łagodny, jak baranek, powszechnie szanowany, pobożny człowiek, nie podejrzewając niczego, w momencie większych niż zwykle Nagurskiego cierpień odwiedził go, wystawił mu grzech jego, obrazę Boga i ludzi i tak go skruszył, że do wzięcia ślubu *eo instanti* dał się namówić. Tak tedy łaską mojego ojca traktjerniczka Neri stała się panią Nagurską.

Tymczasem miłość przeszłego wieku w dosyć ciasnych zwykle objęta obrębach, bo na samem płciowem oparta uczuciu, długo trwać nie mogła, dając przez to samo wielką elastyczność wzajemnej wyrozumiałości. Ojciec mój i Nagurska, znudzeni nakoniec sobą, wyznali to sobie otwarcie, wzajemną zastrzegając przyjaźń i dozwalając w innych stosunkach obustronnej wolności, do której najmniejsza mięszać się nie była powinna zazdrość. Poszło to mojemu ojcu na rękę, bo podówczas frontem aż trzy prowadził intrygi, nie licząc Nagurskiej. Jedną platoniczną, bo nie mógł inaczej dla rzadkiej cnoty kobiety, dwie drugie, bardzo wyczerpujące i siły, i worek. Zhasany, jak koń pocztowy, rad był, że się dawniejszego z Nagurską pozbył ciężaru, mając wszakże na wszelki zły przypadek wymówione sobie, a raczej dla siebie *ses franches entrées* u tej ostatniej.

Na szczęście jeszcze przyjechał młody podówczas Ludwik Pac, potem generał polski, a potem w 1831 roku, jak to zapewne powie historja, emigrant, wygnaniec i tułacz, który w Smyrnie

z gorączki zakończył życie. Był to przystojny, bogaty i samym powabem wieku ponętny młodzieniec. Chwytały go kobiety. On się nie bronił, ale, na tem nie kończąc, w mniej delikatnych i brudniejszych źródłach szukał jeszcze dla siebie ochłody. Nagurska się w nim rozkochała po swojemu, po włosku. Pac, chcąc jej, jak należało, na to odpowiedzieć, bez względu, że był gorszącą dotknięty niemocą, tak ścisłym połączył się z nią związkiem, że i ją zrobił uczestniczką swojego cierpienia, a sam tymczasem, podkurczywszy ogona, z Wilenka zemknął. Na biedę Nagurski, chorobą swoją drażniony, częstsze teraz, niż zwykle miewał miłosne pochopy. Wypadało albo się jakimkolwiek sposobem od natarczywości męża uchronić, albo wyjawić wstyd swój i sromotę! Nowy rekurs do mojego ojca! Wyznała mu wszystko w pokorze ducha. Ten rzecz ułożył, doktorów sekretnie sprowadzał, sam kierunek całego interesu i wstrzymanie męża na siebie przyjął i tym sposobem nowe tej kobiecie nieopisanej wagi zrobił dobrodziejstwo.

Lekarze wileńscy, nie widząc już w swojej nauce sposobu, doradzili Nagurskiemu na jego czarną żółtaczkę zmienić klimat i udać się za granicę, a szczególniej do Wiednia, gdzie podówczas dwóch Franków, ojciec i syn, i wiele innych praktyków słynęło. Wyjechali. Ale wieści z drogi małą zostawiały nadzieję. Tem więcej, że równo z przybyciem Nagurskiego do Wiednia obrzucony został zewsząd bezimiennemi listami, ostrzegającemi go, że żona struć go zamyśla. To go w niemały wprawiło kłopot, a żony już i bez tego nie cierpiał. Zbrzydził więc ją doreszty i jak córkę kucharza z przed oka swojego usunął, wszelkie ku ocaleniu z tej strony życia swojego porobiwszy starania. Wszakże tedy przynajmniej podejrzenia te były fałszywe. Nie dlatego, żeby jejmość nie była na taki krok zawsze i wszędzie najzupełniej gotowa, ale że, żadnego dotąd nie mając od męża zapisu, los jej od jego życia właśnie a nie od jego śmierci zależał. Tymczasem śmierć potężnym zbliżała się krokiem! W tak krytycznem położeniu znowu się odwołała do ojca mojego i napisała do niego ów list patetyczny, który długo w swym zbiorze chował i mnie go pokazał, a potem raz w momencie gniewu i oburzenia na nią z wielu innemi jej pamiątkami do ognia wrzucił. W tym liście zaklinała go na rany boskie i na wszystko, co mu najświętszego,

żeby, rzuciwszy wszystko, na jej ratunek do Wiednia pośpieszył. Ważnemi własnemi podówczas zajęty interesami, posłuchał jednak tego rozpaczliwego głosu, zbiegł do Wiednia, przebił się do schorzałego i zamkniętego przed całym światem Nagurskiego i tyle ogniem wymowy i perswazji swojej dokazał, że ten wydziedziczonej już wprzódy ze wszystkiego żonie czterykroć sto tysięcy złotych zapisał. Więcej w wątrobie chorego dla niej wydłubać i wykłuć nie mógł, lubo miljony na oddaloną, Nagurskiemu nieznajomą familję spadały.

To było trzecie już główne dobrodziejstwo, jakiem się ojciec mój tej kobiecie za chwilę cielesnej, przelotnej miłości wypłacił. Zdaje się, że powinna byłaby być mu wdzięczna. Ale Włosi właśnie mają przysłowie: *Passato il pericolo, gabbato il santo.*

Po powrocie ojca mojego z Wiednia do Litwy niedługo potem zagranicą skończył życie Kajetan Nagurski. Żona jego, zabrawszy co mogła i zakochawszy się w niejakim kawalerze Angiolinim po swojemu, poleciała za nim do Drezna, gdzie ten Angiolini był posłem, — przysławszy ojcu mojemu bez zapytania się, czy się na to zgadza i czy ma czas po temu, plenipotencję na załatwienie w Litwie zagrożonych jej interesów i windykacji zapisów męża. Zrobił i to. Ale że się między innemi urządzeniem Kurtowian czy sprawą o zastawę majątku Kurtowian, czego już nie pomnę, sam żadną miarą zająć nie mógł, posłał tam przeto brata swojego, Mikołaja, młodego, pięknego i bardzo uczciwego chłopca, dawszy mu należytą instrukcję. Brat ten znalazł tam niespodzianie edukującą się sekretnie dojrzałą już pannę, Włoszkę, rodzoną siostrę Nagurskiej, sprowadzoną cichaczem z Wenecji w nadziei wydania jej tutaj, jak się poduczy. To też i poduczyła się łepsko! W ciągłem z nią na wsi zetknięciu, że jeszcze była dobra i czuła, choć nie miała dziwnej piękności swej siostry, nasz pan Mikołaj pokochał ją. I skutkiem tego romansu malutki siestrzan przybył najniespodziewaniej do liczby krewnych pani Nagurskiej. O czem pomimo całego starania dowiedziała się baba od usłużnych ludzi i, jak się łatwo domyślić można, bardzo temu nie była rada, bo jej przynajmniej miłostki nie były płodne. Panna tam potem, jak się zagoiło, opuściła nasz kraj z nabytem już wychowaniem i polorem, wróciła do Włoch i przy pomocy starszej swej siostry wyszła za jakiegoś

włoskiego hrabiego czy księcia, który zwyczajem mężów niczego się nie domyślił i dotąd z nią w najszczęśliwszem przebywa pożyciu.

Znudzona Angiolinim, straciwszy zabraną po śmierci męża zagranicą gotówkę, musiała nakoniec Nagurska wrócić do dobroczynnej dla siebie Litwy, zawsze piękna, zawsze czarowna. Nim się nowe znalazły romanse, ojciec mój, stary przyjaciel dawne *ad casum* zajął był miejsce i bez wstrętu w intermedjach służył. W tych miłosnych turniejach, długą zaostrzonych nieobecnością, raz jakoś trafił się Nagurskiej mały przypadek, jak z jednej strony dowodzący zapomnienia się śród silnego uczucia, tak z drugiej bardzo dla mężczyzny pochlebny. Nie mógł tego sam w sobie strawić chlubny z takiego tryumfu lowelas i pod sekretem zwierzył się z tego jednej ze swoich kochanek. Zazdrość otworzyła jej usta. Tegoż wieczora ledwie że nie całe Wilno wiedziało o wszystkiem. Za dni parę doszło to i do samej Nagurskiej, która, jako niby strapiona wdowa, starała się podówczas hipokryzją i mniemaną dobrą konduitą poprawić zachwianą, jakoby niesłusznie, o sobie opinję. Tem więcej, że już miała na oku Bennigsena, który tylko co był na generał-gubernatora do Wilna przyjechał. Wszystko, co może złość i zapamiętała nienawiść we wściekle rozsrożonej lwicy, buchnęło z niej natychmiast na ojca mojego. Królowa szwedzka Krystyna ucięła zato łeb Monaldeschiemu. Nasza Włoszka tego na biedę zrobić nie mogła, choć bardzo sobie tego życzyła! Przyjaźń ojca, jego przysługi, dobrodziejstwa, opieka stały się jakby pisane na piasku i starły się już raz na zawsze, tylko zemsta, włoska zemsta została! Pozornym pretekstem do niej była naprzód ciąża jej siostry, niby z hańbą jej domu i krzywdą krwi jej schwycona, po wtóre mniemane opuszczenie w prawnościach, jakie z jej szkodą Mikołaj Morawski miał niby w Kurtowianach porobić. Cofnęła tedy natychmiast, mając już protekcję Bennigsena w ręku, cofnęła z hałasem narzuconą z Wiednia plenipotencję, przynoszącą same tylko kłopoty i trudy, bo się to u nas dawniej z przyjaźni obywatelskiej wzajemnie robiło, — i odtąd żadnej, by najmniejszej nie opuściła w życiu swojem okazji, żeby ojcu mojemu nie szkodzić. Znienawidzili się tak nakoniec, że już nawet w starości, jak ja ich oboje pamiętam, gdzie z wizytą

przyjechał Morawski, a była tam Ogińska, — Ogińska natychmiast się wynosiła i naodwrót tożsamo z ojcem moim było.

Ale czas już powiedzieć, jak Neri stała się księżną Ogińską. Stary Bennigsen, jakem już wspomniał wyżej, rozkochał się w Nagurskiej. Rozumie się, że, wirując do jego ręki, do żadnych go nie przypuściła faworów, kiedy tymczasem było innych młodszych wielu, którzy jej sekretnie te nagradzali prywacje, zawsze jednak jeden o drugim nie wiedząc. Między nimi był Michał książę Ogiński, za czasów polskich podskarbi litewski, dygnitarz, synowiec hetmana, a potem rosyjski senator i faworyt cesarzów Pawła (?) i Aleksandra. Człowiek piękny, okazały, rozrzutnik, sławny muzyk, a nadewszystko sławny kobieciarz. Rozwiedziony już z Lasocką, z którą miał dwóch synów, straciwszy na brednie ogromny jej i swój majątek, już zaczął był szukać wsparcia w służbie rosyjskiego dworu, kiedy śmierć hetmana Ogińskiego dała mu znowu ogromne dobra, z któremi wziął także i ogromne długi. Dla załatwienia tych interesów zjechał był na czas do Wilna i śmiertelnie rozkochał się w Nagurskiej. Przylgnęła i ta do niego. Żeby zaś bawić się, o ile można najskryciej, dała mu klucze od tajnego wchodu, kędy do niej na rozdobędy się wkradał. Bennigsen również zakochany, którego hodowano na męża i któremu się także zdawało, że już daleko zaszedł, lękając się i siebie i ją skompromitować ciągłemi publicznemi wizytami, na gorące prośby otrzymał był także klucz podobny, ale z oznaczeniem godzin szczególnych, kiedy do niej bezpiecznie przychodzić może. Trwało to sobie i tak, i owak około miesiąca, kiedy raz Benningsen, drażniony ciągle przez wprawną kokietkę i namiętną miłością dręczony, postanowił pojść do Nagurskiej natychmiast i ofiarować jej swą rękę. Naturalnie, że, w takim udając się celu, nie zważał już na oznaczone godziny i, otworzywszy skryte drzwiczki, znalazł się w sypialnym pokoju Nagurskiej. Spojrzy na łóżko — o zgrozo! — nie chcąc łapie na gorącym uczynku Ogińskiego ze swoją kochanką!

Starzec na zawsze drzwi wiarołomne za sobą zatrzasnął, a chybiona na nim rachuba zmusiła Ogińskiego do ożenienia się, ile że już z nim Nagurska zaszła była w ciążę. Ciąża ta rozwiązała się w kilka miesięcy po ślubie córką Amalją, czy, kiedy

chcesz, Amelją, która potem wyszła za hrabiego Załuskiego, a dobrocią, łagodnością, nauką, wiernością i poświęceniem się dla męża, rozumem i cnotą całem niebem odrodziła się od matki i zato też od niej nigdy kochana nie była. Mamy tedy już naszą oberżystkę wenecką ozdobioną tytułem senatorowej i księżny!

Niema na tę cudzoziemską hołotę, jak polska ziemia! Któżby się podjął, ktoby śmiał odtąd wyliczyć wszystkie błędy, wszystkie słabości, wszystkie niewiary tej złej kobiety. Ogiński nie mógł wstrzymać potopu, a sam, na każdej prawie ulicy utrzymując po jednej, jeśli nie po dwie kochanki, zdjął munsztuk z żony i puścił ją na wolę. Była to już podówczas całą gębą pani, arystokratka, dumna arystokratka w całem znaczeniu tego wyrazu. Nikt nigdy już w niej dostrzec nie mógł śladów garnka lub rondla. Zapomniała sobie polentę i makarony! Sama się nawet tym imponującym pańskim tonem i duchem przejęła i dobrodusznie wierzyć zaczęła, że się i w mitrze, i dla mitry zrodziła. Przepych domu, wygody życia, do największych posunięte wymysłów, ozdobna gustem męża wiejska rezydencja w Zalesiu, wspaniałość pudrowanej w jedwabnych pończochach i ponsowych frakach kosztem wierzycieli ubranej posługi; rozum, śmiałość, duma tej kobiety, że nie powiem genjusz, przewyższający okalające ją rozumy; zbrodniczy egoizm i najzupełniejsze pozbawienie uczuć szlachetnych; wytrawienie głosu serca i sumienia, dające jej naturalną przewagę nad ludźmi, jakiekolwiek przecież mającymi serce; zuchwałe i bezwstydne spojrzenie; kokieterja, w jakiś rodzaj ujęcia i grzeczności ubrana; chytrość Włoszki, przebiegłość szczwanego lisa, nakoniec wyjście na świat nowej już generacji, która o jej przeszłości wiedzieć nie mogła, zrobiły z niej kobietę poważną, poważaną, znakomitą i dziwną, przed którą wszyscy, jak przed bożyszczem, i u nas i zagranicą korne skłaniali czoła! Nie było znaczniejszego człowieka, nie było cokolwiek młodszego rosyjskiego generała lub może nie było także i barczystego lokaja, któryby nie był jej amantem. Resztę dopełniali aktorowie, śpiewacy, prości żołnierze. Krzywdy jej tem nie robię, bo się sama z tem wcale nie taiła przed ludźmi. Oprócz Załuskiej, z Ogińskim spłodzonej, każda z jej córek miała innego ojca. Syn ze śpiewaka Pallianiego, śpiewaka, który się potem z naszą sławną śpiewaczką i pomimo imienia Polką, panną Balbiani,

w Petersburgu ożenił, znudzony już doreszty starą książęcą spódnicą. Dosyć powiedzieć, że kiedy w 1841 roku syn jej, niesłusznie oskarżony o jakieś wielkie tajemne przestępstwo, porwany nagle i do fortecy w Petersburgu był wtrącony, a ona już w starości z tejże przyczyny aresztowana w Zalesiu i do Wilna przywieziona na prostych saniach została, kiedy w temże Wilnie bez posługi, mając żyda faktora za garderobnę, kroku z domu dać już nie mogła, wówczas przez córkę swoją, Kublicką, do Petersburga błagalne rozesłała listy. Cóż w nich było? Oto każdemu ze znakomitszych generałów, każdemu z ministrów najjaśniej dowiodła, że, starając się za jej synem, każdy z nich za własną krwią starać się będzie! Każdy z nich w to ojcowstwo uwierzył, każdy do monarchy instancję zaniósł; — syn wolny został!

Patrz tedy, jakie to u nas bywały lale! — ta szczęściem nie Polka!

Do pobieżnej historji życia tej występnej, ale genjalnej kobiety, podług dzisiejszych, rozumie się wyobrażeń, genjalnej, dodam jeszcze dwa rysy, malujące jej serce. W 1820 r. Ogiński, mając żonę zagranicą utopioną w długach, a nie znalazłszy nigdzie już kredytu, z poszeptu widać samego djabła wpadł do ojca mojego z plenipotentem swoim, zacnym i miłym człowiekiem, Antonim Ginettem, i na kolanach go zaklął, żeby mu dał 4000 rubli srebrnych: „bo żona we Florencji bez trzewików chodzi". Odezwała się w poczciwem sercu dawna dla niej życzliwość. Stary mój skruszył się; był bowiem pomimo powierzchownej surowości republikanina wielce miękkiego i niepamiętnego urazy serca. Dał tedy pieniądze, ale z warunkiem, że jej Ogiński doniesie, kto ją i teraz ratuje. Ogiński danego w tem słowa dotrzymał. Tymczasem Ginett umarł, baba wróciła i, widząc zupełnie już zgubione interesy męża, porobiła kondykty, przejęła wszystko na siebie, zmusiła go do przelewu całego majątku na jej imię, osadziła go na pensji rocznej we Włoszech, gdzie wkrótce, wydawszy pamiętniki swoje, życia dokonał. Sama zaś, pojechawszy wyrabiać się głową i, czem jeszcze mogła, w Petersburgu i pokrywszy ledwie nie wszystko ewikcją swojego posagu, który właśnie dla niej mój ojciec u Nagurskiego wyrobił w ilości 400.000 złotych, a który ona do kilku miljonów kondyktownie podniosła,

kupiła niby za to ogromne dobra Retów, zachowała sobie Zalesie, a resztę na eksdywizję oddała! Tym manewrem wszystkich kredytorów męża bezwstydnie zgubiła, a sama znowu była bogatą!

Ale co najhaniebniej, to to, że najgoręcej i osobiście starała się, żeby zniszczyć pretensję ojca mojego, zaprzeczyła jej, odesłała ją przy tak wielkiej swojej fortunie na ogólną eksdywizję męża, chociaż te pieniędze dla niej samej dane były i posłane do Włoch, gdzie już żyć nie miała zaco! Staruszkowie moi nic ani za kapitał, ani za drugie tyle narosłych procentów z eksdywizji tej nie dostali, bo schedki w Mołodecznej, z długiem skarbowym im wydzielonej, odrzec się musieli, żeby się przynajmniej opłatą stempla i podatków do skarbu bardziej nie rujnować. Ojciec zaś tem się tylko pocieszał, że go ta rozpustnica „drogo kosztowała!"

Senator Ogiński, jak już wspomniałem, miał z Lasockiej dwóch synów — Tadeusza i Ksawerego, obu z siostrami Rönno później żonatych i na ich fartuszkach siedzących, bo żadnego funduszu po rodzicach nie wzięli. Matka ich przez męża swojego, a ich ojca, do ostatniej przyprowadzona była nędzy. Kiedy się już macocha „księżna de Neri", jak się nazywała sama, roztasowała w zagrabionym ze zgubą tylu nieszczęśliwych ludzi majątku, ci dwaj synowie odezwali się po swoje części. Ogińska, powiadając, że wszystko jest jej a nie po mężu, nic dać nie chciała. Ale łudząc ich jakąś nadzieją ugody zjechała do Wilna. Oburzenie na nią było powszechne. Ze współczuciem na tych dwóch synów, na tych prawdziwych Gregorego potomków patrzano, ile że się i talentami i układem wielce wszystkim podobać umieli. Szło tylko o 20.000 rubli srebrnych, na którychby obadwa synowie w swojem nieszczęściu przestali. Nawet syn jej Ireny na tę wypłatę się zgadzał, wstydząc się swego bogactwa obok ich poczciwej nędzy! Ja wtedy z przypadku z Petersburga zjechałem do Wilna i trafiłem właśnie na te familijno-jurystowskie i z jednej strony kręcielskie układy. Ksawery od 1818 roku był moim dobrym znajomym. Oburzony krzywdą tych biednych ludzi wpadłem na plenipotenta Ogińskiej, Nowomiejskiego, żeby rzecz babie silnie przełożył i do wypłaty tej nędznej sumy nakłonił. Tylem dokazał, że człowiek ten, zwykle rzezaniec

w rzeczach, potrzebujących męskiej energji, napompowany przeze mnie siłą charakteru, odważył się pojść do niej i mówił o tyle śmiało, o ile jego nieśmiałość i uszanowanie dla swej patronki mówić dozwalała. Cóż na to odpowiedziała księżna? Oto taką odniósł nam odpowiedź i takie ultimatum: „że księżna nie da ani grosza i że, jeśli do procederu przyjdzie, ponieważ zewsząd słyszy, że jej pasierby tym grożą orężem, woli stracić na proces 40.000 rubli sr. i zgubić ich doreszty, jak dać im dobrowolnie połowę tego i uszczęśliwić synów męża swojego". Prześliczna dusza, niema co powiedzieć! Szczęściem śmierć obu tych nieszczęśliwych ludzi, w biedzie i nędzy przypadła, uwolniła tę wiedźmę od takiej zbrodni! Sama jednak wkrótce wkółko od wszetecznych bolów, nazwiskiem artretyzmu ochrzczonych, skręcona, ciężkie grzechy swoje do gniazda, bo do włoskiej powiozła ziemi i tam to w Florencji, to na wyspie Ischia dotąd podobno tleje.

Poznawszy losy niewiniątka Neri, zechcecie się może dowiedzieć, co się z jej podtatusiałym kochankiem, z owym „boa", z owym sławnym „dusicielem" swojego monarchy, jednym słowem, z hrabią Bennigsenem, a jak u nas mówiono, z Benigsonem — stało? Należy on do historji, tam wszystko znajdziecie. Jako wódz naczelny wojsk rosyjskich, z małem szczęściem potykał się on z Napoleonem. Jako zbrodniarz, własnem zapewne gryziony sumieniem, porzucił nakoniec kraj ten i przeniósł się do swej ojczyzny, do Hannoweru, gdzie olsnął wkrótce i mimo to do stu lat przewlókł swe życie. Na Bennigsenie ciążył i wiecznie ciążyć będzie okropny zarzut wspólnictwa okropnej i piekielnej zbrodni, a to tem więcej, że ani osobiste krzywdy ani cudzoziemskie pochodzenie jego do udziału w tej zbrodni najmniejszego nie dały mu prawa. Imię jego i morderczy użytek rękojeści jego zabójczej szpady po całym, jak jest, świecie krwawą plotką chodziły! Oburzała się na to więcej od całego świata nieznajoma z takim sromotnym grzechem polska ojców naszych natura! Bóg już go osądził! Nie dorzucajmyż do szali i naszego sądu!

To, co już o samym uczynku opowiedziała historja, swoją pójdzie drogą. Ale w tak ważnych przedmiotach czasem i maluczkie, podrzędne szczegóły dobrze się kiedyś przydadzą. Opo-

wiem zatem takie z nich, co mi są pod tym względem o Bennigsenie wiadome. Szczegóły, które i od szwagra jego i oddzielnie dobrze już potem od Rosjanina, rzeczywistego radcy stanu, Poźniaka, siedemdziesiątletniego dobrodusznego starca, a w owym złowrogim czasie sekretarza Pahlena, słyszałem. Będzie to bodaj jeszcze jeden z dowodów, „że przeznaczenia swojego koniem nie objedziesz".

Bennigsen, podówczas już oficer wysokiego stopnia, który się dziś podobno generałem dywizji nazywa, dla interesów służby i swoich własnych przyjechał do Petersburga. Podług ówczesnego koniecznego zwyczaju stawił się natychmiast u cesarza Pawła. Cesarz przyjął go bardzo zimno i w obecności wojennego generał-gubernatora stolicy, hrabiego Pahlena kazał mu zaraz wracać do swej dywizji. Nie z tym zupełnie celem przybył do Petersburga Bennigsen i nie takich się oczu monarszych dla siebie spodziewał! Tknięty był do żywego rozkazem natychmiastowego odjazdu tem bardziej, że był sobie z Hannoweru na ten czas właśnie sprowadził piękną Żydówkę, z którą się chciał tutaj swobodnie nacieszyć, nim ją do swojej głównej kwatery przetransportuje. Jednakże nie było co robić! Rozkaz samowładnego pana był bardzo wyraźny! Ale i zostać się djabelnie choć na dzionek jeden — drugi chciało! Udał zatem, że wyjeżdża, objawił (!) to Pahlenowi i schował się tajemnie w jakimś zakamarku pewny, że o tem policja wiedzieć nie będzie.

Nazajutrz rano puścił się znów w zaloty do swojej belli, która na Newskim prospekcie u Kazańskiego mostu w mieszkaniu znajomego w stolicy podówczas hannowerskiego krawca Halscha czy Helszna najęła była pokoik. Już się był zbliżył do mostu, aż tu z ubocznej nadbrzeżnej ulicy wyjeżdża na niego zawsze konno jadący cesarz! Bennigsen struchlał, bo to pachniało Kamczatką, która nie bardzo pachnie. Na szczęście Paweł w inną w tej chwili zapatrzył się stronę. Ale Pahlen go dostrzegł i przyłożonym do nosa palcem nieposłusznemu generałowi pogroził. W kilka godzin potem adjutant Pahlena, jakżeby siedział u Bennigsena w zanadrzu, wpadł do owego tajemnego i poświęconego miłości pokoju i wezwał go natychmiast do generała swojego, własny ofiarując mu pojazd... Źle!... Politycznie tutaj aresztowany siadł do powozu, wiedząc, co go dalej czeka. Wcho-

dzi do Pahlena z miną, jakiej się każdy łatwo domyślić może. A Pahlen całuje go po sto razy, ściska, karesuje i powiada mu nakoniec, że jedzie do księcia Platona Zubowa na obiad, dokąd prócz niego zaproszono i Bennigsena, i że dlatego posłał po niego adjutanta, żeby się na ten obiad nie spóźnić. Bennigsen jeszcze nie ochłonął ze strachu, a już go z Pahlenem rącze wiackie rumaki do domu Zubowa zaniosły. Na tym obiedzie było do dziesiątka osób. Sam obiad, jak zwykle, wyborny. Ale szampańskie wina lano bez miłosierdzia i pić go współbiesiadnikom pod przymusem, co ruscy zowią z „przynuką", kazano. Bennigsen, chcąc nie chcąc, podlał sobie w pałkę porządnie.

Jak szumi w głowie, nikt po słowo do kramu nie idzie. Rozgadano się z sercem na dłoni, ciągle pełne jadu rzucając potwarze na Pawła. Bennigsen słuchał. Dziwiło go nie to, że Zubow ze swoim bratem tak są w mowie zuchwali, ale że Pahlen, pierwszy faworyt i kochanek Pawła, nietylko tego uprzejmie słucha, ale i swoje łatki od siebie monarsze przypina... Niestety! był to właśnie dzień, wyznaczony na spełnienie przez spiskowych jeżącego włosy na głowie morderstwa! Bennigsen, jak owca, o niczem jeszcze w tej chwili nie wiedział.

Wstawano od stołu, było już około ósmej wieczornej godziny. Walerjan Zubow z nogą na szczudle wziął pod rękę podpiłego już Bennigsena i, podprowadziwszy go pod ambrazurę (!) okna, miotać zaczął na cesarza pioruny, dowodząc, że tylko śmierć jedna ojczyznę od tego jej nieszczęścia uratować może. Bennigsen, nawpół już przekonany, słuchał wszystkiego ze drżeniem, kiedy Platon Zubow przyłączył się do ich rozmowy i wszystkie słowa brata swojego swoim jeszcze stylem potwierdził. Dobił go nakoniec sam Pahlen, odkrywając mu spisek już zupełnie gotowy, pokazując mu na oko spiskowych, oznaczając mu na wyjętym zegarku minutę, kiedy się to wszystko ma spełnić, i dając mu do wyboru albo natychmiast iść z nimi, albo natychmiast głowę tu swoją położyć.

„*Prima charitas ab ego*", wiedzą o tem ludzie od kilku lat tysięcy! Wybór jeszcze w podpiłym człowieku bardzo był łatwy. Zgodził się... O reszcie wie dobrze świat cały!...

I piszę, i oglądam się z trwogą na skutki możebne tego

pisania! Żyję na nieszczęście w tak drażliwym czasie, że ręczyć nie mogę, żeby na pierwszą jakąkolwiek delację pierwszego chłystka, stangreta, lokaja, pastucha, dziecięcia nie zbiegła się na mój dom policyjna władza. Że nikt zaręczyć nie może za to, żeby mi za godzinę wszystkich nie zabrano papierów. Żeby z nich o mnie fałszywych nie zrobiono wniosków. Żebym się w Wołogdzie, Wiatce, Permie, Tobolsku na resztę życia nie oparł. Przyjacielu więc, nieprzyjacielu albo i prześladowco mój, jeśli się znajdziesz z przypadku, bądźże na słowa moje wyrozumiały! Sami widzicie, jak je tu oszczędnie o zamachu Bennigsena z pod mojego wypuszczałem pióra.

Po tej wielkiej porażce u Nagurskiej, o której wyżej wspomniałem, generał-hrabia Bennigsen w rejteradzie swojej wkrótce się z Andrzeykowiczówną, panną zacnego i znakomitego w ziemiach grodzieńskich rodu, ożenił. Nie znałem hrabiny, bo już oddawna ciągle zagranicą mieszkała. Z jej powodu jednak chodziła i za mojego czasu w Wilnie anegdotka, którą mnie i brat jej, były gubernator grodzieński, w bliskich ze mną zostający stosunkach, w Petersburgu potwierdził.

Hrabina była wesoła, dowcipna i śmiała. Dla jakichś układów podobno z Choiseulami, a jak potem mówiono, dla pewnych politycznych macanek zjawił się w Wilnie przybyły wprost z Paryża niejaki pan Levis. Wkrótce stał się on duszą tamtejszych towarzystw. Nie było zabawy, balu, pikniku, projektu, żeby tego wszystkiego nie ułożył Levis. Nakoniec z wielkim żalem dam naszych trzeba mu było powracać i z Wilna wyjechać! Żegnano go serdecznie. Dawano obiady. Hrabina Bennigsen na swoim najznakomitszym, bo to była żona generał-gubernatora, wniosła toast na cześć odjeżdżającego taki... Ale czyż to mówić?... Kalambur ten coś trochę na to, co Francuzi *un mot de gueule* nazywają, zakrawa. No, jeśli damy wysłuchać tego bez zgorszenia mogły, zacóżby oczy i uszy przyjaciela czy krewnego mojego, co to czytać będzie, drażliwsze być miały?... Powiedzmyż! Owóż hrabina z pewną zmianą w akcencie i, odrzucając wyraz „*monsieur*", podnosząc swój kielich, zawołała: „*Vive Levis!*"... i myślała, że zbije go z tropu.

Francuz, co się zapewne nieraz spotkał z taką igraszką słów

w swoim kraju, bez najmniejszego zastanowienia, natychmiast powstawszy, ukłonił się wszystkim najgrzeczniej i spełniając swój kielich, wykrzyknął: „*Et les convives!*"

Kto zechce sens dziwnie dowcipny i trafny tu znaleźć, sam go znajdzie. A jak się to komu nie podoba, niech zje sobie w kaszy.

ROZDZIAŁ VI.

Powiedziałem już, żem w czasie pogrzebu prałata Dłuskiego pierwszy raz zobaczył i poznał imiennika mojego Karola Morawskiego. Był to piękny i miły człowiek. Wzrost przyzwoity, oczy niebieskie, włos ciemno-kasztanowaty, wijący się w kędziory, gdzie niegdzie, choć nie miał więcej nad lat trzydzieści, już siwizną upstrzony. Czoło wysokie, myślące, szlachetne, uśmiech przyjemny. Zęby białe. Płeć Tycjanowa, biało-fioletowym od zwyczajnych twarzy odznaczająca się odcieniem. Głos dźwięczny, układ powabny, przyjemny, pełen godności. W obcowaniu z ludźmi więcej skromności i uprzejmości, niż się zwykle w towarzystwie postrzega. Serce anielskie. Charakter łagodny, głowa bogata i oczytana, dowcipu samodzielnego mnóstwo, ale bez żółci. Dusza czysta, jak kryształ. Duch obserwacyjny rzadki. Zaprawdę, to jeden z najmilszych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu mojem znałem. Jeżeli los mój był, widać, taki, żeby pamięć innych moich przyjaciół teraz, kiedy oddzielony od świata i ludzi, jak prawdziwy anachoreta i pustelnik, na wsi wszystko to na zimno rozważam, jeżeli, mówię, trzeba było, żeby pamięć ta stawiła się przed mojemi oczami, jako żółtemi cierniami zawiści, egoizmu, nieszczerości, złej wiary wysadzony labirynt, to znowu pamięć poczciwego Karola wydaje mi się zawsze, jak strumyk, przejrzystą, kryształową sączący wodę, obok którego (rozciąga s'ę) zielona różnokolorowemi kwiatami bogata łąka, gdzie miły powiew wietrzyka i cień wysokiej płaczącej brzozy do rozkosznego wzywają spoczynku i słodkie wywołują marzenia.

Między młodymi droga do przyjaznych związków i prosta i krótka. On słyszał już o mnie. Ja słyszałem o nim. Ja nadto



Teofila z Morawskich 1° v. Józefowa Starzeńska,
2° v. Dominikowa Radziwiłłowa, 3° v. generałowa Czerniszewowa.

ledwie że nie odrazu wszystkiego w nim dostrzegłem. Pokochaliśmy się wzajemnie. Czas poznania się naszego był letni. Do uniwersyteckich kanikuł brakło tylko miesiąca. Każda więc wolna chwila, jaka mi zostawała od nauk, była poświęcona towarzystwu albo Nowomiejskiego, albo Karola Morawskiego. Starszy daleko ode mnie i ostrożny w zdaniach jeszcze się był przede mną z myślami swojemi o ludziach nie odkrył. Alem z jakiemś ściśnieniem serca postrzegał, że, lubo oddawna znał Nowomiejskiego, mało dla niego okazywał sympatji. Ja zaś całe życie tego tylko żądałem, żeby ci, których ja kochałem, kochali się także pomiędzy sobą. „*Filioli, filioli mei*", wołał święty Jan Chryzostom: „*diligite vosmet ipsos*". To było całe jego kazanie! Prawda i to, że ten święty apostoł list swój pierwszy temi słowy zakończył: „Synaczkowie moi, strzeżcie się bałwanów!"

Czy to z natury, czy w skutku tego, żem w szkołach publicznych brał wychowanie, prawidłem u mnie już wrosłem, a *directe* zdaniom ojca mojego przeciwnem, było nie dowiadywać się nigdy o ekstrakt, jak powiadano dawniej, moich znajomych i moich przyjaciół. Choćbyś był synem kata, kiedyś tylko rozumny, dobry, poczciwy, wszystko dla mnie i po dziś dzień jedno! Smutno mi tylko zwyczajnie bywało za dzieci dobre, kiedy je niepoczciwi na świat wydali rodzice, albo kiedy się te dzieci wstydzić za swoich rodziców przed światem musiały. Alem się o tem z przypadku tylko dowiadywał, bojąc się, żebym i sam nie nabył panujących wówczas powszechnie przesądów, które się przez działanie wieków szczególniej u nas w Polsce wkorzeniły. Zastanowiwszy się dobrze, odkryje się zapewne, że i przeciwne temu zdanie ma także swoją zasadę. Długoby tu było o tem rozprawiać a skończyłoby zawsze na tem obitem ale mądrem prawidle: *medium tenuere beati*. Tymczasem za moich już czasów w szkołach publicznych nieraz Żydek, w surducik ubrany, nieraz syn szewca lub krawca, syn burmistrza lub ratmana nietylko w naukach przechodził podkomorzyców i innych paniczów, ale się z nimi, jako równy z równym, w kłótniach brali za łby i, im kto był większem grafiątkiem, tem mu obfitszą garść wydarł kudełków. Pójść o to na skargę byłoby niezatartą hańbą w oczach wszystkich studentów. Pamiętam, żem

nieraz z szewczykiem Gurklejtem chodził *de plagis* o lekcję i żeśmy ion mnie, i ja jemu porządnych nieraz napędzili guzów. Byliśmy pomiędzy sobą wszyscy — koledzy i bracia.

Zbliżyły się wakacje. Oczarowany Karolem pojechałem na wieś do rodziców. Ojciec, jak zwykle, zaraz nazajutrz wziął mnie na egzamin i konfesatę. Szukał postępów moich w naukach, językach i muzyce. Kazał mi grać parę jakichś tam sonat. Opatrzył garderobę i, nie ufając słabości i pobłażaniom matki, sam obejrzał bieliznę. Co do nauk znalazł wszystko jakkolwiek. Przez ten cały czas, jak struna, wyciągnięty stałem. Dawszy mnie porządne *monenda* za plamy na sukniach i dziury w pończochach, których zacerowania nie dopilnowałem, skończył zapytaniem, z kim *de nomine et cognomine* żyłem i jakie są moje w tym roku przyjacielskie związki. Wyliczyłem i naturalnie na wstępie położyłem Karola. Wysłuchał litanji, bo z kimże się wtedy nie żyło! Zrobił swoje o różnych osobach uwagi. Przyjaźń z Karolem bardzo pochwalił, wiele o nim, jako o urzędniku i jak o człowieku, dobrego i pochlebnego powiedział. Ale zakończył: „Zawsze to nie to, czego sobie życzę. Wdajesz się najwięcej z ludźmi takiego ekstraktu, którzy do dalszej karjery twojej zdać się tobie nie mogą".

Że mnie tak wczoraj zahaczył, na drugi dzień, kiedyśmy wyszli na spacer, naprowadziłem umyślnie rozmowę na Karola. Ojciec mój co do familij, związków, anegdot był encyklopedją chodzącą. Nie wiem, czy w całym kraju był człowiek owej daty, któregoby on nie znał, o którymby nie wiedział, z kogo się rodzi, a znakomitszej kobiety, którejby nie kochał, a co daleko lepiej, od którejby nie był kochany, a przynajmniej lubiany. Zdaje się, że na tę naukę małoby było całego życia, a on z tem, jak z kijkiem w ręku, się bawił, a oprócz tego wiele gruntownych wiadomości i języków posiadał. Było to zawsze przedmiotem najwyższego mojego podziwu i uszanowania. Ledwie mogłem wierzyć tak rozległym stosunkom, do których ja nigdy zdolny się nie czułem (A_{13}). Podwyższało to także w oczach moich znakomitość tego niepospolitego człowieka, który widocznie tak wysoko stał nad tem wszystkiem, co go otaczało zwykle, który się umiał zniżać do miejscowego poziomu i który przytem nigdy w tem, co mówił, nie kłamał, jak tego po tysiąc razy doświad-

czyłem w życiu. Drugiego podobnego charakteru i w tym rodzaju organizowanej od natury głowy nigdym już na świecie nie spotkał. Dla Boga! nie myślcie tylko, że to z mojej strony jakiś antenatyzm, czy antecesoryzm. Broń mnie Chryste Jezu! To każdy żywy człowiek, co go znał kiedy, po dziś dzień powtarza i z ochotą wszystkiemu temu przyświadczy.

Owóż ojciec mój powiedział mnie, że Karol rodzi się z Poznańczyka herbu Nałęcz, przybyłego do Litwy w celu spekulacyjnym. Że, z przywiezionym z sobą kapitałem różnych próbując projektów, skończył na antrepryzie wileńskiego teatru, która mu się bardzo powiodła. Że, zajmując się dyrekcją tego teatru, zakochał się nakoniec i ożenił z aktorką, której sława, piękność, zarozumienie, rozrzutność ale i płaskość zatruły życie tego poczciwego i pełnego delikatności człowieka tak, że ze zgryzot przed czasem zmarł, niemałą pomimo wszystkich żony swojej szałów zostawując jeszcze fortunę. Że brat jej Korwell, rzadkiej piękności mężczyzna, z zapisów pani starościny giegobrodzkiej, Platerowej krasławskiej, niezły posiada majątek. Dodał, że matka Karola, dotąd jeszcze żyjąca, dotąd na różne zbytki syna swego rujnuje i że bardzo mu smutno, że taki zacny człowiek taką mieć musi matkę! O tem wszystkiem nie wiedziałem był ani słowa, bośmy się z sobą na umówionych tylko miejscach dotąd schodzili, razem używali spacerów, ale nie bywali u siebie — on urzędowaniem, ja lekcjami o rozmaitych godzinach zajęci.

Nie umiem opisać, ale je dotąd pamiętam, tego bolesnego uczucia, jakie słowa ojca mojego na mnie zrobiły. Ze trzy dni chodziłem, jak skaleczony, jak nożem w serce przepchnięty! Wyobrażałem sobie, co cierpieć musi ta zacna, ta pełna delikatności dusza, ile ukrywa bólów przed światem, mając matkę, tak mało robiącą jemu zaszczytu, straciwszy ojca poczciwego, dobrego jak ofiarę błędów tak bliskiej sercu jego kobiety! Nie zmniejszyło to zaiste, podwoiło owszem moją dla niego przyjaźń i szacunek.

Wróciłem znowu do Wilna. Ściślejsze jeszcze nastąpiły z nim związki. Raz byliśmy oba na maskaradzie, chodziliśmy z sobą pod rękę. W jednej z sal spotkaliśmy dwie stare kobiety, ku nam idące. Jedna z nich z miną starej królowej i to absolutnej, despotycznej królowej, z miną owej sławnej M-lle Georges,

osobliwszego wejrzenia, wysoka, gruba, tłusta, ubielona, wyróżowana, jak pędzlem, w ponsowej jaskrawej sukni; na głowie beret ogromny, wokoło nie kwiatami, ale różnemi ubrany fruktami. Były tam, doprawdy, gruszki, winogrona, melony, kornissony, ogórki. Boże mój! czegoż tam nie było! Zbliżając się do tej niemaskowanej grupy, tylko co mi się stosowne z języka wyrwać miało słowo, kiedy mój Karol z największem uszanowaniem do tej baby podchodzi i przeciw zwyczajowi, już podówczas przyjętemu, całuje ją w rękę. Krew we mnie zawrzała na taki babie zrobiony zaszczyt. Wysunąłem się więc zręcznie, zostawiłem go w tej miłej kompanji i poszedłem dalej. Sunąc się w tłoku poza oknami, znalazłem wolne miejsce obok staruszka Wieszeniewskiego, kiedyś totumfackiego Zorycza, sławnego faworyta cesarzowej Katarzyny. Ten również, jak i ja, zapalony amator szachów zawsze mi wiele bajał anegdot o tym Zoryczu. Lubiłem go słuchać, więc usiadłem przy nim.

„A gdzie to koleżka?" zapytał.

— „A ot tam zatrzymał się przy jakiejś okropnej babie i jeszcze cmoknął ją w rękę".

Podniósł się stary, zaświecił blaskiem swej łysiutkiej, jak kolano, głowy, zajrzał w tę stronę i, położywszy palec na ustach, rzekł mnie:

„Cyt! albo jej nie znasz? To jego matka!"

Słabo mi się zrobiło.

Karol, mieszkając podówczas we własnym domu na jednem piętrze ze swoją matką, nieraz mnie prosił do siebie. Bywałem wprawdzie czasem na jego połowie, ale zawsze w godzinach, kiedy jego rodzicielki nie było w domu, bo wyjeżdżała statecznie na modny jeszcze podówczas boston co wieczór. Raz wyraźnie mi to powiedział z tą swoją przedziwną, uprzejmą, pełną serdeczności minką, że bardzoby sobie życzył poznać mnie z matką swoją i że w tym celu prosi mnie do siebie na herbatę i podwieczorek. Nie było sposobu odmówić.

Tymczasem Wieszeniewski, dziad gadatliwy, jak się znowu raz ze mną rozgadał przy herbatce z rumem, rozpowiedział mnie wiele rzeczy, odbierających najzupełniej do tej znajomości ochotę. Dowiedziałem się od niego, że między innemi dziwna czasem w ubiorze Karola, dorosłego, cywilizowanego, pełnego

gustu człowieka, dostrzegana arlekinada i śmieszność, zabawny dobór jaskrawych kolorów sukni były wypadkiem nieograniczonego we wszystkiem posłuszeństwa matce. Że on nietylko cały dochód, domu, z majątku swojego, o kilka mil od Wilna położonego, ale i pensję swoją, z urzędu pobieraną, całą, jak jest, matce oddawał. Że ta matka, mając i kamienicę, i majątek ziemski, i jego pensję, zawsze jeszcze mało miała pieniędzy. Że go sama dotąd ubierała po swojemu, jak dziecko, i że dlatego czasem, jak Vert-vert, wyglądał.

Serce mi się ściskało, alem go więcej jeszcze szacował! Poszedłem nakoniec na ten podwieczorek. Pierwszy raz wtedy wszedłem do pokojów jego matki, z pewnym przepychem jak na Wilno ubranych. Drżałem cały, spojrzawszy na rysy rozkazujące, despotyczne tej kobiety, na marsa, jakiegoby w gniewie zaledwie postawił ułan z legjonów polskich. Wąsów jej nie brakowało. Obok niej siedziała jakaś malutka ze wzrostu, ale szeroka z otyłości blondynka, bardzo miłego wyrazu twarzy przy takiej *virago*. Karol, jak jagnię, ciągle tylko rączki i nóżki swojej mamy całował. Przyjmowała to, jak nudzącą ją ze strony syna powinność. Ja byłem czwarty biesiadnik i na mnie był koniec. Ale nie! nie koniec! Była tam jeszcze śliczna, świeża, jak róża, subretka, Rózia, rozlewająca herbatę. Ubrana nieco z aktorska, z krótkiemi rękawami, z wielkim w sukni na przepysznym gorsie wykrojem. A! to mi dawaj! Oczki miała, jak dwa węgielki, włos kruczy; cała postać djabełka kusiciela, to jest, istnej pokusy. Przyszedłszy do równowagi, bo mnie to dziewczę przy tych dwóch babach jak obuchem w łeb palnęło, wszystkie myśli moje, a myśli te świętemi nie były, zwróciły się do Rózi. Tylko przyzwoitość kazała mi uważnie odpowiadać na słowa moich dwóch współbiesiadniczek. W duszy zaś śpiewałem do Rózi tę starą francuską riturnelkę:

„Ah bijou, si je te tenois,
Comme autrement tu sifflerois!"

Morawska, starając się być przyjemną, tym głosem grubym, cierpkim i imponującym, który świadczył o przeszłości, a którego już zmienić nie mogła, zadawszy mnie kilka pytań, zanurzyła

się w biszkoptach i herbacie i szczęśliwie przycichła. Dopieroż pękata blondynka, chcąc rozhowor utrzymać, popisać się *ch'anch'io son pittore*, w długie puściła się wywody o Wolterze, Volneyu i Rousseau i różnemi sposobami starała olśnić dziewiętnastoletnie oczy. Ale na biedę było to właśnie moje pole bitwy! Jak prawie każdy młody poczciwej, czystej duszy, a niebardzo głupi człowiek, uczący się wszystkiego z ochoty, z początku liznąwszy tylko przyrodzonych nauk, i ufny w siły rozumu i honoru, nie rozumiejąc jeszcze dziwnych sprężyn ludzkiego serca, ludzkiego umysłu i zagadek życia, z bogobojnego w cnotliwym i pobożnym domu wychowanego chłopięcia rzuciłem się był w ateizm. Ale wkrótce i to jak raz w tej epoce własnym umysłem przy łasce Pana Boga i czytaniu ojców kościoła, których mi pijarowie, gdziem mieszkał, nie zazdrościli, zupełnie inne wyrobiłem w sobie przekonania. A zapchnięta gdzieś tam, aż w sam koniec serca poczciwej matki nauka wynurzać się ze swej kryjówki i na nowo duszę moją oświecać zaczęła.

Byłem zatem w tej chwili wielce sposobny rozprawiać na świeżo i trafnie i *pro* i *contra*, i tem samem byłem dla tych bab wielce oryginalnym, wymownym. Alem tak mało o czem inszem myślał, jak o ślicznej Rózi, którą potem jakiś bezbożny libertyn zepsował, że po wyjściu mojem stamtąd jej tylko obraz i straszny mars matki Karola przez całą noc stały mi przed oczyma. Rózia mnie wabiła, groźny wzrok Morawskiej odpędzał i w tej grze imaginacji wstałem nazajutrz z samotnego mojego łoża. Blondynka tłusta? jakby jej nie było! Nie zapytałem się nawet nigdy o jej nazwisko, nie zatrzymałem w myśli jej fizjonomji; w lat kilka dopiero dowiedziałem się, kto to był taki!

Żyjąc w ścisłej przyjaźni z Karolem, musiałem się poznać z ludźmi, którzy u niego i jako znajomi, i jak czołobitnicy dla interesu bywali. Poważniejszych i ważniejszych znałem już skądinąd, oprócz jednego Soroki, prezydenta ziemskiego z Oszmiany, ośmdziesiątkilkoletniego jarego starca, chudego, wysokiego, ze zmarszczoną szyją, z obwisłym, jak kieska, podbródkiem, noszącego się po polsku. Dziad ten w tym jeszcze wieku polował z chartami, a niedawno jeszcze, bo w 84 roku życia, pojąwszy żonę młodą i nieszpetną, kilkoro niewątpliwie spłodził z nią dzieci. Ten Soroka dobrze już potem, bo w powstaniu 1831 r.

dobył jeszcze pałasza, jak młody, bił się z Wierzulinem i Czerkiesami, a potem schwycony, sądzony, w więzieniu życia dokonał, podobno stuletni.

Wszyscy inni byli to osobliwsze oryginały, rozmaite a rozmaite mające w sobie śmieszności, których Karol z namiętnością jakąś ku sobie przyciągał, żeby się niemi bawić. Mówiłem już, że był i obserwator i dowcipny. Zbierał zaś tych oryginałów, jak generał Chackiewicz, nie dla złośliwych żartów i drwinek, bo się z nimi najdelikatniej, najgrzeczniej obchodził, ale potrzebował koniecznie naśmiać się z nich w duszy, dezopilować wątrobę, nazbierać wzorków, nadusić się śmiechem w sobie samym bez żadnej żółci, nie dając nawet nigdy im tego poznać. Nieraz widziałem, jak śmiech w sobie samym krępował, jak go to dławiło, a jednak utrzymać go w sobie umiał. I jeśli mu już gwałtem na usta się wybił, natychmiast inny jaki zręczny temu śmiechowi nadawał pozór. Pewny jestem, że ten człowiek, gdyby mu los w spokojności dłużej żyć pozwolił i nie przemienił go w emigranta, wygnańca, wiecznego politycznego tułacza, — pewny, mówię, jestem, że nie dotrzymałby w sobie wszystkiego, co widział, i masa tych spostrzeżeń wyrwałaby się z niego gwałtem w postaci jakiejś dziwnie zajmującej powieści.

Takim, naprzykład, oryginałem był pan Bieńkuński. Drugiego Bieńkuńskiego już nie będzie, już nie może być na świecie! Był to pieniacz, pieniacz nad pieniaczami, prototyp pieniaczów! Zdawałoby się, że trzeba na to być warjatem czy głupcem. On ani tym, ani tym nie był na oko. Szlachta nasza, podówczas pozbawiona zwykłego sejmowego i sejmikowego ruchu, dla dywersji, dla rozrywki, dla ekscytacji rzuciła się była w pieniactwo. Coś spojrzał na kontusz, to się z zanadrza plik dokumentów i prawniczych papierów przezierał! Co żupan-to jurysta! Ale Bieńkuński taki był, że go z nikim i niczem nie było można porównać! Jadł, pił, chodził, całował, kochał, spał, modlił się, kłócił się, godził się z ciągłą myślą utworzenia natychmiast nowego, a jak można, najzawilszego procesu. Otrzymali oni z bratem po ojcu dużą fortunę w Oszmiańskiem. Przypadło na każdego z nich po dwieście chat czystych, bez długu, to jest blisko po dwa miljony złotych. Jakże się nasz kochanek rozpędził, jak zaczął się prawować, sprawę na sprawę, kompromis

— „Porzuć, porzuć wasani. Nie można, nie można! Muszę, muszę! trzeba, trzeba... chorzy czekają!... Ale dajże wasani pokój, kochańciu! Nie drzyj mnie tak szlafroka. Wszak to wspólna własność. Jakież to żarty? Już i tak całą mnie podszewkę wczoraj ztyłu obdarłaś. Pan Lisaniewicz pojechał do Peterburka. Nikt drugiego nam nie sprawi... Puść mnie wasani, duszeczko!... no puść-że, pu—u—uść mnie duszo!"...

— „Ależ ja chcę mieć dzieci! Rozumiesz? Poco mi udajesz gapia?"...

— „Ba! mało kto czego chce! Puszczaj mnie wasani!

— „Ja tobie mówię, że chcę mieć dzieci!"

— „Oho, niejedna wasani chcesz tego. I pan Dobrzański, i pan Karol Przeździecki, ale naco, nie naszym nosem, i książę Antoni Giedroyć, i książę Gabrjel Ogiński aż strach jak chcą mieć dzieci; świat przewrócili, a tymczasem dzieci nie mają. Czemże to wasani lepsza?...

— „Niewdzięczniku! wyrywasz się ode mnie! gardzisz mną! Ach, ty mazgaju, niedołęgo, flaku!"...

— „Nie przeszkadzaj asani, serce moje; widzisz, że się mam golić i jeszcze przy jednej tylko świecy. Zaciąć się brzytwą mogę z przypadku. Niepięknie, żeby chirurg wyszedł na miasto z zakrwawioną brodą. Możemy stracić naszą reputację".

— „Co mi tam twoja głupia reputacja! Co mnie twoja broda! Co mnie z tej brody? Ach, gdybyż to nakoniec dał Pan Bóg, żebyś ty już całkiem gardło choć raz sobie poderżnął! Nie miałabym koło siebie takiego bałwana".

— „I pfe, pfe, pfe, pfe, co to waćpani mówisz! aż brzydko słuchać. Sercuniu, tak już rozpuściłaś język! Nie szanujesz we mnie małżeńskiego starszeństwa. Niepięknie, bardzo niepięknie! To dalibóg, czysta bieda z temi jej spazmami!"...

— „Ja tobie mówię łotrze, że chcę mieć dzieci! rozumiesz? a ty mnie głupstwami nie zbywaj. Zdrajco! Szachraju! Umiałeś konkurując do mnie kupować lalki i cacki i chwalić się, że to zostanie na pamiątkę i na zabawkę dla naszych dzieci. A teraz co? gdzież te dzieci! Ja nieszczęśliwa!... Ja tobie mówię, że chcę mieć dzieci i koniec!"

— „Ja chcę, ja chcę!... humn... łatwo to powiedzieć! Wszakem się nieraz zwierzał wasani, że i ja ich także chcę,

choćby dla spokojności świętej. I ja ich także chcę przez miłość dla wasani, choć to wszystko bardzo wielki kłopot, prawdę mówiąc, ale cóż zrobić? Skąd ich wziąć, kiedy Pan Bóg nie daje!

— „Nie daje, nie daje! Skąd ich wziąć! Co ty mnie uczyć będziesz, zbrodniarzu. A jakże ma dawać, kiedy cię licho od czwartej z rana już z domu wynosi! Ty chcesz mieć dzieci, brzydalu? Ty! O nie! Ty mnie tylko gubisz. Ty młodość moją, ty mój wiek zabijasz! Trutniu, niegodziwcze jakiś!"

— „Ot tobie i masz! Przypomniała dziewic wieczór! Ot, gdzież tam już młodość wasani? Porachuj się tylko... Ale dla pokoju świętego, moja pani, weźże już sobie wreszcie jakiego podrzutka od Dzieciątka Jezus i hoduj go sobie, kiedy już tak dziecka w domu pragniesz! Będę i na jego chleb pracował. Tylkoż na miłość boską, moja duszo, nie piłuj mnie teraz głowy. Jest to chwila, kiedy powinienem mieć całą przytomność umysłu i myśl wolną zupełnie, żebym dla chorych moich coś wykoncypował. Pamiętaj kochańciu, że gorzej będzie, kiedy nie mając i tych głupich dzieci, i chleba czasem nie stanie!"

— „Ja nie chcę twojego chleba! Co mi tam twój chleb! Ja drwię sobie z chleba! Ja się bez chleba obejdę. Ja chcę mieć dzieci! moje własne dzieci! A on mnie daje podrzutków! Patrzcie, jaki filozof!"

— „Nie grzesz wasani Bogu. Nie narzekaj na chleb! Wasani zawsze z rana cierpisz histeryczne kurcze. Teraz zdaje się wasani, że tak. Ale około południa, jak swoim trybem przyjdzie funkcja trawienia, inaczej powiesz o chlebie...

— „Co ty mnie swoje własne narzucasz choroby? Jakie u mnie kurcze? partaczu!

— „Wasani bo, serce moje, nie znasz medycyny. A przytem chcesz tego, czego mieć nie możesz. Wasani musisz być bezdzietną. Zapytaj pana Mianowskiego, kiedy mnie wierzyć nie chcesz. To przecież profesor. Ot, darmo wasani robisz te fochy. Wolałabyś leżeć spokojnie"...

— „Ach, ja nieszczęśliwa! Jakto?... więc to ja, ja winna jestem, że nie mam dzieci! I ty mnie w oczy, w żywe oczy taką rzecz powiedzieć możesz?... łotrze, nędzniku, włóczęgo, oszczerco!

— „Ale bo tak jest. Cóż to poradzić? Nie załamuj wasani tak bardzo rąk swoich... czasem kurcz wpadnie od przesilenia

muskułów ramiennych. A że tak jest, jak mówię, to i pan Kryworotów, i pan Rotsztein, i pan Knakfuss, i pan Kończa, komandor, choć się nie uczyli doktorstwa, jednym głosem przyświadczą. Pan Kończa codzień prawie mnie mówi, że wasani nie będziesz mieć dzieci"...

— „Ach ty wyrodku, potworze, niecnoto! Ty jeszcze śmiesz mi robić przymówki! Ważysz się na honor mój nastawać! Słów mi już, jak Boga kocham, na ciebie nie staje!"...

— „No, co tego, szkoda mówić, to rzadko u wasani zabraknie! Ale wasani leż sobie ciszej, sercuniu. Nie zrywaj się tak gwałtownie z pod ciepłej kołdry, bo zamiast czego lepszego, możesz dostać febrem catarhalem. Wasani tak do zapaleń skłonna! Nakryj się wasani dobrze, a może i zaśniesz jeszcze jaką godzinkę. Adje, moja duszo. Ja spieszę do chorych".

— „A idźże ty już sobie do nich bałwanie! Bodajeś nogi na schodach połamał!

— „Wasani, sercuniu, pleciesz, jak na mękach! Sama nie wiesz, co gadasz. Adje, całuję wasanię w usteczka... Ale, ale ot dobrze, żem sobie o tem przypomniał! Poszlij wasani dla wszystkiego na dół do apteki po lekarstwo, którem wasani do płukania ust przepisał. Adjeu, moje życie, całuję ciebie stokrotnie w usteczka...

— „Patrz-no go, jaki rycerz! Warteś ty mnie w usta całować! Proszę uniżenie, jaki galant! Idź ty sobie do djabła"...

— „Czy tu, czy tam, wszystko jedno", — kończył mówiący sam do siebie mąż, schodząc ze schodów, a pewny swojego.

Przy obiedzie godzono się jakoś w nadziei lepszej przyszłości. Ale nazajutrz rano, o zakład, znowu było to samo.

O Marjańskim chodziło tysiące facecyj. Był on plastronem dowcipnisiów wileńskich. Ale i sam nieraz dowcipnie odstrzelił. Jako chirurg wojskowy służył on naprzód w wojsku polskiem za króla Stanisława Augusta. Pułkownik pruskich wojsk Seculi, wiadomy w historji naszej z okropnych okrucieństw, przy ostatnim zaborze kraju dopełnianych tak, że zdzierał skóry z żywych Polaków, schwycony nakoniec przez Madalińskiego pod Bydgoszczą, z ran w Bydgoszczy umarł. Marjańskiemu we dwadzieścia lat potem przyszło w Wilnie być z przypadku świadkiem

rozmowy o tym Seculim. Chcąc i tu swego dołożyć, zawołał: „Seculi, Seculi! myśmy go zabili!“...

„Jakże to?“ spytał ktoś zboku.

„Madaliński go ranił, a jam go leczył!“ odpowiedział Marjański. Nieraz też opowiadał, zapędziwszy się w przechwałkach i kłamstwach, że, kiedy przeszedł potem za cesarza Pawła jako chirurg do wojsk rosyjskich i, z armją do Holandji na morze Niemieckie i na kanał wysłany, na wyspie Jersey stał kwaterą, zakochawszy się w pewnej Angielce w Londynie, codzień po dwa razy z wyspy Jersey drążkami do Londynu jeździł!

Marjański żył w bliskich stosunkach z komisarjackim urzędnikiem, szulerem i wielkim publicznym złodziejem, niejakim Lisaniewiczem, za którego stara Müllerowa, matka Stanisława, o którym niżej wkrótce mówić będę, pod koniec życia wyszła z miłości. Ten, zbytkując, wszystko trwoniąc, bo bieliznę nawet swoją prać do Paryża posyłał, całą fortunę żony swojej zahaczył i zgubił. Już jak baba umierać zaczęła i umarła, tail to dni kilka, a tymczasem ze swemi przyjaciółmi, co mógł, tylko droższego z domu wyniosł, nim synowie Müllerowej z pułków swoich przyjadą. Marjański wyniósł tym sposobem dla Lisaniewicza ogromny pak nadzwyczaj podówczas drogich brabanckich koronek, cenionych na 40 000 złotych. Słudzy tego dopilnowali, a i inni świadkowie na to byli. Młodzi Müllerowie wytoczyli więc Lisaniewiczowi proces o grabież i między innymi przypozwali Marjańskiego. Ten proces trwał bodaj lat piętnaście, czy więcej. Marjański naturalnie od Müllerów, a szczególniej od bardzo zaburmaszystego Stanisława Müllera, jak od ognia, na ulicach nawet uciekał.

W 1818 roku raz na Antokolu opadły pieszo idącego spadkobiorcę, Stanisława Müllera, zajadłe psy czyjeś i, schwyciwszy go na rejteradzie ku parkanom, całkiem mu t...k skąsały. Powróciwszy do domu, trzeba było posłać po cyrulika. Müller uparł się, żeby posłano po chirurga Marjańskiego. Przyszedł więc i skaleczoną część nieszlachetną ciała z wielką pilnością i staraniem opatrzył, do każdej ranki plumason przyłożył, kompresą nakrył. Ale, skończywszy robotę, zapytał Müllera: „Prawdziwie pojąć nie mogę, skąd się wzięła ta ufność pańska do mnie, kiedy od tylu lat jesteśmy w nieprzyjaźni, bo w procesie?“ Na to Müller:

„Właśnie też to z tego procesu wynikło! Waćpan mnie tego już nie wrócisz, coś wyniósł ukradkiem, bo nie masz z czego. Otóż przynajmniej chciałem, żebyś się za mój żal dosyta na to napatrzył, co ja tylko nieprzyjaciołom moim pokazuję“... Poszło to po całem mieście.

Przedni także bywał u Karola Wereszczyński, marszałek dawny upicki, jeśli się nie mylę, starzec siwy, jak gołąb, z gwiazdą św. Stanisława i wielką wstęgą na białej kamizeli. Był to kiedyś bogacz, dawał ton Żmudzi i ziemiom, około Żmudzi leżącym. Nigdzie się tak wówczas nie bawiono, jak u niego. To też na bale, wieczory, tańce i brednie stracił cały swój fundusz i przyszedł prawie do ostatniej nędzy. Jak mu tylko było już kuso, kładł gwiazdę, kazał w szwarc zakładać do przedwiecznego korabia cztery wychudzone i zgłodniałe harhary i jechał na upatrzonego. Skoro go tylko tak obaczono, całe Wilno wiedziało interes i mówiło: „Oho, Wereszczyński jedzie pożyczać pieniądze“. Propozycje były wiadome, bo zawsze też same. Prosił o sto dukatów na oblig. Spuszczał potem coraz do mniejszej kwoty, kończyło się na tem, że wziął dukata, że na tak małą sumkę nie miał potrzeby wydawać obligu lub karty i że, ścisnąwszy za rękę swego kredytora, do siebie wracał. Znowu parę dni piechotą bez gwiazdy chodził i znowu czterema końmi do czyjejkolwiek zajeżdżał kieszeni.

O nim wyborna, choć nieco tłustawa, chodziła facecja. Za dobrych jeszcze jego czasów Leon Borowski, sławny faworyt księcia „Panie Kochanku“, ściśnięty od wierzycieli, skrył się w jakimś awulsie księstwa birżańskiego i wziął go w dzierżawę. Niedaleko stamtąd mieszkał Wereszczyński, wtedy magnat, u którego cały dom zawsze był pełny modnej żmudzkiej hałastry i wiercipiętów, kręcących się około jego córek. Dumny ze krwi, jak każdy szlachcic polski, dumny z głupstwa, dumny nakoniec z powodu poszanowania, z jakiem go pieczeniarze jego przyjmowali, jednem słowem, trzy razy dumny, uwierzył sam dobrodusznie w znakomitość swoją i dął się zawsze, za wielkiego mając się człowieka. Raz, nie wiem, skąd mu to przyszło, całej kompanji swojej i córkom zaproponował zrobić zaszczyt Borowskiemu i całym dworem pojechać do niego na podwieczorek. Borowski, niespodzianie napadnięty, rad jednak był go-

ściom, ale zaraz postrzegł, że Wereszczyński, jak paw nadęty, nietylko, że go bardzo zgóry traktuje, ale mu we własnym jego domu uchybia, chcąc mu dać uczuć, że swoją wizytą wielką robi łaskę. Borowski był wyga, wiadomy z dowcipu. Krzątając się tedy koło pieczonych kurcząt i śmietany, herbaty i innych nieodbitych wiejskiego podwieczorku atrybutów, coraz, przechodząc, kłaniał się Wereszczyńskiemu i, dotykając ręką jego kolana, z pokorą mówił: „Niech jaśnie wielmożny pan w szlacheckim domu nie raczy sobie robić subjekcji!" Jak to raz, dwa, powiedział, Wereszczyński kiwnął tylko głową. Ale, jak się toż samo powtórzyło razy z dziesiątek, Wereszczyński zniecierpliwiony nakoniec, rzekł mu: „Ależ, mój mosanie, czego wasan chcesz ode mnie? Ja żadnej sobie u asana nie robię subjekcji".

Wtedy Borowski, ułożywszy dobroduszną minkę, rzekł głośno z największą pokorą: „Przepraszam najuniżeniej jaśnie wielmożnego pana, ale od godziny widzę, jak się jaśnie wielmożny pan ciągle nadymasz; b....j sobie, jaśnie wielmożny, pan śmiało: w szlacheckim domu to ujdzie!"

O tym Borowskim, bardzo a bardzo niepospolitym człowieku, jeszcze i za mojego czasu tysiące pełnych dowcipu krążyło anegdot. Jedna z tych, które mi teraz na myśl przychodzą, była, naprzykład, taka.

Borowski, jadąc do Birż, rozlokował się na nocleg w karczmie w Krakinowie na Żmudzi. Karczmarzowi zaś za warunek położył, żeby już więcej nikogo na noc do siebie nie wpuścił. Karczmarz przyrzekł. Około dziesiątej przywlekli się do Krakinowa jacyś panowie w kilka pojazdów. Stanęli pod karczmą i wrota sobie otworzyć kazali. Karczmarz, wierny słowu, nie słuchał. A byli to książęta Giedroyciowie z Białłozorami, jadący na mający się sądzić pomiędzy nimi kompromis przez Billewicza, Bystrama i Laudańskiego w Kiejdanach.

„A nuże, otwórz nam łotrze!" — wołali przybylcy.

„Nie mogę, panowie, bo karczma zajęta".

„Któż tu nocuje?"

„Pan Borowski".

„Hej Macieju, Wincenty, wysadźcie wrota i wyrzućcie tego szlachcica!"

Borowski, który wszystkiego tego wysłuchał, otworzywszy

okno, z najzimniejszą krwią głośno powiedział: „Piękny to szlachcic, co ma sześćkroć sto tysięcy długu." Podróżni natychmiast pojechali dalej.

Powiadał mi ojciec mój jeszcze, że raz za polskich czasów gdzieś w Nowogródzkiem, do jakiegoś obywatela na piknik zaproszony, z wielu innymi zjechał. Gościnny i ludzki gospodarz przedniego kuflami wynosił węgrzyna. Był tam i Borowski. A choć głowa tęga, tak żłopał, że się spił najpierwszy. Że tam, jak to mówią, była „przynuka", a ojciec mój do kieliszka nie był ochoczy i zdatny, unikając pijatyki, wyszedł i usiadł sobie na ganku. Padał drobny deszczyk. Borowski tymczasem, czując potrzebę, słaniając się, wyszedł także na ganek, stanął podle rynny, odchylił poły i swoje robić zaczął. Żeby mu nie przeszkadzać, ojciec mój wrócił do sali. Ale, jak go tam obskoczyli z kuflem opoje, wymknął się znowu i, woląc nieco zmoknąć, niż się upić, poszedł do stajni. Borowski stał zawsze na tem samem miejscu i w tej samej postaci. Po kwadransie wraca mój ojciec i z zadziwieniem widzi, że Borowski aż dotąd jeszcze w tej samej pozycji stoi i gorzko płacze. Zapytał go tedy: „Co tu pan tak długo robisz i czego płaczesz?"

— „Ratuj mnie waćpan dobrodziej", zawołał Borowski, oblewając się łzami: „nieszczęśliwy jestem, straszliwego dostałem defektu! Od godziny już s..., s... i w... się nie mogę!" Cóż to było? Borowski, pijany, stał przy rynnie, z której woda przy drobnym i powolnym deszczu drobnym lała się strumieniem. Słysząc ten odgłos, zdawało mu się, że to on od godziny skończyć nie może. Ta anegdota poszła i długo po całej Litwie chodziła.

W dalszej liczbie oryginałów, zbieranych przez Karola, był, naprzykład, pisarz Dmochowski, brat rodzony dzisiejszego arcybiskupa, przez piekielnego zbrodniarza, starego sługę swojego, dla pieniędzy, u niego w lokacie będących, zamordowany i na sztuki potem pocięty. Był to cnotliwy, zacny, poczciwy, kochany, wielbiony od wszystkich człowiek. Ale każdy wyraz tak powoli mówił, a przytem taki był gaduła, że uszedłeś sto kroków, nim on jedno słowo w całości powiedział, a tysiąc, nim sensu dokończył! Zaraz go tedy sadził obok niejakiego Biernackiego, u którego istny młyn był w gębie i, jak zaczął mówić, to leciał a leciał.

Takim także oryginałem był stary, wyższej sfery, urzędnik



Profesor Zacharjasz Niemczewski.

i majętny obywatel Downarowicz, który gryzł ciągle prawej ręki paznokcie (albo zarodki już tylko swoich paznokci) i dlatego bez przerwy przy gębie je trzymał. To byłoby jeszcze pół biedy, ale w tym czasie, obfitym u starych w nałóg przysłowia, Downarowicz ni mniej, ni więcej miał tylko takie: „a pfe, mospanie, tego, co chciałem mówić, panuleńku!" I to wszystko co do litery bez żadnej nigdy wyrzutni do każdego prawie wyrazu dodawał. Downarowicz ten zaraz, sztuką gospodarza, siadał przy ojcu Ignacym, jubilacie ks. ks. bernardynów, a kiedyś profesorze w Datnowie, który co słowo z przyciskiem powtarzał: „Mossamo!" Skrócenie widać używanego dawniej przysłowia: „Mospanie mój!" Kiedy bernardyna nie było, spuszczał Downarowicza z doktorem Rosołowskim, który ciągle powtarzał: „Uważa pan sobie".

To wszystko dziwną i zabawną robiło mozajkę do ułożenia której trzeba było *sui generis* talentu Chackiewicza, albo Karola. Wszystko to zresztą byli ludzie wcale niegłupi. I na tem właśnie cała zależała sztuka, żeby ich zebrać i żeby pomimo to żadnemu z nich na myśl nie przyszło, że są umyślnie dla swoich śmieszności zebrani.

ROZDZIAŁ VII.

Że mi już parę razy, czy więcej w tym krótkim czasie wybiegło na pióro imię Chackiewicza, chociaż go nie znałem, wspomnieć o nim muszę. Imię to jeszcze tak było popularne w chwili zamieszkania mojego w Wilnie, tak na ustach każdego potrzebne, jak sól w potrawie. Generał Chackiewicz należał bez wątpienia do typów, które się już więcej w przyszłości nie znajdą i które przeszłość ująć powinna w swoje ramiona, żeby się nie wymknęły pamięci. Trzeba, aby jakikolwiek ślad o nich pozostał.

Byli zawsze awanturnicy i będą, każdy w swoim rodzaju, stosownie do ducha towarzystwa i do ducha czasu. Byli zawsze i będą pokątni łotrkowie, swawolnicy, rozpustnicy, szulerzy, złoczyńcy na małą skalę, ginący w cieniu i okryci pogardą tej nawet lichej cząstki społeczeństwa, co im za sferę działania służyła lub służy, których imię za granicę traktjeru lub szynku nie wyszło. Ale Chackiewicz był szlachetny król łotrów w całej powadze i potędze majestatu, był to genjusz wyuzdanych swawolników, psotników, otoczony zadziwieniem, przychylnością, miłością, owszem szacunkiem wszystkich słojów europejskiego towarzystwa, to jest towarzystwa całej Europy. Był to Rinaldo, czy Fra-Diavolo, łotr, po którym płaczą na całym świecie i którego śmierci żałują sto razy więcej, niżeliby żałowano poczciwych lorda i lady, którym Fra-Diavolo wypłatał figla.

Pisząc niedawno do Bułharyna, znamienitego naszego rodu potomka, który tak, jak i Sękowski, wysokiej nabył sławy w literaturze rosyjskiej i drogę Rosji do dalszego ostatecznego kształcenia się piórem swojem otworzył, mówiąc o pamiętnikach jego, powiedziałem te słowa: „Ale dziwi mnie, dlaczego dotąd nic jeszcze nie wspomniałeś o rzadkim typie, o osobliwszym

człowieku, o polskim Casanovie, o Chackiewiczu, o generale Chackiewiczu, którego każde słowo iskrzyło się dowcipem, każdy giest był figlem i konceptem, każdy ruch pałasza cięciem Skanderberga? O człowieku, w którym wytworność, hojność, grzeczność, wspaniałość wielkiego pana łączyły się z cynizmem diogenesowego brutala, najwyższa drażliwość miłości własnej z zupełną abnegacją punktu honoru. O człowieku, który sam siebie wszędzie osławiał i czernił, którego wszyscy, jak Kartusza, się bali, a którego mimo to wszędzie z uszanowaniem i miłością przyjmowano?"

Portret ten zdaje mi się dosyć trafnie naszkicowany, a kilka z pomiędzy tysiąca tysiąców pozostałych o nim anegdot może usprawiedliwią niektóre punkty tego, com o nim powiedział. Uprzedzam, że pamięć moja zatrzymała z nich dotąd podobno najlichsze. Pisząc od ręki na wsi i oddalony od wszelkich z ludźmi owego czasu stosunków, bardziej interesujących przytoczyć o nim nie jestem w stanie.

Jak mówię, nie znałem generała Chackiewicza, chociaż wtedy całe Wilno pełne jeszcze było jego imienia. Od 1815 r., lubo żył podobno do 1823 r., nie pokazywał się już tutaj, czy dla wieku, czy że się już czasy z korzeniem były zmieniły. Mieszkał na Wołyniu w dobrach swoich, albo w Europie, bo dla niego kursy z Kijowa do Londynu, Neapolu, Paryża, Wiednia i t. d., choć jeszcze dróg żelaznych nie znano, tyle było, co muszce z trzewika na gors pięknej dziewczyny przelecieć.

Nie wiem początków rodu Chackiewicza. To wiem, że był w polskich legjonach, że służył we Włoszech i pod Bonapartem i pod Championetem, że go obadwa ci mężowie wielce poważali i lubili. Wieść chodziła, że w jednej bitwie, kiedy Championeta oskoczyli Niemcy, Chackiewicz jednem cięciem pałasza zniósł łeb największemu z atakujących drabów, a wszędzie dawał dowody niepospolitej odwagi. Ale i to mówiono, że kiedy mu się bić nie chciało, kiedy do tego nie czuł humoru, to nieraz, drwiąc i śmiejąc się, zmykał z placu bitwy, nie dbając i nie gniewając się wcale o to, że go tchórzem ogłoszą, bo i miał za sobą *anteriora* i każdy wiedział, że to swawola, dziwactwo, kaprys, a nie tchórzostwo. Oddaliwszy się z wojska, przeleciał Europę, zgrał w karty świat cały i raptem wpadł do Wilna, wówczas prawdziwego

Eldorado szulerów, obciążony ogromną masą gotówki, drogich kamieni, sprzętów, serwisów, słowem wszystkiego. Pokazał się odrazu i stanął, jak magnat. Zaraz też zaczął po swojemu życie.

Chackiewicz był przystojnej twarzy, męskiego wyrazu i przystojnej urody. Głowę zawsze do góry zadartą nosił. Głos miał silny, zuchwały i pewny. Manjerę dziwnie, kiedy chciał, przyjemną, którą jednakże ustawicznie stosownie do okoliczności zmieniał. Dowcip, chytrość, figlarność patrzały, skakały mu z oczu. Najdroższą odzież, najdroższą zawsze świeżą paryską bieliznę nosił z umysłu niedbale, wszystko na nim leżało jakby od niechcenia. Fraki podarte, koszule zgniecione, ale, jak śnieg białe. Upuścił kieskę, złotą tabakierkę, a podjął ją czyjś lokaj, już to jego było! Otoczony był ciągle zgrają pieczeniarzy, swawolników, psotników i łotrów, których nazywał „plotkami", a wziętych co do litery z każdego towarzyskiego stanu. A im kto większym pokazał się łotrem, tem większe od niego w oczach wszystkich odbierał mniemanego poważania dowody. Zdawało się, że dawał *proemium* najpodlejszemu z nich. Ale się to tylko zdawało, bo i znał dobrze ludzi, i umiał ich cenić. „Płotki" mieli najzupełniejsze prawo do jego wytwornego stołu, do jego mieszkania, do jego zbytków, do jego kieszeni. Codzień brali garściami złoto z jego szkatuły. Ale za to na każdy rozkaz, na wszystko gotowi być byli powinni. Lecieć z kąta w kąt Litwy, Wołynia, Ukrainy, Podola lub dalej i dalej pocztą natychmiast dniem i nocą, żeby wypłatać figla, zemścić się na kimś zręcznie, wybadać, gdzie są pieniężne młokosy i dudki, gdzie będzie i kiedy wielkie zebranie ludzi, bal, jarmark, piknik, albo coś podobnego, a zatem i szulerka. Gdzie stoją kwaterą generałowie i pułkownicy rosyjscy, czy mają i jakie mają gotówki? Czy ochoczy są do gry w karty? jak można ich zwabić? jakie są ich słabości, miłostki? czy umieją w grze kręcić? i t. d. A przytem „płotki" najściślejszy byli powinni zachować sekret, największą dysymulację pod obawą srogiej, wszechwładnej, a nieuniknionej Chackiewicza zemsty.

Sam o sobie mawiał zawsze, że jest najpierwszym na świecie łotrem. Jeśli gdzie komu coś grubego skradziono, powiadał zaraz: „Zobaczycie, że na mnie to złożą!" Nieraz ubogiemu

dał całą garść złota, znowu innego czasu, czy z kaprysu, czy z wiadomością rzeczy odmówił komu skórki chleba.

Ale zejdźmy już do tych kilku o nim anegdot. Będzie to, jak Francuzi mówią, jakieś *salmigondis*, jakieś *pot-pourri*, jakaś siekanka, ale cóż robić. Wreszcie nie jego wina, kiedy to powiem niezgrabnie.

Była, naprzykład, w Wilnie pani Bobiatyńska, żona wicegubernatora, kobieta, którąby dziś ekscentryczną albo lwicą nazwali. Wtedy, że jeszcze mało było warjatek i nazwisk tych jeszcze nie było, zwano ją kapryśnicą, fiksatką, dziwaczką. Niebardzo piękna, ale miłej twarzy Żmudzinka, Montwiłłówna z domu, sławna była z rozmaitych wyskoków, z chęci dawania tonu całemu miastu, z chęci wykazania dobrego tonu i z przyjemności w salonowem kole. Miała zawsze przy sobie śliczną w całem znaczeniu tego wyrazu i umyślnie wyszukaną rezydentkę, jako przynętę do jej własnej wędy na wileńską rybę. Kiedy mnie do niej raz ojciec mój wprowadził, a miałem wówczas lat dziesięć, pamiętam, jak dziś, uczucie dziwne, nieznane mi dotąd, jakąś rozkosz głowy i oka, której opisać nie jestem w stanie. Przedstawiony jej bowiem, kiedym po wyuczonym ukłonie podniósł głowę na swoje miejsce, zobaczyłem przed sobą na sofie dwie śliczne młode kobiety — ją samą i pannę Petronelę Abramowiczówną, rezydentkę, powszechnie sławną z dziwnej piękności, — ale tak wygorsowane, szczególniej pannę, żem dzieckiem będąc, ledwie nie odszedł od zmysłów. Tak mnie widok prześlicznych, pełnych, białych, jak śnieg, okrągłych i do ostatka prawie obnażonych piersi całego zajął i porwał! Od tej chwili zabrało się w krew, czy w nerwy moje i przylgło to uczucie estetycznej, a nie materjalnej albo lubieżnej rozkoszy, jaką we mnie zawsze potem obudzał widok prawdziwie pięknych piersi niewieścich, jeżeli na nie mogłem patrzeć bez przeszkody, dowoli. Rzecz niepojęta! że w każdym takim razie przychodziły mi zawsze przez całe życie (na pamięć), owe dawne już piersi panny Petroneli, którą niestety! w wiele lat potem, ale już starą i zgrzybiałą panną widziałem. Bo ufna we wdzięki swoje, tak przebierała, że się nakoniec i konkurentów przebrało! A szkoda!...

Powiadano wówczas o pani Bobiatyńskiej, jak później już będąc starszym słyszałem, że toaletę swoją do ostatnich wymysłu

posuwała krańców. Że działanie perfum, pomady i papilotowego żelaza aż tam zwracała, dokąd się ono nigdy u innych kobiet nie zwraca. Czegóż o niej nie mówiono? a wiele i najważniejszych rzeczy niesprawiedliwie! Kto cokolwiek w tych rzeczach nabył doświadczenia, wie, że nie te śmiałe, wesołe, puste, starające się każdemu przymilić, ledwo że nie każdego zaczepić — żony i córki dają najwięcej kłopotów mężowi i matkom. To te skromne ze spuszczonemi oczkami niewiniątka; to te na oko jagnięta, co najżarłoczniejszego w sobie zwykle noszą wilka!

Bobiatyńska była to pusta kobieta, trzpiot, dziwacznych kaprysów pełna, ale nie była kobieta występna. Do jej wymysłów należała, naprzykład, śmieszność, że jeżdżąc ruską uprzężą, kiedy wszyscy jeszcze podówczas angielską lub krakowską jeździli, a zatem mając nieodzownego forysia, który podług w Rosji przyjętego zwyczaju powinien był dla ostrzeżenia przechodzących krzyczeć „*padi*“ z całego gardła, co rano przy fortepianie uczyła tego forysia, jak *pa—a—a—di* najpiękniejszym wyśpiewywać tonem. Owóż śród tych fantazyj, kiedy swój apartament odświeżyła i na nowo ubrała, wprowadziła u siebie zwyczaj, żeby przychodzący do niej goście, jak w małem mieście zazwyczaj piechotą, obuwie swoje w przedpokoju pierwiej oczyszczali. Na ten cel dwóch galonowanych zawsze ze szczotkami i szuwaksem stało lokajów i operację tą zręcznie odbywali. Rozeszło się to natychmiast po Wilnie. Chackiewicz także się o tem dowiedział. Raz tedy, idąc koło Bobiatyńskiej mieszkania, otoczony całym sztabem swoich szubrawców, rzekł do nich: „Panowie, odwiedźmy i wice-gubernatorową, ale wprzód dobrze zawalajmy w rynsztoku buty“. Jak powiedział, tak się stało. Weszli. Anonsują Chackiewicza. Gospodyni domu z radością przyjmuje. Nuż tedy spoceni lokaje całej tej czeredzie urwiszów żwawo czyścić buty! Zajęło to blisko kwadransa. Bobiatyńska na miękkiej sofie w malowniczo przybranej pozie cały ten czas czekała. Kiedy już wszyscy goście oczyszczeni byli, Chackiewicz, niby z przypadku dobywszy zegarka, zawołał: „Aj, panowie, wszak to my już teraz u pana N. koniecznie byćbyśmy powinni!“ — a obróciwszy się do lokaja: „No, już późno, podziękuj, swojej pani za wyczyszczenie butów i bywaj zdrów“. I wyszli!

Odtąd ta moda u Bobiatyńskiej ustała.

Miał Chackiewicz dawnego sługę, do którego się był szczerze przywiązał. Ten z nim wszystkie odbywał podróże. On zawsze podawał karty. Od talji brał, jak wtedy, po dukacie, a codzień wiele zbierał dukatów! Kiedy już dobrze kabzę nabił, ubierając raz pana swego, odważył się mu powiedzieć: „Dziękuję j. w. panu za służbę".

Chackiewicz, jak szydłem tknięty, zbasił się jednak i zapytał: „A dlaczegoż to, mój kochany?"

— „Oto z łaski pańskiej zebrałem sobie już fundusik. Chciałbym już pójść na własny chleb odpocząć".

— „A—a—a wieleż to już zebrałeś", rzekł śmiejąc się serdecznie: „powiedz mi szczerze?"

— „E, panie, chwała Bogu, jest już około trzech tysięcy dukatów".

— „Tam do djabła! to ty bogatszy ode mnie!"

— „He, he, he, jaśnie wielmożny pan żartuje!"

— „No dobrze. Żałuję ciebie, bo kocham ciebie, przywykłem patrzeć na ciebie. Słuchaj, Walenty. Byłeś moim sługą dotąd i odtąd bądź moim przyjacielem. Któż mi lepszym przyjacielem być może? nie rozstawajmy się! Przenieś się ty tu do mojej sypialni. Będziemy żyć razem, będziemy codzień patrzeć na siebie. Któż mi od ciebie milszy? Schowaj swój kapitał, żyć będziesz na mojem wszystkiem".

Walenty się zgodził.

Wieczorem zeszli się goście. „Panowie", rzekł Chackiewicz: „znaliście Walentego, jako starego mojego sługę, teraz wam go rekomenduję, jako przyjaciela mojego. Wart tego, zaręczam. Proszę go za takiego uważać, kto na mnie łaskaw".

Nowy kamerdyner najęty. Życie szło po dawnemu.

Tak przeszło parę tygodni. Walenty chodzi z Chackiewiczem pod rękę. Za jego krzesłem siedzi przy kartach, widzi, jak Chackiewicz zagarnia złoto! Aż raz mu powie Chackiewicz: „Cóż to ty, panie Walenty, szczęścia nie spróbujesz?" A Walenty cały dzień patrzał, jak tysiące dukatów z jednej kieszeni przechodzą do drugiej.

— „Boję się, panie!"

— „Głupiś. Ot na pierwszy raz sprobuj ze mną w motję."

Walenty poszedł w motję. Wygrał dukatów dwieście. Nazajutrz wygrał sto dukatów. Bo szczęście coś nie szło bardzo obydwum. Nazajutrz już sam chciał spróbować swojego szczęścia; grał na siebie — i przegrał. Zachciało mu się odchwycić. Przegrał znowu. Potem wygrał dwadzieścia dukatów, potem znowu przegrał. Ale się do gry serdecznie zapalił. Przeszło znowu parę tygodni. A gra ciągle była szalona, jak zwykle u Chackiewicza. Ale po tych dwóch tygodniach walki ze szczęściem pan Walenty grać przestał. Mija dzień, mija drugi, — Walenty siedzi i nie gra! A siedzi zasępiony i smutny.

— „A cóż to, panie Walenty", rzeknie Chackiewicz; „dziś nie grasz? Siadaj że, siadaj, nie dziwacz się w uczciwej kompanji."

— „Nie, panie dobrodzieju, dosyć już!"

— „Jakto dosyć?"

— „Dosyć!"

Wziął go tedy na bok Chackiewicz i pyta: „Powiedzże, czemuż nie grasz?... tyle złota na stole!"

— „Oj, przyznam się panu, djabeł mnie skusił, a Pan Bóg mnie ukarał! Wszystko, co miałem, przegrałem!"

— „Oho—ho, żartujesz waszeć sobie!"

— „Jak mi Bóg miły, doprawdy!"

— „Doprawdy?"

— „Tak jest, panie dobrodzieju."

— „Ależ pomyśl sobie tylko, trzy tysiące dukatów!"

— „Wszystkie co do grosza przegrane..."

— „Pódź-że mi, durniu, natychmiast znów do przedpokoju! A służ mi wiernie! Wynieść mnie zaraz bebechy z sypialni! I pamiętaj, że jak raz mi skrewisz, to ci siedm kościołów pokażę!"

Walenty, podkurczywszy ogona, znowu służyć zaczął. Chackiewicz zgrał nieboraka umyślnie, żeby mu dać lekcję.

Pomiędzy „plotkami" Chackiewicza był niejaki ksiądz Snarski, kanonik drążkowy, podobno żmudzki, wielkiej ręki łotr i infamis. Zrobiony w wiele lat potem kuratorem ks. ks. kamedułów pożajskich pod Kownem okradł ich do nitki i oddany pod sąd w więzieniu podobno umarł. Ten Snarski, jako arcykapłan psotników, miał najwyższe poważanie generała. Trzymał się długo przy nim, brał od niego, wiele sam chciał,

pieniędzy, ale je zaraz na kobiety, karty, szynki marnował. Chackiewicz, opuszczając Wilno, nie brał z sobą nigdy żadnego z „plotek", bo miał wszędzie pełno podobnych. Póki go więc tu nie było, łotry te, jak niedźwiedzie, własną łapę ssać musieli.

Kiedy zatem raz uwiadomił swych adjutantów, że jedzie do Baden, Snarski wpadł na koncept pożywić się jego dobrem i na samem wyjezdnem, jak już sprzęt spakowano, dopilnował momentu, kiedy generała w domu nie było i, wpadłszy do kamerdynera zdyszany, zapotrzebował niby imieniem Chackiewicza dla jakiegoś handlu ogromnej srebrnej na 36 osób wazy. Kamerdyner w dobrej wierze dał mu ją i sam nawet serwetą obwiązał. Snarski z tą wazą natychmiast z Wilna czmychnął i skrył się. Szukać go nie było czasu. Chackiewicz wyjechał.

W rok potem dopiero niespodziewanie wrócił. Snarski na biedę był wtedy w Wilnie! Raz Chackiewicz z „plotkami" szedł sobie Dominikańską ulicą, kiedy na niego na rogu najniespodziewaniej z Biskupiej ulicy natknął się Snarski. Źle. Snarski struchlał, bo wiedział, że to nie przelewki! Podjąwszy tedy rewerendę, jął zmykać, osobliwie zobaczywszy wyciągnięte do niego z potężną palicą Chackiewicza ręce. Ale ten go dopędził, schwycił, ucałował, uścisnął, mówiąc: „Niech ci Bóg da zdrowie! Rozumiałem, że ja jestem pierwszy szelma na świecie, alem się z radością przekonał, że ty sto razy większym jesteś ode mnie. Chodź do mnie, zapomnijmy o naszych kwasach!" Snarski poszedł. Chackiewicz przyjął go, jak zawsze, a o wazie nigdy więcej mowy nie było.

Generał stosownie do ówczesnej w Europie wielu rozpustnych magnatów mody dawał niekiedy przyjaciołom swoim, tak nazwane, rajskie wieczory. Najsławniejsze z wdzięków publiczne lub wolne kobiety pod największym sekretem przy zabitych zielonem suknem oknach na rozciągniętych na parkiecie miękkich gobelinach, na sofach czarnym aksamitem pokrytych bawiły się z mężczyznami, na takie wieczory zaproszonymi, w zupełnym stanie natury bez najmniejszego okrycia. Kosztowało ułożenie takiego wieczora w małem, jak Wilno mieście, tak dla dobrania form nieposzlakowanych, jako i dla samego sekretu, stosunkowo ogromne sumy. Kilka razy Chackiewicz zapraszał na tę zabawę ojca mojego.

Ale ten, choć kobieciarz i zmysłowiec, nie mógł w sobie przełamać złączonego z takim widokiem wstydu i statecznie odmawiał. Raz, spotkawszy ojca mojego na ulicy, Chackiewicz rzekł: „No, szambelanie, skromniutka panienko, odmawiałeś mi moich wieczorów, dajże mi słowo, że mi jutrzejszego nie odmówisz obiadu. Dalibóg, nic tam nieskromnego nie będzie! Przychodź o pół do drugiej". Przyszedł o naznaczonej godzinie. Był tylko sam Chackiewicz w różowym humorze. Około drugiej wszedł Peterson, zacny obywatel, pełen rozumu, ale zprzodu i ztyłu garbaty. Potem kanonik Zienkowicz, także najokropniej garbaty. Potem ktoś trzeci znowu garbaty. Chackiewicz z największą uprzejmością gości swoich witał. Ale, jak się o drugiej wszyscy już zeszli, okazało się, że oprócz ojca mojego i samego gospodarza wszyscy zaproszeni co do jednego byli sami tylko garbaci! Tym sposobem szatan ten spraszał do siebie jednookich, kulawych, zezowatych i t. p. A tak umiał uprzejemnić biesiadę, tak wytworne dawał obiady, że goście odurzeni albo nie mieli czasu domyślić się i dostrzec, że byli na kpiny sproszeni, albo, dostrzegłszy tego nawet, woleli zjeść dobrze i napić się *en famille* a udać, że się niczego nie domyślają, niż się napróżno dąsać. Nigdy się też nie gniewali za taką sztukę.

Kochał się on czy doprawdy, czy udanie w niejakiej pannie Chełchowskiej, co potem za Justyna Abramowicza wyszła, pięknej, dobrej i bardzo słusznej urody dziewczynie. Co ona, to się w nim szczerze, jak kot kochała, ale chciała być jego żoną. Tego właśnie Chackiewicz nie chciał! I, jak zwąchał, że nic z tych miłostek nie będzie, zaczął sobie z niej robić żarciki. Naprzykład takie. Założył się z kilkunastu lampartami o pięćset dukatów, że o godzinie trzeciej po południu znajdą go rozebranego w łóżku panny Chełchowskiej w dniu naznaczonym. Notabene ta panna już w pewnym wieku zwyczajem, podówczas przyjętym, mieszkała sama swoim dworem w oficynach klasztoru panien święto-michalskich. O drugiej przyszedł do niej Chackiewicz. Bawił ją z pół godziny niewyczerpaną miną swojego dowcipu, do łzów naśmieszył. Potem zmienił humor, zaczął się nagle skarżyć na ból głowy, na mdłości; pot zimny na niego wystąpił, coraz mu gorzej i gorzej! Naostatek na fotelu zemdlał. Poczciwa Chełchowska przelękniona robiła, co mogła. Przyszedłszy

do siebie nieco, ale nadzwyczaj jeszcze słaby, prosił gospodynię, żeby mu pozwoliła położyć się na jej łóżku. Perswadowała mu, że będzie toż samo albo i lepiej jeszcze na kanapie. Ale, jak się znów dziwaczyć i płakać, jak dziecko, zaczął, jak mu się oczy, jak do mdłości, przewracać zaczęły, zgodziła się, niebożątko, a sama pobiegła kazać robić herbatę. Chackiewicz już w łóżku, zasłoniwszy się kotarami, rozebrał się w mgnieniu oka do rosołu i kołdrą się nakrył. Była to akurat trzecia godzina. Wpadają, wdzierają się gwałtem zaczajeni już u schodów zakładnicy i z największem podziwieniem i Chełchowskiej i swojem, odkrywszy kołdrę, widzą, że zakład wygrał!

Taki rodzaj postępowania nie mógł do gruntu serca nie oburzyć Chełchowskiej. Zrobiła mu więc okropną scenę, pokłóciła się z nim, jak tygrysica, zabroniła domu, ani na oczy nie puszczała. Ale co większa przez zemstę niektóre powierzone sobie przez Chackiewicza sekrety z wielką jego szkodą po mieście rozniosła. Za wszystko przepraszałby i żałował szczerze, ale to ostatnie oburzyło go wzajemnie. Przysiągł się zemścić. Jął tedy pokornego udawać, a przebaczenia w słodkich biletach gorąco prosić, słodsze jeszcze posyłać prezenty, bo go zawsze jeszcze widzieć nie chciała. Nie mogło się silnie oprzeć tym karesom i tak miękkie i skłonne ku niemu serce, i Chełchowska, która zrazu odmawiała wszystkiego i wszystko odsyłała zpowrotem, skruszona zczasem, siaki taki zatrzymała koszyk z fruktami, bo bardzo przytem była na to łakoma. On sam skurczony, unіżony, zgnieciony, zdeptany nie śmiał jeszcze u jej pokazać się progu.

Tak stały rzeczy, kiedy raz Chełchowskiej, będącej na wielkim wieczorze u podkomorzyny Jelskiej, z domu Sapieżanki, doniesiono, że jest kamerdyner Chackiewicza z jakąś dla niej posyłką. Był to śliczny, na paryskim papierze, uperfumowany bilecik, w którym ją znowu przepraszał i prosił, żeby załączającą się baryłkę świeżo w tej chwili do Wilna przybyłych astrachańskich winogron przyjąć łaskawie raczyła. Przyjęła ją i do salonu wróciła. Aż tu ktoś czy z podmówionych czy przypadkiem o winogronach mówić zaczął. Zachciało się Chełchowskiej swojemi popisać. Przyniesiono baryłkę. Goście stół naokoło obsiedli. Odbito baryłkę. Wszyscy łakomie czekali. Aż tam z jaglanej

krupy jak zaczęto wydobywać żydowskie stare pantofle, końskie jabłuszka, najobrzydliwsze obrzydliwości tak, że wszyscy ze zgrozą wstali i od stołu się cofnęli. Chełchowska zemdlała. Chackiewicz, cynik, był już na drodze do Wiednia.

Jadąc raz niby do wód, a stamtąd do Paryża dla kuracji, a rzeczywiście dla szulerki, i posłyszawszy, że bodaj w Monachjum rada miejska utrzymywała podówczas klub karciany, w którym burmistrz, poczciwa dusza, był prezydentem, a razem najlepszą w mieście trzymał oberżę, postanowił tam zręcznie się obłowić. Ogromną tedy żółtą basztardą zajeżdża do tej oberży, prosi o gospodarza najgrzeczniej i zamawia z najskromniejszą miną pierwszy numer mieszkania. Gospodarz nie pokazuje się. Chackiewicz prosi znowu o łaskę odwiedzenia siebie. Burmistrz nakoniec przyszedł.

Tymczasem rozpakowywano basztardę. W ciągu wizyty wniosło kilka ludzi, uginając się pod ciężarem, dwie z pod siedzenia bliźniaczki, szkatuły, a Chackiewicz, obróciwszy się do gospodarza, przeprosił go raz jeszcze, że go utrudza, ale dodał, iż dlatego chciał się z nim osobiście zobaczyć, że pierwszy raz w życiu jest zagranicą, że niemieckiego nie posiada języka a ma przy sobie ogromne pieniądze. Że go zatem pyta, czy może być w jego oberży pod tym względem bezpieczny. Zresztą, że się zupełnie pod opiekę szanownego gospodarza oddaje i z ufnością o jego dla siebie życzliwość prosi.

Niemiec ujęty wszystko przyrzekł, za bezpieczeństwo zaręczył, na obiedzie u Chackiewicza został. „Ale może bo pan myślisz, że to bagatela?" rzekł do gospodarza generał: „teraz niema tu nikogo, obaczno pan tylko". Otworzył śpiesznie kuferki; pod skórką zamszową pełne były dukatów, jak oko! Przegarnął je nieco palcami i znowu zamknął. Niemcowi aż się słabo zrobiło.

Nastąpiła zaraz dobra komitywa. Niemiec polskiego grafa, oddanego zupełnie literaturze i naukom, po wszystkich ciekawościach i bibljotekach miasta obwoził. Ale nakoniec i to się skończyło. Chackiewicz zaczął okrutnie ziewać, tęsknić i nudzić się. Niemcowi go żal! „Ot" — powiada: „żebyś to pan lubił, naprzykład, karty a nie starożytności i książki, dałbym panu rozrywkę. Mamy tu klub. Prawda, że tam można grubo przegrać

ale zato i grubo wygrywają ludzie. Tam się najlepsze zbiera towarzystwo". Chackiewicz zlekka i półgębkiem wymawiać się zaczął, że mało zna grę, że się kart boi, jak ognia, i że ma taką nieszczęśliwą naturę, że jak tylko czy wygrywać czy przegrywać zaczyna, traci kontenans i największe głupstwa robi. Niemiec obiecał trzymać go za połę i poszli. Przed bankierem leżała ogromna kupa złota. Mnóstwo ludzi grało. Chackiewicz przegrał, wygrał, znowu przegrał, coraz bardziej niby zapalać się zaczął, potniał, czerwieniał i w porywie zapamiętałości *„va banque"* zawołał. Struchlał i bankier, struchleli otaczający. Naostatek po krótkiej przerwie bankier odezwał się do Chackiewicza: „Dobrze to będzie, kiedy pan wygrasz", i, kłaniając mu się z uszanowaniem, dodał: „ale jeżeli przegrasz?"... Na to Chackiewicz z największą uprzejmością powiedział: „Masz pan rację, ale spodziewam się, że pan prezydent klubu tutaj obecny, który widział moją gotówkę, za uiszczenie się moje natychmiast zaręczyć może". Burmistrz zaręczył. Zaczęto ciągnąć. Klub był w salonach wielkiego domu na wzniesionem *rez-de-chaussée*. Okna wychodziły na ulicę. Było lato. Chackiewicz zdyszany, zziajany z talją kart w ręku rozpiął frak, rozpiął kamizelkę, rozwolnił chustkę na szyi, otworzył okno i siadł na niem, jakby na koniu, przewiesiwszy jedną nogę na ulicę. W ogólnem zamięszaniu nikt nie miał czasu dojrzeć tej ostatniej nieprzyzwoitości. Nakoniec karta szczęśliwie wyszła. Chackiewicz cały bank zabił. Członkowie klubu i akcjonarjusze rwali sobie włosy na głowie, bo było tam z pół miljona złotych. Niema co! Ładowano złoto do worków. Chackiewicz z najzimniejszą krwią, brząkając dewizkami od zegarków, bo wtedy po dwa nosili, zabawiwszy jeszcze z kwadrans, salon pożegnał i do domu wrócił.

Przybiegł wkrótce i burmistrz, winszując mu tak wielkiego szczęścia. Wory jeszcze leżały na stole, u bramy stała już zaprzężona i upakowana żółta basztarda.

„Jakto? Pan wyjeżdżasz?" — „Natychmiast". — „Ależ, dla Boga, cóż tak pośpiesznie?" — „Owszem, akurat w samą porę".

I odliczywszy śród tego z worka tysiąc dukatów, ofiarowuje gospodarzowi. Niemiec z radości ledwie nie zemdlał i ręce dobroczyńcy całował. — „Nie dziękuj mnie waćpan tak bardzo",

rzekł Chackiewicz: „bo w szczęściu mojem więcej, jak myślisz, miałeś udziału. I zaprawdę, dobrześ ten grosz zarobił". Niemiec nie rozumiejąc tej mowy, ukłonił się z uszanowaniem.

„Panie burmistrzu", mówił dalej Chackiewicz: „żegnam już pana, ale przyjm ode mnie jedną przyjacielską radę. Nie ręcz nigdy za ludzi, których dobrze nie znasz. Ręczyłeś dzisiaj za mnie. Zajrzyj, co było w moich szkatułach". Coś tam doprawdy było na wierzchu trochę złota na dwa może na trzy tysiące dukatów, a potem liczmany, potem piasek, potem kamienie. „Gdybym", rzekł: „przegrał, siedziałem w oknie, miałem już jedną nogę gotową na dworze. Wyskoczyłbym natychmiast, basztarda moja stała wtedy na trzeciej ulicy gotowa unieść mnie cwałem. Nimbyście do ochwatu przyszli, jabym już był daleko! Dowiedz się waćpan, że ja jestem stary i doświadczony szuler, który umyślnie przyjechałem tutaj spróbować szczęścia i, w psią poszywszy się skórkę, bank tutejszy zerwać. Cóżbyś wtedy robił, kiedybym przegrał!" Niemiec stał z rozdziawioną gębą, jak osioł. Chackiewicz włożywszy w żółtą basztardę swoje pieniądze, ścisnąwszy go za rękę, szczęśliwie pojechał!

Zdarzyło się na kijowskich kontraktach w dużem zgromadzeniu nocnem cywilnych i wojskowych wyższego rzędu graczy, że Chackiewicz bank ciągnął, siedząc pomiędzy dwoma rosyjskimi generałami. Ten, co był z prawej jego strony, przegrywał ciągle, dąsał się i dostrzegł, że Chackiewicz filuje i kręci. Zerwawszy się tedy raptem, uderzył w twarz Chackiewicza. Ten z najzimniejszą krwią powstał i zamiast oddać krzywdzicielowi, palnął w twarz niewinnego, siedzącego po lewej stronie generała, wołając z uśmiechem i pokazując ręką, jak to w grach studenckich bywa: „*Sequens*" (żeby to szło niby dalej kolejką). Wszyscy parsknęli ze śmiechu i to, co mogłoby się stać burdą i awanturą, skończyło się na koncepcie i szampańskiem winie.

Jakiś młody Litwin, człowiek bez fortuny, ale cały filozoficznym abstrakcjom oddany a przytem pedant, nasłuchawszy się o Chackiewiczu, wielką do niego czuł odrazę i wzgardę, chociaż go osobiście nie znał, i, gdzie tylko mógł, z nią się nie tail. W towarzystwie młodych i bogatych ludzi ostrzegał ich, żeby się jego, jak ognia, bali i strzegli. Chackiewiczowi, który z opinji o sobie drwił zawsze, tutaj nie na rękę to poszło. Nieraz bowiem tym

sposobem młody ten człowiek najlepiej ułożone szulerskie plany pomięszał mu zupełnie.

Chackiewicz wściekał się w duszy, szukał sposobu do zemsty. Ale ten Litwin wkrótce do Warszawy się przeniósł. Z wiadomości, jakie tymczasem o nim „płotki'' przynieśli, tyle się tylko dowiedział, że ten młody człowiek o tem tylko we dnie i w nocy roi, żeby mógł być zagranicą. Tę wiadomość Chackiewicz sobie, jak to mówią, na wąs zakręcił, a w kilka miesięcy potem w pewnej i już ułożonej nadziei obławy do Warszawy przyleciał. Tam się znowu na biedę spotkał ze swoim nieznajomym antagonistą, bo ten znowu napiętą już na jakiegoś młokosa strunę najzupełniej zerwał.

Ha! Wtedy już wszystkich sił dołożył Chackiewicz, żeby tego pana poznać i z nim się zaprzyjaźnić. Bardzo mu to z jego niepospolitym talentem życia łatwo i po sercu poszło. Młody człowiek, fetowany, karesowany, karmiony, oczarowany dowcipem z nieprzyjaciela w zaprzedaną Chackiewiczowi zamienił się duszę. W rozmowach wyznał mu chęć nieprzezwyciężoną jechania za granicę, ale razem przyznał się, że nie ma za co! „Czy o to tylko chodzi, mój drogi?" rzekł Chackiewicz: „uspokój się! Za ośm dni najdalej ja jadę za granicę w wygodnym pojeździe i całą przebiegnę Europę. Jeżeli twoja nieporównana nauka i zdolności tego tylko ostatniego wymagają wykończenia, rzecz już w kieszeni! Siadaj i jedź ze mną na moim koszcie. Nie troszcz się o nic. Nawet dla pewnych powodów, mając potrzebę ukryć się czasem za tobą, chcę, żebyś po pańsku mógł w razie danym wystąpić. Dlatego pozwól, żebym ci natychmiast stosowną i wykwintną sprawił tu garderobę, resztę dopełnimy zagranicą''.

Jak powiedział, tak zrobił. Młodzieniec ledwie że mu do nóg nie upadł. Pojechali. Przyjechali do Drezna. Chackiewicz, nim jeszcze wysiedli, zapowiedział owemu towarzyszowi podróży, że tu właśnie dla pewnych powodów nie chce występować, a zatem prosi go, żeby paradne już wcześnie dla niego zamówione mieszkanie w oberży on zajął, a Chackiewicz tylko dwie malutkie weźmie dla siebie stancyjki. Jechali bez odpoczynku dwa dni i dwie noce. Kawaler chciał się zaraz rzucić w łóżko. Ale Chackiewicz, zobaczywszy afisz na stole z ostrzeżeniem, że tego

wieczora będzie maskarada, a już właśnie wieczór się zbliżał, zmusił młodego wojażera iść na nią i posłał dla niego nająć w teatralnej dyrekcji, jakiś tam karykaturalny kostjum. Sam zaś we fraku z nim na parę godzin pojechał, a potem razem z nim wrócił. Napili się nakoniec herbaty, uraczyli się wieczerzą i poszli spać. Ale jak tylko młody człowiek twardo już zasnął, zabrawszy mu wszystkie odzienie i bieliznę, i wszystko, co mu był sam sprawił w Warszawie, to jest zabrawszy mu co do joty wszystko, a zostawiwszy przy łóżku tylko najęty maskaradowy kostjum, opłaciwszy w oberży za owe dwa pokoiki, a resztę na śpiącego w paradnych apartamentach panicza zwaliwszy, zabrał się natychmiast z manatkami i w nocy pocztą wyjechał. Biedak młody spał snem niewinności do samego południa. Obudziwszy się, chciał wstać, ale oprócz teatralnego kostjumu niczego przy sobie nie widzi. Dzwoni. Garson z oberży powiada mu, że tamten pan już od dziesięciu godzin wyjechał. W rozpaczy rzuca się, nie dowierzając jeszcze, do gabinetu. Tam na stole ćwiartka papieru leżała, a na niej te słowa: „Wykręćże się teraz jak będziesz umiał! Ale naucz się, błaźnie, że Chackiewiczowi ani w Wilnie, ani w Warszawie, ani nigdzie bezkarnie szkodzić ani go obrażać nie można".

Łatwo sobie wyobrazić rozpacz tego biednego człowieka! Bez odzieży, bez bielizny, bez grosza w obcem miejscu w maskaradowym staroświeckim, haftowanym szychem fraku! To był krwawy tygrysi koncept! Więcej tu haniebnej złości, niżeli mściwego dowcipu! Składka rodaków dozwoliła mu zaledwie po kilku miesiącach nędzy wrócić do Warszawy z tak upragnionej kiedyś do obcych krajów podróży.

Chackiewicz, bywając w Wilnie, stawał zawsze w domu Müllerów, zajmując tam największe pokoje i płacąc zwykle po dukacie na dzień. W 1815 r., sam Müller mnie to opowiadał, Chackiewicz, przyjechawszy do Wilna i stanąwszy w tym samym apartamencie, kiedy się przypadkiem krzątającego się tam burgrabiego o cenę mieszkania zapytał, ten odpowiedział, że po dwa dukaty na dzień płacić będzie musiał. To mu się zbyt drogo wydało. Posłał zatem burgrabiego do gospodarza, ale ten tożsamo potwierdził. Nazajutrz poszedł sam do Müllera. Ten odpowiedział, że zarząd domu należy do jego żony. Chackiewicz



General-gubernator Leoncjusz Bennigsen.

poszedł do żony. Żona z ceny nie ustąpiła, składając się wielką drożyzną opału. Wściekał się w duszy na taką bezowocną pielgrzymkę nasz bohater, ale nie było co robić! Mieszkał za tem około dwóch miesięcy i regularnie po dwa dukaty opłacał, a u Müllerów bywał a bywał. Nakoniec, przyszedłszy raz do samego, zwierzył mu się, że musi na trzy dni wyjechać do Niemieży pod Wilno, gdzie się ma zjechać partja szulerów. Że stamtąd znowu na tydzień albo i więcej do Smorgoń i Oszmiany pobieży. Że zatem prosi go, żeby mieszkanie na jego rachunek utrzymane i opalane było do jego powrotu. Müller zgodził się chętnie, ale Chackiewicz wyciągnął go w tem jeszcze na słowo honoru, a potem pojechał. Opałają, czekają dwa, trzy, cztery, ośm tygodni, nie najmują tych pokojów nikomu. Chackiewicz nigdy już odtąd nie pokazał się w Wilnie, ale tylko w rok potem kazał się przez kogoś Müllerów zapytać, czy dobrze im za ich zdzierstwo odsłużył!

Miał syna godnego, zacnego, skromnego młodzieńca, który potem na wojnie nogę utracił. Tego kiedy komukolwiek przedstawiał, od tego zawsze zaczynał, że rekomenduje ostatniego łotra, który się w niczem do poczciwego ojca nie udał. „Patrzcieno tylko, państwo", mówił: „dwa lata już, jak temu błaznu darowałem repetjer Bregueta, a on dotąd ma go jeszcze! Jabym na jego miejscu sto razy już tę cackę przegrał, przehandlował albo jakimkolwiek sposobem sfrymarczył. Zobaczycie państwo, że nic z niego nie będzie!"

Ale trzeba już te brednie zakończyć anegdotą, która stała się powodem złej Chackiewicza fortuny. Mieszkając w ostatnich latach w dobrach swoich na Wołyniu, noszony na ręku od Potockich, Moszyńskich, Świejkowskich, graniczył z niejaką starą panną Borzęcką, bogatą, wielkich familijnych stosunków osobą, ale dumną i kłótnicką. Ciągłe były spory i sprawy o las i granice, aż to nakoniec do żywego Chackiewiczowi dojadło! Przez zwykłą swawolną zemstę podał tedy do ministra denuncjację, że panna Borzęcka co rok sekretnie po jednym, a może i po więcej poddanych J. C. M. za granicę wywozi i tam ich zostawia. Że nawet zato nie ręczy, żeby to nie byli rekruci.

Zrobiło to hałas, komisję, śledztwo. Wiadomo było oddawna wszystkim, że Borzęcka co rok wyjeżdżała za granicę. Komisja

zebrała się. Chackiewicz z dowodami stanął. Te były takie, że panna Borzęcka co rok na sekretny połóg wyjeżdża do Austrji i tam dziecko swoje zostawia. A ponieważ składa i na to dowody, że ojcowie tych dzieci bywali i z takiego stanu, z którego oddają ludzi do rekrutów, przeto on ręczyć nie może, żeby ta pani i rekruta tym sposobem kiedy nie wywiozła.

Był to żart krwawy, koncept piekielny. Ale już się była gwiazda Chackiewicza zmieniła i zbladła. To, coby mu dawniej poszło na korzyść, dziś i przez komisję śledczą za zuchwałość i lekceważenie ministra i przez familję Borzęckiej, silną i bogatą, za śmiertelną obrazę poczytane zostało. Podano wzajemnie na niego wiele słów i mów politycznych i jako wielce dla rządu niebezpiecznego wskazano. Przy forsie wszystkich krewnych Borzęckiej Chackiewicza wywieziono do Wiatki, gdzie w nudzie, bezczynności i niewygodach nakoniec życie położył.

Wróćmy teraz do swojego.

ROZDZIAŁ VIII.

Mówiłem o ludziach, spotykanych u Karola Morawskiego. Z pomiędzy nich wielu opuszczam, bo mniej warci portretu, ale muszę powiedzieć słów kilka o Rosołowskim, doktorze, poecie i pod każdym względem osobliwszym oryginale.

Stanisław Rosołowski, przez młodych trzpiotów dla dopatrzonego jakiegoś tam niedostatku jednoj... zwany, rodził się z aktorki, wtedy, kiedym go poznał, za innego aktora już wyszłej. Tę wiadomość, mówiąc nawiasem, gorzko zwyczajem moim opłaciłem. Kiedym bowiem był z nim raz w teatrze na „Cydzie", gdzie sławna podówczas Ledochowska i Werowski, przybyli z Warszawy, głowy nam dziwnym swoim talentem zawracali, psuła wszystko podrzędna aktorka Kuczyńska. Żywy, otwarty i zawsze głośno myślący nie mogłem siedzącemu obok mnie Rosołowskiemu nie powiedzieć: „Ach, żebym mógł, tobym tej krowie, Kuczyńskiej zadał rózgami! A toż się Boga nie boi tak psuć całą sztukę!" Siedzący z drugiej strony sławny dowcipniś i kalamburzysta hrabia Günther szturchnął mnie pod bok, a potem ostrzegł, że to właśnie Rosołowskiego matka. A niechże ich śnieg spali! Któż o tem mógł wiedzieć! Ale to nauka. Jak się tylko pomiędzy ludźmi wycierasz, dowiaduj się, kto ich matka, kto ojciec, kto siostra, kto żona. Będzie ci z tem wygodniej, choć zasada trochę egoizmem trąci. Jak tego zaniedbasz w szlachetności duszy twojej, zrobisz sobie co krok nieprzyjaciela. I ty, cobyś swe serce dla ludzkiego rodzaju z piersi swych ochotnie wydarł, słynąć zaczniesz ostrym, szorstkim, złośliwym i egoistą! Przezorniejsi zaś, jak anieli z główką tylko i skrzydełkami, unosić się będą nad ludźmi i za aniołów dobroci uchodzić. Owóż tedy Rosołowski bez żadnego własnego funduszu podał się na

10*

koszt skarbowy w fakultecie lekarskim i medycyny wyuczył. Do niej ani ochoty, ani nawet wrodzonego nie miał talentu. Co dziwna, — bo w każdej innej rzeczy trafnie obserwował. Przy łóżku chorego tracił głowę, choć zucha nadrabiał, i podług mnie w praktyce nie wart był nawet lichego cyrulika. *Quid pro quo* i śmieszności jego w tym względzie w całych tomach by się nie zmieściły. Uczniowie skarbowi powinni byli siedm lat w rządowej służbie za stypendjum odsłużyć. Posłano go gdzieś daleko w głąb Rosji, gdzie jeszcze nie znano, że jest, że może być jaka medycyna. Stamtąd się jakoś natychmiast, jako niepotrzebny, za urlopem do Wilna wydobył. Naprzód za chorego a potem, jak mówiono, i za umarłego się podał i w Wilnie ostatecznie pozostał, do dziś dnia od skarbowej, jak lis, wylizując się służby. Już to samo dowodzi, że był sprytny, chytry i filut, a przytem cale niegłupi, choć czasem z umysłu doskonale głupca udawał. Nie każdemu podobna tej uda się sztuka, tem bardziej w Wilnie, gdzie wtedy więcej było lekarzy, niż chorych, i gdzie jeden na drugiego z zawiści zębami zgrzytał.

Rosołowski po łacinie umiał, język polski znał, jak Kopczyński, w doborze jędrnych wyrazów pełen był gustu, skłonność przemagającą do poezji podtrzymał dosyć obszerną nauką. Za poetę jednak niesłusznie miany, był tylko gładkim wierszopisem i nie wiem, czy w sile tłumaczenia cudzych poezyj po Ludwiku Osińskim ktokolwiek dotąd mógł się z nim zrównać. Wstrzymać się od wierszy nie było w jego mocy, tymczasem te chleba nie dają! choć raz mu go i dały, kiedy nas wszystkich dwurublową prenumeratą na swoje niby dzieła oszukał. Ale zawsze to się przejadło i trzeba było żyć z medycyny! Puścił się tedy na różne fortele i tyle niemi dokazał, że nieużywany w mieście, na wieś w skutku sekretnych intryg był rekomendowany i wysyłany. Stamtąd, jeśli nie pieniądze, to worki ze zbożem i kadzie z kapustą przywoził. A miał kogo karmić. Bo, zwąchawszy się z piękną dziewką, córką znajomego całemu Wilnu poczciwego piekarza Opitza, tak się jakoś jej przysłużył, że trzeba było zaraz iść do ślubu, a potem prosić zaraz na chrzciny! Ale i później Pan Bóg obficie mnożył, bo często bywały i chrzciny, i mamki, i niańki. Ten tedy Rosołowski, medyk niezdolny, potrzebą ciśniony, łakotniś, obżartuch, broniący się zawsze od

jadła słabością zdrowia, a jedzący za czterech, za pięciu i, jak miotłą, zmiatający półmiski, a z drugiej strony zakamieniały egoista, który sobie powiedział, że wszystko zniesie, byleby tylko coś skądkolwiek mógł zarwać, byleby gdzie smaczny schwycił obiadek, czuł dobrze, że tylko językiem, nie mającym wrzodu, śmiałością, efronterją, długą w buńczuczne wyrazy ubraną gadaniną i złośliwym dowcipem mógł imponować naszym wiejskim półpankom. Mówić zawsze bez końca, mówić tak, żeby ciemni słuchacze na dwoje wróżyli, żeby go nie rozumieli a stąd za mędrszego jeszcze mieli, rzucać kształtem wysłowienia się śmieszność czasem na samego siebie, ale znów błysnąć raptem oryginalnością pomysłu — stało się głównym przedmiotem jego starań i jego dążenia. Naturalnie, że i z nami od nałogu odstąpić nie mógł, chociaż wiedział, że go dobrze znamy. Jako wielki i bardzo często dowcipny gaduła nietylko jeszcze podówczas był w naszem towarzystwie przyjemny, ale nawet żądany. Sypaliśmy jego dykcjom pochwały. To go do większych jeszcze ostrzyło wysiłków. Uwierzył w siebie i spaczył się nakoniec doreszty. Puścił się w drobnostkach na małego spekulanta i lisa, na małego pokątnego plotkarza. Nie było przedmiotu, z któregoby on, jak iskry z krzesiwa, nie wydobył zysku. Prawda, że dotąd i żonę i bardzo zdolne, poczciwe a niepodobne do ojca dzieci, Bóg wie, jak wyżywił i wyedukował. Ale, nabrawszy w tem wszystkiem, o czem wyżej powiedziałem, jakiegoś tyku, „*un pli*", jak mówią Francuzi, porzucić go nie był w stanie i to, co zamłodu było, albo zdawało się być tylko wesołem, zabawnem, śmiesznem i znośnem, przemienione w systemat, a co więcej w jakiś rodzaj chluby z okpiszu stało się na starość jego nikczemnem i podłem. Człowiek ten po latach wielu, jakem go potem zobaczył, przeobrażony w rajfura zalotnych kobiet, w bezwstydnego miejskiego plotkarza i kłamcę, w również albo bardziej jeszcze bezwstydnego żarłoka, chwytającego gwałtem za kieszeń młodych paniczów, zasiadającego gwałtem z tobą w pierwszych traktjerach, każącego sobie bezczelnie podawać najdroższe i najlepsze trunki a potem zmuszającego cię płacić za siebie, wciskającego się bezwstydnie na proszone i dobrane przyjacielskie obiady i schadzki, gdzie go mieć wcale nie chciano, i obecnością swoją trującego całą przyjemnej zabawy nadzieję —

stał się prawdziwym biczem, prawdziwym trutniem Wilna i dobrze zasłużył na wzgardę, którą jest powszechnie okryty i której wzgląd na jego ubóstwo w żadnym sposobie zmniejszyć nie może.

W takich zabawach i rozrywkach przepędziliśmy z Karolem lat dwoje, ciągle swą powziętą ukrzepiając przyjaźń. W tym drugim roku przyszedł czas dla mnie ukończenia uniwersyteckich kursów. Zdałem szczegółowe ścisłe egzamina, *examen rigorosum* zwane, odbyłem tak nazwane *inclusum*, gdzie mnie, zamkniętemu na zamek ze wszystkich stron i zewsząd ścisłą otoczonemu strażą, na trzy losem wyciągnięte pytania bez żadnej pomocy, bez książki w zaspakajającym sposobie i po łacinie odpisać obszernie należało. Uznano mnie godnym stopnia doktora. Napisałem dysertację, podałem mistrzom moim tak nazwane *Theses*, to jest pewniki moje, których w czasie ceremonji bronić przeciwko wszelkim zarzutom miałem, i sam się, jak kapucyn, między czterema ścianami w kolegjum pijarskiem dla przygotowania się do tej obrony na dzień i na noc zamknąłem. Nie wychodziłem nigdzie, nie wiedziałem, co się dzieje na świecie!

Bo też ówczasowy obrządek doktoryzacji był coś prawdziwie wspaniałego i zostawiającego pamiątkę na całe życie. Dziś — to tylko brednie.

Naprzód w dzień, przez radę Uniwersytetu pod przewodnictwem rektora naznaczony, słudzy i wachmistrze tej instytucji po całem mieście roznieśli i do rogów ulic przybili piękne na ogromnych arkuszach drukowane afisze z doniesieniem uczonemu i nieuczonemu światu, że taki a taki dzisiaj o tej godzinie doktoryzować się będzie. Publiczność wileńska, z uczniami Uniwersytetu sympatyzująca i jakby zrosła, a przez nich i dla nich kochająca nauki, zbiegała się zwykle w wielkiej masie na te uczone szarmycle. Aula, to jest ogromna paradna sala uniwersytecka, była najczęściej, jak nabita. Z jednej strony stał rząd fotelów dla rektora, dziekana, profesorów i adjunktów. Przed fotelami rektora, dziekana i sekretarza Uniwersytetu stały stoliki. Z drugiej strony były krzesła dla uczonych gości, mających stopnie uczone. Na szarym końcu, to jest ztyłu, z boków i zewsząd naokoło były ławki dla publiczności. Otwierał ceremonję rektor *magnificus*, jak go wtedy zwano, w purpurowym aksa-

mitnym suto złotem haftowanym płaszczu, białym atłasem podbitym a, jak wieść studencka niosła, jeszcze od króla Stefana Akademji darowanym. Przed rektorem szedł bedel w paradnym mundurze i niósł srebrne berło, także od króla Stefana w upominku dane. Za rektorem dziekan, a potem profesorowie w ponsowych mucetach i togach, z pod których granatowe z kołnierzem błękitnym złotem szyte wyglądały mundury. Togi także białym atłasem były podszyte, galonami bramowane po brzegach. Adjunkci mieli tylko ponsowe mucety, togi czarne. Wszyscy wogóle mieli aksamitne ponsowe birety na głowie. Dawało to widok dziwnie wspaniały tak, że kiedym potem widział zebrania publiczne rządów paryskich albo izb rządowych najwyższych w kraju, których ten tak zawołany Paryż także jest stolicą, ubóstwo paryskich kostjumów skakało mnie w oczy, a ci, co się spodziewali mnie tym obrzędem zadziwić, sami zdziwieni byli, że na to z zimną krwią patrzę. Niechajby popatrzyli na ówczesną paradę uniwersytecką w Wilnie.

Na końcu pierwszych rzędów krzeseł, ode drzwi w środku sali stał stolik i krzesło, miejsce uczonego, dobijającego się o stopień. Rektor, albo w niebytności jego dziekan, otwierał posiedzenie. Z wybranej z pomiędzy tez, przez kandydata podanych, czynił mu zarzuty. Na te ambient, wysłuchawszy stojąc zarzutu, odpowiadał siedzący. Po dziekanie zarzucali z różnych materyj inni profesorowie. Dopiero po nich sekretarz Uniwersytetu donośnym głosem wołał: „*Cuilibet doctori datur obieciendi potestas*", to jest, że każdy mający stopień doktora tej nauki ma prawo czynienia innych jeszcze zarzutów. Czy z powodu rozprawy, czy z powodu tez występowali zatem siedzący z przeciwnej strony uczeni, nie należący już do Uniwersytetu, a tym znowu odbywający prymicję bronić się musiał. Kiedy już to wszystko przeszło, dziekan, przykryty biretem, odczytywał ambientowi rotę przysięgi, którą on słowo w słowo głośno powtarzać musiał, wkładał mu na głowę ponsowy aksamitny biret, na plecy takiegoż koloru aksamitny mucet, na palec pierścień, z urzędu całował go w czoło i publicznie doktorem ogłosił.

Członkowie Uniwersytetu opuszczali zaraz potem w tym samym porządku salę.

Tu dopiero zaczynały się powinszowania, w skutku których po wyjściu z tych uczonych murów cieszono się przygotowanym już wcześnie dla przyjaciół bankietem i szampańskiem winkiem. Te ostatnie oddziały obrzędu, lubo do uczonego fachu nie należały, wielki walor miały jednakże.

Siedziałem tedy raz w mojej celi zagłębiony we wszelkie podobieństwo zarzutów, jakie mnie w czasie doktoryzacji zrobić na moje twierdzenie można było, i stosownej na nie szukając broni, kiedy wpadł do mnie gwałtownie nieznajomy zziajany fagas i spytał o mnie samego.

— „Kto waćpan jesteś i czego chcesz ode mnie?"

— „Proszę pana, na miłość Boską, pospieszać zaraz do pana Karola Morawskiego. Matka jego umarła. On w rozpaczy traci przytomność. Zawieziono go do pani Müllerowej. Ja jestem burgrabią jej domu i mam polecenie natychmiast przywieść tam pana."

Porwałem za kapelusz i nie wiem, jak się u drzwi domu Müllerów znalazłem. Karol był niepodobny do siebie, zdenerwowany, ze zmienioną i przewróconą (?) twarzą, w spazmach i targaniach całego ciała. Ledwom sam, patrząc na niego, nie umarł. Matka umarła z pęknięcia serca, ledwie że nie nagle. Jak tu cieszyć? Co mówić w takiem nieszczęściu przyjaciela? Ściskałem go tylko i milczałem.

W takiem położeniu byliśmy, kiedy się otworzyły od bocznego pokoju i weszła, a raczej wtoczyła się do nas malutka, niemłoda a bardzo pękata dama, niosąc sama na srebrnej tacy szklankę limoniady. Ukłoniłem się z uszanowaniem. Ona z uprzejmością powiedziała mnie, że nazywa się Müllerowa, że jest gospodynią, to jest panią tego domu, przyjaciółką Karola, że mię zna już, bo mię u matki jego widziała, i że, zobaczywszy go w tym stanie u siebie, pod niebytność męża, który był w Petersburgu, po wywiedzeniu się, kogo Karol najlepiej lubi, po mnie posłała.

Takie i w takich okolicznościach było poznanie się moje z panią Elżbietą Müller, którą, nie wiedząc i nie pomnąc o tem, kiedyś u matki Karola widziałem, jak sobie, porównawszy jej mowę z niniejszą powieścią, przypomnisz. Lepiejby dla mnie było, żebym jej nigdy nie znał. Ale poco uprzedzać!

Oświadczyłem, że pomimo gwałtownego zajęcia się mojego w ten moment część każdego dnia i całe noce poświęcę przyjacielowi, dopóki mu lżej nie będzie. Ona uprzejmie swoich chwil wolnych obiecała nam także udzielić. Pobiegłem na moment rozporządzić się w domu i z sobą kilka książek przyniosłem. Na biurze w pokojach, gdzie był Karol, a które, jak się dowiedziałem potem, były mieszkaniem samego Müllera, leżało w porządku dużo pięknie oprawnych książek. Obejrzałem tytuły. Był to Wolter, sławny podówczas Jouy i Faublas, czy z przypadku, czy umyślnie przez panią domu tam zostawione. Tamte dwa znałem. Faublasa edycja była przepyszna. Skusiły mię jego ryciny. Na noc tedy, przez którą czuwać obowiązałem się, zamiast uczonych moich foljantów wziąłem się do Faublasa, któregom nigdy nie czytał i o którym, to dla honoru wychowania mojego powiedzieć muszę, żem się aż do tego czasu (a miałem lat blisko dwadzieścia) nigdy nie słyszał. Czytało się go tedy z wielką ciekawością. Karol znał ten romans. Wdzięk stylu i komizm wielu sytuacyj, niech sobie, co chcą, o tem mówią hipokryci i mędrkowie nasi, nie interesować w Faublasie nie może. Jest to zapewne na dzisiejszy czas, gdzie lubią co karta palić, mordować, gwałcić i zabijać, trochę rozwlekle, trochę *à l'eau rose*, ale obraz salonowego obejścia się, pokojowego paplotania, intryg i kobieciarstwa, do nas jeszcze w pierwszą ćwierć XIX-go wieku doszłego i u nas nawet praktykowanego, tak jest prawdziwy, że ten z ludzi mojego czasu jest hipokrytą, kto, przeczytawszy Faublasa, ze mną się nie zgodzi.

Czasy się zmieniają, a z niemi zmienia się i duch wszystkich społecznych stosunków. Głupi ten, co tego nie pojmuje i coby żądał, żeby za króla Dawida tak się we wszystkiem obchodzono w salonie, jak w 1848 roku. Albo coby drwił, jak robią teraz, ze zwyczajów owego czasu dlatego, że nie są do naszych podobne. Na nieszczęście takich właśnie ludzi najwięcej, ale to rozumowi ich nie robi i nie zrobi nigdy zaszczytu. Za mojej młodości kwitnęła jeszcze sztuka podobania się kobietom, zajęta z XVIII wieku. Trzeba było naprzód być silnym, czerstwym, mieć na twarzy rumieniec i, jeśli można, być pięknym. Trzeba było odpowiadać przytomnie, mówić zręcznie, dowcipnie, być samemu wesołym, żeby nie nudzić innych. Trzeba było być do wyszukania, do

zbytku grzecznym dla damy każdej, młodej i starej, brzydkiej i pięknej. Trzeba było wiedzieć, jak usiąść, jak trzymać kapelusz, jak wziąć do ręki łyżkę, jak z tej łyżki wciągać w siebie zupę czy inny płyn jaki bez wydawania w tej operacji dzisiejszego hałasu, który chłopi na wsi „siorbaniem" nazywają. Trzeba było wiedzieć, jak wziąć i trzymać nóż i widelec u stołu, jak użyć serwety i t. p. Im kto zgrabniej, lepiej, trafniej dopełniał tych warunków, tem za lepiej wychowanego był uważany. Smrodu tytoniu lękano się, jak dżumy.

Dzisiaj po latach dwudziestu kilku inne przyszły zwyczaje, prosty skutek dzisiejszej literatury i dzisiejszych romansów. I wyznać należy, że zwyczaje te wygodniejsze są od tych, którem opisał. Dosyć, naprzykład, co i wtedy tylko z innym skutkiem bywało, zniszczyć zdrowie w swawolnych wybrykach, w dziewiętnastym roku wyblednąć i wyschnąć, jak mumja, sparaliżować kwiat młodości w pierwszym jego zalążku, łotrować po kątach, jak się podoba, a, zmordowawszy się rozpustą i bezsennością, wejść do salonu między kobiety, szturchając boki i następując na nogi każdemu po drodze, a niosąc w całym sobie magazyn cygarowego smrodu, stanąć w końcu sali, nic nie mówić, wzdychać, nudzić się, poziewać, rozeprzeć się o ścianę, drzwi, okna, jak dawniej w szynkach tylko robiono, rozwalić się w fotelu, założyć nogę na nogę, słowem iść zupełnie za popędem natury i czucia wygody, żeby dziś dać o sobie wyobrażenie niepospolicie wychowanego człowieka. Żeby dać o sobie wyobrażenie wszystkim, że człowiek, co to posiada, co niby drobnostkami, które stanowią grzeczność, pogardza, jest człowiekiem wyższej sfery, wyższych namiętności i uczuć. Że wulkan jego serca, ogień jego duszy, lawa jego dążeń wytrawiły, zniszczyły wysuszyły na moment to ciało. To dzisiaj bohater salonu. Tego dzisiaj szukają kobiety. Może on być i głupi, jak stołowe nogi, — tem lepiej! Któż pozna, czy on głupi, czy mądry, kiedy nic nie mówi. A wzdychać każdy potrafi i łatwo się tego wyuczy. Dopiero, kiedy takim manewrem zawrócona głowa czy serce młodej kobiety przybliży ten ideał do siebie, okropna czasem przy tem badaniu, przy tem zetknieniu odkrywa się próżnia! Zwodnicze nikną pozory. Staje przed nią w całej nagości prawdy wyniszczony na ciele, stoczony leprą na duszy młodzieniec:

trup fizyczny, trup moralny, albo gorzej jeszcze od trupa, bo wilkołak lub upiór! Odczarowanie zupełne. Ale czyż dlatego ganić wszystko, co jest dzisiaj? Było i jest i tu, i tam trochę dobra, wiele złego. A zresztą czas płaci — czas traci, — moda zawsze króluje.

Wracając do Karola i Faublasa, jakem znalazł co pociesznego w Faublasie, czytałem w głos i śmiałem się, jak dziecko; śmiać też musiał i mój płaczący Karol. Takeśmy z sobą pierwszą noc przebyli. Podobnych nocy było sześć czy siedem.

Karol mniej więcej do dawnego zaczął powracać stanu. Niema nieszczęścia, nie mówię już zmartwienia, któregoby ręka szczerej przyjaźni i czasu nie zatarła nakoniec i w samym nawet bólu w jakieś przynajmniej chociażby żałobne i smutne nie przybrała kwiaty! W ciągu tych dni zbliżałem się też coraz więcej z panią Elżbietą Müller. Chodziłem na jej połowę na herbatę, limonadę, orszadę, na różne specjały, na słów kilka, na radę o Karolu, ale zawsze wzywany. Oboje, zgodziwszy się raz na tę zasadę, że śmierć jego matki, jakkolwiek od niego szczerze kochanej, była momentem emancypacji tego godnego, a od tylu lat w leszczotkach trzymanego człowieka, że i fundusz jego i reputacja na tem niezawodnie zyszczą, daliśmy pokój śmierci tej wietrznej i despotycznej baby i puszczaliśmy się w inne gawędy. Wspólność o Karola starań zrodziła jakąś wspólną między nami życzliwość. Nie milczeliśmy nigdy. Nigdy nam nie zabrakło w rozmowie wątku. Tak dalece, że kiedy się już Karol doreszty z żalu wytrzeźwił i dom Müllerów opuszczał, stopień moich z panią Müller stosunków doszedł do tego, a rodzaj konwersacji mojej tyle zdawał się jej podobać, że mnie najsilniej na słowo honoru zobowiązała, żebym u niej bywać nie przestał i że to jej prawdziwą zrobi przyjemność.

W ciągu tych osobliwszym sposobem sklejonych wizyt widziałem i poznałem jej siedmioletnią podówczas i jedyną córeczkę. Łatwo już było można przewidzieć, że ta mała żmijka na straszliwszego kiedyś wyrośnie węża, jeżeli tylko wyrośnie. Dziecko to bowiem wybladłe i słabe słabą też na życie dawało nadzieję. Drobniutkie, nie lepkie, mało ale złośliwie mówiące, ruchem i grą szczególną, a ciągłą malutkich i suchych paluszków odznaczające się, do wyrzynań z papieru zgrabnych a najdziwniejszych

arabesków niewypowiedzianie zdolne, jakem już nigdy w życiu nic podobnego nie widział, było pod ten czas minjaturą pięknej panny Sacken, która się była *au vu et au su de tout le monde* przywiązała się do mnie. O tem, nie wiedzieć skąd, pani Müller już wiedziała i to podobieństwo córki swej znała.

Na naszą u niej herbatę w asystencji gapimuchy guwernera przychodził także z ubocznego pokoju dziesięcioletni chłopczyk, Jaś z baraniemi, ale pięknemi *à fleur de tête* oczyma, z zepsutemi zupełnie zębami i dziwnie tępem objęciem. Był to rodzony siestrzan pani Müller, na jej wyłączną, jak mówiła, wzięty opiekę, głupi, jak mówiła także, piramidalnie, ale dobry, jak anioł, chłopaczek.

Jasiowi pani Müller mnie za wzór poleciła, a szczególniej kłaniać się po mojemu wyuczyć go chciała. Jaś z zupełnem woli kochanej cioci poddaniem się dobrodusznie wzorki ze mnie zbierał, żeby się sam potem na mnie ochapiał. Ale to mu się jakoś nie udało. Cały ten drobiazg potem wyrośnie!

ROZDZIAŁ IX.

Nim z dalszą pójdę powieścią, wspomnieć tutaj winienem, że, mieszkając ciągle od lat kilku w Wilnie, mieście nie nadto w ludność obfitem, naturalnie, że mało musiałem mieć twarzy, któreby mnie zupełnie z widzenia nieznajome były, lubo ci, do których należały te twarze, mogli być dla mnie obcymi. Pomiędzy innymi nieraz spotykałem na ulicach człowieka średniego wzrostu, średniego wieku, w kapeluszu nieco nabakier, z pleczystemi barkami, głową wielką, ogromną, bez szyi na tułów wsadzoną, wciśniętą, wbitą. Twarz jego była najzupełniej, doskonale brzydka, limfatyczna, odęta, ale znacząca. Człowiek ten ruchami swojemi, wyrazem twarzy, całą postacią wojskową, rycerską, zuchwałą szukał tylko, jak się zdawało, przyczyny, żeby się z kimkolwiek rąbać. Wszystko w nim na spojrzenie odznaczało wojaka, a co gorsza pojedynkowicza, kłótnickiego, *un bretteur*. Uciekałem wiecznie na drugą stronę ulicy od tej złowróżnej miny, a nigdy nie zdarzyło mi się jakoś dowiedzieć, ktoby to był taki. Widziałem go także kilka razy u Zawadzkiego, księgarza,— milczącego zawsze, opartego o szafę, ale nie przyszło się o niego zapytać.

Józefa Zawadzkiego księgarnia była wtedy nie to, co dzisiejsze czy wileńskie, czy warszawskie księgarnie, że nie zobaczysz tam żywego człowieka. Poczciwy ten i wesoły mazur, sam oczytany i naiwnie dowcipny, rad był, kiedy się do niego w pewnych godzinach schodzili autorowie, literaci, poeci, uczeni, artyści. Od dziesiątej do pół do dwunastej z rana można było być pewnym znaleźć tam różne interesujące osoby. Jeden lub dwa fortepiany-rojale sprowadzały tam także często poczciwego Rennera. Rennera małego, krępego, ślepego na jedno oko, z króciutkiemi pal-

cami, obrosłego brodą, nieuczesanego, a czasem i nieumytego. Rennera, pracującego gorliwie już i wtedy w winnicy pańskiej, a winiarni podówczas w Wilnie było tak wiele! Ale przytem Rennera, dziwnego, boskiego, twórczego organmistrza, przesiąkłego, natchnionego melodją, improwizującego — a wtedy tylko był właśnie wielkim — czarowne kaprysy, zachwycające duszę motywy, nie licząc dziwnej biegłości palców i sztuk, figlów niemi robionych. Renner pomimo imienia nasz, Polak, był Paganinim fortepianu wówczas, kiedy jeszcze wyobrażenia nie miano o grze dzisiejszej. Orlim lotem wyprzedził on wiek swój muzyczny i to, co mu za grzech podówczas stawiano, masa nieprzebrana i bogactwo czasem szorstkich i dzikich nawet akordów, dziśby go nad wszystkich innych muzyków wyniosło! Berlioz to karzeł przy Rennerze, ale wtedy tylko, kiedy (ten) improwizował. Właśnie też Renner podług mnie wtedy tylko był potężnym mistrzem, kiedy, oddawszy się swoim genjalnym myślom, bez żadnego przygotowania i tylko, zamrużywszy jedyne oko swoje, odlewał te myśli na fortepianie. Wtedy prawdziwie czarował, zachwycał, podbijał, zabijał, dusił, dławił, ścierał słuchacza ze świata, kiedy improwizował na dominikańskim ogromnym organie. Słuchając go, maleliśmy ciałem, a rośliśmy duszą! Palce jego były zawsze i wszędzie złote. Wypracowane dzieła jego niewiele warte. Improwizacyj zaś swoich nigdy pamięcią schwycić nie umiał.

Ponieważ mi na myśl przyszedł i o nim mówię, opowiem zdarzenie, którego sam byłem świadkiem. Dla jakichciś interesów przyjechał do Wilna oficer od huzarów Fryderyk baron Rall, syn bogatego petersburskiego bankiera, sławny już jako amator i jako najznakomitszy uczeń sławnego Fielda. Grał, jak anioł, jak bożek. Palce, jak mrówki, po klawiszach chodziły. Słyszał on o Rennerze i pragnął go poznać a mieszkał przez te dni w domu, gdzie i ja bywałem. Odpowiedziano mu, że chce zbierać na wierzbie gruszki, że żąda najtrudniejszej rzeczy. Że Renner dziwak i z nikim poznawać się, u nikogo bywać nie chce. Musiał tedy nieborak rad nie rad (to sobie) wyperswadować. Ale my, młodzi, namówiliśmy nakoniec Rennera, żeby tam poszedł na parę szklanek ananasowego ponczyku. Zapach tego ponczu znęcił go. Wepchnęliśmy więc Rennera tak, jak był w kapocie, do sali.

Szczęściem Ralla tam jeszcze nie było wtedy, ale wkrótce nadszedł, nic o obecności Rennera nie wiedząc. Grały damy, grał Rall i wszystkich nas zachwycał. Renner siedział w kącie i słuchał, i ponczyk popijał. Kiedy się już nacieszono muzyką i świece nawet umyślnie z fortepianu zdjęto, a Rall, głowa romansowa, w jakieś abstrakcyjne i natchnione z babami puścił się zagony, Renner tymczasem zasiadł cichutko przy fortepianie i jedną przebiegł oktawę. Ja na tę scenę zboku uważnie patrzałem. Rall drgnął, obrócił się w ciemny kąt fortepianu, zatrzymał się tam wzrokiem na moment i dalej rzecz ciągnął. Po kilku sekundach Renner znowu od niechcenia przeszedł pół klawiatury. Rall znowu śród rozmowy gwałtownie tam spojrzał, stracił nić swojej gawędy i czas jakiś milczący przebył, nim ją znalazł i uchwycił. Nakoniec Renner kilka wziął akordów. Tu już Rall, jak szalony, rzucił wszystko i wszystkich, do Rennera pobiegł, chwycił go za szyję, całował, ledwie że go nie zadusił, wrzeszcząc na całe gardło: „To Renner, Renner, Renner!" A notabene wtedy była jeszcze moda ukrywania w sobie silnych uczuć i unikania scen efektownych.

Dopieroż to się Renner puścił w kaprysy! — a Rall, z Fielda grą oswojony, — z grą Fielda, co rzucał perły na fortepianie, co każdy pasaż w moich oczach, jak go potem poznałem, po sto razy, ucząc się, powtarzał, żeby go gładko i płynnie oddał, Rall przysiągł ze szczerego serca, że w życiu swojem nigdy takiego artysty i nigdy nic podobnego nie słyszał. Słyszałem i ja już podówczas słynnego z improwizacyj swoich w Warszawie Szopena, wówczas młodego chłopczynę, dającego dziś prawa muzyce całego świata. Renner wtedy był już lwem, a Szopen kociątkiem! Biedny, poczciwy, nieodżałowany Renner! Wkrótce potem zakochał się i ożenił z ubogą, ale urodziwą i piękną panną. Panna ta stała się zaraz w miesiąc po ślubie płochą, a nawet wszeteczną kobietą! Tego ciosu dusza poczciwego bibuły znieść i strawić nie mogła. Zrozpaczony, winem i ponczem życie swe zalał, rozpacz zakończył. Umarł, nie doszedłszy do tej uniwersalnej sławy, do którejby genjusz jego niechybnie był doprowadził. Sława—czcze mamidło, czcze słowo! Renner, będący już prorokiem między swoimi, Renner przed dwudziestu laty noszony był na rękach; — dzisiaj nikt już nie wie, że był na świe-

cie! Imię jego zacichło w przestrzeni, jak i jego natchnione niebieskie dźwięki. I ja tylko jeden o nim wspomniałem!

Księgarnia Zawadzkiego, jak już o niej mówić zacząłem, była tedy *rendez-vous* uczonych, literatów, artystów, dowcipnisiów. Zajmowała ona ogromne sutereny murów uniwersyteckich od Ś-to Jańskiej ulicy, bo Zawadzki był uprzywilejowanym typografem Uniwersytetu. Okna były równo z ziemią, *ras de terre* co nazywają. W pierwszej wielkiej sali były polskie i elementarne książki. Tam prezydował kilkadziesiątletni domu Zawadzkich sługa, pan Szpakowski, poczciwe człeczysko, którego jedna tylko rzecz wprowadzała w pasję. A ta rzecz była taka: wyszła była jakaś broszurka z tytułem „O bydle". Chwycili się tego śmieszkowie, mnóstwo ludzi i akademickich trzpiotów, prosząc niby o tę książkę i wołając: „O bydlę, panie Szpakowski!" jakby on sam przez kalambur był bydlęciem. Dojadło to staremu i, jak mu odtąd tylko ktokolwiek to powiedział, a mówili to często najniewinniej przyjeżdżający ze wsi i potrzebujący tej książki wiejscy gospodarze, zaraz myślał, że drwią, i gotów był książką, czy co miał w ręku w łeb cisnąć, a już pewno winowajcę zadziwionego natychmiast z sali wypędził.

Druga większa od tej sali była zupełnie założona i zarzucona masami cudzoziemskich książek. Tu był i tron Zawadzkiego. Na samym środku stały bez symetrji dwa, a czasem i jeden tylko, fortepiany — rojale. Pod oknem przy wysokiem staroświeckiem biurku czy kantorku stał z piórkiem i księgami Gastel, dawniej bogaty kupiec, dziś w skutku bankructwa Reyzera buchalter Zawadzkiego; miły i zacny, ale nieszczęśliwy człowiek. O sążeń może od Gastla przy wielkim stole siedział sam Zawadzki, brunet krótko strzyżony, mały, tłusty, pękaty, miłej, ujmującej twarzy, zacnej duszy i wybornego, a jednostajnego w każdym razie humoru poczciwiec. U okien albo pode drzwiami od ulicy stał zawsze jeden ze znajomych całemu Wilnu warjatów, albo Szurłowski, albo Krysztalewicz, albo obadwa razem. Oba ci ludzie, nieszkodliwi nikomu, sfiksowani byli na poezji. Ciągle pisali wiersze. Bardzo więc w tym wesołym czasie przydatni byli. Komu się w księgarni z danej okoliczności jakiejś lub plotki udało jakiś epigramat, wierszyk, satyrkę, jakie impromptu ułożyć dowcipnie, a udawało się to w moment, oddano to natychmiast



Józef Zawadzki, księgarz i wydawca wileński.

Szurłowskiemu lub Krysztalewiczowi, żeby to w świat swoim sposobem puścili, wydając za swoje. Ci biegli do domu, na sto rąk rozpisywali i w tymże momencie na ciepło po wszystkich winiarniach, bilardach, traktjerach i przechodniom na ulicy za kilka groszy od egzemplarza rozdali. W kwadrans całe Wilno dowcipną miało zabawkę, a czasem naukę. Autora nikt nigdy nie doszedł. Chociaż warjaci, tyle jednak obadwa mieli i poznania i punktu honoru, że śledzeni, straszeni, czasem nawet od obrażonych lub od policji pobici stale deponowali, że oni sami ułożyli te wiersze. (A_{14}).

Z tej strony stołu Zawadzkiego było dosyć wolnego miejsca, a żadnego krzesła lub stołka, i tu się właśnie *stante pede* cały komplet wesołych gości, stojąc, na prędką nogę, pomieszczał. Brylującymi gawędką i znaczniejszymi wśród innych byli: Szydłowski, jako poeta, Kazimierz Kontrym, jako dyplomata i dyplomatyk, Lachnicki, jako człowiek uczony, światowy i magnetyzer. O każdym z tych trzech coś powiem.

Ignacy Szydłowski, w klubie „Szubrawców", piszących „Wiadomości Brukowe", na cały kraj wówczas słynne, pod nazwiskiem *Gulbi* znajomy (A_{15}), człowiek dowcipny, żartobliwy, światły, prozaik jędrny, wierszopis gładki, czystością języka więcej niż poezją swoją w oczy bijący, klasyk od pięt do głowy. Niezaprzeczenie, kształcąc się na starożytnych autorach, a potem na odwet (na dziełach) Jana Chrzciciela Rousseau, nabrał, albo raczej dobył z siebie zapas owego lirycznego talentu, którym długi czas pomimo zawistnych i ostrych krytyków słynął i świecił. Wychowanie światowe zaniedbane, pedanckie, ówczasowe szkolne, poloru ani krzty, ani za trzy grosze! Chęć uczenia, to jest dawania lekcyj moralnych innym i mówienia o nich prawdy w oczy i za oczy, wielka. Zresztą dobra dusza, obca intrygom, przysięgły czciciel Bachusa, co mu nigdy za stopień nauczyciela w gimnazjum przestąpić nie dało. Byłci on wprawdzie i cenzorem ksiąg, co w oczach rządu i w oczach autorów wielką ze sprzecznych z sobą względów zdawało się rzeczą. Ale rządowi dla opinji swoich śmierdział. Gorliwy, o ile mógł, postęp literatury ojczystej rozszerzał i wiele drobnych pism po sobie zostawił. Od — mnóstwo — ledwie że nie na każde zdarzenie. Pismo pod śmiesznym tytułem „Wizerunki i Roztrząsania Nauko-

we" długo ledwie że nie sam jeden wydawał, a przynajmniej cudze tam garby gładził i w niem jedną z lepszych pamiątek językowi naszemu zostawił. Winem zalewający się chorobną wodą nakoniec zalany został, bo umarł z puchliny. Był to człowiek nie dla przyjaźni, nie dla ciągłego pożycia. Ale w krótkiej gawędzie w kółku, na prędce zebranem, był zawsze przedziwny.

Nie mogę nie wspomnieć jednej z nim przygody, która mi da jeszcze sposobność o kimś innym *verba veritatis* powiedzieć.

Ród Abramowiczów, jak twierdzą, z neofitów powstały, wzbił się w końcu przeszłego wieku w znaczny majątek a za nim i w znaczenie, i w powagę. Po śmierci rodziców zostało dwóch synów młodziutkich: Mikołaj i, jeśli się nie mylę, Ignacy, bogatych, pięknych, jak anieli, i odrazu do wyższego należących kręgu.

Starszy, Mikołaj, już widać potęgą gwiazdy swojej wcześnie przeznaczony na szpiega, służąc w wojsku polskiem, wysłany został w 1812 roku przez Napoleona do armji rosyjskiej na zwiady. Tam się dostawszy, przebrany za piękną dziewczynę dane polecenie, jak należy, spełnił. Po upadku tego wielkiego monarchy Mikołaj Abramowicz z rozwódką i awanturnicą, generałową Cichocką, żoną naturalnego syna Stanisława-Augusta i starszą daleko od siebie kobietą, Bóg wie dlaczego, ożeniony, pomimo urzędu marszałka, pomimo ciągle przysparzanego funduszu, pięknych włości i kosztownie ozdobionych pałaców, pomimo z przepychem, maneżami i tym podobnemi wymysłami w Wilnie urządzonego domu, pomimo wybornego kucharza, nie wiedzieć dla czego, starzeć się przedwcześnie, ślęczeć, siwieć i tyrać zaczął. Z tego tylko był podówczas znajomy, że na każdej prawie ulicy oddzielną z wielkim kosztem trzymał kochankę. A młodzi uczniowie Uniwersytetu znaczny stąd dla siebie darmo ciągnęli pożytek. Raptem w momencie największych prześladowań, przez Nowosilcowa, Pelikana i innych na Litwę wywartych, nasz Abramowicz odżył; jął nadskakiwać, płaszczyć się, pochlebiać tym ludziom, jął plotki różne rozsrożonej władzy donosić, jął prawdę ze wszelką nieprawdą mięszać, winnych wykrywać i tym sposobem do wielu niesłusznych aresztów, do wielu degradacyj na prostych żołnierzy, do wielu zesłań na Syberję czynnie się przyłożył. Powszechną okryty wzgardą nie

opamiętał się i długo jeszcze toż samo przy Dołgorukowie spełniał, aż mu niespodziewanie, widać, milczące dotąd z kąta zajrzało w oczy sumienie. Twarz wychudła haniebnym, bolesnym i krwawym pokryła się wstydem. Rozpacz go objęła, gdy poznał, co robił, co zrobił. Nakoniec, kiedy się nikt tego spodziewać nie mógł, we własnym pysznym gabinecie na haku od pająka, okręciwszy koło szyi pętlę, obwiesił się szczęśliwie — z powszechną Wilna i całego ludu radością.

Drugi brat, Ignacy, dzisiaj generał rosyjski i oberpolicmajster Warszawy, zaraz po wyjściu z opieki zgrawszy się w karty do nitki, poszedł do wojska polskiego, bił się dobrze, odbył ostatnie Napoleona wojny i po rozwiązaniu armji, nie mając już poco wracać do kraju, we Francji został. Tam się też ożenił, wziął w posagu winnicę w Szampanji i tem rozkosznem handlował winem. Ale i to, i żonę stracił! Nie było sposobu! Wrócił więc do Wilna, chcąc na nowo w randze podpułkownika, jaką miał już, do polskiej lub rosyjskiej wejść armji. Nim na prośbę swoją od w. ks. Konstantego odebrał odpowiedź, bawił incognito w Wilnie u brata. Całe jednak miasto o dawnem marnotrawstwie i dzisiejszym losie mówiło.

Raz w traktjerze Bittnera, najpierwszym podówczas w Wilnie, między wielu zebranymi biesiadnikami siedział za talerzem zupy i nasz profesor Szydłowski, a swoim zwyczajem głośno myślał. Na całą salę z hałasem, żeby go cały świat słyszał, o różnych rzeczach rozprawiał i jakoś zszedł do tego, jak to ludzie trwonią majątki i gorzką pracą przez rodziców zebraną chudobę. „Ot naprzykład", powiada: „zjawił się tu z Paryża pan Abramowicz, marnotrawca, szuler, włóczęga, zjadł i strwonił wszystko, chodząc po świecie, i teraz goły znowu na kark kraju wsiada". Jak się już dobrze o tem, wiele chciał, nagadał i zamilkł, powstał z kąta skromnie za małym stolikiem siedzący piękny bardzo, młody jeszcze wąsaty mężczyzna i, z największą grzecznością zbliżywszy się do Szydłowskiego, zapytał go uprzejmie, czy zna tego Abramowicza, o którym mówił. Szydłowski w zapale gorącej rozprawy, dostatecznie na niego nie zwracający uwagi, odrzekł na to: „Ktoby znał wszystkich błaznów całego świata". Obecni na tę rozmowę jednem byli uchem; cicho było, jak w kościele. Po takiej odpowiedzi nieznajomy rzekł: „No, to ja się

panu rekomenduję. Ja jestem właśnie ten nieszczęśliwy Abramowicz, o którym pan, nie widząc go nawet nigdy, tak wiele pięknych rzeczy mówiłeś". Struchlał Szydłowski, zbladł, łyżkę z rąk wypuścił. Ale po chwili dodał: „Ja się bić nie będę". Abramowicz na to z największą flegmą: „Szacowny panie, wybieraj z dwojga; po tem wszystkiem trzeba albo się bić, albo być wybitym". Źle! Literatowi aż do pięt poszło. Grzeczny Abramowicz, dosyć i tak już mający triumfu, przyjął nakoniec publiczne przeprosiny — i na tem się lekcja, profesorowi dana, skończyła. O dalszem życiu tego Abramowicza powie bez wątpienia kto inny, bo on u całej Warszawy od lat ośmnastu stoi na oku.

Kazimierz Kontrym, bibljotekarz i adjunkt Uniwersytetu, człowiek i dotąd, czem był prawdziwie, nieodgadniony, a to do niemałych życia należy talentów, miał wtedy opinję wielkiego patrjoty, gorącego podżegacza do nauk, zapamiętałego w reformach masona, wielkiego języka naszego znawcy. Mały, niski, w całym konturze ciała swojego jakoś do owalu, do jajka podobny, albo raczej do niebardzo foremnej elipsy. Wąski w górze, wąski w dole, w środku bardzo szeroki — w zaniedbanym, wytartem zawsze odzieniu z twarzą bez znaczenia, z głową siwawą, z włosami krótko strzyżonemi i, jak jeż, wgórę i na tył zaczesanemi, rączki zawsze trzymający na brzuszku z przeplecionemi wzajemnie pomiędzy sobą palcami, z czarną wstążeczką, w rodzaju pierścienia na prawym czwartym zawiązaną palcu, — mnie przynajmniej, nie wiem dlaczego, wyglądał zawsze na wypasłego szczura. Ustawicznie z kąta w kąt od jednego do drugiego z obecnych latał, a każdemu coś szeptał do ucha i ciągle zajętego udawał. Mówić z nim głośno, jak z innymi, było niepodobieństwem. Bo, albo nie odpowiedział, albo fatalnie się zmarszczył i zaraz u niego na wadze traciłeś. Trzeba było mówić mu koniecznie na ucho. To, co ze mną nieraz, bo byłem w łaskach u niego, tym sposobem na ucho mówił, garści bobu nie bywało warte i ze św. jańskiej wieży na całe miasto wywrzeszczane byćby mogło. Ale taka to już była natura. Gdyby mu kto powiedział: „Panie Kazimierzu, wybaczaj, chcę b....ć tutaj, bo mnie okropnie spiera", zgodziłby się i wywąchałby nawet wszystko, byleby mu to pod sekretem powierzone było!

Ten typowy jezuityzm, jeżeli to jezuityzm, dawał mu w mniej bystrych oczach jakąś aureolę, jakieś popularne znaczenie i sławę. Podług mnie, był to niezły wcale człowiek, był człowiek dowcipny, uczony, ale pełen swojego rodzaju próżności kuglarz. Rząd go pomyłką za niebezpiecznego osądził, woził go z miejsca na miejsce, a tem wartość jego podniósł, i w prześladowaniu ze sławą i powszechnym żalem dopuścił go umrzeć. Dodać wszakże trzeba, że światłe rady jego i pomoc nie były niepłodne. On to wygrzebał, natchnął, za granicę staraniem masonów wyprawił niewdzięcznego potem krajowi i rodakom, ale genjalnego orjentalistę i uczonego — Józefa Sękowskiego. On wykształcił kilku znakomitych z nauki lub pracy mężów, takich, naprzykład, jak poczciwy i niespracowany kompilator Wolfgang i chytry, przebiegły a złośliwy łotrek ale zdolny akuszer i pięknej wymowy i pióra człowiek — Mikołaj Mianowski, dziekan fakultetu lekarskiego w Wilnie. Było ich kilku tegoż samego imienia i nazwiska, bodaj ze szlachty. Ale ten, o którym mówię, był sobie „de socha, de brona".

Teraz, jak puszek kwiatu, lekkim wietrzykiem niesiony, ty mi już siadasz na pióro, zstąpiwszy z anielskich siedzib — życzliwy, wierny, zacny, do śmierci stały przyjacielu naszego domu, wierny mój przyjacielu, rzadki, nieoceniony człowieku — Ignacy Emanuelu Lachnicki! Lachnicki, któregośmy, spolszczając jego imiona, zawsze u Zawadzkiego „Żegotą, Bóg z nami" nazywali, był jednym z najgodniejszych, najlepszych, najuczciwszych, najosobliwszych i najuczeńszych ludzi, jakich kiedy widziałem. Poczciwy, szlachetny, delikatny, prawy, uczynny, pobożny, dowcipny, pięknego rodu — był on najstarszym z trzech pozostałych synów marszałka Lachnickiego (A_{16}), wysoce poważanego człowieka, a brata owego pułkownika, o którym wyżej mówiłem.

(Synowie ci byli: Michał i Roman. O najstarszym Wojciechu chodziła powszechnie tradycja, że się w skutku danego słowa natychmiast po śmierci przyjacielowi swojemu pokazał. Zginął, jeśli się nie mylę, na wojnie).

Ojciec jego nie żył już wtedy, kiedy się w Wilnie zjawiłem. Ale żyła matka, która jedynym w całem życiu mojem widzianym przykładem do późnej starości i w twarzy, i w szyi, i w biu-

ście zachowała panieńską świeżość i piękność, a piękność była rzadka. Była to Ninon de l'Enclos albo może i coś więcej z ciała, ale życie jej całe było nieposzlakowane i święte. Obraziłby Boga, ktoby o tej zacnej i dziwnej urody pani inny sąd wydał. Był to ostatni już egzemplarz polskich matron naszych.

Nasz Lachnicki, człowiek ogromnej nauki, a większej jeszcze pamięci, był prawdziwym chodzącym *Conversations Lexiconem*. Na oko roztrzepany i roztargniony ciągle. Zapytajże go o co chcesz w literaturze, historji, prawie, chemji lub fizyce, odpowie ci wręcz i odpowie tak *de data et actu*, że, jak pójdziesz do książki, ani się o włos nie pomylił nigdy. Pobożny, a nie narzucający ludziom swoich przekonań, bez najmniejszej zawiści, oddanego ludziom serca; — kto się tylko do niego udał, wyszedł z uśmiechem pociechy na twarzy. Pedanterji ani za szeląg. Widząc go gdziekolwiek, pomyślałbyś, że to człowiek prosto światowy, jak zwykle, i, jak zwykle, nieuk. Powierzchowność jego była osobliwsza. Nie z tego powodu, że nie był piękny, ani nawet przystojny, że miał, Bóg wie dlaczego, koniec nosa czerwony, że, chociaż w odzieniu i bieliźnie bardzo ochędożny i czysty, zdarzało mu się najczęściej pół tylko brody i pół wąsów ogolić, a resztę jakoś na dni kilka z dystrakcji zostawić; nie dlatego, że krótka jego czarna i nastroszona czupryna niejako młodego przypominała niedźwiadka, — ale że całe ciało jego najwidoczniej, najwyraźniej z dwóch oddzielnych zupełnie i jakby niezależnych od siebie składało się połów. Od głowy do ud nasady był to korpus, jak każdy inny, spokojny, poważny, prosty, kształtny i nic więcej. Członki zaś, ręce i nogi, w ciągłym jakimciś, jak żywe srebro, były ruchu. Ręce na jeden moment spokojne być nie mogły. To niemi rzucał na boki, to w dłonie klaskał, to palec ciągał, to się dłoniami o ściany lub piec kiwając uderzał, to po oknie, to po cudzych ramionach i plecach bębnił palcami. Nogi tożsamo. A nogi miał rzadkiej formy i pięknego kształtu. Chodził dyndając się. Nie ustał na miejscu. To się z jednej nogi na drugą przewalał, to takt wybijał, to podskoczył, to krok jaki powietrzny tancerski zrobił. Był zaś z niego tancerz zawołany pierwszego rzędu. Wtedy jeszcze tańczono, kiedy chcesz, skakano, a nie chodzono w tańcu, jak teraz. To, co dzisiaj robią soliści w balecie, nale-

żało wtedy do koniecznej pokojowych tańców nauki. Były nawet solowe pokojowe tańce. Wszyscy w tem mniej więcej byli i musieli być biegli. Ale on tak —, że kiedy go cesarz, cesarz Aleksander, w 1812 r. tańczącego na balu zobaczył, natychmiast go w sali kamerjunkrem swoim mianował. Ale i tu zawsze nogi jego tylko działały. Cały korpus w tańcu był zawsze spokojny, poważny, twarz, jakżeby się do filozoficznej miał zabierać dysputy, — a cały tułów, jakby do kogo innego należał. Ja nawet przysięgnę, że wtedy o czemś ważnem myślał albo artykuł jaki do dziennika układał, nogi zaś tymczasem na wolę puścił. Będąc w Petersburgu, poznał się tam i zbliżył ze sławnym mistykiem Poschmanem, dawno już do „*Rose-croix*" należąc. Wkrótce stał się zagorzałym illuminatem, martynistą. Tam się także magnetyzmowi zwierzęcemu przypatrzył, przywiózł go do Polski i Litwy i jego fenomenom cały się poświęcił. Nabrał w tem wielkiej wprawy i siły, wiele uczynił, wiele o tem pisał i mówił. Zdaje mi się, że długo znajomy będzie w historji tego przedmiotu. Lekarze wileńscy, a na ich czele uparty, jak kozieł, Jędrzej Śniadecki, leniąc się sami rzeczy dochodzić, gdyby tylko mogli, ogłosiliby go za warjata. Nauki, rozumu, dowcipu i wpływów jego się bali. Drwinkami tedy wojować zmyślili i to było jednym z powodów, które dały początek „Wiadomościom Brukowym". A on swoje robił. Potem dla familijnych stosunków zmuszony pomimo chęci i woli własnej pojąć za żonę krewną swoją Trębicką, warunek konieczny, bez którego stryj jego, pułkownik, dziad uparty i dumny, sukcesji po sobie, jemu jednemu dostać się wówczas mającej, chciał go na zawsze pozbawić i przenieść ją na linję żony swojej; — napierany przez matkę i braci poświęcił się dla nich. Ojciec jego, marszałek, w publicznem, hojnem i pańskiem życiu na różnych wysokich urzędach stracił cały prawie majątek, różnym trochę od dzisiejszego przykładem, gdzie wszyscy na urzędach majątki robią. Trzeba więc było przy tem imieniu i o przyszłości pomyśleć. Ożenił się zatem, ale widać było już na nim, jak mu to nie było po sercu. Jeszcze wydał jeden śpiew łabędzi. Zważając słony wód birsztańskich, stokliskich, druskienickich i innych w tej ławie charakter, podał w. ks. Konstantemu memorjał dowodzący, że cały ten od kilku mil przestwór zawierać musi

w sobie głębokie a obfite soli pokłady, mogące zastąpić Wieliczkę i Bochnię. Że zatem wypada zesłać tu uczonych górników. Dla poparcia tego projektu udał się do Warszawy i tam, z jednym tylko przybyły służącym, zaziębił się, dostał gorączki i pozbawiony przyjaznej ręki, któraby te święte oczy zamknęła, cnotliwe i użyteczne życie swoje zakończył. Wieść o jego zgonie w całym kraju przeszywające serce wywołała żale. Bywaj mi zdrów, zacny człowiecze! Rychło już zapewne spotkamy się znowu tam z sobą!

O innych wielu, co Zawadzkiego stale odwiedzali księgarnię, nie mam czego powiedzieć, bom ich tak dobrze nie znał, albo i poznawać nie chciał. To tylko pewna, że wtedy księgarnie, bibljoteki, sale uniwersyteckie, teatry, winiarnie, cukiernie, traktjery, bilardy były ciągle pełne, nabite wszelkiego rodzaju, ale przyzwoicie każdy w swojej sferze bawiącymi się ludźmi. Nie było to ani *agora* ani *forum*, ale któż zaprzeczy, że tam jeszcze mnóstwo było życia!... A o szpiegu nikt pojęcia nie miał.

Patrząc na dzisiejsze posępne, ledwie że nie ciągle płaczące i z opuszczonemi rękami Wilno, nikt ani się domyślić nie może tej wesołości, jaka tam panowała wtedy powszechnie, i tego ciągłego uśmiechu, jaki podówczas wszystkie twarze ożywiał. Ciągle się sypały dowcipne słówka, sypały się zewsząd, nie wyłączając żadnego stanu. Jakże tu nie zanotować dwóch albo trzech takich, które mnie na myśl w tym momencie przyszły.

Niejaki Lensy, malarz pokojowy, kiedy mu coś niedobrze iść zaczęło w Wilnie, że czarną kredą głowy jakkolwiek rysować umiał, dowiedziawszy się o wakującej posadzie nauczyciela rysunków w Kownie, przez różne zabiegi doszedł do tego, że mu się ona dostała. Lensy nie mógł rozsądnie strawić radości z otrzymanego zaszczytu. Odrazu wyrósł na dwa sążnie, nos zadarł do góry, sprawił suto złotem haftowany mundur i niepomiarkowanie dąć i puszyć się zaczął. Po kilku miesiącach pobytu w Kownie wyprosiwszy sobie urlop, pojechał do Wilna i w całej paradzie poszedł meldować się rektorowi. Stamtąd wracał piechotą także do siebie w tym samym mundurze, kapeluszu stosowanym i przy szpadzie, a wracał, jak mógł, najdłuższą drogą, a wchodził ze spotkanymi znajomymi w rozmowę,

zatrzymując się umyślnie co chwila dlatego, żeby go widziano i admirowano.

Kostra, pierwszy wileński karetnik, człowiek godny, dostatni i mający własny piękny dom w Wilnie, a sto razy piękniejsze od domu córki, przechodził przypadkiem wtedy właśnie koło Lensego, z którym był oddawna znajomy. Lensy, otoczony gronem przyjaciół, zatrzymuje go i tonem już pańskim protekcjonalnie powiada: „A, jak się masz, mosanie Kostra? jakże idzie handelek!"

Kostra, kłaniając się najgrzeczniej, odpowiedział mu wręcz bez namysłu: „Ach, panie profesorze, od tego czasu, jak pan przestałeś u mnie koła malować, tak mi się nie wiedzie, że aż serce boli".

Był w Wilnie adwokat Łopata, dużego wzrostu, okazały, silny i dosyć dumny mężczyzna. Ożenił się on z bogatą wdową Kulwińską i niebardzo dbał o klientów i praktykę. A mimo to, jak każdy adwokat, dobrze wyparzoną miał gębę i rad *per fas et nefas*, do kogo mógł, swoje stosował koncepta. Zdarzyło się, że spotkał raz na ulicy mało sobie znajomego urzędnika kancelarji konsystorskiej, bardzo grzecznego, skromnego i uprzejmego człowieka. Chcąc go zmitrężyć i zbić z pantałyku, tak go po grubjańsku zagadnie: „No, cóż tam w waszych s......ch konsystorskich robicie?" Urzędnik, kłaniając się mu jak najniżej, z najzimniejszą krwią odpowiada mu natychmiast: „Nic, mości dobrodzieju, bez łopaty!"

Niejaki Michałowski, obywatel pono wileńskiego powiatu, człowiek pod pokrywką grzeczności i pokory bardzo niedobry i złośliwy, ożeniwszy się z pasierbicą rzadkiej poczciwości człowieka, doktora Neumanna, Niemca, kochającego z całej duszy Polaków, – który nie tak dawno jeszcze umarł w szpitalu Dobroczynności nie tyle z wieku, co z żalu, jak się dowiedział, że gabinety uniwersyteckie z Wilna do Kijowa wywożą, — Michałowski, mówię, tak potrafił w swoim czasie zdurzyć Neumanna, że ten godny człowiek, bezdzietny, razem z pasierbicą swoją i całą swoją fortuną, do dwóch kroć sto tysięcy złotych wynoszącą, zięciowi swojemu powierzył. Kochany zięć tak się pięknie i modnie, prawdziwie po litewsku zawinął, że, wszystko na swoje imię przelawszy, żonę wypędził, staruszka Neumanna z torbą

po świecie wyprawił. Oburzyło to wszystkich. Sarkano zewsząd na Michałowskiego, jak na niegodziwca, ale nikt mu nie śmiał i nie chciał otwarcie w oczy żadnych robić wyrzutów.

Czuł to dobrze Michałowski, że stracił opinję, ale, raz już u psa pożyczywszy oczy, wściekając się na świat cały, wszystko jednak układną chciał gładzić grzecznością. Raz w winiarni, których wtedy było w Wilnie bez liku, a teraz żadnej, pewien dobrze już podochocony i ośmielony trunkiem jegomość, zobaczywszy, że Michałowski zaszedł także na lampeczkę wina, wobec wszystkich, co tam byli, odwraca się do niego i powiada głośno: „Panie sędzio, dlaczego pan tak niemiłosiernie postępujesz z żoną i teściem?" Na to zziajany od złości Michałowski, ułożywszy natychmiast plan zemsty, z najłagodniejszą napozór miną odrzekł pytającemu: „Pozwolisz, pan dobrodziej, odpowiedzieć sobie anegdotką?" Wszyscy obecni nastawili uszy. „Przed kilku laty", powiada: „jakiś bernardyn, wziąwszy drabinę, przystawiać ją zaczął oto tu na tej samej ulicy do murów. Zadziwiło to przechodzącego tamtędy jegomości, więc go pyta: „Dlaczego to robisz?" — A bernardyn odpowiedział mu na to: „A tobie, durniu, co do tego!"

Ponieważ wspomniałem już o Neumannie, dodać tu muszę jeszcze jedną dykteryjkę, śmieszną z siebie, ale nie noszącą charakteru dowcipu. Neumann, jak już mówiłem, był najpoczciwszy z ludzi i anielskiego serca. Wysoki bardzo, chudy bardzo, laskonogi, twarz długa, głowa siwa, wyraz twarzy serdeczny — chodził zawsze po niemiecku, to jest w krótkich spodniach, pończochach i butach ze sztylpami. Ale że bardzo dużą miał stopę i sterczące pięty, a łydek dosłownie nie miał, latały mu tedy po piszczelach cholewy, jak się tylko poruszył, i łydki, jak pistolety w olstrach, najśmieszniejszą z niego robiły karykaturę. Lekarz był z niego szczęśliwy i trafny, lubo, trzymając się metody przeszłego wieku, mieszał z sobą mnóstwo lekarstw i czasem po kilkadziesiąt ich razem w jednej recepcie połączył. Ale mimo to wyleczył, choć się tak nowa i zarozumiała szkoła natrząsała z tego.

Neumann zawsze mówił po polsku, to jest zdawało mu się, że mówi po polsku, miał siebie już nawet za Polaka. Tymczasem tak najosobliwszym sposobem język nasz kaleczył, że wyraże-

nia jego ciągle chwytane były i po mieście, jak najpocieszniejsza ciekawość, chodziły.

Zabójczo, co do słowa, przez Michałowskiego skrzywdzony i z dostatków przyprowadzony do nędzy, zmuszony był nakoniec wytoczyć mu proces, chociaż o procederach najmniejszego nie miał pojęcia. Ale to już na siebie wzięli adwokaci. Jak sprawa przypadła, adwokat Neumanna, strony powodowej, odbył głos swój przed sądem. Replikę Michałowskiego odłożono do jutra. Przez ten czas Neumann, obecny na sądach, zżymał się, wściekał, płakał i rzucał, zwyczajnie jak prawy, poczciwy, niewinny a krwawo skrzywdzony człowiek. Ale cieszącym go przyjaciołom zapowiadał przy tem, że jutro on sam będzie miał głos. Rozniosło się to po mieście. Kto mógł, na tę ciekawość spieszył. Nazajutrz ogromny ścisk był w sądowej izbie. Chciano słyszeć, do jakiego stopnia Neumann język polski zakaleczyć może. Neumann znowu, pierwszy raz w życiu będąc w sądach, to zauważył, że i jego i przeciwnej strony adwokat po odbyciu głosów swoich mówili: „Skończyłem". Więc po replice strony przeciwnej Neumann rozjuszony podchodzi do kratek, wyciąga długą i zeschłą rękę i prosi o głos. Sąd mu go daje. Cichość była w sali, jakżeby anioł przeleciał. Neumann z twarzą zrozpaczoną staje i najpatetyczniejszym głosem powiada: „Prześwetny dżądzie!... Michałoski jest lajdak! Skończylem". Pomimo całego współczucia, jakie ten zacny a nieszczęśliwy człowiek obudzał we wszystkich obecnych, ani jednych ust nie było, coby się serdecznym śmiechem nie rozjechały!

Wracam teraz do owego milczącego a zaburmaszystego mojego wojaka, czy zawadjaki.

Raz w księgarni Zawadzkiego zapytałem się kogoś, któż to jest, co tam stoi o szafę oparty a zawsze milczy. Odpowiedziano mi na ucho: „To Müller". Na dziesięciu Niemców pięciu przynajmniej będzie Schmidtów a reszta Müllerów. Dałem mu więc pokój, nie miałem powodu dalej się o niego pytać i wszystko poszło w niepamięć, jak w wodę. Dodać tu muszę, że w ciągu krótkiej mojej podówczas z panią Elżbietą Müller znajomości nie mogło nie wyjść na wierzch rozmowy kilka domowych faktów. Takim sposobem dowiedziałem się od niej, że ma rodzoną daleko młodszą od siebie siostrę, wyszłą za ro-

dzonego brata jej męża, majora rosyjskiej jazdy. Że mąż pani Elżbiety Müller jest człowiek bardzo cywilizowany, utalentowany, światły i zacny, ale że jest nadzwyczaj popędliwy, zuchwały, a co dla jej spokojności najgorzej, że jest niewypowiedzianie zazdrośny i z tego względu częstokroć najniesłuszniej szukający kłótni. „A ma też o co", pomyślałem sobie w duchu natychmiast, nie mogąc wziąć tego za ostrzeżenie, wymierzone do mnie, do mnie, zaczynającego wówczas dopiero rok dwudziesty i nie smakującego w niej wcale. Jakkolwiek bowiem rozmowa tej kobiety, dowcip jej sarkastyczny, ale oryginalny mogły być przyjemne, same jednakże suche przedmioty, męskiego więcej wymagające rozumu, o których wiecznie traktować chciała, już ją jakoś w oczach moich za mężczyznę w spódnicy uważać kazały. Wiek zaś jej starł znowu wszystkie, jeśli jakie były, wdzięki i znamiona mogącej się jeszcze podobać kobiety. Zdawało mi się w ogólności w całem życiu mojem, że, jak ja, tak i wszyscy mężczyźni nie mogą kochać się w kobiecie, która sama dobrowolnie chce przestać być kobietą, która swą kobiecą duszę męskim zatarła rozumem. W każdej takiej damie widziałem tylko pedanta bez pluder i nic więcej. „Czegoż tu być mężowi zazdrosnym?" myślałem sobie: „Ale zresztą niech każdy robi, jak mu się podoba!"

ROZDZIAŁ X.

Uspokoiwszy Karola, wróciłem znowu do moich gwałtownych zatrudnień; nie widywałem od dwóch blisko tygodni ani jego, ani kogokolwiek bądź z moich znajomych. Wyszły mi z głowy wszystkie moje wizyty. Oddałem się nauce z tem naprężeniem i myśli, i woli, jakie w młodym i z ambicją człowieku wzbudza stanowczy moment, kiedy mu się sobą samym w obliczu tysiąca ludzi popisać przychodzi. Wiedziano wcześnie o dniu doktoryzacji mojej. Pół miasta gotowało się być na niej i tam zajrzeć mi w oczy. Trzeba się było w dobry zapas rzeczy i argumentów uzbroić. O słowa i wyrazy niewiele dbałem, wiedziałem już z doświadczenia, że nie mam wrzodu w gębie, a tak bystro w każdem zdarzeniu po łacinie wówczas mówiłem, jakżebym gryzł rzepę.

Zagłębiony w jakiejś tam księdze nie słyszałem nawet, jak się drzwi otworzyły do pierwszego pokoju. Obudził mnie głos obcy, pytający o moje mieszkanie. Wybiegam. Aż tu stoi przede mną mój właśnie rębacz.

— „Co pan ma do rozkazania?" — pytam.

— „Jestem Stanisław Müller; wróciłem wczoraj z Petersburga. Pan byłeś łaskaw w czasie tej mojej niebytności żonę moją odwiedzać".

— „O, do djabła!" pomyślałem sobie: „wszak to ten sam Müller, o którym zapomniałem już oddawna! Stary zazdrośnik lezie mi, widzę, gwałtem po nos lub ucho. Już mu łapa świerzbi. Już musiał wyostrzyć szabelkę".

— „To wszystko", powiada dalej: „co mi żona moja o panu mówiła, to, co oddawna o nim słyszałem, szlachetna pomoc wspólnemu przyjacielowi naszemu, w jego nieszczęściu podana,

chociaż pan sam teraz w wyjątkowem znajdujesz się położeniu i bardzo musisz być zajęty, gwałtem zniewoliły mnie do tego, że ja, co od lat wielu z nikim się nie poznaję, za prawdziwą uważam przyjemność, za najmilszą powinność odwiedzić i poznać się z panem".

Wszystko to wymówione było tak zgrabnie, tak miłym, tak uprzejmym głosem, z takiem ujęciem, tyle w tej brzydkiej twarzy było pięknego wyrazu, tak się przyjemnie te, kiedy milczały, nadęte wyrażały usta, żem spadł z obłoków i żem, o ile mógł, najsłodziej na tak pochlebny odpowiedział komplement. Domyśliłem się odrazu, że ten, co tak doskonale dotąd milczeć umiał, umie też lepiej mówić od innych, kiedy tego znajdzie potrzebę. To mię zaraz uchwyciło za bok.

Szła dalej rozmowa. Z zadziwieniem i ciekawością światłego i światowego człowieka, ale bez wielkiej odrazy, oglądał on moje mieszkanie. Były to sobie proste dwie mnisze cele, w kolegjum ks. ks. pijarów najęte; służący mój mieszkał na dole. Ale te cele były jednak w swoim rodzaju niepospolitem mieszkaniem. Nie było tam ani parkietów, ani tych gwaszów, ani tych olejnych w złoconych ramach obrazów, jakie znajdowały się w mieszkaniu Müllera i wszędzie. Ale było tam coś innego, co daleko bardziej uderzający, bo niezwykły, robiło widok. Książki rozrzucone po wszystkich kątach w największym nieładzie. Kilka szkieletów ludzkich, rozstawionych popod ścianami. Cztery mumje, u nas w Litwie dobrowolnie zaschłe, skradzione z odwiecznych sklepów kościoła franciszkańskiego, czysto odlakierowane, trzymały się za krawędzie mojego łóżka. Jedna podobnaż, tuż przy nich we framudze, jak w niszy, stojąca, była skurczona i tak schylona, że się opierała rękami o stolik mojej miednicy. Kilkanaście czasek ludzkich białych, jak kość słoniowa, ze wszystkiemi czarnoodznaczonemi organami systematu Galla. Mnóstwo kości ludzkich lub zwierzęcych pod staroświeckiemi rozstawionych oknami. Na fortepianie kilka słojów z żywemi wężami i gadami, jeden ze znalezioną w domu Szpitznagla osobliwszą ogromną rogatą ropuchą. Koszyk pleciony z dwiema żywemi w gniazdeczku z waty żeleźnicami. Łyżkodziób piński wypchany na piecu, a obok niego dwie duże tablice woskowe z zasuszonym owadem. Kilka tu i ówdzie słojów z czystą wodą, w której

larwy pływały, z błot Zakretu własną moją ułowione ręką. Larwy te to w malutkich domkach, do wiązki drew podobnych, to w gniazdkach, jak szyszki wyglądających, ukrywały się przed żarłocznością tamże wpuszczonych innych larw wodnych i żuków. Dwa żywe żółwie, jeden jeż i kilka jaszczurek, biegających śmiało po nierównej pijarskiej podłodze, dawały memu mieszkaniu tak oryginalną, straszliwą i czarnoksięską postać, że nie miałem nawet potrzeby zamykać na klucz mego pokoju. Każdy żebrak, każdy obcy człowiek, każdy łotr i rzezimieszek, otworzywszy drzwi, zoczywszy to państwo okropności i śmierci, ten szkielet, trzymający w ręku stary francuski nienabity bez kurka pistolet, ale wprost ku drzwiom starannie wymierzony — omdlewał ze strachu, drzwi za sobą zatrzasnął i zimnym potem jak wodą zlany czem prędzej z domu zmykał.

Nie zagniewacie się na mnie przyjaciele moi, kiedy, przerywając ciąg rzeczy, powiem wam, bo to mi teraz na myśl nabiegło, kto jeszcze mieszkał u pijarów wtedy.

Mieszkał tam wtedy ledwie że nie historyczny człowiek, jak się o tem przekonacie zaraz. Mieszkał tam wtedy Zabłocki, Durnieńkim zwany.

W połowie przeszłego wieku było trzech braci Zabłockich. Wszyscy ludzie dostatni, a nawet lwy ówczesne na Litwie. Każdy z nich z dopuszczenia Bożego miał sobie właściwe przezwisko, albo drażnidło, od całej, jak jest, powszechności nadane. Jednego z nich wiecznie nazywano „Rozumnieńki", drugiego „Pięknieńki", trzeciego „Durnieńki". Ten to właśnie ostatni, wdawszy się w różne spółki i spekulacje fabryczne, które mu nie poszły ręką, kiedy mydłem, w cenie sobie danem, od jednego z upadłych dłużników i wspólników swoich za włożoną znaczną w ten handel sumę wynagrodzony został i, rozumie się, ogromnie na tym towarze stracił, dał początek od wieku już trwającemu przysłowiu „wyszedł, jak Zabłocki na mydle". A przysłowie to tak się już przynajmniej na Litwie zakorzeniło, że długo bardzo, jak się zdaje, żyć jeszcze będzie. „Durnieńki" zatem, dotąd kapitalista, jak mu się wszystkie interesy spękały, zbrzydziwszy świat, a nie chcąc uwierzyć w spółczesne polityczne wypadki, postanowił się ukryć i za oddaną ks. ks. pijarom wileńskim sumę w rodzaju procentu od bardzo dawnego już czasu kosztem tychże pijarów

był utrzymywany do samej śmierci. Miał on w ich murach na dole wyznaczoną sobie celę, oddaloną i odosobnioną zupełnie od innych różnemi klasztornemi składami. W tej celi była spora alkowa, którą Zabłocki ponsową adamaszkową firanką od lat wielu zasłonił, i nikt odtąd, nawet służący pijarów, co go dopatrywał, do tej alkowy zajrzeć nie miał prawa. Księża dawali mu oprócz mieszkania — stół, opał, usługę i pranie. Dopełniali zobowiązania się sumiennie. Nawet niedawno wspomniany doktor Neumann z ich polecenia co tydzień Zabłockiego odwiedzał, choć i nie było potrzeby. Kolegjum pijarów było podówczas naprzeciw kościoła ks. ks. dominikanów na Dominikańskiej ulicy. A, że dziś już ani jednych ani drugich niema, jaśniej powiem, że było to tam, gdzie dziś jest instytut naukowy dla szlachetnej młodzi.

Nikt już w Litwie ani się wtenczas domyślał, że „Durnieńki" żyje. Dziad stuletni zaledwie na dziedziniec kolegjum dla świeżego powietrza i popatrzenia na słońce miał ochotę i siłę wychodzić. Zdarzyło się jednak, że i na miasto się wywlókł. Ale dokąd, nikt tego nie był ciekawy.

W 1819 roku jako uczeń Uniwersytetu, nająwszy u pijarów mieszkanie, poznałem go. Był to słusznej urody, chudawy, ale poważny starzec. Oczy nadzwyczaj żywe i biegające ciągle. Włosy pomimo tak podeszłego wieku miał nawpół siwe tak, że szpakowaty wyglądał. Łeb wiecznie podgolony. Wąsy duże, na dół patrzące. Sam siebie statecznie „Durnieńkim" nazywał i o sobie samym statecznie w trzeciej osobie mówił. A mówił zawsze, nieprzerwanie, wyłącznie wierszami. Czy to spotkał się z ks. rektorem, czy z klerykami, czy ze mną, czy coś nakazywał usłudze klasztornej, czy w kuchni jadło sobie zalecał, rym był koniecznym mowy jego warunkiem. Na ostatnie słowo interlokutora swojego także odpowiadał rymem. Dziwne to, że mu tego rymu nie zabrakło nigdy. Nie było przykładu, żeby się zaciął. Nikt nudnego już starca nie odwiedzał nigdy, chyba jaki pijar dla miłości bliźniego. Jadał ciągle u siebie, wyjąwszy wigilję Bożego Narodzenia, wtedy bowiem przychodził do refektarza. Trunku żadnego prócz piwa i miodu nie pijał i to bardzo skromnie. Nosił się po polsku, nakładając na żupan zamiast kontusza długą aż po same kostki ferezję sukienną cynamono-



I w Postawie cały wedle Przyrodzeniu
Pewnie oczom się wyda bez wątpienia
J. Krysztalewicz

Krysztalewicz.

wego, nieco w ponsowy przechodzącego koloru, który pod nazwiskiem *sanguis draconis* u rysowników chodzi. Ferezja ta obramowana była po kieszeniach bocznych i tylnych i po mankietach długiemi dosyć szorstkiemi wełnianemi czy włóczkowemi frendzlami. Od kołnierza po pas wisiały na piersiach dwa złote z takiemiż kutasami sznurki. A i wszystkie guziki, a raczej guziczki, szmuklerską robotą także ze złotych nici sporządzone były. Trzcinę nosił wysoką ze złotą skówką. Wystawiał też zawsze z pomiędzy guziczków zapinających ferezję, srebrny od zegarka łańcuszek, na końcu którego naczepionych było mnóstwo złotych z krwawnikami sygnetów, a prawie na każdym z nich były wyrznięte herby. Sam zegarek był srebrny i, mało mówiąc, na pół talerza miał obwodu. Pękaty zaś był, jak litewski weselny korowaj. Ale szedł tak dobrze bez żadnej od lat trzydziestu poprawy, że się nad tem cały świat pijarski dziwował.

„Durnieńki" umarł, a raczej zasnął, zdaje mi się, w końcu 1820, a może na początku 1821 roku. Po śmierci jego znaleziono w tej zagadkowej alkowie dziesięć czy dwanaście worów. W większej połowie tych worów były kawałki starannie suszonego mięsa, które mu od obfitych obiadów pijarskich zostawały. Reszta worów zawierała chleb suszony, to jest suchary, z tegoż samego źródła pochodzące. Zdziecinniały, ale zawsze swoją krajową ideę piastujący starzec do ostatniej chwili spodziewał się wojny moskiewskiej i za nią idącego głodu. Zapasy te więc skrzętnie na przypadek klęsk podobnych dla siebie i przyjaciół robić się starał. Zabłocki, jakem już nadmienił, tak się w osobistości swojej dał najzupełniej światu zapomnieć, chociaż ciągle żył w przysłowiu u ludu, że nikomu do głowy nie przyszło, żeby on miał mieszkać w Wilnie, albo że był jeszcze na tym świecie obecny. Owszem ojciec mój sam, który podobnych wiadomości miał zawsze tysiące i który „Durnieńkiego" bardzo już starego znał kiedyś, przeżegnał się i z zadziwienia wyjść nie mógł, jakem mu, przyjechawszy na wakacje, powiedział, że Zabłocki dopiero aż wtedy umarł i że byłem na jego pogrzebie. Bardzo to wszystko dobrze. Ale zastanawiając się nieco głębiej nad rzeczą, serce szlachcica, to jest szlachetnego rodaka, krajać się musi w drobne kawałki na tę myśl, że duch narodu naszego takie tylko błahe nazwiska w pamięci swojej uwiecznia; a tych, co prawdziwe

cnót i poświęcenia się swojego dali społeczności dowody, zupełnem zapomnieniem nagradza!

Mamy wprawdzie: — „Zabłockiego na mydle", „Hawryłę z Połocka", „Filipa z Konopi", „ostatnią z domu Siekierzyńskich". Mamy przysłowia że:

„Szukszta, Pukszta, Łuciata, Puciata
Są to kpy z całego świata".

Mamy wizytowe ucinki Puzyny, który na drzwiach mieszkania Łosia, nie znalazłszy go w domu, miał napisać:

„Był tu ktoś
I napisał: Kiep Łoś".

A Łoś mu wzajemnie za ten komplement odpisał:

„Co Łoś — to zwierzyna,
Co kiep — to Puzyna".

Wszystko to bardzo, jak mówię, dobrze. Weszło to w pogadanki ludowe. Szkoda jednak, że to wszystko ma podstawę na samem tylko błazeństwie. A takich wspomnień, chcąc, daleko więcej naliczyć się może; np.: „Lepszy Pan Bóg, jak pan Rymsza" i t. d. Ale dlaczegoż nie słyszymy uwiecznionych także przysłowiem w pamięci ludu naszego imion takich mężów, którzy rozumem i cnotą prawdziwie na to niedawno jeszcze zasługiwali? Przodkowie nasi umieli takim sposobem nagradzać zasługę: „Polegaj na nim, jakby na Zawiszy" mawiali zawsze. A dziś i to przysłowie czy zapomniane, czy wyszło z mody!

Trzebaby się jednakże starać o zachowanie poczciwych imion, choćby prywatnych ludzi, choćby dlatego tylko, iż niema wątpliwości, że dzisiaj od blisko półwieku dla wielu bardzo i bardzo ważnych przyczyn i nie mamy i mieć już nie możemy wziętych i popularnych obywateli. Szereg ich i to w bardzo już zdrobniałych zamiarach zakończył śmiercią swoją, jak się zdaje, na zawsze a przynajmniej na długo Wojciech Pusłowski, marszałek słonimski.

Tomasz Wawrzecki, Rejtan, Jasiński, podkanclerzy Chreptowicz, Tyszkiewicz, Brzostowski, łącząc życie swoje obywatelskie z życiem politycznem, chcąc nie chcąc, przybili swoje nazwiska do kart nowoczesnej historji naszej, która już ich zaniechać i opuścić nie może. Ale oprócz nich mieliśmy wielu takich ludzi, których imię było najzupełniej popularne, powszechnie od

wszystkich klas społeczeństwa naszego szanowane, wielbione, kochane, o których ciągle mówiono kiedyś w prywatnem i w publicznem życiu, a których, ile ja wiem, dziś nikt ani wspomni, o których, że byli na świecie, dzisiaj już nawet nikt nie wie, chociaż ich może dawnemu staraniu, pomocy lub radom winien los swój dzisiejszy.

Jednym z takich a może nawet najpierwszym na Litwie był, naprzykład, w początku bieżącego wieku jeszcze żyjący Jerzy Białłopiotrowicz, obywatel nowogródzki. Zaledwie noszony na ręku, już imię męża tego wielbione słyszałem. Nie było interesu, rady, kompromisu, sprawy, ugody, małżeństwa, układu, któreby się bez jego cnotliwego pośrednictwa obejść kiedy mogły. W późniejszem dzieciństwie mojem, choć już on nie żył podobno, przecież nazwisko to jeszcze z niczyich ust nie schodziło. A dziś kto słyszał o tem, że był na świecie Białłopiotrowicz!

Tak to dzieci wypłacają się u nas ojcom i przodkom swoim.

Żałuję bardzo, że nie mam i mieć nie mogę w mojem Ustroniu żadnych danych, któreby mnie pozwoliły, coś dokładnego napisać o tym tak rzadkiej cnoty i słodyczy człowieku. To tylko zostało mi w pamięci, że on był jednym z najbliższych przyjaciół mojego ojca. Z gazet zaś 1794 roku łatwo dostrzec, jak go wszystko, co żyło, umiało poważać przy ostatnich tchnieniach konającej Polski.

Ale czas już powrócić do przerwanej materji, do znajomości mojej z Müllerem. Zostawiliśmy go rozpatrującego się w umeblowaniu mojego apartamentu.

Łatwo się ze mną zgodzisz, że niema drażliwszej i bardziej stanowczej dla umysłu, a może i dla serca chwili nad tę, kiedy człowiek nieprzygotowany — raptem, gwałtownie, nagle, bezpośrednio z jednego pewnika, z jednego uprzedzenia w drugie, przeciwne temu zupełnie, przejść musi. Nie licząc boskiej Ś-go Pawła historji, ludzie najtwardszego charakteru, największe niedowiarki często niespodziewanym lub niezwykłym spotkani trafunkiem w babskie potem uwierzyli zabobony i gusła. Najśmielsi odważnicy nieraz na cmentarzu nagłą padli śmiercią, kiedy, podjąwszy się coś stamtąd przynieść o północy i dobywszy tego, czego chcieli, przymkniętem z przypadku wiekiem trumny, za połę przytrzymani zostali. I ja też, ciągłą do tego hajdamac-

kiego człowieka mający odrazę, unikający jego widoku, na bok drogi jego zawsze schodzący, tutaj czarownym kontrastem jego głosu, jego mowy, jego wartości ujęty polubiłem go mimowolnie od pierwszej chwili i uczułem w sercu, że go kochać mogę. Co większa — z miłych słów jego instynktem sądząc o dobroci duszy, z jakiegoś niepojętego przeczucia i natchnienia żałować zaraz w myśli zacząłem, że taką suchego serca i pseudofilozoficzną ma żonę.

Pędem kuli przybliżał się dzień doktoryzacji mojej. Przeprosiłem więc Müllera, że teraz przy najlepszej chęci odwiedzić go nie mogę. Ale dodałem, że chwila z rana lub z wieczora, poświęcona odrębnej a przedmiotowi mojemu obcej rozmowie, nietylko nie będzie mi ciężka, ale owszem zawsze pożądana, bo głowa moja odetchnie. Chwycił się tego z ochotą. Przez te dni pięć, które mi jeszcze zostawały, po dwa razy na dzień mnie odwiedzał i do lekkiej a wesołej czynnie pomagał gawędki. W repertorjach szukać mnie różnych przedmiotów pomagał, notatki pod moje dyktando pisał. Raz od żony przyniósł mi pod pachą paczkę wybornych fruktów, któreśmy razem skonsumowali. Jednem słowem byliśmy odrazu jak swoi, jakżebyśmy się od stu lat znali! Zadziwiło to nawet mocno Karola, który mnie w wigilję doktoryzacji odwiedził i Müllera zastał. Znał go bowiem oddawna, a zatem znał jego odludność i dzikość.

Nakoniec, jak każda rzecz na świecie, tak i mój ambaras przeszedł sobie szczęśliwie, a przeszedł z honorem i sławą. Do tego się szczególniej przyczynił pedant, zazdrosny każdej rodzącej się zdolności, dziekan Mianowski. Usadził się on zbić mnie z tropu i po czterykroć, czego nigdy nie było dawniej przykładu, coraz nowemi a jezuickiemi chciał splątać zarzutami. I cóż wygrał? Oto, że całą publiczność tą widoczną złością oburzył na siebie, że jak czwarty raz zarzucać mnie zaczął, głośno na niego ze wszystkich stron szemrać zaczęto. Ale pomimo całą żwawość swoich wysiłków wyznać musiał, żem go zwyciężył i żem na włos przytomności i toczonego języka nie stracił. Odtąd wszystkie cetnary, które na głowie mojej ciężyły, spadły nagle i uczułem się raptem na moment lekkim, wolnym, jak ptaszek powietrzny. Młodość, pełność życia, ufność w siebie, humor wesoły, dowcip, żywość dwudziestoletniego młodzieńca,

wszystko się zlało, żeby w tym momencie i sobie i drugim być miłym. I byłem nim dla wszystkich. Młodzież cieszyła się szczerze laurami mojemi. Palestra życzliwym i uprzejmym spotykała mnie okiem. Starcy z pewnym rodzajem respektu podchodzili do mnie. Przyjaciele radośnie ściskali mnie rękę. Kobiety nic a nic tego nie rozumiały: dla nich to zupełnie było jedno, dziwiły się nawet, że się można z palm, otrzymanych w nauce, radować! Dla nich uczący się akademik sto razy więcej był wart od wyuczonego już doktora. Z tem wszystkiem, jeżeli kiedy doznałem tej pociechy, jaką dla czułego i kochającego ludzi serca sprawuje obca zawiści powszechna i nieudana przychylność, to była bez wątpienia w tej złotej chwili. Niestety, już się drugi raz dla mnie nie wróciła nigdy!

Naturalnie, żem prawie pierwszych odwiedził Müllerów, jako tych z pomiędzy światowych ludzi, którzy własnem wykształceniem gruntownem najlepiej znać i najlepiej ocenić mogli zaszczyt z gruntownej otrzymany nauki. Żem się przez cały ten czas ciągle widywał z Müllerem, poszedłem prosto do pokoju żony jego. Przyjęto mnie z wyciągniętemi po macierzyńsku rękami. Tysiącami osypano pochwał. Nadszedł i mąż. Był to pierwszy raz, żem jednocześnie zebrane widział to małżeństwo. Jak dziś pamiętam, pani Müller nawpół leżąca na kanapie, mąż jej o piec oparty, stojący, milczący. Zosia, córka, siedząca u mnie na kolanach, ciągle grająca drobnemi paluszkami. Jaś o trzy kroki przy stole wypukłe swoje na mnie wybaraniał oczy. Guwerner z kąta za fortepianem, sam się na rok przyszły sztuce lekarskiej i jej nauce poświęcić mający, poglądał z respektem na gościa i słuchał niby rozmowy. Z całej tej wizyty wyniosłem tę szczególną uwagę, że Müller we własnym domu u żony pomimo całej wybitej na twarzy jego dla mnie życzliwości, był znowu ciągle milczący, niepodobny do tego, czem bywał u mnie. Już mi znowu była jego mniemana wada zazdrości zaraz leźć w głowę zaczęła, kiedy, zawoławszy mnie z jakiegoś powodu na swoją połowę, znowu natychmiast moim, że tak powiem, zaczął być Müllerem.

Chciałem się był i to zaraz zręcznie u Karola o taki fenomen rozpytać. Ale ten szczególniej teraz po uczynionej mu przez Müllerów przysłudze nikogo na świecie nad tychże Müllerów nie

widział i z duszy im najszczerzej we wszystkiem doskonałość przyznawał. Trzeba więc było zostać przy własnym rozumie i oku.

Nim dalej co powiem, kiedym już postać samego Müllera dawniej opisał, a lekkim tylko żonę jego określił konturem, wypada koniecznie wybitniejszy tej kobiety naszkicować portret. Tym tylko sposobem czytający może być w domu. Dusza sama się potem odmalować trafi. Teraz zewnętrzne niech opiszę rysy.

Elżbieta Müller, z domu Zakrzewska, była bardzo małego wzrostu i stosownych do urody rąk i nóg rozmiarów. Powiadała o sobie, że do jedynego w życiu swojem połogu, który przed siedmiu laty po wieloletniej niepłodności miał miejsce, nabierać ciała zaczęła. Ale wtedy, kiedym ją poznał, już go, widać, nabierać była skończyła, że mało od formy dawnej węgierskiej beczki, winiarki, odstała. Kiedym na nią idącą patrzył, zdawało mi się, że toczy się kula tem więcej, że krótkie i tłuste nogi do drobniejszych zmuszały ją kroków. Ociężałość i trudność w osobistym ruchu zmuszały ją do siedzenia, ale i siedzieć było trudno dla krótkich nóżek. Znalazło się na to *mezzo-termine*. Przyjęła na zawsze i przy wszystkich pół siedzącą i pół leżącą pozę w kącie kanapy lub sofy. I to z samego zaraz widoku osoby nikogo ani razić, ani dziwić nie mogło. Tym sposobem stopy i podeszwy zawsze wytwornych trzewików były ciągle wystrzelone ku siedzącemu na krześle interlokutorowi. Monotonja tego widoku przerywana ustawicznie była poprawianiem podołka, podrzucaniem sukni dla okrycia nogi, a to rzekomo dawało widzieć i naciągniętą dobrze pończochę i grube łydki, i podwiązkę, i kolana, i czasem przez dystrakcję i dalej. Na to wszystko ona rozumowaniem zajęta, jak się zdawało przynajmniej, żadnej zgoła nie zwracała uwagi, ciało swe za nic nie mając, a rozum za wszystko. Ten rodzaj ekscentrycznej abnegacji w kobiecie, ta dystrakcja nie mogły dla widza być obojętne. Nie dlatego, żeby to w czemkolwiek łechtało lub podsycało męską ciekawość, bo na to, podług mnie, dla niej była już minęła pora, ale dlatego, że było oryginalnym rodzajem dystrakcji i zupełnie naturalnem i nieudanem wyglądało. Twarz drobna, tłusta, biała. Oczy błękitne, z których jedno mniejszym blaskiem od drugiego świe-

ciło i, nie będąc kosem, nie w parze jakoś z drugiem chodziło. Nos mały, ostry. Włosy światło-blond, piękne. Ogólne wejrzenie imponujące i surowe przy głosie, mimo jej woli jakieś rozkazujące i absolutne wydającym tony. Brała przytem dużo tabaczki. Ustawicznie podawano jej chustki. Ale czy nieumyślnie, czy z rachunku (bo kto kiedy babę odgadnie) ciągle gdzieś swoją tak zatykała chustkę lub tabakierkę, albo kluczyki, że się za niemi ustawicznie ganiać i po sofie to na tą, to na ową stronę przewracać się, jak kłębek, musiała, zawsze ze spodem sukni uporczywą, a już opisaną, prowadząc walkę.

Mąż przy tem bywał i, biorąc to *pour un fait accompli*, równie obojętnem, jak i my, na to poglądał okiem. Rzadko i bez żółci z tego żartował. Jedna tylko jej garderobna, stara i zasłużona panna Franciszka, zakopciała litewka, a nabożna bardzo dziewczyna, kiedy tylko byli sami dobrze znajomi ze zgorszeniem, podając jej chustkę, odzywała się czasem: „Da, dalibógżeż, to już pani, dalibóg, wszystko ludziom pokażesz". A to więcej jeszcze rzeczy nadawało komizmu.

Mieszkanie ich dzieliło się na dwie połowy. Połowa żony staranniej ubrana. Czystość we wszystkiem najwyższa, angielska. Parkiet jak lustro. Ściany z gustem malowane, zawieszone wybornemi obrazami, portjerami, gwaszami, rzadkiemi sztychami, ozdobione statuetkami dawnej porcelany saskiej. Wiele akwarel i gwaszów roboty samego Müllera, znakomitego i utalentowanego rysownika. Meble niewymyślne, ale więcej niż przyzwoite i czyste. Usługa kawy i herbaty na srebrze. Kawa wyborna a śmietanka tak doskonała, jakiej od stworzenia świata Wilno nie widziało! Wogóle nie było tam zbytku, ale był tam bijący w oko rozsądny i wytworny dostatek, stokroć od zbytku cenniejszy, który domyślać się pozwala, że gdyby chciano, byłoby czem jeszcze bez straty błysnąć i zatrzeć wielu jeżących się przepychem naszych dumnisiów. Połowa męża, również porządna i czysta, pełna była dobrze zrozumianego komfortu. Tuż była i dobrana bibljoteka i archiwum, które dla mnóstwa dawniej prowadzonych sukcesyjnych po matce, ale już ukończonych procesów w znaczną masę urosło. Nie można się było lepiej zarekomendować.

Zmuszony dla dopełnienia form i obrzędów patentu czas

jakiś w Wilnie zabawić, luźny i wolny pełnemi garściami czas mój na fraszki i odpoczynek rzucałem. Znowu się zatem w odświeżenie dawnych stosunków puściłem, cisnąwszy na ten raz książki w pokrzywę. Odwiedzałem często Müllera, często żonę jego, a robiłem to z tem większą przyjemnością, że mi tam i radzi byli i żem u niej, gdzie nikogo nigdy obcego nie widziałem, wolny był od tego nieszczęśliwego fraka, warunku nieodbitego gdzie indziej, — fraka, któregom już wtedy nienawidzieć zaczął, i żem wolny był tam od tych form światowych, które wszędzie, gdzie były kobiety, trzymały nas jak na smyczy, a przynajmniej jak w sznurówce.

Wówczas — przyjść do dam w surducie, oprzeć się o poręcz krzesła, założyć nogę na nogę, położyć gdzieś na boku kapelusz, było tak wielkim, tak śmiertelnym grzechem — jak dziś jest wielką zaletą. Wszystko to zależy od mody — a w gruncie również jest, jak i sama moda, podrzędne. O jednych tylko cygarach tego nie powiem, które nie wiem, czy bodaj nie mój ojciec pierwszy wprowadził do Litwy, nabywszy od wracającego z Hiszpanji polskiego oficera dwa pudełka Hawanny i dwie malutkie fajeczki, które mam do dziś dnia. Wiem i pamiętam to, choć byłem jeszcze malcem, że kiedy się bardziej od waszecia męska kompanja u ojca mego zebrała, wynosił każdemu jako osobliwość po jednem cygarze. Dziwiono się temu, oglądano ze wszystkich stron a potem, jak kadzidło, w tych luleczkach palono. A nikomu ani na myśl nie przyszło brać cygara prosto do gęby. W powszechnej wtedy modzie był tytoń turecki, długie antibkowe cybuchy, to jest z gałązek czereśni robione, i ogromne białe, jak nazywano, kapuściane bursztyny, w nader wysokiej wtedy trzymające się cenie. Wkrótce zacierać zaczął turka hamburski Wagstaff, mocniejszy, w paleniu przyjemniejszy, ale ponieważ w sokach preparowany, zostawiający po sobie trwały, a niemiły w pokojach i sukniach odór. A suknie, tytoniem śmierdzące, mogły być tylko noszone w szynkowniach. Palić tytoń przy kobiecie było dowodem najwyższego grubjaństwa, ostatniego szczebla złego wychowania! Ktoby się wtedy tego domyślił, że nie dalej jak po latach dwudziestu kilku kobiety, panny, że nie powiem dzieci, z rozkoszą i dumą smolić będą to ziele i zarażać odraźliwym jego dymem swoje różowe

usteczka. Ktoby uwierzył, że niedalej nad lat dwadzieścia kilka furmani, lokaje, żydzi, chłopi palić będą cygara z takim kontenansem, z takiem *aplomb*, jak najpierwszy europejski lew lub *dandy*. *Mirabilis est Deus in operibus suis!*

Cofając się do tego, com wyżej o moich wizytach mówił, rad byłem, wracając wieczorem z przechadzki, zajść do Müllerów bez żadnych, jak to mówią, ceremonij w surduciku i do północy na interesującej gawędzie czas strawić. Rankami Müller bywał u mnie. Nęciły go moje żuki, jaszczurki i żaby. Nad niemi trawił godziny, męczył systemat Galla, jak Spurzheim, ciągle za łeb się macał, a miał łeb ogromny, i takiej do tego wszystkiego nabrał ochoty, że mię ciągle piłował, żebym go z zootomicznym gabinetem zapoznał. Gabinet ten był wtedy pod dozorem i kluczem Fortunata Jurewicza, młodego a pełnego nadziei przyjaciela mojego. Raz widzieć taki gabinet, było to nic nie widzieć. Żeby zaś tam być częściej, trzeba było Müllera dobrze z Jurewiczem zapoznać. Zrobiłem to.

O tym Jurewiczu, żeby i z mojej czasem przyczyny w ludzkiej pamięci nie zginął, bo kto wie, czy te brednie moje czasem nie przydadzą się komu, kilka słów powiedzieć muszę. Życie jego a raczej koniec życia tego człowieka, może się stanie dla jakiego półpanka nauką, że głupia i grubjańska duma, szlachetnej delikatności próżna, nietylko w drażliwych okolicznościach indywiduom zabójczą, ale i krajowi szkodliwą być może.

Fortunat Jurewicz, z biednej, jak się z wszystkiego widzieć dawało, ukraińskiej szlachty zrodzony, dostał się jakoś dziukiem do Winnicy. Tam korzystnie odbył szkoły i znowu jakimś trybem przecisnął się przez Krzemieniec, sławne Wołyńskie Liceum. Nareszcie do Wilna dla ukończenia nauk się przebrał. W tymże roku szkolnym, chociaż późno, bo mię długo powrót matki mojej z Berlina w Warszawie z ojcem zatrzymał, przybyłem i ja słuchać lekcyj w Uniwersytecie. Stary rektor Malewski tylko przez wzgląd na czterdziestoletnią z ojcem swoim przyjaźń, a dziekan Niemczewski, dawny mój guwerner, przez łaskę na własnego ucznia dali mnie *comparuit* i świadectwo, a tem samem w poczet studentów, czy jak wtedy nazywano akademików, wpisali. Pobiegłem na lekcje, podsłuchałem kursów, poznałem, że to, o czem teraz lubo rozleglej mówią, dobrze

jeszcze znam ze szkół, i byłem spokojny. Ale trzeba było pokazać w dopędzeniu gorliwość.

Stary, zacny i poczciwy Jundziłł w brudnej i ciasnej sali botanicznego ogrodu dawał botanikę i, ozdobiając dziwnie jędrną i gładką swoją wymowę, kwiaty nam jeszcze ze swoich trejbhauzów przynosił. Zadeterminowawszy, nazwawszy je systematycznie, rzucał je przed siebie na salę, żeby się temu dostały, kto pilniejszy, zręczniejszy albo szczęśliwszy. Najłatwiejszy sposób dostania tych kwiatów, jakem zrekognoskował pozycję, był wcisnąć się jakkolwiek za jego krzesło i, jak się zamachnie, chwycić w lot zarzucone rośliny, chociażby zachwyciwszy i trochę pudru z jego łysiny. Dlatego też stawałem za nim pod oknem.

Jeszcze wówczas modą było pedancką, że ten, co się nie czesał i nie mył, kto obdarto a przynajmniej obtarto się nosił, że ten, mówię, miał opinję pilnego ucznia. Z tego względu wielu pilnych uczniów było. Ja, na biedę, i umyty, i uczesany szesnastoletni tylko co z Warszawy przybyły elegancki chłopiec, w modne suknie ubrany, osą byłem w oczach moim koleżkom. Tem więcej, że wszyscy, wielu ich tam było, byli już pod wąsem, a ja dzieciak i błazen. Jakem się tylko pokazał, a wlazł za Jundziłła, posypały się na mnie żarciki i różne zaczęli robić ze mną psoty. To mi zgięli we dwoje kapelusz, to w okładkę książki naplwali, to za krzesło Jundziłła mokrej nakładli gliny, żem się, jak garncarz, uwalał. Milczałem i znosiłem, wiedząc zgóry, że trzeba tutaj frycówkę zawsze opłacić, ale nie powiem, żeby mi to było miło. Najpilniejsi uczniowie, a między nimi niejaki Jurewicz przychodzili najwcześniej i siadali przy stole Jundziłła, bo w sali było ciasno. Reszta, jak śledzie w beczce, ściśnięta siedziała na ławkach lub pchała się na nie. Około stołu były same tylko wąsy albo golone i wąsy, i brody. Od kilku dni zauważyłem, że nim Jundziłł nadszedł, wychwalali te bajbaki zdolność Jurewicza w dawaniu byka. Byk, znaczyło, średnim palcem, drugą ręką podjętym, raptem w głowę czy gdziekolwiek uderzyć. Niebardzom się domyślał, że to na mnie taką gotują sztukę. Słyszałem tylko, że mnie to stąd, to zowąd nazywano od niechcenia „paniczem" i że „paniczów przeuczyć trzeba". Mógłbym się za to odemścić. Miałem już koleżków i przyjaciół

szkolnych, do bójki sprawnych, Mirskiego, Zaleskiego, Kamińskiego i innych. Ale ci, nie chcąc się uczyć, stali zawsze przy końcu lekcyjnej sali, żeby się łatwiej wymknąć i swobodniej w sieniach swawolić, — daleko tedy zawsze byli ode mnie.

Jednego dnia, kiedym o zwyczajnej porze przyszedł i stanął na zwykłem miejscu, nie wiedząc zgoła, że się na mnie już zmówiono, jeden z podrostków, przy stole siedzących, rozłożywszy kajet rycin Le Vaillanta, chociaż nieznajomy, zwrócił do mnie mowę i ryciny pokazywać mnie zaczął. Odwrócony do niego rękę lewą opartą trzymałem na stole Jundziłła. Wtem najniespodziewaniej uczułem silny ból w tem ręku: ktoś, jakby nahajką, palnął mi po łapie! Był to byk Jurewicza. Odwróciłem się, schwyciłem go w mgnieniu oka za łeb, jak jeszcze rękę swoją odbierał. Jakże go wytnę w papę, aż się na ławkę przechylił i juchą zalał!

Otóż to głowy i zdania młodzieży! Jakem tylko to zrobił, dwudziestu wąsaczy, co koło stołu siedzieli, co do tego postępku Jurewicza gwałtem nakłonili, zamiast go bronić rzucili się do mnie, ściskali, całowali, nosili mnie na rękach po sali, krzycząc „Niech żyje", dopóki Jundziłł nie nadszedł. Jurewicz zawstydzony wyszedł z za stołu, wyszedł z sali i kilka dni nie pokazał się zupełnie. Ja przestałem być filistrem.

Ktoby to mógł przewidzieć, kto zgadnąć, że rzecz, śmiertelną, dozgonną mogąca zrodzić nienawiść i zemstę, stała się zadatkiem najszczerszej, najszlachetniejszej tego człowieka dla mnie przyjaźni! Takiemi to rozlicznemi, niepojętemi drogami kleją się w wychowaniu publicznem trwałe dożywotne stosunki i związki, których w prywatnem i domowem żadną miarą nigdy osiągnąć nie można!

Trzeba jeszcze i to wiedzieć, że młodzież akademicka w Wilnie miała na sobie dwa odcienie i ledwie że nie na dwie dzieliła się partje. Na Litwinów i na Wołyniaków albo krzemieńczanów. Wołyniacy, a pomiędzy nimi prym naturalnie trzymali uczniowie Krzemieńca, gorliwie do sławy szkoły swojej przywiązani, trzymali się, jak Biskajczykowie, za swoje „*fueros*". Litwini dla wielu powodów zwali ich „Gaskończykami". A kto wie, czy nawet niesłusznie, bo w tem krzywdy niema.

Litwini byli sobie w rodzaju uczących się duchownych

seminarzystów; książka, sekstern i nic więcej. Wołyniacy, trzymając i książkę, i sekstern zgrabnie pod pachą, wyglądali, jak świeccy wycacani panicze. Przyczyną główną tego wszystkiego były dwa różne duchy, dwa różne systematy, ożywiające Krzemieniec i Wilno; oba miejsca, które jednakże garściami sypały dobrodziejstwa oświaty na cały kraj zabrany.

W Wilnie Jan Śniadecki, mąż wielkich zasług i sławy, ale dumny i twardy, suchego serca i zarozumiały pedant, przechodząc, albo raczej zmuszony stopniowo przechodzić z jezuickich zasad dawnej wileńskiej szkoły na nowe wyobrażenia, uważał w systemacie swoim nabywanie nauki za pewien rodzaj księżego nowicjatu życia. Kto tedy chciał się doprawdy uczyć, nie powinien był podług tej zasady mieć światowych dystrakcyj. Stąd wynikło w duchu Uniwersytetu niepodobieństwo połączenia nauki z salonowym polorem, który się tylko przez wprawę nabywać daje. Takowe zatem połączenie uważało się za anomalję, za rzecz dla młodzieży szkodliwą i sprzeczną z jej pożytkiem, jakby ogień z wodą.

Tadeusz Czacki, mąż genjalny i, niechaj, co chcą dzisiejsi mędrkowie mówią, nieśmiertelnej godzień sławy, obudził na Wołyniu, Podolu, Ukrainie nieznane tam do jego czasu uczucie: zapał do nauki. Plemię kozackie rzuciło się oślep na tę nową zupełnie dla siebie przynętę. Zamiłowanie nauk zawróciło głowy i stało się tam panującą namiętnością. Każdy ojciec, każdy obywatel niósł z ochotą część swojej fortuny dla sformowania i uposażenia głównej krzemienieckiej szkoły. Na nieuprawianej nigdy takim lemieszem roli, a od wieków leżącej odłogiem, wybiegło wgórę i puściło się wszystko w zieloność z tą bujnością, jaką wegetacja na dziewiczych Ameryki ziemiach wędrowców zadziwia. Uczniowie krzemienieccy, tem zdurzeni, ujęci jakimsiś *esprit de corps*, dobrodusznie razem z ojcami wyobrazili sobie, że jeden tylko jest punkt, błyszczący prawdziwem światłem na kuli ziemskiej, i że tym punktem jest Krzemieniec. Że wszystkie całego świata uniwersytety są przy Krzemieńcu — parafjalnemi szkółkami. Młodzież znowu wileńska uważała, jak słusznie, Krzemieniec za bardzo dobrą przygotowawczą szkołę, uczniów jej za dobrych uczniów gimnazjalnych. Dziwiła się tedy ich zarozumiałości, chociaż oddawała sprawiedliwość wyższym ich

zdolnościom wogóle. Były to bowiem wszystko od antenatów głowy świeże, od wieków sukcesyjnie żadną nie strudzone nauką. Na te niezmęczone duchowemi trudami mózgi wszystko działało wybitniej, wyraźniej i silniej. Zresztą w Litwie przez punkt honoru, każdy, choć jeden rok przynajmniej, przez Uniwersytet przejść się musiał, bo miał go pod bokiem. Dla mieszkańca Wołynia i Ukrainy, daleką przestrzenią oddzielonego, taka zabawka była trudniejsza. Ten więc, co tu jechał, jechał się uczyć doprawdy i czuł w sobie do tego zdolności.

Ale Czacki, genjuszem swoim wyprzedzając czasy, uczuł to zgóry, że młody człowiek, lat sześć czy siedem życia w dotychczasowych kapucyńskich szkołach strawiwszy, ledwie że nie był potem zupełnie stracony w praktycznym względzie. Że wychodzący dotąd ze szkół młodzieniec, przez lat wiele od wszelkich z towarzystwem światowem odłączony stosunków, musi w niem potem długo być zupełnie obcym. Chcąc zatem, żeby wychodzący z Krzemieńca na świat uczniowie byli odrazu na nim, jak w swoim domu, zachęcał młodzież do uczciwych po salonach zabaw. Puszczał ją na wieczory i bale. Rodziców z całemi familjami do Krzemieńca sprowadzał i jednocześnie z nauką chciał, żeby chłopcy świeckiego nabierali poloru. Ale równowagę praktyczną bardzo w tem utrzymać trudno. Stąd poszło, że ludzie młodzi, krwią kozacką i najezdniczą przesiąkli, pozbawieni już tej bojaźliwości, jakiej młodzież zwykle względem kobiet w pierwszych chwilach wystąpienia na świat ulega, śmiałość swoją w pewien rodzaj hajdamakierji zamienili i to hajdamactwo za dobry ton u siebie, *dans son grenier*, w swoim Krzemieńcu uważać zaczęli. Przywykli malcami jeszcze do elegancji w sukniach, fryzowania głowy, zgrabnego tańczenia, prowadzenia z damami gawędki *(causerie)*, już się na dojrzałych ludzi ochapiać chcieli. A tego wszystkiego sukcesyjnie jedni po drugich nabywali w samym Krzemieńcu. W Wilnie przeciwnie, wyłączając tych, którzy w domach własnych rodziców mieli zręczność nabycia światowego poloru, wszyscy inni zaledwie wiedzieli, jak wejść do salonu, jak się zgrabnie ukłonić, przywitać. A na widok młodej kobiety lub ładnej panny tracili kontenans, ponsowieli, jak raki, woleliby pójść na szturm baterji. Oprócz tego kto z młodych w Wilnie bywał w towarzystwach, kto się czysto

ubierał, kto nie był kapcanem, kto nie miał paznokci w żałobie, kto uczesany był, jak należy, — ten już był dla nauki bardzo wątpliwym subjektem. Taki tu duch panował i w uczących i w uczących się. Wyszło nakoniec z tego, że Wilno, nie dające oprócz medycyny żadnej do dalszego życia zastosowanej nauki, wypychało na świat uczonych bajbaków, niezgrabnych drągali, nie wiedzących, jak stanąć, jak usiąść, jak dwa słowa powiedzieć, jak dać odpowiedź kobiecie, gdzie podziać nieszczęśliwe i na ten raz zupełnie niepotrzebne ręce. Ale zato ci drągale mogli ci natychmiast rozwiązać wszelkie matematyczne zadanie, wytłumaczyć złotemi słowy tablice rzymskiego prawa lub zawiłe punkty Pandektów, skomentować Homera, Platona, Arystotelesa, pojść ze Spinozą, Wolfem, Leibnitzem lub Lockiem w teologiczne lub moralno-filozoficzne zawody. W fakultecie lekarskim był genjalny Józef Frank, który całą naukę w swojem ręku trzymał. Ten uczył u siebie i leczyć, i chodzić, i nos ucierać, i stanąć, i usiąść. Już się drugi mistrz taki zapewne nie znajdzie. Z drugiej strony Krzemieniec dawał ludzi światowo, ale po hajdamacku przetartych i zdolnych, ale zarozumiałych tak, że ten powierzchowny polor przechodził granice dobrego smaku, a ludzie młodzi krzemienieccy, ściśle wziąwszy, krzesząc ognia z podkówek, chwytali więcej wiadomości z salonów, niż gruntownej nauki z książek. Jednem słowem, Wilno dawało śmiesznych pedantów, Krzemieniec — śmiesznych wiercipiętów. A jak się te skorupy zamłodu każda swojego dobrze napiły, już potem na całe życie pieczęć została. Jakeś tylko w wiele lat potem spotkał kręcącego się na obcasach, przysadzistego w ujęciu człowieka — o zakład, że był z Krzemieńca. Jak zobaczyłeś niezgrabnego myśliciela, albo nudnego pedanta — o zakład, że wyszedł z Wilna. Co lepiej? kwestja ważna, którą nie przy tych tu bredniach rozstrzygać wypada.

Zdaje się jednak z pewnemi ograniczeniami, że, kiedy wszyscy ludzie żyć i być na świecie muszą, stosowniej jest do tego życia wcześnie ich przygotowywać i zaprawić. Bo z tysiąca uczących się jeden zaledwie wyjdzie uczony, a dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięciu z ludźmi poprostu bez książek żyć będą koniecznie — a zatem umieć żyć powinni. Jak tedy lepiej? dotąd nikt tej nie rozwiązał zagadki; a kto mówi, że ją odgadnięto

gdziekolwiek, — kłamie. Młodość i ostateczności, nie dozwalające wynaleźć środka, główną w rozwiązaniu tego pytania stanowią po dziś dzień przeszkodę.

Rzecz dziwna, że wielu i teraz nawet jeszcze poważnych literatów po latach dwudziestu kilku, kiedyby tylko stratę takiego, jak Krzemieniec, diamentu opłakiwać szczerze wypadało, żartuje sobie i przypina łatki uczniom tej znakomitej szkoły. Świadkiem tego różne broszury i artykuły w naszych dzisiejszych dziennikach. A jednak to wcale niesłusznie! Powtarzam, że tam — wszystko głowy tęgie, jak ziemia na Podolu, co rodzi po sto ziarn pszenicy, nie potrzebując żadnego nawozu. — Tam to jeszcze wybujałe pełne soków rośliny, obok których nasze litewskie za karłów uchodzić mogą. Że oni sobie tych, co się dobrze w Krzemieńcu uczyli, po dziś dzień za wielkich ludzi, o których nigdy nikt a nikt nie słyszał, i za genjusze mają, że dla nich tradycjonalne zachowują respekt i estymę, to — mała bieda! Prawda, że gwiazdy ich pierwszej wielkości, doktór Kaczkowski, naprzykład, ani o włos nie posunął dalej nauki, że Fryczyński ani o jotę agronomji naszej się nie przysłużył, a sam na dzierżawnym zbankrutował folwarku, że Marjan Piasecki nietylko dla nauki, ale się nawet nie umył do zdrowego rozsądku, że Eligi Piotrowski uzurpowaną dobrego prawnika miał sławę tak, że stary ich że Morzkowski, który się nigdy w Krzemieńcu nie uczył, trzynaście razy, gdyby żył jeszcze, zjadłby go w kaszy — ale to zawsze nie dowód. Krzemieniec nową był szkołą. Nie miano tam jeszcze czasu doświadczyć, wynieść stamtąd prawidła, że ludzie, dziwnie dobrze uczący się i prowadzący się w szkołach, „perły szkoły“, stają się prawie bez wyjątku najpospolitszymi ludźmi w dalszem życiu na świecie. Że na ich zero moralne dać kreskę i że ledwie nie każdemu z nich śmiało i zgóry dać można patent na durnia. Ci zaś, co byli tak nazwanemi osłami lub swawolnikami, figurują potem ze sławą i imię swoje dalszej podają pamięci. Chwała Bogu, między nami mówiąc, że o tym pewniku studenci nie wiedzą!

A i ja nie mogę zapomnieć niejakiego Piotra Medekszę, który pomimo tego, że i jam się tego uczył, wszystkich nas w szkołach pracą i zdolnościami, gotowością na lekcje, konduitą w kozi róg zapędzał. Który przez sześć lat ani razu nie siedział

w karceresie, gdzie ja, niestety! z kolegami za bitwy i czuby tak często bywałem. O nim myśleliśmy wszyscy, że najmniej będzie ministrem, jeżeli nie królem Madagaskaru. A on, skończywszy szkoły, naprzód trochę lepiej i ważniej od nas swawolić zaczął. Potem powiatowego zaledwie nauczycielstwa się dobił. Nakoniec z kucharką swoją, która i innym jeść gotowała, ożenił się! To wszystko byłoby jeszcze pół biedy. „*Il faut être souple pour parvenir*", tak mi zawsze ojciec mój powiadał. Otóż mógł on tego nie umieć. Ale to najgorzej, że po tyloletniem nauczycielstwie wydał niedawno poezje swoje pod tytułem: „Wianek z paproci", że zebrał do pięciuset nato prenumeratorów, — a to wszystko, co wydał, tak było nieznośne i głupie, że się tem doreszty dobił. Wróćmyż do Jurewicza.



Ignacy Szydłowski.

ROZDZIAŁ XI.

Mieszkałem wówczas na stole, stancji i pod dozorem Leona Borowskiego, sławnego uczonego, profesora literatury w Uniwersytecie Wileńskim. W cztery czy w pięć dni po opisanej już wyżej awanturze wszedł do mnie zaraz po obiedzie Jurewicz. Chociaż u nas nie było mody, jak w Dorpacie, rąbać się ustawicznie za lada głupstwo, obraza jednak tutaj była nadto jawna i silna, żeby mogło ujść na sucho. Prosiłem go siedzieć, czekając, co z tego będzie. Ale on stojąc rzekł do mnie: „Panie Morawski, jesteś uczciwy i dobry kolega. Nikczemni ludzie namówili mnie przed kilku dniami do tego nierozważnego postępku, za który nadto może ostro mnie ukarałeś. Rzecz już zrobiona, cofnąć jej nie można. Zamiast złej woli i zemsty, ofiaruję ci wierną i szczerą przyjaźń na całe życie. Powiedz mi, czy się na to zgadzasz?"

Rzuciłem się mu na szyję, uściskałem serdecznie, pocałunkiem ust moich zdjąłem z jego policzka nieroztropną popędliwością narzuconą plamę i oba ze łzami w oczach, trzymając się pod ręce, jak bracia, poszliśmy na tąż samą lekcję Jundziłła, gdzie się przede mną, jak przed człowiekiem, *qui a fait ses preuves*, z uszanowaniem rozstąpiono i nigdy mi już więcej żadnej nie zrobiono afery.

Jurewicz przez całe życie dotrzymał mi słowa. Kochał mnie, jak brata, — o nie, więcej, jak brata! Ja go też mocno kochałem. Nie była to jednak z mojej strony ta przyjaźń, jaką miałem dla Nowomiejskiego, a potem dla Karola Morawskiego, Karola Muyschela, Müllera, gdzie wszystko szło funt na funt. Odrazu czy się sam poddał z ochotą, czy pomimo rzadkich jego zdolności ja jakoś nieznacznie praktyczną wziąłem nad nim prze-

wagę, dosyć, że skończyło się na tem, że przez kilka lat tej równowagi, tego zupełnego pomiędzy nami poziomu nie było, jakiego moralnie przyjaźń koniecznie wymaga. Zawsze Jurewicz dobrowolnie stawał w stosunkach naszych pode mną, rad moich zasięgał, rad moich słuchał, zdanie moje za prawo uważał, a ja tego wzajemnie anim od niego potrzebował, anim wykorzystał nigdy. Z mojej rady człowiek ten pełen genjuszu, pełen jasnego czystego rozumu promieni zaczął na kursa lekarskie uczęszczać; z mojej rady dał się poznać Bojanusowi, jednemu z najznakomitszych ówczesnych w Europie naturalistów (A_{17}); z mojej potem i Bojanusa rady, oddawszy się anatomji porównawczej, zrobił się godnym tegoż Bojanusa następcą.

Jurewicz był pięknej, białej, znaczącej, wesołej i otwartej twarzy, pięknej i bardzo kształtnej urody, włos nosił krótko strzyżony, bo ten dobrze na czerwony kolor zakrawał. Głos jego był, jak głos wiolonczeli, albo raczej wiolonczela po dziś dzień w swoich najmilszych tonach jego głosem mówi. Kiedy się odezwał, dźwięk głosu tego odzywał się we mnie także, jak się szkło odzywa na odpowiedni dźwięk kamertonu.

Dziwny to skład ludzkiego organizmu! Zdarzyło się każdemu zapewne, zdarzyło się i mnie nieraz widzieć pierwszy raz w życiu kobietę, mającą twarz takiego wyrazu, że ci gwałtem wdzierała się w serce. Jakiś instynkt, jakaś myśl wsteczna, jakieś niepewne, mgliste wspomnienie mówić się zdawały, że te rysy oddawna mnie znajome, żem gdzieś i długo, długo z niemi przebywał. Ale to chyba było u Boga. Może! Tego każdy doświadczał; — wiem o tem. Ale kiedy się mi czasem, nawet nie widząc kto i nie widząc osoby, naprzykład, z za ściany jakiś dźwięk głosu odezwał, co dziwnem drganiem, nie wiem jak, trafiał do mojej duszy, kiedy ten jedyny cielesny organ naszej boskiej nad wszelkiem stworzeniem wyższości ucha mojego w ten sposób raz dotknął, mogła być to kobieta młoda lub stara, brzydka lub piękna, mógł to być mężczyzna, alem już tego głosu nie mógł zapomnieć! Takim sposobem kilka razy w życiu zapamiętale się kochałem bez względu na postać, wiek, urodzenie, wyznanie tej, której wyższa nad naszą wolą te krewne dla serca mojego nadała struny.

Jurewicz tedy był, jak mówię, piękny mężczyzna. Ochę-

dożny, czysty, elegant, golił się starannie, kiedy ja jeszcze wyobrażenia o brodzie nie miałem i że mi wyróść może anim pomyślał. Suknie jego nosiły się tak, że wierzyć nie można było, żeby się tak dały nosić. Raz latem, spotkawszy się z nim na drodze do Popław, dalszą przechadzkę odbyliśmy razem. Oczarowany widokiem pięknych Wilna okolic, siedząc z nim obok w cieniu ślicznych krzaków, chciałem mu pokazać jakąś pętlę wijącej się, jak żmija, Wilenki, wziąłem go za ramię i pierwszy raz postrzegłem, że ma na sobie frak z jakiejś dziwnie równej, lekkiej i gładkiej materji. Spytałem się go więc naiwnie: „Skądeś dostał tak piękny barakanik". A on, chwyciwszy mnie za szyję, rzekł z nawpół smutną, nawpół wesołą twarzą: „O mój Morawski, tyś nigdy nie znał, co nędza, co bieda! Ten frak, ten barakanik jest to wytarte, wynoszone sukno, bo nie mam za co sprawić innego!"

Kiedy mówił, twarz jego więcej jeszcze genjalnego nabierała wyrazu. Młody bardzo jeszcze wszelkie ważniejsze pytania z wyższego zawsze rozwiązywał punktu. Rzadko kto więcej od niego był sposobny objąć treść, miazgę, podstawę, zasadę filozofji każdej nauki. W obejściu się grzeczny, łagodny, uprzejmy — był skłonny jednak do jakiegoś rodzaju pochlebstwa; jednem słowem, był nieco jak mówią, lizus — właściwa skłonność czy słabość ludzi, mających czerwone włosy. Ale to nigdy nie przechodziło za przyzwoitą granicę, a przyjaciół mu robiło.

Sens moralny o nim teraz się zacznie dopiero! Powiedziałem już, że był tymczasowo dozorcą i konserwatorem zootomicznego gabinetu. Na nieszczęście (bodajby sobie połamali koła!) przybyła do Wilna familja Biszpingów i siostra samej, sławna z piękności w Warszawie panna Teresa Kicka. Nudząc się i oglądając Wilno, djabeł im szepnął starać się o wejście do gabinetu mojego Jurewicza. Sam Biszping, człowiek światowy, a zatem pozornie grzeczny, podjął się negocjacji biletu i osobiście karetą do Fortunata zajechał; bilet otrzymał; na naznaczoną godzinę z całą swoją czeredą się stawił. Jurewicz, chcąc grzeczność grzecznością odpłacić, sam przyszedł dla niezbędnych objaśnień. Było tam kilka córek Biszpinga, panien, oswojonych ze światem, a ładnych i śmiałych. Nadmieniłem, że kiedy co mówił, mówiła wiolonczela! A mówić miał o czem. Oczarował Biszpingów. Stąd znajomość,

zaprosiny do domu i nakoniec miłość, w której się nasz uczony cały, jak miętusowa wątróbka, roztopił. Pierwsze uczucia kryją się światu. Panna także nie mogła utrzymać na miejscu swego serduszka. Biszpingowie, nie domyślając się niczego, na wyjezdnem z Wilna na wieś, szanując, poważając, ciesząc się uczonym, dowcipnym, miłym Jurewiczem zabrali go gwałtem na wakacje do siebie. Wszystko mu szło jak z płatka. Zwierzył się mnie przed wyjazdem ze swojego szczęścia i dalsze rozwinął nadzieje. Powiedziałem mu szczerze, co o tem myślę; radziłem być ostrożnym; życzyłem, żeby się to stało, ale ostrzegałem, żeby grzeczności ojca za projekt zrobienia go zięciem swoim lekkomyślnie nie brał.

Na wsi rozłechtali go jeszcze bardziej. Nie znał on świata, to prawda, ale miał więcej od wszystkich przeszłych i przyszłych Biszpingów rozumu. Musieli więc już go nadto rozkaresować, kiedy po rozważeniu pozycji swojej, wróciwszy na publiczną służbę, za radą nawet samej panny w zupełnej ufności przyszłego szczęścia napisał list oświadczający się do jej ojca z prośbą o rękę.

Biszping bogaty, a bardziej jeszcze zarozumiały i niedelikatny, a bardziej jeszcze dumny i głupi, zamiast złagodzić cięcie, zamiast odmówić z dobrocią, w odpowiedzi swojej wręcz od tego zaczął: „Nie mogę wyjść z zadziwienia, jak waćpan, ubogi szlachcic, urzędniczek Uniwersytetu, mogłeś kiedykolwiek tak krzywdzące dom mój robić nadzieje!" Było tam coś dalej jeszcze, ale już siedzący pod oknem przy stoliku Jurewicz nie doczytał więcej, porwał się jak wściekły — i w tymże momencie zwarjował!

Stępiły się na nim napróżno wszelkie sztuki lekarskiej rozumy. W całem znaczeniu wyrazu był wściekły! Trwało to sześć miesięcy. Kiedy już nic pomóc nie mogło, sprowadzono z trockiego sąsiada mojego Tatara, sławnego z sekretu leczenia fiksatów. Ten go podkurzył, poddmuchał, przeczytał nad nim kilka rozdziałów koranu i pochuchał. Jurewicz wrócił do głowy. Wyzdrowiał zupełnie, została mu pamięć wszystkiego — ludzi, nauki, — ale została i pamięć serca. Nie mógł długo zdać sobie sprawy z tego, co z nim było, bo tego tylko nie pamiętał. Wziął więc zrazu wszystko za prostą gorączkę, połączoną z utratą zmysłów i wszystko szło dobrze. Ale jak biedak zaczął na świat

wychodzić, jak z kalendarzem musiał zrobić rachunek, postrzegł nieborak, że gorączka ta jego za długo coś trwała i natychmiast domyślił się prawdy! Pochodziwszy zatem czas jakiś z miną nieśmiałą po Wilnie, nie mając nikogo, z kimby się mógł smutkiem swoim podzielić (ja wtedy na kilka miesięcy byłem do Petersburga wyjechał) zbrzydził samego siebie, wcisnął się pod lód Wilenki i takim sposobem warte lepszego losu życie zakończył.

Gdyby był żył dłużej, jego genjusz, jego rozum, jego pomysły, jego nieporównane zdolności, jego zamiłowanie w kamiennej pracy dałyby już dzisiaj niewątpliwie całej Europie sławnego i wielkiego męża. Duma, zarozumiałość, głupstwo, więcej powiem, nikczemna podłość mniemanych jego przyjaciół zabiły tego niepospolitego człowieka. Ale taki już los, taka gwiazda nasza, że nietylko imię nasze zbiorowe, ale i pojedyńcze imiona wydarte są zawsze i wszędzie z księgi pamięci. Cóż robić!..

Wróćmy do zaczętego dawniej.

Odtąd przez ten czas krótki, który przed odjazdem na wieś mnie pozostawał, towarzystwo nasze męskie, wesołe, puste, uczone, dowcipne, *introuvable* składało się z Müllera, Karola, Rosołowskiego, Jurewicza, który się wówczas jeszcze przyszłości swojej nie domyślał, i najlepszego z przyjaciół moich, Karola Muyschela, jedynego człowieka, który do samej śmierci ani pośrednio, ani bezpośrednio źle mi nigdy nie zrobił. Jemu, jak czas przyjdzie, oddzielną poświęcę kartę, jeśli mnie tylko Pan Bóg życia przedłuży.

Do spacerów naszych przyłączył się kilka razy z przypadku Weiss, ten Weiss przedziwny, Weiss nieoszacowany, któregośmy wszyscy, wielu nas w Uniwersytecie było, kochali i znali, bo był dyrektorem Zawadzkiego drukarni. Weiss, niemiecki Niemiec, co się z gramatyką w ręku wyuczył po polsku; co znał Kopczyńskiego na palcach; któremu się zdawało, że ten język poznał gruntownie; który nie chciał nigdy innym mówić językiem, a co krok, to okropnego uciął byka, a nas do rozpuku śmieszył. Często się do nas, biegających, jak sarny, po górach i upędzających się za ciekawym motylem czy żukiem, z najpoważniejszą i doktoralną miną odzywał: „Yc, yc, my tobie dopendzym", co znaczyć miało: „Idź, idź, my ciebie dopędzim", i z zadziwieniem patrzył nam w oczy, jeśli się kto zaśmiał. Pocz-

ciwe to Weissisko, długo dla głów naszych moralną gotujący strawę i za drukarskim siedzący straganem, z miłości do Tytiusowej, pięknej i sławnej w Wilnie traktjerniczki, skończył na dozorze brzuch nasz restaurującego zakładu! (A_{18})

Były to prawdziwe złote dni złotego wieku naszej koterji, nie wyłączając ni starszych, ni młodszych. Żart szedł po żarcie, koncept po koncepcie. A wszystko to przyzwoite, zabawne, słone, ale to tak przyzwoite, że mniszka od panien bosaczek temu przysłuchaćby się mogła. Sękowski Józef, sławny literat, a sławniejszy jeszcze w literaturze złośnik, co to zawsze powtarzał, „że od lat kilku nosi przy sobie dukata z tym celem, żeby go oddać natychmiast ubogiemu, jak tylko się zdarzy, że dwóch, trzech Polaków, zszedłszy się z sobą, jakiejkolwiek zaczętej materji w ciągu godziny nie skończą na rozpustnej rozmowie", który wiernie dowodził, że dukata swojego dotąd wydać nie mógł, tutajby zjadł mydła i najpewniej swojego holendra się pozbył. Najstarszy z nas, Müller dotrzymywał nam placu i u siebie i za domem. Pełen on był zawsze tego wesołego bez żółci dowcipu, w trafne i zwięzłe obleczonego słowa, który się bez względu na przyrodzoną zdolność tylko długą różnostronną nauką i długiem rozmyślaniem nabywać daje. Ciągłym naszym plastronem był Rosołowski, który się jednakże zjeść w kaszy nie dawał, ale którego sławne po prowincji wędrówki i doktorskie rozdobędy tysiące dawały nam celów, do którycheśmy trafnie strzelali. Jak się tylko trochę rozchodził, a rozchodził się gniewem często umyślnie, lekarstwo dla niego było pod ręką. Pohulanka, Markucie, Rybiszki, Jeruzalem, Tivoli dostarczały natychmiast wybornych podwieczorków i śniadań — specyfików na zagojenie bolącej jego rany. Często bardzo lepiej od wszystkiego goiła naszego gniewosza wyborna Müllerów kawa. Tej to daty sięgają owe rysunki i szkice od ręki, dotąd w części u mnie leżące, w których Rosołowski wyobrażony jest, kiedy wraca z pielgrzymki wiejskiej z wiktuałami, albo kiedy z pod dzikiej kaczki wykrada jaja.

Śród tych rozrywek Müller, nie żenując się bynajmniej, z otwartością starego żołnierza stawił się ciągle na pierwszem miejscu. Dusze czyste, nie uległe zawiści, chociaż tego nie widzieć nie mogły, żadnego zgoła w tej preferencji nie widziały

grzechu, a Rosołowski z siebie nigdy do niej nie rościł prawa. Ale ja, do Müllera raptem już przyklejony, wielką w tem dla miłości własnej widziałem podnietę i nie dniami, ale minutami przywiązywałem się do niego coraz bardziej i bardziej.

Taki był stan męskiej połowy. Żeńska, w momentach, kiedy tam bywałem, składała się z jednej pani Müllerowej. Z nią jeszcze staliśmy ciągle na punkcie filozoficznych rozpraw i dysput, których ja, szczególniej z babami nienawidząc zawsze, pomimo wszelkich wysiłków uniknąć z nią nie mogłem. Ale, żem za dni kilka na wieś miał się wydalić, a w zapaśniku moim już wyczerpane i stygnące dopatrzyłem siły, nie chciałem łaskawej na mnie kobiecie tej małej odmówić pociechy, żeby się wygadała dobrze. Zawsze tedy jeszcze przez grzeczność w tak nazywane podówczas filozoficzne wchodziłem z nią dyskusje, jak tylko je sama zaczęła.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I.

Tymczasem grom, mający się nad Litwą szeroką rozprzestrzenić łuną, niespodziewanie wypadł z ręki cesarskiego brata. Żyjąc daleko od tych czasów, których Tacyt *raram felicitatem* wychwala, zrozumieć łatwo, jak będę zwięzłym i krótkim.

Jak dziś szał komunizmu, socjalizmu i otwartych buntów, tak w owym czasie szał tajemnych stowarzyszeń wszystkie głowy naokoło ogarnął. Dali znak *Carbonari*. Prześladowanie ich wzniosło ich wartość i we wszystkich naśladowniczą rozniecilo ochotę. Młodzież skupiać się w związki zaczęła. Rządy swoich używały i użyły środków. Na młodzież tedy i na wyższe szkoły wszędzie, a bardziej u nas, obrócono oczy.

Nowosilcow, małego ekstraktu, złego życia, chytry, przewrotny, ale wysoko stojący człowiek, bankrut oddawna, tylko w zachwianiu tej słabej ufności, jaką mógł mieć do tego kraju monarcha, widział rozszerzenie i fortuny swojej i władzy: bo mu też silnie chodziło o przedłużenie dzierżawy słonimskiego starostwa, — a trzeba było na to zarobić!

Mieszkając ciągle jako rosyjski komisarz lub poseł w Warszawie, przez szkiełko przybliżające zaczął się ciągle w Litwę wpatrywać, — i podobała mu się!

Brat cesarski, wielki książę Konstanty, człowiek szlachetny, otwarty, poczciwy, ale gorączka, władał całem Królestwem Polskiem i Litwą. Nowosilcow rzucił mu zlekka i zręcznie kilka podejrzeń o usposobieniu i duchu litewskiej młodzieży. Nieprzyjaciel odwieczny księcia Czartoryskiego, dlatego tylko, że ten mu bardzo wiele zrobił dobrego, — Czartoryskiego, który był kuratorem Uniwersytetu w Wilnie, — tak zręcznie także na umysł i Konstantego i podejrzliwego już wówczas Aleksandra

wpłynął, że i ten ostatni, zwątpiwszy o wierze tyloletniego i doświadczonego już przyjaciela, jakim był książę Adam, — kosem okiem na niego poglądać zaczął.

Tymczasem wyraz *konstytucja*, chodził sobie po świecie i chodził; — a rzadko w swem istotnem znaczeniu głowom wiadomy dlatego, że bronny, we wszystkich znajdował się ustach. Dzisiaj niktby za to nie dał i garści bobu. Wówczas był to wyraz, który, jak mówią, jeżeli prawda, w spazmy austrjackiego cesarza Franciszka wprowadzał. Twierdzono powszechnie, że kiedy mu raz, złożonemu chorobą, lekarz dowodził, że „konstytucja ciała jego" takich a nie innych wymaga środków — cesarz Franciszek ze zgrozą wykrzyknął: „*Um Gottes Willen! immer, immer, und überall diese verfluchte Constitution!*" — Takie to są zawsze dziwne skutki ducha czasu, który z niczego stwarzać wiele umie! Bogdajby tylko jedno dobro stwarzał!

Czartoryski, wisząc już na włosie, a chcąc dać jakąś oporę upadającej Uniwersytetu powadze, śpiewem łabędzia, jak słusznie mniemał, postarał się, ażeby marszałek piński, Twardowski, człowiek z nauki, majątku i stosunków swoich wiadomy, a przytem, jak należało, i filozofji doktor, rektorem został wybrany. Stało się tak. Twardowski, na biedę w czynne i prawie polityczne wprowadzony życie, akurat nie pojął, czy pojąć nie chciał położenia swojego, szczególniej w obliczu cesarskiego rządu, gdzie subordynacja główną gra rolę! General-gubernatorem był wtedy w Wilnie stary i poczciwy człowiek Rimskij-Korsakow, sławny z przegranej pod Zürichem. Ten, jeden może z najszlachetniejszych Rosjan, nieprzekupny, ale stary, schorzały, babom rozwięzłym oddany, wiadomy był tylko z niesłychanego dziwactwa. Nigdy się on jednak do Uniwersytetu nie mięszał; ale znał to dobrze, że jako wielkorządca kraju wszystko, co jest w tym kraju, do wiedzy jego należy. Tego właśnie, czy z zarozumienia, czy, co podobniej, dla zrobienia sobie odrazu opozycyjnej i popularnej powagi i sławy nie chciał poznać Twardowski — i jak równy z równym z Korsakowem traktować zaczął. Stary Korsakow, nie pojmujący tego, zrazu się zaśmiał; potem rozdąsał. W mieście, gdzie było do dwóch i więcej tysięcy młodzieży, musiały się koniecznie trafiać kolizje z miejską policją. Swawolnicy bili okna, latarnie, bili się po ulicach, traktje-

rach i w gorszych miejscach. Donoszono o tem Korsakowowi, donoszono i rektorowi. Dawny rektor, starzec Malewski, co tuż był przed Twardowskim, jak się tylko o takiej rzeczy dowiedział, pobiegł zaraz cichaczem do Korsakowa, pogadał, przeprosił, sam karę naznaczyć obiecał, obietnicy dotrzymał, i rzecz zawsze i ciągle domowym sposobem zakończona była. Ale wyznać trzeba, że nie lubiono u nas tej jego pokory. Twardowski kilka razy już tego nie zrobił, sam swoją powagą i władzą urządzając śledztwo i naznaczając karę. Jakoż to już Korsakowowi niedobrego było odoru.

Na nieszczęście mały dzieciak z trzeciej klasy gimnazjum, Michał Plater, syn Tadeusza hrabiego Platera, na biedę jeszcze z Kościuszkówny urodzony, wychodząc z klasy, przez swawolę na szkolnej tablicy napisał kredą: *Vivat konstytucja*, sam o tem nie wiedząc, co ten wyraz znaczy! Przybyły tam na lekcję rosyjskiego języka nauczyciel szkoły, Rosjanin, Ostrowski, wiedzący o kwasach z Twardowskim i wcześniej przez kogoś już napompowany, poleciał do Korsakowa i doniósł. Korsakow odezwał się do rektora. Gdyby ten był się natychmiast ustnie z Korsakowem rozmówił, skończyłoby się to jak błazeństwo na niczem. Ale, jak mu Twardowski odpisał, że sam wie, co ma zrobić, i stosownie do udzielonych mu praw postąpi, Korsakow w tem niespodziewanej i krwawej dostrzegł obrazy i nieposłuszeństwa, rozdziwaczył się jak jeszcze nigdy i natychmiast sztafetę do w. księcia wyprawił z doniesieniem, że bunt, faworyzowany przez rektora, wybuchnął pomiędzy młodzieżą w Wilnie.

Wilno było już od roku prócz tego na czarnej księdze z powodu różnych młodzieży akademickiej z młodymi oficerami gwardji niesnasek. Gwardja sama za głupstwa swoje na spacer w 1822 r. posłana była. Jedno z drugiem złączone musiało najwyższej władzy i dać to podejrzenie buntu, i wiarę w nie rozwinąć. Wielki książę, po odebraniu sztafety Korsakowa, wysłał natychmiast adjutanta swojego, hrabiego Nesselrode, z obszernem pełnomocnictwem i z wyraźnem poleceniem aresztowania rektora. Nesselrode, przebrany, wszedł piechotą do Wilna, znalazł wszystko najzupełniej spokojnem i cichem, odrazu postrzegł, że to wszystko bajka; — jak człowiek sumienny, w tejże

chwili wysłał o tem raport do w. księcia, ale rozkazu jego przekroczyć nie mógł. Twardowski na odwach zaprowadzony został.

Zaiste, błąd tu był wielki i z jednej i z drugiej strony! Ileżby nieco wyrozumienia i łagodności ochroniło nieszczęść, a potem i krwi rozlewu! W tej to niefortunnej chwili rzucono nasienie wszystkiego tego, co się 1830-m i 1831-m rokiem skończyło. Można sobie bowiem wyobrazić całe oburzenie ludu, całą jego na ten moment nienawiść i wściekłość, jakie podobny wywołał wypadek! Rektor Uniwersytetu, rektor, którego od lat kilkudziesięciu dwie już dorosłe generacje za coś odrębnego, wielkiego, majestatycznego uważać przywykły; rektor siwy, poważny; rektor — za to wsadzony do upakarzającej, jeśli nie hańbiącej, niewoli, że dziesięcioletnie, czy trochę starsze dziecko, napisało w szkole parę głupich i nie mających żadnego celu wyrazów!! Ale już kość była rzucona!

Tymczasem Rosjanie, nie pojmujący jeszcze wtedy godności nauki i światła, nie mogli domyślać się nawet, że ten areszt rektora ważnym być może dla naszego kraju wypadkiem! U nich rektor uniwersytetu, obierany z pomiędzy profesorów corocznie, a najwięcej na trzy lata, dla formy, dlatego, że ten urząd stoi na etacie, tyle z miejsca swojego ma znaczenia i powagi, albo mniej jeszcze, co powiatowy strapczy albo asesor policji. U nas było zupełnie inaczej!... Co kraj, to obyczaj! Trzeba pilnie poznawać obyczaje kraju każdego, każdego zakątka ziemi, jak tylko mamy w nim mieć co do czynienia!

Otóż to właśnie w samym tym rozruchu i ważących się z sobą jego bezpośrednich skutkach, w ciągu najbardziej interesujących, a najniespodziewaniej jak bomba spadłych wypadków przyszło mi z Wilna wyjechać. Konie były przysłane. Trzeba było ciekawość, jaką tak nadzwyczajne zrodziły okoliczności, na czas późniejszy odłożyć.

Żegnając się z przyjaciołmi moimi, byłem u pani Müller, i tam pierwszy raz dwie nowe zastałem osoby. Staruszeczkę, jak gołąb siwą i białą, schludną, czystą, dziwnie miłej i uprzejmej twarzy i starca ślicznego, wszystkie rysy niepospolitej piękności noszącego na sobie, czystego, wychuchanego, pudrowanego, któregom, często w konfederatce nabakier i przy ostrogach czasem chodzącego po mieście, widywał. Pani Müller powiedziała

mnie, że mnie przedstawia swojemu ojcu i matce. Był to Józef Zakrzewski i jego żona, o których, powróciwszy ze wsi, może co powiem.

Przybyły do domu i zaraz wiecznym, a nie cofniętym zwyczajem na konfesatę wzięty z wzniesioną tym razem i dumną twarzą pochwaliłem się ojcu, że żyję teraz w przyjaźni z Müllerem. Byłem pewny, że tu już ogromny aplauz odbiorę! Oficer artylerji konnej — majętny, osypany krzyżami, wielu znajomych i wiele wpływów w stolicy mający, uczony, utalentowany, waleczny, — jakże się tem choć najsurowszy ojciec nie miał pocieszyć? — Na wszystkie moje pochwałki takiego nastawił marsa, że mię dziargi przeszły po skórze. Wysłuchawszy jednak cierpliwie całego panegiryku, powiedział: „Znam go", — a po chwili dodał: „mój kochany, pamiętaj to na całe życie: strzeż się zawsze każdego milczącego człowieka, co sam nigdy nic o sobie nie powie, a z innych wszystko, co może wyciągnąć pragnie"...

Ale już burza, co pierwsze tylko była rzuciła pioruny, zdaleka straszliwą siłą nad Wilnem rozpęknąć się miała! W ciągu mojego pobytu na wsi głuche pomiędzy ludem, a niepomyślne chodzić zaczęły wieści. Nie wiedzieć skąd przebąkiwano o odkryciu jakichści tajnych w Litwie towarzystw, o ścisłem śledztwie, zarządzonem z tego powodu. Roznieśli to naprzód, jak zwykle, Żydzi. Wkrótce kilku znajomych pisało do mnie sekretnie. Z tych listów dowiedziałem się, że komisja śledcza i sąd na sądzenie Platera i jego spólników naznaczone. Że Czartoryski zwalony. Że Nowosilcow, nowy kurator, przybył do Wilna. Że niejaki Jankowski umyślnie dał wziąć u siebie jakieś polityczne papiery i wiersze, jakieś bardzo kompromitujące akty i nakoniec jak formalny delator wystąpił. W delacji swojej całą akademicką młodzież ogarnął, tajne jej towarzystwa wykrył, naczelników wykazał i nazwał. Że nie chodziło jakoby o mniej, jak o całość monarchji i osobiste monarchy istnienie! Włos powstawał na głowie! Jakkolwiek to miałem za plotki, zawsze jednak wierzyłem, że odkryto doprawdy, może nie tak zbrodnicze, ale niewątpliwie występne jakieś zamachy. Któż opisze podziwienie moje, kiedy sekretnym umyślnym wezwany zostałem do Wilna, żebym tam był zaraz i mieszkał; że z muchy zrobiono słonia. Że cała rzecz się toczy o dawno już zakryty Związek

Promienistych i o Towarzystwo Filaretów, w których i ja byłem; a byłem jednomyślnie wybrany w Promienistych wojewodą, a w Filaretach przewodnikiem granatowego grona!

Parsknąłem nakoniec ze śmiechu, bom był jeszcze podówczas tak głupi, żem wierzyć nie mógł, żeby z piasku bicz ukręcić można było, żem bajkę o „Baranku i wilku" miał jakoś jeszcze za bajkę. Ale śmiać się nie było czego. Wie świat cały i tysiące już powiedziało o tem książek, jak zbrodnicza dwóch ludzi śmiałość, fałszywe puściwszy pomiędzy lud famy, również fałszywą sprawę u podnóżka tronu zdać się odważyła. Zrobiono poprostu z niczego rzecz wielką i straszną! — Odpuść im Panie, — jeżeli odpuścisz!...

Ojciec mój czy doprawdy, czy udanie ciągle na głupstwa młodzieży narzekał, na jej swawolę gderał. Z duszy żałował rodziców, którzy niewinnie za błędy dzieci pokutować będą. O sobie zaś ani pomyślał, ani w wąs z tego powodu nie dmuchnął! Nie mógł on tego ani na moment przypuścić, żeby syn jego, „pod grozą batoga wychowany", miał jakikolwiek sekret przed ojcem. Ten stan zupełnej jego spokojności, a tak konwulsyjnie życiem drgające pytanie jeszcze mi bardziej rozdzierał duszę! Wiedziałem dobrze, że się i o mnie wszystko odkryć musi. Jankowski mógł nie znać wszystkich członków gron, ale znał koniecznie ich przewodników. Zwyczajnie bowiem, stosując się do celów stowarzyszenia, deputacje z jednych gron uczęszczały na posiedzenia drugich dla encyklopedycznego obeznania się z różnostronnemi wiadomościami.

Nie tak mi już chodziło o niewolę, chociaż w momencie, kiedym się właśnie na wolność świata wydobył, nie tak o katusze i bóle, które nielitościwy Nowosilcowa i Bajkowa wywoływał kańczuk; nie tyle mi już szło o sromoty, któremi ci ludzie dla rozdrażnienia i rozbudzenia rozpaczy szlachetne młodych obywateli okrywali oblicza; nie tyle mnie straszyły owe straszne śledzie, dawane na czczo za cały pokarm ludziom, na kilka dni po ich zjedzeniu umyślnie pozbawionym wody, dla domacania się męczarnią pragnienia żądanych zeznań; nie tyle wieszania bokiem ujętego więźnia na haku, albo lak palący się z najzimniejszą krwią pod paznogcie kroplami spuszczany, — ile mnie przerażała myśl o smutku ojca mojego, kiedy i mnie w poczcie



Sowietnik Ławrynowicz.

winnych czy obwinionych zobaczy; ile śmiertelna rana, chorej ciągle mojej macosze, to jest drugiej matce mojej zadana! Ta bowiem, własnych nie mając dzieci, a poznawszy mnie jeszcze dzieciątkiem, a dzieciątkiem, ciągłą surowością ojca dręczonem, przywiązała się do mnie z litości i nałogu i za swojego uważała syna. Zaprawdę był to dla mnie w tej chwili stan fatalny, bolesny, z każdego stanowiska trujący spokojność, a tem drażliwszy, że w duszy czuł człowiek, jak w żadnym względzie nie zasłużył na to. Ale co do mnie przynajmniej ręka Opatrzności cudownie czuwała nade mną!

Do wspomnianej już wyżej komisji śledczej należał jeden z wyższych wileńskich urzędników, radca, czy jak tu mówią, sowietnik Ławrynowicz, całą gorliwością, całym zapałem koniecznego dojścia dowodów zbrodni przejęty, — i jedynym w komisji prawdziwie zdolnym był człowiekiem. Ten Ławrynowicz, liczną otoczony rodziną, całą nadzieję poprawy losu swojego, będąc już niemłodym, pokładał w starszym a rodzonym bracie, prefekcie szkół kowieńskich, w których ja wychowanie brałem niedawno. A chociaż nadzieja ta w części zawiodła, bo sam pierwiej od prefekta umarł, wówczas jednak i tak już wszystkiem prefektowi obowiązany, rozkazów i woli jego, jak ojca, słuchał. Prefekt, będąc właśnie w tym wakacyjnym czasie w Wilnie i stanąwszy gospodą u brata, w rozmowie z nim o tej witalnej podówczas kwestji, o kwestji tajnych towarzystw młodzieży, lubiąc mnie zawsze, a domyślając się, że i ja tego grzechu liznąć musiałem, zaklął brata na rany Chrystusa, żeby w danym razie miał przyzwoite nade mną względy. To jego natchnienie ocaliło mnie właśnie! A dowiedziałem się o tem w kilka dopiero miesięcy.

Jakże tu nie powiedzieć słów kilku o tym prefekcie?! Szymon Ławrynowicz!... Dziwny to był człowiek!... Jeśli się kiedy na kuli ziemskiej urodził prefekt szkolny z najwyższym talentem i najściślej odpowiadający powołaniu swojemu, — to ten zapewne. Eksjezuita, poważnej, imponującej postaci, słusznej urody, greckiej i szlachetnego wyrazu twarzy, siwy jak gołąb, czerstwy jak rydz, głosu stentora, życia nieposzlakowanego, pobożny szczerze — każdego z nas studentów znał po imieniu i każdego wiedział mieszkanie. Przez okna, drzwi i szpary, jak

chochlik, do wszystkich się naszych mieszkań orlem okiem przeciskał, wszystkiego dośledzał; o jednym, jak się zdawało, czasie na kilku był miejscach; do ostatniej swawolników i rozpustników doprowadzał rozpaczy. Wykopano mu wilczą jamę pod studenckiem oknem, — on akurat wtedy, jak wiedząc, łeb swój na ten raz wystawił przeze drzwi! Zatarasowano drzwi i okna, — on im, jak mara, wylazł z zapiecka! Trwoga i postrach, jakie ten w swoim rodzaju genjalny człowiek tym sposobem posiał i szerzył, tradycjonalnie przechodziła od jednej generacji do drugiej i wzrastała, wkorzeniała się we wszystkie generacje studentów, służąc im za stały i zbawienny od złego hamulec. Każdy, duży i mały, a wtedy najwięcej bywało studentów pod wąsem, pewny był, że prefekt wszystko wie, wszystko zgadnie, — i bał się broić. Jakaż to trudna z młodymi sztuka?! — Srogość jego była udana, ale przerażająca, bo hałaśliwa. Jak huknął, pchły pozdychały u wszystkich! — Rzeczywiście, Bóg wie, jak on to robił, ale tylko coś go tam, gdzieś na własne oczy widział, — obejrzysz się, a on już w mgnieniu oka cichutko przyczaił się za tobą i wszystkiego wysłuchał, wszystko zobaczył, wtedy kiedyś się tego najmniej spodziewał! Był to, powiadam, mąż, do prowadzenia młodzieży najrzadszym obdarzony talentem. Można sobie wyobrazić zadziwienie moje, kiedy ja, po latach jeszcze dwudziestu bojący się machinalnie Ławrynowicza, zobaczyłem w Kownie, w tem samem Kownie, także prefekta, ale nowożytnego prefekta; prefekta, którego sam tytuł ciągnął dawniej u nas za sobą takie wyobrażenie największej powagi, wyrzucającego w francuskim kadrylu powietrzne kroczki, jednem słowem tańczącego, — a co najgorsza, tańcującego bardzo niezgrabnie! — Ten nowy prefekt nazywał się pan Piotrowski. Nie ręczę za to, żeby się stary nasz prefekt Ławrynowicz na widok podobnego zgorszenia na drugi bok w grobie nie przewrócił!... Zajdźcież, choć przez ciekawość na jego mogiłę i zmówcie kilka za duszę tego zacnego człowieka pacierzy!

Wracając do rzeczy, wypadało mi koniecznie wyszukać pretekst i pozór wyjechania do Wilna i zamieszkania tamże. To było najtrudniej. Raz, że ojciec mój był już sobie ułożył powieźć mnie do Warszawy, poznać i zbliżyć z księżną Dominikową Radziwiłłową, z domu Morawską, i przez nią wyrobić dla

mnie trudny nadzwyczaj podówczas paszport za granicę; drugi raz, że jasno widział co moment zbliżającą się ruinę swojej fortuny.

(Mieszkała tam i druga jeszcze księżna Dominikowa Radziwiłłowa, po dziś dzień żyjąca, matka hrabiny Bnińskiej i Atanazowej Raczyńskiej; pani pobożności, dobroci, miłosierdzia, i anielskich cnót pełna. I tą znałem. Córki po niej nie poszły, choć jej wiele ciężkich smutków w dzieciństwie kosztowały, kiedy bronić musiała ich funduszu przed chciwością Radziwiłła nieborowskiego, wojewody, rozpustnego ojca książąt: Antoniego, z królewną pruską czy z księżniczką pruską żonatego, Walentego, Ludwika, ordynata kleckiego, i Michała, na chwilę naczelnego wodza wojska polskiego w 1831 r. Księżna Dominikowa, Morawska z domu, była żoną Radziwiłła nieświeskiego).

Dawszy mi zaś potrzebną kwotę na utrzymanie się już nie studenckie w Wilnie, czuł, że mógłby być potem pozbawiony nieodbitego forszusu na wojaż mój, którego koniecznie pragnął. Ruina ta gotowała się nie z żadnej winy rodziców moich. Była ona skutkiem doszłego już do kulminującego podówczas punktu ogólnego Litwy i Królestwa Polskiego bankructwa.

W Królestwie genjusz księcia Lubeckiego wszystkiemu szczęśliwie zapobiegać zaczął, — u nas na to nie było głowy, może i umyślnie zubożyć nas chciano: konie bez owsa nie tak wierzgają. Cośkolwiek bądź, najpewniejszego funduszu obywatele, panowie, magnaci, jeden po drugim, jak żyto pod wiatrem, kładli się i podawali na eksdywizje i taksy! Nie znali tu podówczas zakładów bankowych. Chociażby i znali, procent siódmy lepszym się zawsze od czwartego albo piątego wydawać musi. Zdawało się nareszcie kapitalistom, na sobie właściwych opierającym się rozumowaniach, że, co raz pójdzie do Petersburga, już stamtąd najpewniej nie wróci. Kapitały więc swoje przy dawniejszym ogólnym kredycie i pomyślności publicznej oddawano na procenty spółobywatelom. Rodzice moi o tyle tylko ze wsi pragnęli mieć korzyści, o ile ona z siebie dla duszy człowieka przyjemności i pociechy dać może. Wielkiem gospodarstwem kłopotać się nie życząc, całą swoją fortuną, obróconą w kapitał, oddali w różne ręce na procenty. Nastąpiły wojny, rabunki, kontrybucje, uciski, głody i straty, klęsk powtórzonych

tysiące. Ziemia nasza jęknęła! To, co ona dotąd zyskownie rodziła, zjadał za bezcen rodzący się zyskowniej i szczęśliwiej obcych krajów przemysł. Każdy dłużnik uczuł, że ginie. Z naszych debitorów trzech już oświadczyło swą niewypłatność i eksdywizję dóbr swoich. Plasło tedy już raptem kilkakroć sto tysięcy! Bywały bowiem przykłady, że za sto tysięcy złotych po wielu latach dostawano lichtarz, albo złamany dyszel od kocza. A sędziowie, nasi spółobywatele, sądząc sprawę razem z żonami swojemi, dziećmi, psiarnią, końmi i ludźmi przez lat dziesięć przynajmniej na miejscu, cały majątek na taksę oddany z kretesem najczęściej zjedli, od wierzycieli za trud swój ogromne nagrody, *salarjami* zwane, wydarli i, obie strony zgubiwszy, z bogatym łupem, jak Tatarzy, jak Zaporożcy, do siczy swojej wracali. Trzech tedy naszych dłużników już swe dobra na ten łup oddali, ale i inni tożsamo odgrażali się zrobić, jedni sumiennie, — inni, żeby jakieś wytargować odstępstwo. Wszyscy kapitaliści byli zagrożeni. Ojciec mój więcej od innych, bo, idąc w datku pieniędzy zawsze więcej za sercem, nie szukał najpewniejszych lokacyj, ale przyjaciołom swoim kapitały rozdał. Zostawał więc tylko prawdziwie pewny niewielki i bardziej dla przyjemności życia, niż dla intraty korzystny majątek, śliczny jak cacko, jak mały rajek, ale nie mogący dać wielkiego dochodu ludziom, przywykłym do dawnych wydatków. Jakaż to będzie przyszłość? Jaka ściśnięta nie dającemi się zaspokoić potrzebami starość! — Stary mój czuł to dobrze i to go trapiło i gryzło. Przekonany, że obowiązek ojca na uzupełnieniu edukacji dzieci się kończy tak, żeby w danym razie sami sobie wystarczyć mogli i w głowie własnej majątek znaleźli, chcąc iść sumiennie za tem przekonaniem i żadnego sobie nie zrobić zarzutu, ciągle myślał o wyprawieniu mnie za granicę, a potem na jakieś świetne ożenienie się rachował. Jakże go tu było o nowe do Wilna przeniesienie się zagadnąć?

Ale czas do ruchu popędzał! Trzeba się było w lisią poszyć skórkę! Wyperswadowałem mu, żem jeszcze niezupełnie przygotowany do tego, żebym korzystnie na podróż po Europie się puścił. Że na to jeszcze koniecznie potrzeba roku. Że połączywszy koszty udania się do Warszawy z przebyciem tam czasu jakiegoś, — a paszport zawsze najpewniej odmówiony byłby —

więcej stracę i pieniędzy i czasu, niż uregulowawszy się w Wilnie. Dodałem, że interesy i trudności dzisiejsze może się jakoś tymczasem pomyślnie załatwią.

Karol znowu Morawski, nie wiedząc o niczem, tylko jak przyjaciel, napierał mnie ciągle do Wilna, żebyśmy razem mieszkali. Najął już nawet stosowny i bardzo dla nas obu dogodny lokal. Dom swój, nie mogąc od śmierci matki w nim mieszkać, wypuścił w arendę i część mebli swoich lepszych, jako to: stojące lustra, obrazy, statuy i biusty, do projektowanego przeniósł naszego mieszkania. To niby i ojcu i mnie oszczędzało kosztu na sprawienie mebli. Nowy dowód. Tak, że nakoniec wszystko razem wzięte zdecydowało ojca mojego. Wyprawił mnie tedy do Wilna, a sam z matką wybrał się do Warszawy tak, żeśmy się o jednej rozjechali godzinie.

Nim jednak wyjechał, zawołał mnie do gabinetu i, co się nigdy dawniej zdarzać nie było zwykło, drzwi za sobą zamknął. „Przyszedłeś już do tego wieku i tego stopnia nauki", rzekł mnie z powagą: „że i prawdy szczerej wysłuchać i zrozumieć ją możesz... Ale cóżto nauka bez rozsądku? — Bez rozsądku będziesz zawsze uczonym durniem, jak nasz pan Marcin Zaleski! — O, ja wiem, że ci się zdaje i tak, żeś już wszystkie zjadł rozumy! Ach! *medice, medice cura te ipsum!...* bo podług mnie głupi jesteś, jak stołowe nogi. Przepowiadam ci, lubo ze smutkiem, że do niczego pomimo niejakich zdolności nigdy nie dojdziesz. Wspomnisz kiedyś moje słowa. Na świecie *il faut être souple,* a tego ani za grosz, ani za szeląg nie masz. Masz tylko zarozumienie młodego wieku, jak każdy błazen, co czegoś liznął, masz jakieś tam idee o wolności, równości, w których się tak, jak ja, nie urodziłeś, a jednak o nich i marzysz i mówisz. Lekceważenie ludzi bogatych i możnych głupstwem jest także, choć nowomodnem. — Wiem ja to, wielu o tem rezonuje i mówi, wielu słowami do tego zachęca, ale przypatrz się: oni inaczej mówią, a inaczej zupełnie czynią! Ty gorzej robisz, bo jak owca, jak mówisz, tak czynisz. Uwierzyłeś w książkowe zasady, no, toteż chyba w książkach i seksternach przyjaciół i protektorów w dalszem życiu znajdziesz. Ja nie mówię — *et haec facienda, et haec non omitenda,* samże ci przecie dawałem edukację: chciałem, żebyś głupim nie był! Jeśli mi się nie udało, to już sam przy-

znasz, że nie moja wina. Ale wierzaj mi, książka i świat — to dwie rzeczy różne, jak pięść i oko!... Wszystkie twoje dotychczasowe stosunki, przyjaźnie, związki, jakkolwiek nienaganne, nie doprowadzą cię ani na jedną jotę do tych, jakie ja w życiu zrobiłem, w jakich ja, widzisz, zostaję, chociaż nikt w oku mojem nie znajdzie prószynki. Czasem się trzeba ułożyć, przymówić, poprosić, — bo ręka rękę myje! Jak tego nie zrobisz, kochać i chwalić cię będą i zawsze na szarym końcu zostawią. — Jestem stary, czuję, że czas ten nieszczęśliwy i niespodziewane kłopoty gniotą mnie do ziemi. Widzę starych przyjaciół, ludzi, którym los mój w funduszach moich powierzyłem, ginących, każących skarby poczciwej dotąd duszy i mnie za sobą ciągnących do gotowej ręką czasu wykopanej przepaści. To i prześladowania, jakie na ten kraj spadły i które, zobaczysz, już się nie skończą, przyśpieszonym krokiem pędzą mnie do grobu. — Co po mojej głowie będzie, dowiesz się z testamentu, ale nie będziesz, jak sobie może myślałeś, po mnie bogaty... Szanować mnie matkę po mojej śmierci, bo!.. — Żona moja, ledwie że i tak już nie konająca, zna dobrze grożące naszej fortunie klęski, martwi się w sobie i przez delikatność milczy. To mię gorzej jeszcze trapi! — O ciebie się nie troszczę: kiedy będziesz miał rozum i przy tem, co ci zostanie, czołgać się przed nikim nie będziesz, a i samże nie jesteś bałwan, to i sam sobie coś zrobisz. Uwagi, które ci teraz daję, może już będą ostatnie. Możesz je przyjąć od człowieka, który cię stworzył, wprawdzie niechcący, bo ci to zawsze powtarzam, żem nie chciał nigdy mieć dzieci; a jeśli już być miały, wolałem mieć córkę, jak syna. Taka na moje nieszczęście była wola Boska! Dał mi syna... Cóż robić! Cała tylko moja pociecha w tem, żeś się w teraźniejsze okoliczności nie wplątał i że choć z tego powodu spokojny sam być mogę. Niepodobna mi tutaj komukolwiek być użytecznym, jadę więc do Warszawy, żebym się jakoś odświeżył i w smutnych myślach rozerwał... Hm, hm, hm, — jeśli chcesz znaczenia, — taki czas teraz, że przy takich i takich moich znajomych przez takich i takich dwóch moich przyjaciół z Nowosilcowem poznać się i względy jego pozyskać możesz. — Hm, — hm, — hm, — taki stosunek wyprowadzi cię na świecie; — wszakże, jeżeli zechcesz być poczciwy, to i na takiej drodze poczciwości nie stracisz! Masz

swój rozum. Ja ani przyganiać, ani chwalić nie będę. Przyznam się jednak, że kiedy nic lepszego dla ciebie na ten raz nie widzę, wolałbym już, żebyś się pięknej jakiej i bogatej pannie podobał i żebyś mi dał synowę. Znam oddanie się twoje, całkiem po błazeńsku, Müllerom. Dom ich dobrze mnie wiadomy".

Pochodziwszy trochę po pokoju, jakby ważąc się, czy ma dalej mówić, rzekł: „Matka jego wiele fortun krewnych i przyjaciół moich połknęła! Trzymała dom kartowy. A i swawolna przytem była kobieta!... Nie, nie będzie tam błogosławieństwa bożego! Ojciec, kiedyś poczciwy krawiec, potem wileński burmistrz, siedział u niej pod korkiem, trzymał się zawsze przed nią przy piecu, jeśli nie za piecem, i gęby otworzyć nie śmiał. Syn, co teraz w Wilnie, mruk i odludek. Wiem, że w ich domu znajdziesz tyle przyjemnych momentów, że o wielu rzeczach zapomnisz, a tymczasem zaniechasz chlubniejsze i korzystniejsze światowe związki... bo u nich nikogo nie poznasz. Znajomość więc tę — pochwalam. Przyjaźni i ścisłości nie życzę. Powtarzam: nie życzę! Chodzić krok w krok za tobą i nie mogę, i nie myślę. Rób zatem, jak chcesz. Ale prowadź mi się dobrze!!! Możesz tego być pewnym, że gdybyś nie jeden, ale trzy nawet miał doktorskie stopnie, jak mi rozepsiejesz, tak weźmiesz w skórę, jak żebyś miał tylko trzy lata! Bądź zdrów".

Wystawił mnie do pocałowania rękę, drzwi otworzył i siadł do karety.

Takie były, słowo w słowo, jakbym dziś jeszcze to słyszał, ojca mojego wyrazy, takie pożegnanie!...

ROZDZIAŁ II.

Wsiadłem do mojego furgonu i, poleciwszy woźnicy, żeby się starał jak najprędzej dostawić mnie do Wilna, rozmyślałem nad tem, com przed kwadransem usłyszał. Rozdzieliłem rzecz na kategorje.

Z wyrokiem, że byłem kapitalnie głupi, ucho moje, jakkolwiek drażliwe, tym codziennym ledwie że nie przy każdem zdarzeniu, choć i rozum doprawdy gdzie miałem, dotykane dźwiękiem, najzupełniej oswojone było. Zdawało mi się jednak, że ojciec i sam w ten swój wyrok niebardzo wierzył. Ale jakiś jego dawny przyjaciel tak zawsze mawiał do syna z dobrym, bo do dygnitarstwa prowadzącym, skutkiem. To, żem się przeciw woli i chęciom jego chłopcem urodził, a nawet tę biedę, żem się z woli boskiej urodził, już od lat kilkunastu umiałem napamięć. Opłakiwałem był już nieraz ten niefortunny dla nas obydwóch wypadek, ale na to nie było ratunku! Że się człek dobrem i korzystnem ożenieniem na drodze materjalnego życia dogodnie, jak kozacką nahajką, popędza, i o tem także przy różnych okazjach od ojca słyszałem. Wystawianie do pocałowania ręki przy powitaniu i pożegnaniu było zwyczajną i od najmłodszych lat moich ulegalizowaną etykietą. Oszczędzano mi zawsze trudu wzięcia tej ręki samemu. Ojciec mój z duszy wierzył, że syn to własność ojca, to rzecz. Traktował mię też zawsze jak rzecz, a nie jak człowieka. Dusił, gniótł, wykręcał i wałkował w palcach tę gałeczkę z wosku, jak mu się podobało, — i jeszcze ciągle się dziwił i gniewał, że wosk nie tak, jakby on sobie życzył podatny! Któż z rzeczą jaką pieści się i cacka? To też mój ojciec ani razu w życiu swojem nie pocałował mnie w twarz, dziecięciu, jedynemu swojemu dziecięciu, ani

jednej nigdy zabawki lub cacki nie kupił, a przynajmniej ani razu kupionej nie dał mnie od siebie! Do lat trzydziestu ani w domu, ani w kompanji żadnej usiąść mi przy nim nie było wolno. Powinienem był stać choćby dziesięć godzin, a i oprzeć się o cokolwiek nieodpuszczonym było grzechem! I to tak weszło w nałóg, że się po dziś dzień o nic nigdy nie oprę. Dopiero w trzydziestym roku sam odważyłem się raz usiąść w obecności jego. Bał się samowolnej emancypacji mojej, jak ognia, więc zmilczał, i odtąd już śmiało siadałem. Nie mogąc inaczej, patrzał na ten pojedyńczy wypadek jak na *fait accompli*, bylebym tylko powolnie inne jego staroświeckie i już podówczas przekwitłe wykonywał fantazje. Ale mu to moje usiądzenie na krześle ciężko zawsze znieść przychodziło.

Tak to mnie ojciec prowadził, tak z nim spędziłem dzieciństwo i młodość, mając i serce i duszę do karesów skłonne! Ty, coś choć raz w życiu usiadł na rodzica swojego kolanach; ty, któryś najmniej dwa razy na dzień odbierał ojcowskich ust pocałowanie; ty, coś był gładzony po głowie, klepany ojcowską ręką po twarzy, — i to wszystko może miał za nic, — pomyśl sobie, że ja tego w całem życiu mojem nie znałem! Rozważ to sobie! Oceń duszy mojej boleści, bo ja o tem wielkiem nieszczęściu i teraz jeszcze mówić nie mam siły!!... Powiadano, że to staropolski sposób prowadzenia synów... Może... Miara jednak dobra we wszystkiem. *Une enfance heureuse est comme une belle aurore; elle etend son influence jusqu'au soir. Le front qu'on a chargé de nuages ne s'eclairsit jamais!!!* — Tak powiedział jeden nowożytny myśliciel (A_{16}).

Przepuściwszy tedy wszystkie kategorje moje przez eklektyczną harfę i wszystko to do istnych plew odrzuciwszy, pozostało mnie jak ziarno, jak produkt, warty zasieka, te cztery rzeczy. Naprzód, co mi było najmilsze, że mimo całą swą szorstkość, oziębłość, niewyrozumiałość i ostrość dla mnie ojciec mój dba o los mój widocznie. Po wtóre, że poczciwy i zacny obywatel, nie chcąc do żaru rozpalonej głowy nowej dorzucać głowni, bodaj czy i sam tak nie myśli, jak myśleli ówcześni młodzi, i bodaj czy na tę wielką i bolesną chorobę nie jedzie szukać jakiegokolwiek, choć *palliative*, lekarstwa: bo jednak znaczne miał tam związki. Po trzecie, że najzupełniej, *sans*

phrase, przekonany jest, żem również jak i on o Filaretach nie wiedział. Nakoniec, że przyjaźń moja z Müllerem prędzej czy później jeśli nie gorzkie, to kwaśne przynajmniej przyniesie owoce. Mamże powiedzieć, mamże wyznać tę słabość umysłu i serca. Oto, pomimo zasad moich ze wszystkiego, com słyszał, krótka historja przodków Müllera najwięcej duszę moją zadarła! Pomijam już tego krawca i tego burmistrza, ale ten dom publicznego można mówić rozboju, ten majątek, łzami tylu osób, tylu może rodzin kupiony, ostremi szpilkami kłół w serce!... Chociaż tedy syn grzechów matki swojej zgoła winny nie był, postanowiłem zadać gwałt sobie i zerwać i z nim i z żoną jego wszelkie stosunki. Z tą niewątpliwą wolą wjechałem do Wilna.

Było to około południa. Wyrzuciwszy moje manatki, ponieważ nie miałem do stracenia czasu, pobiegłem do dawnych kolegów dla powzięcia języka. Nie zastałem ich w domu. Powiedziano mi sekretnie, że znajdę ich w katedralnym kościele.

Duchowieństwo nasze wielogodzinnemi modły oddawało w ten moment ostatnią posługę pamięci Ojca Kościoła, świeżo zmarłego Piusa VII. I katedra i wszystkie jej kaplice były otwarte. Przebiegłszy wszystkie zakątki, dopiero w kaplicy Kazimierza Świętego u podnóżka ołtarza naszego patrona znalazłem i Zana, i Mickiewicza, i Pietraszkiewicza, i Czeczota, i innych wszystkich, gotowych co moment wcisnąć ręce swoje w przygotowane dla nich od kilku dni żelaza. Uradowali się, zobaczywszy nowego przybysza. Dowiedziałem się od nich, że dziwnem losu zrządzeniem, chociaż dużo już aresztowanych było, wielu jeszcze najstarszych równie, jak i Zan, wolno chodziło. Młodzież dała sobie słowo nie wymieniać jego nazwiska, a wogóle nie kompromitować, o ile można, nikogo. Powiedzieli mnie jednak, że około ich domów czyha na nich policja i że ich dzisiaj jeszcze, podług wiarogodnych doniesień, wracających do domu, niewątpliwie uwiężą. Dlatego też sobie na cały dzień i kościół i tę kaplicę wybrali za miejsce schronienia. Dodali i to, że ponieważ widoczną jest rzeczą, że ci, co tę sprawę podjęli, przekonali się o jej nicości, a jednak, przedstawiwszy ją w strasznych kolorach, nie mając sumienia, dla własnego bezpieczeństwa, dla własnych korzyści muszą chcieć wszystko postawić na swojem, a to dużo i starań, i strachów, i męk za sobą nie-

wątpliwie pociągnie. — Stąd, im więcej nas wolnych zostanie, tem więcej będzie ludzi, którzy, działając swobodnie, dla reszty uwięzionych męczenników pożytecznymi być mogą. Że Jankowski tak się sam poplątał, że już wiary nie ma. Ale że na wszystkie strony wysłano gońców, żeby tych członków, co już od lat kilku czy wojskowej, czy cywilnej poświęcili się służbie i w różnych miejscach znajdują się rozrzuceni po Rosji, jako też będących zagranicą, pod konwojem sprowadzić. Tacy bowiem, kwestjami podstępnemi i niespodziewanem śledztwem zdurzeni, mogą z przestrachu i takie prawić rzeczy, jakich nigdy nie było! Mówiąc nawiasem wkrótce się to wszystko sprawdziło i na pierwsze danie Bobiński i Józef Szetkiewicz z Petersburga, a Malewski, syn rektora, i Piasecki Marjan z Berlina przez feldjegrów przywiezieni do Wilna zostali. Zan polecił był już wszystkim przed moim przyjazdem powiadać w razie pytania, żem za granicę wyjechał i zupełnie inaczej moją opisywać postać.

Tyleśmy mieli czasu do mowy i rady! Trzeba było się rozstać. Zadziwieni prześladowaniem, żadnej logicznej nie mającem podstawy, ściskaliśmy się serdecznie po raz ostatni u tego świętego grobu, — jak kiedyś w rzymskich pieczarach na zagładę idący chrześcijanie!!... Tam, gdzie dziatki sądzono, jak starych, łatwo się było domyślić, co zrobią z ludźmi, w obliczu prawa wyszłymi już z opieki!

Nazajutrz rano Pietraszkiewicz Onufry doniósł mnie, że Tomasz Zan, Mickiewicz, Kazimierz Piasecki, Czeczot — w nocy aresztowani. Że Zan w kajdanach osadzony w ostrogu i że podług danych mu od szpiegów jego ostrzeżeń on sam dzisiaj o godzinie jedenastej rannej wzięty być ma, a Józefa Jeżowskiego szukają.

Karol mój był wtedy w swoich Działunach. Z Müllerem widzieć się nie chciałem. Nowomiejskiego nie było, a i tenby mnie najmniej dopomógł. Zostałem jeden, jak palec, śród znajomych tysiąca! Został był wolny jeszcze jeden tylko Jurewicz; ale i ten równie winny, jeżeli wina była, ponieważ się lekcje uniwersyteckie jeszcze nie były zaczęły, choć bez aresztu, tak się skrył dobrze, że nawet pani W., piękna i wesoła kobietka, co mu pierwsze dała lekcje słodyczy życia, nic o nim wiedzieć nie mogła.

Trzeba i to powiedzieć, że to ogólne uczucie, które się w masach na wieść każdej wielkiej niesprawiedliwości wyrabia, cały lud wileński, jakby jednego męża, na naszą przeniosły stronę. Kobiety, jak zawsze, rej wodziły. Nie było naturalnie męża, któryby nie siedział pod pantoflem żony. Tylko ruscy mężowie i to tylko, kiedy ich żony są Polki, nie ulegają w polityce żon swoich bredniom i w tych wyłącznie przedmiotach nos swój jakoś za ten pantofel wysunąć umieją. Na ten raz mało ruskich mężów było. Nadto w tejże samej policji, która nas śledziła, było wielu dawnych Towarzystwa członków. Ci tracili tem samem wszystko, jeśli się rzecz o nich wykryje i uznana zostanie za winę. Żony ich płakały nad losem już uwięzionych, spazmowały na myśl o uwięzić się mających! Z dwóch wzięci flanków, równie silnych, równie potężnych, mężowie prostej trzymali się linji i naszą znowu tworzyli policję. Jeden tylko kwartalny Krukowski i przechrzta Królikowski srogimi, zajadłymi byli naszymi nieprzyjaciółmi.

Krukowski nieprędko potem w krwawych nieszczęsnego powstania 1831 r. epizodach na gałęzi życie zakończył. Królikowski, jak powiadam, przechrzta i pod kilku już imionami za umarłego podany, żył jednak zawsze i ciągle z wielkiem poczciwych i bogobojnych ludzi zgorszeniem. Człowiek ten zupełnem pozbawieniem, zatarciem, zniszczeniem w sobie wszelkich uczuć, wszelkich śladów sumienia, duszy, serca, honoru — wielce dla każdej policji potrzebny był i użyteczny. Bo z natury rzeczy w tej gałęzi publicznej, a nieodbicie koniecznej służby naczelnicy, pogardzając w duszy osobę, talentu i zdolności jej na korzyść tejże służby używać muszą. Ten zaś Królikowski już nie brzydkiej, ale obrzydliwej twarzy, ospowaty, zezowaty, łysy, więcej długi niż wysoki, był istnym policyjnym szatanem, prawdziwym policyjnym genjuszem! Czego nikt już przy największych wysiłkach dośledzić i wykryć nie mógł, Królikowski, żartując, zawsze jak z zanadrza wydobył. Był to wielce niebezpieczny antagonista! Szczęściem rozkaz, sztafetą ze stolicy przysłany, wykrycia fałszerzów złotej monety na Żmudzi, kiedy długo żadnego nie mógł wziąć skutku, sprawił, że Królikowskiego tam wypchnięto; Wilno od łotra łotrów oswobodzono na moment; a jemu samemu łakomą w paszczę rzucono grzankę. Bo, jak

słyszałem, doszedłszy odrazu, kto winien, i znalazłszy nawet natychmiast tego dowody w narzędziach, do jakiegoś głębokiego jeziora wrzuconych, sześć miesięcy doił przestępców, biorąc od nich prawdziwe złoto i udając, że nie wie niczego. A jak ci już nic więcej do dania nie mieli, okutych rządowi dostawił, ażeby sprawiedliwość bieg swój, jak należy, wzięła. Śmierć Królikowskiego była wieczną zagadką, igraszką, żartem! Tyle razy łotr ten umierał na papierze, a żył jednak zawsze na ziemi, że kiedym w dobry dziesiątek lat później, mając na pamięci szatański genjusz tego człowieka, dopytywał się o los jego przejazdem przez Wilno, powiedziano mi, że w czasie rewolucji gwałtowną na sęku zginął nakoniec śmiercią. Że nikt na kuli ziemskiej więcej od niego na podobny nie zasłużył traktament, przestałem na tem. Ale, kiedym się po ojcu na wieś ze stolicy przeniósł, z niemałem zadziwieniem dowiedziałem się tutaj, że znowu żyje i że nawet trzyma dzierżawą dwa skarbowe majątki w mojem sąsiedztwie. To był już zbytek życia! Zgorszyłem się z tego! Wkrótce jednak zgryzoty, niemożność opłacenia dzierżawy, — bo co lekko dawniej przyszło, to lżej jeszcze wyszło na różne psie figle — wkrótce ciężka choroba, paraliż, skręcenie całego ciała, skancerowanie twarzy doprowadziły go jakoby do końca. Widziano go umarłego doprawdy; jest sepultura. — Ale ja temu jeszcze niezupełnie wierzę i nie przysięgnę za to, żeby jeszcze gdzieś nie zmartwychwstał! Zresztą u nas nie tak to wielkie cudo. — O dwa tysiące sążni ode mnie żyje człowiek, jak wszyscy twierdzą, od lat dwudziestu urzędownie umarły, a zdrów i czerstwy jak trzynaście rydzów. Czego u nas nie można! — A złość powiada, że niema wolności. I na głowie potrafimy chodzić, jak każą.

Cała młodzież nasza pragnęła, żeby Józef Jeżowski, jeżeli już niezupełnie, to przynajmniej jak najdłużej od aresztu był wolny. Kochano go powszechnie. Delikatny, łagodny, w obejściu się słodki, głęboki uczony; potężnego i zawsze silnego zdania; kwiat literatów; perła naszych pedantów, choć sam nim nie był; grek, łacinnik, etrusk, sanskryta, hieroglifik, a może nawet i przedpotopowy językarz — Jeżowski głęboką od korzenia z wielkim trudem kopaną nauką był pierwszym między pierwszymi, charakterem ze stali najpierwszym sprostał. Taki był jego

ether. Ale kiedyś spojrzał na niego, na jego skorupkę czy konchę, o mój Boże! ciałko drobne, słabiutkie, wątlutkie. Pajęczyna troszkę wiatrem poddęta! Żył tylko śmietanką i kaszką! W cożby go, biedaka, obrócił czerstwy kawałek suchara, albo, na wielką fetę, żołnierskie buraki, kapusta, rzepa, które niekiedy w nadmiarze wspaniałości więźniom dawano? A śledź?!! — Zdawało się, że śmierć niewinnego czekała go na progu, za pierwszym do niewoli krokiem.

Ale jakże tu było go bronić?! Jak było bronić kogokolwiek?! Korsakow, jedyny człowiek z nieprzedajną duszą, coby jako namiestnik monarchy, jako Rosjanin, jak poczciwy człowiek, mógł się za nami zastąpić, — zagniewany i punktem honoru zmuszony dowodzić, że doniesienia jego o buncie słuszne i wierne były, wiedział dobrze, że, stanąwszy w naszej obronie, sam się na głowę potępi! Jego to bowiem ręka, pierwszy, a już wtedy całej Europie wiadomy podłożyła ogień! Nawet wszechwładna u niego pani Rogowska, lepsze serce niż co innego mająca, żadnym ze swoich wziętych u zepsutego Rzymu karesów nic u niego wyprosić nie mogła! Twardowski stał się już zerem. Bojanus, sławny nauką, zacnością charakteru i osobistą z drugim bratem cesarza Aleksandra, a dziś szczęśliwie panującym nad nami monarchą, znajomością wiadomy, leżał ciężkiem złożony cierpieniem. A i głos jego, jako Niemca, tajemnicom naszego kraju obcego, wołałby jak na pustyni.

Zostawał Pelikan. Pelikan, co w czasie aresztu Twardowskiego, przez te dni kilka zastępował miejsce rektora i już tak z Nowosilcowem, jak i z zausznikami jego w ścisłe zaszedł związki, ba, owszem, wielu już protekcję swoją i pomoc obiecał i gorliwie u publiczności za młodzieżą gardłował.

Wacław Pelikan, syn burgrabiego jednego z domów, naprzód na Biskupiej, a potem na Bernardyńskiej ulicy w Wilnie, z zachożych (!) Węgrów, bo tak u nas Czechów zawsze zwano, ród swój wiodący, miał starszego brata wielkiego do sztuki malarskiej talentu, który się pod Smuglewiczem, Peszką i Rustemem wykształcił, a nabrawszy już tyle, ile mógł w Wilnie nabyć teorji i wprawy, udał się na Wołyń, lepszego szukając losu. Ale tam, nieszczęśliwie oddawszy się podobno trunkom, — za co nie ręczę, bo mię pamięć moja omylać może, wkrótce życie za-

kończył, zostawiając po sobie niemało szacowanych pędzla i zdolności swojej pamiątek. Imię jego, jako artysty, było już w Litwie dosyć znajome. Mały Wacławek przy pomocy brata, natarłszy mu farby i oczyściwszy paletę, i w bucikach i bez bucików, jak przypadło, pierwsze nauk w Wilnie nabywszy początki, wyśliznął się z publicznej szkoły i uczyć się medycyny zamierzył. A że w akademji petersburskiej podówczas zapraszano uczniów, a nawet zapraszano ich i na koszt skarbowy, wolał tędy tam się udać na pewne, niż dobijać się tego kosztu w Wilnie, gdzie zawsze ogromny był natłok i niełatwo kogo przyjęto.

W wiele lat potem po zawakowaniu katedry chirurgicznej w Wilnie w skutku śmierci rzadkich zdolności człowieka, profesora Niszkowskiego, ojca biednych i prawdziwego pocieszyciela cierpiących, — ogłoszono konkurs i Pelikan, na greckie już przeszły wyznanie, przy pomocy ważnych osób w Petersburgu, a Lobenweina w Wilnie, przy pomocy kilku broszurek i znajomej już jego w operacjach biegłości prym otrzymał i bez wielkich wysiłków na profesora chirurgji do Wilna zjechał.

Za nim w czwał zaraz przybiegła niejaka pani Protopopow, silnemi już z nim długo widać związana węzłami. Bo, choć oddawna jakoby wdowa, dużo coś około siebie maleńkich Protopopków miała. Utrzymywała go ona, jak mówią, w stolicy. A straciwszy na ten przedmiot swoje, kiedy mu się los poprawił, na jego już tutaj, i słusznie, rachowała złoto. Była to wysoka, biała, pulchna, pełnego ciała, przyjemnej twarzy blondynka z przymrużonemi zawsze dziwnie lubieżnemi oczami. Więcej o niej nic powiedzieć nie mam. Oprócz może tego, że się z Pelikanem wkrótce sakramentem małżeństwa złączyła. A kiedy ustał nieco, obrała sobie innych pocieszycieli, w których rzędzie Serb, jakżebyś go przez uszko od igły przecisnął, wysmukły i długi, Platon Kukolnik, pierwsze trzymał miejsce. Ta kobieta rychło potem całemu Wilnu, kiedy kto miał jaki interes, *propter necessitatem* ton dawać przeznaczona była!... Na to, wyznać trzeba, Wilno było szczęśliwe, miało już bowiem wtedy do czczenia Hornową, gubernatorową, zdjętą z harmaty wiwandjerkę w 1812 roku, ale, prawda, piękną.

Po Michale Römerze, gubernjalnym wileńskim kiedyś mar-

szałku, nie widziałem ani w Litwie, ani w Polsce w życiu mojem świeckiego człowieka, — a znałem ludzi dużo, — któregoby pierwsze wejrzenie, pierwsze spotkanie tak ujmujące było, jak Pelikana. Bez względu na inne zalety miał on w sobie coś tak pociągającego, tak porywającego odrazu, że go prawdziwie nazwać można było po studencku wyrwiduszką. Młody, pięknej twarzy, czarnych w duże pierścienie wijących się włosów, czarnych oczu, kształtnej i lekkiej postaci, ust koralowych, dziwnie miłego i to zawsze półgębkiem uśmiechu, który mu wielce szedł do twarzy, lubo zdaje się był skutkiem umyślnym chęci ukrycia zepsutych zębów i dziąseł; dowcipny, nie pedant, mówiący łatwo i pięknie głosem czarownym, przystępny każdemu, miłosierny, łagodny, uczony; nadzwyczajnej w małem i zgrabnem ręku zręczności, krwi nadzwyczajnie zimnej przy zadziwiających operacjach, jakie odbywał, lubo się ta oziębłość zdawała w nim wymuszoną siłą rozumu — Pelikan stał się bożyszczem Wilna. Lud, duchowieństwo, urzędnicy, panowie, Żydzi, drobna szlachta, owo zgoła, co żyło tam tylko na świecie, dałoby się zarżnąć za niego! Kobiety, oczywista, za nim szalały. Kilka miał jawnych romansów. Aleć raptem jakoś chirurgiczna trwoga i na wszystkie wogóle wileńskie damy nasze zapadła. Ta, znajdując, że ma coś nadto twarde i sterczące piersi, zalękła się zaraz, czy nie ma tam skira lub raka? — Posłać po Pelikana, żeby opatrzył. Tamta, siadając do kocza, z winy niezgrabnego lokaja trąciła się udem o krawędź portjery. — Posłać po Pelikana. Tam się znowu malutki pryszczyk gdzieś zrobił. Czy nie, broń Boże, karbunkuł?! Mąż sam na głowę pobiegł po Pelikana. Jednem słowem, onby, a nie cyrulik sewilski, powinien był zaśpiewać tę sławną Rossiniego arję: „Figaro tu, Figaro tam!" Tak szło sobie lat ze trzy, *e sempre bene.* Wszyscy byli kontenci. Nikt nie miał serca gniewać się na tego człowieka.

Ale, kiedym potem w lat kilka po zniesieniu Uniwersytetu, tegoż samego właśnie człowieka, skalanego już nieodpuszczalnemi, śmiertelnemi grzechami przeciw ludzkości, splamionego czarną niewdzięcznością dla Wilna, które go tak kochało, w Petersburgu zobaczył przedwcześnie osiwiałego, trądem obrzydliwym po całej osypanego twarzy, smrodem ust zarażającego na sążeń około siebie powietrze, a jednak chodzącego jeszcze pomiędzy ludźmi


Nowasilcow
Botwinko.—
Pelikan—
O'Nacewicz

i pomimo rang swych, orderów, zasług i dawnego zdzierstwa szukającego praktyki jak student, — com wtedy, o mój wielki Boże, sobie pomyślał, każdy łatwo sam pojmie! — Teraz, jak słyszę, przez nowe zabiegi, znowu wgórę poszedł. Szczęść Boże!...

Z uniwersyteckich matador, jako świeżo przybyły, odwiedziłem naprzód Twardowskiego, któregom był jeszcze w kozie, czy około tego, wyjeżdżając zostawił. Przyjął mnie grzecznie, żalił się, że pokutuje za grzechy poprzednika swojego, co nie było prawdą; że życzy złożyć jak najprędzej swój urząd, który tylko przez uszanowanie dla woli księcia Czartoryskiego był przyjął; że z bólem widzi, jak błahej rzeczy trwożącą los kraju potrafiono dać postać, ale że on zaufania rządu nie posiada i pomóc w niczem nie może. Na tem się skończyło. Bojanus, nad dużym atlasem swojej monografji żółwia siedzący w szlafroku, wybladły, schorzały, skurczony, nad upadkiem Uniwersytetu w duszy bolał; oświadczył, że mu już tutaj popasać z honorem nie można i nie trzeba. Śmiejąc się opowiadał, jak Groddeck, poczciwy Groddeck, rzucając ukochanego swego Horacjusza o ziemię, ciągle gwałtu wołał i krzyczał: „*O tempora, o mores!*" Zresztą, zamknąwszy się w ogólnikach, z żadnej strony o osobach zaczepić się nie dał.

Nie tak Pelikan. Wybiegł naprzeciw mnie do przedpokoju, jak brata serdecznie uściskał, nacieszyć się mną nie mógł. Widać, że na ten moment obadwa chytrzyśmy byli. On odrazu duszę swoją na dłoni, jak się zdawało, pokazał. Tegoż samego waloru akurat monetą i ja mu odpłaciłem. Widać, że anioł stróż mój szepnął mi do ucha: „Strzeż się i obojętnego udawaj!" On się tedy sam w pierwsze puścił zagony. Ja słuchałem. Płakał nad dolą młodzieży. Dziwił się, jak rzecz niewinna, od kilku już lat zapomniana, osobliwszą losu niełaską i złych ludzi intrygą nawierzch wyszła w tak brudnej i straszliwej postaci! Że jednak prawda dojść musi nakoniec do tronu, zapewniał. Skończył zaś na tem: że w dzisiejszych okolicznościach ten zrobi najlepiej, kto się sam, nie czekając na wezwanie, dobrowolnie przed komisją postawi i winy swoje, albo cokolwiek wie o tem, szczerze a szczerze wyzna. Że nad tę jednę żadnej nie widzi dla nikogo ochrony i rady. Tę myśl mnie, jako młodemu i wielu młodych mającemu kolegów, rozprzestrzeniać i popierać życzył. Słuchałem wszystkiego, jak obcej zupełnie mnie rzeczy. Zgadzałem się na jego

rady. Potem zapytałem o Zana. Odpowiedział, że mu ledwo serce nie pękło, jak się dowiedział, że go aresztowano. „Co się Zana tyczy", rzekł mnie: „to już człowiek w każdym razie najzupełniej zgubiony, i nikt, chyba sam Bóg, uwolnić go, albo los jego osłodzić może". Wspomniałem mu o Jeżowskim, o którym mówię, że jest tylko cieniem człowieka, bo ja go nie znam. Dodałem, że wszyscy mają nadzieję po tylu ze strony Pelikana danych już w Wilnie dowodach miłosierdzia, że, jeśliby to prawdą być miało, iż go aresztować mają, on, jako doktor, wstawić się za nim i od niechybnej śmierci z powodu więzienia osłonić go zechce. Jako profesor kliniki znowu mógłby go w sekretnem klinicznem trzymać leczeniu, bez komunikacji z kimkolwiek, ale przy lepszych wygodach. Odpowiedział mi, że się na nim publiczność nie zawiedzie nigdy. Że pierwszy raz słyszy, że był jaki Jeżowski na świecie, ale że, skoro ja o nim tak mówię, wszelkich sił na ratunek jego dołoży. Prosił mnie nakoniec, ażeby kto w Boga wierzy każdego ostrzegał, żeby z Zanem aresztowanym w żadne nie wchodzono stosunki.

— Tomasz Zan, którego i biografje i portrety od lat dwudziestu kilka po całej Europie chodziły i jeszcze chodzą, z biednej w Nowogrodzkiem pochodzący szlachty, od latu wielu zwyczajem w Wilnie przyjętym, utrzymywał pod swoim dozorem i korepetycją bogatszych, ale młodszych od siebie akademików, których rodzice samopas w ten wulkan rzucić nie chcieli. Obeznany gruntownie ze wszystkiemi gałęziami wiedzy w żadnej z nich nie górował genjuszem. Ale genjusz jego najrzadszy, jedyny był w świętem usposobieniu duszy jego, w nim samym. Niepiękny, ale przyjemnej bardzo i prawdziwie znaczącej twarzy; czarnych, kochających oczu; wysokiego nadzwyczaj z wyższemi jeszcze kątami czoła tak, że mu na środku włosy wychodziły językiem; włosów jak u murzyna gęstych i czarnych, kędzierzawych, tylko nie murzyńskiej wełny; śniady, lekko ospowaty, dziwnie miłego uśmiechu, pięknie i długo bez najmniejszego przygotowania mówić publicznie mogący, a przytem muzyk i śpiewak — miał w całej postaci wyraz anielskiego pokoju, anielskiej wyrozumiałości i flegmy. Temperament najsłodszy, cukrowy. Nie

wiem, czy się ten człowiek choćby raz w życiu doprawdy zagniewał. Zdawało się to niepodobieństwem. Jeżeli dawniej twierdzono, że gołębie żółci nie mają, a omylono się jednak, to zaprawdę, ktoby o Zanie tożsamo powiedział, nie omyliłby się najpewniej!

Kiedy szał stowarzyszeń, wyższe nad przemysł mających cele, wszystko i wszystkich w Europie opętał i kiedy jednocześnie potrzeba zwrócenia naszej młodzieży ku wyższym także, niż karty i miłostki, celom silnie objawiać się zaczęła, kiedy się kotyrować dla nauk, moralności i prawdziwej oświaty poczęła, wypadało wybrać kierującą głowę dla wszystkich, punkt oporu i rady dla każdego, o któreby szumiące w najrozmaitszych kierunkach młodych głów fale skutecznie rozbijać się i do rozsądnego poziomu powracać mogły. Na to trzeba było człowieka miękkiego serca, ale hartownej duszy, któryby jedyną tutaj możliwą powagą, powagą swojej łagodności, wyrozumiałości, dobroci, słodyczy, przykładu, hamował rozbrykane na wszystkie nogi namiętności. Zdolniejszego na ten cel jednogłośnem całej młodzieży zeznaniem nad Zana nie było. Jako wielki mistrz Promienistych nazywał się arcy-promienistym, a przez skrócenie „arcy" i pod tem wiele różnych a śmiesznych wniosków rodzącem nazwiskiem powszechnie pomiędzy młodzieżą był znany. Komisja śledcza znowu od siebie zrobiła mu grzech z jego prawdziwego nazwiska dla podobieństwa do Zanda, który niedawno przedtem zabił w Niemczech dla politycznych przyczyn sławnego Kotzebuego. Jakkolwiekbądź Zan powołania swojego i położonych w nim nadziei najdostojniej dopełnił.

Kiedy mi o dalszym losie jego mówić już w szczególności nie przyjdzie, dodam, że po kilkunastoletniem wygnaniu, po przebyciu bardzo srogich zrazu prześladowań i ucisków za wzbogacenie odkryciem złota w wielu miejscach zachodniej Syberji darowany nakoniec wolnością, ba, owszem na konserwatora map, planów i górniczego gabinetu w Petersburgu przyjęty został. I kiedy od krępujących go więzów ciągłego nieszczęścia, które ze spartańską zawsze znosił cnotą, ujrzał się swobodnym, kiedy już i jego dniom smutnym słonko przyświecać zaczęło, wtedy właśnie spękały się w nim fibry silnego dotąd, lecz gniecionego ciągłemi klęskami rozumu! I Zan, Tomasz

statystyka, drukowana bez cenzury, w bazyljańskiej czy też w misjonarskiej drukarni, bo już tego nie pomnę. Statystyka zbrodnią stanu! — O mój drogi, takie to były czasy, takie poczciwych śledzących wyobrażenia! Żałuj tych ludzi, bo ich Bóg nie zapomni!

Cóż była tedy ta zbrodnia naprawdę? Oto jak było. Towarzystwo uczone, dla wzrostu nauk stworzone, znało to dobrze na dwadzieścia kilka lat pierwiej, co dzisiaj ledwo poznali bez szkół pod piórkiem służebnem wyrośli urzędnicy nasi. To jest, że nauka, statystyką zwana, do głównych potrzeb, do pierwszych podstaw administracyjnych cywilizowanego kraju należy. Chcieli tedy młodzi uczeni mieć statystykę, chociażby tylko Litwy, jak wówczas mówiono, albo powróconych od Polski gubernij, jak dzisiaj mówią. Jakże tę statystykę zrobić? Żeby ją ułożyć, kilka tylko głów młodych zaledwie na to było sposobnych. Żeby zaś zebrać na nią materjały, każdy gap był zdolnym. Wypadało więc podebrać tylko tak proste pytania, żeby je i żak i żaba zrozumieć mogły. Żeby każdy w swojej parafji, zjechawszy do mamy na ferje, bez trudu na nie odpisał. A dla ulżenia tym, co dzieło wydać chcieli, w ryciu się po głupich najczęściej i dowolnych opisach, trzeba było naturalnie jednostajną dla wszystkich dać formę, któraby pracę rozbierających te pliki robiła znośniejszą. Owóż ułożono takiego rodzaju pytania. Rozpiszże je teraz na tysiąc rąk, żeby dać każdemu członkowi! Wypadało więc wydrukować ten program. Ale jak go dasz cenzorowi, zapyta: a naco? Żeby tej kwestji kryjącemu się od ludzkiego oka Towarzystwu uniknąć w najniewinniejszej myśli, skorumpowano jakiegoś zecera i w jedną noc tysiąc egzemplarzy odbito.

Projekt zbierania tych danych nie udał się mimo to zupełnie. Chodząc z fuzyjką, ganiając się za Rózią lub Fruzią, rzadko kto na te pytania, wróciwszy z wakacyj, odpisał. Więc i rzecz sama skutku była nie wzięła. Mogłoby to nastąpić na rok drugi. Ale tymczasem Towarzystwo zamknięto, papiery i ten nawet programat spalono. Ledwie, że gdzieś tam jakiś pozostał egzemplarz, a i ten schwycono. Stąd bieda! Stąd krwawe niewinnym zarzuty! Takie zarzuty dzisiaj wywołałyby śmiech powszechny. A program rozumnie ułożony z wdzięcznością wpisany byłby niezawodnie w akty teraźniejszego statystycznego urzędu. Po-

wiedzże, czy nie miał trochę racji poczciwy, a wielce uczony Groddeck chwytać się za perukę i wrzeszczeć w niebogłosy: „*O tempora, o mores!*"

„Kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie" — ale ja teraz najzupełniej w żadne przysłowia nie wierzę, a przeciwnie wierzę temu, że z piasku bicz ukręcić można. Oto, naprzykład, u progu kościoła widzę gorliwie modlącego się człowieka. Jeżeli jestem silniejszy, bezpieczny o siebie, a zły w duszy mojej, jeżeli, wrzekomo mówiąc, mam nieco żyłki owej śledczej komisji, któż mi zabroni wpaść na tego biedaka, zbić go na gorzkie jabłko i wielką gębą wołać i dowodzić: „Ty bezbożniku, ty niegodziwcze, ty zuchwalcze, ty zbrodniarzu, modlisz się oto do Boga, żeby mnie djabli prędzej wzięli!" Dowiedź-że mi, że ten biedak wcale tego u Boga nie prosił!

Pamiętam znajomego mi tylko z widzenia, na szczęście z widzenia, niejakiego Ksawerego Kotwicza, adwokacika, brata sławnego w Wilnie palestranta, Jana Kotwicza. Ten, mało w Litwie mając pożywy, puścił się na plenipotenta do stolicy. Tam przez trzy lata komitentów swoich litewskich najzupełniej okradł, sprawy, naturalnie, nic nikomu nie dając, przegrał, statecznych swoich przyjaciół oszukał i zpowrotem z kilkakroć sto tysiącami złotych powrócił. Wszyscy patrzali na niego z ohydą, a i mina już warta tego była. Bo fizjonomja człowieka w stosunku prostym z jego duchowem usposobieniem chodzi — i układa się na wzór jego sumienia. Cóż tedy ten nędznik? Oto dręczony podejrzeniami, jak z okna zobaczył, że lokaj jego na dziedzińcu z kimkolwiek rozmawia, bladł i drżał od strachu, a każdego pytał: „Proszę pana, oto ten łotr, mój lokaj, pewno się już zmawia na moje życie?!" Dajże mu jeszcze siłę w rękę: zobaczysz, co z tym biednym będzie lokajem! Boże mój, Boże, ileżto razy na świecie wrzeszczą: „Baranie, mącisz wodę!"

Owóż i tutaj toczyła się sprawa o Towarzystwo, dawno już rozwiązane, o program statystyki, z wyłączeniem jednego czy dwóch egzemplarzy przypadkiem zabłąkanych, wespół z innemi papierami przy zamknięciu związku spalony; jednem słowem, o dym i bańki mydlane, a z jaką się jednakże srogością toczyła! Zaprawdę wielka i po dziś dzień szkoda, wielka strata tych papierów i rozpraw, które ogniem zniszczono. Pisemka te, przez

młode, pełne ognia, życia i świetnych pomysłów zrodzone głowy, możeby, choć jeszcze zielone, były zaszczytem dzisiejszej ćwierci naszego wieku! Spalenie zaś tego wszystkiego dodało tylko nowy powód do masy podejrzeń!

Nie dziw się temu, mój drogi! Jak lepiej świat poznasz, poznasz i to, że tak być koniecznie musiało. Takiż los kiedyś spotkać także musiał dziś tylko już ze dwóch czy trzech pozostałych po nich wyrazów sławnych Etrusków, — kiedy po długim, zupełnym, publicznego życia i sił umysłowych rozwoju strawieni, z ostatkiem narodowego ducha swojego poszli pod jarzmo bitnych, szorstkich, nie znających jeszcze, nie domyślających się jeszcze greckiej nauki, ale rozwijających się dopiero Rzymian!

Gdyby tylko było u steru więcej podówczas nauki i światła, pomimo całej chciwych i przedajnych, z korzeniem zepsutych, pięciu czy sześciu ludzi intrygi wszystkoby samo z siebie usnęło i rozbiłoby się właśnie o wystawione przez tych ludzi fakty. Ale rzeczy źle pojmowane, źle pojęte w fałszywych kolorach przedstawione były monarsze! Tak widać zapisane już było w księgach przeznaczenia.

Jak powiadam, Nowosilcow, Bajkow, Ławrynowicz, Botwinko, Szłykow i t. d., poznawszy, że góra rodzić mysz zaczyna, na inny chwycili się sposób. Naprzód po mieście, a stamtąd naturalnie po całej Litwie rozgłaszać zaczęli, że teraz już właśnie wykryli najokropniejsze zbrodnie, że wszystko mają już w ręku! Potem na śledztwach obrazą i krzywdą, biciem w policzki, najbrudniejszem łajaniem wyprowadzali młodych, drażliwych, niezwykłych z takiem obejściem się więźniów ze stanu poprzysiężonej przez nich łagodności i chrystusowego na czynione obelgi pobłażania. Niejeden się wzajemnie zajuszył. Niejeden wzajemnie oddał w papę. Nowa zbrodnia! Nowe śledztwo, nowy sąd!... Więźniów zaczęto umyślnie pod strażą kilkunastu żołnierzy z nabitą bronią, z obróconemi na nich bagnetami prowadzić po mieście na posiedzenia komisji śledczej; — czego pierwiej przy ważniejszych z początku podejrzeniach zupełnie nie było. Sam lud wątpić już zaczął i mówić: „Oho, musi to jednak doprawdy być coś ważnego!“ Zan siedział w ostrogu w kajdanach. Kilku z oskarżo-

nych, nie mogących znieść codziennych umyślnych krwawych obelg, znudzonych długiem więzieniem, samotnością, sekretem bez żadnej ludzkiej pociechy — w rozpaczy zrobiło pokuszenie na własne życie. Nowa zbrodnia, nowy dowód, że coś musi być okropnego, kiedy wolą umrzeć, niż czekać na koniec sprawy i wykrycie tej zbrodni! A ciągle łotry wdmuchiwali myśl, że zbrodnią tą było projektowane pokuszenie się na rodzinę monarszą, dlatego, żeby z możnością tej zbrodni głowy oswoić! A jednak takiej myśli od wieków Polacy nigdy nie znali!...

Pocóż wypisywać wszystko? Dosyć dać krótkie, ogólne wyobrażenie tego stanu rzeczy i pokazać, jak czasem rosnąć mogą pozory i jakiejś prawdy przybierać suknię, kiedy złość, piekielna przewrotność ludzka i bezbożna urzędników niecnota na taką szkaradę wytęży swe siły.

Tymczasem Nowosilcow od przybyłych do Wilna dla ratunku dzieci bogaczów, ojców i matek pożyczał a pożyczał bez obligów pieniędze. Wielkie, ogromne nato poszły sumy! Oprócz tego jeszcze było kilku wiadomych, sekretnych jego faktorów, i chrześcijan, i słonimskich Żydów, i przechrztów, którzy za pewną umową i kwotą wyrabiali u niego albo wolność, albo łaskawsze dla takich więźniów pomieszczenie i znośniejszą wygodę. Przejście się tylko czasem po korytarzu klasztornym kosztowało wielkiego grosza, lubo się odbywać samo z siebie musiało pod czujną strażą licznego żołnierza. Starzec jeden z mohylewskiej gubernji, bogaty, do dwóch tysięcy dusz mający obywatel, kochający namiętnie swych synów, więcej nad źrenicę oka swojego, więcej nad życie, — wszystko, co miał na świecie, prawie całą swą, ogromną na ten interes zniszczył fortunę! Łotry, niewierni słudzy swojego monarchy, tarzali się w złocie, które na karty i różne swawole zaraz drugą wyrzucali ręką. Już się tedy każdy beze mnie własnym rozumem domyśli, że taki stan rzeczy niewątpliwie musiał nową jakąś wywołać chmurę. Pokazała się rzeczywiście, i na ten raz czarna!...

Gawędy, słuchy, domysły, języki, plotki rozeszły się bystrym promieniem po całym kraju, gdzie tylko polska dochodziła mowa. Nie było nigdzie niezadartej w jakimkolwiekbądź względzie za sam żywiec rodziny. Nasłuchały się tego po domach sprowadzane na święta lub na wakacje dziecięta; zapaliły się im

głowy i z tym pożarem zpowrotem się w szkołach zebrały. Każdy z tych żaków chciał odegrać rolę małego Brutusa. Cel wileńskich łotrów najzupełniej został dopięty!

Raptem się w wielu szkołach fatalne, niebywałe nigdy przedtem wykryły zamysły. Zamysły dziecinne, próżne wykonania, dla próżnej wymyślone parady; ale jednak zamysły zbrodnicze, artykułowane wyraźnie, jasno objawione, a do tego ze spartańską tych dziesięcioletnich ludziąt przed śledzącymi wypowiedziane odwagą. Szał, entuzjazm, manja, delirjum, chęć zemsty za oburzające niesprawiedliwości wszystkie te malutkie objęła główki! A właśnie szło tutaj o schwycenie jakiegokolwiek pozoru, cienia występku!

Na to już w samej rzeczy nie było rady! Każdy i dziś przysięże, że te projekty, jakkolwiek zbrodniczym umazane celem, były w istocie próżną słów igraszką, dziecinną fanfaronadą, i że taki smarkacz, co się z najsroższą odgrażał wściekłością, muchyby nawet bez płaczu nie zabił. Dusze były czyste. Samochwalstwo, gaskonada, — to były główne żywioły tej straszliwej burzy. Ale wileńskim niecnotom tylko tego właśnie było potrzeba!

Najpierwsze hasło dały Kiejdany. Molesson, malec, syn kalwińskiego pastora i prefekta szkoły, rektorem u nich zwanego, zebrawszy kilku swoich małych przyjaciół, opowiedziawszy im, co słyszał i co się dzieje, przypisując wszystkie na kraj spadłe klęski wielkiemu księciu Konstantemu, główny rząd i oko nad tą mającemu prowincją, doniósłszy im, że wkrótce książę dla odbycia rewji tamtędy przejeżdżać ma, zaproponował zasadzkę i zamordowanie wielkiego księcia. Wielki książę Konstanty właśnie nigdy nie przejeżdżał tamtędy i nigdy przejeżdżać nie miał, choć w rzeczy samej na Żmudzi stały jego pułki. Jakkolwiekbądź w godzinę już o tem wiedziała policja, w kilka godzin mdlejąca już bezczynnością w Wilnie komisja śledcza nowym, a jak mówią, na ten raz krzepiącym zasiliła się kordjałem.

Klasnęli w ręce!! *Victoria!!...* Co mówić o środkach śledzenia, o śledztwie, o różnych torturach, tym razem już cieniem sprawiedliwości pokrytych? Co mówić o karze, o zasłużonej, jeśli się na wiek nie zwróci uwagi, karze? Na taką karę, na takie męczeństwo człowiek dorosły najpewniej zasłu-

żył! O tem wszystkiem mniej więcej dokładnie powiedziały już książki.

Ale tu już palec Boga żywego za grzechy ojców naszych utkwił nad tą krwią tylu sprawiedliwych zroszoną ziemią! Podobnych zdarzeń mnożyło się codzień i codzień, bez końca! A żadna już wsteczna siła hamować rozdrażnionych głów nie mogła!... Rozpacz dobrych ludzi na widok, co się dzieje, była powszechna!...

Kiedy Fryderyka Wielkiego, pruskiego króla, na jakiejś drodze z namowy Austrji doprawdy zamordować miano, a on się o tem szczęśliwym trafunkiem dowiedział, taki na to znalazł środek że inną drogą pojechał, nie rozgłaszając wszakże tego, żeby innym łotrom podobnejże nie wrzucić myśli. Nie wzbudził więc chęci naśladowania i rzecz sama z siebie usnęła. Dalszej mowy o tem nie było. Fryderyk Wielki na łożu swojem swoją śmiercią umarł. Zdaje się, że Nowosilcow tuby tak zrobił, gdyby tylko był przekonany, że jakiekolwiek rzetelne wielkiemu księciu grozi niebezpieczeństwo.

Do jakiego stopnia wymienionemi przeze mnie już wyżej środkami podnieść, rozdrażnić, do niebyłych wprzódy myśli zaciągnąć, a że nie powiem, rozbestwić można młode i zielone głowy, ten jeden i ostatni już przykład opowiem.

Nie tak rychło potem Kowno, punkt środkowy zagranicznego monarszej rodziny przejazdu, z pod kamiennego w szkołach ławrynowiczowskiego wydzierżgnione berła, Kowno, w szkołach swoich i wszędzie spokojne, powolne i ciche, szumem szkół innych szumieć zaczęło! Prefektem był tam podówczas Stanisław Dobrowolski, mąż z wielu innych względów, jak to gdzieś indziej zapewne powiem, wiekopomnej godzien w tym kraju zalety; ale na prefekta szkoły po Ławrynowiczu tyle, co ja na biskupa, sposobny. Owóż pod jego okiem, przy jego ojcowskich napomnieniach i radach, przy sumiennej pieczy studenci okropne jednak głupstwa robić zaczęli! Zjawiały się po nocy przylepione na wszystkich węgłach plakaty z najobrzydliwszemi na dom monarchy paszkwilami, pogróżkami, brudami. Policja na to pomimo podnieconej okolicznościami uwagi była bezsilną. Komisja wileńska otrzymała o tem raporty i Platona Kukolnika,

cienkiego jak piskorz i na machinie jakiejś wzdłuż wywałkowanego, a tygrysiem sercem zapługawionego Serba czy Karpatorossa, na śledztwo wysłała. Po długich szperaniach, kiedy się nawet przy owym nowoczesnym Platonie codzień i ciągle zjawiały plakaty, po kilku nic nieznaczących, ale zawsze godnych uwagi poszlakach, padło niejakie podejrzenie na studenta, jak mi się zdaje, Olszewskiego, już kilkunastoletniego młodzieńca. Zawołany przez prefekta i ojcowskim o wykrycie prawdy upominany językiem, Olszewski przyznał się do winy. Prefekt komisję miejscową i Platona, jej prezydenta, jak trzeba było, uwiadomił o tem natychmiast. Członkowie komisji, dalsze prowadząc śledztwo, chcieli od Olszewskiego jeszcze wydobyć spólników. Były i rózgi i męki, ale on, wszystko zniósłszy, stale i ciągle powtarzał, że w głowę sam jeden zaszedł i sam jeden tylko wszystkie te psoty wyrabiał.

Rzecz zatem najjaśniej i z takim trudem wykrytą w przyzwoitym punkcie widzenia przedstawiono i władzy i samemu monarsze. Kukolnik i spółczłonkowie komisji pieniędzmi, rangami i orderami wynagrodzeni hojnie zostali, oprócz jednego prefekta Dobrowolskiego, o którym komisja ani słowa nie wspomniała, choć on niby całą rzecz wyprowadził najaw. Olszewski, osądzony na prostego żołnierza i osadzony na taczkową robotę w fortecy w Bobrujsku, całą tę tragiczną scenę spełnionym nad sobą wyrokiem zakończył. Już tedy, chwała Bogu, będzie, zdaje się, cicho!... A jednak w Kownie plakaty znowu się zaczęły i nie ustawały! A jednak zupełnie tąż samą, co wprzódy pisane były ręką! — Cóżto znowu?... Nowe śledztwo; zaledwie po roku odkryto winnych. Ale cóż odkryto? Oto, że Olszewski nigdy a nigdy w niczem winny nie był! Że nigdy do niczego nie należał! Że się z największem zadziwieniem niewiadomych sobie podówczas winowajców do grzechu, którego nie popełnił, przez jakieś wygórowane głowy swojej szaleństwo najniesłuszniej przyznał. Że ordery, pensje, rangi i inne nagrody, które Platon Kukolnik z kolegami swojemi otrzymał, podstępem i fałszem z ręki monarszej wydarte były. Że nakoniec Olszewski, już od roku prosty żołnierz w fortecy i taczkowy pracownik, cierpi najstraszniejsze męczarnie nie wiedzieć za co, i że za grzech swój błazeński, za fałszywe zeznania, za potwarz, niesłusznie

na siebie samego rzuconą, dostateczną i w Kownie i w Bobrujsku wycierpiał karę. Cóż myślisz? Czy ten błąd, tę krzyczącą względem bliźniego, względem dziecka, pomyłkę wielkiemu monarsze odkryto? Jako żywo! A w cóżby się obróciły wszystkie już otrzymane korzyści?!... Nie! Utajono to wszystko! Olszewski został w Bobrujsku, a lepszy nato znaleziono fortel: — za nowe niby w tej nowej rzeczy prace nowe otrzymano nagrody!

ROZDZIAŁ IV.

Możeby tutaj, z porządku rzeczy, dać wypadało zupełną historję życia tych kilku osób, co w swojem ręku los kilku miljonów ludzi tak bezbożnie dzierżyli i krwawym go oblekli całunem. Ale i czas nie po temu i pod ręką nie mam materjałów, jako na wsi ciągle mieszkam. A prawdę mówiąc, i pióro się wzdryga! Powiem więc tylko słów parę o znakomitszych i znajomszych, o których jakieś szczegóły lepiej nieco pamiętam.

Mikołaj Nowosilcow, biednych rodziców kwestjonowany co do prawości potomek, tej właśnie wątpliwości winien będąc jednego z magnatów protekcją, jaką drogą doszedł do najwyższych w Rosji zaszczytów, to już księgi opowiedziały i słuszniej powiedzą jeszcze. Wyższa w nim niż podówczas w Rosjanach była edukacja i polor, szczęśliwe i łatwe przejęcie maniery emigrantów francuskich, którzy wtedy za wzór na północy służyli, łatwa wymowa, kilka dobrze posiadanych języków, oczytanie wielostronne, lubo powierzchowne, dały mu naturalnie same z siebie szerokie pole popisu. Twarz przystojna, choć potem, kiedy już przeszedł swój zenit, Pan Bóg mu i oko skosił i pod niem czarną dużą szyszkę, ruchomy narost zawiesił; namiętna do kobiet skłonność, żadne w stosunkach z niemi sumienie, dowcip jaskrawy, protekcja panów, a szczególnie księcia Adama Czartoryskiego, postawiły go na świeczniku wówczas, kiedy Rosjan takich mało bardzo było, kiedy Niemcy i cudzoziemcy główną u dworu rolę w swojem mieli ręku. A trzebaż było i Rosjanina pokazać! W rozmowie potocznej człowiek ten, z dowcipem takt nienaśladowany łączący, i zadziwiał masą wiadomości, których się kazał zręcznie słuchaczom domyślać, i wielkie w nich o sobie robił wyobrażenie. W istocie było to tylko zgrabne

kuglarstwo, umiejące wporę wystawić to, co się wiedziało, dla ukrycia niewiadomości tego, o czem się nie wiedziało. W rzeczach ważnych tam tylko był logiczny, gdzie wypadało źle zrobić, inaczej wszystko na bardzo wątłych opierał podstawach i rozumowania chłodnego, analitycznego w żadnej materji nie wytrzymał nigdy. Dlatego też wiecznie z nieuczonym, ale genjalnym i pełnym logiki księciem Ksawerem Lubeckim i w Warszawie i w Petersburgu w ważniejszych sprawach publicznych dyskusji wytrzymać nie mógł. Prześladowany za cesarza Pawła tym, co mu dali przytułek, co go wtedy ratowali w niedoli, czarnym wypłacił się długiem. W najwyższym stopniu rozwięzły, rozpustny, zbestwiony, bezwstydnie przedajny (to, co tylko w naszych prowincjach wydarł, na kilkanaście odlanych ze złota, takich jak on, wystarczyłoby bałwanów), — ale przetak, dziurawa beczka — zawsze był goły i ciągle pod tytułem pożyczek, układów, projektów, spekulacyj, fabryk, każdego, co miał grosz jaki, obłupił i odarł. Sumienia, cnoty, moralności, wstydu? — ani za szeląg! Widziałem go na własne oczy, kiedy był już prezydentem Rady Państwa, a zatem najwyższą po monarsze i jego rodzinie osobą, śród dnia białego na środku alei publicznego „Letniego ogrodu" w Petersburgu, trzymającego za niewstyd obdartą, pijaną, obrzydliwą, ogorzałą, bez pończoch wszetecznicę i pomimo, że wielu przechodziło ludzi, mężczyzn i kobiet, pomimo obecności bawiących się tam zwykle z niańkami dziatek bezwstydnie przedłużającego tę ohydną swawolę!

Do tych zalet łączył od lat już wielu niepohamowany do trunków popęd. Maderę, rum czysty, poncz, porter, piwo angielskie, dubeltowe swoje słonimskie, jak spirytus mocne, po kilka naraz butelek zmiatał i, mówię to nie żartem, może od lat dwudziestu zupełnie trzeźwy nigdy już ani w dzień, ni w nocy nie był.

W takim go stanie o trzeciej po północy zastał raz ksiądz Wilbik, basista katedralny, ogromnej urody mężczyzna, a większy jeszcze pijak. Ten, wracając do domu z rozdobędy, pomyłką wlazł do niego, zobaczywszy w oknach światełko i myśląc po pijanemu, że do sąsiedniej domu tego wchodzi szynkowni. Znalazłszy śpiące sługi, szedł prosto, aż nakoniec za drzemiącym i kiwającym się od ponczu Nowosilcowem stanął. Nowosilcow

siedział na krześle przy stole, jak w szynku ostawionym próżnemi już butelkami, przy kilku okopciałych świecach przed wielkiem lustrem i czytał niby papiery. Jak raptem głowę podniósł i oczy otworzył, a w lustrze tę herkulesową postać za sobą zobaczył, zatrwożyło się serce jego: zerwał się więc, myśląc, że nasłanego na swoje życie widzi przed sobą zbójcę. Ale gdy Wilbik, równie jak i pan domu słaniając się, uderzywszy go po ramieniu i śmiejąc się głupio, rzekł: „Panie Janie, a daj-no mi tam szklaneczkę ponczu" — Nowosilcow, uszczęśliwiony z kamrata, trzymając się zaledwie na nogach, ucałował go w oba policzki, jak najdroższego kolegę, i oświeciwszy, że się pomylił, sam go, zataczając się na wszystkie strony, za drzwi swoje wyprowadził. Wilbik nazajutrz, nim się na nowo upił, przypomniawszy sobie, co zrobił, rozchorował się nieborak! Nowosilcow rzecz tę jednak zachował w sekrecie i prześladowania na swojego konfratra nie podjął. Ale wszystkim lokajom swoim kazał dać w skórę.

Nowosilcow, z nałogu tolerowany przez w. księcia Konstantego, któremu niby jako zimniejszej krwi człowiek za jakiegoś w swoim rodzaju służyć miał moderatora i doradcę, w istocie lubiony ani szacowany od niego nie był. Sprawiwszy, co chciał i więcej niż chciał, bo mu o Słonim z początku tylko chodziło, złupiwszy Litwę, złupiwszy Uniwersytet i jego fundusze, złupiwszy ojców, a dzieci ich mimo to na Syberję i do wojska na prostych żołnierzy wysławszy, zdrajca ten swojego monarchy własnemi rękami przygotował rewolucję, która w 1830 roku w Polsce, a w następnym w Litwie wybuchła. I pierwszy na liście mających na ręku za tyle zbrodni życiem zapłacić, czy instynktem, czy czujnością policji popchnięty, na parę dni wprzódy z Warszawy zemknął. Wkrótce potem, po śmierci, zda mi się, księcia Koczubeja, zkolei swego miejsca, której cesarz Mikołaj naruszać nie chciał, prezydentem Rady Państwa i hrabią mianowany, tam się ciągłem trudnił przekupstwem, a za wieloletni monopol żeglugi parowej po Wołdze, żeby projektowi spekulantów przeciwnym na Radzie nie był, trzykroć sto tysięcy rubli asygnacyjnych wziął kubana odrazu, a jednak projekt nie doszedł do skutku! Aż go nakoniec ciężka zastąpiła niemoc! W tej, gdy dawnego w zbrodni kolegę i obowiązanego przyjaciela Pelikana, do rady użył, a z drugim przyjacielem, powiernikiem


Bajkow

i zdrajcą, Platonem Kukolnikiem, kochankiem Pelikanowej, haniebny o kradzież zawiązał proces i gdy tymczasem w manji wobec otaczających prawdę, że aż uszy więdły, mówić bez ogrodki zaczął, a w okropnych i siebie i tych dwóch przyjaciół obwiniać jął zbrodniach, trafnem, jak wieść publiczna niosła, lekarza swojego staraniem, poprzestał nie wiedzieć co bredzić i z tym się nakoniec pożegnał światem.

Bajkow, dawniej młody, piękny, urodziwy, czupurny, w najwyższym sposobie salonowo wytarty, ale nic zgoła nie umiejący człowiek, rozpustnik, bezwstydnik i birbant, należąc kiedyś do wiadomych młodości w. księcia Konstantego swawol, przy dworze jego w Warszawie pozostał i bliskim jego był powiernikiem. Kto służy tak wielkiemu panu, musi iść wgórę. Na nieszczęście sunąć wgórę Bajkowa nie było za co! Służba jego równała się użytkowi piątego koła do woza. A w. książę Konstanty był sprawiedliwy i w rozdawaniu nagród więcej niż skąpy. Że jednak do niego był przywykł, sadził go zatem wszędzie, gdzie wiedział, że choć nic sam z siebie nie zrobi, jednakże, jak zero około cyfry postawione, pod cudzą wełną uda barana. Na tę więc komisję, o której wyżej mówiłem, zawiesił go w. książę przy Nowosilcowie, bo się przytem i znali z sobą oddawna, jak łyse konie, i wiecznie rżeli do siebie. Żeby Bajkow był tylko próżnym balonem, byłoby jeszcze pół biedy. Ale chciało się mu koniecznie dać sobie znaczenie! A był takiego, jak wszyscy wszetecznicy, serca, że go sprzecznym znowu od wszetecznic przykładem cierpienie i nędza ludzka za duszę nie brały. Zdanie jego, które na własne uszy z Kochowskim, generałem rosyjskim, słyszałem, było: że, kto nie doszedł do rzeczywistego radcy stanu, — a on nim już był, — choćby mu skórę żywemu darto, dbać o to nie trzeba, bo to *experimentum*, jak mówił, *in anima vili*. Cóż do tego dodać?! A nie był to jednak w duszy zły człowiek. Uczcie się z tego, jak głupia światowa próżność i zwierzęca rozpusta najlepsze zatrzeć może skłonności. Wszetecznik ten, ze skancerowanem od dawnej swawolij... do Wilna przybyły, a pomimo to od żadnej nie uchylający się sprośności, ulec nakoniec operacji Pelikana musiał, a ból jego, jak balsam, wiele ludzkich ran zagoił. Cieszono się wszędzie! Kiedy jednak wyzdrowiał i w Polce, awanturniczce, Zofji Chłopickiej, śmier-

telnie zakochany, z lichą rekomendacją, bo z ostatniem, co mu zostało, męskości znamieniem, ręki jej zapragnął i kiedy ta, jak bóstwo, piękna podówczas dziewczyna zgodziła się na swoją krzywdę, raz, saniami w bramę jej domu wjeżdżając, o próg tej bramy wgórę podrzucony pęknieniem żyły około serca wielą zbrodniami brzemienne życie z pociechą i radością wszystkich w jej przedsionku położył.

Botwinko, wileński gubernjalny prokurator, syn mohylewskiego młynarza, któremu swarliwa rzeka na wiosnę cały odebrała fundusz, człek niegodziwy i podły, nie wart lepszego i obszerniejszego wspomnienia. Dosyć było spojrzeć na niego i ten ryj zobaczyć, żeby odgadnąć, co to był za ptaszek! Za inne winy potem z urzędu wyzuty, kiedy się już dolą naszą dostatecznie obłowił, znaczny w wiłkomierskiem kupił majątek. Tam, wymknąwszy się zręcznie w 1831 r. od sęka, obwieszony za śledztwo o Filaretach krzyżami, dotąd podobno żyje i teraz poczciwego udaje. Jużciż to lepiej, jak być zawsze i otwarcie łotrem! Wszakciż, włożyć mu palca w gębę i dzisiaj nie chciałbym!

Szlykow, policmajster wileński, piękny, okazały, powabny i silny, jak tylko być może, mężczyzna, nie wiem, jak się był dostał do Wilna. Postacią swoją, wyuczeniem się natychmiast polskiego języka podbił serca kobiet — i Gorska, jedna z najbogatszych naszych dziedziczek, wyszła za niego, przyniósłszy mu posagu około miljona w gotówce. Umarła wkrótce, zapisawszy mu wszystko. Układny i grzeczny długo z tego względu był najwinniejszym, że, udając w oczy ludzkiego i pełnego spółczucia dla więźniów człowieka, za oczyma zato całą gorliwością nienawiści pałał i tę momentalną zacierał uprzejmość. Więźniowie długo w niego wierzyli, długo mu ufali! Ufność tę zawiódł; szkodził, jak i drudzy. To jednak pewna, że osobiście grubjaństwem żadnego z nich nie obraził, a siebie nie splamił; — ale toć lepiej od innych znał drażliwość wileńskiej młodzieży. Wkrótce potem oddalony, przegrawszy w karty całą po pierwszej żonie fortunę, żyjąc już tylko z przekupstwa i kontrabandy, która wtedy w Wilnie na ogromną skalę prowadzona była, ożeniwszy się z Engelhardtówną, nakoniec przez protekcję litościwych osób, — bo się był już sfantował, — sędzią w niemieckich w głębi Rosji kolonjach mianowany, w nędzy podobno

umarł. A jam go sam w Petersburgu bardzo biednym widział. Któż to wie, może się znowu potem, jeśli żyje, obłowił, bo na to był majster. Zaręczano mnie, że umarł, ale ja śmierciom policjantów nie wierzę!

O Ławrynowiczu mówiłem już. Niemasz nic straszniejszego, (owszem, przeżegnawszy się, w Imię Boże tak powiem) niemasz nic ohydniejszego nad zrusiałego Polaka. Przejmuje on, i to zawsze z przesadą, wszystkie wady, a żadnej z licznych cnót ruskiego człowieka. Jakże te nowe wady ze swojemi domowemi połączy, — pisuj na Berdyczów! Już mu i sam szatan w niczem nie sprosta. Więc o Ławrynowiczu to tylko dodam, że kiedy, nie doczekawszy się żadnej nagrody, — bo śledztwo nie było jeszcze skończone, — z gorączki umarł, za osierociałą od ludu trumną wybiegł pies w żałobę obszyty z tabliczką na szyi, chlubny, jak się spodziewać można, obejmującą dla zmarłego nagrobek. Chciano go schwytać! — nie dał się! — Uciekł! — To był jedyny asystent, który tego człowieka do ostatniego odprowadził spoczynku! jeżeli tylko tam spoczął. Powiadali wszyscy, że w manji swojej okropne przed śmiercią czynił sobie wyrzuty.

Wszystkich tych ludzi naszkicowane, ale trafne podobieństwem portrety, mam w moim zbiorze. Wartoż przecie takie klejnoty dla pamiątki zachować!

Macież tedy osoby, krajowi, społeczeństwu, monarsze rzeczywiście szkodliwe. Sumienne o nich wyraziłem zdanie, bez żółci i uprzedzenia, które po dwudziestu pięciu latach, już od tego czasu ubiegłych, nawetby dotrwać w sercu mojem nie mogły. Owszem, wzgląd na wiele okoliczności wstrzymał pióro moje od wyłożenia wszystkich wiadomych mnie ich występków.

ROZDZIAŁ V.

Zachodzi teraz drugie pytanie: a czy z naszej strony nie dano do wszystkiego tego, co nastąpiło, żadnych powodów? Na to sprawiedliwość odpowiedzieć każe: „Dano". A jak to było, kilka słowami objaśnić trzeba, lecz czuję, że będę tutaj bardziej niż gdzie indziej niezgrabny. Rzućmy w tym celu okiem na przeszłość.

Ale nim się naszych drobnych szczegółów dotkniemy, zacznijmy naprzód od zasady, od wyłożenia w kilku wyrazach otwarcie i szczerze ogólnej podówczas myśli, ogólnego ducha Litwy. Oto w owym czasie i ci, co wiedzieli, czego chcą, i ci, co tylko wiedzieli, czego nie chcą, i ci, co zgoła nie wiedzieli, co myślą, życzyli, wzdychali do tego, żeby Litwa połączona była z Królestwem Polskiem i jednakowych z niem używała dobrodziejstw. Do tej myśli, która z tylu względów nastręczała się z siebie, dał powód jeszcze sam Aleksander, oświadczywszy wielokrotnie między 1817 i 1818 rokiem przed wielu obojej płci osobami, a szczególniej przed powszechnie szanowanym, a faworytem swoim, senatorem wojewodą, Tomaszem Wawrzeckim, że Litwę z Królestwem Polskiem połączyć pragnie. Zdaje się, że miał istotnie tę myśl z początku, bo różne ku temu celowi porobił kroki. Ubóstwiany podówczas od ludów całej Europy, widząc, że każdy przejazd jego po różnych krajach był dla nich zawsze dniem świątecznym i prawdziwą fetą, jako człowiek spodziewał się znaleźć wiele dla duszy swojej pociechy w Królestwie Polskiem, gdzie nadane przez niego liberalne instytucje i wolność druku obiecywały mu spotykać się często z głosem wdzięcznego serca. Ale kiedy bez względu na te okoliczności paplacze nasi, małpując Francuzów, jak ćmy na świecę lecące,

zamiast spodziewanego aplauzu kontrolować natychmiast i ganić w obecności cesarza rozporządzenia jego zaczęli, kiedy pisma publiczne puściły wodze niechętnym piórom, — zawiedziony w najpochlebniejszych swoich nadziejach, zaląkł się własnego dzieła i obrzydził je w sobie. Dodać do tego potrzeba i to, że ministrowie polscy, niewtajemniczeni jeszcze w sekrety tej formy rządu, bez doświadczenia, opłacając frycówkę, nie wiedzieli, jak takie garby zagładzać, jak podobnym językom z dobrym skutkiem usta na kłódkę zamykać. Tym sposobem cesarz, pan samowładny i przywykły skinieniem palca swojego zarządzać połową świata, żałować zaczął, że dał szalonym miecz w rękę. Nietylko zatem już o rozszerzeniu pierwiastkowego młodzieńczego systematu swojego nie myślał, ale owszem, tam gdzie go zaprowadził, ścieśnić go pragnął!

Litwa cała ogółem tego nie rozumiała. Rzadki był, kto w Litwie pojedyńczo to rozumiał. Do tych ostatnich, z chlubą powiem, należał mój ojciec, stary Wawrzeckiego przyjaciel, i o każdym sejmie gorzko, przewidując następstwa, płakał. Z tem wszystkiem masy, nie widząc spełnionych nadziei i obietnic, kwasić się wogóle zaczęły. Ale myśl zasadnicza była w tym czasie taka: „Ubłagać monarchę domowym, przyjaznym sposobem bez żadnych buntów i wstrząśnień, ażeby Litwę z Królestwem Polskiem formą instytucyj połączył". Na nieszczęście żądano i życzono tego, co już dla wymienionych wyżej powodów nie było możebne! Winowajcy? — Posłowie opozycyjni sejmów Królestwa Polskiego i redaktorowie gazet. Niechaj ich imion szuka historja!... Krótko widzieli!... Wszystko to jednak palcem bożym na karcie przeznaczenia wprzódy już zapisane być musiało!

Zejdźmyż teraz do drobnych naszych uniwersyteckich fraszek, kiedy te tak wyraźny i wielki wpływ miały. Kiedym ze szkół wychodził, zostawiłem był w szóstej i ostatniej klasie niejakich — Sorokę, Kolendę, Ćwiklicza, nietylko pod wąsem, ale dobrze już siwawych. Uważaj — w szkołach! W Uniwersytecie coś czapką podówczas rzucił, toś na ogromny wąs, porządną marszczkę na twarzy, lub siwiejący łeb natrafił. Na półtora tysiąca uczniów Uniwersytetu ledwie nas było piętnastu — dwudziestu dzieci, smarkaczów, co się jeszcze nie domyślali brody,

a każdy się dziwił, żeśmy w tak młodym wieku potrafili ukończyć szkoły. Oczywista, że w takim tłumie silnych, czerstwych, we wszystkie życia potrzeby wtajemniczonych ludzi wielka ilość musiała być zebranych, a mała wybranych. Osobliwie kiedy tytuł akademika osłaniał przed okiem policji często swawolne lub naganne życie. Kiedy dosyć było 15-go września stawić się przed rektorem i dziekanem, żeby od jednego dostać prawem przepisane „*comparuit*", od drugiego świadectwo akademika, a na lekcje dlatego nie chodzić! Tak się więc pod tytułem akademików namnożyło burdów, kłótników, łotrków, rozpustników i pijaków, że władza uniwersytecka sama uznała, iż na ich utrzymanie w karbach brakło jej zupełnej siły.

Prócz tego jeszcze w ustach każdego szulera, szachraja, siepacza, byleby tylko już bardzo przestarzały nie był, przy każdej śliskiej okazji było w gębie, siedziało na wargach, zrywało się z języka owe sakramentalne słowo: „Ja jestem akademik", chociaż nigdy być nim nie myślał. Słowo to zaraz osłaniało go od natychmiastowego aresztu i dalszych poszukiwań. Brano jego nazwisko, raportowano rektorowi. Okazało się zawsze prawie, że jegomość fałsz powiedział. Ale jegomość tymczasem z miasta szczęśliwie i bezkarnie umknął. Większa tedy wprawdzie część swawoli należała do sprawek obcych Uniwersytetowi ludzi, ale wyznać trzeba, że i u nas „krzywdy nie było" i że w naszem łonie na wielkich rozpustnikach nie brakło. Ten to stan właśnie, oddalający co moment bardziej od naznaczonego celu studentom akademickim, stał się głównym powodem stowarzyszenia ludzi moralnych i dobra kraju życzących, choć jeszcze młodych i niedoświadczonych. A te stowarzyszenia, powstałe pod nazwiskiem Promienistych i Filaretów, tem więcej były korzystne, że władza uniwersytecka ani wszystkiego dopilnować, ani wszystkiego powściągnąć nie była w stanie. Dlatego też przezorny starzec, rektor Malewski dał pozwolenie swoje na utworzenie Towarzystwa Promienistych, którego posiedzenia nie były tajne, i wtedy dopiero to pozwolenie cofnął, kiedy inne władze, inaczej rzeczy pojmujące, zaczęły wbijać niesłuszne podejrzenia rządowi, że to Towarzystwo odpowiada niemieckim burszom, wielkie po Niemczech robiącym kłopoty, i że takież i tutaj ze sobą pociągnie skutki. Cofnął więc, jak mówię, to pozwolenie stary poczciwosz

Malewski, ale *à contre-coeur*, ale niechętnie i z żalem, bo widział, że od daty utworzenia się Towarzystwa naocznie, dotykalnie cała się młodzież raptem, jakby czarodziejską laską trącona, na lepsze zmieniła.

Henryk Rzewuski w jednem z dzieł swoich stowarzyszenie się to nazwał robactwem, w zgniłej społeczności zalęgłem. Napisał to zapewne dlatego, że nie wiedział, co czynił, a napisał, rzecz poczciwą obrzydliwemi malując farbami! Ach, panie hrabio! wyją i szczekają na księżyc szlachetniejsze od robactwa stworzenia, a księżycowi z tem ni lepiej, ni gorzej!...

Jednakże, jak zawsze i wszędzie, nie można i tu było żądać od ludzi doskonałości. Białe jak śnieg rzeczy, jeśli już nie czarną, to szarą przynajmniej mają stronę. Zamiast gladjatorskiego ducha, który pierwiej siwawym akademików wąsom przewodził, rość między młodzieżą zaczął duch pedanterji, naukowego zarozumienia i dumy, mniej zapewne społeczeństwu szkodliwy, ale zawsze wśród ogólnego w Europie w politycznym względzie zawichrzenia umysłów baczne rządów w kraju zawojowanym zwracający oko. Zdawać się musiało rządowi, że ta pałka, co niedawno jawnie i otwarcie, żyjąc nazewnątrz, rozmaite wyrabiała burdy, schowawszy się wewnątrz, skrycie czeka na przechodnia z za krzaku lub rowu. To uprzedzenie rządu podsycane i drażnione ciągle jeszcze było przez urzędników, przybyłych z Rosji, którzy, tam miejsca sobie znaleźć nie mogąc, zjeżdżali tutaj w celu złupienia tych prowincyj wszelkiemi drogami, nachwytania jak najprędzej mas pieniędzy, zrobienia sobie trwałego losu w jak najkrótszym czasie, a przytem z drugiej strony za pożyteczną niby monarsze służbę wyrwania, co można, monarszych honorowych nagród. Ci, rozumie się, dla łupiestwa swojego ze wstrętem przyjmowani ludzie, kiedy ich, jak komarów i pijawek, napoić nie było można, bo się ustawicznie zmieniali, jak przelotne ptaki, odłączeni od towarzystwa miejscowego, tworzyli oddzielną koterję, nieprzyjaźnie odzywającą się o miejscu, które ich wszystkich do zbytku karmiło. Wiedząc to dobrze, zaco narzekają na nich, woleli sami głośniej na ten kraj narzekać i wrzeszczeć.

Młodzież żywsza, drażliwsza, z zieloną jeszcze głową zamiast znosić to spokojnie jaśniej i jawniej od innych wstręt swój do

tych wszystkich ludzi objawiała przy każdem zdarzeniu. *Inde irae!* Niema jednak wątpliwości, że, gdyby ministerja w Petersburgu lepszego się trzymały pod tym względem wyboru, wszystkoby poszło inaczej. Bo każdy Rosjanin, byleby prawy urzędnik, jeśli się kiedy zdarzył przypadkiem, może przez kontrast, ale noszony był na ręku. Dotychczas, naprzykład, od lat pięćdziesięciu trwa jeszcze w powszechnej a chlubnej pamięci imię prokuratora wileńskiego Nieczajewa, który przez cały ciąg urzędowania swego jednego grosza, ani kubana od nikogo nie wziął i wolał jęczmienną jeść kaszę, jak z cudzego dobra i skóry sprawiać sobie karety, wydawać bale, przegrywać tysiące w karty, albo kupować dobra za gwałtem wydarty pieniądz.

Na większe jeszcze nieszczęście urzędnicy tacy, o których mówiłem, byli najczęściej bez najmniejszego usposobienia do swojej funkcji, rzadko co komu dobrego zrobić umieli, a z rozciepierzonemi palcami i rozstawionemi na chwycenie podkupu chodzili rękami! Cała ich pomoc leżała w podpisie. Adwokaci nasi musieli tedy przygotować pierwiej wszystko; potem trzeba było znaleźć sekretnego tłumacza na język rosyjski; nakoniec gotowe tym panom położyć. Adwokat sobie, tłumacz sobie, urzędnik zdarł sobie, i wygrywający najczystszy interes postrzegł się na końcu, że został uboższym po wygranej, niż pierwiej. Przyszło z czasem do tego, co wstyd powiedzieć, że wyraz, naprzykład, sowietnik gubernjalnego rządu lub izby skarbowej, że prokurator gubernjalny, a złodziej — były to synonimy. Że inspektor wraczebnej uprawy, a nieuk i osieł — były tożsamo w powszechnej opinji znaczące słowa. I tak dalej i dalej. Ta niechęć tedy do karygodnych urzędników i szkodliwych sług monarchy brana była za nienawiść do rządu, a może przy jednostajnych ciągle pobudkach w części nawet być nią zaczęła.

Drugim powodem niechęci było to, co się ledwie nie zawsze i wszędzie na świecie wydarza. Wojskowi dla błyskotek, munduru, obcesowości, a może dla instynktowego czucia niebezpieczeństw tego stanu u kobiet biorą zawsze prym przed cywilną młodzieżą. Cóż dopiero u nas, gdzie już było poszło w przysłowie: „Za mundurem panny sznurem".

Skoro się tylko zjawiło wojsko, oprócz litewskiego korpusu, gdzie byli wszyscy prawie koledzy i Polacy, wszystkie kobiety

tej warstwy, w której się tacy oficerowie prezentować mogli, rzucały poprzednich swoich cywilnych kochanków i czepiały się za mundur. Stąd między wojskowymi a młodzieżą akademicką, jak mówię, wąsatą i palestrą również prawie, jak młodzież akademicka, liczną i z tąż młodzieżą zawsze trzymającą, zdarzały się ciągłe kłótnie, swary, pojedynki i bitwy. Jakoż się to jednak domowem gładziło pomiarkowaniem i było dobrze i cicho.

Ale w 1822 r. przyszła gwardja! Czoło rosyjskiej młodzieży! Członkowie jej, wszyscy młodzi, piękni, śmiali, po petersbursku, a nie po naszemu całą gębą bogaci, rozrzutni, z wielkiem zewnętrznem przetarciem, w ozdobniejszych wielokrotnie od wojsk linjowych mundurach, rzucili się zgóry na najwyższe prowincjonalnego towarzystwa szczeble. Najpierwszy lew wileński sam natychmiast czuł, że był na oko myszą przy takim zapaśniku. A co gorsza, że się nawet śmiesznym wydawał pedantem, bo samo położenie Wilna, *per eminentiam* uczonego miasta, ten męskiemu towarzystwu jego musiało nadawać charakter. Kobiety, mało o naukę dbałe, przeszły na stronę gwardji. Piorunując niby na „Moskalów", czepiały się im doprawdy publicznie na szyjach. A ci z tak naiwnych płci pięknej popędów nietylko że korzystać, jak trzeba, umieli, ale to za tak naturalną i powszednią i sobie należną dań uważali, że się z takiemi faworami i taić nie chcieli. Stąd i zazdrości, i złości, i gniew, i zgrzytanie zębów. Nienawidzono się wzajemnie, tak jednak tylko, jak kochanek nienawidzi swojego rywala. Kiedy wszakże wojskowi gwardji jakimś rodzajem powierzchownej pogardy okrywać młodzież naszą zaczęli, ta, bitkę jeszcze dawniejszą w świeżych mając tradycjach, przy każdem zdarzeniu, z większem uchybieniem złączonem, zaraz się uciekała do pięści. Do pięści! rzecz to nie była dla oficerów gwardji pojętna. Zaraz powiem dlaczego.

Dotąd jeszcze nawet nikt u nas nie ma wyobrażenia o tem czarodziejskiem wrażeniu, jakie ten sam wyraz „gwardja" i w Petersburgu i w Moskwie wywiera. Najbogatszy obywatel, kupiec, urzędnik cywilny z największem uszanowaniem, wdzięcznością i radością córkę swoją z miljonowym posagiem oddaje za najuboższego człowieka, skoro ten jest choćby najniższym oficerem gwardji. Przed takim oficerem rozstępują się idący ulicą i trzymający się za ręce przyjaciele, przed takim wszystko

to, co chodzi we fraku, ustępuje we wszystkiem ze zwyczaju, z przekonania, z instynktem natchnionej powinności. Naturalnie, że to są rzeczy, należące najzupełniej do wyobrażeń miejscowych. Owóż gwardja rosyjska, najzupełniej także od antenatów do takiej czci przywykła, znalazła się raptem w Wilnie pomiędzy ludźmi, nie mającymi najmniejszej idei o tych jej moralnych, żadnem prawem pisanem nie objętych, ale dlatego może samego silniejszych prerogatywach Pojąć więc tego, co z nią jest teraz, nie mogąc, chciała tej samej co w Rosji użyć przewagi, chciała to zrobić tutaj, co jej się w podobnych okolicznościach tam udawało, i na nieszczęście skompromitowała się odrazu! Oto, naprzykład, pierwszy wypadek, który obie strony mocno rozjątrzył.

Niejaki Półjanowski, silny i rozrosły w ciało chłopak, najspokojniejszego, cichego, uległego nawet temperamentu młodzieniec, szedł pod rękę z kilku przyjaciółmi na Antokol dla przechadzki i, mijając przepyszne ówczesne bulwary wileńskie, dziś zniszczone dla urządzenia fortecy, zagadawszy się z towarzyszami, nie dostrzegł, że naprzeciw niego szedł oficer gwardji. Trącili się tedy łokciami przypadkiem. Oficer do tego nieprzywykły, obrażony trącił go w bok umyślnie kułakiem, mówiąc: „*Kak ty smiejesz mienia tronut'!*" Półjanowski, tak niespodzianie zagadnięty i pchnięty, odwróciwszy się, jak go palnie po chrapach... i kiwer i wszystko, co tam było, poleciało na ziemię, a sam ledwie, ledwie że się na nogach utrzymał. Zbity z pantałyku tem, jakiego i domyślać się nie mógł, przyjęciem, miał tylko tyle, wcale niepotrzebnej w podobnych okolicznościach przytomności, że wymówił: „Ja kapitan gwardji Pelskij". A Półjanowski z krwią najzimniejszą, jemu właściwą, na tę rekomendację odpowiedział: „A ja szewc Orłowski". Rozeszli się. Półjanowski znikł w górach. Ale na bulwarach było mnóstwo ludzi, co ten akt widziało. W kwadrans całe miasto było pełne tej plotki. W godzinę potem w skutku depozycji Pelskiego, którejby wolał nie robić, a raczej powiedzieć sobie: „głupi daje, mądry bierze", wszystko, co nosiło nazwisko „Orłowski", co mieszkało w domach Orłowskich, albo aresztowane, albo pytane i śledzone było. Dom nawet nieboszczyka, dlatego, że się Orłowskim nazywał, wartą otoczony został. Ale śledzono napróżno. Lud cały, wielcy

i mali, przekonani, że Półjanowski, zaczepiony po grubjańsku i skrzywdzony niewinnie, staroświeckim naszym zwyczajem odemścił tylko swoją obrazę, pomimo siedmiu na ten cel zarządzonych śledztw, jedno po drugiem idących, — pomimo całej ich ścisłości, — pomimo woli Półjanowskiego, który sam chciał się odkryć, nie wydał nigdy jego nazwiska, nie wytknął osoby I to może najrzadszy na świecie wypadek, żeby kilkanaście tysięcy ludzi jakąś rzecz korzystną dla siebie, jeśli ją wydadzą, wiedziało, a żadnego jednak nie znalazło się zdrajcy! Jakkolwiek bądź, tak uparty sekret był silnie obrażający władzę! Ale był to jeszcze ostatek dawnego uporu. Dzisiaj książę przed hrabią, hrabia przed szlachcicem, szlachcic przed Cyganem, Cygan przed Żydem śpieszyliby na przebój, kto pierwiej o prawdzie doniesie.

Wkrótce potem Franciszek Uzłowski, pierwszy kapitalny flegmatyk Uniwersytetu, obraźliwie w oczach moich zaczepiony na kasynie przez niejakiego Ducloux, także kapitana gwardji, nie mogąc go w twarz uderzyć, bo mu zamachniętą już rękę Jan Chodźko, dyrektor kasyna, podchwycił, wyzwał pana Ducloux na pojedynek. Ducloux nazajutrz przez generała swego, który do Uzłowskiego adjutanta z tem przysłał, kazał mu powiedzieć, że się strzelać inaczej nie będzie, jak o pięć kroków. Kiedy tem spodziewano się zrobić na nim jakieś wrażenie, Uzłowski bez żadnej przesady i bez niczyjej rady, bo to się w oczach świadków i adjutanta działo, dobywszy z kieszeni chustkę do nosa odpowiedział: „I owszem będziemy się jeszcze nawet bliżej strzelali, bo trzymając się za końce oto tej chustki. Niech pan kapitan będzie najzupełniej spokojny". Adjutant, przerażony taką determinacją i nieudaną flegmą, doniósł o swej negocjacji. Dano tedy znać rektorowi od władzy wojskowej. Rektor aresztować natychmiast Uzłowskiego kazał. Ale ten, mając już gotową prośbę o dymisję od charakteru ucznia Uniwersytetu, w ręce przybyłego bedela ją złożył i tym sposobem sam się z pod władzy uniwersyteckiej usunął, a przez to pod władzę policyjną poddał. Zostawało więc aresztować go przez policję. Toby większy jeszcze wstyd i hałas zrobiło! Ducloux nie wystąpił, składając się tem, że czeka przybycia wielkiego księcia, od którego jednego tylko podobnego rodzaju pozwolenie zależeć mogło. Rzecz się przewlekła, a potem i przycichła. Pojedynek nie miał miejsca.

Pelskij znowu tymczasem, nie mogąc się dobić krzywdziciela swego i hańbę swą zmazać, do rozpaczy doprowadzony, jako publicznie zhańbiony oficer służbę opuścić musiał. Młodzież nasza więcej jeszcze w ambit urosła.

To wszystko, jak widzisz, nie mogło wzbudzić przyjaźni. Owszem, dmuchało w nienawiść, jak w rozżarzone węgle. A jednak pochodziło to wyłącznie z obustronnych niewyrozumień. *Equivoque maudite!* jak Wolter powiadał. Pogarda wojskowych rosyjskich dla fraków, jak oni nazywali, była w nich najniewinniejszym, bo ze zwyczaju wkorzenionym nałogiem. W Rosji, kto tylko szlachcic, musi służyć wojskowo, i nawet najwyżsi, najważniejsi urzędnicy państwa cywilni pierwiej choć przez lat kilka do pierwszej rangi musieli przejść przez tę służbę. U nas zaś zostawała tylko pamięć pospolitego ruszenia, które się nieochotnie ruszało pod koniec politycznego życia naszego, ale wojskowość, za ważną, świętą, szacowną uważana, do ciągłego nie obowiązywała munduru, który w Rosji główną właśnie stanu rycerskiego stanowił cechę i wiecznie za emblemat prawdziwej odwagi był miany. Gdyby się więc nasi z nimi byli zrozumieli wzajemnie, rzeczy pod tenże sam podprowadzone mianownik poszłyby zupełnie inaczej! A na to czegoż rzeczywiście było potrzeba? Oto trzeba było, żeby nasi rodzice, zapomniawszy dawnych augustowskich i stanisławowskich drwinek, wysyłali nas wcześnie do Petersburga, do Moskwy, do Rosji, jednem słowem, dla obznajomienia się z wyobrażeniami narodu, — co chcesz sobie gadaj, — niezaprzeczenie panującego nad nami, jak kiedyś Baty nad niemi panował; żeby nie myśleli, że Rosja jest tam gdzieś za morzem, i że to wszystko jest niepotrzebne dlatego, że „Tadeusz Kościuszko jest złote jabłuszko", i że „Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Wypadek pokazał, że pieśń ludu niezawsze wieszczym głosem bywa! Rozsądek i dobrze zrozumiany własny interes wiecznie śpiewać w każdym przypadku radził: „Na czyim wózku jedziesz, tego piosnkę śpiewaj", i niech się dzieje wola boża!

Do jakiego stopnia uprzedzenia przeciw cywilnym ubiorom były zakorzenione dawniej, a może i dotąd trwają w wojsku rosyjskiem, jedną tylko przytoczę tu anegdotę. Długo potem, bo w 1831 roku, będąc raz w Moskwie, na obiedzie u generała

hrabiego Zakrewskiego, podówczas ministra wewnętrznych interesów, a ciągle kiedyś nieodstępnego, przybocznego adjutanta cesarza Aleksandra, pytałem go o szczegóły bytności i zachowania się w Paryżu tegoż cesarza, bo Paryż go wówczas na ręku nosił. Hr. Zakrewskij, odpowiadając, rzekł między innemi, że i cesarz i cała jego świta chodzili tam we frakach. Na to młody adjutant ministra, oficer gwardji, hrabia Kutajsow, najmilszy, najlepszy, pełen grzeczności chłopak, z największem podziwieniem wykrzyknął: „Jakto we frakach? Ależ to tym sposobem można się było na największą" — i powiedział na jaką — „obelgę wystawić!" Zakrewskij, człowiek doświadczony i mądry, spojrzał na niego i ironicznie się zaśmiał, a potem na mnie z taką miną, jakżeby chciał, żebym na to coś odpowiedział *mordendo*. Ja, podówczas wielki gorączka, lubom się nie zagniewał, bośmy z Kutajsowym jak bracia żyli i kochali się, powiedziałem mu jednak pomiędzy innemi wręcz i przy wszystkich: „Słuchaj, Kutajsow, żeby ci to wytłumaczyć dokładniej, powiem ci tak: patrz oto ja jestem we fraku, spróbujże się na mnie zamierzyć, a zobaczysz, czy cię mundur ochroni". Wtedy dopiero Zakrewskij, który adjutantów swoich kochał, jak własne dzieci i jak ojciec, uczył ich i prowadził, zaczął i jemu i wszystkim spółbiesiadnikom tłumaczyć, jak uprzedzenia o ubiorze cywilnym niesłuszne są w Rosji i jak ubiór ten przez wojskowych fałszywie jest pojmowany. Ale dosyć o tem.

To, com wyżej nieco powiedział, ten jeszcze za sobą pociągnęło skutek, że domy staropolskie, a takich było jeszcze wiele; domy, które córek i krewnych swoich na języki i bałamuctwa wystawiać nie chciały; domy, które córki swe we własnej okolicy wydać zamąż życzyły; domy, nie chcące narazić swoich znajomych, krewnych, przyjaciół na nieochybne z wojskowymi zadziory i kłótnie, odmówiły na odlew przyjęcia ich u siebie i drzwi przed nimi zamknęły. W tych domach było naturalnie wiele młodych i prześlicznych kobiet i panien. Łakoma dla naszych oficerów przynęta! Chytrzejsi zaczęli się przyjaciołom ich, krewnym, synom, braciom zasługiwać a nawet pochlebiać; ale, widząc, że to się nie daje, z zawziętością te znajomości męskie rzucili. Znowu do niechęci pochop! Powiem jednakże nawiasem, że bodaj czy ci, co się z wojskowymi w domach swoich łączyć

nie chcieli, więcej od innych nie mieli przewidzenia i rozumu. Ani jedna panna z tych, co się w oficerach kochały, za żadnego z nich zamąż nie wyszła. Skompromitowanych i na koszu potem osiadłych liczba była znaczna!

Z tych powodów towarzystwo wileńskie rozdzieliło się na dwie najdoskonalej odcięte i odgraniczone połowy. W jednej były same mundury, w drugiej same fraki. Jak się to już zrobiło, obie połowy zazdrościć już sobie nie miały powodu. Takby się przynajmniej zdawało. Wyższa jednak władza wojskowa, nie wchodząc w pobudki, a trzymając, jak słusznie, za swoich, widząc ten wielki rozdział, niesłusznie przypisała wszystko frakom, uwierzyła w najgorszy duch, w nienawiść całej prowincji do rządu! A że dzieci, jak niby przypuszczać trzeba, dmuchają w dudkę rodziców, więc nietylko młodzi, ale i starzy na tę i samą zasłużyli notę. Gwardja wyszła nakoniec najsilniej zniechęcona do Litwy.

Ale co najgorsza, co tysiące nieszczęść na ten kraj od lat tylu nieszczęśliwy sprowadziło, naczelnik jej, sam wielki książę Mikołaj, brat cesarski, a potem jego następca, niemiłą stamtąd wynieść musiał pamięć. Do powyższych bowiem przyczyn, które naturalnie oburzać w. księcia musiały, ale które przy zręczności usprawiedliwić przed nim daćby się mogły, przyłączyło się jeszcze i osobiste nieukontentowanie do całą gębą na ten raz winnej naszej młodzieży! Młodzież ta wzbraniała się oddawać mu hołd należny w tych powierzchownych znakach uszanowania, do jakiego i z urodzenia i z pozycji swojej niezaprzeczenie od całego narodu miał prawo! Ta niedarowana niedelikatność i gburostwo były tak wielkie, że brat cesarski, czy jadąc, czy idąc, zaledwie gdzie spotkał takiego młokosa, coby przed nim odkrył swą błazeńską głowę i przyzwoitym uczcił pokłonem. Wszelkie starania, prośby, namowy rozsądniejszych ludzi nic dokazać nie mogły! Szli, jak pnie, zawsze i ciągle bez żadnej poprawy! A jednak, biorąc rzeczy do gruntu, nie było to skutkiem nieżyczliwości, złośliwości, nienawiści! Owszem lubiono w. księcia Mikołaja, lubiono go za jego powagę, surowe życie, srogą sprawiedliwość, za ton, jaki ze swymi młodymi, a bojącymi się go, jak ognia, oficerami przyjmował. Lubiono go za to samo, że ci oficerowie niebardzo go lubili, których znowu młodzież

wcale nie lubiła. Wszyscy się domyślali łatwo, że on jeden tylko potrafił utrzymać tę liczną wojskową młodzież w przyzwoitych i możebnych karbach i że bez niego więcej byłoby jeszcze i gorszych awantur! Oprócz Pelskiego, który imię swoje niepotrzebnie wydał, bo tylu było oficerów izmajłowskiego pułku, że niktby z widzów, dosyć daleko od miejsca burdy stojących, nie wiedział najpewniej z kim się to stała przygoda, gdyby się sam nie odkrył; oprócz zajść z p. Ducloux była niejedna jeszcze podobna sprawka w ciągu paromiesięcznej nieobecności wielkiego księcia. Wiedziano o tem, że za swoim powrotem postępku oficerów, w afery takie wplątanych, nie pochwalił wcale. A że się w pojedynkach nie bili albo tak, jak na wojskowego, noszącego gotowy oręż u boku, w danym razie postąpić przystawało, nie postąpili, najwyraźniej zganił. Jeszcze się także sprawiedliwością swoją powszechnie w innem zdarzeniu podobał. Swawolniejsi żołnierze gwardji, po kobiecemu najczęściej albo i inaczej przebrani, włócząc się po mieście napadali w nocy na ulicach i obdzierali przechodniów. Kiedy pomimo całej surowości dyscypliny podobne fakty coraz się mnożyć zaczęły, wielu cywilnych przez ostrożność kije ze szpadami w nocy nosiło. Na nie pamiętam już kogo, ale podobno na Brońskiego napadł raz taki żołnierz na Bernardyńskim zaułku. Broński zastawił się kijem. Żołnierz za koniec kija uchwycił, wyrwał go, ale wyrwał tylko pochwę! Nie wiedząc i nie widząc po nocy, że u przeciwnika jego w ręku została szpada, rzuciwszy się gwałtownie na niego, sam się na tę szpadę natknął i na miejscu padł trupem! Szpady takie oddawna najsurowiej zabronione były. Z tem wszystkiem mimowolny zabójca sam o sobie doniósł policji a rzecz, jak była, opisał. Przy ówczesnem nieukontentowaniu i rozdrażnieniu spodziewano się okropnych skutków. Ale wielki książe, przekonawszy się, jak było istotnie, całą sprawę natychmiast umorzyć kazał.

Wielki książę Michał lubiony był także tak dla niepospolitej podówczas swojej piękności i świeżości, — bo w. książe Mikołaj, dopiero po wstąpieniu na tron utył, rozmężniał i stał się najpiękniejszym mężczyzną całego swojego kraju, — jako też dla wesołego humoru i popularności, o której tysiące na jego zaletę chodziło anegdot. Mieszkał on wtedy w Widzach i rzadko

kiedy do Wilna zjeżdżał. W Widzach, prawie na wsi, mniej się naturalnie podobnych jak w mieście zdarzało niesnasek. Mniej też także na Litwę był rozjątrzony, ale Wilna z opisu nienawidził także. Wówczas nieżonaty jeszcze, gdyby był nawet w siermiędze, książę ten i takby głowę każdej kobiecie zawrócił. Można sobie wyobrazić, co dokazywał w całej potędze wieku i świetności swojego stanu! Dopomagał mu w tych rozdobędach faworyt jego Michał Wawrzecki, marszałek święciański, wesoły i sławny birbant, ale powszechnie kochany obywatel. Żeby się już bardzo na partykularzu, jak u nas mówią, nie nudzić, tworzyli oni pomiędzy sobą nieraz swawolne zabawki. Chodzili w częste zakłady: kto kogo w miłosnych prześcignie zapasach, kto z nich dwóch więcej zje, kto więcej wypije, kto kogo prześpi? Wawrzecki, zahartowany, starszy daleko od księcia, a krępy, krzepki i barczysty osiłek, we wszystkich pierwszych zadaniach statecznie zwyciężał jeszcze młodziutkiego i świeżo, jak kwiatek, rozwiniętego pana. Książę zaś wielce był rad i z tego, że mu się zawsze przespać Wawrzeckiego udało.

Owóż, powiadam, obadwaj bracia lubiani, obadwaj wyjechali jednak z największem uprzedzeniem przeciwko Wilnu, mając je za stek, za cysternę wszelkich litewskich politycznych brudów! Po wstąpieniu nawet na tron cesarz Mikołaj nie tail się nigdy z wyraźnym wstrętem do tego miasta (*Relata refero*. Długo jednakże mówiono powszechnie, że po 1831 roku cesarz Mikołaj, znudzony ustawicznemi wybrykami młodzieży wileńskiej, które mu za spiski starym zwyczajem dla własnej wygody władze miejscowe uważać kazały, chciał, zmieniając podówczas nazwiska miast naszych na sposób rosyjski, przezwać Wilno: *Czortowgorod*, opierając się na usłużnie przez kogoś wymyślonym źródłosłowie, że *Wialnis* znaczy djabła w litewskim języku).

Cóż tedy było powodem tego niczem zresztą nieusprawiedliwionego i nie dającego się usprawiedliwić brutalstwa wileńskiej młodzieży? Oto grubjaństwo policji, policji, nielubianej i szykanowanej na całym świecie, policji, na teraz ufnej w znaczną ilość siły wojskowej, policji, która młodzieży, z pod jej dozoru wyjętej, mogła w tej chwili odemścić za swoje. To, coby z największą ochotą młodzi dobrowolnie spełniali, jak tylko im przez



Książę Platon Zubow.

kwartalnych i cyrkułowych w ten sposób polecane było: *Ej, ty, słyszisz, szlapu dołoj! skoriejże, goworiat tiebie, szlapu dołoj, a nie — to ja tiebie* — przez upór i opór, przez źle zrozumianą miłość własną przechodziło w niesmaczność, w brutalstwo względem tego, którego szanowali. Chcieli oni rykoszetem zemścić się na tych, którzy do nich takim mówili tonem, wiedząc, że będą mieli przez kogokolwiek dobrze natarte uszy za to, że z kapeluszem lub czapką do ładu przyjść nie umieją. Nie było nikogo, ani jednej żywej osoby, któraby to wszystko komu należało wytłumaczyć śmiała!

Do jakiego zaś stopnia policja wileńska dopuszczała się osobistej wtedy ku wszystkim bez wyjątku obrazy, ten jeden tylko przytoczę przykład, który podówczas wielce w. księcia Michała rozśmieszył, bo się stało pięć kroków od niego.

Na zmianę warty i paradę przybył obecny wówczas w Wilnie w. ks. Michał. Za nim stał sztab ogromny. Trudno się tam było we fraku docisnąć. Na ten czas przyjechał także do Wilna dymisjonowany kawalergardów pułkownik, Antoni Tyszkiewicz, kiedyś bożyszcze swojego pułku, człowiek z determinacji i rzadkiej odwagi całej armji nietylko jak lew, ale jak dziesięciu lwów znajomy. Dokazując cudów waleczności w całej ostatniej z Napoleonem wojnie, ozdobiony wszystkiemi, jakie mógł w tym stopniu otrzymać, orderami rosyjskiemi, jeszcze miał ich po kilka od każdego ze sprzymierzonych monarchów tak, że pierś jego, kiedy był w mundurze, bo inaczej krzyżów nie nosił, wyglądała, jakby ołtarzyk Najświętszej Panny, i mimowolnie uderzała w oczy. Wziąwszy zaraz po wojnie dymisję, bez fortuny mieszkał u bogacza Tyszkiewicza, starosty wielatyckiego, w Czarnej o kilka mil od Wilna na rezydencji. W pożyciu łagodny, jak jagnię, jak dziecię, jak każdy prawdziwie mężny i waleczny człowiek, w danym jednak razie przy całej łagodności swojej nie dałby sobie nigdy w kaszę podmuchać.

Owóż, chcąc widzieć raz jeszcze te pułki, z któremi kiedyś tyle dokazywał, a widzieć je, jak stary wojak, wypadało mu koniecznie włożyć na siebie mundur, bez czegoby się dostać do przyzwoitego miejsca nie mógł. Stanął więc w mundurze o kroków cztery czy pięć za wielkim księciem Michałem. W ciągu parady, wielki książę, odwróciwszy się przypadkiem i spoj-

rzawszy za siebie, uderzony został wielością krzyżów Tyszkiewicza, a nie znał go. Zaczął zatem pytać się, ktoby to był, i dodał, że to być musi bardzo dystyngowany oficer, kiedy tak jeszcze młody, a tyle ma orderów. Żołnierze defilujący przed księciem znali go jeszcze i poznali, ale naokoło księcia nie było nikogo już, coby go znał! Że to pytanie wielki książę z parę razy powtórzył, Szłykow, policmajster wileński, blisko stojący, Szłykow, perła policji, grzeczność policyjna upersonifikowana, posłyszawszy rozmowę księcia, chcąc się przysłużyć, a nie znając także Tyszkiewicza, podszedł do niego i trafił na moment, kiedy ten rozmawiał z kimsiś obok stojącym po polsku. Zaczął tedy i Szłykow od zapytania po polsku, kto on jest? Tyszkiewicz z największą grzecznością i uprzejmością na to odpowiedział. W tym właśnie momencie odwrócił się i wielki książę i na nich mówiących patrzał. Szłykow, żeby się lepiej jeszcze zasłużyć, zamiast skończyć na tem zapytanie dodał jeszcze: „Pozwolisz pan siebie zapytać, skąd pan w tak młodym jeszcze wieku możesz mieć tyle orderów?" Tyszkiewicz, w okamgnieniu zaczerwieniony jak wiśnia, tupnął nogą i silnym głosem zawołał: „A tobie co do tego!" Wielki książę parsknął ze śmiechu. Szłykow, jak niepyszny, ukrył się w tłumie i na tem się skończyło. Ale możnaż oficera, pułkownika, pytać i pytać publicznie o to, skąd on mógł tyle nabrać orderów?! A jednak to z takim człowiekiem pod okiem wielkiego księcia zrobił sam policmajster wileński, sam Szłykow! Łatwo się tedy domyślić, co reszta tej hałastry, co inni jego urzędnicy z mniejszem od niego wychowaniem z całem miastem robili!

Do tych powodów jeszcze świeżych, jeszcze ciepłych, bo w 1822 r. przypadłych, — do tych, mówię, powodów, i dających się i nie dających się każdemu oku narazie uchwycić, dodać należy rzeczywiste przekroczenia prawne i do tego momentu i w tym momencie, kiedy się już działania komisji śledczej wyżej opisanej zaczęły, co miało miejsce w 1823 r.

Jakiekolwiek być mogą i za i przeciw istniejącym w kraju przepisom i prawom *motiva*, nie należą one jednak do samowolnego i opozycyjnego żadnej klasy ludu rozbioru wobec władzy, która życiem kraju kieruje. Posłuszeństwo tym prawom koniecznie dla porządku, spokojności, szczęścia narodu, honoru

kraju, rozwijania się sztuk, nauk, przemysłu i bogactwa krajowego jest potrzebne. Uchylania się od tego, jakkolwiek skryte, zawsze jest przestępstwem, a czasem nawet występkiem i zbrodnią. Pod tym względem Towarzystwo jawne, z woli wyższej władzy czy sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie zamknięte, Towarzystwo Promienistych rozejść się było rzeczywiście natychmiast powinno, jak to dla oka tylko zrobiło. A gdy jeszcze przy skasowaniu wolnego mularstwa każdy z woli monarchy wydać był obowiązany rewers, czyli rozpiskę, że do tajnych towarzystw należeć już nie będzie; każdy zatem, co rewers takowy wydał, jeśli rząd oszukał, stał się przeciwko niemu przestępnym. Z tego punktu rzecz biorąc, Towarzystwo Filaretów, jakkolwiek z niewinnym, a nawet pochwalnym celem powstało, przez to samo, że egzystowało czas jakiś po danem zaręczeniu, czyniło członków swoich występnymi. A chociaż prawda, chociaż codzienne uczy nas doświadczenie równie jak i nauka ubiegłych czasów, że się podobne postanowienia *ad casum* zmieniają, chociaż prawda, że, naprzykład, srogo zabroniony w 1818 roku portret Napoleona, którego posiadanie sadzało do kozy, a czasem i surowsze sprowadzało kary, w 1823-im r. nietylko już ozdabiał u nas prawnie wszystkie salony, ale i po ulicach przez Włochów bezkarnie był noszony; chociaż dziś, naprzykład, pod najsroższą karą zabroniony towar za rok, co mówię, za dni kilka staje się obojętnym zupełnie dla władzy przedmiotem; chociaż to, co było dziś zbrodnią, jutro może być cnotą, — opłakując tę smutną interesów ludzkich ruchomość i zmienność, wyznać atoli potrzeba, że sąd o takich rzeczach nie do podwładnych, ale do władzy wyłącznie należy. Inaczej bowiem nic dobrego nie będzie, a zguba pewna!

Do tejże zatem kategorji przestępstw policzyć trzeba i druk bez cenzury programatu statystyki. Skoro władza znajduje, że drukowanie, chociażby pacierza, bez cenzury miejsca mieć nie może, ten grzeszy, kto choćby z najlepszym celem temu się rozkazowi władzy opiera. Obok tych dwóch zarzutów staje trzeci. To jest stateczne i uporne zapieranie się egzystencji towarzystwa tajnego, niby w dobrej wierze, dlatego, że zamknięcie jego, lubo w rok prawie po zniesieniu stowarzyszeń tajnych, ale najzupełniej nastąpiło. To zamknięcie ogromnie zmniejszało winę i skutkiem tego cała sprawa już nie do występków nawet,

ale zaledwie do prostych liczyłaby się przestępstw. Gdyby więc może wszyscy otwarcie wyznali prawdę, a taić jej w gruncie rzeczy nie było potrzeby, ludzie źli nie znaleźliby podobno na tej drodze dostatecznej dla widoków swych paszy. Uparłszy się koniecznie, znaleźliby zapewne cokolwiek innego, bo Wolter, jak zechciał, w naszem świętem „Ojcze nasz" dwadzieścia i cztery znalazł herezje. Możeby jednak nie w tak rozległy niewód całą złapano prowincję! Wszystko to prawda. Ale z drugiej strony przywiązało się tu punkt honoru, tak ważne w życiu młodego człowieka i w życiu każdego człowieka, co i później nie zestarzał się w duszy swojej! Nakoniec być i to bardzo może, że się niejeden z młodych języków dalej, niż należało, wysunął za zęby, że się niejeden z czemś niedorzecznem odezwał, wygadał; że niejeden sarknął i burknął. Wszak i na rodzoną matkę rozkapryszone dziecię niekiedy sarka! A chociaż chcąc można było pamiętać, że był to jeszcze czas tak niedawny od zaboru kraju; chociaż tak wiele jeszcze po Litwie kontuszów, żupanów i słuckich pasów chodziło; chociaż trudno było żądać, bezstronnie mówiąc, ażeby jeszcze podówczas tak nową panią, Rosję, jak ojca i matkę kochano; chociaż może wypadało mieć wzgląd i na to młode, gorące, pałające ogniem, syczące wulkaniczną lawą Polaków głowy, na te palne materjały, które przez tyle wieków szumnego samoistnienia narodu wsiąkły w każdy nerw, w każdą żyłę, w szpik kości i oddzielną stanowiły rasę, — zawsze jednak nadto otwartych i wolnych rozhoworów ani pochwalać nie można było, ani wypadało ze strony rządu je znosić. Przestępstwo zaś przeciw prawu wypadało słusznie ukarać.

Oczywista zatem, że największa część wypadków, tak silnie z jednej, tak boleśnie z drugiej strony bijących podówczas w oczy, sprowadzona do jednostajnego mianownika, była skutkiem wzajemnego, obustronnego a ciągłego niewyrozumienia się, *d'un malentendu*. To zaś niewyrozumienie się spowodowane było uprzedzeniem, wynikłem z małego, a raczej lichego, albo i zbrodniczego usposobienia ludzi, na miejscowe koronne wysadzonych urzędy. Że trzeba było trochę tylko łagodnego dozoru i cierpliwości, żeby się to piwo wyszumiało i stało przyjemne w użyciu. I że, jeżeli były niechęci, to na nie były zaraz pod ręką lekarstwa. A w ogólności cały stan rzeczy, z najgorszego nawet brany stano-

wiska, był stanem panny, co się wprawdzie już uścisnąć, a może i pocałować dała, a z którą się to nie przytrafi? ale której do ostatniego miłości dowodu bardzo jeszcze daleko, albo która nawet do niego nigdy nie przyjdzie. Od czegożby wreszcie były ojca i matki i rozum i oko? Między ludem, co z natury swojej szczęśliwej każdy rozkaz ślepo wypełnia, a ludem, co także z natury w posłuszeństwie rozumowania jeszcze w dodatku zwykle wymaga, jest nieszczęśliwy wprawdzie, ale wielki przedział! Te odcienie stanowią właśnie różnicę narodów i plemion. Chcieć przerobić ducha, co od wieków krew jaką ożywiał, zawsze nieszczęsne a często płonne staranie! Biorąc pod swą opiekę i ludzi, i ziemię, i powietrze, i klimat, i nieznane, a ludziom od Boga w tajemnicy udzielone wpływy, zaborcy, wojownicy względby na to mieć jakiś powinni. To o publicznych; — wróćmy teraz do naszych prywatnych drobniutkich dziejów.

ROZDZIAŁ VI.

Zasępiony przyniesioną przed godziną przez Pietraszkiewicza wiadomością, siedząc przed świeżo przyniesionemi z traktjeru wazkami, do których mnie chęć nie brała, czołem oparty o ręce na stół położone, w głębokie pogrążyłem się dumanie, kiedy mnie ktoś ztyłu objął i ściskać serdecznie zaczął. Zerwałem się. Był to Müller, który się cichaczem na palcach aż do mnie podkradł. Rad był bardzo mnie widzieć. Od kogoś spotkanego po mieście dowiedział się o mojem przybyciu, o mieszkaniu od Karola już wiedział. Wyrzekłszy się zatem nawet snu poobiedniego, do którego, jak do zegarka, był przywykł, wpadł tu, żeby prędzej uścisnąć młodego przyjaciela swojego. Na mojej twarzy nigdy się nic ukryć nie umiało i nie umie. Dusza moja natychmiast stosowny do okoliczności, doskonale pojętny na niej odbija stempel! To już takie niewygojone, nieszczęśliwe kalectwo! Taka to już nieszczęśliwa natura! Ach, dogodniejszą byłaby ona na innej planecie, czego może już rychło spróbuję!

Zbolałe pierwiej myśli, w mgnieniu oka z myślą i postanowieniem zerwania z Müllerem złączone, tak przewróciły wyraz twarzy mojej, że Müller, człowiek wielkiej głowy i wielkiego oka, chociaż nie miał powodu przyjąć tego do siebie, wręcz mi powiedział: „Wiem, co się stało jeszcze i tej nocy. Pewny jestem, że to cię zasmuca! Wiem o tem, że wszyscy odznaczający się z młodzieży należeli do tego związku, który teraz tak silnemu ulega prześladowaniu. To wszystko daje mnie domysły, może i płonne, o tobie. Jakżebyś tam nie był?! — Musisz więc także być pod klątwą! Ja na to rady dać nie mogę. Ale, jeśli masz co do ukrycia, jakie papiery, księgi, znaki, opieczętuj je zaraz, bo czas nagli, i oddaj to mnie z ufnością. Wrócę je nienaruszenie

w porze i czasie. Müller w życiu swojem nikogo nie zdradził, a wiesz dobrze, że Müllera w jego domu rewidować nie będą".

Jakże się na takie słowa nie miało roztopić serce? Ze łzami w oczach powiedziałem mu, jak była prawda, że, najwdzięczniejszy za ofiarowaną usługę, korzystać z niej nie mogę, bo nic podobnego nie mam. Ale dodałem, co było nieprawda, a co powinienem był jednak mówić, że co do przyczyn mojego smutku myli się wielce i że rozstanie się moje z macochą w ostatnim, jak się zdawało, stopniu trawiącej ją choroby wszystkie te na mnie wywołało zmarszczki. Jadłem tedy przy nim gorzki mój obiad, a pchałem w siebie umyślnie nie idące do gardziela kąski, żeby się zuchem pokazać. O młodości! młodości! — Od słowa do słowa przyszło powoli do dykteryjek, żartów, paplotań, konceptów i śmiechu, — a skończyło się na tem, żem, wstawszy od stołu, jak w dym natychmiast do Müllera pociągnął na kawę i stamtąd dopiero o północy wrócił! Takim to sposobem w łeb wzięły wszystkie moje postanowienia!

Nazajutrz rano, kiedym jeszcze około ósmej twardym snem spoczywał, otworzywszy oczy dla jakiegoś koło mnie szmeru, ujrzałem znowu siedzącego na krawędzi mojego łóżka przyjaciela mojego Müllera. Dalejże z sybarytyzmu mojego żartować, rzucać garściami i śmiech i dowcip. Ale jak tylko podano herbatę i lokaj mój do swoich rannych wrócił zatrudnień, Müller nagle twarz zmienił, ton zmienił i z wyraźną niespokojnością rzekł do mnie: „Wierzę, że to, coś mi wczoraj powiedział, jest prawdą; być także może, iż powinieneś i musisz tak mówić, jak mówisz. Ale do mnie, jako do przyjaciela, należy cię ostrzec, że ciebie szukają! Wczoraj cyrkułowy policjant rozpytywał się najsłodziej u mojego burgrabiego o kilka osób, czy nie mieszkają lub czy nie bywają w tym domu, a na tym regestrze ty jesteś. Szczęściem burgrabia mój, przed paru tygodniami dopiero przyjęty, nie znając ciebie, odpowiedział przecząco. Inaczej wymówiłby się nieborak najniewinniej, choć poczciwe, stare polskie żołnierzysko. Cyrkułowy zostawił mu sekretnie kartę tych nazwisk z poleceniem uwiadomienia go, jak tylko przybędą. Dzisiaj z rana burgrabia pokazał mi tę listę. Oto ona. Zabroniłem mu, żeby się w to wdawał, i przybiegłem do ciebie".

Na tej liście dla zdurzenia zapewne ludzi było tak: niebywały

nigdy na świecie, jak dziś pamiętam, rosyjski generał Krapow; Ksawery Ogiński; Śliżanowski; bogaty Żyd, kupiec jurborski Adelson, Makowieccy, Obrąpalski i ja.

Nie było już czego przed takim taić się człowiekiem. Stosownie do danych mnie od braci, dosyć elastycznych instrukcyj, wyznałem mu prawdę i całą moją odkryłem pozycję. Oświadczyłem, że w moment czekam aresztu, a tak ulżywszy serce, naśmieliśmy się znowu dowoli i znowu do niego najweselej poszli. Miałem już przynajmniej z kim zgryźć ten orzech, o tej wielkiej biedzie pomówić.

W młodych głowach oczekiwane niebezpieczeństwo, jeśli nawet zrazu może na moment zasmuci i zmięsza, potem jednak większej dodaje energji i silniej napina duchowe sprężyny. Życie jeszcze bardziej ruchliwe i przyspieszone się staje. Nie pamiętam, żebym kiedy taki był hoży i wesół, jak w owym czasie, kiedy miecz Damoklesa wisiał mi ciągle nad głową! Ale to było wtedy tylko, kiedy byłem pomiędzy ludźmi. Jak zostałem sam jeden, nic w głowę nie lazło, skoro człowiek sobie przypomniał i rozmyślać zaczął nad losem tylu biednych kolegów! Zan, Mickiewicz, Kowalewski, Kułakowski, Czeczot, Wrotnowski, Łukaszewski, Łoziński, Budrewicz i tyle innych pierwszorzędnych w rozmaitym rodzaju wiedzy, zdolności ciągle mi w oczach stali! Dla samej zatem dystrakcji bywałem i chodziłem wszędzie otwarcie i śmiało. Policjanci, jak węże, przesuwali się ustawicznie koło mnie po ulicach, o nic nie zaczepiając. Rzucił Pan Bóg na nich ślepotę! Krukowski ledwie się mnie łokciami w dzień nie trącał! Zdarzyło się czasem spotykać prowadzonych pod strażą więźniów. Zatrzymywałem się. Ale ci odwracali się ode mnie, albo patrzali na mnie zimnem i obojętnem okiem, jakby mnie nigdy nie znali; a zaraz potem deponowali w komisji, że trzeba mnie szukać w Berlinie, Wiedniu, Edynburgu, Paryżu, słowem po całym świecie. Opisywali mnie, że jestem włosów jak żuk czarnych, śniadej cery, ogromnych bakenbardów, krępy i niski. Takie listy gończe, wbrew przeciwne istotnej mojej postaci, rozchodziły się o mnie we właściwej drodze; a ja, pomiędzy szpiegowską hałastrą codzień się przeciskając jak piskorz, byłem najzupełniej spokojny. Pożyteczne dla mnie i to jeszcze było,

że mieszkanie moje na imię Morawskiego, ale Karola, zapisane w policji było. Tak to Bóg zrządza, kiedy mu się podoba!

Wizyty moje po całym wyższym wileńskim świecie były i przyjemne i częste. Mnóstwo podówczas dla ratunku krewnych zjechało się domów. Mój filaretyzm nie był już nigdzie sekretem. Ale taka była wtedy siła, spajająca w jeden duch wszystkie umysły, że nikt nigdy nie wymówił się o mnie przed podejrzaną osobą. Że nawet Żydzi majstrowie, pytani o mnie, wyrzekli się znajomości ze mną, jak my na chrzcie djabła, i wieczne „nie" mówili. Potem, śmiejąc się ze swojej chytrości, przybiegali do mnie z raportem. Pokażcież to dzisiaj! A wiele lat minęło od tego czasu? Wiele czasu potrzeba było, żeby się do miazgi spodlić, żeby się splugawić z korzeniem? Akurat dzisiaj ćwierć wieku! Żałujmyż przeszłości! Cóż to będzie po nowych dwudziestu i pięciu latach! Ale nie o tem rzecz idzie.

Skądkolwiekbym już wracał, kończyłem zawsze na domu Müllera. Tam dla mnie było to żywotne źródło, zaspakające najzupełniej serca mojego pragnienia. Rozmowy moje z panią Müller, które się w lecie ciągle na bączku religji, honoru i cnoty, niezależnej od wiary, z wielkiem mojem zgorszeniem w kółko kręciły, a mnie tem więcej dojadły, że mój antagonista w spódnicy nie ostro na tych przedmiotach był kuty — kiedy się już cały z jej strony dowodów wypróżnił zasiek, daleko interesowniejszą przybrały barwę. Opowiadania dawniejszych czasów, jej pięknych czasów; byt Wilna w 1805 roku szczególniej, kiedy to miasto z każdą iść mogło stolicą w zapasy; niepodobne do wiary Jarosława Potockiego zbytki; umizgi i najdziwniejsze awantury owej sławnej piękności Choiseulowej, siostry Jarosława; dowcip i zwycięstwa starego sześćdziesiątletniego galanta Seweryna Rzewuskiego; bale i uprzejmość Kutuzowa; rozłechtane miłostki kiedyś pięknych, a dziś mówiących tylko pacierze, niektórych dam naszych, — dam, co to teraz udanym patrjotyzmem pragnęły sobie dodać bezskutecznej do życia ostrogi, a zawsze jeszcze dla pamiątki w toalecie chowały, używany za Pawła, ruskiego oficera akselband; — wszystko to, solą, dowcipem i oryginalną dykcją zaprawione, dziwnie uprzyjemniało momenty. Działało to na mnie tem bardziej, że ze krwi widać już po ojcu do anegdot wielką skłonność miałem. Pani Müller panną jeszcze w bliskich

i codziennych prawie z Choiseulową była stosunkach. Sławna ze wdzięku i zręczności w tańcu, poszukiwana, chwytana była na wszystkie bale, a Wilno było podówczas ciągłym tylko piknikiem i balem! Tak było we dnie. Wieczorem, jakbyś w zegar uderzył, o pół do siódmej przychodził do nich regularnie teraz stary Zakrzewski. Mówiłem już, że to był piękny, silny, czerstwy i do wymysłu czysty i ochędożny starzec. Skąd się on wziął na Litwie, nie dowiedziałem się nigdy. Dawny radziwiłłowskiego domu przyjaciel i sługa, mogący mieć wtedy, kiedym go poznał i jak sam mówił, około siedmdziesięciu ośmiu lat życia, chociaż nie wyglądał na więcej jak na lat pięćdziesiąt, szef bataljonu ósmego radziwiłłowskiego pułku, zdaje się, z akcentu, że albo z Białostockiego albo z ziemi nurskiej pochodził. Ze wszystkiego widać było, że w życiu swojem najdziwniejsze awantury przebył. Ale nie o wszystkich mówił. Dykcja oryginalna, konceptów worami, przy których nigdy się sam nie zaśmiał, lubo rad bardzo śmiał się przy cudzych. Mowa osobliwsza, powolna, zacinająca się odpoczynkiem na każdej sylabie. Pamięć doskonała, flegma nieporównana. Znanie Nieświeża, Słucka i wszystkiego, co tam było, — na palcach. To wszystko robiło go nawet w Wilnie, gdzie od wieków na kamieniach rosną oryginały, jednym z najoryginalniejszych i najmilszych staruszków. Sam mi się raz wygadał, że był i aktorem. Przeżył był już podówczas swoich spółczesnych o tyle, że nikt jego nie wiedział początków. Faworyt księcia „Panie Kochanku" tak jak, był potem i od księcia Dominika kochany, niepospolitą pięknością i postaci i twarzy podobał się tam był kiedyś siostrze jakiejś czy synowicy księcia „Panie Kochanku", nie pamiętam dokładnie komu, — ale tak się podobał, że ta aż wykraść go z Nieświeża i wyjść za niego postanowiła. Kiedy już do zaprzężonej i gotowej karety założył nogę, przez podstawionych pachołków i straż księcia Karola schwytany, bez względu na rozpacz, wrzask i pisk siedzącej już w karecie księżniczki porwany i do lochu w zamku nieświeskim wtrącony został. Nim go jednak do ostatniej wepchnięto ciupy, przeszedł przez oświecony suteren, w którym na ziemi rozciągnięty leżał kobierzec. Dla większej uciechy i pompy stały po rogach cztery ogromne zapalone świece i czterech ogromnych z boćkowskiemi kańczukami hajduków. Ci mu na tym kobiercu z rozkazu

księcia mieli odliczyć równo sto bizunów. Ale go od tej fatygi znajomy oddawna i przychylny mu komendant Nieświeża pod sekretem uwolnił.

Przy protekcji różnych bawiących w Nieświeżu panów, a szczególniej Seweryna Rzewuskiego, uwolniony z więzienia znowu do łaski i miejsca swojego przy dworze księcia powrócił. I odtąd ta silna przyjaźń z hrabią Rzewuskim się wzięła, którą mieli dla siebie do grobu.

Nie wiem o wojskowych i osobistej odwagi tego przedziwnego starca zaletach. To mi tylko zięć jego, śmiejąc się, raz powiadał, że kiedy w 1812 roku wojska francuskie do Wilna wchodziły, Zakrzewski, patrjota i chęcią ich widzenia i pragnieniem prędkiego ujrzenia księcia Dominika, na czele przedniej straży idącego, wiedziony, na Pohulankę aż ku Zakretowi z przyjaciółmi wyszedł; Murat tymczasem, główny tej armji dowódca, dostrzegłszy kozaków zdaleka, kupami z Wilna uciekających, dać do nich ognia z armat większego kalibru rozkazał. Jakże niespodziewanie ledwie że nie nad uchem ludu z tych dział strzelono, naszemu starowinie zdarzył się taki sam, co Frydrykowi Wielkiemu pod Molwitz, przypadek...

Zakrzewski znał tysiące anegdot, jedną od drugiej śmieszniejszą, a szczególniej o cudzoziemcach, dawnych sługach radziwiłłowskiego domu. Anegdota o doktorze Naxarym jego jest. Powiem o niej w treści, bo się nie mogę podjąć opisu rzeczy, jak go robił Zakrzewski, bez zupełnego zepsucia całego jej komizmu. Na to trzebaby było pamiętać wszystkie wyrażenia, jakich on używał. Spaczył tę historyjkę najzupełniej pseudonim John of Dycalp, mając ją najmniej z piętnastej ręki, a co gorsza wierszem ją ułożył.

Naxary, jak widać Czech, których u nas zawsze Węgrzynami zwano, był chwaliburda i szarlatan. Opowiadał tedy o sobie, że był niby kiedyś wojskowym chirurgiem w Kamieńcu. Raz niby na Kamieniec niespodzianie napadli Turcy, wdarli się na wały i w pień część załogi wycięli, kiedy szczęśliwie przybyła odsiecz zepchnęła ich z murów i przepędziła z ogromną wzajemną stratą. Naxary ruszył w ogień ratować rannych, temu nogę, temu rękę opatrzył, ale śród tego rozruchu dostrzegł na wale świeżo odciętą i jeszcze drgającą głowę i niedaleko od niej takiż

tułów bez głowy. Chwycił tedy głowę naprędce, do tułowia przyłożył, ranę wokoło zaszył, mastykiem szwy zrównał, do szpitalu odnieść kazał chorego. Kiedy sam potem tam nadszedł, z zadziwieniem zobaczył, że chory, któremu właśnie głowę był przyszył, ustawicznie tą głową kręci. Rzekł więc groźnie do niego:

— „Nie kruti sem hlawoj, wojaku!!"

A chory mu na to:

— „Jakże ja ne mam hlawoj krutiti, pane Naxary, kiedy ne moju hlawu do mojeho tułuba prihaftirowano!..."

Dodawał potem zaraz Naxary:

— „Pomyliłem se sem; operacja sem se ne udala!!!"

Wiele też bardzo Zakrzewski miał do opowiadania o niejakim Popinim, Węgrzynie, komendancie Słucka...

Oto jedna jeszcze Zakrzewskiego anegdota, dziś już zapewne po latach tylu wielkiemi nogami chodząca po świecie. Dwóch bernardynów szło mereckim traktem za obedjencją. Zmęczeni afrykańskiemi piaskami tej okolicy, szczęśliwi, że się nakoniec dobrali do cienia śród palącego żarem południa, zasiedli na odpoczynek w bzrze. Już tam byli sobie z dobre pół godziny, kiedy posłyszeli skrzyp koła i zaraz potem między drzewami postrzegli białą kobyłę, zaprzężoną do prostego woza, idącą gościńcem noga za nogą po piasku. Żyd, pan tej uprzęży, znudzony widać monotonją takiej podróży, położywszy się w wozie na brzuchu, spał twardym snem braci śpiących. Szkapa uszła jeszcze kilka kroków, ale, zmęczona i nie popędzana do ruchu, wolała się także zatrzymać w cieniu wysokich sosen. Jeden z bernardynów był, jak to mówią, stary frant i bywalec. Natychmiast przyszedł mu koncept. Zwierzył się więc z myśli swojej młodemu socjuszowi, plan swój wyłożył, zgodę wytargował i obadwa na umówioną ruszyli wyprawę.

Podeszli cichaczem do wozu, wyprzęgli kobyłę; młody bernardyn zaprzągł na jej miejsce starszego bernardyna i sam cwałem konno dalej na niej popędził.

Żyd naostatek, domyśliwszy się instynktem podróżnika, że szkapa jego stanęła, ocknął się przez połowę na moment i nukać na nią zaczął. Bernardyn ani ruszył z miejsca. Zniecierpliwiony

Żyd przebudza się doreszty, zrywa się, przeciera oczy, sam sobie wierzyć nie może. O cudo! zamiast swojej białej kobyły widzi zaprzężonego kasztanowatego bernardyna! „Co to jest?! Co to się znaczy?!" i pyta, i woła gwałtu. Bernardyn z największą flegmą, pokorą i skruchą wyznaje Żydowi, że za ciężkie grzechy Bóg go był straszliwie ukarał i na lat kilka w tę właśnie kobyłę przemienił. Że nakoniec tutaj na okropnych mereckich piaskach termin jego pokuty się skończył i on znowu do postaci człowieka i bernardyna powrócił.

Żyd dobroduszny dąsał się, rzucał, płakał, rozpaczał, tarzał się po ziemi z wielkiego żalu, ale nie było co robić! Jużciż bernardynem jechać nie mógł! Ofiarując tedy klęską swoją Bogu, poszedł piechotą do najbliższej wioski. Bernardyn z najświętobliwszą miną poszedł także sobie swoją drogą, złączył się podług umowy z kolegą, który w Łosośnej tę kobyłę szczęśliwie sprzedał, i obaj pobożnie podróż kończyli.

W kilka czasów potem tenże sam Żydek na jarmarku w Grodnie widzi ową swoją kobyłkę wystawioną na sprzedaż. Radzono między innemi i jemu, żeby ją kupił. Ale Żyd nie głupi! Nie zgodził się na to. Tylko w ciągłem przekonaniu i najzupełniejszej wierze, że znowu bernardyn za grzechy swoje w tę kobyłę przemieniony został, upatrzywszy sposobną chwilę, zbliżył się do niej i z uszanowaniem wziąwszy za grzywę rzekł jej na ucho: „Jegomość, jegomość, a jegomość znowu tak prędko nagrzeszył!"

W życiu mojem nie spotkałem podobnej flegmy, jak u Zakrzewskiego, tak jakem nigdy podobnej nie widział popędliwości i pasji, jak u starego ośmdziesiątletniego barona Ralla, sławnego petersburskiego bankiera, któregom nieprędko potem poznał, ale pilnie także i z uwagą uczył się. Musiała u tych dwóch ludzi krew inaczej chodzić! Zasadą Zakrzewskiego, której co do joty w praktyce pilnował i co często, widząc mnie zakłopotanego, zwykłym sobie głosem powtarzał, było to: „Pan-nie Stan-nisław-wie, mó-ój cio-osko, trzeba za-awsze brać wiel-kiee rze-czy zaa maa-łe, aa maa-łe zaa żad-ne".

Przeciwności, bieda, nędza, oburzające niesprawiedliwości, osobiste urazy ani go na włos nigdy z dobrego humoru, z zimnej krwi nie wyprowadziły. Bezinteresowny i tyle o tysiąc dukatów, co o grosz jeden, dbający, o nic nigdy Radziwiłłów nie prosił

i około siebie wszystkim bez najmniejszej zazdrości i brania od nich przykładu wzbogacać się dawał.

W 1812 roku, kiedy książę Dominik już w rejteradzie Litwę opuszczał, a sekretarze jego nie mogli się nastarczyć pisać mniemanym przyjaciołom darownych dokumentów, zastaw i obligów, — stał jeden tylko przy piecu bezczynnie, niemy i ze łzami na oczach Zakrzewski. Książę, człowiek dobry, czuły i pełen delikatności, wiedząc, że on nie ma fortuny, a jednak nie lezie do księcia kieszeni, zbliżył się sam do niego i zapytał: „Cóż ty mnie, mój Zakrzewski, o nic nie prosisz?" Stary rzewnemi zalał się łzami za całą odpowiedź. On wtedy myślał o tem, że sam książę, pan z panów, idzie do biedy i nędzy i nie miał czasu o sobie myśleć!... Książę Dominik rozczulony, ale już odarty przez innych, odszedł i kazał dla niego natychmiast napisać dokument na dożywotne, przystojne mieszkanie w Kardynalji i dwie, zda mi się, kopy grubego drzewa na opał corocznie. Resztę do swojego, da Bóg, zostawiając powrotu. Bóg tego powrotu nie dał! A tymczasem tę lichą darowiznę po śmierci księcia zaczął mu z rąk wyrywać prokurator Komisji Radziwiłłowskiej, Zaleski. Ale nie ważąc się odbierać mu pięknego w Kardynalji mieszkania, które był za życia księcia niezaprzeczenie objął, zaczął mu odmawiać drzewa pod pretekstem, że dokument skrobany, a zatem fałszywy. Była to, naturalnie, dla tak nieinteresowanego człowieka najdotkliwsza w honorze obraza, a w dogodzeniu potrzebom życia piekielna dla niedostatnego krzywda. Wszczął się o to proces. W samym jego warze Zakrzewski, najdrażliwiej za sam żywiec zadarty, nigdy humoru, chłodu, pogodnego czoła i flegmy swojej nie stracił. Dla zrównoważenia jednak podziwu, jaki podobny wywołuje charakter, dodać i to trzeba, że również na los innych był obojętny i, jak na swój własny, zdawał się być nieczuły. Ale jeśli był kiedykolwiek prawdziwy stoik na świecie, to on jeden był nim tylko od samego stworzenia świata.

Zimna krew jego i osobliwszy mówienia sposób nieraz nawet zmieszał i zbił z kopyta najprostszych ludzi. Raz byłem u niego, kiedy coś był staruszek trochę cierpiący i trzymał się szlafroka. Służąca wbiegła i powiedziała mu, że przyszedł policyjny wachmistrz z jakimś interesem. Wyszliśmy do niego do przedpokoju

obadwa. Wachmistrz skłoniwszy się rzekł: „*Siegodnia prykazano byt' iluminacji*". Zakrzewski, mając z ośm przynajmniej okien od ulicy, niebardzo rad był z tego, bo na każdem oknie po dwie świece palić trzeba było. Kładąc mu zatem rękę pod płaszcz żołnierski, jakby coś chciał stamtąd wydobyć, z największą flegmą zapytał go po swojemu: „*Aa świeczki pry-nios?*" to jest, czy przyniósł na to świece? Żołnierz się zmieszał, zawstydził, zaczerwieniał i nie wiedząc co na to pytanie odpowiedzieć, wybąknąwszy nakoniec: „*Nikak niet*", pędem za drzwi i ze schodów zemknął.

Delikatność posuwał do najwyższego stopnia nawet z córką i zięciem. Znajdując się często, a najbardziej z powodu niesłusznie wytoczonego mu procesu, w trudnawych okolicznościach pieniężnych, a i bez tego to się w mieście często wydarza, nigdy nie zaciągał długów i własnem się mierzył. Kiedy zaś już mu było bardzo ciasno, a przyszedł o zwyczajnej godzinie wieczorem do córki, szczególniej w jesieni lub w zimie, i kiedy kto z otaczających nas, jak się zwykle mówi, zrobił mu uwagę, że pan szef nie szanuje się na taką słotę, odpowiadał, śmiejąc się dobrodusznie: „Słota to nie dla nas wojskowych! nie to się widziało! ale ot bieda, włożyłem, jak widać, buty trochę dziurawe i wody mi się w stare nogi nalało". Kiedy się dzieci dorozumiały, to dobrze. Jak się nie dorozumiały i nie chciały domyśleć, co to znaczyć ma, nie prosząc nigdy córki Elżbiety, z którą, jak się ze wszystkiego zdawało, nie tak bardzo sympatyzował, ale raczej zięcia; mówił w parę dni potem do niego: „Poo-życz mi, Staa-siu, jakie taam ze trzy ruu-ble; boo wii-dzisz buu-tów nie-emam". Czasem się i tak nie złożyło, zwyczajnie jak przy domowej gospodarce, dać natychmiast. To przy odejściu, kiedy już zwykle zięcia nie było, bo ten długo w noc nie siedział, rzadko bardzo kiedy się odezwał. „Elżuniu, przyy-pomnij taa-m męę-żoo-wi, oo tem coo muu móówiłem". I na tem już był koniec.

Miał dwóch synów i dwie córki. Syna starszego, podobniuteńkiego do niego jak dwie krople wody, pasjami, do fiksacji kochał. Ale czy dlatego, że go sam nieroztropnie prowadził i wbił w niego jakiś fałszywy punkt honoru, — jak to utrzymywała pani Elżbieta Müller, czy że już on to miał z natury, takim był gorączką a takim się zrobił zawadjaką i burdą, że

nikomu nie dał spokoju. Wszystkim jak osa łezący w oczy, za najbłahszy powód wyzywający cały świat na pojedynek, mimo całej swojej piękności całemu światu stał się nieznośnym. Służąc w wojsku polskiem, kilkadziesiąt odbył pojedynków i sam, nieraniony nigdy, wielu przeciwników odrazu zabił. A ojciec mu zawsze pisał: „Dobrze synku, umiej się ująć za swój honor". Uchodziło mu to jakoś wszystko przy łasce wielkiego księcia, który w nim wiedział szaloną i na wszystkie ryzyka żołnierskie gotową odważyć się pałkę. Ale na koniec trafił na swego i w równie niesłusznym, jak zwykle bywało, pojedynku na miejscu poległ. Nie znałem go i nie widziałem go nigdy. Jeżem stawiąc się wszystkim znajomym i nieznajomym, kiedy był w domu, w ojcu swoim serdecznie rozkochany, ciągle u nóg jego leżał, ściskał, całował, łasił się i przed nim bywał jak jagnię. Jeden tylko stary mógł go uchodzić i wstrzymać, bo na rozkaz jego poszedłby w ogień. Zaprawdę dziwna to była natura! Ale to dziwniejsza dla mnie, że, będąc fizycznie odlanym portretem ojca swojego, taki był gorączka, kiedy ojciec jego był prototypem zimnej krwi i flegmy.

Drugi syn, łagodny, dobry, miły, cichy, istna panienka, przyjąwszy służbę publiczną w wydziale pocztowym i osiadłszy w Łucku, tam się we wdowie jakiejś, Rosjance, zakochał i z nią ożenił. Przez nią, delikatny w obejściu się i wielce drażliwy, do grobu nakoniec wepchnięty został. Tego znałem i lubiłem.

O dwóch córkach szefa Zakrzewskiego, chociaż już była, długa jeszcze mowa będzie; dłuższa może niżby było potrzeba i niżbym sobie życzył.

O żonie jego, staruszce, do tego, com dawniej powiedział, nic dodać nie mam, chyba to, że to był istny anioł w ludzkiem ciele podówczas. Miło było zajść do niej i widzieć ten rzadki porządek, tę skromną elegancję i czystość w każdym zakątku; tę uprzejmość i dobroć, tę nieudaną z poczciwej duszy rodzącą się wesołość, że się człowiek tam znajdował choć między starymi, jak w raju! Kto i skąd była, nigdym się dowiedzieć nie mógł, a może, jak wtedy było moim zwyczajem, i nie chciał. Z tego, com czasem w rozmowie ich familijnej zachwycił, domyśliłem się tylko, że zamłodu czy ona w Sewerynie Rzewuskim, czy



*Tekla z Walentynowiczów, 1° v. Platonowa księżna Zubowowa,
2° v. Andrzejowa hr. Szuwałowowa.*

Seweryn w niej, czy oboje w sobie śmiertelnie, ale platonicznie się kochali.

Wieczorem zatem znajdowałem albo ich oboje, albo tylko szefa, grających u dzieci w bostona, który już z mody wychodzić zaczynał. Pani Müller była orłem w tej kartowej walce. Wygrywała zawsze. Od samego rozdania kart wiedziała natychmiast, jaka jest u kogo. Mizery w lot brała. Był to prawdziwy talent! Dziwił mnie zawsze i dotąd dziwi ten rzadki spryt kombinacyjny i tak biegłe objęcie kartowego kalejdoskopu. Jak się już kartami znudzili, żem nigdy takiej nie znał rozrywki, grałem ja ze starym szefem w szachy, do których wielce był ochoczy, pojęcia o nich nie mając. Staruszek tedy, wziąwszy czasem w okamgnieniu raz po raz, zawsze prawie tym samym chodem, ze dwadzieścia cztery maty, dziwiąc się wiecznie, że przegrywa, i mówiąc po każdej przegranej dla pociechy swojej: „No, to nic, pierwsze kocięta za płot!" równo o dziewiątej na nocleg do domu wracał, gdzie go poczciwa, a już senna żona zmęczonego niby dziennemi interesami radośnie witała. Co on jej powiedział, to było wyrocznią. „Jegomość tak mówi"! — i skończyło się. Ja myślę, że gdyby go nawet *in flagranti delictu* na własne oczy złapała, a on zaprzeczył, i temuby najszczerzej uwierzyła! Dlatego też, stosując się do teorji męża, razem z nim uporczywie przekonana była, że ziemia, jak ich tabakierki, płaska być musi. Stary ani słuchać, ani się żadną miarą, żadnym żywym sposobem o antypodach nigdy nikomu przekonać nie dał. Znałże się dobrze z Poczobutem, Narwojszem, Śniadeckim, Wyrwiczem, Szakinem, Sławińskim, ale to nic nie pomogło. I Kopernik i Newton przed nim na wiatrby dmuchali! Mogłeś mu dowodzić i mówić o tem, co chciałeś. Słuchał cierpliwie i nakoniec za całą odpowiedź, ponieważ na środku sali kulisty wisiał żyrandol, po tym żyrandolu do góry nogami chodzić nam kazał. A jak się ta sztuka nam uda, zaręczał słowem uczciwego szlachcica, że teorji swojej razem z żoną natychmiast odstąpi. Trzymał się swego i dysputował serjo. Tymczasem te naiwne dysputy niemało uprzyjemniały nasze stosunki.

Pani Müller coraz, jeśli być mogło, więcej uprzejma i miła, do opisu anegdot, które już pierwiej wymieniłem, a które bardzo liczne i interesujące były, zaczęła teraz w moment wspominać

o swojej kochanej, najukochańszej Masience, to jest Marji, rodzonej, ale bez żadnego porównania młodszej od siebie siostrze. Ta, ledwie że nie wychodząc z dzieciństwa, zmuszona została wyjść za starszego brata mojego Müllera, za Ksawerego, wyższego oficera jazdy, starego żołnierza, który się był w swojej szwagierce tak śmiertelnie zakochał, że ledwie nie gwałtem ją pojął. Bo starzy Zakrzewscy, kochając tę córkę jak źrenicę oka, uparli się jednak z jakiegoś dopuszczenia Bożego oboje, żeby tak było, a potem żałowali jej ciągle i wzdychali. Słyszałem był już o niej od lat dwóch, czy trzech od Nowomiejskiego jako o niepospolitej a platonicznie jemu oddanej kobiecie. Słyszałem od Karola, o niej z zachwyceniem mówiącego, o jej cnocie, dobroci, dowcipie, talentach, ale Karol taką ekstazę miał zresztą dla całego domu Müllerów, krom Ksawerego. Wiedziałem, że, nie kochając się w niej bynajmniej, wysyłany z polecenia rządu na różne komisje, Karol zbaczał umyślnie o kilkanaście mil z drogi do głównej kwatery Ksawerego pułku, żeby się tylko z nią mógł zobaczyć i kilka słów pomówić. Wiedziałem, że Bóg ją obdarzył cudownym anielskim głosem, i że do tego głosu łączyła w muzyce porywające za duszę uczucie. Tu znowu ze słowa na słowo dowiedziałem się jeszcze, że mąż stary, to jest daleko starszy od niej, kapryśny, gderacz, pasjonat, a co najgorsza, zazdrosny i wstydzący się to uczucie pokazać, sam o tem może nie wiedząc, dręczy tę nieszczęśliwą kobietę, na ustawiczne wojskowych męża kolegów narażoną wizyty. Wizyty, do których, jak wszyscy mówili, jej wdzięki, uprzejmość, talenty, zupełny brak kokieterji, nieporównany dowcip, ciągle przy największych zmartwieniach złoty humor, maniera mimo jej woli nietylko dla mężczyzn, ale i dla bardzo wiele kobiet stawały się podnietą. Lgnęło więc wszystko do niej, jak muchy do miodu. Tymczasem w domu nie przyjąć gości? źle! Przyjąć ich? wymówki i kwasy męża podobnież! Ani sposobu do rady, ani rady do sposobu! Nie było środka! Zryzykowała się tedy biedna kobiecina puścić wszystko na wolę Pana Boga i, nie uważając już na nic, robić jak wypadło. Sama się zaś pieczy o trojgu dzieciach oddała, bo czwarte, Jaś, o którym mówiłem i który co do sprytu, zdawało się, że nie poszedł po matce, był na wychowaniu w Wilnie u ciotki.

Miałem tedy głowę nabitą wyobrażeniem o jej talentach,

wesołości i rzadkim dowcipie, miałem serce, dotknięte wyobrażeniem moralnych cierpień tej rzadkiej kobiety, miałem duszę, zadartą tem wyobrażeniem, że przy jej anielskiej dobroci, jej wierności małżeńskiej pomimo ustawicznych pokus przy cnocie, z jaką w tak młodym wieku wszystkie swoje znosiła bóle, tak jednakże mało za takie skarby znajdowała w życiu nagrody! Wiedziałem ja cokolwiek, co to są nie dające się niczem złagodzić dziwactwa, kaprysy i fochy! *Non ignavus mali*, nie znając jej, nie widziawszy jej nigdy, już byłem jej przyjacielem, już dzieliłem z nią sympatycznie tak dotkliwe niesmaki. Najniebezpieczniejszą rzeczą dla uczuć naszego serca jest wcześnie powzięte o wszystkich zaletach jakiego człowieka wyobrażenie. Samo nawet poznanie potem w odnośnym stosunku tej osoby raz odbitego obrazu nie niszczy w nas natychmiast.

Drugim konikiem, na którym pani Müller na miękkiem, angielskiem siodełku z wielką ochotą, *con amore*, jeździła, jak tylko nie było męża, był niejaki Petrulin, pułkownik i szef pułku huzarów, w którym szwagier jej służył. Portrety jego, drobniutkie wprawdzie, po ścianach wisiały, na komodach i w buduarze na widoku stały. Można już jednak było mówić o nim śmiało każdej kobiecie, bo człowiek ten słabego, a przynajmniej wielce delikatnego zdrowia i również delikatnych, szlachetnych i panieńskich uczuć, kochany od całego pułku, od roku już nie żył. Zabity w pojedynku przez własnego oficera, swawolnego hulakę Merliniego, któremu się były nie podobały ciągle za złą konduitę naznaczane przez Petrulina areszty. Ze wszystkiego i z mnóstwa małych pamiątek i prezentów, z imieniem Petrulina złączonych, łatwo się było domyśleć, od czego się zresztą tylko z początku w połowie z uśmiechem dla formy broniono, że Petrulin śmiertelnie się a nieszczęśliwie w pani Elżbiecie Müller zakochał, kiedy to w odwiedziny do siostry swojej na czas jakiś jeździła. Że na uprzyjemnienie jej tam wszystkich momentów żadnego nie żałował poświęcenia i kosztu. Że bal po balu, piknik po pikniku, szlichtada po szlichtadzie ciągłym po sobie następowały szeregiem. Ale że mimo to oprócz wdzięcznej i statecznej przyjaźni biedne pułkowniczysko ani jednego kroku na placu boju nie zyskał. Że wszystkie te daremne, ale z wdzięcznością przez osobę kochaną wspominane trudy śmierć nakoniec krwawym swoim pokryła

całunem! Dziwiłem się nieco, prawdę mówiąc, w duszy gustowi tego zacnego Petrulina! Ile że on na portretach cienki jak bicz wyglądał, a przedmiot jego miłości potężnie się na beczułkę ochapiał! Ale kto dysputuje o tem, co się komu podoba?! Kto zaręczy, że może nawet sam kontrast taki do tej namiętności naprzód dał powód?

W dziewięć blisko lat potem dowiedziałem się przypadkiem od tegoż samego właśnie Merliniego, który, wysłużywszy się z prostego żołnierza, jak był za zabicie Petrulina sądzony, znajdując się w Moskwie, jako Polak szukał protekcji mojej do hrabiego Zakrewskiego, innych zupełnie rzeczy. Okazało się bowiem, że pani Elżbieta Müller była w piramidalnym, a bardzo upokarzającym błędzie, i że Petrulinowi za parawan tylko służyła! Petrulin, prawda, szczerze, serdecznie, zapamiętale, wściekle kochał się, ale w kim? W jej siostrze, w Ksawerowej! Żadnej wzajemności nie mając i poznawszy nawet, że jej mieć nigdy nie może, dlatego, żeby ją mógł częściej widzieć i, zwyczajnie jak rozkochany, dawać jej ciągłe dowody stałego, choć nieszczęśliwego przywiązania i należnego jej cnocie szacunku, Petrulin chwytał się wszelkich możliwych środków. Dowiedziawszy się, że przyjechała siostra Ksawerowej z Wilna, skorzystał z obecności tej siostry, ale jak człowiek delikatny i uczciwy. Nie udając przed tą siostrą fałszywej miłości, wziął tylko jej obecność za pretekst i, fetując niby ją a razem dogadzając swoim uczuciom, że bezpiecznie pod tą zasłoną patrzeć może na to, na co się z taką rozkoszą bez końca patrzy, kiedy się kocha, zasłaniał tym sposobem przedmiot swojej miłości od możebnych a niesłusznych podejrzeń starego jej męża. Namiętność Petrulina, jak mi mówił Merlini, tak była silna, iż ochotnie szedł na śmierć w tym pojedynku, byleby tylko życie, które mu w tym stanie było obmierzło, jak najprędzej zakończyć!

„A gadajże mi to waćpan", rzekłem, do Merliniego: „to, to bardzo dobrze rozumiem!"

Otóż jakim sposobem dowiedziałem się, że ta mniemana szalona namiętność do pani Elżbiety Müller była daremnym wymysłem jej imaginacji, a niedarowaną i karygodną w jej wieku iluzją! Dopiero wtedy dawno już zgasłemu Petrulinowi

palmę dobrego gustu w duszy wróciłem. Dziwna rzecz, że się rodzą tak próżni i głupi przy całym zresztą rozumie ludzie! Mówiłem o Nowomiejskim tożsamo. Pani Elżbieta Müller była znowu w swojej płci wybitnym tego przykładem. Nie znać się na sobie, to już nasza dola. Do *nosce te ipsum* żaden mędrzec nie doszedł! Ależ łudzić się dobrowolnie, być rzezimieszkiem własnych swoich przekonań, stawić wyrojoną w jakiemś marzeniu iluzję naprzeciw jasnej jak dzień rzeczywistości jest dowodem tak spaczonej głowy, tak spaczonego serca, że tylko przypuszczenie wyłącznej i indywidualnej pod tym względem monomanji podobne postępowanie jakkolwiek uprawiedliwić może! Ta monomanja chronicznie i bez przerwy trwała w pani Müller przez całe życie. A co gorsza, to to, że takie wybryki imaginacji swojej rozciągnęła później i do dorosłej swej córki! Co przypadkiem idąc ulicą spojrzał na nią jaki piękny mężczyzna, to już się pewno w jej córce kochał, a ona wyrósłszy, dodać trzeba, była bardzo nieładna! Co w salonie do tej córki przemówił jakiś chłopczyk słów parę, już się ten chłopczyk za śmiertelnie dotkniętego i konającego z miłości uważał! Dopiero oświadczenie się jego innej zupełnie osobie i niespodziewany z nią ślub otwierał i to na ten raz tylko oczy. Ale na tej drodze prostując myśli, psuł serce na innej! Bo się trzeba było sadzić przed ludźmi na kłamstwo, żeby usprawiedliwić tak dziwny postępek mniemanego adoratora. Najczęściej taki jegomość żenił się na złość, z rozpaczy, że nie był od jej córki kochany! A nowe urojenie szły szczęśliwie dalej i dalej. Ale będzie czas mówić jeszcze o tem.

Prawdziwym jednak bojowym pani Müller koniem były nader częste roztrząsania o powinnościach i takcie dobrej i rozsądnej żony. O wyrozumiałości, uległości, posłuszeństwie i stosowaniu się we wszystkiem do woli męża. Że tym tylko sposobem pokój domowy, zobopólny szacunek, trwałość przyjaźni, kiedy już eter miłości zwietrzeje, utrzymać jedynie można. Stawiła w tem siebie właśnie — bodaj tak pies płakał! — za przykład, że, mając męża uporczywego, najburzliwszego i zuchwałego charakteru, nigdy pożycie ich żadnym zaćmione nie było obłoczkiem. Tej jednak burzliwości, jeśli odrzucimy zaburmaszystą minę jego, szukając i ze świecą przez cały czas, com tam bywał,

nie zdarzyło mi się nigdy dopatrzyć. Owszem, widziałem ciągłe jego uprzedzenia dla żony i do wykwintności posuniętą delikatność, którą za należny dank przyjmowano. Zdawało się jednak zawsze, że ten burzliwy i zazdrosny mąż nie był wielce towarzystwa żony spragniony, że się z niego wymykał z ochotą, do czego mu podówczas za pretekst układanie francusko-polskiego dykcjonarza wybornie służyło. Tak się zdawało, to prawda. Ale zazdrość, jak Proteusz, różne przybiera formy i pod rozliczną jawi się postacią! Juźciż żona lepiej znać musi męża od obcych. Do tych proteicznych form należało i to, że namiętnie przywiązany do swojej jedynej córeczki, uściskawszy ją, napieściwszy się z nią, ile tylko mógł, żałując codzień, że nie może jej tak silnie, jakby mu się chciało do serca swojego przycisnąć: „bo jej kosteczki pewnoby połamał" i nie odebrawszy od tego dziecka żadnego wzajemnego karesu, bo ciągle grą swoich paluszków tylko zajęte było, zmykał czem prędzej na swoją połowę. Co tam w jego sercu było, wie tylko Bóg jeden! Możeby był i kontent, gdyby te rączęta jego grubą szyję wzajemnie objęły i silnie ścisnęły, nie lękając się złamania tych kości mamuta! A może najzupełniej tylko na swoich przestawał karesach, nie pragnąc zwrotu ich od tego dziecka! Ja, patrząc zboku, wiem to, że nieraz miałem ochotę udusić to małe plugastwo, ten wcielony już w tak drobne ciałko egoizm! Ale to może pochodziło stąd, żem nigdy pieszczot rodzicielskich nie znał i, tylko wyobrażeniem do nich wzdychając, tak drogo je ceniłem! Nakoniec widziałem jasno, że nawet humor Müllera z nami i humor przy jego żonie były to zawsze dwa humory.

Uważałem, że pani Müller miała sobie za punkt honoru ojca swego naśladować flegmę i że tę, jako w kobiecie, za łagodność i dobroć serca sama w sobie mieć chciała. Tak, jak dawane zawsze w sobotę jałmużny za miłosierdzie, które się podług niej i bez wiary religijnej obchodzić łatwo może, liczyła. Trafiałem wprawdzie czasem na twarz, ogniem porywczości rozpłomienioną, ale, lubo się tego zawsze inna pod ręką znajdowała przyczyna, — co u kobiet tak łatwo, — nie mogłem i sam tego nie czuć, że w zarządzie tak wielkim, jak ich, domem ustawiczne do nieukontentowania i kwasów zdarzać się muszą powody. Wszystko jednak razem zebrane przywiązywało mnie

codzień więcej do Müllera, a żonę jego kazało mi tylko uważać za niezbędną i nierozłączną ze znajomością męża konieczność. Zresztą mając ją odrazu, zawsze za mężczyznę w spódnicy, uwierzyłem, że co do przyjaźni tę i pojmować i stale dotrwać w niej może.

ROZDZIAŁ VII.

Zbliżała się jesień, która bez tego mnóstwo ludzi do miasta sprowadza. Cóż dopiero w tej epoce, gdzie nie było familji, któraby o tę nieszczęśliwą komisję śledczą zaczepiona nie była. Całe miasto, jak ul, pełne było. Ogromny dom Müllerów pełny, jak plaster miodu. W tym domu oprócz innych mnie znajomych mieszkała także pani baronowa von der Osten Sacken, hrabianka Puttkamerówna z domu, i macocha mojej macochy, Chrapowicka, instygatorowa litewska, z domu Radziwiłłówna.

Baronowa Sacken miała młodszą córkę cudownej, anielskiej piękności i urody — Weronikę. Odebrawszy ją z pensji w 1820 roku, mieszkała z nią za Ostrą Bramą w domu Mininowej. Drugą połowę domu tego zajmowali moi rodzice, na tę zimę do Wilna przybyli. Rodzice tyle mieli znajomych, że się z sąsiadami swoimi w tym domu poznawać nie mieli potrzeby, tem więcej, że macocha ciągle była chora.

Na mocy organicznego statutu, przepisanego mnie przez ojca mojego, powinienem był pod odpowiedzialnością „*Standrechtu*", dwa razy na dzień stawić się u niego *sans phrase*, deszcz albo pogoda, śnieg czy mróz trzaskący, „*byt' po siemu*"; i koniec! Od Ostrej-Bramy do domu Mininów był i dotąd jest jeszcze dosyć duży placyk. Po tym placyku zamyślony, ze spuszczoną głową, pewny oberwania jakiejkolwiek wymówki, nie mając ochoty ni zwyczaju patrzeć po oknach, defilowałem sobie przez cały ciąg pobytu moich rodziców po dwa razy na dzień. Czasem mi jednak i wesoła myśl przyszła do głowy: a nuż, może ojciec mój wyszedł sam do miasta?! Wtedyby zupełnie dekoracja się zmieniła i śliczna, pulchniutka i bielutka panna Żurakowska,

garderobna, matki mojej, dalekoby mnie milej i grzeczniej od ojca przyjęła.

Matka powiedziała mi raz czy dwa, że u niej byli z wizytą sąsiedzi jej, państwo Sackenowie. Jak to mnie nie interesowało, tak drugim uchem i wyszło z głowy szczęśliwie. Aż raz spotyka mnie na ulicy mój poczciwy Lachnicki i napada na mnie, żem zbałamucił jego kuzynkę! Patrzyłem mu w oczy, dokąd koncept zmierza, albo czy nie zwarjował? Dopiero wtedy, zacząwszy się śmiać, opowiedział mnie, że panna Weronika najromantyczniejszym w świecie sposobem, bo patrząc tylko na mnie idącego po placu przez okno, rozkochała się we mnie, ale tak, że rodzice, kochający znowu ją nad wszystko, rady sobie dać nie mogą. Że się z tego przed nim, jak przed krewnym, zwierzyli i jako obu domów przyjaciel, żeby swatał, prosili. Ja byłem wówczas błazen lat dziewiętnastu. Uprosiłem go wzajemnie, żeby o tem czas jakiś nic rodzicom moim nie mówił, a potem rumieniąc się przyznałem się mu, żem dotąd nigdy w życiu panny Sacken jeszcze nie widział, że nie wiedziałem nawet, czy jest na świecie. Zobowiązałem go razem, żeby mi ją jakkolwiek zdaleka przynajmniej pokazał, bo sam, spojrzawszy w ich okna, zbłaznię się i zczerwienię jak wiśnia, skoro ją zobaczę. Zrobił to. Ale jak poczciwy dystrakt pod sekretem wszystko to po mieście rozniósł, tak że we dni kilka rzecz i do ojca mojego doszła.

Jakem pannę zobaczył, rozradowała się dusza moja! Było co kochać doprawdy! Zakochałem się też w niej odrazu. Ale miłość ta była z wdzięczności, a może i z próżności, żem się mógł takiemu bóstwu podobać. Kochałem ją, jak potem miałem czas zrobić *distinguo*, najżywszą, namiętną przyjaźnią, ale bez tej zapamiętałości, tego odchodzenia od zmysłów, które niestety! wkrótce poznać miałem — dla kogo innego! Zaczęto ją na świat wywozić! Jeden głos był o niej. Ojcu mojemu także jej piękność bardzo pochlebiała, a miała do tego już dobry i spodziewała się po starej garbatej siostrze większego jeszcze posagu. Co także u moich starych nie psuło jej sprawy. Już tedy ojciec mój ledwie że nie zaczął nam układać gniazdeczka, kiedy się dowiedział, że była protestantką. Jak mu to powiedziano tylko, najeżył się jak kogut i słuchać o niczem nie chciał

Nie dlatego, żeby był fanatykiem, ale że, zdaniem jego, tyle jest w życiu powodów, które ciągle pracują na rozdwojenie małżeństwa, że nie trzeba w to mieszać jeszcze i różnicy religji, która wpływem swoim, jeśli jest szczerze w sercu noszona, jedna jest tylko w stanie, nawet to, co rozłączone,z łączyć nowemi węzłami.

Naturalnie Wercia, jak ją nazywaliśmy, nie wiedziała nic o tem i z zupełną ufnością młodej dziewczyny długo jeszcze bardzo oddawała się swoim różowym zamkom na lodzie. Kobiety obojętne wszędzie mają swych szpiegów — po jednym; zakochane mają ich po dwóch, trzech, czterech na każdem miejscu. Tej tedy jesieni, jak się tylko Sackenowie dowiedzieli, że ciągle u Müllerów bywam, najęli w ich domu mieszkanie i zaraz u nich bywać zaczęli. Na biedę moja po swojactwu babunia, instygatorowa Chrapowicka, zakochała się także we mnie, albo raczej rozdrażniła się do mnie; ale zakochała się czy rozdrażniła po swojemu, jak klacz, nie przyrównywując, na wiosnę. Była to kobieta w tem, co raz w jej głowę wlazło, bardzo uparta! O niej także muszę kilka słów powiedzieć.

Radziwiłł żyrmuński, Czarny, miał czterech synów, o których wyżej już wspomniałem, i dwie córki. Dojrzawszy w nich Wezuwjusza, trzymał je pod kluczem. To też obie przez okno zamąż wyszły. Jedna uciekła z Narbuttem, druga z Judyckim. Obie wkrótce, jak to zwykle po ucieczce bywa, mężów rzuciły, a ci się potem z niemi rozwiedli. Posagi przeszastały zaraz. Narbuttowa (A_{20}) przez intrygę Houwaltowej sama się wbiła za żonę staremu lubieżnikowi i bogaczowi, Józefowi Chrapowickiemu, ojcu mojej macochy. Chrapowicki już, kiedy się z nią żenił, był marazmem dotknięty i mało obiecywał życia. Że była hoża, potulna, romansowa i umiała sztuki *à la du Barry*, staremu łeb się zawrócił. Ożenił się i zapisał jej trzykroć sto tysięcy złotych, dwa tysiące dusz na Białej Rusi dożywociem i wszystkie srebra z jawną krzywdą dzieci, chociaż i tym jeszcze grubo zostawało. Nie doczekawszy się nawet śmierci schorzałego męża, wdała się już w różne miłosne intrygi, a potem i końca im nie było! A kto raz wyszedł z jej ręki, chodził długo po świecie, jak mara, nim się odchwycił!

Macocha moja dla formy przez uszanowanie pamięci ojca raz na rok tylko u niej bywała. Ojciec mój, stary kobieciarz,

lubiący wolne obejście się, częściej sam do niej zaglądał. Mimo to, chociaż była i wielka pani i obszerne miała stosunki, nigdy mnie jednak u niej bywać nie radził, ani mnie tam nawet przedstawił. Mogła mieć wtedy lat około 42. Ale jak jej tam jaki mężczyzna w głowie zakręcił, — bywaj zdrów! — gotowa była upaść mu do nóg i, jak masło, się rozpłynąć. Worka swego jednakże nigdy baba, jak słyszałem, nie rozwiązała nikomu. Oddzielna była na to, widać, w jej sercu klapka, miała zawsze Żyda w kieszeni i skąpa była w ogólności, jak stary lichwiarz. Tysiące o tem chodziło facecyj, a o romansach jej miljony.

Przy takiem skąpstwie dla gachów dom jednak trzymała otwarty i pański. Ludzi u niej, dam i mężczyzn, bywało zawsze mnóstwo. Oprócz tego dawała częste wieczory, do których kochankowie jej łatwo ją mogli namówić, bo się i sama bawić lubiła i, jak wszystkie kumoszki, lubiła swatać, kojarzyć małżeństwa, a po ślubie wszystkiego u pani młodej się dopytywać i wielu rzeczy często nauczyć. Nie miała złego serca, ale przez głupstwo, które wszystkich Radziwiłłówien zdaje się być dotąd przynajmniej apanażem, wyproszonym, jak niesie podanie, u Pana Boga przez księcia Sierotkę, nieraz i źle bardzo komu, nie myśląc o tem, zrobiła. Cała żyła macicą. Tam się skoncentrowały wszystkie jej egzystencji żywioły. Jak się tedy gdzieś ze mną poznała, jak mię pod tytułem wnuczka w swoje wzięła karesy, jakem się przed nią odrazu zasłupił i narowistym koniem pokazał, rozdrażniła się baba jeszcze więcej i, latając za mną po mieście, jak kot podsmalony, nakoniec i do Müllerów wpadła. Za nią przyjaciółki jej, Kościałkowska, Mejerówna z domu, i generałowa Pągowska, obie mające ładne córki na wydaniu, to jest do zbycia, i wiele dam innych

Raptem tedy pani Müller z samotnego, pustelniczego salonu przeszła w ciągle ludne bardzo i wesołe towarzystwo. A sama znowu, oddając rewizyty, fetowana, każolowana, opychana łakociami, z triumfem i worami cukierków wracała do domu. Ani się z początku domyślała rzeczywistej tego przyczyny. Oddając się ciągle iluzjom miłości własnej, całą tę falangę ustawicznych gości na karb niepospolitego swego kładła rozumu i szczególniejszego w filozoficznej konwersacji talentu. Właśnież to były filozofki, co ją odwiedzały! Długo się tem chwaliła

przede mną. Ale że była wcale niegłupia i sprytna, jak się kilka razy zdarzyło, że, kiedym przyszedł, zaraz się za mną to ptactwo z całego domu zlatało, bo z okien naokoło widzieć można było, kto do Müllerów idzie; jak znowu w czasie kataru, naprzykład, kiedym nie wychodził z domu, nikogo przez kilka dni u niej nie było; jak jej nakoniec otwarcie i bez ogródki o swatowstwie to tu, to ówdzie śpiewać zaczęto, domyśliła się prawdy, ale, nie zmieniając frontu, flankiem się tylko o mnie i o nich jednocześnie oparła. Bo dobrze jej z tem było i, jeśli nic nie wygrała więcej, to się przynajmniej samotnością nudzić przestała.

Siostra Chrapowickiej, naprzód hrabina Judycka, potem berdyczowskiego Radziwiłła, a stryja swojego, żona, owdowiawszy po nim, przyjechała z wielką pompą do Wilna. Tam się w niej ojciec mój mocno rozkochał. O jej wzajemność nie było trudno, bo doprawdy mięciutką miała na te sprawy duszę. Potem, zjechawszy dla procesu do Petersburga, wyszła ledwie że nie za syna swojego z wieku, za młodego księcia Aleksandra Lubomirskiego, rodzącego się z Potemkinównej, który we wszystkiem głowę na karku tylko dla formy nosił. A zdałby mu się bardzo w podstawieniu czy *pryhaftirowaniu* nowej ów sławny chirurg Naxary! Znałem ją w Petersburgu dobrze i widywałem często. Po kilku latach bezpłodnego pożycia rozeszła się i z Lubomirskim, ale na rozwód za radę adwokatów bez zdarcia męża przystać nie chciała, bo sama z siebie nie była chciwa. Lubomirska, dziś już baba, była dawniej prześliczną kobietą. Biała, duża, okazała, tylko jednem okiem trochę zyzo patrząca, ale to jej nie szpeciło wcale, póki była młoda. Serce dobre jak u dziecka. Kiedy błądziła, błądziła tem, że odmówić prośbom przez dobroć serca nie mogła i wolała już w takim razie, żeby jej była szkoda!

Kiedy się tak Wilno smuciło, bawiło, płakało i śmiało, kiedy tak intrygowało, bredziło, tańcowało i patrzało na odejmujące możność chodzenia po ulicach więźniów naszych kajdany, oczy i języki wszystkich zwrócone były na nową kometę z ogromnym jak miotła ogonem, na świeżo owdowiałą księżnę Zubow, żonę owego sławnego Zubowa, jaśniejącą młodością, wdziękami i ogromnemi bogactwy. Pani ta, że dużo i w tem, co powiem, i w tem, o czem zamilczę, sama o tem nie wiedząc, na los Litwy wpływała, zasługuje, żebym pokrótce i życie jej i to, co

mi w pamięci po latach tylu o niej zostało, otwarcie i szczerze powiedział.

Uboga wdowa z maleńkiej folwarczyny, Plikiszek, — Walentynowiczowa, mieszkała w Wilnie, osypana długami i dziećmi. A dzieci wszystkie, szczególniej córki, były rzadkiej piękności. Cała familja ubożuchna, bez pretensji i skromna miała u tych, co tam bywali, reputację i wielkiej piękności ciała i wielkiego ubóstwa głowy. Najstarsza z tych pięknych sióstr wyszła za obywatela Feliksa Kossakowskiego z wiłkomierskiego powiatu, imiennika hrabiów. Druga podobała się niemajętnemu, niskiemu, ospowatemu i bardzo niepoczciwemu obywatelowi Pisance, sędziemu ziemskiemu wileńskiemu, i miała sobie za szczęście tak świetną zrobić karjerę. Trzecia panna całej młodzieży naszej strasznie rwała oko. Zakochał się w niej naprawdę bardzo piękny, barczysty i silny brunet, Wyżycki, i o rękę jej prosił. Zgodzono się chętnie. Nim jednak do ślubu przyszło, że był w domu pizus, Wyżycki, przyszły zięć, sam niebogaty, dawał tam jednak nieraz forszusy to na dług, to w rodzaju prezentu.

Śród tych okoliczności zjechał tu ze wsi na czas jakiś sławny na całym świecie książę Zubow, wielki kobieciarz. Łażąc po mieście, po wszystkich ulicach, dojrzał tej panny i swoim zwyczajem użył zaraz faktorów. Dawał coraz większe sumy — napróżno! Nie zgodzono się. Sam się tedy osobiście prezentował u pani Walentynowiczowej i odrazu, jak stary warjat, jak szalony, w pannie się rozkochał. Używał wszelkich fortelów, — wszystkie na niczem spełzły! Zacietrzewił się tedy do tego stopnia, że o rękę prosił. Nie chciano temu uwierzyć i odpowiedziano mu, że tę rękę ma już przyrzeczoną Wyżycki. Zubow zobaczył Wyżyckiego i struchlał. Między tymi dwoma ludźmi, jako mężczyznami nie mogło w kandydaturze na męża żadnego być porównania, — jeśli się wiek, czerstwość, krzepkość, piękność, rzeźwość do tej operacji wymaga. Ale Zubow miał imię, tytuły, sławę, a co największa, nieprzebrane bogactwa! Ale Zubow jednem słowem, jedną naraz z kieszeni wydobytą kieską mógł, całą wzbogacić familję, tysiąc okupić Plikiszek, do czegoby Wyżycki, dzień i noc pracując, choćby się i w ziemię zaryl, nigdy się nie dobił.

Platon książę Zubow, o którym historja lepiej i więcej,

niż ja mogę, już powiedziała i jeszcze powie, bo ja tylko mówię o nim powierzchu, był podówczas, kiedym go poznał, jeszcze krzepki, choć niemłody mężczyzna, więcej trochę niż średniej urody, czarnego z lekką siwizną włosa, twarzy śniadej, nietylko niepięknej, ale nawet mało przyjemnej i mało znaczącej, nieco ospą popstrzonej. Oczu czarnych, pięknych, ale takiego wyrazu, jakiegom w życiu mojem więcej nie spotkał. Zdawało się, że niemi do głębi duszy twojej świdruje, że się tam pomimo woli twojej dobywa i wciska. A to działanie magnetyczne tak było silne, że, kiedy pomimo wiedzy twojej patrzał na ciebie, i wtedy jeszcze czułeś drażliwość, że on na ciebie patrzy! W tych oczach zamykało się całe, ale ogromne bogactwo jego fizjonomji. Trzymał się już nieco garbato. Chód miał zaniedbany. Nigdybyś się ani domyślił, że to ten sławny i razem okropny człowiek, który był faworytem wielkiej monarchini, który trząsł Rosją i który potem zuchwałą i zbrodniczą rękę podniósł na jaśniejącą potęgą i siłą koronę! W obejściu wielce uprzedzający i miły, uprzejmy, grzeczny; żadnej w nim nie dostrzegłeś dumy. Sadził cię obok siebie i mówił z ochotą wybornie po polsku. Wziąłbyś go nawet wtedy najwięcej za jakiego żmudzkiego szlachcica. Ale niechże się jaki, choćby najwyższy nawinął u drzwi rosyjski generał, urzędnik, trzymając cię gwałtem przy sobie na sofie, jak się mu raptem nadął, najeżył, nasrożył, spyszniał, napuszył, wyprężył, najuszył, że każda z takich figur ode drzwi odejść nie śmiała i ze drżeniem na jego odpowiadała pytania. Prawidło jego było: być z niższym, a szczególniej z Polakami, brat za brat, z równymi sobie, których miał zaledwo, albo z wyższemi od siebie dąć się wiele skóry wystarczy.

Zubow ubierał się niedbale, nawet więcej jak niedbale, bo brudno. Zakochany i tak jeszcze nie zmienił w tem trybu obok eleganta, rywala swojego. Frak granatowy z zaszmelcowanym kołnierzem i brudnemi żółtemi guzikami, spodnie do butów — taka była moda, majtek nie znano — trykotowe, majowe, dosyć brudne; buty węgierskie, najczęściej gołe albo z jednym tylko kutasem przy jednym bucie. Kapelusz okrągły, zgnieciony, rudy, niepoczciwy; brylik jego, czyli część ronda, nad kołnierzem wgórę załamany, zaszmelcowany okrutnie potem i tłustością, może pomadą. Płaszcz *almaviva*, to jest szeroki

i bez rękawów, z zarzucającą się połą na plecy, granatowy z ciemno amarantowym aksamitnym kołnierzem i takiegoż koloru podszewką, brudny, wytarty. Aksamit zgnieciony, jak z psiego gardła.

W rozmowie przyjemny, uczony, dowcipny, głosem srebrzystym wiele gruntownie ważnych i zajmujących opowiadał rzeczy. Nie był to zgoła nieuk, jak wielu mniemało i mniema.

Owóż Zubow, kataraktą miłości olśniony, pomimo Wyżyckiego oświadczył się i oświadczał ze swą ręką ciągle pannie Walentynowiczównie. Wyżycki, czy udanie, jak się zdaje, czy doprawdy, ryczał jak wół poderżnięty z potężnego żalu. Zubow w tym stanie duszy rozmiękł, jak klajster, do niepoznania! I lubo z przyrodzenia despotyczny, gwałtowny, zuchwały, zaląkł się w sercu i ceniąc, rozumie się, przedmiot swej miłości nad wszystko, mylnie wyobraził sobie, że Wyżycki z rozpaczy kusić się będzie na jego życie. Pilnie się więc rywala swojego wystrzegać zaczął, spotkania z nim unikał, zoczywszy go gdzie na ulicy, na bok schodził i zmykał. Ale tymczasem ciągle plan swój do skutku prowadził. Matka panny i familja były duszą i ciałem za Zubowem i wszystkieby razem za niego wyszły. Panna jednakże nie tak była skora. Wszyscy jej znajomi mieli ją wtedy za najlepsze, tylko wielce ograniczone dziecko. Nie dała się zatem tak prędko uwieść dymom wielkości, bogactwa i księstwa. Ale i to przeszło. Aż skoro się szaleniec Wyżycki raz z wielkiego żalu odezwał, że już na pannę tak dużo stracił, Zubow, człowiek przebiegły, znający ludzi, odrazu po tych słowach i miłość jego, i siłę uczuć, i te poniesione przez niego koszta w tysiącu bodaj dukatów oceniwszy, takowe Wyżyckiemu za odstępstwo pretensji zaliczył, z panną natychmiast się ożenił i, jak żeby Pana Boga za nogi złapał, pędem z nią do swojego Ruhenthala się puścił.

W ciągu swoich o rękę tej panny starań nie mógł on nie postrzec wielkich w wychowaniu jej i polorze niedostatków. Walentynowiczowie nie bywali, nie mogli nawet bywać w lepszem towarzystwie. Zaczął więc Zubow od przetarcia pod każdym względem osoby, która w razie danym miała z pozycji swojej po mężu zająć pierwsze miejsce przy rosyjskim dworze. Pełno

zebrał guwernerów i guwernantek, sam zaś głównym był mentorem. Ale się to nie brało! Z początku kotek i baśka, młoda kobieta, jak tylko na twardym gruncie stanęła, zaczęła swoje wystawiać pazurki. Zubow spodziewał się zadziwić ją sławną swojej męskości potęgą i w tem się zawiódł! Przyjęto ten sławny po świecie wyjątek za rzecz zwyczajną! I ten kiedyś przemożny i wielki mąż stanu z niemałem upokorzeniem i konfuzem poznał, że czasem, szczególniej w stosunkach z kobietą, ubogi herb szlachecki silniejszym od koron gorze płomieniem i większych nad nie od straży ogniowej wymaga wysiłków. Tak tedy było, a tymczasem co godzinę rosły i rosły nieznośne i prostackie fantazje, wymówki, kaprysy! Postrzegł się prędko ten niepospolity człowiek, że piramidalne zrobił głupstwo i, jak raptownie nabył, tak również nagle tracić zaczął dla niej potężne silnej miłości uczucia. Ale śród tego zaszła w ciążę. Nadzieja potomka prawego, bo nieprawych było jak bobu, ożywiła go trochę. Zaczął się troskliwie lękać o zdrowie i siły naczynia, które w sobie tak drogi dla niego nosiło zadatek. Cóż? i tu nieuległość, upór, gwałtowne ruchy, skoki, konna jazda i wszystkie wybryki swawolnej kobiecej młodości zawziętą toczyć z nim zaczęły wojnę. Patrzał na to długo i wzdychał. Głęboko już był raniony! Nakoniec z jakichsiś tam danych, przypisując te wszystkie wypadki sile temperamentu swej żony, którego się nigdy spodziewać nie mógł w tak drobnem ciałku, a raczej w tak delikatnie zbudowanem ciałku, chciał własne a wielkie siły jeszcze sztuczną podtrzymać energją. To zgubnie na zdrowie jego wpłynęło. Chodził już ciągle cherlający, zamyślony, smutny. Ciąża była już niedaleko swojego końca, kiedy Zubow, widząc namiętne żony przywiązanie do znajdującej się w pałacu wielkiej małpy, tak że się z nią bezustanku bawiła, zaczął najłagodniej prosić księżnę, jak o łaskę jaką, żeby w tym stanie tak obrzydliwego przy sobie nie chowała zwierzęcia. Że to nawet czasem na noszony płód w jej łonie szkodliwie wpłynąć może, zrobił uwagę. Żona, jak zwykle rozdąsana i rozkapryszona, powiedziała na to z żółcią, niewiele myśląc: „Wolę patrzeć na tę małpę, niż na ciebie!" „A, z takim konceptem proszę do Plikiszek", odezwał się Zubow. Wstał i pierwszy raz drzwi za sobą zatrzasnął. Coby z tego było, niewiadomo. Godzi się domyślać, że rzeczywiście do matkiby ją



Wincenty z Ciechanowca Hrabia Kiszka Zgierski.

/ jak żywy. /

odesłał. Ale w godzinę potem leżał już chory i wkrótce, ledwie że nie nagle, życie zakończył.

Do połogu swej żony starał się Zubow z Wilna sławnego jakiegokolwiek i za jakąbądź cenę sprowadzić lekarza. Wszyscy sławni byli razem profesorami fakultetu i oddalić się za nic nie mogli. Tymczasem nadjechał do Wilna niejaki Sauvan, uczeń wileński, niedoktoryzowany jeszcze, choć kursy skończył. Lekarz ten asystował w podróży Skirmuntowi, co się potem z Sulistrowską ożenił i różne około Pińska założył fabryki. Skirmunt z Sauvanem był w Paryżu u Dupuytrena, a po ukończeniu kuracji zpowrotem go tu odwiózł. Sauvan, wydający się za syna jakiegoś tam lichego Francuza, był podobno Żydek, taką przynajmniej wypiętnowaną miał minę. Nie pójdę do juramentu, że, gdyby kto ojca jego odkopał, nie znajdzie tam jarmułki! Nieszpetny, pełen szarlatanerji, że lekcje tego brać było można u niego; fanfaron, jakiego świat nie widział; samochwał, drugi Naxary; dowcipny bardzo gaduła, Lelio Goldoniego, a przytem wielki elegant, pył w oczy ludziom rzucał garściami. Durzyciel ten między młodzieżą znajomy był z tej przygody, że, kiedy się kochał w prześlicznej pannie Szostowickiej, córce uniwersyteckiego kasjera, która braciszkom akademikom dawała najniewinniejsze skądinąd *rendez-vous* w korytarzach Świętego Jana, do najmniej estetycznych miejsc prowadzących, a potem za sławnego i podłego łotra Salmonowicza, prokuratora Komisji Radziwiłłowskiej, wyszła, — że, powiadam, Sauvan, kochając się w niej, dowiedział się o wstręcie jej do czarnej brody. A Sauvan akurat tak czarno zarastał, ale tak, że po ogoleniu się nawet twarz jego siną jeszcze była! Co tu zrobić? Dostał więc skądś za drogie pieniądze tatarskiego mastyku, którym się ci pohańce w łaźniach tam i ówdzie epilują, i brodę nim wymazał. Ale że nie wiedział, jak tego użyć, skoro się potem otarł ręcznikiem, wszystka skóra z twarzy, tak z liniejącego raka, mu zeszła i zaraz jednym zajął się strupem jak, że przez kilka miesięcy oczu nikomu pokazać nie mógł. A czarna broda została mu mimo to wszystko!

Otóż tedy Sauvana Zubowowej posłano. Tam na wsi, ciesząc ją i lecząc, do ostatecznych u księżnej doszedł rychło faworów. Urodziła się tymczasem córka. A tu znowu familja

Zubowów, jak piasek w morzu obfita, na wieść o śmierci jednego z najpierwszych w Rosji bogaczów zewsząd się zleciała. Malutkie i słabe dziecko los księżnej i tej całej familijnej hałastry trzymało na włosku. To drobne życie i od przyrodzenia i z różnych powodów zagrożone być mogło. Trudno było pozostać na wsi. Więc przeniosła się księżna do Wilna. Dziecię wkrótce umarło. Dział familijny zawikłany nastąpić musiał. Zubowowa z porady życzliwych osób, podobno nawet zaraz po śmierci męża, na prokuratora swojego wybrała prezydenta Chodźkę, znajomego z głowy i ruchawości swojej znakomitego obywatela.

Jan Chodźko był przewróconym, jak rękawiczka nawywrót, Kazimierzem Kontrymem. Kontrym cichy — ten hałaśliwy. Tamten sekretny, tajemniczy — u tego wszystko na dłoni, wszystko na otwarte. Niski, pękaty, brzuchaty, z piękną prawdziwie polską twarzą, rubaszny, światły, pisarz gładki i łatwy, człowiek zdolny, dużo pisał, więcej mówił, a hucznie, a głosem, że się ściany trzęsły. Straciwszy na wysokich urzędowaniach i obywatelskich sejmikowych aferach znaczny majątek, a raczej dobrze go podszargawszy, odchwycić się uczciwie pragnął i ciągle ku zajęciom, tę przedstawiającym metę, ochoczo i czynnie zmierzał. Było go wszędzie pełno. Miał podówczas w Uniwersytecie dwóch synów, obu zdolnych. Józefa, wielkiego matematyka i znakomitego potem inżyniera, a dziś już podobno generała, i Aleksandra, znakomitego orjentalistę i wdzięcznych natchnień poetę, który był konsulem rosyjskim u szacha perskiego Mohameda Agi w Teheranie. Grzech powiedzieć: co był gdzie Chodźko, to zdolny. Głupiego z tem imieniem nie znałem. Stary prezydent sam sobie robił u starych opinję i torował drogi; synowie w nowej generacji dla niego ją tworzyli. Oprócz wielu komedyjek, luźnych artykułów, powieści, broszur i pisemek, po dziennikach umieszczanych, znakomite podówczas, a bodaj i dotąd dzieło, które mi na myśl przychodzi, a które nie tak łatwo napisać dla ludu, jak się może komu zdaje, popularna książka: „Pan Jan ze Swisłoczy" jego jest.

Chociaż mówią, że krowa, co wiele ryczy, mało mleka daje, był jednak podejrzany rządowi i dobrze miany na oku. W powstaniu 1831 roku, podówczas już starzec, wyprawiony z mińskiej gubernji do Wiatki, wspaniałością hrabiego Strogo-

nowa, wojennego gubernatora Mińska, zaszczytu Rosji, anioła wyrozumiałości, dobroci, względności, w dobrach jego tamże utrzymywany i jegoż potem staraniem wrócony, nie wiem, czy jeszcze żyje, bom już o nim dawno nie słyszał, a od całej ćwierci wieku zupełnie go nie widział. Mąż to pod każdym względem niepospolity, robiący honor imieniowi Polaka i jeden z ostatnich obrazków poczciwych i cudzoziemszczyzną nie zbałamuconych przodków naszych. To był szlachcic!

Księżna Zubow, zwaliwszy tym sposobem, *ad interim*, na Chodźkę cały interesów ciężar, którego i dla wieku, i dla małego usposobienia, i dla płci swojej nakoniec pojąć nie była w stanie, sama się rozlokowała, roztasowała i rozparła w Wilnie, żeby też jakkolwiek użyć tego ogromu bogactwa. Wiedziała o tem, że, chociażby w dziale i najgorzej wyszła, to przy fortunie, z której każde dziecię Zubowa nieprawe, z najlichszych nawet kobiet spłodzone, najmniej po miljonie za życia księcia dostało, ona, żona jego, tysiąc razy, miljon razy więcej mieć będzie od tego, w czem się urodziła, a urodziła się, jak powiadam, w Plikiszkach. Uspokojona tedy z tej strony, czy z rozwagi, że nikt w gnieździe swojem prorokiem nie został, czy z uczucia braku tego poloru, jaki na świecie jest potrzebny, wiedząc, że w Wilnie z pomiędzy wszystkich dam znakomitszych, chociaż daleko mniej od niej bogatych, nie było ani jednej, któraby wyższego nie odebrała wychowania, któraby po kilka razy zagranicą nie była, któraby czy u saskiego, czy u pruskiego dworu prezentowaną nie była, któraby osobiście cesarzowi Aleksandrowi znajomą nie była, — widząc to, mówię, czuć dobrze musiała, że, jakkolwiek młoda, piękna i bogata, u kobiet naszych będzie tylko celem krytyk, języków, kwolibetów i żartów. Wolała więc udać dumę, u nikogo nie być, na wszystkie wileńskie damy patrzeć z partesów, a odwiedziwszy tylko Korsakowa i poleciwszy się jego opiece, zamknąć się u siebie. Ja pewny jestem, że wtedy dlatego tylko to zrobiła, że nie umiała się znaleźć w lepszem towarzystwie. Sauvan, jedyny z jej domowych człowiek, co bywał na świecie, był i w dzień i w nocy moderatorem jej czynności. Zaraz dla towarzystwa i jakiejś przecie nauki życia sprowadziła ze wsi panią sędzinę Pisankową, siostrę swoją, prześliczną kobietę. Juźciż ta, choć w żadnych nieznajoma

kołach, jako kilkoletnia mężatka i pani domu do przetarcia tego nowego a ślicznego pałkucia przydać się mogła.

Być bogatym, mieć garściami pieniądze, a nie użyć! — to grzech, to zgroza! Ale jakże użyć? — O, moja księżno, to inna zupełnie sztuka!... Do bogatych pojazdów, ślicznych koni, ozłoconej liberji, zapomniawszy o plikiskiej kałamaszce, jeszcze przy mężu przyzwyczaiła się dobrze i to jej nie bawiło. — Na miłość Boską, moje państwo, jakże użyć?!!...

Zaczęła zatem po swojemu, jak każdy wyłazek, poprostu, po chłopsku, *à la manière du peuple souverain*, — od kindziuka. Użyjmyż! Nuż tedy, zamknąwszy się z familją, cebrami kazać robić lody, beczkami sprowadzać najdroższe frukty, łyżkami od wazy zjadać konfitury, aż przez wszystkie szło końce! Ale to w kilka dni dojadło, znudziło, zmorzyło, zemgliło! Otóż i są pieniądze, i użyć ich niema jak! Ach, panie Sauvan, jakby to ich użyć?!...

Tymczasem biedni, ubodzy od bramy Ogińskiego domu na Biskupiej ulicy, gdzie księżna mieszkała, kułakiem ugalonowanego szwajcara odpędzani; tymczasem kalecy, umierający z głodu, na prośby i listy swoje żadnej nie otrzymujący odpowiedzi, odebrali jej prawdziwe źródło dobrego dostatków użycia! Na tej drodze, którą obrała i którą bez wątpienia szatan jej podszepnął, zatwardziło się pierwiej, jak powiadano, dobre jej serce! Stała się dumną, zarozumiałą, szorstką i skąpą. Nawet członkowie jej własnej familji poszli przez sito. A że w kolekcji głupich mężczyźni zawsze głupsi są od kobiet, stąd i poczciwa rura, braciszek jej Kazio, to jest pan Kazimierz Walentynowicz, deputat szlachecki wileński, chociaż się ciągle chwalił i ciągle o księżnej siostrze przed ludźmi prawił, wziął od niej formalny abszyt tak, że się tylko tylnemi drzwiami i to rano, i to póki nikogo nie było, czasem mógł sprezentować siostruni. Młodszego, małego jeszcze i ładnego chłopczyka, potem przez protekcję możnych przyjaciół w pułku ułanów czy huzarów zamieściła. Tym sposobem księżna jejmość, od kobiet odosobniona, na ciągłem łechtaniu towarzystwa mężczyzn, którzy piękności i młodości wszystko przebaczają, poprzestać i z niego korzystać musiała.

Przy ciągłych o interesy kwestjach stary osiemdziesięcioletni generał-gubernator Korsakow posyłał za siebie do niej

adjutanta swojego, pułkownika Szebekę, dobrego, zacnego, przystojnego ale zniszczonego lubieżnem życiem człowieka. Ten się odrazu w niej zakochał. Ale że tam wszystko szło prędko, jak po kolei żelaznej, niedługo wzdychał i zaraz w miłości swojej szczęśliwym został. Sauvan nietylko już nie zazdrościł, ale się nawet serdecznie cieszył, że z kimkolwiek brzemię, które dotąd sam jeden dźwigał, rozdzieli. Bo i druga siostra, pani Pisanko, odłączona od świata i męża, zamknięta z księżną, a śliczna i młoda kobieta, znalazła, że Sauvan dobry jest, i wpadła na myśl także szukać pomocy i ratunku u tego lekarza. A że o tę pomoc obie siostry, jedna o drugiej nie wiedząc, ustawicznie, co moment prosiły i że w tych skutecznych dla zdrowia dam naszych schadzkach nie odprawiali różańca, schudził się i wysechł mój biedny Sauvan, jak szczapa, i ledwie już nogi włóczył. Ulżyli mu zaraz w tym trudzie inni jeszcze dobrodzieje z familji Zubowa. Zjechawszy do Wilna, każdy z nich podobać się i za żonę złapać chciał tę młodą i piękną kobietę, żeby się jemu ogromna część Zubowa fortuny jeszcze i w posagu dostała. Odznaczał się w tym względzie generał Żerebcow, siestrzan Zubowa. Ten dla odstraszenia innych i odjęcia im wszelkiej nadziei nie wahal się, przychodząc wieczorem, umyślnie na oknie, opierając go o szyby, stawić swój stosowany z białą kitką kapelusz, żeby po tym kołdunie i tych kaplonich piórach wszyscy po nocy i rano przechodzący ludzie widzieli z ulicy, jaki tam gość zjada rajskie jabłuszka i ten kapelusz za świadka, jak było, mieli.

Mówiąc o Żerebcowie, przychodzi mi na myśl zupełnie rzecz inna, którą, ponieważ nie wiem czy mi się później przypomni, tutaj, choć niebardzo stosownie, ale, jak człowiek ciągle mieszający groch z kapustą, pomieszczę. W 1830 r., będąc wysłany z rozkazu cesarza jmci do południowej Rosji z ministrem wewnętrznych interesów, w czasie grasującej tam cholery, jadąc z Saratowa do Symbirska i Kazania, zajechaliśmy po drodze do miasta Wołżska nad Wołgą. Bogaty astrachański kupiec, mający dom w Wołżsku, niejaki Sapożnikow dawał nam tam paradne śniadanie. Wszystkie wymysły gastronomji tamtejszej, tatarsko-rusko-europejskiej, były użyte. Dropie, kawiory prosto ze złowionego jesiotra wyjęte, sterlety, bażanty, olbrzymie kulebiaki, najwytworniejsze gramatki i sielanki zapełniały po rusku

gościnne stoły. Cholery tu już nie było. Wracaliśmy z naszej niewesołej podróży weseli i zdrowi. Jedli wszyscy bardzo smaczno. Ja jeść nie mogłem, bo mnie nęciły prześliczne Rembrandty, w wielkiem mnóstwie rozwieszone po ścianach. A co większa, wszystkie prawie były portretami naszych Polaków. Polskie portrety i bogata kolekcja Rembrandtów na pustyni, obok koczowisk kałmuckich! Któżby się w takim razie bawił żołądkiem?!

Uprzejmy Sapożnikow, równie jak wszyscy ruscy kupcy gościnny, coraz to do mnie z wymówką, że nie jem, podbiegał. Raz mu tedy powiedziałem: „Będę jadł i zjem nawet wszystko, co masz na stole, kiedy mnie powiesz, skąd masz te obrazy?" Brodacz oświecił mnie, że to są obrazy, złupione w 1794 roku w Polsce, w Nieświeżu i po innych pańskich domach. Że ofiarowane były przez generałów rosyjskich Zubowowi, że ten darował je siostrze swojej, pani Żerebcow i jej mężowi. Że nakoniec, kiedy Żerebcowowie potrzebowali pieniędzy, Sapożnikow, potrzebując ich znowu pomocy, kupił u nich tę całą galerję i w domu swoim w Wołżsku umieścił. Takim sposobem najbogatszy może na świecie zbiór portretów Rembrandta, przedstawiający fizjonomje dawnych polaków, znalazł się u kacapa, śród dzikich stepów nad brzegiem Wołgi!

Wróćmy teraz do naszej księżnej. Przypomniawszy sobie, com powiedział, łatwo się domyślić, że te niewinne zabawki i żarty księżnej pani niepłodnemi być nie mogły. Ale się zawsze jakoś księżna jejmość po kilku dniach obłożnej choroby wolną znowu od wszelkiego ciężaru przed czasem znalazła. I na rok było tak po kilka razy! Do tej szlachetnej rady wzywany był niejaki Jan Berkman, doktor, syn bardzo uczciwego zegarmistrza wileńskiego, dawny rajfur i lizykiepek, sam już w asystencji do Karlsbadu spadłym z rejestru babom wyniszczony. Jednem słowem „Berkmancio", jak go te wszystkie nazywały wyboje i kwoki, podły, nikczemny, bez zdolności intrygant, przez lat kilka nieodstępny, ale wówczas, kiedy o tych rzeczach mówię, już dymisjonowany dla niedostatku oleju w lampie, domowy doktor instygatorowej Chrapowickiej, o której mówiłem. Na tej spodlonej twarzy malował się cały tego człowieka charakter. Wychudły, wynędzniały, pomarszczonej chrapy patrzał zawsze

na ludzi tak, jak my patrzymy na słońce, z przymrużonemi i drgającemi oczyma i odpowiednią tym oczom miną. Gwałtem się prosił, żeby mu dać pięścią w tę mordę. Wywiózł on właśnie podówczas oszukaństwem żonę z Petersburga, Chitrowo z domu, pięknej ale podupadłej familji. Kobieta była wcale nieszpetna, ale z nim zaraz w pierwszym połogu pieska jakiegoś *mort-né* spłodziła. Osiadłszy w Wilnie, zręcznie wieść puścił, że ma wiele bardzo praktycznych sekretów. Rzecz szczególna, że w Wilnie, jak się tylko jaki z Petersburga lekarz pokazał, starzy swawolnicy wierzyli, że musi mieć koniecznie sekrety na ożywienie upadłych sił mężczyzny! Kto tedy chciał, na tę wędkę długo ryby łowił. Szebeko i kilku innych zaraz się do Berkmana udali, a tym sposobem jako konsultanta, w przypadkach poronienia biegłego, w dom Zubowowej wprowadzili. A i on sam z siebie wszędzie wciskać się i wgniatać umiał.

Nadeszła wkrótce i odpowiedź cesarza Aleksandra na list księżnej, donoszący o zgonie jej męża. Cesarz, oświadczając z tego powodu ubolewanie, zgodził się na jej prośbę i naznaczył jej za opiekuna senatora Nowosilcowa, kuratora Uniwersytetu, prezesa komisji śledczej, bawiącego podówczas dla spraw publicznych w Wilnie.

Nowosilcow, stary wszetecznik, libertyn, lubieżnik, rad był w tym pańskim i wygodnym domu znaleźć wszystkie przyjemności, swobodę, poufałość i wolność aktorek francuskich. Z początku żartował i kokietował, ale w kilka dni potem doprawdy się w Zubowowej zakochał a przynajmniej doskonale zakochanego udawał, bo się we wszystkiem afiszował z nią przed publicznością i żadnych głupstw nie wstydził. Bajkow tuż za nim i kilku innych tegoż samego polotu. Tymczasem Sauvan, pomimo korzystnego, jak w ekonomji politycznej twierdzą, podziału pracy coraz bardziej wydołać w niej nie mógł. A widząc skąpstwo księżnej i tylko w perspektywie ostatnie sił wyniszczenie, zrachowawszy się z sumieniem, zaczął serjo myśleć o rejteradzie. Kiedy jeszcze rzecz zaszła o jakiś tam drogi i kosztowny pierścień, który w porywie wdzięcznej wspaniałości księżna mu sama na palec włożyła, a potem, jak przeszło, znowu dopominać się o ten pierścień u niego zaczęła, dowodząc, że mu go żartem tylko oddała, Sauvan do żywego tknięty, rzuciwszy jej ledwie że nie

w oczy ten sygnet, podziękował za służbę i przy rozliczeniu się zaledwo to, co mu z umowy należało, odebrał. Rozdąsany i wściekły, po takich magnoljach tylko czterysta dukatów gotówki mający, wiedząc, że w Wilnie karjery nie zrobi, pomimo łzów czułej pani Pisankowej, której jakieś tam stwardnienie i stąd niepomiarkowane świerzby rozgłosił, postanowił durzyć warszawian, którzy na to, jak do skrobania, sami nadstawiają głowy, i tam wyjechał. Nim się jednak wybrał, głośno przed wszystkimi krzyczał, że jest skrzywdzony, że zdrowie u księżnej stracił, że, chyba żyć nie będzie, to się nie zemści i że zaraz w Warszawie obu sióstr listy do siebie pisane drukiem ogłosi. W tych zaś listach i bilecikach, pełnych naiwnej otwartości, które w części i nam pokazał, były często bardzo te lakoniczne słowa jednej lub drugiej siostry: „O mój najdroższy, przychodźże, czekam, wytrzymać bez ciebie już nie mogę!" Rozumie się z pomyłkami ortograficznemi, z któremi się silna namiętność rachować nigdy nie umie. Sauvan tedy wyjechał.

Nowosilcow i Zubowowa, ciągłe, codzienne najmniejsze wileńskie mający plotki, dowiedzieli się razem o tych naszego Sauvana przegróżkach. Stary lis, pan senator, zazdrośnika udając, wspomniał o tem pierwszy. Zubowowa, objąwszy go za szyję, ze łzami do wszystkiego się przyznała, skruszywszy jeszcze tkliwe serce jego dowiedzioną niewiarą niewdzięcznej siostry. Pan senator, szczwany bywalec, za złe przeszłości nie miał, o przyszłość tylko wielki okazywał frasunek. Ale, że wypadało z interesów, żeby Zubowowa była wkrótce w Warszawie i stawiła się przed wielkim księciem i świętobliwą księżną Łowicką w postaci prześladowanej i uciśnionej wdowy, sama więc myśl o publikacji tych czułych nowej Heloizy listów dreszczem przejmowała księżnę. Nowosilcow, mający prócz tego zaraz do Warszawy jechać, zlitowawszy się nad nią i nad jej niedolą, obiecał utorować drogę i dał jej słowo honoru, że za dni najdalej dwanaście cała ta rzecz umorzona będzie. Chyba do tego czasu nie stanie mu życia. Dotrzymał słowa! Oto jak rzecz umorzył.

Sauvan już był w Warszawie i zaczął durzyć Mazurów wodą ciepłą, wodą zimną, magnetyzmem, gorczycą od dwóch prawie miesięcy. Przyjeżdża Nowosilcow. Nazajutrz rano aresztują Sauvana. Każą mu się ubrać w obejrzane po wszystkich szwach

suknie. Odprowadzają go do więzienia. Papiery, całą, jak była, ruchomość i mieszkanie rządową opatrują pieczęcią. Sauvan, jak trusia, przelękniony zmalał... Ale nazajutrz wołają go i wiozą do Nowosilcowa, który go ściska, przeprasza, sam winę wyznaje, że musiał zawierzyć ważnej, ale, jak się okazało, fałszywej delacji. Uwalnia go do domu. Pieczęcie oderwać każe. Uszczęśliwiony Sauvan wraca do siebie. Z ciekawości przegląda, czy też przezierano jego papiery. Znajduje wszystko, oprócz listów Zubowowej i pani Pisanko!

Tegoż samego rana wysłany feldjeger odwoził już całą tę bazgraninę i księżnej i Pisankowej, którą Nowosilcow, przez kalambur, „*Madame pisse en cul*" nazywał, pod dwoma oddzielnemi opieczętowaną adresami, żeby się czasem siostry z zazdrości nie pokąsały. *Unicuique suum!*

Wilno pewne było, że ten feldjeger ważne bardzo przywiózł depesze. Że tu szło o losy naszego kraju. Nikt się ani domyślał, że tam były zszargane już bilety wejścia do serca dwóch naszych prześlicznych kobiet. Kontramarki w mnóstwie innych rąk były.

Pierwsze kroki do złego, jak kiedy kto włazi do błota, są niepewne, nieśmiałe, ostrożne; ale, jakeś raz już tylko zapchał niem buty, o resztę mniej jesteś dbały. Tak właśnie było i z księżną Zubow. Mamże sromocić pióro moje dalszym opisem postępków tej sprośnej i kamiennego już serca, a lubieżnej, jak małpa, kobiety? Nie!... przez miłość ludzkości, dla zaszczytu ludzkości rzućmy na to wszystko zasłonę! Wystawcie sobie bezwstydne postępki, połączone z bezwstydem, który się przed okiem całego miasta nietylko nie kryje, ale, owszem, wszystko i wszystkich brawuje. Wystawcie sobie wyuzdaną, rozkiełznaną, zbestwioną w towarzystwie najzepsutszych mężczyzn, ale piękną, ale młodą, ale bogatą Messalinę, otoczoną mnóstwem u nóg jej leżących atletów, to dosyć będzie na ten raz przynajmniej.

Nie znałem jej osobiście nigdy. Miałbym sobie za krzywdę znać ją kiedykolwiek. Pisankową, kiedy już, jak potem powiem, była gubernatorową grodzieńską i, rozwiodłszy się dla tonu z Pisanką, wyszła za Bobiatyńskiego, znałem. Znałem także Amelję, żonę przyjaciela mojego, Ostromęckiego, najmniej piękną, ale ze wszystkich sióstr jedną tylko cnotliwą.

Przebieżmy zatem bez wchodzenia w gorszące szczegóły

pędem lokomotywy resztę tej smutnej i oburzającej biografji, żeby raz już z brudami rozstać się na zawsze. A trwale to tylko zachowujmy w naszej pamięci, że odtąd datuje demoralizacja, tak raptownie, jak epidemja cholery, po całej rozszerzona Litwie we płci, która nam drogę do życia otwiera, a do cnoty otwierać powinna. Przykład dumnego i śmiało w oczy każdemu patrzącego bezwstydu na nieszczęście zaraźliwszy jest od dżumy.

Ale nie mogę dotrzymać, żebym tu na moment powolnej czasu nie wyprzedził kolei. W kilka lat po tem wszystkiem zacny, poczciwy, szlachetny, dobroczynny cesarski lekarz Arendt, mój przyjaciel, spotkawszy mnie na ulicy w Petersburgu, zatrzymał mnie i z rozczuleniem żalić się począł, że ma chorą hrabinę Szuwałow, Polkę, która żadnej wyzdrowienia nie daje nadziei. Że dostała rzadkiej, ale okropnej choroby, od której niechaj i nieprzyjaciół naszych Pan Bóg ratuje, choroby, *miserere* zwanej. Że oprócz śmiertelnych boleści i mąk piekielnych ta młoda i prześliczna kobieta różowe czy koralowe usta swoje własnym oszpeca kałem — bo tę właśnie drogę w tej straszliwej chorobie natura na wypróżnienie obiera. Wysłuchawszy tej jeremjady poczciwego człowieka i ścisnąwszy mu rękę odpowiedziałem te tylko słowa: „Bóg jest sprawiedliwy". Alem je musiał z jakimsiś osobliwszym wyrazem twarzy wymówić, kiedy Arendt, nie wiedzący o niczem, małą zwykle na ludzi zwracający uwagę, pobiegł za mną aż do mojego pojazdu i, przytrzymawszy za polę, usilnie prosił, żebym mu znaczenie tych słów jaśniej wytłumaczył... Księżna Zubow była już właśnie wtedy hrabiną Szuwałow! Uprzedziłem wypadki, żeby obok występków bliżej przed oczyma postawić karę. A kary, prędzej czy później, nie uchybią nigdy. Zawierz w tem doświadczeniu mojemu!

Miazmat politycznej zarazy pędem meteora coraz a coraz więcej rozwijał się po szkołach przy nikczemnej i tajemnej dusz Nowosilcowowi zaprzedanych pomocy. Już prawie nie było powiatowej szkoły, gdzieby nie było kilku, albo i więcej dziesięcioletnich zbrodniarzy. Traktowano ich, jak ludzi dorosłych. Zrozpaczone matki, jak stada przepiórek, zleciały się do Wilna. Był to moment krwawy. Nie dałeś kroku, żebyś bogatej, pięknie ale zaniedbanie ubranej, albo biednej w łachmanach i bosej

nie spotkał kobiety, a każda oczy łzami zalane miała, każda szła dziecię swoje ratować. Bożek, czarnoksiężnik, mocarz, potężnik, który jednem słowem swojem, jednem skinieniem, jednem laski swojej dotknięciem łzy te okropne w radość, — a nawet do tego już przyszło, — we łzy wdzięczności przemienić był w stanie, nazywał się „Nowosilcow". Ale do niego trudny był przystęp. Wiadomo tylko było powszechnie, że siedział od rana do nocy i rozkoszował się u księżnej Zubow. Pełne nadziei cieszyły się matki, że rodaczka, że biedna także dawniej szlachcianka, że młoda i piękna kobieta, łaską Bożą wystawiona teraz na świecznik, nie może nosić w sercu swojem kamienia. Rzucono się więc do niej, całowano jej ręce i nogi, podlono się przed nią dla miłości honoru i cnoty. Ale pierwsze zaraz próby przekonały te nieszczęsne matki, że mówią do granitowej finlandzkiej skały! Że ta, co przed dwoma laty przy zajęciu na eksdywizję Plikiszek nie wstydziłaby się, nie wahałaby się upaść sama do nóg Żydowi, faktorowi sowietnika Izby cywilnej, występną i dumną nogą ściera teraz poczciwe łzy, lejące się po jej parkiecie. Łzy cnotliwych matek! Łzy ostatniej rozpaczy! Że brzękiem złota i marnej próżności ten śliczny na oko potwór zagłusza jęk macierzyńskiego serca! Że drwi z krwawego matek nieszczęścia! Zrazu wierzyć temu nie chciano. Jakże powierzyć takiej zaciętości, tej w odmówieniu łaski bezdusznej, brutalnej, tatarskiej, pogańskiej złości i dumie? Wszak i odmówić można łaskawie. Ale się rychło przekonano o prawdzie. Nie zrażało to jednak nieszczęścia. Rzucały się przecież matki dla ratunku dziecięcia w rozścierwionego tygrysa lub niedźwiedzia łomy; rzucały się one w psa wściekłego budy, nie przestawano rzucać się do nóg Zubowowej...

Śród ciągłej od rana do wieczora, od wieczora do nocy i w nocy orgji, rozczerwieniona szampańskim trunkiem, z rozpuszczonemi od uścisków i gorąca lokami, zbryzgana bezwstydnem spółbiesiadników winem, wstawała na moment od wiecznie zastawionego stołu i, jakby na wzgardę tylko, przyjmowała te biedne matki. Wychodząc do nich z przymrużonemi oczyma, poprawiając to tu, to ówdzie zgniecioną na sobie wstążkę, przewalała się z jednej nogi na drugą, bo któryś z jej wszeteczników zapewnił, że jej wzrok taki, że jej chód taki dziwnie do twarzy.

że to słanianie się i chwianie daje jej postać jakiejś półpowietrznej istoty, jakiejś rusałki. Nie posadziła nawet nigdy żadnej ze swoich czołobitniczek, nie rzuciła ani jednego, a tylko język kosztującego słowa pociechy, ale ze wzgardą, mierząc od stóp do głowy te odrętwiałe od żalu Nioby, odmawiała im wszelkiej pomocy i kiwnieniem głowy żegnała! Przez ten czas tuż obok w drugiej sali hałas, huk, śpiewy, śmiech ustawiczny, szum biesiadników pokazywały, jak słup wiorstowy, zarówno cierpiącej jak i szczęśliwej tutaj kobiecie drogę, kędy się idzie do piekła! Oj wy wszyscy, wielu was tam było — „*lasciate ogni speranza!*"

Chociaż kopalnie filaretyzmu i stopni jego, jako niby politycznego stowarzyszenia, wyczerpawszy złoto, mało już nadal dawały nadziei, szkoły znów teraz coraz więcej zato dostarczały korzyści. Nowosilcowowi było dobrze. Jadł, pił i upijał się ciągle na rachunek swojej *pupilli*, a i mieszkał nawet na cudzym koszcie. A tymczasem złoto ojców rynnami lało się, a jak mniemał, i był kochany. Ta ufność jest zawsze starym starych wszeteczników nałogiem. Im dłużej w Wilnie dla swojej *belli* siedział, tem więcej spraw i nieszczęść rosło, tem więcej miał korzyści! Budził się codzień z radością, bo mu, na dzień dobry podając przez grzeczność i życzliwość pantofle, naprzebój ciągle coraz to nowe odszukiwano zahowory i bunty. Miał zatem powód pobyt swój przedłużać. Jedna go tylko zrazu trapiła uwaga: koszt ogromny, ze strony rządu niesiony, utrzymania, i sprowadzenia napróżno takiego mnóstwa niewinnych winowajców, takiego roju więźniów! Ale go zaraz od tej troski usłużny uwolnił towarzysz, wskazując, że niewinnych za cobądź koniecznie obwinić trzeba i że w takim razie koszty wszystkie na karb winnych policzone i uzyskane z nich będą z niemałą jeszcze dla tych, co tak gorliwie monarsze służyli, korzyścią. Jak więc już na tem stanęło, nie było o co skrobać się w głowę. *Evviva la gioja!* Hulaj dusza bez kontusza, szukaj pana bez żupana!...

Więc hulali, co się zmieściło.

Coraz też i nasza pani brnęła w rozpustę i bezwstyd. Ach, jaki to ból serca — mówiąc w ogólności, — że, ledwie nie każde opisując życie, jak tylko chcesz prawdę powiedzieć, tak przed bliźnim twoim wyglądać możesz, jak żebyś grzeszny chciał

napisać paszkwil. Ale cóż robić! Dawno już powiedziano: *pereat mundus, fiat justitia.* W rok tedy potem księżna do tego już przyszła, żem na własne oczy moje widział, a to i wielu jeszcze oprócz mnie widziało, że kiedy się Zubowowa do domu Müllerów przeniosła, gdzie i ja podówczas naprzeciw jej okien na dole mieszkałem, Nowosilcow i Bajkow, obadwaj pijani, chcąc ją niby żartem przez okno wyrzucić, wystawiali ją, wziąwszy pod ręce, za okno. Wiatr suknie, wówczas nie tak w liczbę nieskończoną spodnic obfite, do góry podnosił. Ona przeraźliwie wrzeszczała; a my z dołu ze dwudziestu przynajmniej okien patrzaliśmy na jej odkryte dla publiczności wdzięki.

Tak bawiąc się ciągle, a raczej, mówiąc po prostu, hulając, przejechała się do Warszawy, gdzie mało zrobiła wrażenia. Potem do wód. Nakoniec, przetarłszy się już nieco w manierze, ośmieliła się pokazać w stolicy. Była to, jak już o tem wspomniałem, z miejsca i urzędu męża swojego pierwsza dama dworna. Czy z uprzedzenia przeciw niej, już trochę w Petersburgu głośnego, czy dlatego że Polka, czy dla osobistej niezgrabności i braku tych odcieniów poloru, jakie tylko zawsze prawdziwa arystokracja posiadać może, a wyłazki tylko je małpują, skończyło się na tem, że nie nadto miłem widziano ją okiem. Tymczasem, gdyby tylko z pozycji swojej stosownie do rad Nowosilcowa skorzystać umiała, miejsce to, jakie zajmowała, zwykle starym już tylko służące kobietom, jej młodej i pięknej zawsze wielkiego interesu dodawać mogło. Ale djabeł nie spał i w t.... jej dmuchał. Podwinął się wkrótce młody hrabia Szuwałow, kamerjunker dworu, to jest najniższy honorowy dworski urzędnik. Zwiódłszy pełnego nadziei lisa, Nowosilcowa, którego już nie potrzebowała, i dowiódłszy tem, że najgłupsza kobieta więcej zawsze od rozumnego mężczyzny ma chytrości i sprytu, wyszła z wielką całego dworu pociechą za tego Szuwałowa, rozmiłowawszy w się nim namiętnie, jak kotka. Naco? poco? to znowu dowód tej naszej popularnej prawdy, o której lud nasz tak powszechnie mówi: „u kobiety włos długi, a rozum krótki". Mając już bez najmniejszej żeny w Wilnie nieślubnych mężów kopami, w tak wielkiem jak Petersburg mieście mogła ich mieć po dwie kopy na dzień, a niktby o tem jeszcze nie wiedział. Może też był to wyskok pokutującego wilka?... Co daj Boże! Ale nie,

zahandlowała ona z kaprysu pierwsze imię i pierwsze miejsce, jakie w Rosji po Zubowie miała, na ostatnie, które się jej z pozycji nowego, ale ślubnego męża dostało. Gorzej nawet, bo zrazu pokorny i uległy do ręki wzdychacz zaraz po ślubie przy pierwszym kochanej żonie wybryku powiedział jej, jak ów w znajomej francuskiej komedji stangret: „*Ah, comme c'est ça!*" i zaraz, idąc za popędem narodowości, wziął się do kija. Nie byłem przy tem, chociażbym na to nie z wielkim poglądał wstrętem. Powszechnie jednak twierdzono, że ją mąż materjalnemi środkami do posłuszeństwa, uległości, dobroci przypędzać zaczął i że mu się ten systemat nieźle udawał. Niech go Pan Bóg utwierdza i niechaj mu chociażby całe sto lat na tej drodze skutecznie dopomagać raczy!

Złość i swawola tych potwór ożywiały wenę skłonnego zawsze do epigramatu Wilna i rozpładzały mnóstwo ulotnych wierszyków, paszkwilów, ballad, piosenek, dowcipniejszych jedna od drugich. Mieć je u siebie był grzech polityczny i śmiertelny: *un crime d'état!* Uważało się to za obrazę tronu i karało stosownie. Może się u kogokolwiek te brednie gdzie przypadkiem znajdą. Ja żadnej nie mam, bom nie chciał wleźć w żelaza. Pamiętam tylko początek bardzo zabawnej piosenki, która się potem zrobiła ludową, bo ją wszędzie śpiewano:

„Wiwat Bajkow, Nowosilcow,
Bicze tajnych klubów,
I kochanka tych opilców —
Wiwat księżna Zubow!"

Były i warjanty dla tych starych Polaków, co się upierali Petersburg Peterburkiem, a Nowosilcowa Nowosielcowem, jeszcze nazywać. Dla nich brzmiała tak:

„Wiwat Bajkow, Nowosielcow,
Bicze tajnych klubów,
I kochanka tych wisielców —
Wiwat księżna Zubow!"

To na jedno wychodzi, ale zawsze warjanta...

O mój miły Boże, o najsłodszy Jezu! jakże się to ryli, żeby dojść, złapać, roztopionym lakiem pogładzić, a choćby i wyknutować i, jak zbrodniarzy, do min syberyjskich odesłać, żartobliwych i w nieszczęściu, autorów tych bredni! Ale z wielkich tych poczciwców smutkiem sekret się nie wydał. A jednakże były to tylko piosenki!...

ROZDZIAŁ VIII.

Ja tymczasem pływałem sobie, jak to mówią, jak pączek w maśle, a gorycze moje słodkim młodych i prześlicznych kobiet łagodziłem widokiem. Jednem słowem, żyłem pełnością życia. Proszę jednak nie myśleć, żem się we wszystkiem i ze wszystkiem oddał babiemu błazeństwu. Godziny moje systematycznie rozdzielone były. Całe rano do 1-ej południa — nauka, książki, muzyka i język włoski, w którym mnie egzercytował bardzo niegłupi człowiek, niejaki pan Floriani. Potem obiad. Potem godzina jedna, druga lekkiego czytania gazet, powieści, romansów, do których zawsze wielką miałem ochotę, choć wtedy jeszcze nie było ani Balzaka, ani Dumasa. Zato Walter-Skotta, włoteśmy wszyscy łowili. Tak tedy większa połowa dnia użyta była. Ależ potem, jak się to wszystko skończyło, następowały wizyta po wizycie u naszych piękności aż do samej północy. Młodzi zazdrośnicy nieraz damom serca mojego złośliwego wtedy płatali figla! Nieraz panna Sacken, z którą się zawsze stara przyjaźń wlekła, albo inna jaka miękkiego serca osoba zemdlały z dobroci swojej, słysząc jakiego jegomości filuta i psotnika, co, wszedłszy do salonu, najobojętniej niby opowiadał, że teraz właśnie widziano, jak mnie pod strażą do więzienia zbirowie zaprowadzili. Wbiegło do mojego mieszkania natychmiast piętnastu braci, synów, wnuków i krewnych tej poczciwej damy, a drugie tyle lokajów. Ja zaś ubierałem się na wieczór i byłem zwykle najspokojniej w domu. Pokazało się zawsze, że to nieprawda. Psotnik, śmiejąc się w duchu, podkurczywszy jednak ogona, prędko się wynosił, a ja z wesołym uśmiechem szedłem zaraz osobiście przekonać o fałszu i ucałować rączki troskliwych o los mój orędowniczek.

EGIDA

Doctrinae Artibus & Industriae.

1 TYDZIEŃ

WSTĘP.

1 SETTIMANA

PREFAZIONE

1 SEMAINE

AVANT-PROPOS

Pierwsza strona Nr. 1 pisma „Egida“.

Któregoś dnia, wracając do domu, spotkałem się z Pelikanem przy Szwarcowym zaułku. Powitał mnie po bratersku i, rozpytując się o zdrowie, co porabiam, jak się bawię, wziął mnie pod rękę i dla dalszej poufnej rozmowy na ten zaułek, zwykle bezludny, wprowadził. Ale ta właśnie bezludność o mało nam bardzo na złe nie wyszła. Kucharki, przekonane, że nikogo tam niema na bruku, wylewały sobie z drugiego piętra szczęśliwie różne niepotrzebne płyny przez okno. O dziesięć może od nas kroków z oficyn domu Franka wysunął się naprzód potężny rondel, a potem przewróciły go jakieś po łokieć dobrze tłuste, obnażone ręce, i pomyje, jak katarakta z Niagary, polały się na ulicę. Odebrawszy tę przestrogę i naśmiawszy się z przygody, nie mieliśmy już ochoty gościć na tak niegościnnem miejscu. Pelikan poprowadził mnie tedy na plac i ciągle tymczasem o duch, treść i filozofję filaretyzmu i odkrytych już jego, jak twierdził, rozmaitych stopni z wielką gorliwością pytał. Mówił ze mną teraz, jak z człowiekiem, o którym wie z pewnością, że tej rzeczy obcym nie jest. A zakończył na tem, że, życząc mi dobrze, prosi mnie, żebym wszystko, co wiem, objawił w oddzielnej zapisce, tę jemu oddał, a on i ją i mnie przedstawi Nowosilcowowi i daje słowo, że się zaraz potem wszystkie więzienia otworzą, a ja i sławę i ogromną korzyść z tego uczynku mieć będę.

Chociażem wtedy kochał Pelikana, nie ledwie jak duszę, i żadnego o nim podejrzenia nie miał, nie oburzając się tem, co brałem za prostą, ale źle zrozumianą dla mnie życzliwość, wykręciłem się jednak dyplomatycznie i zręcznie od podobnej obietnicy. Przypisywałem propozycję Pelikana dobremu i czułemu jego sercu, a zatem łatwowiernemu w dobroć Nowosilcowa. Ale, jakem się wrócił do domu, znalazłem tam jeszcze poufnego przyjaciela Bojanusa, który trzeci już raz do mnie napróżno zabiegał i który imieniem tego zacnego człowieka ostrzegał mnie, żebym w niczem nie wierzył Pelikanowi i unikał jego, jak ognia. Że wczoraj wieczorem Bojanus najdokładniej się przekonał o najgorszych Pelikana planach. Że prosi mnie, żebym dla uniknienia wszelkich podejrzeń z nim się nie widział, w to, co mi donosi, najzupełniej wierzył, a miał się na baczności, bo wie, że Pelikan właśnie na mnie głównie ma wytężyć sieci. Znałem Bojanusa. Była to poczciwość i cnota chodząca, a głowa, jakich niewiele.

Młody człowiek, jeśli poczciwy i dobry, rzadko podejrzliwy. Złość ludzką ma on za uprzedzenie, za urojenie starych dziwaków, za fantasmagorję i bajkę. Chodzi on z sercem na dłoni i ufa każdemu. Biada później takiemu, co w młodości tak głupim nie był! Ależ zato, kiedy się raz zawiedzie, trójgraniasty puginał wbity ma w sercu. Przerobić w sobie, i nagle, wyobrażenie anioła na portret spodlonego złośliwą nikczemnością szatana — krwawo kosztuje rozumowi, woli, sercu i duszy! Przeklęci niech będą tacy, którzy pierwsi nie wstydzą się zerwać zasłonę z oczu we wszystko dobre wierzącej młodości! Przeklęci niech będą gorszyciele młodego serca, truciciele młodej i poczciwej duszy!

Ja tedy byłem pierwszy z prywatnych, com się dowiedział z pewnością, że Pelikan rzucił już białą, wełnianą szatę dobrego człowieka i oblókł się w złotem haftowany frak Lucypera. Wszyscy ojcowie, wszystkie matki, wszyscy krewni, cały lud miejski mieli go jeszcze za opiekuna, za anioła-stróża. Jam jeden wołał tylko w zakrwawionej duszy: „Zdrajca, zdrajca, zdrajca!" (A_{21})

Jak dzisiaj, ukłoniwszy się damie, przy wejściu do salonu, powtarzają wieczną aryngę: „*Madame, votre santé est bonne?*" tak wtedy zaczynano wszystko od kozy. Nimeś doszedł do sofy, już gospodyni domu pytała się: „A wiesz pan, że wzięli tego a tego, że przywieźli żandarmami takiego?" Albo wchodzący zaczynał od słów: „Słyszałaś pani, że takiego dzisiaj wsadzono do bazyljanów?" To było, jak nazywają, *l'ordre du jour* — porządek dzienny. I sam już język tak się był ciągłem użyciem wyłamał. Rozkazy dzienne tylko prześladowcy nasi ówcześni na sekretnych spisywali w wieczór tabliczkach! Jednakże koza kozie nierówna. Siedziało tam wielu za politykę niby. Ale siedział też w innej zupełnie kozie i był materją śmiechów i żartów Wincenty Zgierski, sekretarz konsystorza, niesłusznie o przywłaszczenie skarbowych sum przez naszych popków oskarżony. Zgierski — oryginał, pół fiksata, cały fiksat, człowiek w swoim rodzaju jedyny. Dam konia z rzędem, jeśli mnie kto drugiego takiego we sto lat pokaże! Był on w interesach wcale niegłupi, a nawet w kancelaryjnej służbie zdolny. Konsystorz cały, z samych już pasibrzuchów wówczas złożony, za nos czerwony wodził, a zyski niemałe ciągnął. Póki tylko szło o to,

póty miał rozum. Ale poprostu skręconą i wykrzywioną miał głowę na autorstwie i poezji i na wielkości swojego rodu. Podpisywał się: Wincenty z Ciechanowca hrabia Kiszka Zgierski, — i cóż mu poradzisz? Młodzież, odwykła od sławnego i wielbionego u nas dawniej, a już zgasłego Kiszków imienia, przy takim jeszcze jego reprezentancie w materjalnem to nazwisko brała znaczeniu. Mając świeżo obecną w pamięci anatomji naukę, jego kiedyś przed nimi *intestinum rectum* nazwałem. Podobało się to swawolnikom, a nawet i dojrzalszym ludziom, i odtąd nieborak pod nazwiskiem „Kiszki odchodowej" chodzić u nas zaczął i do końca chodził. Pisał dramy, komedje, tragedje, epopeje — wszystko wierszem. A drukował to z przepychem na najpiękniejszym papierze i wszystko, co jedną ręką od swoich klientów wydarł, drugą w edycje dzieł swoich wsadzał. „Złota wolność", „Chodkiewicz" i wiele innych jego książek tym sposobem wyszły. Ale tam dosłownie od początku do końca ani sensu, ani wątku, ani myśli nikt się nie domacał nigdy. Szurłowski i Krysztalewicz, o których dawniej wspomniałem, byli to Kornele, Rasyny przy Zgierskim.

W ogólności już teraz za nic mają i bardzo ostro sądzą księgi, przy rozwinięciu się drukarskiej sztuki wielce rozmnożone. Siaki taki wziętą do ręki książkę zamyka i rzuca, bo, powiada, głupie! Zapewne więcej być musi złych, niż dobrych, bo talentów i genjuszów, jak rydzów na mchu, nie zbierzesz. Ale ja zawsze wyrozumialszy byłem i, prawdę mówiąc, na honor, nie znalazłem aż dotąd tak głupiej książki, żeby zupełnie była niewarta, to jest, żeby tam choć jednej pożytecznej, a nawet nauczającej nie znalazło się myśli. U jednego tylko Zgierskiego, wyznaję szczerze, że i tego właśnie dla mnie przynajmniej nie było. Chciało się zawsze dać mu w łeb książką jego od pierwszego słowa. Był to zadziwiający worami głupstwa dobór słów, brzęk wyrazów, szczęk, Bóg wie dlaczego dobytych, oręży i nic więcej! Niechaj mu Pan Bóg odpuści! ale on, jak paw, nadęty między ludźmi chodził, śmiał się z obecnego pokolenia, apelował ciągle do potomności, nie zrażał się drwinkami, żałując biedne nasze głowy, że się na tak wzniosłym i wyprzedzającym wiek swój genjuszu nie znają. A może i miał rację? Może ludzie doprawdy bardziej jeszcze, niż dzisiaj, zgłupieją? Może kiedykolwiek tę Kiszkę uznają za wieszcza? Jak za tę biedną ludzkość przysięgać! Rozum

ludzki, rozbrykany i lecący teraz w jednym ciągle kierunku galopem, kochający to, co rozwlekłe, zawikłane i ciemne, szukający absolutu, w niemieckich chodzącego pludrach, może w tem właśnie kiedyś znajdzie arcydzieło! Alboż nie było tego po różnych częściach świata przykładów? Wszakżem już nawet czytał obronę Baki, serjo pisaną. Ale, prawdę mówiąc, w poczciwym naszym jezuicie Bace jest myśl zasadnicza przynajmniej: śmierć, o której tak mało ludzi pamięta.

Przedziwne były instrukcje Zgierskiego dla teatru, zamieszczone w nawiasach dzieł jego. Spodziewał się, safanduła, że tragedje jego przedstawione na scenie będą. Jedna z tych dekoracyjnych instrukcyj, bodaj w „Złotej wolności", brzmi tak: „Orzeł siedmią strzałami przeszyty, niewidzialny dla publiczności". I takich bredni, czy może genjalnych pomysłów, tysiące.

Jak mu się tu zupełnie zostać prorokiem nie udawało, że służył w konsystorzu, dobry nasz Kiszka trafiał na dosyć zręczne sposoby dojścia do celu. Przesyłał on Ojcu Świętemu dzieła swoje w przepysznych oprawach. Zostając do duchowieństwa z urzędu swojego w takim samym stosunku, jak zakrystjan do plebana, łatwo mu było z pięknie oprawioną książką bez sensu, ale z rozumnie napisanym listem, wcisnąć się genjuszem swoim aż do papieża. Kardynał Mezzofanti, ów zadziwiający i sławny językarz, darł sobie potem włosy na głowie, że, umiejąc po polsku, nic w przysłanej Ojcu Świętemu książce zrozumieć nie może. „Złotą wolność" tedy i inne Zgierskiego głupstwa poważnie w bibljotece Watykanu dla wiecznej pamiątki składano. Owszem Papież, myśląc, że tam jest cudzoziemski rozum, przysłał mu za to order złotej ostrogi, a akademja Arkadów zrobiła go swym członkiem pod przybranem, stosownie do jej statutów, nazwiskiem Polidora (A_{22}). Śliczny to był Polidor! Ani słowa! On sam zaś sobie, Bóg wie dlaczego, a, jak się zdaje, parodjując mistycznie wyraz Bonaparte, dodał przydomek Liberaparte. Juściż z tego domyślić się trzeba, że był to przypalony olejek, jakieś *caput mortuum* karbonaryzmu. To jednakże, co stracił Zgierski w naszej barbarzyńskiej jodłowej i sosnowej Litwie, zyskiwał podstępem z lichwą nad brzegami Tybru, w kraju tym „*wo die Citronen blühen*", jak mówi Goethe.

Ale kochanek Zgierski na złotej ostrodze, pogardzonym od-

dawna w Europie orderze, nie przestał. Kupił sobie coś ładniejszego: krzyż bożogrobski, którego wstążka podobna jest do wstążki znakomitego rosyjskiego orderu Św. Włodzimierza, i ten krzyżyk czasami dla parady i ozdoby nosił, jak to i wielu innych błaznów robiło. Order bożogrobski przedawał klasztor w Miechowie imieniem bractwa Świętego Grobu. Patent kosztował pięć dukatów. Była to dowcipna przynęta miechowskich księży, wystawiona na dudków. Zamiast szkaplerza wymyślili krzyżyk emaljowany i bardzo piękny. Rozumie się, że się rzuciło mnóstwo frantów i drapichróstów do tego bractwa.

Przypominam sobie opowiadaną mi nieraz anegdotę z tego powodu. W 1811 roku jeden z paniczów i oficerów wojska polskiego, łaknący koniecznie orderu, namówił kilka przyjaznych sobie i krewnych bab, żeby u księcia Józefa Poniatowskiego, jak będzie kiedy w dobrym humorze, wyprosiły mu pozwolenie noszenia bożogrobskiego krzyża. Książę Józef, nie mogąc się oprzeć usilnym prośbom staruszek, odpowiedział im nakoniec serjo: „No dobrze, zgadzam się nareszcie, niech go sobie nosi, ale na koszuli"... Trudno dowcipniej!

Otóż i nasza Kiszka, albo raczej nasz szacowny Kiszka wyjechał raz sobie z tym orderem konno na spacer. Djabeł, wieczny konsystorskich sług nieprzyjaciel, natknął nań na Dominikańskiej ulicy Szłykowa, policmajstra, dobre mającego oko. Szłykow go zatrzymał, najgrzeczniej pogadał, ale grzeczniej jeszcze poprosił o zdjęcie z pętlicy i oddanie sobie tego krzyżyka, poczem mu życzył dobrej przejażdżki. Ale koń już szedł bez fantazji i, jak się zdaje, to życzenie Szłykowa na ten raz przynajmniej skutku nie wzięło.

Zgierski minę miał tak głupią, że, odrzucając nawet jego śmieszną literacką sławę, nie można było, mnie przynajmniej, spojrzeć mu w oczy, żeby nie parsknąć ze śmiechu. Był to blondyn wymokłego włosa, chudy, ospowaty, wysoki, ale dziwnym sposobem w samym krzyżu zgięty, jakby się do ekswisceracji gotował. Słowem wyglądał na kąt rozwarty, na jednem ze swoich ramion chodzący. A przytem głowę zawsze nosił do góry zadartą, co go jednak ani na jeden włos bardziej nie robiło powabnym.

Raptem mu wpadły do czerepa hrabiowskie magnolje. Najął

willę za miastem i spraszał na wieczory konsystorskie damy, to jest żony i siostry i córki konsystorskich i świeckich urzędników. Nudził te biedne kobieciny lekturą dzieł swoich i zamarzał herbatą z różowym likierem tak, że się te niebożątka od ciągłych mgłości przez kilka dni opędzić potem nie mogły. Trzebaż to było taką rzecz wymyślić! Nakoniec od przybyłych woltyżerów Chiarinich zaczął brać lekcje konnego jeżdżenia. Chiarinich trupa sławna była z konnej jazdy w całej Europie. Pozwalała się wszędzie odwiedzać przy próbach swoich w maneżu z uprzejmością największą. Dużo tam na tych próbach i ćwiczeniach bywało w Wilnie. Raz przybyły do Wilna i nie znający tam nikogo stary w legjonach woltyżer i kawalerzysta Janowski poszedł przez ciekawość zajrzeć, jak też teraz jeżdżą? Wchodzi, patrzy, admiruje zręczność woltyżujących Włochów. Ale na końcu Chiariniemu powiada, że go ze wszystkiego dziwi najwięcej anielska cierpliwość i jedna z najtrudniejszych poza tego artysty, który już około godziny może w niej dotrwać bez żadnej przemiany! I pokazał ręką na Zgierskiego. A ten sobie w dobrej wierze, jak go Pan Bóg stworzył, stępa jeżdżąc pomiędzy egzercytującymi się członkami trupy, odbywał właśnie swoją godzinę lekcji! — Co? musiał być tęgi na koniu.

Taka to tedy lala siedziała w kozie, ale, jak powiadam, w skutku błahego podejrzenia i, jak się okazało potem, niewinnie. To dało pochop do mnóstwa *quolibetów*. Ale na tę jego klęskę najlepsze treny napisał młody, wesoły i pełen zdolności chłopak, Antoni Edward Odyniec, który, jak mi się zdaje, zrobiłby daleko więcej, niż potem zrobił, gdyby mu wielce kapryśna żona niepotrzebnie w życie nie wlazła. Jest to jeden z najrańszych naszych romantycznych poetów, jeden z najjędrniejszych w wysłowieniu się pisarzy, bądź wierszem, bądź prozą. Ale teraz, jak słyszałem, czas swój trawić czy trwonić musi na redakcji „Wileńskiego Kurjera", opłakanej z wielu powodów gazety. Cóż robić! *Circenses* dawno nas odbiegły, a *panis* gwałtu woła. W ulotnych wierszykach, balladach tak, jak, Goreckiemu w bajkach, żartach i ekspromptach, mało, zdaniem mojem, w tym wieku Odyńcowi kto sprostał. Nie wiem dlaczego, kiedym go jeszcze widywał młodego, a żyliśmy z sobą dosyć poufale, przypomniał on mnie zawsze wielkanocne jaje. Zapewne rumieńcem.

Był wtedy czarnych włosów, śniadej cery, dużo na twarzy znaków rodzimych, oczy czarne, ogniste, jak żarzące się węgle, choć jedno z nich kose. Ale rumieniec karmazynowy, duży i jakby wykrojony na twarzy. Wzrost nieco więcej jak średni.

Odyniec, jak tylko ukończył kursy w Uniwersytecie, jak mu się tylko udało szczęśliwie wyśliznąć z pod straszliwych skutków prześladowania młodzieży za ówczasowe stowarzyszenia, którym tak niebezpiecznie polityczny narzucono charakter, poprzedzony pochlebnym rozgłosem imienia i wielkie zrazu czyniącego nadzieje talentu, otrząsnąwszy wileński proch z jednej i drugiej nogi, pobiegł po lepszy los do Warszawy, niosąc w zanadrzu wydany już na świat zbiorek ślicznych poezyj swoich. Przedstawiono go tam różnym znakomitym osobom. Zwrócił nawet na siebie uwagę ordynata hrabiego Zamoyskiego, prezesa ówczesnego Senatu Królestwa. A to tak dalece, że starzec ten, nie tak bardzo do podania ręki poetom pochopny, z własnego bodaj natchnienia dozwolił mu *gratis* mieszkania w jednej z oficyn pałacu swojego razem z niejakim panem Ordyńcem. Mieszkanie to stanowiły dwie ciupki z przedpokoikiem, wychodzące oknami na ogród Saski. Byłem tam, bom naszego poetę, wpadłszy pod ten czas do Warszawy, na chwilę właśnie w tym kotuszku odwiedził. Juźciż, prawdę mówiąc, pan się tutaj nie tak bardzo na wsparcie talentu wysadził, ale zawsze i to dla dwóch młodych, a biednych chłopaków wielkiem dobrodziejstwem było! A zresztą jeden człowiek, chociażby i najbogatszy, czego poczciwa i niepoczciwa hołota poznać żadną miarą nie może, nie jest w stanie rozdzielić się na wszystkich i wszystkich hojnie obdzielić! Nie o to wszakże mnie idzie; idzie o to, że takie gniazdko z takiemi dwoma ptaszkami dało powód jakiemuś trzpiotowi do napisania i rozrzucenia po całej Warszawie następujących, wcale dowcipnych, dwóch wierszy:

„Z ekstraordynaryjnej ordynata łaski
Odyniec i Ordyniec patrzą w ogród Saski".

I tem się Warszawa kilka dni bawiła i tym właśnie wierszykiem spotkał mnie u siebie śmiejący się szczerze ze zręcznego konceptu Odyniec.

Ale już wypiszę tu jego o naszym Zgierskim treny, bo pewny jestem, że sam autor dotąd ich nie mógł dochować, a u mnie przypadkiem dotrwały. Inne jego dawniejsze i nowsze poezje, ile wiem, są wszystkie w druku.

Żal 1-szy.

Czy ja śpię? czy ja czuwam? sam nie wiem; w tej dobie
Myśl moja, jak śród lasów obłąkana owca...
Sam nie wiem, kto ja jestem, gdzie jestem, co robię?!
Jaż to Wincenty hrabia Kiszka z Ciechanowca?...
Potomek władców greckich, *ex Libera-parte*,
Miałbym być, nie śmiem wyrzec, usta wiąże zgroza,
Miałbym być w tej ciemnicy wtrącony pod wartę?!...
Nie! chyba ja nie Kiszka, jeżeli to koza!
Ha, ha! cóż to wyrzekłem?... jakież ze mnie cielę!
Prę się własnego miana przed własnem obliczem,
Które sława wyryła w pamięci kościele,
Pomiędzy nieśmiertelnym Baką, Marewiczem!
Nie, nie! ja jestem Kiszka! Czuję, w głowie mojej
Cały ogrom rozumu porusza się z gruntu,
Jak młode piwo, gdy się w czopie nie wystoi,
Niecierpliwe hamulca, syczy koło szpuntu.
Z tego to magazynu głębokich zasieków
Dobytą piękność hojną rozsypałem dłonią
W dziełach, które następne pokolenia wieków,
Uwielbiając ich twórcę, wawrzynem obsłonią.
Próżno zawiść po bruku włóczyła me imię,
Próżno żółć na mą sławę przeciwnicy leją:
W przestwór nieśmiertelności w szumnym wzbity rymie
Obaczę, jak ich pisma w księgarniach spleśnieją!
Widzę przyszłość, w której mam nieśmiertelnym zostać,
Przyszłość, co imię moje z ciemnic grobów wskrzesi.
Z gipsu wiatrem wydętą Włoch zlepi mą postać,
I Weiss mnie w oknach sklepu swojego powiesi!
A kozę, gdzie mnie wyrok zapakował srogi,
Ciekawego wzrok kiedyś badając wędrowca,
Rzecze z schyloną głową, wstępując w te progi:
„Tutaj siedział Wincenty Kiszka z Ciechanowca!"

Żal 2-gi.

Nieprzeparte przysłowie znajome od wieka,
Że człowiek miejsce zdobi, nie miejsce człowieka.
Głowa to grunt człowieka, nie próżne tytuły!
W czasie, gdym sekretarstwo dźwigał kapituły,
Gdy dukat po dukacie do kabzy się toczył,
Gdym kruszył jarzma mężów lub je na kark tłoczył;
Kłaniali mi się wszyscy. Czcili mnie nie przeto,
Że byłem sekretarzem, — ale żem poetą!
Choć mię fortuna na łeb z swego pchnęła woza,
Choć jak główkę kapusty pożarła mnie koza;
Miałożby się to dla mnie stać niejaką plamą?
Jestem Kiszka, nadziany rozumem i famą!
Ale chociaż się na mnie los sroży zawiśnie,
Tego dwojga nikt z ludzi na mnie nie wyciśnie!
Bo z rozumem i famą, każdy widzi łacnie,
Że nie mnie koza zhańbi, lecz ja ją uzacnię.

Żal 3-ci.

O mili poprzednicy Kiszki, w swoim czasie
Rówiennicy mej sławy, Wolterze i Tassie!
I wyście także w kozie miewali mieszkanie,
I węglem wiersze swoje pisali na ścianie!
Witajcie! równąż z wami cierpię dzisiaj dolę,
I choć pazurem wiersze po murze gryzmolę.
Choć pazurem!... — bo zdrajcy, co mię w jarzmo wprzęgli,
Pozazdrościli nawet kredy mnie i węgli!
Figiel to był zawiści, który dobrze znamy!
Chciano rzece dowcipu mego rzucić tamy!
Ale kata zje pierwiej, nim co który wskóra!
Nie odejmą mi głowy; nie spędzą pazura!
Że rzucę pisać wiersze, niech żaden nie mniema.
Na złość im, skoro tylko dobędę się z kozy,
Jak Wolter, zaraz nowe napiszę poema,
Jak Tass, jadę do Smorgoń przyjąć wieniec z łozy.

Jeżeli tu już nie znajdziesz dowcipu, talentu, to już, mój

bracie, trudny na te rzeczy jesteś! Jedźże sobie szczęśliwie po śmiech do Francuza!

Zgierski, wyrwawszy się nakoniec, a mając sobie dane w ufności papiery unickiego biskupa Hołowni, trafił tam w oprawnej jakiejś księdze na przydatny dla siebie dokument, który wydarłszy, zaczął na mocy jego poszukiwać na unitach i na wielu grodzieńskiej gubernji obywatelach należnego jakoby przodkom jego przed kilku wiekami majątku. A tego majątku już ani śladów nawet na mapach terytorjalnych nie było. Wytoczył więc o to proces i, przeprowadziwszy go, jak to u nas się wodzi, aż do Senatu, tam do Petersburga przyjechał, złotą swoją, a tam nieznajomą imponując ostrogą. Tu znalazł protektora w zdziecinniałym już, a oddawna również, jak i on, śmiesznym znajomym rosyjskim pseudo-poecie, senatorze hrabi Chwostowie, najpoczciwszym zresztą człowieku, tylko sfiksowanym na wierszach, a kiedy chcesz, na poezji.

Kiszka jednak i tu, piórkiem nie skrobiąc, spokojnie dosiedzieć nie mógł! Zaraz więc o literaturze pomyślał. Począł tedy zabójczo wydawać kosztowną polską gazetę pod tytułem: „Egida", na kolosalnych bardzo pięknego papieru arkuszach. Gazetę, również kolosalne, obeliskowe, piramidalne, monumentalne zawierającą głupstwa. W pierwszym zaraz numerze, naprzykład, doniósł nam i publiczności, że „Papież jest religji rzymsko-katolickiej", i więcej podobnych nowinek. Za trzecim bodaj numerem gazeta na cztery nogi upadła i to bez powstania. Trzeba było za papier wzięty na kredyt zapłacić. Nie było czem. Potrzeba jest matką przemysłu. Zaczął więc, jak lis przed chartami, wykręcać się, jak zając, kluczyć. Dyrektor rządowej fabryki w Peterhofie, generał Kazin, w rozprawach, o tem z naszym poetą toczonych, patrząc na tę nędzną i niepoczesną figurę, a nie domyślając się w niej hardości i dumy hrabiego z Ciechanowca, nazwał go śród dysputy lekkostrawnym zresztą w swoim kraju wyrazem „*padliec!*" Najzuchwalszy nawet Rosjanin skończyłby tylko na zapytaniu: „*Paczemu ja padliec?*" A nasz Kiszka, niewiele myśląc, właśnie trzasnął go za tę familjarność w papę. Obskoczyli zaraz, rozumie się, publicznego krzywdziciela fabrykanci i na rozkaz naczelnika swojego, przywiązawszy do słupa, dobrze, jak słychać było, pobili. Ale, że on się był już

jakoś do Ministerstwa Finansów przyczepił, ujął się więc za nim, jako za swoim urzędnikiem, minister Kankrin. Na tej sprawie zostawiłem Zgierskiego w Petersburgu i nie wiem, co się dalej z tym osobliwszym oryginałem stało.

Drugi jeszcze człowiek, co nam wtedy w biedach naszych robił dystrakcję, był senator hrabia Iliński, dla nabożeństwa i dobrowolnej rekolekcji aż z Wołynia do nas przybyły. Ten także wart był czegoś. Dawny wielkiej ręki swawolnik, birbant, kartownik, jak to sam o sobie w pokorze ducha wyznawał, przyczepiony był za cesarzowej Katarzyny do dworu wielkiego księcia Pawła w Gatczynie. Po wstąpieniu Pawła na tron był jednym z jego faworytów i dobrze mu się działo. Trwało to i po śmierci cesarza Pawła. Szczególniej w. książę Konstanty, szanując tych, którzy od ojca lubieni byli, wielkie okazywał mu względy i w swoim Marmurowym pałacu dał mu z familją mieszkanie. Na życie huczne dużo stracił i bardzo majątki odłużył. Djabeł, powiadają, na starość robi się pustelnikiem. Otóż tak i Iliński. Modlił się po kościołach ciągle, a ciągle, a spowiadał bez końca! Ale jak? Zawsze w ponsowym wielkim senatorskim mundurze, ze wszystkiemi gwiazdami i wstęgami, których miał wiele. W zimie miewał na sobie w kościele szubę gronostajową, ponsowym powleczoną aksamitem, i na niej przyszyte wszystkie swoje gwiazdy. Czy to z pokory, czy z dumy, każdy łatwo sam się domyśli.

(Noszono jeszcze wtedy zazwyczaj szuby niedźwiedzie albo i z amerykańskich soboli, powleczone zawsze materją jedwabną, grodeturem zwaną (*gros de Tours*). Szuby te miały kołnierz do pół-plec odkładany, futrem pokryty. Rękawy sięgały aż do spodu szuby i na ćwierć łokcia przynajmniej futrem obramowane były. Rąk w nie nigdy nie wkładano. Wyglądało to bardzo okazale, nie tak, jak dzisiejsze kuse płaszczyki).

Sfiksowany był na wielkości. Zdaje się, że, gdyby Borowski zmartwychwstał, poradziłby mu tak, jak Wereszczyńskiemu, żeby sobie subjekcji nie robił, a ulżył się czy w zakrystji, czy w babińcu. Księża go jednak wszyscy szanowali nadzwyczaj i dlatego, że tak przykładny nabożniś, i że zręcznie zaraz za przyjazdem słuch puścił, jakoby jedzie do Rzymu starać się o kapelusz. W każdem tedy presbiterjum, jako kardynał *in petto*, miał

dla siebie oddzielną laweczkę. Księża wprowadzali go i wyprowadzali z kościoła, a on jak żóraw, poważnym pomiędzy niemi, oglądając się na wszystkie strony, szedł krokiem. Na to motłoch z rozdziawioną gębą patrzał i cieszył Ilińskiego duszę. Taka farsa trwała ciągle przez kilka miesięcy i z początku świat bawiła, a potem znudziła. Ale jak on się sam takiem błazeństwem tyle czasu nie znudził, pojąć niełatwo.

Był to mężczyzna duży, okazały i pięknej postaci. Pudrowany chodził. Z gwiazdami swojemi kładł się do łóżka. Na wsi u siebie oficjalistom i chłopom swoim dawał audjencje na umyślnie do tego przygotowanym tronie. Iliński, ile mi wiadomo, zostawił jednego syna, Janusza, człowieka z ogromnym nosem i z takiemiż zdolnościami, jak mi mówiono, bom go mało znał osobiście, a pisemek jego nie miał możności przeczytać. Teraz piastuje jakoby znakomity urząd w stolicy, a ożenił się w 1830 r. z piękną podówczas panną Oktawją Morawską, dobrze mnie znajomą.

ROZDZIAŁ IX.

Tymczasem już wznoszona przez naszych tytanów tarpejska skała dojrzała. Polecieli z niej raptem: Twardowski, Lelewel, Gołuchowski, O' Nacewicz, Daniłowicz i Kontrym. Capelli, Bojanus, Wolfgang, Oczapowski, a dawniej jeszcze Frank dobrowolnie opuścili te niewarte już ich obecności miejsce. Groddeck, poczciwy, kochany, uczony Groddeck, ze zgryzoty umarł. Zawadzkiemu odebrano przywilej ksiąg elementarnych i wysadzono z gmachu Uniwersytetu. Zginęły zatem odrazu wszystkie gwiazdy tego zakładu, cała jego ozdoba i sława. Na ich posady wystąpił naprzód na rektora Pelikan. Na miejsce Lelewela przysłany z Petersburga urzędnik jakiejś kancelarji Paweł Kukolnik, brat Platona. Dalej ów Berkmancio, Münich, potem Bielkiewicz, Waszkiewicz, Łobojko i t. d. Ze starych profesorów Mianowski i Bécu (A_{23}), którego notabene zaraz potem piorun zabił, natychmiast się do pelikanowskiej przyłączyli partji. Takim sposobem odrazu za silnemi plecami stanął Pelikan, i co chciał, to robił. Rada Uniwersytetu cała w jedną rękę przeszła. Nowosilcow dawał ukazy, Pelikan dawał rozkazy. Wszystko szło podług ich woli. Mogę się gdzie niegdzie w tych rzeczach mylić co do daty, bo piszę z pamięci, nie zasięgając niczyjej pomocy, dlatego, że nie chcę, żeby kto wiedział, że to wszystko piszę, ale rzeczy i fakty są pewne. Zresztą opisał to wszystko *de data et acta* stary i zacny mój przyjaciel Żegota O' Nacewicz, profesor historji i dyplomów w Uniwersytecie Wileńskim, niedawno zmarły w petersburskim szpitalu. Ta jego kronika gdzieś teraz za pieckiem leży. Ale, jak grzyb z pod dębowego liścia, najpewniej kiedyś niespodziewanie wyrośnie. O O' Nacewiczu, którego Nowosilcow z Pelikanem zgubili, nic

nie powiem, bo, póki żył, sam za siebie i to śmiało mówił, a teraz drudzy już o nim i mówią i mówić będą. Portrety poważnego starca tego, podobne bardzo, zostały. Dzieła same za siebie świadczą. On pierwszy dla nas krzyżackie archiwa w Królewcu rozgrzebywać z korzyścią począł. Pamięć chronologiczną miał istotnie zadziwiającą. Pogląd historyczny nie dzisiejszy, nie modny, a stąd i mniej zadawalniający czytelników dzisiejszych. W obejściu się, to jest w manierze, bursz niemiecki, a nawet brutal, ale szczery, otwarty, poczciwy tak, że mu to nawet brutalstwo, wszędzie gdzie tylko był, bardzo było do twarzy.

Zaczął tedy nowy pan rektor od urządzenia z wielkim kosztem mieszkania dla pana kuratora. Wiadomo, co robią zysku złodziejom publicznym budowle i anszlagi. Jak to mieszkanie ogromnie kosztowne, w którem pomiędzy innemi wszystkie malowidła w perspektywie robił sławny Głowacki, stanęło, okazało się niedogodne dla pana kuratora. Robiono więc nowe, jeszcze kosztowniejsze, jeszcze pełniejsze zbytków, w innym jakim gmachu, do pierwszego zaś, niby zbrakowanego, przeniósł się z biedy sam pan rektor. To nowe dla kuratora mieszkanie znowu Nowosilcowowi nie było do smaku. Zaczęto więc znowu inne. Do tego drugiego przeniósł się, naprzykład, pan rektor, wieczny w tym względzie kuratora sukcesor, tamte oddał Kukolnikowi, albo komu innemu z tej kliki: Mianowskiemu, Berkmanowi, kto był z porządku pierwszym w tej chwili w faworze. I tak szło *sequens* i *sequens*. Co oni na te niby wyporządzenia pokojów tylko wydali publicznych pieniędzy, to na czterdzieście nowych murowanych domów wystarczyłoby pewnie! Jak się już to przebrało, nuż przerabiać uniwersyteckie mury! Potem obdzierać haniebnie i niby odnawiać kościół Św. Jana, i tak dalej. Dopieroż w arendach dóbr uniwersyteckich zaczęła się przedajność. W wydawaniu świadectw, kontraktów, rewersów, patentów — podobnież. W rozdawaniu miejsc nauczycielskich także bogatą a naturalną odkryto minę. Szkoły wszystkie, jak już mówiłem, skompromitowały się. Łatwo było powiedzieć, że temu winni prefekci i nauczyciele. Wypadało z systematu puścić wszystkich tych ludzi przez sito; kto za siebie zapłacił, dobrem był ziarnem. Nie mający nic do dania, poczciwi i najczęściej zdolni poszli do kąkolu i plewy i zostali z żonami i dziećmi bez

kawałka chleba; a nowi, co za siebie zapłacili, weszli na ich miejsce. Nawet profesorowie uniwersyteccy musieli odstępować część pensji swoich! Czego nie wziął Nowosilcow, wziął Pelikan, resztę Pelikanowa, Platon Kukolnik *et consortes*. Dopieroż potem zawinięto się około sum uniwersyteckich, burs i funduszów Komisji Edukacyjnej. Nowosilcow ciągle tam czerpał i pożyczał, jak w swojej kieszeni. Kukiewicz w tym względzie przedziwnym był do rady, jak wszystko zagładzić, żeby śladu nie było. Słowem zbrodnia, zbrodnia, łupiestwo, Sodoma i Gomora wszędzie, że aż brzydko mówić. A na papierze wszystko było pięknie. Jakże się kto, broń Boże, choćby w domu u siebie o tem odezwał, marsz zaraz do kozy, w sołdaty, na Syberję, bo ty buntownik, *carbonaro*, liberalista, spiskowy! Nietylko cesarz Aleksander, ale nawet minister oświecenia o tem nic nie wiedział, i dotąd nie wiedzą w stolicy zapewne.

To tedy była stara już generacja łotrów. Trzeba było pomyśleć o przygotowaniu, na wszelki wypadek, nowej a wdzięcznej za podaną rękę pepinjery. Nabrało się łatwo takich. Między niemi najzdolniejszy był niejaki Adamowicz Adam; dziś po wyliczeniu lat końskiej służby już radca stanu, którego nazywano u nas, jakeśmy na lekcje jeszcze chodzili — „Adamele, mamele, tatele". Syn to żydka kramarza, co to bywało niedawno jeszcze nosili po ulicach przed sobą w szufladach na rzemieniu, za szyję zaczepionym, mydełka, pomady, pióra hamburskie, igły, naparstki. Teraz, jak uważam, ta moda przeszła. Stary Adamowicz nosił jeszcze przytem i te ochronne owcze pęcherze, które uczciwiej angielskiemi redengotkami zowią, i studentom je po bramach sekretnie sprzedawał. Śmierdziuszek syn jego pisał naprzód recepty ślepemu Liboschützowi, potem temperował piórko profesorowi anatomji Lobenwejnowi. Ten, umierając, polecił go Pelikanowi. Wycierając przedpokoje Pelikana, wkręcił się jeszcze i do Bojanusa. A skończył na tem, że wyuczywszy się konowalstwa, kosztem rządu wysłany był za granicę, dokąd z żonką, także dymisjonowaną z mojżeszowej wiary luterką, na lat kilka się udał. Powróciwszy, został profesorem terapji weterynaryjnej. Było to dla niego szczęście. Ale rychło, przywykłszy do niego, wyrósł w jakąś butę i zaczął się wstydzić swojego fachu. Chciał koniecznie leczyć ludzi, bo był i doktorem.

Ale z chorymi obchodził się wiecznie, jak z końmi. Mimo to człowiek zdolny, głowa sprytna, pióro piękne, serce złe, duma małego udzielnego niemieckiego księcia. Krescytywę swoją wszakże winien nie zdolności, ale tylko łamańcom, trzęsieniu jarmułki i umiejętnemu pełzaniu. Zatoż proszę no na tego eksbachura teraz spojrzeć! Co to za fantazja! Jak się to dmie to plugastwo! Aż mgło się robi!

Było jeszcze i innych takich młodych kilku, ale o nich i mówić nie warto. Szczególnym jakimś cudem zachowano pomiędzy tym brudem najzacniejszego, najcnotliwszego, godnego uwielbienia człowieka — Karola Muyschela. Ale to była widać jakaś z ich strony pomyłka, albo, powtarzam, to cud był jakiś! Muyschela, jeśli żyć będę, w oddzielnem obejmę piśmie, bo wart tego, żeby ręka przyjaźni choć kilka na grób jego rzuciła kwiatów.



Prezydent Bakowski
en beau.

ROZDZIAŁ X.

Trzeba nakoniec, jakbym się z tem nie ociągał, przystąpić i do tego, co mnóstwo i na mnie i na życie jednej jeszcze osoby wieloletnich sprowadziło bólów. Po ćwierci wieku jeszcze mi pióro drga w ręku, jak o tem pomyślę. Cóż mi to było wtedy? Oto mam mówić o jedynej, jaką w życiu mojem miałem, prawdziwej, namiętnej miłości. Wszystkie inne, jakie mi się pierwiej i potem zdarzały, były tylko przy niej cieniem i marą, choć były może mniej więcej, jak to mówią, szczęśliwe i choć we mnie słodką i wdzięczną zostawiły pamięć. Ale ta jedna, co było czystego, co było prawdziwie niepokalanego w mem sercu, strawiła, spaliła na węgiel i popiół.

Miłość, jakiż to wyraz, jak obszernego i różnostronnego znaczenia! Zapytaj króla, zapytaj chłopka, zapytaj Żyda, zapytaj Turka, zapytaj Cygana, zapytaj dzikiego człowieka, zapytaj Platona, — każdy ci o niej inaczej po swojemu powie. Wielu z dzisiejszych mędrców i autorów, którzy stosownie do natury naszego języcznego wieku mało czynią, a wiele rozprawiać umieją, — choćby naprzykład sam Balzak, celują w swoich dziełach anatomicznym rozbiorem, schwyceniem, że tak powiem, drgnięcia każdej żyłki, każdego nerwu miłości. Cały świat się dziwi, czyta, chwali i w niebogłosy woła: „Ach, jak to pięknie! Jaka prawda! Jak trafnie!"

Ale zapytajcie tych, co prawdziwie kochali. Ten, co tak delikatnym i biegłym skalpelem wchodzi w duszę naszą, sam tego, wierzcie, nie doświadczył nigdy. Zły człowiek najlepiej mówi, najwymowniej pisze o cnocie, bo to jego poezja. Ten, co się nigdy duchowo nie kochał, wybornie na zimno pisze o miłości,

bo to także jego wieczorne i ranne marzenie, w którem rozpłomieniona wyobraźnia zaciera stan rzeczywisty duszy.

Tymczasem i ty, i wy, i ja z rozkoszą na zimno także słuchamy go i czytamy. Bo pięknie. Któż z tych, co niebo włoskie widzieli, nie rozwija listków serca swojego przed jakimkolwiekbądź tej błogosławionej strefy opisem? Kto z tych, co go nie widzieli, wierząc artyście, nie chciałby się lotem ptaka tam przenieść i choć raz tem świętem odetchnąć powietrzem? Wierzcie jednak mnie! Gdyby ten, co tak o miłości pisze, sam tego doświadczał, nie targnąłby się, nie odważyłby się, nie podjąłby się tego opisu.

Ty chcesz to opisać? Ty chcesz ująć w martwe wyrazy to potężne uczucie, tę najistotniejszą cząstkę naszego duchowego życia? Ależ na to niema wyrazów w żadnym ludzkim języku. Trzeba iść chyba po nie do źródła miłości, do Boga! Nie, ty zaledwie to czujesz, ty zaledwo do tego doszedłeś, że gdybyś tak, jakbyś pragnął, mógł ścisnąć w swoich objęciach ukochaną od ciebie kobietę, gdybyś ją tak ścisnął, albobyś się z nią w jedną zaraz przetopił istotę, albo martwe jej u nóg twoich upadłoby ciało. Zdruzgotane upadłyby kości... Aleby to ciało lotnym, jak diament, do Boga nie uniosło się gazem!... Boś ty w sobie zdematerjalizował jeden albo dwa najwięcej zmysły.

Kobieto, nie lękaj się w tym razie ani śmierci, ani żadnych fizycznych cierpień, ani, co może dla ciebie gorsza, żadnego materjalnego wdziękom twoim uszczerbku! Bóg na to dał radę i przeszkodę w samej naturze tego zachwycenia położył. Właśnie wtedy ten, coby ochoczo i śmiało poszedł na szturm i kartacze, nie ośmieli się dotknąć do ciebie! Ale jak się tylko na to odważył! bywaj zdrowa, znikły mistyczne siły, wszystko pójść może dobrze, pomyślnie, rozkosznie, trwale, — ale to już nie to!

Widziałeś zorzę północną? Widziałeś, dziwiłeś się jej? Podobały ci się jej wdzięki? Schwyćże ją i opisz! Nie uda się! bo się w różne desenie i pasy w mgnienie oka przemienia! A toż materjalne proste zjawisko. Cóż dopiero z portretem miłości.

Kto raz uczuł namiętną miłość w całej jej czystości, potędze i sile, przebaczcie mnie, ten już po raz drugi nie uczuje jej nigdy! Ten o niej drobiazgowo mówić nie będzie nigdy.

Ten z uszanowaniem tylko, kiedyś, kiedyś przed własnem, — niestety! przed własnem tylko najczęściej sercem uklęknie.

Jest to zbiór najczystszych, najszczytniejszych, najszlachetniejszych, i zarazem może, nie wstydźmy się wyznać, najgrubszych glinianych, błotnistych uczuć i dążeń. Próżno piasek w oczy rzucać! Zawsze nas glina, ciało nasze, za połę do ziemi rychlej lub później przyciąga! Ale duch zwycięsko nieczyste myśli odpiera. I w tem właśnie leży różnica miłości ludzkiej, jakkolwiekby wzniosłej, od dalszych miłości, które nas na innym czekają świecie. Tutaj - to kalejdoskop. To płomień, to ogień, to rozżarzona pędem pioruna lecąca lawa; to, podczas, i zimna stojąca woda. To wszystko porywająca w swym biegu rozdęta, wzburzona i mętna rzeka; to i czysty z wdzięcznym szmerem po kamykach toczący się strumień. To świeże, balsamiczne, żywotwórcze, pod jasnym promieniem słońca drgające w oku wiosenne powietrze; to i czad, bolesnym i zgubnym człowieka obejmujący jadem. To ptak rajski z rajskiemi piórkami; to i wąż dusiciel w grube, niezgrabne a straszne zwinięty pierścienie. To tygrys, — to zaraz i jagnię. To kwiat wdzięczny róży, — to i pokrzywa, piekąca drażliwą i czułą do niej ściągniętą rękę! To słodki śpiew Mozarta, Rossiniego, Aubera, to i ryk rozdąsanego żubra w Białowieskiej puszczy. To rozkoszny zapach ananasów, — to i odrażliwa woń blekotu. To miód, to pieprz, palący język złośliwym żarem. To niebo — to piekło. Nie! to wszystkie nasze zmysły w jedno wcielone, a potem w lotną zamienione parę. To ciało, co się na czas jakiś w ducha niejako zmieniło i w tym nowym stanie poszło się na chwilę połączyć z naszą boską duszą. Inaczej, dlaczegobyś czuł przez dziesiątą ścianę, że ona tam jest? Dlaczegobyś każdą jej myśl zgadywał? Zgadywał, jak swoją własną, a ona patrzy ci w oczy i pyta w duchu: jakże to zgadłeś? Czemużbyś śród zgiełku i szumu balów, teatrów, wieczorów, zdaleka słyszał, jakby nad twojem uchem, każde jej westchnienie? Czegobyś płakał tutaj, kiedy ona sto mil od ciebie płacze? Czegobyś płakał jej łzami?

Ty więc, co chcesz to wszystko objąć w piękne słowa i to za główny cel stawisz swojej powieści, nie oszukuj bliźnich! Tyś tego nigdy nie poznał. Szczęśliwcze, a może czasem i godny litości człowieku, tyś tego czucia nigdy nie uczuł! Kochać się

w tym stopniu może tylko młody, ognistej imaginacji, prostego serca, rasowej delikatności, niewinnej a szlachetnej duszy człowiek. Co dziwniejsza, może i stary, co jakimś cudem złoto serca swojego wyniósł całe i czyste ku brzegowi grobu z brudnych i nieszczęsnych tyglów potocznego życia. Obydwuch na tym świecie żałujcie! Żałuj młodego, bo zaprawdę lepiejby się na tej ziemi nie rodził. Ale dziesięć razy więcej żałuj starego! Nie urągaj się jego siwiźnie! On także był młody, a, o zakład, był ciągle od ciebie lepszy. Ale on dzisiaj, jak mrozem zwarzony późny kwiat pomarańczy, którego dostrzegłszy na przechadzce życia żałujesz i gwałtem mówisz: „Ach, jaka szkoda". Człowiek średniego wieku nadto jest roztargniony wypadkami gwałtownego ruchu, żeby miał kiedykolwiek ulec takiej miłości. Ciało wtedy, to jest materjalny interes, zawsze bardzo silnie nad duchem góruje. Najwięcej co może z natury rzeczy to to, że się pół-materjalnie kocha. I to jest właśnie miłość, którą wszędzie tak pięknie malowaną widzimy.

Puginały, trucizny, okropności, śmierć, a co gorzej, dobrowolne wieczne kalectwo, słowem wszystko to, co się u nas nazywa głupstwem z miłości, momentalną warjacją, — właśnie tylko jest przywilejem bardzo młodych lub starych. Ale wy nie wiecie, wy się nie domyślacie, ile może w tem głupstwie było rozkoszy!

O kobietach nic nie powiem. Bo cóż miałbym powiedzieć? Znają one potężną miłość innego rodzaju. Siły są rozdzielone. Między małżonkiem, kochankiem i dzieckiem w każdem zdarzeniu kobieta z przyrodzenia już swojego łatwy i rychły znajduje wybór. Mężczyzna z ognia wynosi żonę, kobieta — dziecię. Mężczyzna tę ojcowską miłość zna tylko przez słabość serca, albo rykoszetem przez słabość swoją dla żony. Kobieta tu w całej pełni. Ojciec każdy, kiedy się cicho z własnem sumieniem rozmówi i na ucho sobie we własnem sumieniu odpowie, odpowie to skrycie, co mnie mój ojciec, jak już wiecie, głośno tak często powtarzał.

Kobiety jednak są ołtarzami, przed któremi i wierni i niewierni modlą się i modlić się będą aż do skończenia świata. Wszystkiego, co się wielkiego stało na świecie, pierwszem, a najczęściej ukrytem źródłem była zawsze kobieta. O jakże się

mylą, jak się mylą teraz, kiedy chcą zejść ze swojego miejsca. Cóż się stanie ze światem, kiedy kobieta stanie się znowu tylko naczyniem. Kobiety w prawdziwej nawet miłości tylko lansadami chodzą. Trwałego nic. Wszystko w nich od momentu, od natchnienia zależy. Ale też prawda, że są w nich momenty, cudowne, rajskie, boskie momenty! Gdyby się te przedłużyć mogły, gdyby dłużej nad mgnienie oka trwały, świat nasz stałby się jednym wzdłuż i wszerz rajem. Ale tego Bóg nie chciał. Jestże to gdzieś w rozdziale VI-ym — nie wydam źródła — powiedziano, że do ziemskich kobiet zstępowali boscy anieli. Nigdzie tego nie znajdziesz, żeby potrafili którąkolwiek z nich podnieść do siebie. Zawsze jednak kobieta, a bardziej jeszcze cywilizowana kobieta, do wyższych, do lotniejszych od nas istot należy. Nie powiesz tego o żadnej innej samicy. Nie powie tego nikt potem o emancypowanej kobiecie. Ocenienie czystości i wznioślejsze pojęcie o tem uczuciu, o którem mówimy, zależą od równi pochyłej, po której człowieka naprzód pierwiastkowa organizacja, a potem zasady, wlane przez matkę, szlachetne ojca nauki, domowy przykład, wiek, doświadczenie, otaczający ludzie, wypadki życia i duch czasu prowadzą. Oswoić się tak łatwo można z rzeczą, a cóż dopiero z ideą! Nie dziwmy się, kiedy się to spaczy.

Nie zboczę od materji, kiedy powiem: dobrze gdzieś napisał Henryk Rzewuski, że dziś weszłe w modę i zwyczaj przy licytacjach tak nazwane odstępstwa nie są bynajmniej z siebie nieuczciwym postępkiem. Nic naturalniejszego, zdaje się, jak zalicytowawszy jaki majątek, jeśli prawo swoje na innego przelewasz, albo licytując, jeśli mu w targu nie szkodzisz, wziąć za to jakieś wynagrodzenie. A jednak któryż prawdziwie delikatny, uczciwy, dobrze wychowany, a jak Rzewuski nawet dokłada, dobrze urodzony człowiek, chociażby może i w prawdziwej był potrzebie, na to się puści? Kto się w to wda, już z zawias wysadził te zalety, o których tylko co mówiłem. Już się z panującą dzisiaj modą i ideą oswoił. Można ustawicznem w głowę bębnieniem oswoić się z myślą, a nakoniec nabyć przekonania, że powaga rodu i rasy nic zgoła nie znaczy. Na to nawet są bijące w oczy dowody. Prezydent jakiej wielkiej rzeczypospolitej chwalić się może, chwalić się nawet będzie z trybuny

publicznie, że jest synem, przypuśćmy, szewca. Poniekąd będzie miał najzupełniejszą rację. Bo dojść do takiego stopnia, wychodząc z najniższych społeczeństwa szczeblów, prawdziwą jest sławą, prawdziwem uszlachceniem. Kontent więc jest z siebie, pyszni się z siebie! Ale mimo to wszystko wleź w jego najskrytsze myśli i zapytaj o to, jak na spowiedzi; — przyzna ci się, że wolałby jednakże pochodzić od Monmoransych, Kontarynich, Duglasów, Montekukulich, Zamoyskich, Chodkiewiczów, Żółkiewskich. Kiedym się z rozkazu ojca zaczął uczyć medycyny, zemdlałem na pierwszej lekcji od samego widoku człowieczych, choć białych, jak śnieg kości. Zczasem oswoiłem się tak, żem dni i nocy pomiędzy trupami trawił bez wstrętu i dziwiąc się nawet odrazie ku temu innych, ludzi. Uważałem, że to rzecz naturalna. Ale jakem znowu od tego przez parę lat odwykł, zwiedzając kiedyś anatomiczny gabinet i teatr, porwały mię znowu okropne mdłości i ledwie tyle było czasu, żeby mię stamtąd na świeże wyprowadzono powietrze.

To tedy bieda, że się człowiek tak łatwo ze wszystkiem oswaja i do wszelkich wyobrażeń, chociażby najsprzeczniejszych z sobą, tak prędko przywyka i w siebie wciela.

Jak się tylko dążenia i czasu i wieku do materji, do czystego rozumu, do analitycznych we wszystkiem dowodów gorliwie zbliżać zaczynają i ducha skrystalizować pragną, albo jak już w tym ciągle postępują kierunku, duch zaraz widmem, baśnią, poezją się staje i rzeczywistość swoją w sercach i głowach ludzkich powoli zupełnie utraca. Póki go z odrętwienia łaska boska, albo nowe, a odwrotne nie obudzą cele.

Tak się właśnie ma i z miłością. Można ją brać i czuć materjalnie, półmaterjalnie, zupełnie, albo prawie zupełnie duchowo. Zależy to od pojęć, wyobrażeń i większego lub mniejszego oddania się indywiduów wpływowi wieku i czasu. Ten mnie zrozumie, kto zrozumieć może.

Pierwszych dni grudnia 1823 r. przyszedł do mnie Müller. Z pół może tygodnia nie widzieliśmy się byli z sobą, nie wiem, dla jakiej przeszkody. Rozmawialiśmy i bawiliśmy się jak zwykle. Uważałem jednak, że często sobie pod nosem nuci; znak zły u niego, który mnie ostrzegał, że ma coś na duszy.

Późniejsze doświadczenie w pożyciu na świecie nauczyło

mnie, że jak tylko ludzie, mający twoją poufałość, a mało mówiący z natury, będąc z tobą sam na sam, w interwalach rozmowy mruczą albo nucą zlekka jakieś tam piosenki, albo je zcicha ściśniętemi ustami podgwizdują, możesz pójść o zakład o sto przeciw jednemu, że mają na celu, — stosownie do charakteru i stosunków jednej osoby z drugą, — albo zgrabnie wydobyć coś z ciebie, co im wiedzieć potrzeba, albo, co najczęściej bywa, oszukać ciebie, albo zaproponować ci jaką spekulację dla obu, czy pozornie tylko, czy doprawdy korzystną; albo nakłonić cię do jakiego interesu, w którym zgóry przewidują twój opór; albo ważą się z sobą, czy zrobić tobie jaką wymówkę lub nie? Jeżeli w ciągu takiej rozmowy nic z tego nie okaże się, nie rozpaczaj, możesz być pewnym, że to tylko do innego odłożono czasu.

Po jednym, drugim kwadransie Müller przystąpił do rzeczy. „Panie Stanisławie", rzekł: „mam do ciebie prośbę i sam nie wiem, jak do niej przystąpić".

— „Przystąp śmiało i otwarcie", odpowiedziałem, nie mogąc zgadnąć o co rzecz idzie.

„Oto", rzekł: „Marja, siostra żony mojej, moja bratowa, Ksawerowa, o której tyle słyszałeś, przyjechała tu wczoraj. Jest to jedna z najnieszczęśliwszych kobiet. Do różnych przeciwności jej życia przyłączyła się teraz okropna jakaś choroba wszystkich trojga jej dzieci. Nie mogli dać jej rady miejscowi lekarze i wysłali do Wilna. Ta biedna kobieta od rozumu odchodzi. Wiem, że nie chcesz tu zajmować się praktyką lekarską, tem bardziej zbijasz mnie z tropu, że wynagradzać siebie w żadnym sposobie nie dajesz. Ale to też właśnie większą u nas wzbudza do ciebie ufność. Poświęć się dla przyjaźni. Znam twoją naukę i przychodzę cię prosić, czybyś się nie zgodził przyjąć te nieszczęśliwe dzieci pod swoją opiekę?"

Z każdym innym człowiekiem ważyłbym się, a nawet najpewniejbym odmówił, tem bardziej, że to było w Wilnie, gdzie, jak mówiłem, więcej było lekarzy jak chorych. Odmówiłbym to może nawet przyjaźni Müllera, z którym mnie żadne zgoła nie łączyły obowiązki, do podobnych wzywające przysług. Ale nie miałem serca odmówić nieszczęściu kobiety, nieszczęściu

matki, o której tyle już dobrego słyszałem i która, nieznajoma mnie jeszcze, tak wiele już miała mojego spółczucia.

Zgodziłem się *sans phrase* natychmiast. Müller przestał nucić.

— „No, ubierajże się prędzej, pojedziemy razem".

Na to nie zgodziłem się, alem go wyprawił, żeby mnie z zegarkiem w ręku akurat za pół godziny w domu z okna swojego pilnował.

Potrzebowałem tego czasu na przyjście z sobą samym do równowagi. Miałem się spotkać z kobietą, o której nieraz dziwy sobie roiłem. O której zadziwiającym, a ironicznym dowcipie, o której bystrem oku i chwytającem wlot wszelkie śmieszności nasłuchałem się był dosyta. Kto wie nawet? może to był i poszept jakiejś kokieterji. Przy Müllerze nie mógłbym dać takiego starania mojej toalecie, tak się wymuskać, jak kiedy zostałem sam jeden. Męczyła mnie trochę razem i odpowiedzialność, jaką brałem na siebie. Praktycznie znałem już wprawdzie daleko więcej, niż którykolwiek z moich młodych kolegów. Od dzieciństwa, ilem zapamiętał, z domu naszego doktór nie wychodził nigdy. To rocznie umówieni na wsi, to domowi po miastach zawsze oni u nas gościli. Ciągła z nimi rozmowa, przysłuchiwanie się egzaminowi na wsi chorych, oswojenie się ze środkami lekarskiemi zwykle używanemi, rozważanie potem skutków tych lekarstw robiły mnie już niejako pół-doktorem pierwiej, nimem się uczyć medycyny zaczął. Te praktyczne kombinacje i przewidzenia, jakie we mnie postrzegał, nieraz dziwiły samego Franka. Podobnymże sposobem, mówiąc nawiasem, wyuczyłem się wybornie kucharskiej sztuki, z teorji, ze słuchu. Ojciec mój miał przedniego kucharza, a sam był łakotniś. Co wieczór, stojąc wyprężony przed nim, słuchałem instrukcyj jego, kucharzowi dawanych, i dysput, z tego względu biorących pomiędzy nimi początek. Cóż miałem robić? Słuchałem i korzystałem. A potem, żyjąc już domem i własną trzymając kuchnię, jakże mi się to przydało! Nie pogardzajcie niczem.

Wracając do rzeczy, powiadam, że śmiałość i odwagę miałem, jak stary doktor, ale ją we mnie niszczyła myśl o tej kobiecie i myśl, że to jej dzieci będą pod skutkami mojej recepty. Z drugiej strony chciało mi się, jak zbawienia duszy, stać się jej uży-

tecznym, a nawet potrzebnym — dlatego, że dobra i nieszczęśliwa. Bądź co bądź, chwyciwszy pierwsze spotkane sanie, pojechałem w imię Boże.

Wprowadził mnie Müller. Siedziała wtedy na sofie, nieco odwrócona od bliskiego okna. Pozycja, którą najczęściej z instynktu przy poznaniu się z mężczyznami wybierają kobiety. Rzadko co wtedy dostrzeżesz na ich twarzy, one wszystko jak na dłoni widzą na twojej. Chceszli zabrać pierwsze retranszamenty? pod jakimkolwiek pozorem usiądź sam tyłem do okna. Ona wtedy na większem zostanie świetle. Zobaczysz jak temu będzie nierada. Wchodząc serce mnie biło, jak młotem; lękałem się, żebym się zgóry nie zbłaźnił, czerwieniąc się jak student. A twarz moja nieszczęśliwa zawsze była zdrajcą, zawsze przywykła malować na sobie to, co się wewnątrz mnie działo. Jeszcze i teraz, kiedy mi do półwieku zaledwie kilku lat nie dostaje, nie mogę się pozbyć tego kalectwa, tego prawdziwego w pożyciu z dzisiejszymi ludźmi defektu.

Ale na szczęście, — ucałowałbym jej za to i ręce i nogi, — równo z wejściem mojem uwolniła mnie natychmiast kobiecina od trwogi, zczerwieniwszy się sama odrazu, jak chińska róża. Jakem tylko dostrzegł widocznego jej rumieńca, ja zostałem blady i na twardszej nodze stanąłem. Lękałem się był najwięcej jej pewności, aplombu i oswojenia się z najrozmaitszymi ludźmi, jakoteż niepodobieństwa wyczytania czegokolwiekbądź w jej twarzy, o którem mnie tyle i tak powszechnie mówiono. Aż tu co innego zupełnie, na ten raz przynajmniej. Widzę tę mężatkę, tę matkę, zdetonowaną, jak piętnastoletnia panienka, i to przede mną, błaznem. Brawo! Domyśliłem się zaraz, że i o moim dowcipie, który kiedyś był w główce, głowę jej nabić podobnież musiano i żeśmy się momentu poznania oboje wzajemnie lękali. Cieszyłem się, że w tym boju ona plac podała... Zawsze lepiej dla naszego honoru, kiedy go mężczyzna utrzyma

Pomówiwszy słów kilka o jej drodze, o Wilnie i o tych zwyczajnych przy pierwszej znajomości bredniach, które są pustym wiatrem, a jednak za rozmowę uchodzą, poszliśmy do dzieci. Tu zaraz dostrzegłem prawdy tego, co mi już mówiono. Strwożona myślą, co o nich powiem i czy jaką zrobię nadzieję, raptem się stała weselsza, żeby ukryć niespokojność swej duszy.

Mimo to zdawało się mnie, że widzę, a może i doprawdy widziałem, jak wszystkie jej nerwy konwulsyjnie drgały, jak wszystko, co na niej było, drobniutkim ruchem wstrząsane było. Ale twarz jej pełna była wesołości i najuprzejmiejszego uśmiechu.

Wszystkie te dzieci trapiła jedna, ale okropna skórna choroba, tem uporczywsza i gorsza, że już była zmieniła swój pierwiastkowy charakter i różne na siebie przybrała maski stosownie do usposobienia każdego z tych ciałek. Bystre oko matki wlot chwyciło z mojej miny to, com sobie pomyślał. Oczy jej napełniły się łzami, ale twarz jeszcze weselsza się stała. Wyglądała wówczas jak słońce, kiedy się promieniami swojemi przez gęsty deszcz przebija. Pilnie zbadawszy stan tych dzieci i rozważywszy dotychczasową metodę leczenia przez wojskowych medyków użytą, co niezawsze dla dzieci bywa korzystne, zapewniłem ją, że ile człowiek w podobnych razach zaręczyć może, pewny jestem, że będą zdrowe. Że leczenie ich jednak bardzo długiego potrzebuje czasu. Wspomniałem jej, że może kto inny potrafiłby to zrobić prędzej ode mnie. Ale, że jeśli chce, żebym ja to prowadził, powinna natychmiast wszystkie dotychczasowe leki zawiesić, flaszki i słoiki za okno kazać wyrzucić, dzieciom na jakie dni dziesięć dać zupełny spoczynek, a sama być dobrej myśli.

Zapewnienie moje uspokoiło ją widać, bo zaraz znowu stała się smutniejszą. Sięgnąwszy we mnie swoim matczynym wzrokiem głęboko i przekonawszy się widać, że mówię, jak myślę, zaklęła mnie, żebym jej nie opuszczał, — i na temeśmy się rozstali.

Poszedłem na moment do siostry jej, pani Elżbiety Müller, jak tego wymagała grzeczność.

Jakże wyglądała przecież ta kobieta? O, co to, to powiem zaraz, póki ją jeszcze taką, jak była, widziałem. Bo niedługo potem, nic już nie widziałem, albo wszystko w niej jednej widziałem.

Od pierwszego wejrzenia każdy musiał powiedzieć i mówił, że to ładna kobieta! Gra fizjonomji przy takich rysach robiła ją jeszcze ładniejszą. Twarz doskonale owalna, czysta, biała, delikatna. Oczy duże, błękitno-czarne, pełne dowcipu i ognia. Brwi i włosy ciemne, ledwie że nie czarne. Usta koralowe, zęby

jak śnieg białe, uśmiech nieustanny, ciągły i dziwnie przyjemny. Głos czarujący i w mowie i w śpiewie. Rączka, nóżka, a szczególniej nóżka, jak u małego dziecka! Maniera pełna naturalności, uprzejmości i bardzo szlachetna. Znajomość świata wielka. W tonie, jakby trochę dumy, albo raczej znania się na swojej wartości. Ale czyż była, co nazywają piękna? Nie! Wercia Sacken sto razy była od niej piękniejsza. Ale Wercia była prześliczną statuą Pigmaljona. Ksawerowa była kobietą, kiedy już statuę Pigmalion tchnieniem swojem ożywił.

— „Jakże znalazłeś moją siostrę“? rzekła mi od niechcenia pani Elżbieta Müller.

— „Daruj pani, że byłem zajęty, a zatem niegrzeczny. Na teraz o jej dzieciach tylko myślałem. Pomyślimy o tem innym razem i zdam sprawę sumiennie“. Tę poważną doktorską odpowiedź, jak się nieprędko potem dowiedziałem, jako dowód negacji wszelkiego wrażenia, pani Müller natychmiast ciepłą siostrze swojej odniosła.

ROZDZIAŁ XI.

Wróciłem do domu. Mój Lingiewicz przyniesiony oddawna już obiad w ciepłym trzymał piecyku. Jadłem, jak może nigdy, chociażem nigdy obżartuchem nie był. Ale jadłem, niebardzo wiedząc o tem, że jem. Jadłem ot tak, z nałogu. Znak choroby nieosobliwszy. Ależ zato po obiedzie kazałem wszystkie drzwi zamknąć, rozebrałem się do rosołu i wolny od wszelkich więzów ubioru położyłem się na łóżku i oddałem się myślom, które we mnie okoliczności dnia tego wywołały. Sumienie kazało może myśleć o tych dzieciach. Kokieterja, czy szatan, czy nie wiem już co, sprawiali, że matka ich ciągle w oczach mi stała.

W takich rojeniach na jawie zasnąłem doprawdy. Zdawało mi się znowu, że ich wszystkich widzę. Że mnie srogim wzrokiem pani Elżbieta Müller od stóp do głowy rozmierza. Żem na to wzajemnie nieprzyjemnem odpowiadał wejrzeniem. Ale zdawało mi się przytem, że się nade mną dwoje aniołów, Ksawerowa, matka, i malutkie prześliczne dziecko, dwuletnia jej córka Marynia, na złocistych skrzydłach unoszą i do siebie wabią. A mądrzy ludzie mówią, że sny nasze nigdy nic w sobie proroczego nie mają. Dlaczegoż to drobniutkie podówczas dzieciątko w kilkanaście lat potem przylgnęło do mnie?!...

Zbudzony zostałem z tego słodkiego marzenia przybyciem dwóch gości. Sąsiada naszego ze wsi — prezydenta Bakowskiego, dziedzica Butrymańców, i adwokata, którego ojciec mój do interesów w Wilnie używał. Ci bez długich ogródek powiedzieli mnie, że na podaną wczoraj prośbę przez niejakiego Bończę — Tomaszewskiego Korsakow wydał natychmiast rezolucję, żeby cały majątek ojca mojego opisać i zasekwestrować. Że na tak arbitralny i niczem nie dający się usprawiedliwić postępek,

ponieważ jest bez żadnego sensu, niema już jednak innego sposobu, jak zapomocą wiadomych starań tę rezolucję przez parę tygodni pod suknem zatrzymać. Że stary Korsakow tymczasem o niej zapomni i naglić nie będzie. Ale że wypada natychmiast skargę do w. księcia Konstantego i uwiadomienie do ojca mojego wyprawić do Warszawy sztafetą. Oba ci panowie oświadczyli mnie, że, wydawszy na forsę wszystko, co mieli gotówki, ekspens tej sztafety mnie zostawują.

Przelękniony, strwożony, nie znający szykan prawniczych, a znając i surową ojca mojego czystość w interesach i wstręt jego od wszelkiego procederu, nie mogłem długo przyjść do siebie i zrozumieć, co mi goście moi mówili. Jak pojąć to, że pretensja fałszywa, nic nie znacząca i drobna człowieka ubogiego, który żadnej nigdy nie miał własności, pretensja, stosowana zupełnie do kogo innego, może się skończyć opisem i sekwestrem majątku trzeciej osoby, sekwestrem naszego majątku, przenoszącego bez żadnego porównania walor niesłusznie poszukiwanej sumy? Jak już nieraz mówiłem, zawszem temu jeszcze nie wierzył: „że z piasku bicz ukręcić można!"

Nim powiem, kto był i Bakowski i Bończa-Tomaszewski, muszę tu wspomnieć, że Litwa od daty przyłączenia jej do Rosji pod względem wymiaru sprawiedliwości była ciągle w położeniu prawdziwie więcej, niż chaotycznem. Zostawiono jej prawa dawne w procesie cywilnym. W kryminalnym, oprócz praw dotąd istniejących, krajowych, dołączono jeszcze procedurę rosyjską. Nadto w obu procedurach polecono opierać się i na ukazach, których, jeden drugiemu przeciwnych, do każdego przypadku stanu odszukać można było. Ukazy te bowiem, od wieków wydawane *ad casum*, musiały się nieraz z sobą w zasadniczej myśli krzyżować (A 24).

Nic tak nie daje w każdym kraju pochopu do pieniactwa, jak otwarcie drogi szykanie. Cóż dopiero u nas, gdzie szlachta, tylko co zwykłego republikańskiego pozbawiona ruchu, w kartach jedno i prawowaniu się jakąkolwiek znajdowała życia ostrogę, jakikolwiek *excitans?* Toteż się na to z wściekłą zapamiętałością rzuciła. W każdej sprawie adwokat jednej strony stawał z artykułem statutu i konstytucji i konkludował podług tego artykułu. Adwokat drugiej strony, jak już było mu ciasno,

dawał koziołka i występował z ukazem, zupełnie przeciwnie brzmiącym, i wbrew przeciwne tamtym robił konkluzje. Sędziowie bez nauki prawa, z wyboru sejmikowego wysadzeni, sami nie wiedzieli co począć, i robili tak, jak im pan regent radził. Statut mówił biało, ukaz mówił czarno o temże samem. Szukajcież środka! Wyrok tedy był dziwaczny. Szła apelacja wyżej i wyżej. Generał-Gubernator nieraz w skutku podanej do niego przez jedną ze stron prośby, nie radząc się ani statutu, ani ukazu, od siebie arbitralnie stanowił, że aż miło było. Po latach dziesięciu, lub więcej, rzecz doszła aż do Senatu, do 3-go departamentu Senatu w Petersburgu, wyłącznie sprawom Litwy i Wołynia przeznaczonego. Tam, kto umiał i miał o czem chodzić, wygrał. Bo, jak potrzeba komu było, to raz statut, to drugi raz ukaz za podstawę wyroku przyjęto. To też między urzędnikami 3-go departamentu Senatu i urzędnikami innych jego departamentów była kolosalna różnica. Tamten był Krezus, — te Irusy. Trwało to wszystko około pół wieku, bo nieledwie a może i dotąd. Ale co gorzej, wprowadziło to potrzebę mienia w Petersburgu tak nazwanych plenipotentów, prawdziwej społeczeństwa lepry, Polaków albo adwokacików, albo i bez żadnej znajomości prawa bezbożnych łupiezców, zbójców. Ci kazali sobie z Litwy i Wołynia przysyłać na każdy interes ogromne pieniądze i niemi w części zakupywali urzędników, a trzy razy tyle za swoją fatygę do kieszeni kładli. Tak, że ledwie nie każdy z nich po latach pięciu, sześciu, dziesięciu najdalej, zebrał miljony. Lada szef biura 3-go departamentu jeździł karetą czterema końmi. Szefowie biura innych departamentów podeszew pod butem nie mieli. Powiedzą to inni potem lepiej, bo obszerniej ode mnie. Ja, nie biorąc tego za cel pisma mojego, rzecz tę zakończę tylko jedną anegdotą, która nie dalej jak przed dziesięciu laty, po całym Petersburgu chodziła, a która, co to jest kancelarja Senatu, nieźle nauczy.

Była tam niejaka pani Xavier, Francuska, modniarka. Magazyn jej uważał się za pierwszy i najbardziej arystokratyczny w całym Petersburgu. Czasem nawet sama cesarzowa, dziś nam szczęśliwie panującego Mikołaja 1-go małżonka, zaszczycała osobiście ten magazyn swoją obecnością dla obejrzenia nowych transportów kobiecych fraszek z zagranicy. Raz pani Xavier pokazała cesarzowej arcydzieło sztuki, cudownej roboty i gustu brabancką

koronkową suknię z całym do niej również bogatym przyborem. Suknia ta wielce się najjaśniejszej pani podobała.

— Co za to?

— Dwadzieście pięć tysięcy rubli asygnacyjnych.

Cesarzowa takiej sumy na jedną suknię wydać nie śmiała, znajdując to marnotrawstwem. Powróciwszy do pałacu, przy obiedzie, opowiadając cesarzowi o swojej po mieście przejażdżce, wspomniała i o sukni, i o jej cenie tak niepomiarkowanej, i o tem, że choć jej się bardzo tej sukni chciało, nie mogła się odważyć tyle na taką brednię wydać pieniędzy. Cesarz Mikołaj, wielki i stateczny dla żony swojej galant, nie odpowiedział nic na to. Ale zaledwie wstał od stołu, posłał natychmiast sekretnie adjutanta dyżurnego, żeby kupił tę suknię dla cesarza i tego momentu z sobą ją przywiózł.

Pani Xavier mieszkała od pałacu może o pięćset kroków. Adjutant poleciał ptakiem. Cesarz tymczasem był bardzo wesoły i, ile mógł, przedłużał bawardaż w nadziei zrobienia przyjemnej małżonce swojej siurpryzy. Wraca nakoniec adjutant, ale z nosem na kwintę spuszczonym. Cesarz podchodzi do niego.

— A suknia?

— Najjaśniejszy panie, niema już jej, sprzedana.

— Kupiona?! Dla Boga! ale któż mógł tyle za nią zapłacić, ile sama cesarzowa rosyjska zapłacić nie śmiała?

— Kupiła ją, najjaśniejszy panie, za gotowe pieniądze żona sekretarza 3-go departamentu Senatu.

Wróćmy teraz do Bakowskiego i do Bończy.

Do ichtiosaurów, plesiosaurów, mastodontów i innych szczęściem dla nas, a może i nieszczęściem, zaginionych już na wieczne czasy w przyrodzeniu jestestw, należy także niedawno jeszcze zaginiony, bo przed dwunastu laty zmarły stary Józef Bakowski, prezydent ziemski trocki, dziedzic Butrymańców. Wyglądał on jak wielka małpa, a i małpa od niego, dalibóg, z miny piękniejsza. Suchy, chudy, łysy, płaskiego czoła, szerokiej od ucha do ucha gęby, ciągle nosem jak bobek świszczący, chodził we fraku i obcisłych spodniach, a nogi miał jak cewki. Łydka mu grała w cholewie, jak pistolet w olstrze. Dowcipu, konceptów ucinków pełno, jak pszenicy w szlacheckim świrnie. Świeżo powtórnie ożeniony, żonę miał młodziutką i prześliczną, praw-

dziwe cacko! Kiedy szli oboje razem, zdawało się, że anioł Boży, ludziom na wzgardę, przyjazną rękę orangutanowi podawać woli. Kosztowała ta kobietka, to prawdziwe licho, równo 60.000 złotych ojcu mojemu, który miał żonę ciągle nieszczęśliwą, bo chorą. Ale też i nacieszył się łepsko za swoje. Bakowski pisał i piękną ręką i bardzo zręcznie. Nie był to pieniacz w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, i sam prawować się swoją osobą nie bardzo lubił, chociaż mu palca w gębę nie trzeba kłaść było. Ale talent jego, genjusz jego nienaśladowalny w tem się zawierał. Kiedy ktoś w długach po uszy i sprawach cywilnych jakichkolwiekbądź cały zahaczył majątek, kiedy już ostatecznie opadnięty i osaczony był przez wierzycieli, kiedy się wymknąć już nie było można, kiedy ani żaden adwokat, ani żaden regent, ani inny jaki kruczek rady już na to dać zgoła nie mogli, posłano po Bakowskiego, zapraszając go na obiad. Przyjechał, pogadał, poczmychał, nosem poświstał i tak rzecz zaraz przez inspirację nakręcił, że dłużnik pięć lat jeszcze przynajmniej znowu spokojnie u siebie posiedział, a grosza nikomu nie dał. A i nie można było nawet na nadużycie narzekać.

Bończa Tomaszewski, dawny smyczek radziwiłłowskiej kapeli, a potem po różnych domach, jak to bywało, przesiadujący rezydent, nosił się po polsku. Był mały, pękaty, łysy, twarz niegodziwa i podła. Nos u nasady wklęsły, jakby go nie było, przy końcu w ogromną czerwoną gruszkę wyrastał. Pod tą gruszką siedziały wąsy. Ślepa pani Du-Deffant, gdyby zmartwychwstała i ręką swoją dotknęła się tej, żal tak nazwać, twarzy, drugi raz, wziąwszy ją za co innego zupełnie, zawołałaby ze zgrozą: „*Fi, quelle infame plaisanterie!*"

Tomaszewski oddawna jeździł po rezydencjach ze skrzypką,— cały swój skarb miał w kałamaszce. Do kałamaszki wprzęgał dwie wywiędłe białe, a gryką czy gorczycą popstrzone od starości szkapy. Gdzie przyjechał, grał różne sztuki na skrzypcach, ale celował naokoło graniem tak zwanego byczka z warjacjami. Byczek to ruski nacjonalny i oryginalny z akcentu, a dla naszego ucha komicznego motywu taniec. Tem ludzi bawił. Potem nudził. Mieszkał zwykle w Nowogrodzkiem, a nam oddawna był przez tamtejszych obywateli, Obuchowiczów, znajomy i przez lat wiele był i domu naszego najniższym sługą. Pieniacz to był,


Bończa-Tomaszewski

jakich mało, a dobroczyńcom nawet swoim nieraz dobrze za skórę zalał. Złapawszy gdzieś przypadkiem karteczkę, którą przed stu laty niejaka pani Zienowiczowa ekonomowi swojemu, Tomaszewskiemu, na kilka talarów bitych i sto podobno złotych wydała, że potem familja Zienowiczów dziedzictwem Butrymańce objęła, postanowił sumy tej z procentami na Butrymańcach poszukiwać. Wyliczył z tego błazeństwa, którego słusznej zasady niczem udowodnić nie mógł, sumę 6000 czy 7000 złotych, a kosztów drugie tyle. A że właśnie wtedy na usilne prośby ślicznych błękitnych oczu pani Bakowskiej, ojciec mój, ratując ich oboje, wziął bez żadnej potrzeby Butrymańce w zastawę i kredytorów Bakowskiego gotówką spłacił, zapozwał o swą pretensję ojca mojego, jako zastawnika. Ani mu można było żadną żywą miarą wyperswadować, że Butrymańce po Zienowiczach w czwartem już podobno były ręku. Że w ciągu stu lat przez trzy eksdywizje przeszły, z których jedna była Zienowiczowska, i że za każdej z nich, na niestawających zapisana była prawnie omisja. Że zatem i on już poszukiwań robić nie ma prawa, chociażby nawet i dowiódł, że ten odwieczny szpargalik, przez panią słudze swemu dla pamięci dany, opłaconym nie został, i do niego, Tomaszewskiego, jako do sukcesora należy. Choć mu kuj ćwieki na głowie! Mówiłeś, co chciałeś, słuchał, — i swoje dlatego robił. Prawował się tedy i wszędzie przegrywał. A nam jednakże grubo kosztował. Jak mu się ta droga nie udała, wpadł na myśl skruszyć Korsakowa. Padł mu zatem do nóg na czwartkowej audjencji i, gorzko płacząc, podał mu prośbę. Wołał w niej o ratunek, o miłosierdzie, że go obywatel Morawski napastnie z całej fortuny wyzuł i do tej oto bajowej, podartej doprowadził kapoty. Korsakow, widząc starca siwego łkającego, w obdartym kosmatym kontuszu biedaka, ulitował się nad nim, uwierzył mu i w porywie współczucia, kazał natychmiast dać mu rezolucję, żeby Tomaszewskiego nazad do jego majątku wprowadzić, a Morawskiego deposedować.

Otóż tedy Bakowski, co tej sprawy w Wilnie pilnował, i adwokaci, przytrzymawszy tak cudowną rezolucję wielkorządcy Litwy, wpadli do mnie, żebym *eo instanti* sztafetę do ojca mojego, który bawił w Warszawie, wyprawił. Ojciec udał się do wielkiego księcia, a ten wysłuchawszy, jak się należy o in-

teresie, sztafetą przysłał także Korsakowowi sążniowego nosa i rezolucję jego, bez żadnych ogródek, natychmiast unieważnić kazał. Sprawę zaś właściwemu sądowemu biegowi we właściwej drodze zostawić polecił.

Była to pierwsza jeszcze dopiero puszczona finfa w sam nos arbitralnemu w postępowaniu swojem Korsakowowi, który był dotąd jak absolutny monarcha w tym kraju i dekrety swoje w takim ciągle sposobie wydawał bez względu na to, że cały bieg sprawiedliwości, nie ze złego serca, ale przez zupełną nieznajomość rzeczy zahaczał! Podobało się to wielu przedniejszym obywatelom tak, że nie wytrzymali i, ryzykując się na prześladowanie, jeśliby listy otworzone zostały na poczcie, podziękowanie i powinszowanie swoje z tego powodu w kilkunastu pismach poufnych ojcu mojemu do Warszawy przysłali.

Ojciec nie mógł wyjść z podziwienia, jak Korsakow, który go znał dobrze i był na niego łaskaw, a nawet znał i mnie, mógł taki ferować wyrok. Antoni Chrapowicki, szwagier ojca mojego a dostojny i wielce majętny obywatel, był Benjaminkiem Korsakowa. To już, zdaje się, że przez sam wzgląd na niego powinienby był mieć jakąś słuszną atencję dla szwagra i interesu z drugiej strony wysłuchać. Korsakow jak żołnierz, poczciwe człowieczysko, przepraszał potem za to i tem się tłumaczył, że ani mu w tym razie na myśl nie przyszło, żeby to mój ojciec przez Tomaszewskiego miał być oskarżony.

Mówiłem i dawniej już o Korsakowie, że był dobrego serca i nieprzedajny człowiek, że kochał sprawiedliwość, ale biorąc rzeczy po żołniersku, najczęściej, pomimo woli, niesprawiedliwie robił, albo robić pozwalał. Uprzedzał się na nieszczęście tem, co mu kto pierwszy powie, a broń Boże jeszcze proszący zapłakał, już musiał mieć rację koniecznie! Był także niepospolity kapryśnik i dziwak. Opowiem jeszcze o nim dwie anegdoty, które mi na myśl pod piórem przychodzą.

W sprawie zakonu kartuzów z Berezy prałat Pusłowski, a nawet i brat jego, marszałek (A 25) grubo jakoś zaplątani byli. Marszałek miał tęgą głowę i był jednym z najznakomitszych i najpożyteczniejszych litewskich obywateli. Prałat, wyłączając administrację funduszów ogromnie bogatego klasztora kartuzów, gdzie sobie zrobił fortunę, był zresztą Panu Bogu duszę

winien, lubo nie brakło i takich, co wmówić chcieli, że marszałek właśnie żył rozumem prałata. Jakkolwiekbądź, jak już około Pusłowskich z różnych stron zawinięto się dobrze, wypadło z rady przekupić Korsakowa, jak przekupywano wszystkich innych dotąd. Dano tedy prałatowi do ręki 50.000 rubli asygnacyjnych, czy około tego, i wyprawiono do niego z wizytą. Korsakow prałata przyjął, wywodu rzeczy wysłuchał, sprawiedliwą pomoc obiecał. Prałat, żegnając się, pak z pieniędzmi na krześle położył. „Co to takiego?" rzekł groźnie Korsakow. Prałat, niziutko kłaniając się, odpowiedział, że to jemu ofiaruje. Korsakow natychmiast minę zmienił i uśmiechając się rzekł: „A, bardzo dobrze, bardzo dobrze"... Prałat uszczęśliwiony wrócił, brata i doradców swoich o pomyślnym skutku negocjacji uwiadomił. Ucieszyli się... Ale jakież było ich zadziwienie i rozpacz, kiedy nazajutrz w „Kurjerze Litewskim", w *premier Vilna* wyczytali te słowa: „Prezydent Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności, Jwy Generał-Gubernator Rymskij-Korsakow, oświadcza w imieniu ubogich i kalek tego zakładu publiczne podziękowanie za ofiarę, przez Jwo Pusłowskiego, prałata kapituły wileńskiej w ilości 50 000 rubli asygnacyjnych na rzecz tegoż Towarzystwa w dniu wczorajszym wspaniale przyniesioną". Nie można było delikatniej i użyteczniej z podkupującego zażartować i lepszą dać mu lekcję.

Druga anegdota taka: Jak zaczęto po upadku Napoleona i ukonstytuowaniu Królestwa Polskiego bardzo mówić o daniu wolności chłopom w Litwie, cesarz Aleksander, nie przeciwiąc się wprost temu, kazał jednak wprzódy zebrać od wszystkich obywateli zdania, kto się zgadza, a kto nie? Antoni z Wolda Mejer, wicemarszałek kowieński, niepomiarkowanej otyłości, ale zacnej duszy człowiek, zastępując marszałka Zabiełłę w liberalnym zapale wysłał na powiat cyrkularz, ułożony w formie schematu. Na tej schemie było; na jednej stronie „Zgadzam się na nadanie wolności chłopom", a pod spodem dodał od siebie: „Tytus"; na drugiej stronie, „Nie zgadzam się na to", a pod spodem dopisał: „Neron". Chciał i tym sposobem jeszcze od wzdragań się obywateli odstręczyć. Podpisywali się tedy wszyscy pod Tytusem, a nikomu nie chciało się być Neronem. Zkolei pismo to przyszło do Puń, do Kochowskiego,

dymisjonowanego generała rosyjskiego. Ten, nie zgadzając się na wyzwolenie włościan z poddaństwa i musząc się w takim razie podpisać pod Neronem, schował cały papier do kieszeni, kazał konie założyć i pojechał przedstawić to Korsakowowi.

Korsakow rozdąsany wysłał żandarmów z rozkazem przywiezienia natychmiast Mejera do Wilna. Przywieziono go i prosto z wozu przed Korsakowem stawiono.

W tym właśnie momencie prezentował mu się przejeżdżający przez Wilno jakiś rosyjski pułkownik. Korsakow, jak tylko zobaczył Mejera, rozchodził się i rozdziwaczył. Powiedział mu zgóry, że go powiesić każe natychmiast. Że cesarz dowiedziawszy się o tem powie tylko: „Stary Korsakow zwarjował", i na tem będzie koniec, a Mejer wisieć dlatego będzie. Z tysiąc innych jeszcze podobnych dodał słodyczy. Ale że miał zwyczaj, łając kogoś, trzymać go i targać zlekka za guzik, a pytać się u obecnych: „Czyż nie prawda?" — więc i, obracając na wszystkie boki tłustego i nieszczęśliwego Mejera, zapytał obecnego pułkownika: „*Wied' wy znajetie, kto Nieron?*" Pułkownik serjo z głębokiem uszanowaniem odpowiedział: „*Niet, wasze wysokopriewoschoditielstwo, nie znajus! Po armii u nas takoj familii nie imiejetsią, razwie on służit wo ffotie*". Korsakow parsknął ze śmiechu i w tymże momencie od wszelkiej odpowiedzialności Mejera uwolnił.

Ta dobroduszna i godna patrjarchalnych czasów naiwność, zaprowadza mnie na inną znowu anegdotę. Anegdoty są jak przysłowie. A co znaczy przysłowie, naco mnie to pisać? I historycy, i filologowie obszernie już to orzekli.

W ostatnich latach panowania cesarza Aleksandra pewien oficer gwardji stał w Petersburgu ze swoim oddziałem na warcie u rogatki. Ktoś przez rogatkę przejeżdżał. Oficer z obowiązku służby podszedł do niego zapytać o imię i nazwisko. Podróżny, trzpiot widać i pustak jakiś, odpowiedział na to z wdzięcznym ukłonem: „Rochus Pompernikel". Oficer ukłonił mu się zgrabnie nawzajem i z najzimniejszą krwią podane sobie nazwisko zapisał. Cesarz Aleksander chciał codzień wiedzieć, kto przyjechał i kto ze stolicy wyjechał? W tym celu przygotowywano codzień na rogatkach długie a wąskie kartki, na dwie ręce pisane. Odsyłano je generał-gubernatorowi. Jedną z nich co ranek ge-

nerał-gubernator przy innych raportach wręczał cesarzowi. Tym razem, kiedy Rochus Pompernikel przyjechał, generał-gubernator, spiesząc się do monarchy, sam w karteczkę nie miał czasu zajrzeć, ale ją *in naturalibus* oddał. Cesarz czyta: „Rochus Pompernikel". Obeszło go to mocno. „Jakże to moi oficerowie gwardji są wychowani, żeby już i tego nie wiedzieli. A wszak tę farsę dają ledwie nie codzień i w Petersburgu na wszystkich teatrach! Aresztować na trzy dni oficera i zalecić mu, żeby się oświecał i wstydu nie robił". Oficer z należytą monendą siadł pod aresztem. Ale, jak kruk w bajce Lafontaina, przysiągł sobie, że go już więcej na tem nie złapią.

Był podówczas kontrolerem państwa, jedną z najwyższych w kraju osób, Kurlandczyk, Baltazar syn Baltazara Kempenhausen. Znany był powszechnie jako najtwardszy ze wszystkich prezesów izb obrachunkowych całej kuli ziemskiej. Cośmy byli winni skarbowi, wyciskał, wydzierał z gardła bez żadnej litości. Ale co skarb namże samym jednocześnie był winien, to zostawało na potem, przeciągało się bez końca, bez żadnej nadziei zwrotu. Wielu tym manewrem u nas pogubił i, jak go potem, jak Syllę, wszy zjadły, bo z tego umarł, zrujnowani przez niego ludzie wielce się cieszyli. Kempenhausen raz w lecie wracał z przejażdżki do Carskiego Sioła. Na rogatce stał znowu znajomy już nam oficer. Pyta, kto jedzie? Odpowiadają: „Baltazar Baltazorowicz Kempenhausen". Oficer, posłyszawszy te szorstkie dźwięki, nie mógł wierzyć, żeby się jaki chrześcijański człowiek tak mógł nazywać, i myśli sobie: „Znowu drwią ze mnie, ale zjedzą licho! To widać nowy jakiś Rochus Pompernikel! Poczekajżeż bratku! Dosyć już tego!" Niedługo zatem myśląc, aresztuje Kempenhausena tuż zaraz na rogatce. Kontroler państwa zmuszony był pisać do generał-gubernatora o swojej przygodzie i prosić, żeby przyjechał uwolnić go z aresztu. Narobiło to hałasu. Doszło znowu do cesarza. Poczciwemu oficerowi dano *consilium abeundi*. No, miałże on już gwiazdę nad sobą...

To, kiedym się już rozgadał, cofa mnie pamięcią w czas bardzo już daleki ode mnie i przypomina inną okoliczność, którą jeszcze w dzieciństwie słyszałem o księdzu biskupie Wiażewiczu. Za mojego czasu dawno już nie żył ten człowiek, ale mówio-

no jeszcze nieraz o nim z powodu jego arystokratycznego pojazdu, po naszemu soliterką, a zwykle dawniej *vis-à-vis* zwanego. Była to jedyna tego rodzaju w całem Wilnie karetka, na paryskie fiakry zakrawająca, ale jeszcze węższa, tak, że z każdej strony jedna tylko osoba w niej siedzieć mogła. Obok już się nikt nie wcisnął, a tylko naprzeciw i dla tego *vis-à-vis* ją zwano. Ksiądz Wiażewicz niewiadomo skąd tej rzadkości staroświeckiej dostał, ale jej do swych przejażdżek statecznie używał. Patrzano na jego ekwipaż, jak na raroga, i w wiele lat jeszcze potem o nim mówiono. Ale nie o to idzie. Życie tego człowieka, wiadomego awanturnika, mnie na biedę nie jest w szczegółach wiadome, oprócz dwóch, co zacytuję, wypadków.

Ks. Wiażewicz, potem infułat, czy sufragan, nie wiem jak i jaki, wyjechał był podobno w drugiej połowie przeszłego wieku w charakterze guwernera jakiegoś panicza za granicę. Swawolny, szuler i rozpustny, czy się sam znudził swoim pupilem, czy sobą znudził swego pupila, — dosyć, że gdzieś tam rzucony na bruku, podkasawszy rewerendy, własnym dowcipem i przemysłem żyć musiał i puścił się na rozdobędy. Zagranicą nie łatwo się one udają. Ale nie było co robić. Przy zupełnej goliźnie zwietrzył kochanek, że podówczas w Szwajcarji przebywał Jan Jakób Rousseau, a słyszał o jego sercu i charakterze. Wpadł zatem na myśl chwalebną złowienia tego poczciwosza z Genewy na swoją żmudzką wendę. Znając Roussa odludność, ale i rzadką, anielską dobroć serca, nie lazł mu prosto w oczy: wszystkoby zepsuł. Tylko, wywiedziawszy się wprzódy, jak i kędy chodzi na przechadzki, wybrał na drodze Roussa bardzo romansową nad brzegiem strumienia miejscowość i, jak go tylko zdaleka idącego zobaczył, jął płakać, szlochać i jęczeć. Roussa to chwyciło zaraz za serce. Zatrzymał się. Ale tyle już razy zdradzony przeszedł mimo, gwałt sobie zadając. Wraca. Taż sama scena. Wiażewicz ani patrzy: tyłem na urwisku siedzi do Roussa i najpewniej go idącego nie widzi.

Na ten raz skończyło się na niczem. Ale znowu nazajutrz, jak Wiażewicza w tej samej pozycji beczącego dobroczynny filozof zobaczył, mocował się i mocował sam z sobą, przeszedł mimo, ale nie wytrzymał! Wrócił więc i rozpytywać się u niego zaczął, co go tak trapi? Wiażewicz namurował piramidy, na-

kłamał, co się zmieściło! Skończyło się na tem, że Rousseau, rozbeczawszy się nad jego losem, jak dziecko, z litości nad tą niedolą wziął go do siebie na sekretarza. Tego Wiażewiczowi i było potrzeba. Wiedział dobrze, że Rousseau statecznie odmawia przyjęcia przysyłanych mu jak na złość ciągle, a zwykle bardzo drogich prezentów. Wiażewicz tajemnie odbierał sobie dary na swój rachunek i za nie, jako sekretarz Roussa, dziękował jego imieniem. A czasem, naśladując kaprysy mecenasa swojego, i nic nie odpowiadał, a tabakierę brylantami sadzoną do kieszonki schował. Tym sposobem przez kilka miesięcy porządnie się obłowił. Zczasem rzecz się wykryła. Rousseau tak czarno niewdzięcznego poganina i zdrajcę, bezwstydnie twarz ludzką noszącego łotra, ze wzgardą przepędził. Ale on mało już dbał o to. Ksiądz prałat Bohusz, mąż znamienity, który się dobrze znał z Rousseau w Paryżu, zapewniał, że pamięć czarnej Wiażewicza zbrodni zraziła go do Polaków i że dlatego tylko nie przyjął ofiarowanego mu przez podskarbiego Tyzenhauza schronienia w Białowieskiej puszczy.

Tak tedy jeden podły nikczemnik pozbawił i kraj nasz i imię nasze jednego z największych może zaszczytów. Jak Wiażewicz wrócił do kraju, jak z wywłoki na wysokie, choć drążkowe, dostojeństwo wyniesionym został? nie pytajcie się u mnie, bo dalibóg tego już nie wiem. Ale to jego „*anteriora*" i u psa pożyczone oczy dostatecznie tłumaczą.

Wiem zaś to, że za Kościuszki, kiedy go na wsi w plebanji, czy w beneficjum jego napadli kozacy i zrabowali doszczętu, Wiażewicz ostatnią już rzecz, która mu była została, bogaty pierścień, chroniąc przed okiem rabusiów, do gęby włożył. Tymczasem kozak jeden, wystąpiwszy z tłumu i nie podejrzywając zgoła księżego fortelu, wpadł na niego samego, żeby go obedrzeć, i wszystkie obrewidował kieszenie. Zajęło mu to nieco czasu, a nie znalazł nic. Rycerz rozgniewany, że się darmo trudził, powiedziawszy wiadomy *juron*, którego ciągle używają Rosjanie, mszcząc się za swą daremną fatygę, uderzył Wiażewicza w twarz niespodzianie. Aż tu mu z gęby na ziemię drogi pierścień wyleciał... Jakże to zobaczyli kozacy, myśląc i wierząc naiwnie, — bo do tego zmierza ta powiastka, że gęba Wiażewicza jest magazynem drogich pierścieni, ostąpili go wkółko,

jak amerykanie Kolumba, i nuż mu wkładać palec do gęby. Ale, nie znajdując niczego, posłuchali rady starego asauły, żeby użyć pierwszego sposobu. Zaczęli go tedy, na szczęście każdego z nich, kolejką tłuc po twarzy i ciągle pilnowali i oglądali, co z tej gęby wyleci? Wylatywały, niestety, ale wylatywały tylko, jeden po drugim, wszystkie tego nieboraka zęby. Szkoda, że się tak stało. Jednakże i ten sens moralny wyciągnąć się tutaj daje: że zdradą i haniebnem łotrowstwem nabyta fortuna wyślizga się zawsze z rąk ludzkich, chociażby nawet i tak oryginalnym jak ten sposobem. Ten ostatni skarb Wiażewicza, ten pierścień skradziony był u Roussa! Bóg na pomstę zesłał kozaków! *Discite justitiam.*

Gniewacie się, zapewne, żem się tak jak stara kuma rozpaplał. Darujcie, przebaczcie, bo, znowu do swego wracając, skończę już teraz o starym bezwstydniku Bończy-Tomaszewskim. Był to, jak już mówiłem, tak srogi pieniacz, że mu aż dusza rosła, jak zaczęto mówić o jakimkolwiek procesie. A raz w Wilnie, procederując już z ojcem moim, przyszedł do niego, prosząc ze łzami o złotówkę na kawałek chleba! Ojciec zawsze miłosierny, a nigdy nie mściwy, choć ten łotr już nam wiele kosztował, wyjął z kieszeni dukata i dał mu. Cóż myślisz, co z tem zrobił? Oto, prosto stamtąd wyszedłszy, widząc się w posiadaniu takiego skarbu, siadł na kałamaszkę, pojechał do Trok, kupił tam za tę jałmużnę herbowego papieru, manifesty jakieś na ojca mojego zaniósł i przez woźnego nowe pozwy tegoż samego dnia ojcu podał. Rzadko kto był rad temu rezydentowi, kiedy przyjechał. Bo niewykurzony siedział długo z końmi, a co gorzej okropnie nudził. Byczek jego prędko dojadł, choć doprawdy cudów w nim dokazywał. Mina sprowadzała rozpacz na dom cały. Chyba go dłużej trzymano tam, gdzie panny uczyły się grać na fortepianie, dla akompanjamentu na skrzypcach. Inaczej ostrzegano go starem przysłowiem, że i gość *tertia die foetet.* Z czem on oswojony nie gniewał się o to bynajmniej, a, wysłuchawszy tej łaciny, kazał założyć białe kobyły i znowu dalej gdzieś jechał.

Nie, to był paskudnik! Ale książęciem, królem, padyszachem takich koczujących rezydentów na Litwie i ostatnim już tego rodzaju ludzi zabytkiem był kapitan Choroszcza Stanisław,

jak mi się zdaje, na imię, zmarły w późnej starości dopiero aż w 1840 roku. Mówiono mi, że ktoś o nim wydał broszurę czy artykuł w dzienniku jakimś. Nie czytałem tego. Może kiedy później przeczytam. Są nawet podobno jego statuetki. Nie widziałem ich. Może później zobaczę. Jednakże i ja o nim coś powiedzieć mogę, bom go znał sam, i że był to stary szkolny towarzysz mojego ojca. On i stary Malewski, rektor Uniwersytetu, pozostali już tylko byli w życiu z całej gawiedzi, która się kiedyś w szkołach z ojcem moim uczyła.

Choroszcza był ogromnego, ale to ogromnego wzrostu, za trzech przynajmniej pleczysty mężczyzna. Twarz także, jakby z pięciu gwardjanów bernardyńskich złożonych w jedno, a przytem granatowo-fioletowa. Oczy i włosy kare. Włosy w niezgrabne dosyć, niby kudłate wijące się pierścienie. Głos cichy i słaby, ledwie że nie jak u panienki, a spodziewałbyś się z tak gęstej miny, niskiego i mocnego basu. Ojciec mój, poufale z nim żartując, pytał go zawsze, gdzie to zostawił, co ludziom bas daje? Ubierał się zawsze po swojemu, bez względu na modę. Frak wiecznie granatowy ze świecącemi guzikami. Spodnie albo szare sukienne, albo nankinowe, albo jakiegoś mdławego cynamonowo-czerwonawego koloru. Ale główną cechą Choroszczy, po której, jak tylko oko zasięgło, każdy go poznał, stanowiła pomarańczowego koloru okrągła czapka bez daszka, ze srebrnym, a rzadko bardzo kiedy, od wielkiego święta, ze złotym galonem. Tę przyjaciele jego kolejno sprawiać mu byli obowiązani. Miał parę koni wcale niezłych, woźnicę, niekrytą bryczkę i pudełko ze szlifowanemi kamieniami, ametystami, topazami, jaspisami, symetrycznie ułożonemi, które mu podobno kiedyś darował książę Dominik Radziwiłł i których niby wyprzedaż służyła mu za pozorną przyczynę włóczenia się po świecie. Spróbowałbyś to kupić? za nic na świecie nie sprzeda. Najpoczciwszy, najdelikatniejszy, najcichszy człowiek, lubiony był wszędzie. Choroszcza i przyjaciel były to jednoznaczne wyrazy. Na cały rok miał on rozłożone miejsca, gdzie tydzień, gdzie dwa lub więcej zabawi. W każdym domu miał sobie zapewnione ulubione potrawy. Raz tedy na rok umyślnie o mil trzydzieści i do ojca mojego przyjeżdżał, tylko na tydzień. Nie wiem, jak u innych, ale u nas tak było: ojciec mój w przeciągu tego czasu

pod kondycją *sine qua non* powinien mu był dać dwa razy jusznik z gęsi, raz barszcz zabielany z rurą, raz kapustę duszoną z kiełbasą, raz barszcz niebielony ze schabem i świnią polędwicę. Reszta obiadu mogła być jak się podoba, on się do tego nie mięszał i swoją głównie zajmował się potrawą. Jakby mu tylko ojciec mój takiego nie zapewnił programu, gotów był kazać zaraz konie zawrócić i dalej jechać. Dwa konie jego, tłuste dosyć mierzyny, powinny były dostawać po trzy garnce owsa na dzień i dziesięć garncy przy odjeździe na drogę. A woźnica na piwo dostawał dwa złote koniecznie, kto mu dał więcej, oczywista, że lepiej mu zrobił.

Delikatny i grzeczny Choroszcza sekrety domowe zostawiał za sobą i, ile wiem, plotki żadnej nikomu nie zrobił. Całą Litwę-by skłócił, gdyby tylko chciał raz językiem dobrze poruszyć. Tym sposobem człowiek ten, nigdy nic samemu sobie nie kosztując i nic a nic nie mając, żył wesoło i wygodnie, nikomu także nie będąc ciężarem. Owszem, jak jaskółka na wiosnę, w każdym domu przyjaznym radośnie był witany. Nowych znajomości zawierać nie lubił, bo już i czas powoli się zmieniał i nowa generacja co innego w nim widziała. Starymi znowu przyjaciółmi szczycił się z dumą i mocno ich cenił. Miano go powszechnie za głupiego, ale poczciwego człowieka. Że on niebardzo mnie bawił, to prawda, ale ja byłem młody. Wyznaję wszakże, że taka reputacja lepsza od złośliwego rozumu, i, gdyby żył jeszcze, wolałbym go mieć u siebie, niż tych ichmościów, co tak dobrze bawić umieją. Dodawano jednakże to, że przyczyną jego tępości było kalectwo, o którem zaraz niżej opowiem. Z tem wszystkiem, kto się tak zręcznie prowadzić i żyć przez lat kilkadziesiąt cudzym kosztem umiał, doprawdy wielkim głupcem być nie mógł.

Historja jego, jak mi ojciec powiadał, plus minus taka. W szkołach u jezuitów uczył się niegodziwie i ciągle brał w skórę. Trzeba wiedzieć, że wtedy jezuici bili szypszyną, to jest głogiem, albo agrestem. A bić umieli tak, żeby koniecznie w ciele załamywały się ciernie i kolce. Potem wprawdzie sam ksiądz prefekt zmuszony był zrobić ten honor studentowi, że mu te kolce z rozognionych ran studenckiej skóry własną ręką dobywał. Ale ta rozkosz i zemsta w wystawieniu ks. prefektowi obnażonej, bolejącej części ciała słabem była wynagrodzeniem za męki

tych biednych chłopaków. Otóż Choroszcza, dostawszy w jednym tygodniu dwa razy głogiem i raz agrestem, nie upodobał tego i zniknął. Szukano go. Znaleziono czapkę jego zawsze pomarańczową i surducik nad Niemnem. Rozeszło się tedy, że się chłopiec z desperacji utopił; wszyscy temu uwierzyli. Jezuici dużo na tem od publiczności cierpieli. A on szczęśliwie na płytach wołyńskich uciekł i oparł się aż w Gdańsku. Tam się na chłopca dostał do angielskiego rządowego agenta. Potem na okręt i do Ameryki, gwałtem schwycony na majtka, popłynął. W New-Yorku spadł z masztu i czaszkę na kawałki roztrzaskał. Straszno było wziąć za jego głowę, cała poznaczona była kostnemi bliznami, jak szachownica. Ale cudem boskim wylizał się z tego i wyżył. Pamięć tylko stracił do pewnego punktu i w rozumie przytępiał. Wzięty podobno w czasu amerykańskiej wojny w niewolę, odbity znowu przez Anglików, dowieziony do Malty, a stamtąd do Włoch, z Włoch dostał się do rodzinnego kraju i ojca mojego, który go przez lat tyle miał za topielca, nadzwyczajnie zjawieniem się swojem zadziwił. Bił się mężnie pod Kościuszką w randze kapitana. Odtąd miejsce jego pobytu było Nowogródzkie, światły punkt Litwy. Tam tylko była i jest Europa, reszta dzicz, Tunis, Tripolis. Nie był więc bardzo głupi, kiedy sobie takie wybrał gniazdo. W 1812 roku przedstawiono go Napoleonowi, który i z opisu przygód jego i z atletycznej osobliwszej jego miny wyższe był jakoś o nim powziął przekonanie. Ale, jak z nim pomówił, zrobił go tylko komendantem Nowogródka. Można się było wiele chcąc pytać u niego o Amerykę, która wtedy była *terra ignota*. Odpowiadał na to jednym zawsze stylem każdemu: „Mospanie wiele o tem gadać". I jużeś z niego rozumniejszym nie został.

ROZDZIAŁ XII.

W ciągu naznaczonej przeze mnie kilkodniowej przerwy dla opchanych już żołnierskiemi lekarstwami dziatek Ksawerowej odwiedzałem je codzień i starałem się przez ten czas poznać ich fizyczne usposobienie i siły. To było powodem do większego zbliżenia się z ich matką. Po tygodniu zdawałoby się każdemu, że się z nią znamy od wieków! Przypadaliśmy jakoś do siebie. Ale uczyliśmy się siebie wzajemnie.

Ja ze swojej strony znalazłem, że pochwały, jej od całego świata dawane, przesadzone nie były. A to było bardzo wiele, zważając na ogień imaginacji mojej, która zawsze w marzeniach daleko granice rzeczywistości przechodzi. Dowcip samorzutny, niepożyczany, różnostronny, naturalny, jak rozżarzony węgiel błyszczący, zdawał się zrazu pochłaniać w niej wszystko. Ale ten dar, dobry bardzo i usłużny na moment, w salonie, mało stałych w cokolwiek bliższem pożyciu przedstawia korzyści. Bliżej jednak wpatrując się w duszę tej kobiety, łatwo dostrzegłeś, kiedyś prawdziwie tego chciał dostrzec, że cały ten niepospolity dowcip był tylko opończą, pokrywającą anielskie serce. Że była to zdawkowa moneta, użyta dla świata, ale że sam kapitał chronił się gdzieś głęboko i nie na zawołanie każdego skarby swoje odkrywał. Trzeba było na to w jej opinji zasłużyć, żeby dowcip umilkł, a dobre, czułe, kochające, miłosierne, prawdziwie kobiece serce mówić zaczęło. Litość, miłosierdzie, prosto z instynktu duszy idące, u tej kobiety ostatecznych w wyobrażeniu nawet dochodziły krańców. Święty Marcin oddał kiedyś spotkanemu na drodze biednemu połowę swojego płaszcza, onaby natychmiast cały płaszcz oddała. Bez zastanowienia, wyboru i rozbioru gotowa była oddać biednemu ostatnią nitkę. To tylko wtedy widziałem.

W lat wiele potem mogłem, — ale już na zimno, widzieć, że ta kobieta z tego powodu w ciągłych sama zostawała potrzebach, że ratując obcych, siebie, a co naganniej własne dzieci w niezaspakajanych zostawiała niedostatkach dla pierwszego biednym mianującego się łotra. Że jedną ręką pożyczała, bez wielkiej nadziei zwrotu dlatego tylko, żeby drugą oddać to, co wzięła, najczęściej filutom i oszustom płci obojej, korzystającym z tej, że tak powiem, manji wspierania. Niejaki Krukowski, naprzykład, osiemdziesięcioletni starzec, ale filut, przechera i kutwa, mając, jak się potem pokazało, prawie tyle tysięcy złotych kapitału, ile miał lat życia, nie wstydził się wyrywać od niej po kilka dukatów co kwartał, odbierając nieraz grosz jej ostatni, i udawać biednego! Prawa zaś swoje na tem opierał, że kiedyś w lepszych czasach, kiedy niby w lepszem był pierzu, żyjąc z jej rodzicami, na ręku swojem ją jeszcze maleńką nosił.

Ale to wszystko na ten moment trzeba z pamięci wyrzucić, bo to wszystko także poznałem dopiero w piętnaście lat potem, i, naturalnie wtedy widząc inaczej, najzupełniej ganiłem. Na tym świecie źle rzeczy idą, kiedy serce z głową w nieładzie. Jedno drugie koniecznie regulować powinno. Ale gdzie to znaleźć? A kiedy tak trudno to znaleźć, niech już lepiej ludzie idą za sercem.

Różnica pomiędzy dwiema siostrami, ile już zaraz od pierwszych dni dostrzec mogłem, była ogromna. Sposób ich widzenia rzeczy, cenienia uczuć ludzkich i duszy, pojęcia tego wszystkiego, co nas otacza, całem niebem się różnił. Rychło dostrzegłem także z niemałym serca bólem, że Ksawerowej dosyć fałszywe o mnie dano wyobrażenie i że się niem ona do litery przejęła. Widziałem jasno, że pani Elżbieta Müller, za zwyczajnym swoim poetycznym idąca talentem, ale pojmująca świat i jego zalety *à la Voltaire*, chcąc mnie chwalić i na jakiś podjąć piedestał, potrafiła ubarwić rzeczywistość i do geometrycznej ją podnieść potęgi. Że wystawiła mnie zatem w poufnych z siostrą rozmowach i w poprzednich z nią korespondencjach jakimś lowelasem, jakimsiś śmiałym, niesumiennym i zarozumiałym w stosunkach z płcią piękną lampartem, jakimś pełnym i przepełnionym zwycięstw szarmantem, jakimś przesyconym i zepsutym względami kobiet fanfaronem. Człowiekiem, któremu dosyć było nadstawić połę, żeby

się tam skarb wtoczył, ale co gorsza, człowiekiem, co jak syn marnotrawny zaraz tym skarbem pogardza i ma go za nic. To było już w naturze pani Elżbiety Müller, przesiąkłej literaturą i romansami XVIII wieku.

Na moje nieszczęście do utwierdzenia tak niekorzystnej w cnotliwej i delikatnej kobiecie o mnie opinji służyło jeszcze kilka innych okoliczności. Wspomniałem już dawniej, że zbieg rozmaitych stosunków zetknął mnie z kilku babami, co albo same nowy dla mnie w sobie uniwersytet otworzyć chciały, albo dla córek swoich powoli splatały małżeńskie wianki i uwijały gniazdka. Wszystko to zbiegało się do pani Elżbiety Müller. Wszystko to jej swatostwa i pomocy żądało. Zwyczajnie, jak między kwokami, niczem oprócz błazeństw niezajętemi. Ksawerowa na tym manewrze nas wszystkich jeszcze zastała.

„Ce que femme veut, Dieu veut". Każdy, co żył cokolwiek, wie o tem, że płeć piękna, kiedy się uprze na swojem postawić, jak mysz pielgrzymia po drodze swojej ani na rowy, ani na bagna, ani na morza nie zważa i brnie swoim trybem, chociażby się utopić. To wszystko Ksawerowa miała teraz przed swojemi oczyma.

Z drugiej strony mówiłem już, że duch, unoszący się nad ówczesnem towarzystwem, był duchem galanterji i kokieterji, był ostatnim już wprawdzie, ale najsilniejszym odblaskiem salonowego ducha XVIII wieku. Nie można było nie umizgać się i nie wzdychać, żyjąc na wyższym nieco świecie. Mianoby cię powszechnie za ślamazarnego gapia. Któż młody chce na taką opinję zasłużyć? „Na czyim wózku jedziesz, tego piosnkę śpiewaj", — mówi przysłowie. Jechałem tedy na tym wózku i śpiewałem. Trzeba się było koniecznie do tego stosować, a rzecz z siebie nie była tak bardzo cierpka! Stąd się rodziły mimowolnie małe intryżki, w największej liczbie razy najzupełniej niewinne, dziecinne, były to tylko miłostki, a nie miłości.

Co do mnie, sam Bóg widzi, nie miałem nigdy suchego serca. Bywając w jakim domu, przywiązywałem się do tego domu, do tej familji, albo nie bywałem w nim wcale. Bywając, czułem się dla niego do pewnych obowiązków wdzięczności za grzeczne przyjęcie i wybierałem tam sobie kogoś, coby mi służyć mógł za puklerz przeciw nawijającym się postrzeżeniom, które czasem

szyderskie oko i dowcip kaustyczny stamtąd mógłby wynieść. Gościnność udzielona mnie zasługiwała na to. Wbrew przyjętemu już i wtedy obyczajowi miałbym sobie za grzech śmiertelny, wyszedłszy z domu, gdzie mnie łaskawie przyjęto, na schodach już zacząć obmowę i krytykę tego, com tam był dostrzegł. Miałem więc wszędzie wybrane przychylnym sercem kobiety. Były i młode, i stare. Między młodemi rzecz zaraz czy przez słabość i niepojęcie stanowiska takiej osoby, czy częściej przez zły język patrzących zboku i pojmujących inaczej widzów za intrygę miłosną uważana i okrzyczana była. A w tem się najwięcej mylono dlatego, że podówczas, rzeczywiście, tysiące powodów, tysiące bólów, tysiące trwóg i nadziei łączyły młodego człowieka z młodą kobietą niezależnie od wszelkiej miłości. A jeśli i o miłość chodziło, to może o miłość nie naszą, o miłość, którego z więźniów. Ja nadto, chociaż szedłem, jak mówię, za ruchem, co nas wszystkich w tym popędzał kierunku, miałem jednak zawsze w duszy świeżą jeszcze, a jak skarb najdroższy przed ludźmi ukrytą pamięć mojej nieocenionej Julji, niedawno, bo przed rokiem, misjonarską zasypanej mogiłą! Julja i dotąd jeszcze dla mnie jest typem, jest jedyną kobietą, której wspomnienie rodzi we mnie czyste pojęcie potężnej rozkoszy, chociażby już te myśli młodszym zostawić trzeba było. Oprócz dziwnych wdzięków, jakby umyślnie dla moich żądań i marzeń stworzonych, dziwnie szlachetnej duszy i wszystkiego, co węzeł dwóch osób ściślej zadzierzgnąć jest w stanie, — miała ona jeszcze ten rzadki talent spojenia się z tobą, który tylko może być skutkiem dziwnie dobrego, lepkiego i skłonnego do pieszczot serca. Obwiła się ona zawsze i splątała kręgiem, nie wiem już jak, giętkich swoich członeczków, tak, jak wąż Laokoona. I żeśmy się z sobą kiedykolwiek, jak owi bracia Siamscy, nie zrośli, doprawdy dotąd się dziwię. Ten rodzaj pieszczoty wyrwałby duszę z kamienia. Po nim już wszystko lód i Szpicbergi. A ona biedna, oddając się swoim wrodzonym już instynktom, w dziecinnej ufności nie domyślała się nawet tego, że tem przyśpieszonem życiem obojgu nam wiele lat życia ujmuje.

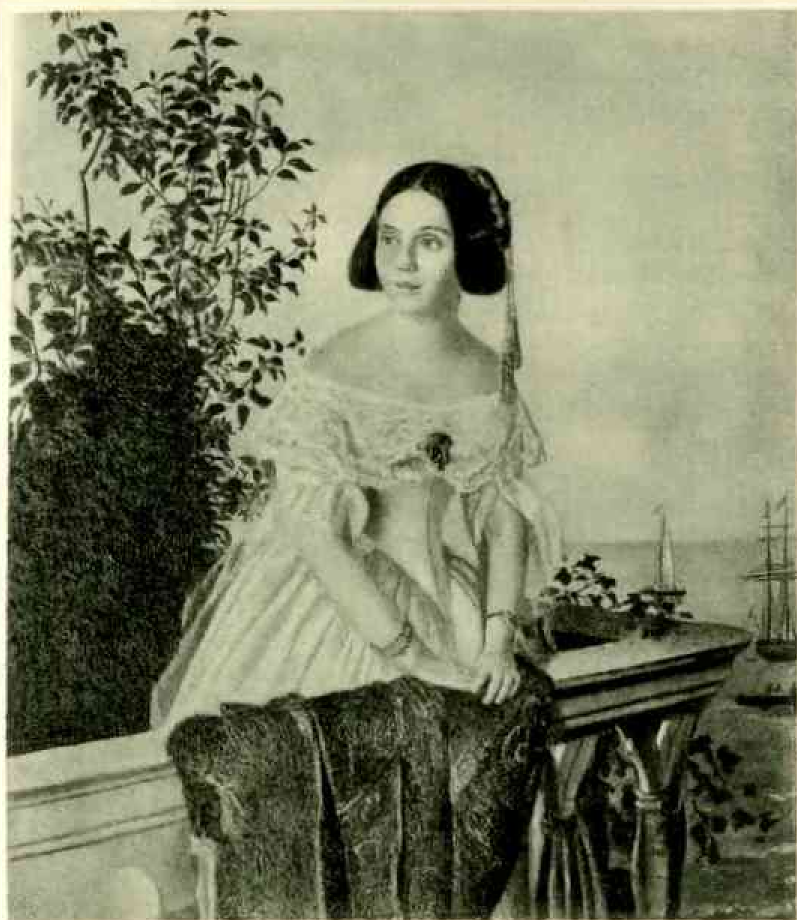
Reszta więc kobiet była jeszcze wtedy ode mnie kochana i innym sposobem i na inną skalę.

Drugi wielki przeciw mnie zarzut, zarzut niesłuszny, woła-

jący o pomstę do Boga, był zarzut zarozumiałości i dumy. Ten zarzut ledwie nie w każdym utwierdzał szczególny skład szyi i karku mojego, zmuszający trzymać głowę ciągle zadartą do góry, niezależnie od mojej woli. Samo przyrodzenie w tym razie *os sublime dedit* i kazało *erectos ad sidera tollere vultus*. Mojej tu winy nie było i niema. Dotąd jeszcze bowiem, kto mnie nie zna i tylko widzi zdaleka, za dumnego mnie ma. To już rzecz zgóry wiadoma i przyjęta, jak obwarzanek za grosz. Ale przekonawszy się zaraz za pierwszem słowem inaczej i przychyliwszy się do mnie całą masą pierwiej niesłusznie mianego przeciwko mnie uprzedzenia, zaraz mi to naiwnie sam każdy oświadcza i z tem już najzupełniej oswojony jestem. Widać, że Bóg sam już tak chciał, żeby owca od wilków zupełnie na sztuki nie została rozdarta. Któż tedy zaprzeczy, że Ksawerowa, rozsądna, cnotliwa i pełna delikatności kobieta, zbiegiem tych okoliczności w błąd wprowadzona, musiała mnie uważać za jakiegoś trzpiota, franta, tuzinkowego wzdychacza, a bredniom i dumie oddanego mężczyznę.

Mnie znowu wzajemnie nie podobało się w niej to, że lubiła, jak to mówią, brać ludzi na antaby. Z pomiędzy bywających tam mężczyzn rzadko którego nie wyprowadziła w pole. A miała talent szczególny wyciągnąć z każdego nawierzch wszystkie śmieszności i głupstwa. Tego się żaden biedak ani domyślał. Ten rodzaj wesołości i żartu, jakkolwiek bawiący, zdawał mi się z dobrem sercem niezgodnym. Pobłażanie, ale nie satyra, a bardziej jeszcze nie satyra miękką gazą uprzejmości pokryta, powinno dobrą i miłą odznaczać kobietę. Poglądaliśmy tedy na siebie wzajemnie koso.

Ja na nią tak patrzałem, póki nie zaczęła śpiewać. Jak to zaczęła, choć się bardzo długo o ten fawor prosić kazała czy z uporu, czy z nieśmiałości, bo tego już nie wiem, człowiek i o tem długiem proszeniu i o wszystkich swoich griefach(?) zapomniał i zapomnieć, gorzej, musiał! Głos ten i dusza w śpiewie wszystkie gładziły zadziory. Trzeba w niej tylko było widzieć śpiewającego przed tronem bożym anioła. Ja grałem nieco na fortepianie. Nie był ze mnie nigdy bardzo biegły, nawet i na owe czas, muzyk, ale powiadano zawsze, że to, co grałem, grałem z osobliwszym gustem i czuciem. Nawet mi to przyznawał



Lucja z Wawrzeckich, 1° v. Ignacowa Zabiełłowa, 2° v. Mikołajowa Dołgorukowowa.

nawiasem mój ojciec, który mi nigdy nie przyznawał niczego. A może tak i było. Bo dotąd nie rozumiem, jak można grać i nie czuć? Na wsi, w wieczornych szarych godzinach, wy, teraz już mamunie, albo i staruszki, przypomnijcie sobie, ile to razy tajemnem dotknięciem koralowych podówczas ust waszych do mojej twarzy nagrodziłyście waszego dudarza za proste *Ranz des vaches* z jakąś tam małą warjacją. O, jak każdy taki moment z wdzięcznością pamiętam.

Tych naszych wzajemnych postrzeżeń, oglądań, wzorków, muszenia się na cyrkiel nie mogliśmy wzajemnie z Ksawerową na sobie nie dostrzec. Nie umiejąc i nie chcąc nawet ukrywać przed osobami, dla których miałem czy szacunek, czy przyjaźń, wszystkiego tego, co myślę, wymówiłem się raz przed nią, że się domyślam, ile sobie ona co wieczór w duszy za swój dowcip robić musi wyrzutów, jak się już liczni jej goście rozejdą. Popatrzała na mnie z niejakiem zadziwieniem, a potem odpowiedziała mi z przekąsem, że za dobrą radę bardzo jest wdzięczną. Jeśli jednak o żartach mówię, to się jej zdaje, że jej żarty są bardzo niewinne, że się nawet rzadko kto ich domyśla, że nikomu nie są szkodliwe. Zakończyła na tem, że te jej żarciki nie mogą stanąć na jednej linji z mojemi, jakich ja sobie z kilku osobami pozwalam. Jeżeli zatem wolno jej będzie wywiązać się z wdzięczności wzajemnym duchownym obrokiem, życzyłaby mnie również przestać rzucać piasek w oczy i matkom i córkom, bo to daleko gorsze za sobą pociąga skutki, a wielkiego zaszczytu nie robi. Widocznie gniewała się na mnie. Ale to dało powód, żeśmy się natychmiast z sobą rozmówili otwarcie. Ja odkryłem jej moją duszę i myśli, mój sposób widzenia rzeczy, ona mi się także ze swojemi odkryła, o tyle, o ile na to wrodzona dysymulacja i chytrość kobiety dozwala. Zawsześmy na tem nie stracili oboje. Zdawało mi się nawet, żem już wielki krok zrobił, bo już była ufność, młodsza siostra przyjaźni. Jużeśmy się tedy bez rumieńca spotkać mogli. Już i ona częściej zrzucała z siebie tę stalową kolczugę, którą przed mniemanem natrząsaniem się mojem nosiła. Zaczęliśmy powoli być przed sobą w tych skromnych, ale malowniczych szatach, w których starożytny rycerz przestawał być podobny zbroją swoją do wszystkich rycerzy całego świata, ale dając się widzieć u własnego komina, zaczynał być

samym sobą i bez pancerza i bez przyłbicy okazywał się takim, jakim był w istocie.

Ludzie najotwartsi, najszczersi, zmuszeni są ledwie niezawsze na świecie dlatego tylko, żeby nie skazili pereł swojej duszy, przybierać kształty i na oko przyswajać sobie panujące wyobrażenia mas. Trzeba nawet czasem koniecznie udać, że się z tego natrząsasz, co w duszy swojej uważasz za szacowne i święte. Inaczej wydasz się dziwakiem, oryginałem i palcem ciebie wytykać będą. Każdy wie to dobrze, jak często istota rzeczy kryje się pod zwodniczym innej natury pozorem. Znała to Ksawerowa lepiej od wielu. Ona — u której płacz i smutek przed obojętnem okiem oblekały się w wyraz wesołości, śmiechu i żartu. Nie wierz wszystkiemu, co na powierzchni widzisz człowieczej! Dobrze powiedział ruski poeta:

„*Inoj kak zwier', — a dobr. Tot łaskow, — a kusajet!*"
O, tak, siadłszy między wrony, musisz krakać, jak i one. Musisz? Musisz, póki cię siła ducha nad ten nasz nikczemny poziom nie wyniesie. A potem, jak już doszło do tego, pozwólcie, o ludzie, każdemu takiemu chwalić Boga i kochać was szczerze w odludnym, dalekim od was pustelniczym domku!...

Zrozumieliśmy się zatem prędko. I jak tylko ten płaszcz swawolnej kokieterji, jaki rzeczywisty stan duszy mojej ukrywał przed ludźmi, spadł przed tem pełnem względności wejrzeniem, stanąłem przed nią takim, jakim byłem istotnie, jakim mnie Bóg widział. Nie mogłem już przez to samo na tem w tej zacnej duszy nie zyskać. Owszem, instynktem doświadczonego chirurga w przygodach życia dostrzegła ona we mnie, że noszę w sobie jakąś zakrwawioną ranę, którą starannie przed ludźmi ukrywam i gojący swój palec na nią położyć chciała, odkrywając mnie raptem te źródła tkliwego politowania i spółczucia, które się tylko w cnotliwej kobiecie znajdują. Źródła — z których tylko szczera dobroć i szlachetne serce dla ratunku cierpienia bliźnich korzystnie czerpać umieją.

Szacunek mój, wdzięczność, przyjaźń do wysokiego były już dla niej posunięte stopnia, ale stan serca mojego dozwalał mi jeszcze widzieć zalety i duszy jej i ciała. W tych ostatnich górowała nad wszystkiem malutka noga, a raczej malutka nóżka, jaką tylko miała i mieć mogła na Litwie jedna moja Julja.

Ale tej nie było. Już z tej po tysiąc razy całowanej nóżki, zostało było tylko trochę kosteczek!

Innyby tu może rzeczy ozdabiał, ja powiem fakt. Ktoś ze wspólnych naszych znajomych, jadąc do Warszawy, przyjął od Ksawerowej komis na przywiezienie stamtąd dla niej dwóch tuzinów trzewików. Dała mu na miarę jedną parę swoich. Warszawskie trzewiki sławne są na pół Europy. Po Hiszpanji, gdzie nóżki są jak u motylów, i po Francji, gdzie się już zaczynają nogi, które sztuką na nóżki zamienić umieją, tylko jedna Warszawa rodzi kobiety z nóżkami. Stąd i talent szycia trzewików i wogóle wszelkiego obuwia kobiety jest tam w całym kwiatostanie. Nasz podróżny zachodzi do najsławniejszego warszawskiego szewca i prosi o zrobienie dwóch tuzinów trzewików podług złożonej miary. Majster powiada mu po chwili namysłu:

„Jabym panu radził drugi tuzin przynajmniej, jeśli nie półtora tuzina, zrobić na większą miarę.“

„Dlaczego?“

„Dziecko, widzi pan, rośnie, noga także wyrasta i trzewiki potem na nic się już nie zdadzą.“

Szewc, najpierwszy szewc warszawski, patrząc na ten trzewik wziął go za trzewik dziecięcia!

Dusza anioła, głos cherubina, nóżka, co to by powinna chodzić po samych kwiatach i tychby swoim ciężarem nie zgięła najpewniej, — czegóż chcesz więcej?

Kochałem się tedy już w Ksawerowej, ale kochałem jeszcze po światowemu, ale kochałem się jeszcze tak, jak w wielu innych pierwiej i potem kobietach. Pierwszą myślą była ta: „Coby to było za szczęście posiadać taką kobietę“. To mi się i we dnie i w nocy marzyło. Za tą ideą szły zwykłe, a wiadome mężczyznom i, nie obwijając w bawełnę, znajome i kobietom pochopy. Pani Elżbieta Müller zdawała się to wiedzieć, zdawała się z tego cieszyć. Jak tylko Ksawerowa, Masią w domu zwana, ze swoich pokojów nadeszła, pani Elżbieta Müller, trzymając zwykle ze mną wątek całej rozmowy, staczała się z sofy i mówiła: „No, teraz nam obojgu już dosyć, wy, tak do siebie podobni, pobawcie się i pomówcie z sobą“. I zeszła na bok do kogo innego. Graliśmy też z sobą niekiedy razem na trzy i na cztery ręce, maleńkie ale milutkie kompozycje, takie, którem ja, zakochany człowiek,

wybierał. Rossini, Czerny, Pixis, dziś już niektórzy z nich *perugue*, a czasem i ruski jaki smętny, ale pełen czucia kompozytor, palmę odbierali w tym naszym wyborze. Ksawerowa trzymała się statecznie akompanjamentu i mnie zostawiała pole wyśpiewywać muzyką to, co się w duszy mojej działo, a czasem z gwałtownością wyrażać i to, do czego młode i pełne energji wyzywały fibry. Kiedym się, grając takim sposobem, dotknął przypadkiem jej drobnej ręki, miło mi było. Ale nie uciekaliśmy jeszcze od tego dotknięcia, jeszcze ono nie było żarem. Kopczyński powiedział, że sześć razy w naszym języku wyrazy przewrócić w porządku można, a zawsze sens będzie. Ale jeden i tenże sam sens.

Kiedyś całe masy ludzi domyślą się tego, po ile razy jeden i tenże sam śpiew w różne, stosownie do usposobienia duszy, przechodzić może odcienie i jak zawsze różnym sensem mówi. Poczciwy pijar, który się nigdy nie kochał, straciłby tutaj całą swoją arytmetykę.

Droga do miłości w każdem poczciwem i młodem sercu jest spadzista i stroma! Byłem już dobrze na niej. Alem jeszcze nie wpadł był na kolej żelazną, pędzącą, jak huragan uczucia, człowieka, chociaż pędzi po doskonale poziomej płaszczyźnie.

Dziatki ode dnia do dnia lepiej się miały. Tym sposobem skończyliśmy rok 1823.

Na same Trzy Króle następującego roku wróciłem był bardzo znużony z jakiegoś wieczoru i zaraz wpadłem do łóżka. Byłem w najpierwszym śnie, kiedy mnie straszny stuk, bicie i kołatanie do drzwi od sieni obudziły. Mój Lingiewicz spał snem najzupełniejszej niewinności, ale za dziesięciu przynajmniej niewinnych. Uszło kilka minut czasu, nim się nakoniec odecknął i drzwi otworzył, ja się nie spieszyłem i wiedziałem dlaczego. Człowiek, co z takim szumem i hałasem wpadł do mojego mieszkania, brzękając ostrogami pytał, czy ja tu mieszkam? i kazał natychmiast służącemu zapalić świecę i do mnie go prowadzić. Zajęło to znowu czas jakiś. Nie znano jeszcze wtedy prędkich chemicznych zapałek. Trzeba było ogień wykrzesać i przyłożyć do zapalonej hubki siarniczkę. Ja przez ten czas, przeżegnawszy się kilka razy i poleciwszy boskiej opiece, wyciągnąłem i przygotowałem ręce i nogi, pewnym będąc, że mnie zakuć w łań-

cuszki i aresztować przychodzą. Był to zaś pan Seweryn Zakrzewski, brat Müllerowych, przed paru dniami z Łucka przybyły. Ten podszedłszy do mnie z przewróconą fizjonomją, zaklinał mnie na Boga, żebym tego momentu jechał z nim do Stanisława Müllera, uderzonego atakiem apoplektycznym. W kilka sekund byliśmy już w sieniach Müllera. Jak to się wszystko stało, nie pamiętam. Trwoga o przyjaciela zamknęła w tej chwili klapę pamięci. Ach! niechaj odetchnę.

Na odgłos naszego przyjazdu wybiegła tam Ksawerowa i z załamanemi rękami, z twarzą rozpaczy pełną i głosem, który, i konając jeszcze pamiętać będę, te tylko słowa wyrzekła: „Ach, ratuj Stanisława!"

To był właśnie moment, w którym uczułem w sercu mojem natychmiast, w mgnieniu oka, błyskawicę, jakby strzał z pistoletu. Sam, zrozpaczony i przerażony, po tych wyrazach, samym tylko tonem głosu malujących całą rozpacz tej kobiety, nie odszedłem jeszcze od progu, a już zakochany byłem śmiertelnie, jak szalony, jak wściekły! W rzeczy samej odchodziłem od zmysłów! Niechże teraz kto wytłumaczy ten wpływ indywidualności na namiętność człowieka. Ani moment, jak się zdaje, nie był zgoła po temu, ani człowiek, jak się zdaje, nie może nigdy oznaczyć chwili, w której serce jego stało się kraterem wulkanu. A jednak, to co mówię, jest prawdą, jak Bóg jest w niebie!

Wyratowaliśmy wspólnem staraniem Müllera. Po tym przypadku żył jeszcze lat dwadzieścia pięć. Ale o oddanej mu usłudze nieco prędzej zapomniał.

Pani Elżbieta Müller, żona jego, dla zbytku jakoby czułości nie pokazywała się u męża i była ciągle zamknięta na swojej połowie. Ja, Ksawerowa i Rosołowski pędziliśmy dni i noce przy łóżku chorego.

Poco szpecić szatą wyrazów przedziwną nagość niewinnych, anielskich, boskich myśli i uczuć? Owszem, nie okrywajmy jej, ale niechaj się ta nagość przed cudzem okiem ukryje. Poco odsłaniać cały świat marzeń i zachwyceń, masom nieznany, całe to morze duchowej słodyczy i żółci przed obojętnem zimnego człowieka spojrzeniem? Zostawmy to samolubnie, wyłącznie dla naszej tylko, a już ostatniej pociechy, dla naszej rozkoszy!

Świat tysiącem rozlicznych bodźców mamiony, rozrywany, bawiony, łatwo się obejść może bez tej kryształowej mojego diamentu wody. Niechaj to wieczną pustelnika tajemnicą zostanie. Niech ją mój grobowy kamień przykryje, dopóki głos wybawczej trąby nie zbudzi ze snu naszych popiołów. Wtedy wszyscy to pojmą. Teraz jeszcze człowiek, kochający przeczystą duszą, jest przedmiotem szyderstw i urągań bliźniego swojego.

Bystre oko kobiety dostrzegło natychmiast tego, co się w duszy mojej działo. Postępowanie Ksawerowej natychmiast się także zmieniło. Z tej miłej, czułej, pełnej względności przyjaciółki, zrobiła się raptem jakaś szorstka sekutnica, jakaś mała żmija, kąsająca i urągająca się mnie bez żadnego powodu. Owszem z wyraźną niewdzięcznością, bo wszyscy w domu widzieli, że byłem prawdziwym dobroczyńcą jej dzieci i zbawcą szwagra. Z każdym innym człowiekiem obchodziła się po dawnemu, ze mną tak, że aż zasłużyła na wymówki i siostry i szwagra, którzy się lękać zaczęli, znając moją drażliwość, żebym ich domu nie opuścił na zawsze. A nie domyślili się niczego, bo ja tego już domu opuścić nie mogłem. Ale mnie to śmiertelnie trapiło.

Duma, próżność, obrażona miłość własna, chęć ukrycia i przed nią i przed całym światem rzeczywistego duszy mojej stanu, rzuciły mnie w tysiączne z innemi kobietami intrygi. Gdybym mógł znieść karty, stałbym się najpewniej najzagorzalszym kartownikiem. Chciałem tę kobietę zbić z tropu, przekonać, że się myli, że sobie napróżno pochlebia, że się broni napróżno, bo jej nikt atakować nie myśli. Tymczasem straciłem i ochotę i możność do wszelkiej umysłowej pracy, do wszelkich dawnych zatrudnień. Nikt stanu mojego nie odgadł. Karol, który się ze wszystkich zakochanych w Ksawerowej gorzko natrząsał, powiernikiem moim być tem samem nie mógł. Byłem „nieszczęśliwy" i „wart litości", alem jej szukać w kimkolwiek wzdragał się. Oczy duszy Ksawerowej wszystko to jak na dłoni widziały. Kiedyśmy już teraz z sobą grali, do czego się tylko przyzwoitością samą nakłonić dawała, jak się, broń Boże, palce rąk naszych siebie dotknęły, uciekały ręce nasze od siebie tak nagle, jakżeby się z dżumą spotkały. Jej ręce były zawsze, jak lód. Moje, jak ogień gorące.

Ale co mię dziś najwięcej dziwi, to ten stan ciała mojego, które się rzeczywiście zduchowieć dla niej musiało. Bo wszelkie cielesne, jakie pierwiej do tej kobiety czułem ponęty, raptem od samych Trzech Króli ustały. Owszem, kiedy mi myśl podobna z przypadku zabiegła, bo o tej jednej kobiecie ciągle i dniem i nocą myślałem, kiedy, mówię, z przypadku coś podobnego na myśl mi o niej przyszło, odtrącałem to od siebie, więcej niż ze zgrozą. Czegoż chciałem? Sam nie wiem. Chciałem ją mieć na mojem ręku, chciałem ją objąć w moje ramiona, unieść, ulecieć z nią w przestrzeń i tam z nią krążyć przez całe życie. Chciałem pocałowaniem ust moich wypalić na każdej części jej ciała znamię gwałtownej mojej miłości. Albóż tedy ja wiem, czego chciałem? Ale płeć moją z jej płcią połączyć nigdy mi wtedy nie powstało w głowie.

Ona tej wysokości uczuć ani dosięgnąć, ani pojąć nie mogła. Kobieta broniła się ciągle swojemi środkami od przewidywanych płciowych zasadzek. I ta właśnie pomyłka, ta cnotliwej niewiasty rachuba, dla niej bezużyteczna, niepotrzebna — dla mnie prawdziwem była nieszczęściem, bośmy się zrozumieć nie mogli. Gdybyśmy się tylko zrozumieli byli, życie moje tak silnym i trwałym podniesione bodźcem, pokazałoby i jej i ludziom *ch'anch'io son pittore!* Ona całe życie moje zabiła!

W najzapamiętalszych moich czy dziennych, czy nocnych marzeniach, we snach moich, ciągłą jej przytomnością zdobionych, widziałem ją ciągle ulatującą przede mną. Widziałem latającego tuż obok niej aniołka, jej trzyletnią córeczkę. Widziałem surowy i groźny wzrok mojego ojca; zdanie się na wolę opatrzności mojej macochy; piekielny uśmiech i wyraz twarzy pani Elżbiety Müller, a siebie w złocistych i niebieskich piórach, kołującego lub unoszącego się nad tym obrazem. Gdybym jej tylko był mógł słowami powiedzieć, że ją kocham, jużbym był nawpół szczęśliwy. Ale się nigdy na to przy największych wysiłkach odważyć nie mogłem. Ja, co to innym kobietom mawiałem tak śmiało, żem się ani zaciął.

Rzekłem już wprzódy, że chęć ukrycia i zatarcia w obliczu całego świata wszelkiego śladu mojej słabości, rzuciła mnie w pozorne starania podobania się innym kobietom. Chciałem z jednej strony zwieść ludzkie oko, bo każdy co kochał, wie

jakby chciał w szczerej i czystej miłości tajemnicę swoją tylko Bogu jednemu powierzyć. Z drugiej strony pragnąłem wywołać tem zazdrość. Czy mi się to ostatnie udało, albo nie? dotąd z pewnością nie wiem. Ale wątpię, bo Ksawerowa przedtem jeszcze miała klucz kokieterji mojej, który, niestety, sam jej kiedyś w momencie otwartości serca nierozważnie oddałem. Dopiero w lat piętnaście potem, kiedym już przepalone miał serce, — bo nic trwałego pod słońcem niema, — kiedy przedmiot ówczesnej mojej miłości już wdowią nawpół starą z innym zupełnie głosem i schorzałą był istotą, a ja jeszcze w całej czerstwości i pełności siły i życia mężczyzną, kiedy ja, zepsuty doświadczeniem, życiem, tylko już przyjaźń dać mogłem, dopiero, mówię, aż w lat piętnaście, wróciwszy do kraju, dowiedziałem się od niej, że byłem wtedy kochanym, a może nawet tak silnie, jak sam kochałem. Ona o mojej miłości od siostry swojej, jak to niżej powiem, najdokładniej już wiedziała, chociażby i swojemu kobiecemu nie wierzyła oku. Ja biedny, zacietrzewiony, nie wiedziałem o niczem.

Ta jedyna w życiu mojem potężna miłość skończyła się, mówiąc światowym językiem, na niczem, bo na pełnym westchnienia, łez i żałości najzupełniejszym platoniźmie. Jej pamiątką było jedyne przy pożegnaniu pocałowanie mnie — w głowę.

Gdybym był tylko wówczas podjął tę moją nieszczęsną, schyloną do jej ręki głowę, usta spotkałyby się z ustami i wszystkoby inny obrót wzięło, bo na ten moment byliśmy sami. Ale jabym prędzej umarł, niż się z nią na coś podobnego odważył. Widzę, jak ramionami ściskasz i mówisz: „Ach, jaki głupi". W istocie powiesz to nieraz i powiesz słusznie. Tutaj wstrzymaj sąd swój, bo słuszny nie będzie. Trzeba było być w mojej skórze i potem dopiero dać zdanie. Ja to sto tysięcy razy w życiu zrobiłem. Ale tutaj nie miałem odwagi. Może też z tego powodu ta tylko jedna w życiu mojem jest miłość, o której wspominam ze wstrętem ciężkiego bólu, tak mi grube na sercu zostawiła blizny. Ale nie. Pamięć jej dlatego raczej jest już dzisiaj pod starość dla mnie bolesna, że sparaliżowała całą dalszą moją karjerę. Wolę tu siebie o egoizm, niż ją o cokolwiekbądź oskarżać. Jakkolwiek bowiem, jak się pokazało w wiele lat po-

tem, wzajemnie kochany, nie byłem pojęty. Inna kobieta na jej miejscu przy równej cnocie i poświęceniu się dla zaciągniętych już obowiązków domyślałaby się może, że tam, gdzie tak kochają, kobieta się już nie broni, bo jej z tej strony nie atakują tak prędko. Że ówczesne skarby uczuć moich, wzniesionej nad poziom myśli, skarby magnetycznego widzenia rzeczy tego świata darmo przez tę kobietę przepadły. Że jedno jej ustami wymówione słowo: „Kocham cię", posadziłoby mnie, jak Bóg żywy, natychmiast na samym wierzchu piramidy egipskiej. Że bodziec do tych wyższych w dalszem życiu działań, któreby niezawodnie świetnym uwieńczone były skutkiem, zdruzgotane i starte na proch przez nią zostały. Ona broniła ciała. Co mi jej ciało! Ciał miałem dosyć! Ja chciałem jej duszy, jej duszy, podobnej wówczas do mojej duszy. I ta dusza, co ze mną spojona możeby we mnie dziwne mogła wyrodzić siły, spaliła tylko na popiół biedne moje serce i ten popioł z tryumfem rzuciła w oczy wszystkim już odtąd znanym przeze mnie kobietom.

Ale wróćmy do naszej powieści.

Życie moje podówczas było stanem osobliwszym, odrębnym, jakiego może rzadko który człowiek doświadczył nawet w młodym wieku. Na to bowiem trzeba pewnego zbiegu okoliczności, niezawsze trafiających na siebie i często innemi, a sprzecznemi krzyżowanych siłami. Czy byłem szczęśliwym? Nie. — Dlaczego? Nie wiem. Wiem tylko to, że jak podobno u wszystkich, co tak nazwaną złą gwiazdę mają nad sobą, jak się tylko cofnę myślą dla przypomnienia przeszłości, nie znajduję ani jednej minuty, którаby radością oko duszy mojej rozweseliła, i ledwie że nie przekładam teraźniejszości, chociaż ta zawsze ma ostre kanty i kolce, które czas potem zaciera i niszczy.

Dlaczegoż inni z taką rozkoszą wspominają przeszłość? Albo ja wiem? Widać, że im wtedy prawdziwie dobrze było. Albo, że pamięć i zdrowy sąd o rzeczach ich zawodzi. Ja, mówiąc o tym czasie, mówię wyłącznie o stanie duszy mojej i to wiem tylko, że wówczas przynajmniej ta dusza warta była szczęścia. Był to bowiem prawdziwy kościół; jeśli uczucie szlachetne, dodatnie zasługuje na to nazwanie. Cały byłem miłością. Paphos, Cnidos, Cythera, miłość Boga, miłość ludzi, wszystko tam gościło i było jak w swoim domu. Kochałem się śmiertelnie

w kobiecie cnotliwej i zacnej bez żadnej wprawdzie z jej strony do tego zachęty; kochałem Wercię upoetyzowaną wzniosłą przyjaźnią; kochałem przyjaciół moich przyjaźnią bajeczną, że i Orestes i Pylades poszliby przy mnie pod ławę. Kochany znowu wzajemnie od wszystkich, ledwie że nie noszony na ręku, nietylko że nie znałem czucia nienawiści, którego i dotąd nie znam, ale wszystko widziałem białe, lśniące, gładkie, jak atłas, albo zielone, jak majowy listek, a miękkie i potulne, jak aksamit wenecki. Czego już nie widzę i oddawna nie widzę, niestety. Ale dodać trzeba, że oprócz srogich bólów tajonej, gwałtownej, a niedzielonej miłości wisiała ciągle i zawsze zdaleka na jednym punkcie tego mniej więcej jasnego nieba chmura ciemnego koloru, która wszystko psuła, albo, co gorzkie było, cięższą zaprawiała goryczą. Był to ledwie nie ciągły rozpaczliwy ryk serca mojego, kiedym o ojcu moim pomyślał. A o nim myślałem często. Myślałem o nim ciągle. Nie mogłem nie myśleć o człowieku, którego nie szanować, nie dziwić się mu we wszystkiem było dla mnie niepodobieństwem, a którego ojcowskiego oka, jak ja pojmowałem je sobie, zasłużyć, któremu nigdy w niczem dogodzić nie mogłem. Herkulesowe starania, starożytne uczucie honoru i cnoty, konduita poważana od wszystkich, religijna cześć dla niego, religijne spełnianie jego woli — nie znajdowały u niego najmniejszej ceny. Uważał to za powinność; znajdował, nie oglądając się na inną młodzież, że tak być musi i że to wszystko jest skutkiem przyjętego przez niego systematu. Systematu ciągłego, w jakimkolwiek sposobie, dręczenia młodego człowieka, żeby, gryząc się ciągle, nie miał czasu o złem pomyśleć. Coraz się tedy bardziej w zasadach swoich utwierdzał. A lękając się naturalnej emancypacji w mężczyźnie, z każdym rokiem do lat moich przybyłym, w progresji geometrycznej surowość i cierpkość swoją powiększał. Wszystkie zabiegi moje rozbijały się statecznie o ten szkopuł. I chociaż nigdy nie byłem głupi, a jeśli kto inaczej pomyślał, wkrótce może i dostrzegł, że siebie zrazu wziął za mnie, cały jednak mój talent tak nazwanego taktu w potocznem życiu rozsypywał się na drobny proszek w stosunkach z ojcem. To dla mnie była *ultima thule*, za którą cały mój spryt ani jednego kroku nigdy dalej nie zrobił. A prawdę mówiąc i dotąd nie wiem, co myślał, czego ten zacny i dobry

człowiek chciał rzeczywiście ode mnie? Tłumacząc rzecz mistycznie, zdawałoby mi się, że ja, płód pierwszego skoku jego miłości, odlany zostałem na jego formę. Te dwie natury dlatego, że bratnie, dlatego właśnie, że były zupełnie bratnie, prawami elektro-magnetycznego życia odpychać się w życiu musiały. I naturalnie płyn silniejszy silniej odpychał od siebie jednorodnej natury płyn słabszy... Staraj się bywało jak chcesz, zawsze się coś i co moment do przygany znalazło: a dobrej racji jednak prawie nigdy nie było. Kto co złego, lub nagannego w domu zrobił, to się na mnie skrupiło. Ja byłem prawdziwym izraelskim pokutnym kozłem. W czasie wakacyj, mając osobny dla siebie wiejski domek, siadywałem w nim najczęściej nad książkami. Ojciec przychodzi, naprzykład, do mnie i powiada:

„Zawsze książki i książki! Przejdziesz cały swądem starego *Gelehrtera*. Czemużbyś młody, zdrowy, hoży, nie kazał osiodłać konia, i nie przejechał się konno? Czyż na to chowam dla ciebie tureckiego ogiera, czyż na to płaciłem za naukę konnej jazdy, żebyś nigdy nie siedział na koniu?"

Nazajutrz, chcąc mu się przypodobać, każę osiodłać wierzchowca i pojechałem. Możem kilkaset kroków ujechał, postrzega to ojciec.

„Kto to tam jedzie konno?"

„Pan Stanisław."

„Jak to?!..." Tego momentu posyła po mnie konnego, wraca mnie zpowrotem, najokropniejszy w domu podnosi hałas, targa nawet trochę za łeb masztalerza za to, że się ważył mnie posłuchać i osiodłać konia, nie zapytawszy się jego.

„A syn mój", powiada: „mniej tu jest, niż każdy najmniejszy mój sługa, mniej nawet niż każde moje bydlę, bo to wszystko, co tu jest, użyteczne mnie jest, a on mnie do niczego zgoła niepotrzebny".

Niechajże sobie tedy koń szczęśliwie stoi. Podkurczywszy ogona, ja znowu do książek. Ale sobie myślę: „Głupstwom zrobił, choć mi sam powiedział, żebym sobie kazał osiodłać konia, trzeba było ojca pierwiej o to zapytać". W parę dni znowu przychodzi do mnie. „Cóż to? zawsze gnijesz, czy wędzisz się nad książkami? Masz fuzyjkę taką ładną i zręczną, sprowadziłem

ci ją z zagranicy z takim ambarasem i kosztem. Otbyś poszedł, pochodził po lesie. To człowiekowi, kiedy w miarę użyte, i zdrowie i dobrą myśl daje". Wychodzę tedy z fuzyjką. A jak w lesie lekko, po myśliwsku ubrany. Ale na moje nieszczęście biorę słomkowy kapelusz z dużemi rondami, bo upał straszny i w oczy smali.. Ubiwszy kilka dzięciołów, orzechówek, wiewiórek, wracam dumny z tą zdobyczą do domu i spotykam ojca, idącego spacerem po drodze.

„Abellino! Rinaldo!" woła na mnie nie żartem: „Cóżto, chcesz ludzi straszyć, jak rozbójnik jaki? Fuzja na plecach, kapelusz kalabryjski, kurtka terracyńska. Nie strasz-że mi, proszę, moich biednych włościan!"

Otóż i po polowaniu!

„Czy nie pozwoli mnie, ojciec dobrodziej, dzisiaj przejechać się konno? piękny dzień i koń już dawno nie chodzi" — mówię w tydzień potem.

„Do czego to literatom? *Disce puer latine:* obejdzie się, nie potrzeba."

Te trzy z pomiędzy miljona przykłady, wzięte z codziennego życia, wystarczą. Ale podówczas jeszcze, na szczęście nas obu, tylko po dwa miesiące na rok bywaliśmy z sobą. Nie było czasu zrazić się zupełnie. A ja mu zawsze, jak pudel, w oczy tylko patrzałem, czemby się mu podobać? bo serce moje pragnęło i synowską miłość czuć w całej świętej potędze i ojcowskiej doświadczyć, co najlichsze nawet na świecie ma w darze od Boga stworzenie.

Dziś, kiedy po tych wszystkich próbach, po zdradach kochanek, krewnych, przyjaciół, opuściwszy świat wielki i mały, już od lat dziesięciu w samej sile zdrowia i wieku zamknięty na wsi, jak prawdziwy pustelnik, nikogo dosłownie, prócz sług i oficjalistów moich nie widzę, że sami tego nie potrafią, dziwią się naokoło wszyscy; pojąć nie mogą, jak bez ich towarzystwa wytrzymam? Przypisują to mizantropji, nienawiści ludzi i Bóg już nie wie czemu. Ledwie, że psów na mnie nie wieszają. Dobrzy ludzie, biedni ludzie. Ach, jak się mylą. Człowiek, co lat tyle w zupełnem odosobnieniu mógł przeżyć, a źle nikomu nie zrobił, owszem, człowiek, co przez ten czas nie jednemu może zrobił i dobrze; człowiek, co nie stetryczał, nie zdziczał, nie zdziwaczał,

co zawsze chodzi z twarzą pogodną i wesołą; człowiek, któremu zawsze każdy dzień jest za krótki, co lubi kwiaty, ptaki, muszki i motyle i co w momenty, wolne od umysłowej pracy, bawi się z niemi, jak dziecko; człowiek taki musiał z sobą, jak Bóg żywy, unieść w sercu ze świata wielką jeszcze dozę miłości i miłości dla ludzi. Ale i to prawda, że stracić tego ostatniego już skarbu nie chcę nowem doświadczeniem. A jeśliby ono tak znowu niekorzystne było, jak to, którego już nabył? Niechaj mu tedy zostaną jakieś złudzenia. Są poeci nazewnątrz, którzy prozę noszą w sercu. Są i tacy, co w życiu potocznem praktyczni, w duszy ciągłą łechtani są poezją. Prawda, że tym ostatnim biada! Ale ich szanujcie, bo pereł swoich nie chcą i wstydzą się rzucać.

Do ówczesnych uczuć i pełności serca mojego dodać potrzeba i tę jeszcze pochlebną pewność, że w mojej nauce i wrodzonej obserwacyjnej zdolności miałem niewyczerpane źródło czynienia dobrze bliźnim moim. Ratowałem ich zdrowie prosto z miłości do nich, bez materjalnego wynagrodzenia. Owszem dawałem im darmo własnym kosztem kupowane lekarstwa, na co mnie pełen miłosierdzia ojciec co rok jakąś przeznaczał kwotę. Co ze mną przez te lat pięć wyrabiali, to Bogu jednemu wiadomo. Dzień i noc chwytany, a jak na wsi, wożony o mil kilka, kilkanaście, czasem na prostym chłopskim wozie, źdźbłem jakiem podrzuconej słomy zmiękczonym; Żyd, Cygan, chłop, szlachcic, ksiądz, obywatel, wszystko to, co naokoło tu żyło, doświadczyło mojej pomocy, ratunku. Wieleż to razy to poświęcenie własnem okupiłem zdrowiem. Wieleż to razy po trzy dni i trzy noce siedziałem nieruchomy, bezsenny przy łożu ciężkiej boleści tam, gdzie się już ani mąż, ani ojciec, ani matka, ani babka utrzymać na nogach i dosiedzieć nie mogli. Wieleż to było takich z siebie ofiar, żadnego nie wyłączając stanu. Gdzież tu jest naokoło by jeden owego czasu człowiek, któryby czy bezpośrednio, czy pośrednio nie miał dla mnie obowiązku? I cóż? Nagroda zato najwyższa jest wprawdzie we własnem sercu swojem i tego dla mnie aż nadto. Ale zresztą wszyscy naokoło w dziwnem jakiemś odurzeniu brali to za powinność, znajdowali to naturalnem, cieszyli się, że mają darmo tak wielką wygodę i jedynej wdzięczności, wdzięczności serca, dobrzy ci ludzie ani się nawet domyślali nigdy. „*O sancta simplicitas!*"

(Te słowa wymówił Jan Huss na stosie, dostrzegłszy, że się mały chłopczyk z zapalonem łuczywem z wielkiem ukontentowaniem i gorliwością w celu podłożenia jak najprędzej ognia pod jego stos uwijał).

Owszem, nieraz dobrodziejstwo wywołało potem czarną niewdzięczność, albo w lat kilka niesłuszną obmowę. A po tyloletnich trudach, po tysiącach osób, staraniem mojem oczywistej śmierci wyrwanych, cóż powiedzieć o ludziach tutejszych, kiedy odkryję, że jednegom tylko w życiu, dla którego najmniej zrobiłem, znalazł wdzięcznego człowieka, a tym był lokaj. Litwa przed wiekami musiała mieć jakieś okropnie twardego i dzikiego serca plemię, zamieszkujące pas nadniemeński od Merecza po Jurbork.

ROZDZIAŁ XIII.

W nieustannym ruchu, którym i siebie i drugich w Wilnie na mój rachunek odurzyć chciałem, bywałem ciągle na maskaradach. Opadały mnie tam bez końca znajome kobiety, pod przybraną na ten moment kopertą rade ukryć rumieniec. Na jednej z tych zabaw stałem przypadkiem niedaleko głównego wejścia. Większa część pięknych i dystyngowanych masek zatrzymywała się na chwilę przy mnie i ze mną szczebiotała czas jakiś. Tymczasem był na służbie w sali i stał na swojem miejscu u drzwi wspomniany już przeze mnie wyżej policjant Krukowski. Zadziwiła go ta niezwykła względność tak wielu masek dla jednego i tegoż samego zawsze młodzika. Chciał się dowiedzieć, co to za jeden. Ktoś mu powiedział moje nazwisko. Tego mu było i trzeba.

Nazajutrz o siódmej z rana tenże sam pan Krukowski, który mnie śledził po nocy aż do mojego mieszkania, przyniósł mi z najpiękniejszym uśmiechem do łóżka rozkaz stawienia się natychmiast przed komisją śledczą. Że aresztu naznaczonego nie było, z tego powodu zacny pan Krukowski po objawieniu mnie rozkazu raczył natychmiast wynieść się za drzwi.

Rozporządziwszy jako tako mojemi interesami, co nie tak łatwo mi przyszło, bo Karola znowu w Wilnie nie było, a Müller do Petersburga wyjechał, uklęknąwszy przed wielkim ołtarzem w kościele Św. Jana, który jeszcze podówczas w całej dawniejszej był świetności, wziąłem się jak niepyszny na lewo i wszedłem z nosem spuszczonym do domu, prawie naprzeciw księgarni i bibljoteki uniwersyteckiej położonego, gdzie właśnie podówczas zbierała się komisja śledcza.

Zastałem tylko Ławrynowicza. Sławny ten drapieżny zwierz komisji wyszedł do mnie aż do przedpokoju, co mnie mocno zdziwiło. Powitał mię bardzo przychylnie i grzecznie, w sali prosił mnie siedzieć i tysiącem uprzedzających grzeczności otoczył. Wierzyć własnym oczom i uszom nie mogłem. Postrzegł to i zaraz powiedział, że ja, skończonej już edukacji człowiek, i jedyny z tak wysokim stopniem oskarżony, powinienem być uważany inaczej od zwykłej uniwersyteckiej gawiedzi. Kazał mi podać przygotowane już dla mnie zapytania i odpowiedzieć na nie. Ławrynowicz sam nawet raczył poprawiać to, com napisał, a w tej korekcie rzeczy niezawsze był w zgodzie z Kopczyńskim, ale mi już o to niebardzo na ten raz szło.

Skończyło się na tem, że mnie swobodnie wrócić do domu pozwolił i wobec rozdziawionych od podziwu gęb powstającej przede mną przy wyjściu całej jego kancelarji odprowadził mnie sam na schody. Tam dopiero, kiedyśmy już byli sami powiedział: „Nie pisz pan o tem do Kowna, ale, jeśli tam będziesz, przypomnij bratu mojemu, prefektowi, żem danego słowa jemu dotrzymał. Już on zrozumie, co to znaczy". Wtedym się dopiero domyślił, a wkrótce potem i dowiedział, że cała ta nadzwyczajna łaska była skutkiem starań poczciwego kowieńskiego prefekta! Ale co już o tych biedach wspominać. Na maskaradzie podejrzał mnie zdrajca Krukowski, pomówmyż lepiej o maskaradach.

Maskarady należą do liczby tych prawdziwych rozrywek i zabaw, które i każdy stan, i każdy wiek, i każdy stopień wychowania, i każde usposobienie umysłu rozweselić najzupełniej mogą, jeśli w sobie tylko odpowiednie przeznaczeniu swojemu posiadają warunki. Głównym z nich jest, żeby miasto nie było zbyt wielkie, żeby się większa część przynajmniej cywilizowanych mieszkańców, chociaż na zwykłe rozdzielonych koterje, jeżeli nie osobiście to przynajmniej z widzenia, między sobą znała. Żeby zwykłe po miastach plotki, — w wielkich jak krople w morzu niknące, w małych jak obelisk Luxoru wynoszące się nad poziom, — pewne miały umiarkowanie i nie w jednym i tymże samym momencie całej publiczności wiadome były. Jak tego niema, cały urok upada, wszystko się kwasi. Dlatego maskarady domowe, gorzej jeszcze od teatrów familijnych nudzą. Drugim koniecznym warunkiem jest dowcip kobiet. A chociaż na tym

talencie, stosunkowo do mężczyzn, nigdy tej płci w żadnej miejscowości nie zbywa, nauczyło jednakże doświadczenie, że nie wszystkich narodów kobiety zdolne są wyrzec się na moment tej bojaźliwości i wyszukanej skromności, do jakiej przyjęte zwyczaje towarzyskie i moda obowiązują płeć piękną, kiedy niema maski, albo raczej, kiedy najlepiej jest zamaskowana, choć ma twarz odkrytą. Maskarady, naprzykład, w Petersburgu, utrzymują się tylko aż dotąd wyłącznie maskaradowym dowcipem i taktem kobiet cudzoziemskich. Rosjanka, bojaźliwa i skromna, prędzej się czynem, niż słowem zdradzi.

Wilno samym już swoim rozmiarem było z tego względu jedyne i najzupełniej obu odpowiadało wymienionym warunkom. Mężczyzni tem więcej tę rozrywkę cenili, że w niej było wiele swobody, uwalniającej ich od ówczesnej etykietalnej sztywności, przyjętej w salonach, która każdy nasz krok trzymała w sznurówce. Proszę sobie nie żartować. Wileńskie maskarady w pierwszych latach panowania Aleksandra [A26] znajome były całej Europie. Dał im ten rozgłos sławny także podówczas maskaradowy amator i marnotrawca, Jarosław Potocki, syn Szczęsnego, z Mniszchównej urodzony, który na tego rodzaju błazeństwa 15.000 dusz stracił. Ten i w prywatnych i na publicznych maskaradach, przebrany zawsze za kramarza, nosił przed sobą bogatą na szyi zawieszoną szufladę, w której się drogie pierścienie, brylantowe zausznice, spinki, fermoary, naszyjniki, perły, korale, kamee, paryskie perfumy i inne kosztowne fraszki znajdowały. Te on czy prosto maskom rozdarowywał, czy natychmiast między pojedyńczemi grupami robiąc loterją szczęśliwszym rozdawał. Wiele było takich maskarad w Wilnie, które go po kilka tysięcy dukatów kosztowały.

Każde miasto w maskaradzie właściwą ma sobie etykietę i fizjonomję. Wileńska była taka.

Świat wyższy zjeżdżał się o pół do jedenastej, albo o jedenastej, arystokratki i lwice o dwunastej. Bawiono najwięcej parę godzin, a w najrzadszych i najweselszych momentach do drugiej. Damy wszystkie w maskach. Szary koniec kobiet, żeby się nacieszyć za swoje, — bo i kobiece bilety równopłatne były, — w maskach, a rzadko która i bez maski, przybywał o samej dziewiątej. Trzebaż się wytańczyć za własne cztery

złote. Czasem, owszem najczęściej, nie za własne. Ta klasa bawiła się do trzeciej po północy. Jeszcze pół godziny dłużej bawiły szarytki, najedzone już i opite libacjami galantów niższego ekstraktu. Mężczyźni dobrego tonu nie maskowali się nigdy. Wszyscy zamaskowani, wyłączając rzadkie i najczęściej bardzo dowcipne koncepty, albo miłosne intrygi, należeli do klasy młodych akademików, młodych aplikantów palestry, młodych urzędników kancelaryjnych, co radzi byli powtórzyć lekcje tańców Dziewoniego, kiedyś tancmistrza baletu króla Stanisława, a wówczas siwego, ale jarego nauczyciela tańców w Uniwersytecie. Powtórzyć im to trzeba było na woskowanej posadzce, której im Uniwersytet nie dawał i na prostej podłodze szastać nogami tylko pozwalał. A trzebaż było nabrać wprawy, żeby się potem na świecie choć na posadzce nie ślizgać. To nie było podówczas zbyteczne. Kilku moich sąsiadów rozsunęło się u mnie samego niedawno jak cyrkiel tak, żem z lokajami podtrzymać ich pod ręce musiał, żeby się po samą brodę nie rozdarli z wielką małżonek ich żałością. Ale „poczciwemu nic to szkodzić niema", jak mówią dawne nasze statuta. Pompejusz i Cezar nie znali woskowanej podłogi, a nieźle im było i za życia i zapewne po śmierci.

Wszyscy wogóle musieli być na maskaradzie we frakach, ale co gorzej, z odkrytą głową. Zwyczaj niedogodny z każdego względu i wszędzie oddawna w Europie odrzucony, bo tylko kapelusznikom korzyść robiący. Kapelusze tarły się, mięły i gniotły, choć już na to mieliśmy umyślnie robione, składane, *chapeau-claque* nazwane. Dodać i to należy, że kapelusze, w ręku trzymane, niechcąc więcej zabierały miejsca, licząc wogóle stosunek ilości ludzi do wielkości sali.

Że dla utajenia osoby, która była pod maską, pisały się tylko palcem na wystawionej dłoni pierwsze litery imienia i nazwiska osób, rękawiczki zatem i u dam, i u mężczyzn musiały być koniecznie białe. Kanarkowych wtedy jeszcze nie znano. Maski, nie mające takich rękawiczek, tem samem już do plew należały. Nikt z wyższej klasy mężczyzn i kobiet na maskaradzie nie tańczył, byłoby to grzechem śmiertelnym. Grupy masek, każda swoim dworem, jak raz weszły do sali, trzymały się siebie nierozłącznie z małym chyba wyjątkiem starych kobiet, które

pozwalały sobie dla poufnej z jakimś mężczyzną o interesie rozmowy, przyjąć jego rękę i pojedyńczo z nim chodzić. Ale kto to zobaczył, wiedział, że tam pod maską stare chodzą dzieje. Ważny to i pochwalny w obyczajowym względzie maskaradowej etykiety warunek. W Petersburgu, w Paryżu grupy kobiet maskowanych, panien i mężatek, zaraz przy wejściu, naznaczywszy godzinę i miejsce, kiedy się i gdzie perjodycznie schodzić mają, rozłączają się i każda maska pojedyńczo bez żadnego dozoru chodzi z mężczyzną po salach, jak labirynt Minotaura i krętych i licznych, a, co gorzej, rozliczne mających i wejścia i wyjścia. Dla mężczyzn to bardzo dogodne, dla rozpusty takoż. Ale to razem daje i otwiera drogę do najzupełniejszego zepsucia, brudnych miłosnych intryg i nieraz okropne familijne katastrofy sprowadza.

Co do kostjumów Wilno rzadko odznaczało się jakiemi charakterystycznemi maskami i nie było to w modzie. Wilno, do epigramatu przedziwnie usposobione, nigdy do karykatury nie było skłonne, choć w sobie karmiło tysiące oryginałów. Paryż i Londyn mogłyby się cieszyć z takiego skarbu. Stolica Litwy wolała swój dowcip wyrażać w wierszyku. Było to skutkiem przewagi moralnej Uniwersytetu, którego uczniowie lubili więcej szermować językiem, niż się w artystyczne puszczać zapasy. W kilka lat potem, jak gębę zamknięto, karykatura prym wzięła, bo już inne były czasy i alegorja prawdę zastąpić musiała [A_{27}].

Maskowano się w Wilnie czysto, czasem nawet bardzo bogato, ale tylko tak, żeby niełatwo maskę poznano. Grunt leżał w gawędzie i dowcipnych rozhoworach. Bywało i to jednak czasem, że o jakiejś masce wieloletnia pamięć została. Taką, naprzykład, z pomiędzy bardzo wielu innych była maska Sulistrowskiego, marszałka gubernjalnego, a potem gubernatora w Mińsku, wielkiej powagi, wielkiej opinji i niepospolitej głowy człowieka, ale przytem dowcipnego i wesołego, co Francuzi *farceur* nazywają.

Raz na maskaradę wtacza się prześliczny szwedzki piecyk i nic więcej. Posuwa się i posuwa coraz dalej po sali. Drzwiczki wytwornie z blachy białej zrobione, zamykały ten piecyk. Nad drzwiczkami był napis: „A naco ta ciekawość?" Jak go już trochę

zewnątrz opatrzono, przyszło zaraz rozumniejszemu na myśl spróbować otworzyć drzwiczki.

Otwiera. Zagląda. Raptem zmieszany zamyka je i odchodzi. Pytają go: „Cóż tam widziałeś?"

„At, zobaczcie sami", — i odszedł.

Idą tedy jeden po drugim. A każdy, co zobaczy, jak oparzony prędko drzwiczki zamknie i nie chwali się tem, co postrzegł.

Większa jeszcze ciekawość!

W tym zaś piecyku stał sam Sulistrowski, wypiąwszy akurat naprzeciw drzwiczek oświeconą dwiema latarniami, obnażoną najzupełniej okrągłą część ciała swojego, ale nie twarz.

Póki było tylko kilku, kilkunastu, kilkadziesiąt, co w to spojrzeli, było jeszcze dobrze. Ale jak już z paręset się oparzyło, zaczęła się formować koterja, żeby za to odemścić. I już w bufetowej sali rozpalono na kominku kruczek żelazny od pieca, żeby w tym pięknym piecyku drewka poprawić. Dopilnowawszy szczęściem spisku tego, ci, co do sekretu Sulistrowskiego należeli, ostrzegli go. Unikając kauteryzacji, której sobie wcale nie życzył, wysunął się nieznacznie do sieni i tam od ciekawych niby ostąpiony zręcznie się wymknął, a piecyk zostawił. Spiskowi z rozpalonem żelazem wpadają do sieni, ale już drewek w piecu nie było!

To mi przypomina jeszcze ledwie że nie w takim rodzaju anegdotę, zdarzoną kiedyś w Warszawie, o której mi jedna z krewnych moich, staruszka, wychowana u księżnej hetmanowej Ogińskiej, bliskiej króla Stanisława krewnej, śmiejąc się opowiadała.

Książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, był bardzo zamłodu wesoły i pustak. Trzpiotał się ciągle, a co dziwna w takiej pańskiej osobie, tłuste żarty nadzwyczaj lubił. Nie licząc innych fars jego takich, naprzykład, że przebrany za księdza własną wyspowiadał żonę i wszystkich się jej grzechów przeciwko sobie najdokładniej dowiedział, jeszcze i na maskaradach tysiąc psot dokazywał.

Raz, zamaskowany i mając jakąś tam wielką lubieżną prowadzić intrygę, spotkał się na sali z hetmanem Branickim, zamaskowanym także i również zaaferowanym. Chodzili z sobą czas jakiś. Wtem Branickiemu uczuć się dała silna potrzeba,

wymagająca wyjść natychmiast z sali. A nie chciał być poznany. Zwierza się tedy Czartoryskiemu o swoim *cas piteux* i prosi go, żeby razem z nim wyszedł. Wychodzą, mróz był trzaskający, księżyc jasno świecił. Znajdują na dziedzińcu jakiś spokojny kącik. Wtedy jeszcze tak nazwanych *cabinets d'aisance* nie było. Branicki zdejmuje maskę, oddaje ją do potrzymania koledze, rozbiera się i przysiada. Czartoryski stał przed nim i nudząc się dostrzegł, że ten kącik niejednemu już dał podobny przytułek, czego liczne po ziemi, a już mrozem skrzepione, zostawały świadki. Trzymając tedy w ręku maskę Branickiego z potężnym i krzywym nosem, przychodzi mu myśl wrzucić nieznacznie w sam koniec tego zakrzywionego nosa kawałek malutki zmarzłego ludzkiego wymiotu. Pomyślał i zrobił. Branicki, któremu to i do głowy nie przyszło, ubrał się, włożył maskę i obaj zpowrotem na salę weszli. Póki szli dziedzińcem i nieopalanemi schodami, mróz wszelką zostawiał łatwość. Ale jak tylko weszli do sali i ciepło z mrozem walczyć zaczęło, Branicki tak niewątpliwie własnym nosem uczuł ciepła tego działanie, że się okropnie zaląkł, czy kostjumu swojego przypadkiem nie zmazał i czy wszystkim na sali nie zaraził już powietrza! Nikt jednak z otaczających tego czuć nie mógł, bo cała rzecz leżała w wielkim, ale hermetycznie zamkniętym nosie jego maski. Obejrzawszy siebie na wszystkie strony, kiedy nic podobnego nie znalazł, a swąd haniebny coraz gwałtowniej dokuczać mu zaczął, zrozpaczony, że przerwać musi ułożoną już uczciwie intrygę, pędem wrócił do domu i tam dopiero prawdziwą troski swojej odkrył przyczynę. Nazajutrz strzelał się z Czartoryskim w tej samej sali. Ale oba strzały skiełzem szczęśliwie poszły i żadnego nie miały skutku...

Maskarady wileńskie były podówczas dla mnie źródłem największej rozrywki, tam prawdziwie się bawiłem i dlatego może tak wiele o nich *con amore* mówię. Bywałem na maskaradach potem w Paryżu, Berlinie, Petersburgu, Warszawie, ale zawsze mi ówczesne Wilno przychodziło tam na myśl. Prawda, że w lat kilkanaście, kiedym raz po wieloletniej w Litwie niebytności na wileńską przyszedł maskaradę, znudziłem się piramidalnie. Ale to była moja wina, a nie maskarady. Ja tam już nie znałem nikogo! A może, jak pani de Maintenon mówiła,

je n'étais plus amusable! Jedna czy dwie i to stare już kobiety intrygowały mnie tylko i dawne chciały przypomnieć lata, ale ja nie miałem do tych wspomnień najmniejszej już ochoty. Odgrzewane rzeczy, oprócz duszonej naszej litewskiej kapusty i kaszy, nic warte. Reguła bez wyjątku: jak tylko mało masz znajomych, albo jak tylko masz wrzód na języku, mając i wiele znajomych, idź na maskaradę chyba tylko dla jakiej umówionej już wcześnie intrygi miłosnej, inaczej śmiertelnie się znudzisz.

Pomimo całej wyszukanej grzeczności, oddania każdemu należytej atencji i ostrożności, jaką cokolwiek wyższe wychowanie daje mężczyźnie, czem się on od tysiąca kłótni, zwad, pojedynków i mnóstwa nieprzyjemności w życiu swojem uwalnia, czasem jednakże jakieś prawdziwe *fatum* wiatr i na owcę napędza. Czasem najlepiej wychowanego i spokojnego młodzieńca na jakąś naraża awanturę i burdę. Na to najlepszem może byłoby lekarstwem w miejscach, publicznej zabawie w obliczu dam poświęconych, utrzymywać same tylko trunki chłodzące, a wygnać rozgrzewające trunki. Są natury w mężczyznach skądinąd dobrych i miłych, że, jak sobie tylko trochę w pałkę naleje, jak tylko nieco sobie podchmieli, zaraz i głupstwa robi, i zwady szuka, i jak smoła do ludzi lezie. Mniej tego jest w ludziach, ciągle w mieście żyjących. Pełno w ludziach, na czas jakiś ze wsi do miasta przybyłych.

Nie mogę zapomnieć dwóch awanturek, które i mnie spotkały, chociaż się bez wielkiego skandalu i rozgłosu skończyły. Wytłumaczą one przytem jeszcze, że najczęściej, a ledwie że nie zawsze grubjanie i burdy największymi są tchórzami. Jedna z tych awantur właśnie mi się zdarzyła na maskaradzie wileńskiej. Zacznę trochę zdaleka. Raz w samym punkcie kulminacyjnym maskaradowej zabawy mówiłem z grupą prześlicznych masek. Patronką tej grupy była znajoma z rzadkiej i bardzo trwałej piękności szambelanowa, jak ją tytułowano, Sulistrowska z domu Przyłuska. Była to kobieta rzadkiego poloru, rzadkiego dowcipu, maniery, a może i rzadkiej potulności do mężczyzn. Dama, którą cesarz Aleksander wysoko cenił i zawsze, bywając w Wilnie, ją odwiedzał. Przy niej było w maskach kilka młodych i z żółtemi jeszcze dzióbkami szczygiełków, prześlicznych panienek, duszeczek, które ona na maskaradę pod swoje skrzydło zabrała.

Sulistrowska zajeżdżała od domu do domu po te panny. Spiesząc się, żeby na nią nie czekano w karecie, jedna z nich, i właśnie ta, do której ja niby smaliłem cholewki, zapomniała wziąć z sobą białe rękawiczki na zmianę, na zapas i pojechała z temi tylko, które świeżutkie miała na ręku. Każdy, co zna maskarady, wie, że w takim raucie, w takim ścisku przesuwając się pomiędzy ludźmi, ocierając się szczególniej o sukienne fraki mężczyzn i ich kapelusze, białe rękawiczki w kwadrans już wyglądają, jak żebyś w nich wycierał kominy. Sala wileńska w domu Müllerów zaledwie mogła w sobie wygodnie pomieścić osób siedemset, nawet licząc w to i boczne pokoje. Jak było więcej ludzi, już było bardzo ciasno, gorąco i duszno. W ciągu mojej rozmowy zbliżał się podówczas ku nam, wykręcając się na wszystkie boki, hrabia Ferdynand Plater, idący z księciem Antonim Giedroyciem pod rękę i razem z nim przebojem drogę sobie torując. Sulistrowska, dojrzawszy go jeszcze zdaleka, chcąc Platera zaintrygować jakimś wypadkiem, który mu niebardzo pochlebiał i o którym myślał, że jest tajemnicą, szepnęła właśnie mojej belli, żeby go zatrzymała i tem go drasnęła. Plater, o którym zaraz kilka słów powiem, i tak już blady i suchy jak mumja, jak mu tylko to powiedziano, zbladł jeszcze więcej i okropnego postawił marsa. Ja tuż byłem.

„Ale czyż znasz mnie, moja maseczko?"

„Jakże nie, znam cię oddawna" — odpowiedziała moja psotnica.

Plater ze wszystkich stron obejrzał ją, ciągle skwaszony, a potem prosił o wystawienie ręki, żeby jej napisać cyfrę. Biedaczka wystawiła ją. Ale rękawiczka, co była z początku biała i świeża, od przesuwania się ciągłego pomiędzy tłuszczą przestała być białą.

Plater, widać tem, co mu powiedziała, za żywiec draśnięty, pomimo słynnej swojej i wyrafinowanej grzeczności tak był na ten raz niegrzeczny, że, ukłoniwszy się nam z przesadzonem uszanowaniem, powiedział: „Nie, moja masko, ty mnie znać nie możesz, bo ja nie znam się z damami, co brudne rękawiczki mają na ręku!"

Dziewczyna, czy doprawdy, czy udanie nie utraciwszy kontenansu, pojechała ze śmiechu, pogroziła mu palcem i po-

wiedziała: „Szkoda, że jesteś niegrzeczny, ale pamiętaj, że jeszcze jutro będziesz tych słów żałował!"

Ja, jak warem oblany, upokorzony, że mojej znajomej i osobie, do której się niby brałem w kupę, taką drażliwą powiedziano niegrzeczność, rzuciłem tę grupę z żądłem w sercu. Byłoby śmiesznością mnie, młokosowi, robić z tego powodu Platerowi, człowiekowi poważnemu, w wieku i magnatowi, jakąkolwiek scenę. Wychowani byliśmy wtedy wszyscy w uszanowaniu dla wieku. Ale ta okoliczność cały mój dobry humor uniosła i zepsuła.

Nim skutki tego rozlania żółci opowiem, wspomnę o tym Platerze i Antonim Giedroyciu.

Ferdynanda hrabiego Platera znałem, ale nie blisko. Był to człowiek ze Żmudzi, co żył całą gębą jak pan i po europejsku u siebie na wsi. A był grubo bogaty. Karty, konie, do najwyższych wymysłów *comfortu* doprowadzone dla licznie zjeżdżającej się i bawiącej u niego młodzieży, uprzejmość, gościnność; psy, polowania na wielką rękę; paradne liberje, wszelka we wszystkiem wygoda robiły dom jego dla Żmudzi rajem, a jego samego całej Żmudzi wyrocznią. Był chudy, jak szkielet co do słowa. Cienki, jak słomka. Brzydki, jak tylko może brzydkim być człowiek. Jak małpa! O nim to, kiedy Morykoniego, idącego do jakiegoś urzędu, na sejmikach protegował i woził go po żmudzkiej szlachcie, napisano epigramat, którego w ten moment ostatni tylko, ale najdowcipniejszy wiersz przypominam:

„Dawniej Włoch małpę wodził, dzisiaj małpa Włocha".

Tę jego jednak fatalną, typową szpetotę podawała jakoś w niepamięć dziwna w ubiorze wytworność i czystość, schludność; hojność pańska i dowcip, a co najwięcej, rzadki w obejściu się układ i grzeczność z kobietami. Mało kto w życiu miał tyle, co on miłosnych intryg. Owszem rzadko gdzie swojego nie dopiął, pomimo tak odrażliwej twarzy i tak śmiertelnie chudego ciała. W obywatelstwie nie odznaczył się niczem, to jest we wpływie na interesa publiczne.

Książę Antoni Giedroyć, prezydent gubernjalny graniczny wileński, z Kossakowską żonaty, Włochem powszechnie przezwany, a na ten raz maskaradowy Platera kolega, od młodości wysłany był kosztem biskupa żmudzkiego Giedroycia, za

granicę, do Włoch i do Francji. Tam, nie wiem, czy się czego nauczył, ale polskiego języka zapomniał. Był to poczciwy, zacny, dobry i przyjemnej postaci, ale wielce ograniczony człowiek. „Starał się" — jak wszystkim mówił — „mieć dzieci", ale te jego starania jakoś pozostały bez skutku. Znałem go dobrze; był on, jak i tylu innych zawsze zacnych Giedroyciów, statecznym i wiernym przyjacielem naszego domu. O nim to właśnie pozostała anegdota, że jeszcze za króla Stanisława opiekun biskup, sprowadziwszy go już z zagranicy, postanowił przedstawić królowi i o względy dla niego prosić. Przedtem zaś rada familijna ułożyła, że ten właśnie Giedroyć powinien służyć wojskowo. Jemu zaś śmiertelnie się tego nie chciało. A był przytem uparty. Wymawiał się tedy, jak mógł, ale kiedy nic nie pomagało, zrobił sobie projekt wyznać to otwarcie królowi.

W czasie prezentacji król Stanisław, uprzedzony już od biskupa, powiada z uprzejmością do niego po polsku:

— „Słyszałem, że waćpan masz ochotę do wojska. Powiedzże mnie, mój chłopcze, w jakiej broni chcesz służyć, czy w piechocie, czy w jeździe?"

Giedroyć, nie umiejący swojego języka, którego i do śmierci nigdy wyuczyć się nie mógł, a chcąc się za jednym razem od uprzykrzeń familji swojej uwolnić odpowiedział:

„Najjaśniejszy panie, ani jeden ani dwa".

Miało to być wytłumaczeniem dosłownem wyrazów: *„Sire, ni l'un, ni l'autre"*. Król zadziwiony odwrócił się, — Antoni Giedroyć nigdy już w żadnem wojsku nie służył.

Wracam teraz do mojego biednego siebie. Powiedziałem już wyżej, jakiego mi kwasu napędził wyskok Ferdynanda Platera. Poszedłem szukać pociechy u Werci, która także była na tej maskaradzie. Tylko com z nią bawardować zaczął, natyka się na nas jakiś wysoki, z ogromnemi białemi wąsami, nieznajomy młody człowiek, wychodzący prosto z bufetu, gdzie sobie widać podchmielił. Wercia była i słusznej urody i królewską miała talję. Podobało mu się to. Zaczął z nią tedy mówić. Ta mu odpowiada. Ja trzymam ją pod rękę. Ale mój wąsacz, żmudzinisko widać jakieś, bo potem okazało się, że go nikt w mieście nie znał, nie lubił frazesów, ale prostą drogą szedł do

Rzymu. Bez żadnej więc ceremonji pod pelerynę mojej Werci podkłada rękę i chce sięgnąć do piersi. Rozdąsany już Platerem, widząc tu nową krzywdę, wyskoczyłem z zawias. Wyjąłem czem prędzej moją rękę, Werci podaną, popchnąłem silnie całą tę grupę masek i natychmiast temu zdrajcy na odlew po uchu palnąłem, ale tak, że, choć w ścisku, w półkole się okręcił.

Do dziś dnia jeszcze pamiętam minę, jaką zaraz zrobił. Widzę go przed sobą. Rozdziawił się tak, że w gębę jego głowa moja łatwoby wleźć mogła. Wąsy ogromnie długie sterczały mu po bokach tej wielkiej dziury. Straszno było na tę gębę patrzeć, choć był człowiek wcale z twarzy przystojny. Czego on tak gębę swoją otworzył? nie wiem po dzień dzisiejszy. Szczęściem natychmiast ją zamknął i, słowa nie wyrzekłszy, najspokojniej poszedł ku drzwiom, poszedł i z sali wyszedł. Tym sposobem ta w okamgnieniu wyprawiona scena nie wywołała w sali żadnego rozruchu tak, że zaledwie kto o tem za mną idący wiedział, a policja nic zgoła. Przyjaciele moi, świadkowie tej afery, w pewności, że się ten łotr dla zemsty gdzieś na mnie zaczaił, odprowadzili mnie tłumem do domu pod swoją opieką. Ale odtąd o tem już ani wzmianki nie było. Błazen ten znikł z Wilna, jak kamfora, i na tem się skończyło.

Był to koniec szczęśliwy, Bogu za to chwała! Ale nie radzę nikomu spodziewać się go i na to rachować. Zawsze to rzecz opłakana. „U kija dwa końce" mówi lud nasz. A również dobrze Zimorowicz powiada:

„Bić go wżdy nie będziecie. Sam musi być przytem
Kto chce bić! — A kto bije, — może być obitym"...

Druga podobnaż awantura spotkała mnie, także nie chcącego, ale już nie na maskaradzie, tylko prosto na Wielkiej czyli Zamkowej ulicy w bialutki dzień. Opowiem ją dla przykładu.

Rodzice moi od czasu do czasu przysyłali mnie z Warszawy, gdzie ledwie że nie co zima mieszkali, różne, zwyczajnie jak młodemu, toaletowe gościńce. Raz, na nieszczęście, pod samą wiosnę przysłali mnie nieznajomą jeszcze podówczas w Wilnie materyjkę na letnie dolne odzienie. Materyjkę tę zwano satinetą. A był to jakiś rodzaj szlachetniejszego kitaju, lśniącego

się, jak atłas. Jak nadeszła pora, kazałem to sobie zrobić, jako warszawską modę. A warszawska moda w Wilnie było toż samo, co paryska w Warszawie.

Ustroiwszy się tedy raz w piękny z igły zdjęty surducik i te właśnie niewidziane tu jeszcze w tym rodzaju spodnie, wyszedłem na przechadzkę na sławne pięknością i bardzo ludne podówczas bulwary, okalające górę Zamkową, część Wilji i Wilenki. Kiedym się zaczął na Zamkowej ulicy równać z pierwszym poprzecznym, idąc od Św. Jana, Bernardyńskim zaułkiem, dojrzałem, że stamtąd dąży dżentelman jakiś, lat około trzydziestu mający, wielce zaburmaszysty i wąsaty. Ten, zobaczywszy mnie, zaczął oglądać z góry na dół moje świecące nieszczęśliwe spodnie, mierzyć mnie od stóp do głowy i, założywszy z największą flegmą po napoleonowsku ręce na piersiach, stanął i ciągnął dalej z wyraźną szykaną ten egzamin mojej biednej osoby.

Krew mi natychmiast sikawką rzuciła się do głowy. Ale pomyslałem sobie: „Bierz cię djabeł, jakkolwiek to zniosę". Przeszedłem tedy około niego, udałem, że nic nie widzę, przebrnąłem tę próbę ognia i wody. Odetchnąłem. Proszęż sobie wyobrazić moje zadziwienie i stan żałośny, kiedy w minutę może potem czuję, że ktoś tuż obok mnie idzie tak, że się łokciem łokcia mojego dotyka. Obejrzałem się, aż to ten sam kawaler. Czy go licho! Gburzysko ten, zrównawszy się ze mną, jakem się tylko na niego obejrzał, zaszedł mi zaraz przed oczy i, dalej niby idąc, szedł umyślnie, założywszy wtył ręce, tuż zaraz przede mną, żem kroku jednego, nie nastąpiwszy mu na nogę, dać nie mógł.

Była wtedy moda nosić grube bambusowe kije, sęczkowate, smagłe i trwałe. Kosztowały podług grubości od dwóch do dziesięciu i więcej rubli. Miałem właśnie w ręku kij taki i — nie wytrzymałem! Następując mu silnie na pięty, bo inaczej iść nie mogłem, nuż go nieznacznie niby odniechcenia, żeby przechodzących nie zwracać uwagi, silnie po krzyżu i palcach sztorcem kija odpędzać. Nie pomaga! Idzie i idzie zawsze tak samo. Spojrzę opodal na stronę, aż tu i z jednego i z drugiego boku ulicy wlecze się mnóstwo moich znajomych. Z zaułka do botanicznego ogrodu idą z sobą ks. Głogowski z ks. Nosewiczem. Głogowski, prowincjał pijarski, mąż zacny, uczony, wychowany

w Rzymie, ten sam, co tak długo w 1812 roku z Napoleonem u Zielonego mostu rozmawiał, mój patron, bo w jego kolegjum mieszkałem. Nosewicz, prowincjał franciszkanów, sama dobroć i cnota, opatrzność więźniów, sławny z wymowy niegdyś kaznodzieja katedralny w Wilnie mimo to, że rekapitulując swoje dowody powtarzał w każdem kazaniu: „Wszystko to, obywatele!"... Mąż powszechnie kochany. No, to z jednej strony na prawo. Z drugiej — na lewo gorzej jeszcze było, bo tu od Zamkowej bramy piękna pani Dobrzańska ze złotemi włosami i również jak sama pięknemi siostrami; za nią zaraz pani Rajecka z pięknemi córkami wracają trotuarem z bulwarów. Źle, wstyd! Trzeba się ratować. Jakże go więc nie palnę kijem od serca raz jeden i drugi po plecach, zszedł natychmiast na bok, ani się obejrzał, jakby nie do niego mówiono, poszedł na prawo, na drugi Bernardyński zaułek, i na tem się skończyło. Pytam się i dziś każdego rozsądnego i nierozsądnego człowieka: poco mu było zaczynać?

Oprócz maskarad były jeszcze i inne w Wilnie publiczne zabawy. Były tak nazwane reduty, gdzie zbierała się publiczność bez masek dla tańców za bardzo małą cenę, płacąc za bilet po cztery złote. Na nich rzadko kto z lepszych bywał. Dla wyższego towarzystwa były bardzo przyzwoite, a nawet wymyślne wieczory, zwane *Casino*. Tam kotyzowano się na złożenie pierwiastkowego kapitału, a potem wybranym tylko osobom, do stowarzyszenia nie należącym, przedawano jednorazowe bilety po dwa ruble srebrem za bilet. Bawiono się na *Casinie* bardzo przyzwoicie. W 1822 roku sam dzisiaj szczęśliwie panujący cesarz i brat jego, Michał, na tych kasynach bywali. Głównym promotorem i dyrektorem tej szlachetnej zabawy bywał zwykle wspomniany już kiedyś przeze mnie prezydent Chodźko, i bawić się lubiący, i wiele posiadający w tej rzeczy praktycznego taktu. Towarzystwo robiło kasyna bardzo ponętnemi i burd, albo kłótni prawie że nie bywało nigdy, choć się na biedę zawsze w takich razach znajdzie jakiś „*turbator chori*".

W małych naszych miasteczkach przeciwnie nie było i nie powinno było być powiatowej reduty, czy innej podobnej zabawy bez bitki. Cała sól, cały smak zabawy bez tego przepadłby. Tak sobie rzeczy młodzież prowincjonalna wyobrażała.

Bitwa i burda uważały się za warunek *sine qua non*. Jeszcze nie dalej, jak przed dziesięciu bodaj laty, przejeżdżając przez Kowno, zatrzymałem się tam na dzień jeden dla interesów. Właśnie tego dnia dawano redutę. Namówiono mnie koniecznie, żebym tam był. Poszedłem. Reduta dawana była jeszcze wtedy w pięknym kowieńskim ratuszu, dziś na cesarski obróconym dworzec. Wchodzę tedy na schody, i cóż? Oto zaraz na wstępie spotykam szkolnego kolegę mojego, Michała Purzyckiego, wielkiego od dzieciństwa gorączkę, który niósł jedną rękę, trzymając go na powietrzu za halsztuch, jakiegoś pękatego, zczerwieniałego i ledwie że już nie apopleksją duszonego dżentelmana, a palił go drugą ręką, co wlezie, w pyski. Halsztuch, nakoniec, tuż przy mnie od tej gwałtownej operacji pękł temu nieborakowi na karku i obity kawaler od pierwiastkowej siły rzutu i siły odśrodkowej poleciał wirem po schodach. Obżałowany był jakimsić tancmistrzem z Telsz czy z Szawel. Uchybił w czemś towarzystwu, a w szczególności Purzyckiemu. Cóż to jednak za zabawa?

Powiatowe nasze miasta pod względem publicznych zabaw swoich chciały koniecznie godność swoją utrzymać. W Trokach, o mil cztery od Wilna, w 1822 roku, kiedy gwardje tu stały, małpując Wilno, złożono w zimie także *Casino*. Grano tam okrutnie w karty, a szulerkowie wileńscyocztą na termin co tydzień się tam zbiegali i dobrze się obławiali. Zdarzyło się raz tak, że się młodzież cywilna trocka z oficerami gwardji pobiła. Damy co tchu pouciekały. Bitka ciągle trwała. Tymczasem szuler jeden z Wilna, chwyciwszy pocztę, swoim zwyczajem do Trok poleciał. Przyjechał. Wchodzi do przedpokoju, zrzuca z siebie szubę, zaciera rączki i zabiera się ciepłe buty zdejmować. A był to właśnie kulminujący moment bitwy, w której wojsko przed pospolitem ruszeniem młodzieży cofać się zaczynało. Już nasz przybylec był zrzucił but jeden, kiedy oficer jakiś, porządnie obity, skrwawiony i za drzwi wypchnięty, wpadł ledwie że nie rakiem do przedpokoju z rozczochranemi włosami. Spotkawszy się tu nos w nos z rozbierającym się i o niczem nie wiedzącym szulerem, wziął go za jednego z bijących się w sali kasynowych rycerzy; mszcząc się nad nim otrzymanych tam pięści, ze sześć razy palnął Bogu duszę winnego

szulera w chrapy i dalej za drzwi pobiegł. Szuler, widząc, że niema tu czego popasać, nie wchodząc już nawet do sali, znowu but swój nadział, szubę włożył i tąż samą pocztą do Wilna powrócił. Miałże poco tyle mil jechać.

Nie mogę tu pominąć jeszcze jednej anegdotki wielce komicznej, która do historji redut i maskarad naszych należy. Miała w Wilnie kamienicę blisko botanicznego ogrodu staruszka, niejaka pani Czarnowska. W tej kamienicy mieszkały z nią cztery osobliwości. Trzech jej synów i córka. Jedno w drugie najzupełniejsze oryginały. Bracia byli ludzie wszyscy poczciwi i dobrzy, ale zdolności pięć razy mniej, niż miernych. Córka egzaltowana, ekscentryczna, *bas-bleu*, poetka, literatka, fiksatka. Michał, najstarszy, z siwemi już wąsami akademik, uczył się pilnie od lat dwudziestu pięciu i rysunków i malarstwa. Żadnej nie opuścił lekcji. Ale po tyloletnich studjach głowy nawet po ludzku narysować, nietylko odmalować, nie mógł. Pracował i ślęczał ciągle. Robiąc z natury czy z biustu, wypracowywaniem i dłubaniem wszystko zaraz zabrudził i zatarł. Miał się jednak serjo za znawcę i dobrego krytyka. A jak co zrobił sam, krzyczano: „Gwałtu!" bo to było żal się Boże. Mówił mało i stronił od ludzi. A może i oni od niego. Stanisław, brat jego młodszy, także ciągle z dużemi wąsami, już od lat zgóry piętnastu uczył się medycyny. Słuchał, słuchał i słuchał. Nakoniec i sam uwierzył, że się już nasłuchał. Odważył się na egzamin, i, jak potem słyszałem, znalazł w Wilnie ludzi, co czasem ufność w nim mieli. Człowiek zacny, ale także mało mówił, od ludzi stronił i w tem może miał wielki rozum. Zapytany odpowiedział zwykle wymownym uśmiechem, ale nie słowem. Czub ogromny, „*à la coq*" na głowie nosił, z porady zapewne estetycznego krytyka starszego brata swojego. Benjaminkiem, perłą urjańską tej całej rodziny był brat ich najmłodszy Ludwik, który *optimam partem tulit*, bo postanowił nic nie robić, udawać panicza, wcierać się wszędzie *à propos de bottes*, żyć na wielkim świecie, być niby u magnatów przez związki swoje protektorem własnej familji i wciskać się szczególniej tam, gdzie się lepiej kurzyło z komina. Zwano go widać kiedyś, póki był mały, Lolo, z tego ktoś potem zrobił Lojola, — i to draźnidło już mu potem na wieki wieczne zostało. Miał wtedy około lat czterdziestu, kiedy go poznałem. Był

niski, nieco pękaty, z koziemi w kolanach nóżkami. Twarz poczciwa, otwarta i dosyć piękna. Płeć dziwnie gładka i biała. Łysinę jak kolano zakrywał branemi ztyłu głowy włosami blond, które, pomimo fryzowania, strzępienia, fiksatuarów, odlepiały mu się w tańcu ze wskazanego miejsca i uporczywie zwracały się pod rodzinną strzechę tak, że najczęściej końce tych włosów aż mu na ramionach leżały, a bielutka, jak główka brukselskiej kapusty, głowa świeciła podówczas blaskiem zwierciadła przy padających na nią zgóry, z pająków i żyrandolów światła promieniach. Lojola nie miał u nikogo i nigdzie poważania i szacunku, odpowiednich godności prawdziwego mężczyzny. Ani on, ani bracia jego nie byli w stanie mieć przyjaciela i pod tym względem szczęśliwsi byli ledwie że nie od całego świata.

My, młodzi podówczas i niedoświadczeni, dziwiliśmy się dziwem wielkim, że człowiek, najzupełniej reprezentujący moralne zero, był wszędzie nietylko przyjmowany ale i zapraszany. Czas i obserwacja odkryły nam potem, że po miastach ludzie tacy są skarbem dla gospodyni domu i są daleko użyteczniejsi i przyjemniejsi od tych, co przynoszą z sobą do salonu czy talent, czy rozum. On przynosił nogi, kozie wprawdzie, ale zawsze nogi. Stare, opuszczone od młodzieży panieństwa, przypleśniałe albo brzydkie damy w nim na skinienie gospodyni balu znajdowały niezmordowanego tancerza i partnera do upadłego, aż do samej wieczerzy włącznie. Był to *un bouche-trou*, zatykał sobą wszystkie i luki wieczorów i balów. Po nasyceniu brzuszka Czarnowski wracał do domu, uszczęśliwiony i szczerze wierzący, że jest figurą dla wileńskiego świata niezbędną. Nigdy z niego nie było plotki, nigdy gorzkiej, podłej obmowy, nigdy płaskiej pieczeniarskiej myśli. Względność dla wszystkich, żart najczęściej cudzy, we własną gębę włożony, ale dowcipny i tak trafnie użyty, że czasem zadziwiał, — to była masa jego zasobów. Kto z niego drwił w oczy, długo znosił udając, że nie rozumie; ale potem czasem tak mu się odciął i z tak pełnym naiwności wyrazem twarzy, głosu i tonu to wszystko powiedział, że się gniewać o to nie było można. A i sama idea kłótni lub pojedynku z Lojolą byłaby piramidą śmieszności. Stare wszystkie kwoki ujęłyby się za niego, jak za własnego starego mopsa, i rozszarpałyby duelistę na ćwierci. Był on, jak

Achilles, człowiekiem nie dającym się ranić, chyba tylko w piętę. Któżby go tam szukał?! Wolano tedy znieść i przygryźć wargi, co też cała masa trzpiotów starannie robiła. Gdyby nie łakomstwo podniebienia, gdyby lepiej lubił własny barszcz od pańskich cudzych pasztetów, nie byłby tyle śmieszny i nie różniłby się od masy tuzinkowych miejskich próżniaków, na których nikt nie zwraca uwagi. Lojola, sybaryta sybarytów, zakończył swoją karjerę szczęśliwszym od starożytnych sybarytów sposobem i losem, jak przystawało słusznie człowiekowi, co był cały barankiem, a miał tylko brzuch wilka. Kiedyś, w jego jeszcze młodości, kochała się w nim młoda także podówczas panna z Białej Rusi, chora ciągle, brzydka, ale bardzo bogata, a bardziej jeszcze cnotliwa, miłosierna, łagodna i dobra. Po latach trzydziestu, kiedy pomimo wielkiego posagu nikt wziąć się do niej nie miał odwagi, a ona chciała koniecznie przestać być panną, chociażby tylko dla zmiany samego nazwiska, przypomniała sobie nakoniec dawnego swojego Lojolę, przyjechała niby dla kuracji do Wilna i, będąc po śmierci rodziców samowładną panią swej ręki, oświadczyła się sama Czarnowskiemu. Do tego oświadczenia dodała i to, że jeśli on zostanie jej mężem, ona dozwoli mu swobodnie korzystać z tych darów losu, jakie mu w posagu przyniesie, obiecując przez wzgląd na jego lata i skoziałe nóżki najrozciąglejszą wyrozumiałość w wypełnianiu głównych obowiązków nowego stanu. *Item* obiecała mu wyśmienitego i wprost na jego imię umówionego kucharza, wytworny ekwipaż i cug prześlicznych koni. Zgodził się z ochotą i wziął ślub i w najszczęśliwszem, jak słyszałem, pożyciu dotąd podobno kwitnie, oddając teraz ludziom własne za cudze dawniej zjadane obiadki.

O tym Czarnowskim, kiedy był jeszcze *ptimetrem*, tysiące chodziło pociesznych anegdot. Jedna z najznakomitszych następna. Ale czyż to powiem tak koniecznie, jak było!

Kiedyś majętny, światły i bardzo wysoko ukształcony człowiek, obywatel ze Żmudzi, baron Rönno, mając interesy w Mińsku, jadąc tam przez Wilno, spotkał się na ulicy z powszechnym całego świata przyjacielem i znajomym — Lojolą Czarnowskim.

„Co słychać? Czyś na długo tu przyjechał? Skąd i dokąd bogowie prowadzą?" i tym podobne *praeliminaria* skoń-

czyły się na tem, że Rönno zaproponował Czarnowskiemu, który nigdy jeszcze w Mińsku nie bywał, zabrać go z sobą dla towarzystwa. Pojechali. Dojechali. Zatrzymali się przed najpierwszą w Mińsku oberżą Treisa. Treis dawał ciągłe reduty i maskarady. Cała oberża była zajęta oprócz pokoiku z przedpokojem, którego Treis przez uszanowanie i sumienie nająć takiemu, jak Rönno, gościowi nie chciał dlatego, że łączył się zamkniętemi wprawdzie na głucho drzwiami z główną salą redutową i że właśnie tegoż wieczora miała być reduta. „Jaśnie wielmożny pan, podróżny i zmęczony, oka całą noc nie zamkniesz od hałasu i huku muzyki naszej".

Rönno, nie chcąc włóczyć się i szukać innego mieszkania po mieście, pomimo te uwagi wziął ten numer. Zmęczeni drogą położyli się natychmiast obadwa z Lojolą do łóżek. Łóżko Czarnowskiego stało przystawione do samych drzwi, prowadzących do redutowej sali. Zasnęli. O dziewiątej punktualnie huk muzyki obudził raptem obudwu podróżnych. Zerwali się na równe nogi. Czarnowski, zawsze ciekawy zabawek tego świata, stanął jak był w jednej koszuli na swojem łóżku i przez szpary drzwi starał się zobaczyć, co się w sali redutowej dzieje? Rönno, wesoły i pusty, bez żadnej złej myśli, chcąc go tylko zlekka nastraszyć, wyskoczył z pościeli i popchnął go ku drzwiom. Ale, zgrozo! oto niespodziewanie na nieszczęście niefortunnego Lojoli drzwi bez zamka i tylko przyklejone papierem otworzyły się niespodziewanie narozcież do sali, i Czarnowski, który się na nich opierał, na łeb z łóżka w naturalnym, jak był, stroju wleciał w sam środek wyciągniętego we dwie linje modnego podówczas ekoseza. Rönno znowu, przerażony wypadkiem i sam również elegancko ubrany, natychmiast obie połowy drzwi na nowo zamknął.

Wyobraźcież sobie zadziwienie, przerażenie, rumieńce i dam i mężczyzn, zgromadzonych w sali, kiedy im niespodziewanie taka kusa, obnażona, w szlafmycy, a nikomu nieznajoma wleciała figura! Ale co się działo z naszym nieszczęśliwym Lojolą! Nie znając sal, bez przytomności latał po pokojach i bufetach, szukając wyjścia. Rozstępowały się przed nim szeregi, bojąc się zbiegłego, jak mniemano, ze szpitalu warjata. Ledwie go nakoniec schwycili lokaje i obwiniętego dla przystojności w płaszcz odźwier-

nego stróża na dziedziniec wynieśli. Tam nastąpiły objaśnienia i przy świadectwie trzymającego się mimowolnie za boki od śmiechu Rönnego Czarnowski wrócony został tak nieszczęśliwie opuszczonym pierzynom. Ale po takiej całemu miastu rekomendacji natychmiast z Mińska wyjechać musiał, bo nie było jak oczu ludziom pokazać.

Kiedy Lachnicki w Wilnie magnetyzm zwierzęcy rozprzestrzeniać zaczął i cudami jego zadziwiał, zechciało się i Czarnowskiemu być magnetyzerem, choć o tem nie miał żadnego pojęcia. Złapawszy tedy przypadkiem młodego panicza, który mu na ulicy na ból w boku skarżyć się zaczął, namówił go do siebie i, że go magnetyzmem uleczy, zaręczał. Zgodził się chory. Czarnowski zasapał się, robiąc nad nim magnetyczne kręgi. Chory, czy udanie, czy doprawdy z nudy i zmęczenia zasnął. Zaraz nasz Lojola po Wilnie wieść puścił i, że ma jasnowidzącego, zapewniał. Kilka więc osób na nową prośbę zaprosił. Zeszli się Lachnicki, Horodecki, Weyssenhoff, Rudolf Tyzenhauz, Szymkiewicz, Kossowski i inni. Czarnowski, uprosiwszy po raz drugi młodzieńca, kiedy go znowu, siedząc przed nim, uśpił i z triumfem na dzieło swoje poglądał, usłuchał zrobionej mu od obecnych uwagi, żeby jasnowidzącemu spróbował zadawać pytania. Magnetyzer zgodził się na to ochotnie. Wszyscy w cichości słuchali.

„Kogo widzisz przed sobą?“ zapytał Czarnowski.

„Wielkiego osła!“ odpowiedział jasnowidzący.

Odtąd Lojola magnetyzować przestał.

Ot, aż gdzie mnie te różne brednie od moich faworytalnych wileńskich zabaw zawlekły! Zrobiłem im niewiarę, chociaż do tego stopnia lubiłem maskarady, że mnie długo, a i ja sam siebie miałem za wynalazcę jednego maskaradowego, jak Anglicy mówią, *improvement*. Znudzony piskiem masek, umyślnie dla ukrycia naturalnego głosu wydawanym, a będąc zawsze przyjacielem głosu, poradziłem znajomym mnie maskom, żeby zamiast tej nieestetycznej chytrości trzymały lepiej w buzi karmelek albo inny jaki spory cukierek. To i przyjemność podniebieniu robi i ton artykułowanego głosu najzupełniej zmienia. Posłuchano mnie. Na ten cel zatem pełną zawsze bombonjerkę nosiłem i przysługiwałem się tem, co w niej było, znajomym maseczkom.

W kilka lat potem, będąc w Paryżu, w jakimsić magazynie

postrzegłem pod szkłem z kości słoniowej i perłowej konchy maleńkie kulki. Powiedziano mnie, że to są kulki maskaradowe, służące do zmieniania głosu pod maską. Nie mogłem tam dojść, czy ja, czy kto inny ma całą zaletę tego mądrego i pożytecznego dla ludzkości wynalazku. Mój był smaczniejszy od magazynowych kulek. Zresztą mógłbym powiedzieć, jak powiedział ten Francuz:

Que ne venait-il après moi?
Je l'aurais dit devant lui.

ROZDZIAŁ XIV.

Pani Elżbieta Müller pomimo całej swojej peryferji wielką także do maskarad okazywała ochotę. Nie opuszczała żadnej. Bywała tam zwykle ze swoją siostrą i, jak zwykle kobiety, taiła się przed wszystkimi mężczyznami ze swoim kostjumem. Mnie jednak regularnie powiadała za każdym razem, że, wiedząc, jak się trudzić odgadywaniem masek nie lubię, uwalnia mnie od fatygi i ostrzega, „że siostra jej tak i tak ubrana będzie". A dla różnicy od siebie, ponieważ maski, jakem wspomniał, familijnemi grupami chodziły, powiadała mnie zawsze, że Ksawerowa taką lub taką w sukniach, wstążkach, szalikach, lub innych bredniach dla obcych oczu nieznaczną będzie miała od pani Elżbiety różnicę.

Cóż miałem z tego wnosić i myśleć? Wnosiłem stąd, że starsza siostra, jak to często bywa, wyraźnie faworyzuje moim uczuciom i że mi styczność tym sposobem z młodszą ułatwia. Wdzięczny jej byłem za to od serca i korzystałem z tego, włócząc się ciągle za Ksawerową i tyle tylko zostawiając jej wolnego czasu i przerwy, ile przyzwoitość i potrzeba niezwracania ludzkich oczu wymagała. Pani Elżbieta Müller nigdy zato najmniejszej nie okazała mnie niechęci. Jeden dowód więcej!

Ale przeszedł karnawał. Posypano nam głowy popiołem; *adieu la joie!* Müller, jak mówiłem, wyjechał do Petersburga, zostaliśmy sami. Wieczorami, kiedym tam bywał, Ksawerowa bardzo wcześnie wracała do siebie, do dzieci. Ja tylko z panią Elżbietą dalszą prowadziłem rozmowę, która nieraz przeciągała się za północ po odejściu innych obcych osób. Ona, po swojemu leżąca, czy nawpół leżąca na kanapie, ja od niej o parę sążni, po swojemu także, w fotelu. Drażniony od pewnego czasu

ciągłem ledwie że nie grubjaństwem Ksawerowej, szukającej, jak się zdawało, codzień więcej, a zawsze niesłusznych powodów do uprzykrzenia się mnie; nie mogąc pojąć takiego rodzaju niewdzięczności w kobiecie, skądinąd dobrej i czułej matce, której dzieci codzień przez moje starania w oczach odzyskiwały zdrowie, gryzłem się i martwiłem. Te zgryzoty, smutki, zmartwienia, rozbierając rzeczy i tak i owak, połykałem i taić sam w sobie musiałem. To tajenie się zawsze dla mnie, przy otwartości mojej i w innych okolicznościach życia, było zabójczem. Jakoż zdrowie moje widocznie niknąć zaczęło. Chudy i tak podówczas, wyschłem jak maska; dostałem bólu w boku i kaszlu; a co gorzej, krew już się z piersi rzucać zaczęła. Dostrzegła tego raz przypadkiem pani Elżbieta Müller i, wyznać muszę, że widokiem chustki, krwią zbroczonej odrazu, zatrwożyła się mocno. Było to około północy. Chociaż mnie już nieraz na poufną wyzywała spowiedź i zawsze na opór trafiła, w tej chwili silniej napierać zaczęła, żebym się jej odkrył ze stanem duszy mojej, bo widocznie wszystko we mnie zmienionem znajduje.

Powiedziałem już, żem zawsze sądził, i jak się zdawało, logicznie, że ta stara już kobieta, widząc, jak ona nieszczęśliwa jest w pożyciu małżeńskiem, i mając silną przyjaźń dla mnie, faworyzowała odkrytej już przez nią mojej miłości. Z tem się byłem kilka już razy spotkał na świecie. Moment ten zatem w gwałtowności uczuć moich zdawał mi się stanowczym; drugiego podobnego, wobec krwi dobywającej się z rozkochanej piersi, już się znaleźć nie mogło. Serce moje gwałtem potrzebowało powiernika. Instynkt kazał mi z okoliczności korzystać. Przy dosyć już wielkiemi knotami obgorzałych świecach, którycheśmy oboje zapomnieli ucierać w takim momencie, przy jakiemsić nawpół-wieczornem jarzącem świetle odkryłem się nakoniec w pełnym młodzieńczej wymowy potoku z całą moją miłością. Czekała wyznania mojego z jaśniejącą, pogodną i uszczęśliwioną twarzą. Ale kiedym wymówił, że celem tej miłości gwałtownej, zabójczej — była jej siostra, twarz konwulsyjnie przewróciła się u tej kobiety. Zrobiła się straszna, prawdziwie straszna, ale tylko na chwilę. Przyszedłszy wkrótce do siebie, z krwią niby najzimniejszą powiedziała mnie, że mnie bardzo i szczerze żałuje. Że żałuje zarówno prawie i siebie, iż próżną choć przy-

jazną ciekawością wywołała ze mnie wyznanie i sekret, któreby powinny były w mojej piersi na zawsze pozostać. Że się wielce mylę, jeśli w jakimkolwiek bądź sposobie na jakąś nadzieję u jej siostry rachować mogę. Że pomimo całej, jaką ma dla mnie, przyjaźni, ona, starsza siostra, grzeszyłaby, gdyby chciała być konfidentką uczuć moich, jakie jej w tej chwili objawiłem. Że takie powiernictwo poniżałoby ją w jej własnych oczach, a ona własną swoją cenę znać umie. Że jakkolwiek miała mnie oddawna za lowelasa i cieszyła się nawet z moich intryżek, przyznaje się jednak otwarcie, iż jej nigdy na myśl nie przyszło, żebym moje projekty do szwagierki przyjaciela i do siostry takiej, jak ona przyjaciółki, posuwał. Która oprócz cnoty ma jeszcze w ciele swojem także i takie, i takie defekta, o czem ona, jak przed przyjacielem i przed doktorem, przede mną się zwierza i spodziewa się, że to ode mnie nie wyjdzie. Dodała nakoniec, że przez wzgląd na obowiązki, jakie jej familja ma dla mnie, — a tylko com był jej jedyną córeczkę uratował od śmierci — zaręcza mnie słowem honoru, słowem honoru najświętszem, bo honor wszystkiem jest dla niej, że zwierzenie się moje przed nią pozostanie pomiędzy nami dwojgiem wiecznym sekretem i w niczem stosunków naszych nie zmieni. „Tem więcej", rzekła z ironją: „że siostra moja, chociażby i chciała, żadnemu z tej strony niebezpieczeństwu ulegać nie może". Ale wszystko to, co powiedziała, jakkolwiek logiczne, w słowach umiarkowane, rozsądne, nie mogło mnie zdurzyć. Już w tem samem mgnieniu oka, kiedym jej zwierzać się zaczął, pomimo całej młodości, skromności, niedoświadczenia odpadła mi raptem od czoła blacha, co mnie dotąd zakrywała światło. Poznałem ze zgrozą, że na moje nieszczęście pani Elżbieta Müller, stara pani Elżbieta Müller, tłusta pani Elżbieta Müller, którąby ledwie nie dwa razy matką moją być mogła, kocha się sama we mnie i że kochać się mogła z nadzieją wzajemności. Poznałem, że wszystko, co dotąd robiła, aż do wydarcia ze mnie mojej nieszczęśliwej tajemnicy włącznie, robiła dla siebie w najzupełniejszej pewności, że jest kochana! A widoczną pod tym względem abnegację moją dla niej tłumaczyła sobie nieśmiałością młodzieńca i jakąś swoją odrębną i pełną fałszywej poezji logiką. Poznałem, że tem zwierzeniem się, tem arcy-piramidalnem głupstwem zgubiłem siebie już

u niej na wieki. Ale co gorzej, żem zgubił i tę biedną jej siostrę. Poznałem, że się w tym momencie w jej sercu z gotowego już podejrzeniem jaja wylęgła ta najokropniejsza, bo familijna nienawiść i zemsta, której nic na świecie nie goi. Co to za wściekłość w kobiecie bez religji, bez kobiecej duszy, co się w tym już wieku bez wzajemności rozkocha, kiedy się dowie, że rodzona jej siostra jest jej szczęśliwą rywalką! Już zaczęła natychmiast swą zemstę od złośliwej chęci obrzydzenia mnie tej siostry najfałszywszym jej stanu zdrowia opisem. Jakeśmy się tylko rozeszli, — a było już po pierwszej za północ, — pomimo danego mnie słowa honoru na sekret, pobiegła, jakem się nieprędko potem dowiedział, rozbudzić siostrę swoją i opowiedziała jej całe moje wyznanie i obrzuciła ją wymówkami, ironją i wyrazem mściwej pogardy.

Już odtąd, zaprawdę, tej nienawiści do niewinnej siostry swojej, a nawet do jej dzieci, pani Elżbieta Müller przez całe dwadzieścia pięć lat — bo aż dotąd — nigdy ani na moment zapomnieć nie mogła i ożywiała ją ciągle różnemi powodami, jakie się tylko w domowem pożyciu i w rodzinnych stosunkach najniesłuszniej wygrzebać dały. Szukała przyczepek, jak wilk do jagnięcia, i zemsta jej nad tą nieszczęśliwą siostrą była ciągle krwawa, mordercza, zabójcza. Mściła się także, ile jej stawało, tajemnie i nade mną, i, chociaż na oko zdawało się, że się tej zemsty względem mnie najzupełniej wyrzekła i dawną zachowała przyjaźń, nie opuściła nigdy pomyślnej do tego chwili, żeby mi rozpalonego ołowiu nie zalać za skórę. Niech tej niedobrej kobiecie Pan Bóg odpuści. Otóż to filozofka-kobieta!

Resztę zatem, to jest szczegóły, jak ten prawdziwy krótkogruby padalec, jak ta żmija, ta prawdziwie piekielna kobieta ciągłemi moralnemi morderstwami truła swoją siostrę, jak wszelkiemi sposobami dobrego, ale nie mającego pojęcia o żadnej religji męża swojego, który u niej pod korkiem zupełnie nakoniec usiadł, i do mnie i do tej siostry zrażała i zraziła; jak tego samego męża, pełnego zalet, cnót i talentów człowieka, w masę nieczułego na nic mięsa, w prawdziwego autora dykcjonarzów, które ciągle pisał, i w bryłę jej wolą we wszystkiem popychaną zmieniła; jak za przyniesione obojgu im kapitalne przysługi, za zwiększenie ich, przez moje starania i protekcję, fortuny czarną odpłaciła

się niewdzięcznością, jak sobie raptem później ułożyła i w głowę mężowi swojemu nabiła fiksacki projekt, żebym ja, ja! z brzydką, złą i zepsutą różnemi amorami jej córką żenił się; jak się oboje, kiedym na tę propozycję szyderskiego uśmiechu w twarzy mojej ukryć nie mógł, mścić nade mną przysięgli; jak w niedawnym jeszcze czasie znowu djabeł wlazł do głowy, żeby mnie bałamucić na swoje conto, i baba ściskać mnie ręce i deptać tajemnie po moich zgórą czterdziestoletnich i z nagniotkami nogach zaczęła; jak się ta niepoczciwa kobieta, jak zły duch, unosiła nieprzerwanie nad mojem życiem, w różne, jak Proteusz, zmieniając się kształty; jak ich Pan Bóg za to ukarał i karał; jak się we wszystkiem słowa ojca mojego, na samym początku znajomości naszej z niemi wyrzeczone, sprawdziły; — może na zawsze zamilczę, a może później, jeśli Bóg da życia, w luźnej chwili opiszę. Bo to już i do innej epoki życia mojego należy i nudna pora roku na wsi kończy się, a tem samem odrywa mnie od tej piśmiennej zabawki, pod którą się od ciągłej słoty i deszczów schroniłem. Zdaje się, że Bóg przyczepia do nas i do naszego życia, pewnych ludzi, pewne istoty postać ludzką noszące, które, nie wiedzieć dlaczego, muszą iść za tobą i z tobą aż do samego końca! Które, jakbyś od nich nie uciekał, zawsze się z tobą spotkają, choćbyś z pod Merecza do Kalifornji wymknął się przed niemi. Obejrzysz się, aż oni znowu tu! Coś ich i tam do ciebie najpewniej sprowadzi. Są to wszystko dzieci Lucypera z prawego łoża; są to istoty, na satelitów naszych, na wiercenie się około nas biegiem wirowym, na udręczenie nas stworzone i z tą szczególną misją na ziemię posłane. Ja, jak Saturn, miałem dotąd takich satelitów siedmiu, nie licząc pierścienia i plamek. Elżbieta Müller jest jednym z nich. Ojciec nas wszystkich w miłosierdziu swojem niech jej przebaczyć raczy, jak ja jej przebaczam!

Kiedy mnie Bóg życia dalszego dozwoli, w dalszych częściach tych pamiętników opowiem, jak zamęczony niewolą i zabójczym despotyzmem ojca mojego, przymuszony byłem nakoniec, zrzuciwszy pychę z serca, uprosić go, żeby mnie, jedynaka, jakkolwiek już na własny chleb i własną pracę uwolnił. Przyrzekłem mu, że, słysząc ciągle, jak mu jestem ciężarem, odtąd ani szeląga nigdy od niego potrzebować nie będę. Jak między

tem postanowieniem i rozpaczą stał z jednej strony już nabity i z odwiedzionym kurkiem pistolet przed moją nieszczęsną głową, a z drugiej święte uczucia religji i moralności; a po nich, rady prawdziwej, na tych dwóch zasadach opartej filozofji. Jak w sobie tedy przemogłem upokorzenie i rozpacz. Jak przez lat pięć, czy około tego, wyniósłszy się jak wygnaniec i tatar do Petersburga, bez znajomych, bez żadnej protekcji żyć tam z nauki mojej musiałem, łzami oblewając każdy tym sposobem okupiony kawałek chleba! Opowiem, co wtedy widziałem, jak i z jakiej strony poznałem ludzi, jakiej sam nabyłem opinji i mienia i sławy. W jakich byłem stosunkach z mężami stanu, stojącymi bardzo wysoko. Jak między mną i najpotężniejszym na świecie monarchą stawała nieraz jedna tylko osoba, jakikolwiek minister, i jak, wygadawszy się z mojemi myślami, mogąc robić i robiąc innym dobrze, żem prosić nigdy nie umiał, nic też nigdy nie zrobiłem dla siebie. Jak mię ciągle cieszył swym wierszem Wirgili: *sic vos non vobis vellera festis oves.* Jak potem Bóg bez żadnego mojego starania, niespodziewanie dozwolił mnie sam po tych czterech, czy pięciu latach próby odzyskać część zagrabionej w mojem dzieciństwie fortuny. Jak natychmiast rzuciłem medycynę, jako chleb, na zawsze, wyłączając pomoc na wsi dla biednych wieśniaków, co zresztą i każda pierwsza baba, tak jak i ja robi. Opowiem, com widział i w kraju i zagranicą; z kim mnie tu i tam przyjazne stosunki złączyły i co, nakoniec, teraz, w czterdziestym szóstym roku życia, jeszcze jak rydz zdrowy, o ludziach i świecie myślę, zamknąwszy się szczelnie od ludzi i świata przez całe lat dziesięć! Jeśli wyłączę rok cały podróży i bytności mojej w Warszawie; nie widziałem, co do słowa, przez te lat dziesięć nikogo — oprócz sług moich i ja jeden wiem tylko, czy na takiem „okropnem dziwactwie" lepiej czy gorzej wyszedłem. Ta część zatem pamiętników moich, jeśli się do nich notabene wezmę, poważniejszą i ważniejszą będzie, bo taką sama z siebie być musi, choć nie o jednej rzeczy przez roztropność i rozum zamilczeć przyjdzie. Czas taki! Ale, jeżeli tu była młodość moja za kanwę użyta, tam się może znajdzie wiek pełności życia, czerstwości i siły, a może razem i wiek największych boleści serca, fatygi duszy, politowań, zawodów, utrapień!

Każdy dzień nasz zrachowany i wisi u Boga na włosku. Kto wie, może potem opowiem pierwsze moje lata, moje dzieciństwo, mój wiek podrostka. Pamiętam wszystko, od tej chwili włącznie, kiedy mnie mamka, a nie niańka nosiła na ręku. Jakkolwiek to zawsze i głupie i nudne u innych, — u mnie przeciwnie, to właśnie stanowi najciekawszą epokę w życiu. Bo to jest prawdziwy romans, dramat, że nie powiem, tragedja! W romansach tylko wymyślają to, co mnie w dzieciństwie rzeczywiście spotkało.

Kończąc już teraz okres mojego uniwersyteckiego życia w Wilnie, nie mogę, *pour la bonne bouche*, pominąć i przemilczeć osobliwszego zdarzenia, które mnie i dziś jeszcze przed oczami stoi.

Zajechawszy kiedyś prosto ze wsi do domu Müllerów, zda mi się w 1825 roku, dano mnie z powodu zajęcia wszystkich innych mieszkań, ogromną jakąś salę na górze w pawilonie lewym od ulicy. Sala ta rozdzieloną była dwoma przepierzeniami z malowanych desek tak, że niby trzy pokoiki robiła. A jest ona w tym samym składzie do dziś dnia (1848 r.). Za jednem przepierzeniem rozlokowałem się ja sam. Za drugiem, co było ciemne, bez okien, roztasował się mój Lingiewicz. Przyjechałem późnym wieczorem w zimie; mróz był trzaskający. Zmęczeni drogą, i pan i sługa, napiliśmy się herbaty i, zamknąwszy się dobrze, poszliśmy poprostu spać. Śród najtęższego snu budzi mnie okropny turkot u drzwi pierwszych od sieni, jakby raptem wyłamanych z trzaskiem. Chciałem się zerwać z łóżka. Ale ani ręką ani nogą władnąć nie mogłem. Oczy tylko miałem zupełnie otwarte. Pomyślałem sobie: to *„cauchemar"*, o którym dużo na lekcjach niedawno od nauczycieli moich, a szczególniej od Franka słyszałem.

Mój Lingiewicz, czego dawniej nie bywało nigdy, bo chłopak był tak, jak i ja podówczas, i szczupły i chudy, chrapał, jak wół poderżnięty. Księżyc przez okno moje, między łóżkiem i drzwiami gabinetu mojego, świecił jasno, jak biały dzień. W parę sekund po tym strasznym hałasie przeze drzwi przecisnęło się coś do mojej sypialni. Spójrzę — kobieta w bieli, długiem i szerokiem prześcieradłem przykryta. A ja ruszyć się nie mogłem. Tylko oczy obróciłem w tę stronę i co z tego będzie, wytrzeszczywszy

się, patrzałem. Osoba w bieli stanęła akurat na jasnem świetle, od księżyca przez okno na podłogę idącem. Z wielkiem zadziwieniem mojem dostrzegłem, że promienie księżyca przechodzą przez nią nawylot, jak przez cień jaki, jak przez muślin, jak przez coś półprzezroczystego. Nie byłem zalękniony, czułem tylko, że mi biło serce od tego okropnego trzasku, który mnie zbudził i który pierwiej u drzwi siennych słyszałem. Widmo to po kilku sekundach bez żadnych akcydensów znikło. Równo z tem ja w członkach odzyskałem władzę. Lingiewicz ciągle chrapał. Musiałem zatem pójść sam do drzwi od sieni. Były hermetycznie zamknięte. Po pewnym czasie zasnąłem znowu i spałem wybornie do białego dnia, którego przyjściu skąpstwo Müllerów żadną w oknach nie chciało przeszkodzić firanką. Nazajutrz zobaczyłem się z panią Elżbietą Müller. Kiedy mnie zapytała, jakem spał? odpowiedziałem jej prawdą, to jest opisaniem mojej przygody mojego koszmaru.

Pomimo wrodzonej dysymulacji tej typowej w figlarstwie kobiety zdawała się bardzo tem zafrasowaną. Po chwili prosiła mnie, żebym czasem mężowi jej za widzeniem się o tem nigdy nie wspomniał, bo to go bardzo zasmuci. Zwarjowała baba, pomyślałem sobie. A mąż jej był wtedy w Petersburgu.

Kiedym tegoż samego dnia Sackenom i jeszcze innym lokatorom tego domu to opowiedział, przyznali się mnie, że akurat i oni toż samo widzieli. Że wstydzili się to rozgłaszać i że się dlatego właśnie z lewego pawilonu Müllerów domu wynieśli. Okoliczności były zupełnie też same. Dodali, że jest pomiędzy sługami domu tradycja, że się w lewym pawilonie tego domu, stara Müllerowa, matka, często pokazuje!

Żem to widział, co piszę — wiem. Żem się strachów nigdy nie lękał, — to i z wychowania wziąłem, bo było staranne, i to dowodem jeszcze, żem przez lat kilka ciągle pomiędzy trupami w dzień i w nocy, na mogiłach i w domu, ucząc się medycyny, mieszkał. Że zrazu wziąłem tę kobietę, tę wizję, to widmo za jakąś bellę, co do mnie z dorobionym kluczem na intrygę przychodzi, wyznaję ze wstydem zarozumienia mojego, że i to prawda. Ale prawda i to, żem widział, żem widział na własne oczy, że to widmo było półprzezroczyste. Że, jak mówię, przebijały się przez nie nawskroś promienie księżyca. *Capiat qui capere potest,*

bo ja tu nic nie rozumiem, a mówię, jak było. Fałszywy wstyd nie staje mnie na przeszkodzie w opisaniu prawdy. Ten, kto pierwszy wymoczki na tym świecie zobaczył, zgrzeszył, że się wstydził o ich niewidzialnym świecie napisać.

Obok tego obrazka dla symetrji trzeba i drugi jeszcze zawiesić, żeby sam jeden oka nie raził. Było to już temu lat czterdzieści kilka. A było tutaj ledwie nie wszystkim naokoło wiadome.

Bernard, pułkownik dawnych prawdziwych wojsk polskich, i Jan Pęczkowscy, bracia niedzielni, kupili od Paców dobra Jezno i zamieszkali właśnie w tym pałacu, o którym mówią, że „wart był Paca". Żyli oni na wielką rękę. Dom trzymali otwarty. To wymagało znacznej liczby oficjalistów. Między innemi dwie siostry, panny Ihnatowiczówny, dobre szlachcianki, służyły u tych dwóch braci do bielizny i szycia. Starsza starszemu, Bernardowi, służyła i jego sprzętem zawiadywała. Pułkownik, stary wojak, zaraz, jak kogut, około służebnicy swojej nóżką ziemię grzebać począł, gwałtem lazł w ambrazurę. Broniła się nieboraczka, jak mogła. Ale, nakoniec, dopilnował chwili! Przekradli się jakoś, — i kwiat na owoc zawracać zaczął. Był to i błąd, i grzech, i wstyd, i zgorszenie. Czuć to obadwa zacni bracia umieli. Ale się stało! Trzeba już było tylko przyzwoitość ochronić. A że z za Niemna wtedy niełatwo tutaj przechodziły plotki, zwierzyli się więc i uprosili spólnego przyjaciela naszego, prezesa Wiszniewskiego, który senatorem kasztelanem umarł, mieszkającego zagranicą, to jest na drugiej stronie naszego Niemna, ściśle wówczas z obu stron strzeżonego, żeby tę pannę, tajemnie do niego przywiezioną, przystojnie gdziekolwiek umieścił do rozwiązania jej ciąży i miał na ich rachunek na pogotowiu wszelką pomoc lekarską. Wiszniewski zgodził się. Wszystko się dobrze udało. Po pewnym czasie pułkownik Pęczkowski do dóbr białoruskich wyjechał. Został tylko pan Jan w Jeznie. Jednego dnia około trzeciej po południu w dzień biały i jasny Jan Pęczkowski po lekkim obiedzie, bo nie był wcale żarłokiem, swoim zwyczajem zasiadł w wolterowskim krześle i czytał sobie swojego ukochanego poetę Owidjusza. Mieszkanie jego zaczynało się wielką i piękną salą, za którą właśnie był pokój bawialny, gdzie nasz gospodarz odbywał lekturę. Czytał już z kwadrans,

kiedy posłyszał, że ktoś wchodzi do sali od sieni. Co ledwie nie ciągle liczni oficjaliści dla różnych do pana mianych interesów czynili. Podjął więc głowę i czekał, kto się pokaże? Weszła i we drzwiach stanęła owa Ihnatowiczówna z za Niemna.

„Jakto? Czyś już wróciła?" zawołał radośnie Pęczkowski, powstając z fotelu i zbliżając się do niej. Nim doszedł — widmo zniknęło!

Pęczkowski, nie domyślając się niczego, owszem, pewny, że ona ze wstydu przed nim jakoś uciekła, pobiegł za nią, cały dom poruszył, zaszedł do jej siostry, a wszystkich o nią pytał. Wszyscy mu w oczy patrzali. Nikt tej panny w całym pałacu nie widział i niejeden szepnął drugiemu na ucho, że pan bodaj czy nie zwarjował, bo Pęczkowski stale i uporczywie dowodził, że ją widział na własne oczy.

Nazajutrz umyślny, który się szczęśliwie przez Niemen przekradł, przywiózł list od prezesa Wiszniewskiego z uwiadomieniem, że panna Ihnatowiczówna, pomimo wszelkich lekarskich starań, z połogu wczoraj około trzeciej po południu umarła...

Czemu to raczej Jan Pęczkowski, niewinny, niż Bernard, winowajca, choć oddalony od tych miejsc, zobaczył? na to logika nasza dotychczas odpowiedzieć nie umie. Że tak jednak było, to i cały dwór i sąsiedzi, jak już nadmieniłem, wiedzieli.

Kończy się na tem, że: „*Le merveilleux croit pour nous en raison de la distance, qui parait séparer la cause de l'effet*"; *et* „*que le vrai, n'est pas toujours vraisemblable*"...

(Pisałem w listopadzie 1848 r.)

KONIEC.

A N E K S Y



Michał Brzostowski.

1. Książę biskup wileński z wielką był życzliwością i poważaniem dla ojca mojego, lubo wtedy w dość młodym zostającego wieku. Jednym z trwalszych, bo aż do mnie doszłych tego dowodów było przysłanie w prezencie czterdziestu butelek sześćdziesięcioletniego już podówczas węgierskiego wina dlatego tylko, że je raz ojciec mój za stołem księcia pochwalił. Chwaliło je wielu bardzo, a tej atencji jednak nie doświadczyło. Wino to, przez lat wiele do najrzadszych tylko w domu ojca mojego wystawiane festów, przeżyło go jedną butelką. Tej ja sukcesorem zostawszy, kiedy mnie zacny mój kolega i przyjaciel, rzeczywisty radca stanu Franciszek Malewski, w powrocie z zagranicy i umyślnie z drogi zboczywszy, po najokropniejszej grudzie, we wsi mojej odwiedził, za zdrowie jego i za pamięć lepszych czasów z nim ją wychyliłem.

Może to nie zawadzi dla ciekawości i dla nauki ludzi, w dalszym czasie żyć mających, napomknąć o niebardzo wiadomej wszystkim anegdocie. Może sam czas, może i masa dalszych doświadczeń przyczyny takich skutków wykryją.

Na długo przed 1794 rokiem książę biskup raz w powrocie swoim z zagranicy dla rozmaitych, jak się zdaje, politycznych intryg, których w stronnictwie swojem głównym był filarem, zajechał na czas jakiś do Drezna. Tam się podówczas znajdowała wszystkich w osłupienie wprowadzająca wieszczbiarka dziwną trafnością odkrywania przeszłości i przyszłości. Książę biskup, *ésprit fort*, filozof XVIII wieku, wierzący tylko w dowiedzioną światową mądrość, nie zwierzając się wprzódy nikomu, raptem zaprojektował domownikom swoim odwiedzić tę wieszczkę. Zrobili to natychmiast. Ale biskup, żeby nie był poznanym,

w świeckie się oblekł odzienie. Wieszczka każdemu coś mniej lub więcej trafnego powiedziała. A gdy się nakoniec sam biskup, ostatni z przybyłych, przybliżył, rzekła mu: „Ty, ty się z tego wszystkiego w duchu natrząsasz i śmiejesz. Pamiętajcie tu wszyscy, co tu z nim jesteście, że jego właśnie najnieszczęśliwsza przyszłość. *Pamiętaj, że zginiesz na szubienicy!*"

Wtedy biskup, włożywszy jej z uśmiechem garść złota i wyszedłszy na świeże powietrze, rzekł do otaczających, bynajmniej niezmięszany: „Mości panowie, widzicie, jaką wiarę przykładać do paplań wróżek potrzeba. Ze wszystkich śmierci, jakie mnie ta kobieta przepowiedzieć mogła, ta jedna właśnie, jako ze stanem moim niezgodna, jest niepodobieństwem i spotkać mnie nigdy nie może".

Nieszczęsny, czyż mógł się wtedy domyśleć, że ten stan od sromotnego, a niezasłużonego nie uchroni go końca...

Ręka mnie świerzbi wygryzmolić tutaj jeszcze jedną, a weselszą anegdotę o tym magnacie.

Książę biskup wileński, pan wielce światowy i niezawsze na sutannę pamiętny, nie zwracając uwagi, że infuła od wielu ziemskich rozrywek wstrzymywać się każe, bardzo lubił polowanie. Na jednem z nich, zapędziwszy się za sarną czy zającem, w gęstym i pełnym powałów lesie zabłądził i oddalony od świty swojej nie miał innego sposobu, jak puścić się na los szczęścia, gdzie nogi poniosą, po wąskiej i bardzo wątpliwej drożynie, którą przypadkiem nadybał.

Szedł, szedł po tej dróżce i dostał się nakoniec do jakiegoś zupełnie nieznajomego zaścianka, którego nowe i czyste zabudowania dobrze o gospodarzach wróżyły. Mieszkał tam chłopek bogaty, który tuż przy lesie założył sobie siedzibę. Biskup zmęczony ledwie wlókł za sobą nogi, potrzebował i odpoczynku i posiłku. Gospodarz przyjął go, jak podróżnego, z pokłonem, nie domyślając się zgoła, kogo ma u siebie. Książę, wciskając mu w rękę talarka, prosił, ażeby żona chłopa zarznęła chodzącą po dziedzińcu kurę i krupnik mu z niej zrobiła. Gospodarze z ochotą zajęli się tą sprawą dla tak szczodrego i grzecznego gościa. Biskup tymczasem zasnął chwilę na sianku.

Budzą go: „Jegomość! jegomość! już kura gotowa". Prałat zgłodniały już wraca do izby. Zapach rosołu rozkosznie mu

w kiszkach załechtał. Prowadzą go do alkierza. Tam stół czystym obrusem nakryty, na nim czysta łyżka cynowa, nóż i widelce. Brawo! Uszczęśliwiony biskup chwali porządek domowy i zasiada do stołu. A chłop z triumfem i miną, która się mówić zdawała: „Poczekajno kumie, nie to jeszcze będzie", stawi przed nim rosół z kury, w czem myślisz? W glinianej misce? — Nie. — W cynowej? — Nie. — W czemże?... — W białym fajansowym u...!

Poczciwy chłopek, chcąc coś mieć w domu nie glinianego, coś od *waszecia*, żeby się czasem popisać przed gośćmi i dostatkiem i kredensem, będąc w Wilnie, zobaczył w oknach sklepu rozmaite fajanse i postanowił kupić sobie wazę. Przeglądał, przeglądał; żaden mu fason tak do gustu nie przypadł, jak fason nocnego naczynia. Kupił więc to, myśląc, że to waza.

Biskup często opowiadał tę swoją przygodę.

Była to przeciwważnia przechwałek adwersarza jego — księcia Radziwiłła „Panie Kochanku", który tysiące gorszych jeszcze przypadków ciągle kłamliwie na siebie wymyślał...

2. Nie wiedząc, czy mi stanie czasu, ochoty i życia na pamiętniki, mające obejmować wieloletni pobyt mój w Petersburgu i spotkane w nim stosunki, dodaję tutaj, że w świeżo odebranym liście ze stolicy donoszą mnie o śmierci admirałowej i ministrowej Szyszkowowej (niegdyś Łobarzewskiej), w dniu 6-m lipca 1849 r. przypadłej. Umarła w kilka godzin z cholery, która tam ciągle od dwóch lat grasuje. Ta dziwna kobieta, której ciało i dusza tak rozstajnemi drogami przez lat blisko ośmdziesiąt chodziły, której piramidalne błędy, jak zwykle, zapomniano z czasem dla zalet, zdobiących jej tak późną starość, dla zalet, zdobiących króciutkie chwile, kiedy już ją nakoniec grzechy same opuściły, bo się ona za nie bardzo, bardzo długo oburącz trzymała i rozstać się z niemi żadną miarą nie mogła, ta nasza Ninon de l'Enclos, ta nasza współczesna Aspazja, umarła z największą rezygnacją, owszem z niejakiem bogobojnem życzeniem i pragnieniem śmierci! Ostatnie jej słowa do otaczających były: „*Comme le cholera est bon... on en meurt!...*

Wspomniałem już wyżej, iż pomimo tak podeszłego wieku, którego i domyślać się nie było można, była zawsze piękna.

Piszą mnie teraz, że do samego końca swojego zachowała ten wdzięk twarzy, który jej długo tyle serc podbijał. Ale ot co daleko dziwniejsza: śmierć tak odmłodziła jej rysy, że ci, co jej za życia nie znali, odwiedzając ciało, brali ją za dwudziestopięcio, a najwyżej trzydziestoletnią kobietę.

Żyła tedy, użyła i nadużyła wszystkiego, co ziemską stanowi rozkosz. A zwłoki jej nawet świadczyły że ją jakaś potężniejsza od ludzkiej ręka w tym właśnie celu na ten świat posłała. Że ją, jak kiedyś Wenerę ze śnieżnej i leciutkiej morskiej ulepiła pianki.

(Przypisek zrobiony 28 lipca 1849 r.)

3. Ksiądz Alojzy Korzeniewski, dominikanin, jeden z najuczeńszych naszych, prawie współczesnych nam duchownych, autor i tłumacz wielu dzieł pożytecznych i sławny kaznodzieja, również sławny wykładacz fizyki i główny dozorca znakomitego fizycznego gabinetu, znajdującego się przy szkole o.o. dominikanów w Grodnie, człowiek najlepszego serca i anielskiej duszy, miał jednakże swoje wady, jak każdy człowiek. Zagorzały, namiętny, zapamiętały katolik przy całej swojej nauce wyobraził był sobie, naprzykład, że wolne-mularstwo jest dziełem szatana! I tę myśl, w tysiące rozmaitych kształtów przybraną, ciągle, będąc kaznodzieją w Wilnie, z ambony w przekonanie ludu pragnął zaszczepić. Człowiek wymowny, pełen zapału i powszechnego uszanowania płaszczem okryty, doprawdy wiele na tej drodze szkodził masonom, chociaż niejednego ze swoich słuchaczów, który pierwiej nigdyby o takiej rzeczy ani pomyślał, przez wzbudzoną kazaniem swojem ciekawość, sam o tem nie wiedząc, wolnym-mularzem zrobił. Wogóle zaś wszystko, co tylko trąciło jakimciś oszustwem, co tylko zakrawało na okpisz i zdradę, w prawej duszy jego nigdy pobłażania znaleźć nie mogło.

Rzućmy teraz okiem na drugi koniec naszego obrazu, popatrzymy chwilkę na innego rodzaju człowieka.

Mało było ludzi, którzyby imię swoje tak poetycznie popularnem u nas zrobili, jak znajomy aż po dziś dzień z nazwiska genjalne Włoszysko Pinetti. Był to kuglarz, któremu wieść powszechna najcudowniejsze przypisywała talenty, nieograniczoną w czarodziejskim świecie potęgę. On i sobie, i drugim odszrubowywał

głowę, ręce, nogi bez najmniejszej szkody dla zdrowia! On wskrzeszał i, kiedy kto zachciał, pokazywał mu umarłych! On wszystko, co tylko chciał, zrobić natychmiast umiał! On się we wszystko, jak mu na myśl przyszło, mógł odrazu przemienić! Tysiące cudackich o nim w naszej publiczności chodziło podań, które i dziś nawet, zszedłszy o jeden stopień niżej, pomiędzy okoliczną szlachtę jeszcze odzywają się czasem. Kto się tak umiał w pamięci ludzkiej zagnieździć, nie musiał być pospolitym człowiekiem. Bosco, Molduano, co nastąpili po nim, podnoska jego nie warci: ani się umyli do tak wielkiej sławy.

Tym czarownym poprzedzony rozgłosem Pinetti przyjechał do Wilna. A Wilno wtedy, jak Tag hiszpański, czystem płynęło złotem. Nigdy życie jego takiem nie jaśniało bogactwem, jak po wstąpieniu na tron Aleksandra I-go. Wszystko, co żyło, biegło w cwał podziwiać i klaskać w dłonie cudownym Pinettiego sprawom. Rozumie się, że pospólstwo zaraz to nadprzyrodzonym siłom przypisywać zaczęło, a Pinetti, naturalnie, wierzyć w to nie przeszkadzał wcale.

Ksiądz Korzeniewski był wtedy kaznodzieją o.o. dominikanów w Wilnie. Oburzyło go to. Zaniechał więc na jakiś czas masonów, a rzucił się z całym ogniem wymowy swojej na Pinettiego. Nie było kazania, nauki, rozmowy, odwiedzin, żeby mu ksiądz Alojzy łatki nie przypiął. Pinetti uczuł wkrótce skutki tej księdza niechęci. Coraz mniej miał widzów. Coraz rzadziej zapraszano go do pańskich domów. Interesy widocznie gorzej mu iść zaczęły.

Pewnego ranka ksiądz Alojzy ślęczał nad brewjarzem, kiedy wszedł do celi jego człowiek nie pierwszej już młodości, przyjemnej i ujmującej twarzy, przyzwoicie ubrany i wielce przyzwoitego układu.

„Jak honor pański i czem służyć pan sobie każesz?" rzekł, kłaniając mu się, ksiądz Korzeniewski.

— „Ja jestem nieszczęsna ofiara niezasłużonej nienawiści waćpana dobrodzieja! Ja jestem człowiek zgubiony przez pana, człowiek do ostatniej doprowadzony nędzy!"... rzekł, westchnąwszy, nieznajomy.

„Chryste Jezu!" zawołał ksiądz, załamując ręce: „co to

pan mówisz? Mylisz się zapewne panie! ja nigdy w życiu nikomu nie zrobiłem złego! Tak mnie Panie Boże dopomóż!"

— „Jedno powiem słowo", rzecze nieznajomy: „i to słowo natychmiast wmćpana dobrodzieja o tem, co mówię, przekona! Ja jestem... Pinetti".

„O, jeśli tak", rzekł ksiądz, nadąsawszy się groźnie: „toż pozwól wasan sobie powiedzieć to w oczy, co ja o nim mówiłem za oczy. Wasan sobie wybrałeś i złe i grzeszne rzemiosło! Opamiętaj się człowiecze. Durzysz ludzi. Wyłudzasz z nich pieniądze. Udajesz, że posiadasz jakieś nadprzyrodzone siły, jakąś nadziemską potęgę. To grzech wielki! To grzech śmiertelny! To się nie godzi... Nie! to się nie godzi!"

— „Przy całem uszanowaniu, jakie mam dla jego osoby", rzekł Pinetti: „pozwól wpan dobrodziej zrobić sobie uwagę, że się domyślić nawet nie mogę, jakim sposobem wpan dobrodziej, człowiek tak pełen nauki, człowiek, oddający się wyłącznie prawie doświadczeniom fizycznym, możesz mnie podobne robić zarzuty? Kiedyż i gdzieżem to powiedział, że używam sił nadprzyrodzonych do mojego kunsztu? Owszem, wszystko, co robię, jest właśnie skutkiem znajomości nauk fizycznych, złączonych z pewnym rodzajem zręczności w ręku. Ja każdej sztuki mojej pokażę sposób wpanu dobrodziejowi, jako wielkiemu tej nauki znawcy, i przekonam, że to, co nieświadomych ludzi zadziwia, jest tak proste, tak prosto się robi, jak tylko można! A jeśli każdy na świecie człowiek ma prawo zarabiać na życie swoim talentem, zacóżbym ja tylko prawa tego używać nie mógł?" Ksiądz się tą mową trochę zmitrężył i rzekł: „No, kiedy tak, panie Pinttei, daję wasanu słowo moje, że już nigdy o nim nie wspomnę".

— „Ach, panie, to nie dość!" rzecze ze łzami w oczach Pinetti. „Co mi z tego, że już więcej o mnie źle mówić nie będziesz, kiedy mnie już zupełnie zgubiłeś?" — „Jakto?" — „A jakże! Nikt już na przedstawienia moje nie chodzi. Żadnego nie mam dochodu. Ja, sierota, w obcej stronie, nie mam już nawet zaco stąd wyjechać zpowrotem do miłej mojej ojczyzny!" — „Żałuję wasana", rzecze ksiądz: „ale cóż ja na to poradzić mogę?"

— „Możesz!" odrzekł Pinetti: „jeśli tylko, jak dobry

człowiek, jak chrześcijanin, pomyślisz, żeś nietylko mnie jednego zgubił, ale żeś zgubił całą moją nieszczęsną rodzinę! Żeś zgubił żonę moją i sześcioro drobniutkich niewinnych dziatek! Żeś zgubił tylu niewinnych ludzi, którzy ci ani myślą, ani mową, ani uczynkiem źle nie zrobili nigdy!" — i znowu od gorzkiego płaczu zachodzić się zaczął. Ksiądz, najlepszego serca człowiek, także się razem z nim rozbeczał.

— „Jakżebym ci mógł dopomóc? powiedz, dziecię moje?"

— „Nic łatwiejszego na świecie! Oto wezwany jestem jutro na wieczór do hrabiego Tyszkiewicza. Jegomość tam często bywasz, wiem o tem. Przyjdź tam jutro. Ja zapowiem, że mam taką cudowną skrzypkę, na której jak tylko zagram, na kogo wskażę, tańczyć koniecznie musi. Otóż na ten przykład ja wybiorę jegomości. Jeśli chcesz mnie ratować, jak tylko zagram, udaj, że wytrzymać nie możesz, zerwij się z krzesła i choć nogą tupnij! Jegomości to nic nie zaszkodzi — a ja, biedny, sławę moją i sposób do życia odzyszczę!"

Ksiądz poczciwy czmychał, czmychał, ale nakoniec, ratując bliźniego, zgodził się na taki figiel i dał słowo honoru, że obietnicy dotrzyma.

Nazajutrz Pinetti, pokazawszy z triumfującą i zarozumiałą miną skrzypkę swoją wszystkim gościom Tyszkiewicza, objawił im własności jej i rzekł do obecnych: „Na dowód tego wybieram człowieka, który najbardziej szkodzić mi się starał, który ciągle piorunował na mnie i w naukę moją nigdy wierzyć nie chciał. Domyślacie się zapewne panowie i damy, do kogo to stosuję. Owóż ujrzycie natychmiast, że, jak tylko na tej skrzypce zagram, sam ksiądz Korzeniewski musi pójść w tany!..." Wszyscy patrzali ciekawie. Pinetti zagrał. Ksiądz, wierny danemu słowu, drgnął raz, drugi, trzeci. Zżymał się i niby sam z sobą mocował, a potem podskoczył. Sława się o tem cudzie po całem Wilnie rozniosła. I znowu interesy kuglarza poszły najlepiej.

(„Plotki. Czterdzieści i oko").

4. Dziad Antoniego Chrapowickiego, Eustachy był instygatorem litewskim i zwyczajem, nietylko przyjętym, ale prawem dozwolonym, przelał swój dygnitarski urząd na syna Józefa,

który później za czasów Katarzyny II-giej był marszałkiem gubernjalnym połockim...

Antoni Chrapowicki po wejściu Napoleona do Litwy w 1812 roku był jednym ze znakomitej młodzieży, która podjęła się z ochotą własnym kosztem sztyftować pułki litewskie. Takimi prócz niego byli jeszcze, o ile sobie przypomnieć mogę, Michał Tyszkiewicz, starosta wielatycki, Stanisław Czapski i Stanisław Tyszkiewicz, dziedzic Średnika. Chrapowicki miał wystawić pułk żandarmów i pułkownikiem jego był mianowany. Okoliczności, bystro idące, przeszkodziły dopełnieniu w zupełności tych szlachetnych zamiarów. Z tem, co zebrał pod swoją chorągiew, poszedł za cofającem się wojskiem Napoleona i dopiero pod Lipskiem, wzięty w niewolę, sprawy cesarza Francuzów odstąpił, zmuszony. (Następnie) wybrany został na prezydenta Sądu Głównego Kryminalnego wileńskiej gubernji głosami obywateli; był prezesem wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności i zasoby jego postawił na świetnym stopniu, zachęcając mieszkańców Wilna i prowincji przez publiczne zabawy i teatry do niesienia wsparcia wołającej o pomoc nędzy...

Pałac, od trzech ćwierci wieku u ludu znajomy pod nazwiskiem pałacu Chrapowickich w Kownie, wystawiony i ozdobiony był w tem podówczas handlem i bogactwem wsławionem mieście przez prababkę Antoniego Chrapowickiego, Szczytową, w powtórnem zamężciu Syruciową. Zlepiony, jak się zdaje, z kilku odrębnych, ale razem na ten cel zakupionych budowli, nieodznaczający się zewnątrz by też najmniejszym śladem jakiejkolwiek szlachetniejszej architektury, uderzający tylko swoim, jak na Kowno, ogromnym w linji podłużnej rozmiarem, wewnątrz ubrany był z przepychem. Piękne boazerje, posadzki taflowe, inkrustowane w rozmaite desenie, i wiele innych ornamentów dotrwały w nim aż dotąd przez wszystkie nieszczęśliwe i niszczące koleje, przez które pałac ten od półwieku przechodził. Ani szpitale Rosjan, wielokrotnie w nim zakładane, ani swawola i rabunek Francuzów, ani ich tragiczny szpital w epoce ustępującego przed mrozem wojska w bezprzykładnym w dziejach świata nieładzie, nie zdołały pozbawić go wszystkich śladów dawnej jego wielkości. W tym pałacu, chociaż od lat wielu stał otworem pustkom i ruinie, dochowała się po rok 1843. —

kiedym ją widział, a zapewne i po dzień dzisiejszy, kiedy ta budowla wewnątrz naprędce restaurowaną została, ogromna sala balowa, przez lud powszechnie salą porcelanową zwana. Ściany jej wyłożone są kwadratowemi tafelkami białego farfuru, w gips obok siebie osadzonemi, z rysunkiem błękitnym pejzażu na każdej tafelce.

(„Pogadanka przyjacielowi na pamiątkę". Do Antoniego Chrapowickiego, 18 października 1849 r. Ustronie).

5. Słyszeliście choć dla żartu, że na świecie jest jakie Jezno? A jednakże pałac tutaj przez Antoniego Paca, pisarza W. Ks. L., wystawiony, dał językowi naszemu tak powszechnie znajome przysłowie: „Wart Pac pałaca, a pałac Paca".

Jest to prawdziwy gmach, nie pięknością budowy swojej, nie wdziękiem konturów, bo niema w sobie żadnego stylu, lecz ogromem swoim zwracający uwagę. Pożar, w 1837 roku zdarzony, zburzył doreszty już i podówczas od lat trzydziestu zaniedbaną i w połowie opuszczoną siedzibę polskiego magnata; bo zniszczył cały korpus i jeszcze tu i ówdzie świecące się ozdoby tego pałacu! Stał się on odtąd zupełną ruiną. Ocalały same pawilony, z których jeden tylko dziś zamieszkały o dwóch piętrach, nie biorąc dołu i suterenów, patrzy na tuż pod nim lśniący się kryształ jeziora, nie tak jeszcze dawno we wszelkie ryb wyśmienitych gatunki wielce zamożne. Nie braknie pogadanek i bajeczek o tym pałacu.

Pierwsze, naprzykład, podanie, za któreby niejeden tutejszy człowiek na przysięgę poszedł, a podanie, na wiek dzisiejszy słusznie przed innemi prym trzymać powinne, jest to: że Pac, wznosząc tę budowlę, zamurował gdzieś w niej potajemnie sto tysięcy dukatów i przy skonaniu następcom swoim przekazał, żeby w razie upadku i zubożenia familji gmach ten do tła rozbili, a znalezionemi w tej nieszczęsnej pracy pieniędzmi ród swój do nowej prowadzili świetności. Powiadają także, że pałac ten podług pierwiastkowego planu miał być prawdziwym kalendarzem olbrzymiego rozmiaru. Miał bowiem wnętrze swoje oświecać 365 oknami i jednem tak zwanem *wolowem okiem*, poświęconem

na rok przestępny. Wchodzić do niego miano dwunastu bramami, a drzwi pięćdziesiąt i dwoje miało w nim stosunki służbowe ułatwiać. Co do okien i drzwi bodaj czy, wszystkie sumiennie zliczywszy, i daleko więcej się ich tutaj nie znajdzie. Ale bram dwunastu nie było i niema.

Jest jeszcze jedno podanie na nieszczęście najzupełniej historyczne, dowodzące smutnej swawoli naszych magnatów, nie karconych majestatem prawa i siłą jędrnej wykonawczej władzy. Dowodzące srogich nadużyć, dokonywanych przez ludzi potężnych i możnych, i nadużyć, przypominających nam średniowieczne niemieckich rycerzy rozboje. Śpieszył się Pac ze swoim pałacem. Chciał go jak najprędzej mieć i widzieć gotowym i zewsząd, jak mógł, ściągał robotników. Przez Jezno przechodził wówczas jeden z głównych gościńców Litwy, gościniec, preńskim zwany. Owóż Pac, będąc jeszcze razem bodaj i starostą kowieńskim, chciwy, jak mówię, na ręce robocze, bezbożnie, samowolnie, zbójecko łapać ludziom swym kazał jadących tym gościńcem podróżnych, kupców, Żydów, chłopów, a nawet uboższą szlachtę i, zakuwszy ich w kajdany, czas jakiś, najmniej trzy tygodnie wynoszący, do robót mularskich w pałacu, albo sposobem faraona do noszenia cegieł i żwirów z cegielni swojej zapędzał. Wielu podobnych męczenników z upokorzenia, rozpaczy i trudu jakoby pomarło! Powszechne zatem było i dotąd jest jeszcze u ludu mniemanie, że dusze tych ofiar ciągle po pałacu jęczą.

Rzeczywiście tyle tu było korytarzów i ciągów, że przy najmniejszym, nie zwracającym nawet niczyjej uwagi wietrze, wycie i świst przeraźliwy przeciskającego się przez różne szpary i zakamarki powietrza ludowi zabobonnemu, świadkowi kiedyś zbrodniczej niesprawiedliwości magnata, taką baśń podały i dotąd ją utwierdzają w jego potomkach.

Wszyscy tu powiadają jeszcze, że Pac włókę sosnowego lasu, *borkiem szyłańskim* zwanego, kupił u szlachcica z Szyłan za bułkę chleba. Ale jak to było i jakim się to stać mogło konceptem, czy na wojnie, czy w czasie głodu, nikt mnie już pomimo starań tego nauczyć nie mógł, choć każdy tutaj o tej bułce prawi. Jeżeli bytność monarchów w domach osób prywatnych zlewa na takie domy historyczne zaszczyty, to pałac jezneński szczycić

jeszcze może dwukrotnym chwilowym pobytem jednego z najpotężniejszych swojego czasu mocarzy, cesarza Aleksandra I-go, który rzadkim w życiu swoim, jak sam przynajmniej gospodarzy zapewniał, przykładem szczęśliwie i w śnie spokojnym noce swoje tutaj przepędził. Dotąd się tu jeszcze nadziwić nie mogą, że pan tak wielki na słomie kułowej, w podróżny wór skórzany wepchniętej, i na poduszce, włosem nadzianej, wczasu swego używał.

W pałacu jezneńskim, który w młodości mojej za dziedzictwa Pęczkowskich bardzo często zwiedzałem, szczególniej uderzały wspaniałością właściwe pokoje Antoniego Paca i żony jego, Teresy Radziwiłłówny, *białemi pokojami* zwane. Całe z boazerji biało lakierowanej ze złoconemi w drzewie rzeźbami, herbami, i ozdobami na ścianach, z takiemiż wielkich rozmiarów meblami to w guście Ludwika XIV-go, to pani de Pompadour rznięternemi, z ogromnemi przepysznemi alkowami w sypialniach, zadziwiały jeszcze oko nawet w kilkadziesiąt lat po zupełnym prawie upadku wsławionego na Litwie gmachu. Kilkosążniowe weneckie lustra, to jest zwierciadła, wmurowane w ściany, w białych także ze złoconemi rąbkami ramach, którebyś dziś nazwał *rococo*, wspaniałe, kolosalne, a w różne desenie złocone piece, wzniesione na kształtnych filarkach na łokieć przynajmniej od inkrustowanych parkietów, marmurowe odrzwia, takież ogromne kominy z rzeźbą, rozmaitemi złotemi napisami w marmurze rytemi ozdobami, czyniły to mieszkanie prawdziwie pańskiem, że nie rzeknę, królewskiem mieszkaniem. Na jednym z tych kominów pamiętam, że napis był taki, w rodzaju zagadki:

„*In sublimi delitesco,*
In humili splendesco,
In foco appareo,
In cinere pereo".

I tę łacinę mnie, dziecku, przybyłemu na wakacje z drugiej klasy szkolnej, ksiądz Rymowicz, kanonik inflancki, proboszcz jezneński, zacny i poczciwy staruszek, tłumaczyć z wielką dla rumieńca i mądrości mojej mitręgą nielitościwie kazał.

Galanterja męża, a może i duma z wielkiej paranteli wszędzie

tu hojnie w rzeźbach herby radziwiłłowskie ze swojemi mięszała. A Teresę z Radziwiłłów Pacową nietylko w domu, u siebie, ale nawet i w dokumentach publicznych nigdy inaczej, jak „księżną jejmością" nie nazywano.

Wchód do pałacu w samym korpusie przez wielką wspaniałą bramę miał tuż zaraz dwoje również wspaniałych szerokich i wygodnych marmurem wyłożonych schodów, linją spiralną prowadzących do ogromnego przedsionka, obejmującego całą środkową szerokość tej wielkiej budowli. Posadzka tutaj i drugie kolosalne schody, z dwóch stron na wyższe wstęp dające piętro, wyłożone były także taflami marmuru. Sam przedsionek przedzielony był z jednej strony w miejscu, gdzie się dolne schody kończyły, łękowato wygiętą i misternie wykonaną barjerą, stanowiącą galerję dla muzyki. Z galerji tej wychodziło się na balkon frontowy, bogato z żelaza wykutą ozdobiony balustradą. Z drugiej strony przedsionka był wielokrotnie większy od tego balkon, na marmurowych, a grotę tworzących oparty kolumnach i dawał poważny, a wspaniały widok na ogród francusko-włoski.

W ogrodzie tym były i dotąd są jeszcze choć już zaniedbane i popsute ulice ze stuletnich jodeł, lip i grabów kunsztem Włocha jakiegoś, którego tu nikt już nie wie nazwiska, sprowadzonych z lasów pacowskich. Drzewa te wszystkie, w zimie obrąbane naokoło, z obmarzłą koło korzeni ziemią w ogromnych płazowych furach, kilkadziesiąt wołami ciągniętych, w doły już gotowe ostrożnie wsuwano i tym sposobem w ogrodzie zasadzone były i szczęśliwie się przyjęły. Teraz jeszcze o tem starzy chłopkowie prawią. A i jeden z moich włościan, dzisiaj stuletni staruszek, będąc podówczas pastuszkiem, patrzeć na to, jak na dziwo, biegał i chętnie o tej sprawie podochocony gawędzi.

Pod całym gmachem znajdziesz poczęści i dotąd jeszcze żelaznemi zamykane bramami suche i starannie kiedyś urządzone piwnice i sklepy, jedną z największych w ostatnich wiekach prywatnego życia polskiego okrasę. Znajdziesz tu, mówię, sklepy i piwnice, które gościnna dawnych dziedziców Jezna uprzejmość sprowadzonemi z Królewca, Kłajpedy, Gdańska kufami win najrozmaitszych umiała napełniać i szlachtę-bracię małmazją, petercymentem, starym węgrzynem uraczać. Kaplica pałacowa malutka, jak minjatura, jak minjatura piękna, cała

to prawdziwym, to fałszywym białym marmurem ze złoconemi kantami i żyłkami z przedziwnym gustem ozdobiona, ze śliczną białą ławeczką, ponsowym aksamitem obitą, wyglądała prawdziwie, jak cacko, i należała do osobliwości tego pałacu. Wszystkiego, ale to wszystkiego, com tu opisał dzisiaj i śladu już niema! A to, co niby zostało, jest co do nogi skutkiem zamiany podlejszemi rzeczami dawnych piękniejszych i droższych przedmiotów, ażeby się jakkolwiek z urzędowym inwentarzem można było pogodzić. Pożar ten nawet nieszczęsny, o którym mówiłem, bardzo łupieżcom poszedł na rękę!

Wszedłszy po tych kolosalnych prowadzących z przedsionka schodach na wyższe piętro, znalazłeś ogromną w całą szerokość pałacowego korpusu salę balową, mającą po bokach piękne bufety, ozdobioną po ścianach pięknemi przez malarza, z Włoch sprowadzonego, dokonanemi freskami. Przedstawiały one w stosownych do wielkości tych ścian rozmiarach Apolina, Muzy, Bachusa, Sylena i mnóstwo innych wesołych bożków Olimpu. Ogrom tej sali, pozbawionej od spodu przyzwoitej podpory, czynił ją już nawet za „księżnej jejmości" Pacowej wielce niebezpieczną. Stąd też po nacieszeniu się tem cackiem wielkiego kalibru, po kilku tam odbytych balach na głucho potem zamknięta została. Nad tem już piętrem wznosiły się tylko dwie niezbyt wysokie czworoboczne wieże, uwieńczone żelaznemi ostro w kolce najeżonemi szyszkami, które wespół ze smutnego stalowego koloru polewaną dachówką, pokrywającą cały dach korpusu, kończyły te poważne, jeśli nie ponure kontury znakomitej budowli.

Co tu dłużej mówić! Ot, jednem słowem, jakbyś policzył, co ten gmach, co jego wewnętrzne ozdoby, co te rzeźby, te herby, co marmury, posadzki, drzwi, kafle, kominy kosztować w owym czasie musiały, zgodziłbyś się ze mną, że to wystarczyłoby pewnie na największą fortunę dzisiejszego litewskiego magnata. A już nie mówię o pomarańczarniach, cieplarniach i innych wymysłach, których i ja nie pamiętam, bo te wprzódy jeszcze albo sprzedane, albo rozebrane i na inny użytek przerobione były. Jezno tymczasem było tylko cząstką wielkiego Paców majątku.

Ale i kościół jezneński pod wezwaniem Ś-go Michała,

opus elegantissimum, jak go ksiądz Kazimierz Kosztowt, świętej teologji doktor i po ks. Michale Wysockim drugi proboszcz jezneński, w 1692 roku nazywa, nie na mniejszą dotąd nawet zasługuje uwagę. Jest to także z marmuru wzniesiona pamiątka zacnej i szlachetnej rodziny, zacnego imienia Paców, datująca się od 1643 roku. Zaczął ją Stefan, podkanclerzy W. Ks. L., a syn jego, z Marjancelli Rudominówny spłodzony, Krzysztof Pac, kanclerz W. Ks. L., wielki mąż stanu, pobożnie i chętnie dokończył. Kościół ten nietyle okazały zewnątrz, co wewnątrz wielce wytworny i miły, do najpiękniejszych w Litwie bez wątpienia należy. Kazimierz Pac, biskup żmudzki, z dyspensy Aleksandra Sapiehy, wileńskiego biskupa, z odpowiednią godności rodu swojego wystawą i królewskim przepychem poświęcił ten przybytek Pański dnia 17-go sierpnia 1680 roku. Ci, co tak na panów i wielką naszą szlachtę sypią pociski, przekleństwa i niesłuszną nienawiść, co się dzisiaj zowią dziećmi postępu, niechby, naprzykład, raczyli przeczytać dokument fundacyjny jezneńskiego kościoła! Krzysztof Pac wyraźnie tam powiada, jako, chcąc nietylko do materjalnego, ale i do duchowego szczęścia ludu się przyłożyć, wznosi ten dom Boży, ażeby mógł potem śmiało zdać sprawę przed Stwórcą swoim ze włodarstwa swojego. We sto prawie lat potem, bo w 1770 roku Antoni Pac na nowo ten kościół w przedziwnym guście przerobił, a całe prezbiterjum powiększył, freskami ozdobił. A w urządzonych pod ziemią lochach i kaplicy groby dla swojej rodziny przeznaczył. Tak w nowym zupełnie stylu odświeżoną świątynię Tomasz Zienkowicz, biskup anapolitański, w 1772 roku powtórnie poświęcił.

Dwoje schodów, w środku samym kościoła umieszczonych i tylko balustradą dla bezpieczeństwa modlących się z trzech stron odgrodzonych, prowadzi do kaplicy dolnej, po której bokach za żelaznemi w piękne arabeski kutemi bramami złożone są w liczbie sześciu zwłoki rodziny Antoniego Paca w ołowianych, blaszanych, dębowych, po większej części jedna w drugą włożonych, trumnach. Antoni Pac, pisarz W. Ks. L., Teresa z Radziwiłłów Pacowa, jego małżonka, i córka ich, mniszka w białym habicie, tu pochowani. Ambona prześlicznej i misternej roboty, cała złocona, rzeźbą i różową po całem tle folgą ozdobna, pomiędzy najpiękniejszemi w Litwie naszej śmiało liczyć się

może. Portrety Krzysztofa Paca i żony jego, Klary-Izabelli de Maillis Laskarysówny, jako pierwszych fundatorów, znajdują się dotąd na ścianach kościoła zachowane jakkolwiek. Pod portretem kanclerza taki jest napis: *Krzysztof Pac, Kanclerz Wielki W. X. Litewskiego, Piński, Szudowski, Wilkowyski, Kocienicki, Wilkijski, Tryski, Ostrzyński i Niemonajcki Starosta, Grażyski Leśniczy, Ekonomji Grodzieńskiej Administrator*. Pod portretem żony powtórzone też same tytuły. Nad prezbiterjum po bokach są obszerne i piękne górne kaplice, ślicznemi ołtarzami ozdobne, galerję tylko z fałszywego białego ze złotemi żyłkami marmuru od reszty kościoła oddzielone tak, że lud zdołu łatwo odprawującej się tam Mszy Świętej wysłuchać może. To były razem i loże familijne, z których i sami Pacowie i fraucymer pani, kiedy się podobało, incognito nabożeństwo swoje odbywać mogli. Piękny ten i kiedyś bogaty kościół w powstaniu za czasów Kościuszki dużo od wojsk rosyjskich z powodu rabunku ucierpiał.

Pacowie stali się dziedzicami Jezna przez książąt Hołowczyńskich. Naczelnik rodu tego, książę na Hołowczynie herbu Łabędź, był sekretarzem i powiernikiem królowej Heleny, małżonki Aleksandra króla. W nagrodę zasług swoich dostał Jezno na wieczność. Ostatni potomek rodu tego, księżniczka Hołowczyńska, wyszła za Paca i wniosła w ten dom tak Jezno, jak Hołowczyn, dobra i dotąd w mohylewskiem znajome.

Michał Pac, starosta kowieński, do tego stopnia nadwerężył na atłasy, aksamity, grodetury, królewieckie wina, słowem, na hojne i pańskie życie zostawiony po ojcu majątek, że przy zdarzonych tuż obok wielkich nieszczęściach kraju, ofiarach, rabunkach równo ze śmiercią jego syn, Ludwik, generał wojsk polskich, na wygnaniu w Smyrnie przed kilku laty zmarły, ledwie nie wszystkie dobra litewskie na eksdywizję oddać był przymuszony. Jezno więc razem z Hołowczynem, przyjmując część pacowskich na tych dobrach opartych długów, nabyli Pęczkowscy. Wkrótce jednak ludzie ci zacni, bogobojni, gościnni i dobrzy, ciągle objadani przez tak nazwanych przyjaciół tak, że Jezno *wjezdną karczmą* za nich nazywać zaczęto, a przytem i nieszczęściami czasu, upadkiem zbożowego handlu, przechodami wojsk i konsystencję całych armij rosyjskich w czasie

wojennym zgubieni, sami na nową eksdywizję oddać się byli zmuszeni i zaraz ze zgryzot i kłopotów pozbyli się poczciwego żywota. A tymczasem już się był duch eksdywizyjny litewski w zupełności wyrobił. Otóż tu się tedy, jak stado kruków na ścierwo rzuciła tłuszcza i oficjalistów, i urzędników koronnych, i sędziów! Dziesięć lat Jezno jedli, a pałac i to, co w nim tylko było, od wołu do jaja, łupili, szarpali i darli, samym nawet chorągiewkom na dachu, misterną wprawdzie odznaczającym się robotą, nie przepuścili! A tym sposobem wierzycieli Paców i Pęczkowskich najzupełniej zgubili. Najlepiej jednakże na rzeczy wyszedł pan Marcin Rybicki, kiedyś kozaczek, do zapalania fajek w domu Wolskich użyty, a potem, jak podrósł, przez te lat dziesięć ekonom, zawiadujący gospodarką i dochodami całego Jezna. Ten Rybicki w oczach moich przywlókł się tutaj z Nowogródka na dwóch parszywych kasztanowatych szkapach, w lichą z łozy plecioną kałamaszkę zaprzężonych. Dzisiaj, nie licząc złupionych sprzętów, ruchomości, kapitałów, nie licząc i win, i wielkiego zapasu starego kowieńskiego lipca, pan Rybicki posiada dziedzictwem awuls od Jezna, wartujący 200.000 złotych, awuls najpiękniejszy, a kiedyś Pacom wielce drogi i miły. Pac Antoni, chcąc raz żonie swojej, Teresie, przyjemną w dzień imienin zrobić niespodziankę, folwark ten dożywociem jej zapisał i na pamiątkę swojego i jej imienia Teresantolem nazwał. Lud, a nawet i sam dzisiejszy dziedzic tego majątku, łamiąc źródłosłów, Trezantolem go nazywają. Tu, w Teresantolu właśnie urodził się niedługo po zaborze kraju ubogiemu podówczas podpułkownikowi wojsk rosyjskich, hrabiemu Wittgensteinowi, syn z żony Polki, Snarskiej spłodzony i tu ochrzczony. Hrabia ten, ale i ktokolwiek na świecie, mógłże się domyślać, albo przewidzieć podówczas, że on sam niedługo potem będzie feldmarszałkiem!? A bardziej, że syn ten jego stanie się mężem ostatniej latorośli Radziwiłłów nieświeskich, księżniczki Stefanji, córki księcia Dominika Radziwiłła? Że on cały ten ogromny radziwiłłowski zagarnie majątek z tak stanowczym i przeważnym wpływem na ogólną całej Litwy zamożność. Ale o tem kto inny zapewnie powie.

Cóżkolwiek bądź, wracając do Jezna, Paców już u nas niema! Czas, ten wielki komunista socjalny, zmiótł, zmazał

i zniszczył i ród zacny Paców i ich ogromną fortunę, na której jednym tylko ułamku teraz zgórą ośmdziesiąt rodzin zasiadło! Ostatnia Pacówna, córka Ludwika, sławnego generała polskiego, wyszła niedawno za księcia Sapiehę, wdowca po Sobańskiej. I te dwa wielkie i znakomite imiona, tak długi szereg wielkich zajmujące ludzi, te dwa imiona, które polityka królów polskich tylekrotnie, jako współzawodników, naprzeciw siebie zręcznie stawiać umiała, z woli Przeznaczenia i starej ręki wszystko gładzącego czasu, zlały się nakoniec na krew jedną!

A z owego wspaniałego i ciągłem weselem kiedyś żyjącego Jezna same już tylko zostały popioły i prochy!...

(„Z każdej chatki po chłopku. Od Merecza do Kowna").

6. Listy te powinny były mieć datę na górze i zaczynać się koniecznie od wyrazów: „Najłaskawszy Ojcze, Najosobliwszy Dobrodzieju", a kończyć: „zostaję z najgłębszem uszanowaniem najprzywiązańszym synem i najniższym podnóżkiem". Jak tego, broń Boże, w zupełności nie było, listy chociażby pocztą odsyłał mnie ojciec zpowrotem, dobrze natarłszy uszy. Jakkolwiek się to może na oko dziwacznem i śmiesznem wydaje, dawniej jednak wielką do początku i końca listów przywiązywano cenę. Szło o to, żeby nie było nigdy ani za wiele, ani za mało. A nawet i teraz jeszcze sam byłem świadkiem po ministerjach, gdziem służył, ile to czasem biednej kancelarji przychodziło nakłopocić głowy i ile razy aż do samego ministra bywały rekursy, komu położyć na końcu oficjalnego, albo i poufnego pisma: *„avec consideration"*, komu *„avec la consideration la plus distinguée"*, komu *„avec la plus haute consideration"* i t. d.

Jeden z moich przyjaciół jeszcze za młodości swojej, skończywszy kursy uniwersyteckie w Wilnie, jadąc za granicę, chciał się przedstawić i dać bliżej poznać kuratorowi ówczesnemu Uniwersytetu, księciu Adamowi Czartoryskiemu. Książę przyjął go swoim zwyczajem bardzo uprzejmie w Puławach i na trzy tygodnie gościem u siebie zatrzymał. W ciągu tego czasu zdarzyło się raz, że książę nie miał pod ręką sekretarza swojego dla podyktowania bardzo pilnego listu do Warszawy. Spotkawszy więc mojego przyjaciela, zaprosił go w tym celu do swego ga-

binetu. List w tym momencie podyktowany został. Ale jak przyszło księciu go zakończyć, jak zaczął ustawicznie przemieniać to „zostaję z szacunkiem", to „z respektem i estymą", to „z wysokim szacunkiem", to „z wysokiem poważaniem", przez godzinę przynajmniej nie mógł wpaść na kozerę z wielkiem zadziwieniem improwizowanego sekretarza swojego...

Józef Chrapowicki, instygator litewski, pan światły i możny, mieszkał domem w Wilnie i na potrzeby swojej śpiżarni rozmaite produkty z blisko leżących folwarków sprowadzał. Ekonom jednego z takich folwarków, pisząc do niego w podobnych okolicznościach, pisywał wiecznie taką aryngę: „Posyłam JWPanu kaczek tyle, kur tyle, indyków tyle, z którymi zostaję JWPana najniższym sługą". Instygatora z początku to bawiło, potem znudziło. A że dawniej panowie czuli się do obowiązku cywilizować sługi swoje, jak więc raz ten ekonom pokazał się w Wilnie, instygator wytłumaczył mu, że śmiesznie robi, dodając zawsze w listach swoich „z którymi zostaję", bo nikt z indykami nie zostaje niczyim najniższym sługą. Uwaga przyjęła się. Za pierwszą tedy zręcznością poprawił się i napisał list taki: „JWPanie, posyłam dla stołu Pańskiego indyków karmnych par sześć, kapłonów dziesięć, prosiąt czworo. Jajec nie posyłam, bez których zostaję JWPana najniższym sługą".

7. Jeżeli pokolenie, co żyło przed ojcami naszymi albo i z ojcami naszymi, niezawsze danych zobowiązań się mogło dotrzymać, to szukało czasem na chwilę, jak to ciągle bywa na świecie, zbawienia w dowcipnym koncepcie, a nie w prawnie artykułowanej przeszkodzie, w zupełnej negacji, opartej na „*Swodzie Zakonow*". Powiadam to dlatego, że mi przyszła teraz na myśl anegdota o wojewodzie Chomińskim. Wojewoda pomimo znacznych dochodów i dobrej głowy miał talent szczególny być wiecznie bez grosza, ale to jak turecki święty! Oczywista, że musiał ciągle szukać kredytu. Namnożyły się ogromne długi. Powoli wieść o tem rozeszła się po Litwie i zatrwożyła jego wierzycieli. Cisnęło się mnóstwo po swoje kapitały do niego, a to nudziło wojewodę. Raz, kiedy był w Wilnie, szlachcic ciepły, co mu był sumkę powierzył, zastraszony złym stanem

interesów wojewody, postanowił zaraz pojechać i dopomnieć się o swoją należność. Chomiński miał na ten raz dużo gości u siebie, kiedy mu znać dano, że jakiś szlachcic chce mu kilka słów powiedzieć. „Prosić go tutaj", — rzekł wojewoda. Szlachcic wchodzi. Chomiński zbliża się do niego i pyta: „Co waszmość rozkazać raczy?" — Szlachcic z pełnym uszanowania układem powiada zcicha, żeby goście nie słyszeli: „Przyjechałem prosić jwpana o zwrot mojego kapitaliku, zdarza mi się korzystna dzierżawa"...

„Co? co?"... rzekł wojewoda, udając, że nie słyszy, i zbliżając ucho swoje do ust szlachcica.

„Prosiłbym jw-go wojewodę o zwrot mojego kapitału"...

Tu wojewoda odstąpił, jakby ze wstrętem, na krok od szlachcica i, zmarszczywszy czoło, powiada: „Ach, mospanie, pfe! jak waćpanu z gęby śmierdzi!"... I odszedł od niego, śmiejąc się w duchu. Szlachcic tak się tą zupełnie niezasłużoną i dla konceptu tylko wymyśloną uwagą zmięszał i stropił, że zarumieniony wymknął się natychmiast z sali, siadł na wózek i na cały rok od konieczności wypłacenia sumy wojewodę uwolnił. Chomiński słynął jeszcze z tego, że każdy umyślny, z listem do niego przysłany, zwykle po trzy i cztery tygodnie czekać na koszcie i wszystkich wygodach wojewody musiał — nim się on na odpowiedź w najlichszym nawet interesie zebrał...

8. U niej to na podobnym obiedzie Antoni Gorecki napisał jeden z owych sławnych swoich tryskających dowcipem impromptów, które on, jak żebyś potrząsł czy gruszę, czy jabłoń, z siebie sypał a sypał i których największa liczba na nieszczęście zaginęła, chociaż się podówczas krukiem za pamięć każdego czepiały.

Obywatel, zda mi się, z Inflant, graf Mol (Moll) uwierzył, że jest poetą, i, uwierzywszy, wytłumaczył po polsku, a nawet wydrukował tragedję Rasyna „Berenikę". Przyniósł ją zaraz na świeżo jeszcze wilgotną pani stolnikowej w upominku i na obiad został. Gorecki, przyszedłszy tam przypadkiem akurat w ten dzień także na obiad, kiedy wszyscy rozmową po różnych miejscach sali byli zajęci, wziął ze stolika w rękę nieznajomą sobie jeszcze książeczkę i, przebiegłszy ją naprędce, nieznacznie na okładce napisał:

„Taka losów ludzkich dola,
Nie uniknie nic zniszczenia!
Mimo wieków uwielbienia
Znalazł Rasyn swego Mola!"

i jak gdyby nic, książkę znowu na stolik odłożył. Po obiedzie Janowiczowa, nie wiedząc o niczem, chciała zrobić grzeczność Molowi i umyślnie zaczęła rozmowę o jego „Berenice". Mol, uszczęśliwiony, duszę swoją pod skromną autora ukrywał miną. Ale każdy z gości jak na okładkę spojrzał i wierszyki zobaczył, wargi, chcąc nie chcąc przygryzł. Nakoniec wziął ją i sam Mol. Można sobie łatwo wyobrazić, jak był rad z tego. Nazajutrz całe miasto ten czterowiersz na pamięć umiało.

Jakaż to szkoda, że największa część tych ulotnych Goreckiego wierszyków, gdzie on właśnie był prawdziwie nieporównanym i wielkim, ani w jego, ani w cudzej nie została pamięci. Antoni Gorecki nie ciągle, ale czasem był zająkliwy. Napady te żenowały go i wówczas, jak się raz tylko zaciął, zacinał się jeszcze chwil kilka, nim znowu do ochwatu przyszedł. Wracając z zagranicy, zatrzymał się raz na jakiś czas w Krakowskiem, gdzie wtedy sławną z urody, piękności, rozumu, dowcipu i położenia na świecie była panna Wielopolska, nieco zakrawająca na to, co dzisiaj „lwicą" zowią. Gorecki, bardzo nieładny, nadzwyczajnie lubił piękne kobiety. Zaintrygowała go wielce piękna Wielopolska, jak ją pierwszy raz w salonie zobaczył. Czy dla tego nerwowego uczucia, czy z przypadku jąkać się zaczął w rozmowie. Panna Wielopolska pomimo uszanowania, jakie już imię Goreckiego wzbudzało, parsknęła na to ze śmiechu. Ubodło to do żywego naszego poetę, ale udał, że niczego nie widzi. Goreckiego nie można było nie polubić odrazu. Podobał się też wkrótce w salonie. Proszono go o napisanie każdej damie pamiątki w albumie. Albumy posypały się gradem. Panna Wielopolska, primadonna w tem towarzystwie, wystąpiła najpierwsza. Gorecki natychmiast wziął jej sztambuch i, ani chwili nie myśląc, napisał:

„W tych wierszach pozostanie dwóch wad pamięć wieczna:
Ja, żem był zająkliwy, — Pani, że niegrzeczna.

I rzekną potomkowie, czyniąc porównanie,
Że tam winna natura, — tu złe wychowanie".

9. *a)* Po zaborze Litwy zmieniali się co chwila gubernatorowie Wilna. Jednym z nich był niejaki Moensch, który się z niewiadomych mnie przyczyn zapoznał i bardzo zbliżył z generałową Fittinhoffową, primo voto Zabiełłową, Polką, dobrą, miłosierną a srodze brzydką kobietą, ale bogatą i do wyższego należąca polotu. Dom jej na rogu Niemieckiej i Trockiej ulicy dotąd pod jej nazwiskiem znajomy. Pani Fittinhoffowa znalazła się raz w potrzebie dać obiad dla tego gubernatora Moenscha. A chcąc mu dobrać wszelkiego rodzaju towarzystwo, pomiędzy innymi zaprosiła kilku uczonych i profesorów Szkoły Głównej Wileńskiej. W tej liczbie znajdował się znajomy z pism swoich Dyzma Bończa-Tomaszewski, Reszka, Życki i inni.

Urzędnicy rosyjscy starali się jeszcze wtedy przez grzeczność mówić, a przynajmniej rozumieć mowę polską. Mówiono tedy zwykle po polsku.

„Prezentuję panu gubernatorowi", rzekła pani Fittinhoffowa: „Pana Reszkę, profesora"...

Moensch rozdziawił się, zamrużył oczy i udał gapia, że nic nie rozumie niby.

„Prezentuję panu", powtarza gospodyni domu: „pana Reszkę, to profesor"...

„Da... Da... znaju, znaju! Brodfresser! Brodfresser!" — odpowiedział Moensch, okazując tem chytrze i poszywając się w głupca, jaki stopień poważania mieli u niego uczeni.

b) Ta pani generałowa Fittinhoffowa nic a nic nie umiała po rusku. A tymczasem interesa jej zmusiły babinę udać się do stolicy. Była już stara, nabożna, a zawsze srodze, ale to srodze brzydka.

Za radą plenipotenta swojego w Petersburgu sprowadziła raz do siebie jakiegoś sekretarza Senatu i z nim rozmawiała o interesie po polsku, jak mogła, bo sekretarz oprócz ruskiego żadnego innego nie znał języka. Zawsze się przecie Polak z Rosjaninem jakkolwiek zrozumie, byleby chęć była. Przy pożegnaniu, włożywszy sekretarzowi temu w rękę paczkę asygnat, że był człowiek żonaty, generałowa powiada: „Będę sobie miała za

przyjemność odwiedzić pana dobrodzieja i jeszcze raz polecić się jego opiece".

„*Miłosti prosim! Miłosti prosim!*" — odpowiedział ucieszony takim zaszczytem ze słodką i ujmującą miną odchodzący sekretarz i w obie pocałował ją rączki.

Fittinhoffowa o mało nie zemdlała na miejscu na te jego słowa!...

W kilka chwil potem nadchodzi jej plenipotent, Polak, i znajduje staruszkę w spazmach, trwodze, słowem całą niepodobną do siebie. „Co pani jest?" — zawoła.

„A bój się ty Boga, dobrodzieju mój; a jakiegoż to ty mnie dałeś sekretarza Senatu!... Co to, ci Rosjanie!... To jakiś bezbożnik, łotr, rozpustnik, bezwstydnik! Człowiek żonaty, młody, przystojny — i cóż pan powiesz? nie wstydził się u mnie, starej kobiety, wziąwszy pieniądze nawet za interes, prosić jeszcze miłości!!"

Dopiero plenipotent, trzymając się za boki od śmiechu, uspokoił to trwożliwe sumienie, tłumacząc jej, jak ma te wyrazy przyjmować.

c) Po zaborze ostatnim kraju Bułhakow, naczelny gubernator Litwy, doprowadzał w Wilnie szlachtę do przysięgi na wierność i poddaństwo Katarzynie II-giej. Po tej ceremonji był wielki oficjalny obiad u Bułhakowa. Brzostowski, marszałek, siedział obok niego, a był z nim oddawna zażyły.

Śród obiadu Brzostowski coraz-to łyżkę, to nóż lub widelec srebrny niby skrycie to za pazuchę, to do kieszeni kłaść zaczął.

— „Co to robisz hrabio?" — rzekł mu zdziwiony Bułhakow.

— „Ach! panie gubernatorze", odrzekł Brzostowski: „to rzecz szczególna; jak się już tylko człowiek zrobił rosyjskim poddanym, ot tak i ręce świerzbią, żeby co ukraść!..."

Bułhakow nadto sam miał wiele dowcipu i nawet rozumu, żeby się za tę fraszkę zagniewał.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

10. W Strawiennikach u księżnej Ogińskiej, starościny dorsuńskiej, pani, z cnót, uprzejmości, gościnności powszechnie

znanej, a z pobożności swej wielce w całym poważanej kraju, bywały po kilka razy w rok pomimo podeszłego jej wieku z różnych powodów bardzo świetne bale, na które się zjeżdżali z odległych stron nawet — liczni obywatele. Na podobnym balu zjawiła się raz była bardzo piękna i młoda kobieta, pani Szymkowska. Ojciec mój, do samej śmierci nadzwyczaj słaby dla kobiet, zajął się nią mocno. Ciągle około niej stroił koperczaki. A po obiedzie, kiedy się większe jeszcze po salach nacisnęły tłumy, tak na tę panią mocno zbytkiem swoich afektów nacierać zaczął, że biedna kobiecina, chcąc swoje pokazać, ale i ukarać zuchwalca, rzekła: „Za kogoż to pan mnie bierzesz!? Kto panu dał prawo w ten sposób i mówić i postępować ze mną!?... Wiedz pan, że ja jestem uczciwa kobieta!"...

Ojciec mój na to, nie dając jej dokończyć, z najzimniejszą krwią odrzekł: „To też ja właśnie takie najlepiej lubię!" I temi tylko słowami tak nieboraczkę zbił z tropu, że potem... nie wiem już, co było. Bo to bardzo dawne rzeczy jeszcze za polskich czasów! To mi tylko starzy ludzie opowiadali nawiasem.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

11. Najniegodziwszym z tutejszych generał-gubernatorów od samego zaboru kraju był właśnie ten książę Dołgoruki, o którym tylko co mówiłem. Człowiek bezsumienny, zarozumiały, nadęty, dumny a goły, rozrzutnik, marnotrawnik, żarłok, rozpustnik, zły mąż, zły syn, zły ojciec.

Zostawił on tu po sobie u ludzi spokojnych, nieburzliwych, ale dobrze i uczciwie myślących, pamięć wierutnego łotra, jak jest, we wszystkiem! Ale łotra, niestety! — samowolnie i, jak mu się tylko podobało i zdało, rządzącego przez lat bodaj dziesięć kilku miljonami tutejszego ludu.

Przedstawiał ten niedobry człowiek ciągle monarsze kraj ten burzącym się i wrzącym, gotowym powstać co chwila, gotowym na wszystko dla odzyskania swobody wówczas, kiedy tym tutejszym ludziom taka rzecz i przez głowę nie przeszła. Zanadto im wiele robił zaszczytu, kiedy ich niebezpiecznymi malował. Ale dając poznać, że tylko jego talenty, zdolności i czujna baczność wstrzymuje Litwę od nowego wybuchu, wiei dział, że siebie coraz bardziej potrzebnym w opinji władzy

najwyższej czyni. Wierzono mu! To też, co chciał, to tutaj robił.

Rzeczy takie do historji należą. A mnie tu idzie tylko o anegdotę. Ależ trzeba dać przecież jakieś objaśnienia, żebym zrozumiany być mógł. Nie myślcie wszakże, że osobistość, że jakakolwiek prywata tak mnie mówić każą, jak mówię i jak mówić tu będę. Nigdy mnie on nic ani złego, ani dobrego nie zrobił. Ale uczciwy człowiek prawdę mówić winien.

Książę Dołgoruki tłusty i opasły był tak, że wyglądał dosłownie, jak rozdęty pęcherz. Pod koniec życia robić musiano dla niego szczególnego rodzaju portjery w karetach. Do zwyczajnych karet dawno wsiąść nie mógł. A jak go na konia w czasie poświęcenia kolumny cesarza Aleksandra wsadzono, o kilkaset kroków, jak fura siana, na konia włożona, wyglądał.

A jednakże kobiety, kobiety rozumie się *nasze*, przepadały za nim! I na szczęście tego kraju takie właśnie nieuleczone ich słabości dla tego kozła i takie znowu jego do nich parskania były przyczyną nakoniec usunięcia go stąd: z politycznej bojaźni, żeby się więcej, niż potrzeba, bab polskich nie oddawał poszeptom?

Ach! jak tam źle, jak mało tam nasze baby znają! Patrzcie wszakże, patrzcie jednakże, co to jest zajmować tak wydatną posadę. Taka lala, taki Adonis, takie bobo, taki lowelas, kilka łokci czy sążni w obwodzie mający, taki miech, wiecznie sapiący, taki durszlak, wiecznie zimą i latem strumieniami obrzydliwego potu oblany, taki tłuszcz, taki w smarowidło do kół cały obracający się człowiek, taki bucyfał, taki garnek czy kocioł z twarzy nieładny, z ciała smrodliwy, na któregoby nikt w innem położeniu nie spojrzał, albo się od niego z politowaniem lub wstrętem odwrócił, taki obmierzły niewieściuch, cóż powiecie? opływał w całym znaczeniu tego wyrazu i pływał w morzu miłosnych rozkoszy. A zwiódł, słuchajcie! Zwiódł i rozwiódł z mężami dwie najpiękniejsze z całego Wilna kobiety. Panią Kołkowską, Podbereską z domu, i panią Ignacową Zabiełłową, z domu Wawrzecką, z którą się nakoniec po długich zgorszeniach i kilku chudopacholskich zaręczynach dla posagu ożenił. Ale to najlepsze, że porzuconą przez siebie dla Zabiełłowej i z tego powodu w rozpaczy tonącą Kołkowską na nowo, słuchaj-

cie!! na nowo drugi raz wydał za tegoż samego męża, za tegoż samego Kołkowskiego, któremu, nagradzając podobną ofiarę, ten ostatni stopień spodlenia, w rodzaju nowego posagu i fatalnie zużytego wiana korzystny urząd zapewnił, — a wyznać trzeba, słowa temu dublowanemu mężowi dotrzymał. Został z kochaną żoną jakimś sowietnikiem w Smoleńsku!

Ja nie wiem, jak komu? ale, jak mnie przychodzi mówić o takich bezwstydnych szelmostwach, to mi krew fontanną bije do głowy.

Zapytacie zapewne: „A cóż na to nasi mężczyzni?"

Kontenci, szczęśliwi, że aż zazdrość bierze! Oto np. mąż, tak haniebnie skrzywdzony, koleżka mój z pensji i w szkołach, pan Ignacy Zabiełło, były powiatowy i były gubernjalny marszałek szlachty, a więc perła szlachetności szlacheckiej, za swoją małżeńską krzywdę mianowany jest radcą stanu w skutku przedstawienia księcia imci Dołgorukiego. Widzicie, jak nadskakuje, jak szafirkuje przed Dołgorukim. To jego najlepszy przyjaciel i widzi w tym księciu dobroczyńcę swojego! Pfe! sto razy pfe!... Opamiętajcie się! Opamiętajcie się kobiety! Opamiętajcie się mężczyzni! To brzydko! to sromotnie! to haniebnie! to podle!

Ale wróćmy do naszego karmnego księcia i rzućmy okiem na jego karjerę.

Jako przyboczny adjutant cesarza w randze pułkownika, książę Dołgoruki posłany był w 1831 roku do Mińska w czasie grasującej tam cholery dla utrzymania porządku i czuwania nad zdrowiem publicznem. Czynności jego podobały się. Nagrodzony za to stopniem generał-majora zastąpił mińskiego wojennego gubernatora, anioła a nie człowieka, hrabiego Strogonowa, którego pamięć, jako wiernego sługi monarchy swojego, ale razem i przyjaciela ludzkości, wiecznie u nas trwać i błogosławiona być powinna.

Zastąpił tedy Strogonowa!

Wkrótce jednakże znaleziono go zdolnym do wyższej posady. Został więc generał-gubernatorem czterech gubernij, a wojennym gubernatorem samego Wilna. Ale że tu już miano poważniejszych od niego, więc, żeby mu dać silny punkt oporu, osypano go odrazu rangami, gwiazdami, pieniędzmi, wszyst-

kiem! Ot, jak na naszej ziemi, kosztem naszym, krwią naszą od lat blisko sześćdziesięciu umieją nagle wyrastać grzyby!

Jak już tego doszedł nasz książę, zaczął udawać króla! A nawet przyjeżdżać do siebie kazał szambelanom i kamerjunkrom dworu w wielkich paradnych mundurach, czego sam monarcha niezawsze wymaga.

Pomimo ogromnej pensji, żołdu, ogromnych dochodów stołowych, pałacu rządowego, danego mu na mieszkanie bezpłatnie, zdzierał, z kogo mógł, pieniądze pod tytułem pożyczki. Nigdy bowiem nie stawało satrapie temu na wszystkie zbytki. A że nie miał czem oddać, więc czy za procent czy za kapitał, albo za oboje razem można było u niego zrobić, co kto chciał! A wiadomo, że na takie nieprawne żądania albo widoki puszczają się tylko ludzie podli, — ale mający pieniądze.

Dołgoruki tymczasem tak łatwo przychodzącego grosza i nie chciał i nie umiał szanować. Ciągle go marnie rzucał. Ciągle potrzebował nowego i zawsze był goły. Ale razem takież zbytki i w nasze biedne litewskie rodziny wprowadził. Bale szły po balach. Dawał on, dawali i jemu. Kobiety jedna przed drugą sadziły się i na wymysły i stroje, a tym sposobem poniszczyły fortuny mężów swoich i dzieci swoich.

Dołgoruki, jak mógł, tę swawolę podsycał. Owszem wymagał jej koniecznie i do ruiny fortun podniecał. Zubożył więc, ale co gorsza, zdemoralizował tę Litwę doreszty! Niech mu Bóg ten ciężki grzech odpuści. Ale wątpię! Stanął on już przed jego sądem!

Nie było już nakoniec cokolwiek bogatszego Żyda, cokolwiek dostatniejszego urzędnika, a już nie mówię o bogatszych obywatelach, żeby im w kieszeń nie zapuścił pazura i nie zachwycił u nich pieniędzy. Tyszkiewicz mu, jak słyszałem, 6000 dukatów darował, widząc, że ich nie odbierze nigdy! Samemu kahałowi Żydów wileńskich 30 000 rubli srebrnych sposobem pożyczki i różnemi postrachami wydarł.

Tak nałożywszy się u nas, gdzie wszystko, jak Brennusowi, wolno, zarwał też i w Charkowie, będąc tam potem generalgubernatorem, 90 000 rubli srebrnych z magistratury powszechnej opieki, nastraszywszy zemstą swoją i Syberją członków tego urzędu. Dali mu więc te skarbowe pieniądze. A on sam

tymczasem umarł. I ci nieszczęśliwi sądzeni, karani jak słusznie podług prawa i zgubieni z żonami i dziećmi za tego rozpustnika i żarłoka zostali.

Owóż, kiedy ten tylu niewinnych rodzin nieszczęsny zabójca przez szczególne miłosierdzie Boskie zrzucony został nakoniec z tej królewskiej w Wilnie posady i przeniesiony na takąż z nazwiska, ale nie tak korzystną w Charkowie, kiedy już na jego miejsce naznaczono godnego wyrozumiałego, skromnego i poczciwego człowieka, generała Mirkowicza, — Dołgoruki, osaczony raptem od swoich dłużników, nie mających już powodu robić z nim ceremonji i puścić jego sadełko, wydrwił, żeniąc się z dotychczasową nieślubną kochanką swoją — Zabiełłową Wawrzecką, kilkadziesiąt tysięcy rubli srebrnych u starego, a skąpego jej ojca. Temi pieniędzmi główniejsze i upartsze załatał dziury i oczy wielu zamydlił tak przynajmniej, że się z Wilna mógł wymknąć bez wielkiego sromu. Zawsze jednak ogrom długów zostawił, o czem wszyscy najdoskonalej wiedzieli. Po odjeździe jego nazajutrz wicegubernator wileński spotkał się na ulicy ze sławnym z uszczypliwego, ale trafnego i rzutkiego dowcipu żmudzinem, baronem Krauze.

„*Czto nowieńkawo?*“ (co nowego), rzekł wicegubernator: „*Kniaź Dołgorukij uże ujechał?*“ (Ks. D. już wyjechał?)

„*Nie sowsiem odnakoż*“ (niezupełnie jednak) — odpowiedział Krauze:

„*R u k i prawda czto ujechali, no d o ł g i wsio taki zdieś ostaliś*“.

(*„Plotki. Czterdzieści i Oko"*).

12. ...Wracałem tedy w 1838 r. po piętnastu leciech wędrówki po świecie do własnej mojej zagrody. Sprowadził mnie tu smutny i bolesny wypadek. Sprowadziła mnie tu śmierć ojca mojego, najpoczciwszego, najzacniejszego w świecie człowieka, który, gdyby nie był na teraz prawdziwym staropolskim Polakiem, musiałby się kiedyś wprzódy najpewniej urodzić prawdziwym Lykurga Spartanem. Człowieka, co najrzadszym w okresie naszym przykładem cały miód XVIII-go wieku w szlachetne swoje usta wycisnąć potrafił, nie tknąwszy nigdy zabójczej jego trucizny. Człowieka, który się wyniósł nad brudny

poziom tego wymiotu, co życie jego ledwie nie z każdej strony tutaj otaczał. Człowieka, pojmującego poetycznie idealną przyjaźń, niepamiętnego nigdy krwawej obrazy serca, „dotrzymującego doprawdy to, co był komu żartem obiecał", jak go dziś tutaj po czasie ten lud, ze życia niewdzięczny, w prostych mowach swoich szkicuje! Człowieka, co się nigdy, mając nieraz potężne do tego zręczności, w życiu swojem na nikim nie zemścił. Człowieka z taką postacią i twarzą, że się w nim wszystkie znakomite owego czasu kobiety nazabój kochały. Człowieka, co, wzdrygając się procesu, jak ognia, każdą najświętszą i najsprawiedliwszą sprawę w życiu swojem przegrał i przegrać tu musiał, bo się pomimo całego rozumu starać o wygraną nigdy nie umiał. Człowieka, co czystość, porządek, dobry smak, wytworność i godziwy przed Bogiem i ludźmi zbytek czy komfort w chlewy, barłogi i robactwo swojego okręgu niezaprzeczenie przykładem swoim wprowadził. Człowieka, co, jak pan Bott w owym sławnym Pigaulta romansie, w samej srogości i surowości wymuszonego obejścia się z ludźmi pewnego gatunku jeszcze im zawsze miękki puch edrodonu dorzucić i ostrze wymownego a celnie trafnego słowa wdziękiem puchu tego łagodzić i przytępić umiał. Człowieka, co był ojcem włościan swoich. Człowieka, co wiek swój głęboką myślą prześcignął, co w XVIII-m jeszcze wieku zgadł wypadki, które nas dzisiaj w połowie XIX-go zewsząd obległy. Który, dalej jeszcze wzrokiem sięgając, i to, co nas czeka, dawno i bardzo dawno przewidział. A to, co się dziś rodzi, jak po pisanej przez niego sprawdza się karcie. Człowieka, co wdziękiem pióra, siłą, osobliwością i jędrnością wyrażeń czytających poufne pisma jego zadziwiał. Człowieka nakoniec, którego tylko ściśli przyjaciele tacy, jak Kościuszko, Tomasz Wawrzecki, Jasiński, Sowiński pojąć byli zdolni! I człowiek ten, coby w Sparcie, Atenach, Tebach miał wystawioną kolumnę, albo u płochego jednej z tych rzeczypospolitych ludu zaszczytem ostracyzmu był ukarany przynajmniej, żyjąc pomiędzy tłuszczą gnuśną kretynów, żyjąc pomiędzy niewdzięcznymi i dla niewdzięcznych, zgasł niepojęty, nieoceniony, nieuszanowany, jak pomnik egipski, zwalony ręką czasu pomiędzy tłumem gawroniących się i kiejf niewolniczy czyniących Fellachów, Arabów czy Koptów!

Ależ na miłość Boską nie myślcie, że to, co mówię, jest skutkiem utworzonego tąż samą krwią oka! Skutkiem ślepego przywiązania syna. Skutkiem rodzinnej prywaty, która te złote pryzma przed synowskim postawiła wzrokiem! Nie!

Człowiek ten godny, szacowny, rzadki, cnotliwy, wielostronnie uczony, w którego domu zgorszenie, potwarz, chciwość, egoizm, matactwo, kręcielstwo i kłótnie nie powstały nigdy, dla jednego tylko w życiu swojem stworzenia z powodu staropolskich uprzedzeń, w młodych latach nabytych, o stosunkach rodziców do dzieci ze szczerego przekonania, że syn jest rzeczą, należącą do ojca, że jest jego zupełną własnością, był może niesprawiedliwy, a raczej obyczajem dawno już ubiegłego czasu nadto cierpki, srogi i surowy, dla jednego syna swojego.

Ale cóż znaczy ciągła boleść jednego młodego chłopca, do którego się usta ojca nie dotknęły nigdy; co znaczy boleść jednej własnej ojca tego rzeczy, jedynego jego dziecięcia; co znaczy ta ciągła chmura jednej biednej, we wszystkie strony wyginanej młodości; co znaczy nakoniec ciągły jęk jednej tylko młodości, jak kwiat laską przechodnia podciętej i zwiędłej, na tej obszernej i uśmiechającej się tylu innemi cudnemi ozdobami łące?!...

(„Z każdej chatki po chłopku. Od Merecza do Kowna").

13. Ludwik XVIII, król francuski, w ciągu wygnania swojego przebywał wielce skromnie pod nazwiskiem hrabiego *de Lille* przez jakiś czas w Warszawie. Mieszkał w domu, który za dobrych czasów do Kazanowskich należał, a teraz bez sławy i dawnego szumu obok domu Towarzystwa Dobroczynności tak cicho na Krakowskiem stoi, że nikt mu ani w oczy nie spojrzy! Przypadek jakiś, bo szczegółów już nie pamiętam, poznał ojca mojego, bawiącego także pod ten czas w Warszawie, z kilku głównymi emigrantami, dwór księcia tego składającymi. Ciekawość przyprowadziła go wkrótce do poznania się i z nim samym. Był tedy ojciec mój prezentowany. Potem, przedstawiwszy się jeszcze kilka czy więcej razy księciu z uszanowaniem, chociaż bardzo grzecznie zawsze przyjęty, że nie lubił subjekcji, a Ludwik XVIII pomimo nędzy, w jakiej zostawał, zawsze

jakoś za monarchę sam siebie uważał, widywać się z nim przestał. Wszakże z dworzanami jego ciągle w dobrych zostawał stosunkach.

Wkrótce jednakże ciż dworzanie kilka razy, raz po raz, oświadczyli ojcu mojemu, że król — tak go nazywali — dziwi się bardzo, dlaczego już od tak dawna ojca mojego nie widzi. Puścił to mimo uszu. Nakoniec jeden z nich, wziąwszy ojca mojego na stronę, rozpowiada mu z miną wielce poważną, że król życzy sobie widzieć się z nim koniecznie i przyjąć go nawet na prywatnem posłuchaniu pragnie. Nie wypadało, niegrzecznie było odmówić. Przychodzi więc. Ludwik XVIII-ty przyjmuje go najuprzejmiej, jak zwykle. Ale z widoczną radością, malującą się na twarzy, pożegnawszy wszystkich obecnych uchyleniem głowy, jak tylko wyszli, prowadzi go do gabinetu, drzwi za sobą zamyka i sadza go obok siebie.

Mój stary dziwi się i pyta sam siebie, co to wszystko znaczy? Pewno chce pożyczyć pieniędzy!... Nakoniec Ludwik XVIII z wielkim na twarzy rumieńcem wyznaje, że chce się ojcu mojemu zwierzyć z bardzo ważnej okoliczności. Że ufny w jego delikatność, a szczególniej w wyraz twarzy jego — książę miał się za Lavatera — pewny jest dochowania tajemnicy. „Tam do licha", pomyślał sobie mój rodzic: „on mnie pewnie chce wplątać w jakąś polityczną intrygę. Ale nic z tego nie będzie! Dosyć mamy swoich!" Ludwik XVIII, dalej rzecz swoją prowadząc, powiada: „Wstyd mnie przyznać się przed panem do tego, co mu chcę powierzyć! Ale musisz mnie wysłuchać! Zawiedziony przez nieuważnego, niedbałego sługę, miałem słabość wejść w stosunki z jakąś tutejszą dziewczyną, która mi dała..., żebyż to przynajmniej co innego!... która mi dała... hm... hm — świerzbę!" Tu, zdjąwszy, nieborak, rękawiczki, pokazał zranione ręce! Była to prawdziwa, paradna, książęca, królewska świerzba, *psora, scabies, la gale, die Krätze, krosta* nakoniec, jak ją nazywają Litwini. Żaden Żyd w Europie piękniejszą pochlubić się nie mógł! „Nie mam siły", rzekł ze łzami w oczach książę: „upokorzyć się takiem wyznaniem przed kimkolwiek z dworzan moich! Straciłbym u nich na powadze i uszanowaniu, jakiem mnie w mojem nieszczęściu otaczają dotąd. Gdybyż to przynajmniej inna jaka choroba... łatwiejby mnie było!... Ale to!...

Szlachcicu polski, chociażeś się także do tronu urodził, nie wiesz, jakie są czasem troski królów, jak błahe rzeczy i wynoszą nas czasem nad innych i gubią nas w powszechnej opinji! Odkryłem się więc przed panem! Ratuj mnie. Znasz wszystkich tutejszych lekarzy. Wybiesz i daj mnie pod jakimkolwiek pozorem takiego, któryby i dobrze znał swoją naukę i tajemnicy dochował. Jakikolwiek mnie los spotka, daję słowo, że ja tej łaski nie zapomnę nigdy!"

Ulitował się ojciec mój nad biednym księciem. Wszedł w jego położenie. Inna choroba zmieniłaby niepochlebne o jego stosunkach z kobietami zdanie. Wyjawienie tej jeszczeby jedno na niego pośmiewisko rzuciło. Ułatwił więc mu wszystko. Nie pamiętam kogo, ale bodaj jakiegoś starego Kürmsa dał mu za lekarza. Wszystko dobrze poszło. I Ludwik XVIII śmiało w kilkanaście lat potem rękę swoją francuzom całować dawał.

Rozumie się, że nikt takiej przysługi nie przypominał siedzącemu na tronie. On też sam najzupełniej o tem zapomniał... bo czyż warto było doprawdy o takiej rzeczy pamiętać?

(„Koszałki—Kobiałki").

14. *a)* Te lat kilka były rzeczywiście momentem osobliwszym dla Wilna. Momentem, w którym się wesołość, humor, sól attycka i wszystkie sole greckie, i rzymskie ucinki, epigramaty, wiadomości brukowe, wierszyki i świstki sypały, jak z rękawa! Nietylko uczeni, ale uczący się, palestra i kto w Boga wierzył epidemicznie tem jakoś zarażeni byli! A każdemu stawało naboju! W minutę, w mgnieniu oka już wierszyki, kpinka i napisane były i kursowały po całem mieście. Z pomiędzy tysiąca tę jedną opowiem anegdotę. Ks. kanonik Zienkowicz odświeżył kamienicę swoją, pomalował ją pięknie zewnątrz i dla większej jeszcze okazałości kazał dużą blachę wymalować z napisem: „Dom K. Zienkowicza". Malarz blachę wygotował przybił ją nad bramą i poszedł po zapłatę do prałata.

„Czy już gotowe?" zapytał prałat. — „Gotowe Jaśnie WPanie". — „Pojdźmyż zobaczyć".

Wychodzi i już znajduje przyklejoną do blachy swojej kartkę z tym wierszykiem:

„Co to K. znaczy?...
Czy kpa, czy kanonika?
Należy do czytelnika,
Niech sobie wytłumaczy".

Ten prałat Zienkowicz, pan bogaty i możny, był, jak już zda mi się, wspomniałem, zprzodu i ztyłu najokropniej garbaty. Brzydki, malutki a szeroki, szepleniący nieznośnie, w damskiej jednakże arystokracji, a szczególniej od żon urzędników od korony z rozmaitych powodów, a bodaj dla wielkiego — nabożeństwa i hojności bardzo był poważany.

Sam, tak drobnym będąc, przez często spotykaną tego rodzaju sprzeczność lubił chować ogromne konie, miał nadzwyczajnie wysoki kocz, zajmował ogromne mieszkanie, choć miał dom własny, trzymał ogromnych do posługi hajduków. Kiedy jechał w pojeździe, nie widać go było, ale hajducy ztyłu, jak wieża Świętojańska, wszystkich bili w oczy. A był przytem i popędliwy i złośliwy. Jak mu który hajduk co zbroił i skrewił, chciałoby mu się obić hajduka, ale niema jak! Prałat hajdukowi ledwo po kolana! dostań że mu do łba! Więc udaje słodkiego i szepleniąc po swojemu powiada: „Bonifacy, brlaciszku, widzę, że ta firlanka nad oknem źle leży, podstaw tam stół i krzesło, ja wrlazę i poprlawię". Hajduk, nie domyślając zdrady, wypełnia rozkaz. Jakże prałacisko raz się wdrapało na krzesło postawione na stole, wpiło się natychmiast w kudły hajduka i dopóty zawieszone na nim tłukło go i tuzało, póki żalu swego nie okazał.

b) Nie wiem, czy zupełnie tak jest historycznie, bo miałem trzy lata, kiedym to słyszał od niańki.

Był bodaj gubernatorem w Wilnie Rückmann, a policmajstrem Traskin. Może to było i naopak, — za to nie ręczę. To pewna, że obadwaj, jak widać, starali się usunąć z ulic wileńskich krowy i świnki, które tam, jak dotąd w Kownie, samopas dniem i nocą chodziły. Srożyli się za to obadwaj ci urzędnicy i obadwaj wielce uprzykrzyli się mieszczanom. Wilno tedy obu tych ludzi nienawidziało serdecznie.

Traskina, bodaj, za złodziejstwo z obowiązku zrzucono. Rückmann umarł na szczęście wkrótce po wypędzeniu Traskina.



Wojciech Pusłowski.

Chowano go w Wilnie. Do pogrzebowej procesji, nie wiedzieć skąd, wybiegła i przyłączyła się świnia, cała kirem obszyta, niosąca na sobie te wiersze:

„Rykman — ryknął,
„Trzaskin — trząsł...
„Któż nam świnie będzie pasł?...

(„*Plotki. Czterdzieści i Oko*").

c) To także jedna z ploteczek, sięgających pierwszych lat mojego dzieciństwa, wyjętych z *repertorium* niańki mojej.

Niejaki Zollner, którego Cołnerem zwano, przechrzta, prowadzący w Wilnie dosyć znaczny handel, piastował wielokrotnie różne miejskie urzędy, zdzierając, jak mógł, każdego, a Żydów szczególniej. Wdał się potem w nikczemne rozmaitego rodzaju donosy czyli delacje i powszechnie, szczególniej u Żydów, znienawidzony został. Czy zgryzoty sumienia, czy żal porzuconej wiary, czy straty i nieszczęścia, poniesione w handlu, dosyć, że człowiek ten sam sobie nakoniec życie odebrał. Tejże nocy po wszystkich rogach ulic rozlepiono, a po całym dziedzińcu, gdzie mieszkał Zollner, rozrzucono karteczki z następującemi wierszami, napisanemi niby przez żydów:

„Mospanie Cołner,
„Wać nie był żołner,
„A kupiec.
„Zabiłeś siebie —
„Przepraszam ciebie,
„Boś głupiec!
„I naszą starą
„Rzuciłeś wiarę,
„A zaco?
„Wszak w każdej wierze,
„Kto cudze bierze —
„Ladaco!"

(„*Plotki. Czterdzieści i Oko*").

15. Szał tajnego stowarzyszania się, doprawdy epidemicznie i w całej Europie i u nas w najrozmaitszych kierunkach

podówczas panujący, nietylko wietrzne i młode, ale nawet i najtęższe, stare, wytrawione opanował głowy. Kto inny zapewne opisze dzieje ówczesnego naprzykład odszczepieństwa lóż wolnomularskich litewskich, to jest ich reformy, na której czele stanęli Mianowski i Kontrym. Kto inny opisze skutki owej „masonerji narodowej", co się potem tak boleśnie dała Litwie we znaki, że jej dotychczas wydychać nie może. Kto inny także nauczy *de data et acta*, jaki był początek i rozwój owego sławnego i wielki wpływ moralny wywierającego podówczas klubu „Szubrawców", autorów „Wiadomości Brukowych", co się sami dobrowolnie szubrawcami nazwali, chociaż każdy z nich należał do najpierwszych duchowych znamienitości w kraju.

Ja byłem wtedy zanadto młody, żeby śledzić zarodki Towarzystwa, które znalazłem już gotowe, a teraz znowu zanadto daleko żyję od świata i ludzi, żebym świeżą i dokładną pamięcią mógł dzisiaj objąć te rzeczy. Wiem wszakże, a raczej przypominam sobie, że maleńkie literackie kłótnie i takież dowcipne drukowane ulotne przycinki i drwinki, różnych miejscowych tyczące się wypadków, puszczane w świat przez ręce warjata Szurłowskiego, o którym wyżej mówiłem, podały myśl ludziom dowcipnym do stowarzyszenia „Szubrawców", którzy wśród ciągłych jeszcze całego Wilna do śmiechu i wesołości pochopów wydawać zaczęli satyryczne pismo, mające na celu okryć śmiesznością ówczesne narowy Litwy i grzeszki naszych matador dla własnego ich dobra i poprawy. Mnóstwo korespondencyj po wszystkich Litwy zakątkach ułatwiało obfitość humorystycznego żniwa.

Szczegóły zaś początku „Szubrawców", którzy się na *urbanów* i *rustykanów* dzielili, *salva melia ratione*, były takie.

Niejaki Kopsz, wywłoka z habitu skasowanych w Warszawie benonów, dobrze oczytany, wielce dowcipny, ale złośliwy i zjadliwy człowiek, przywiózł z sobą do Wilna prześliczną, ale to prześliczną żonę i, nie mając co lepszego zrobić, założył sklep galanteryjny z rachubą na przynętę do siebie publiczności wdziękami połowicy swojej. Obrażony rzucanemi z tego powodu kwolibetami, draśnięty znowu w zarozumieniu o wielkiej swojej nauce puścił po mieście kilka drukowanych bezimiennie paszkwilów. Odpowiedział na nie tymże sposobem sławny z ucinkowego

dowcipu doktor Kossowski. Po Kossowskim wdał się w takież żarciki gabnięty za swój magnetyzm Lachnicki. Rzucił znowu od siebie odpowiedź zaczepiony od trefnisiów eksjezuita Czerski, kanonik żmudzki, dobry profesor łaciny w gimnazjum wileńskiem, który na biedę swoją i wiedział i uczył nawet, jak rzymianie nazywali to „czapkę nabakier", to „konia na przyprzążce", to „ułana polskiego", to „kontusz z wylotami". Jednem słowem, powoli, powoli zaczęła się i poszła w modę drukowana świstkowa polemika, z niej rykoszetem najniespodziewaniej wyrodziły się „Wiadomości Brukowe".

Pismo to, najlepiej i ledwie że nie wyłącznie dla samej tylko Litwy zrozumiałe i pojętne w całej masie dowcipu swojego, niesłyszane dotąd u nas miało powodzenie. Wyrywano je sobie po całym kraju. Znalazłbyś je równie w pałacach, jak w szynkach. Szlachcic na zaczarowanej łopacie wciskał się wszędzie w mieście i na wsi, a siał plotki nazabój i drwił bez miłosierdzia żadnego. Strach paniczny, czy tam kto swego nie znajdzie portretu, dodawał ciekawościom ostrogi. I nie dziw! Prezydentem „Szubrawców" był Jędrzej Śniadecki, mąż z nauki światu znajomy, a człowiek pełen oryginalnego dowcipu. Według ustawy Towarzystwa każdy z członków powinien był przyjąć pogańskie litewskie nazwisko i podpisywać niem swoje robótki. Mitologja nasza już i wówczas dosyć była bogata. Przezwano więc Śniadeckiego *Sotworasem;* doktór Szymkiewicz również słynny z dowcipu został *Auszlawisem*, Szydłowski nazywał się *Gulbi* i tak dalej i dalej. Powtarzam, wszystko, co było najświetniejsze czy dowcipem, czy nauką w Litwie, należało do „Szubrawców". Lenię się przypominać i wymieniać tych ludzi, ale, rzucając rzecz od siebie, dosyć nazwać Michała Balińskiego, Ignacego Lachnickiego, Kazimierza Kontryma, Leona Borowskiego, Kossowskiego, Mianowskiego, hrabiego Günthera, aby dać ideę, co to wówczas było.

Wkrótce jednak wpływy polityczne przecięły dalsze losy tego pisma, pomimo obfitości i materjałów, i pracowników, i czytelników. Trzeba było je zamknąć z żalem wszystkich umiejących czytać i rozumieć. Nareszcie już się i śmiać przestawano, a częściej łzy w oczach pokazywać się zaczęły. Ale dzisiaj już nawet rzadkoby kto bez obszernego komentarza

potrafił zgłębić całe morze ironji, soli, humoru, jakie tam było. Czas się zmienił, zniknęły osoby, znikły ówczesne zajścia, zabiegi, intrygi, miłości i kłótnie, a więc zniknął i duch dowcipu, *ad hoc* stosowanego. Pismo to teraz straciło *le mérite de l' à propos.* Późniejszym trudniejsze do zrozumienia będzie, a może i niełatwo śmiech na usta wywoła. Taki jest wiecznie los dowcipu, nad miejscowemi natrząsającego się usterkami. Ale i w swoim czasie nie wiedziano nieraz w Wilnie, kto był celem drwinki i żartu, bo koncept przysłano z Połocka, Witebska, Szawel lub Grodna. Dlatego też wcisnęło się tam czasem i niesłuszne osobistością zarażone zdanie. Tak, naprzykład, człowiek, godny szczerego uszanowania od całego kraju, człowiek, o którym pomiędzy znajomościami, u pani stolnikowej zrobionemi, mówiłem, dlatego tylko, że był rozumny, że się pracą wzbogacił, że wszystkim radą i pomocą służył i że go nadzwyczaj chudym przyrodzenie na ten świat przysłało, złośliwie nazwany w tem piśmie został: „Wywiędliński z Okpiszyszek" i to przezwisko już mu do śmierci, jak kleszcz, na karku siedziało. Prawda, że i on ustawicznie w przysłowiu powtarzał: „Szelmy ludzie, szelmy ludzie!"

16. Marszałek Lachnicki, ojciec sławnego Ignacego Emanuela, był zacny, poczciwy, zdolny, słodkiego charakteru i powszechnie szanowany i kochany człowiek. Miano sobie za jakiś zaszczyt znać się i być blisko z tak poważnym i godnym obywatelem.

Pewien wyłazek, *un parvenu*, którego nie kładę nazwiska, co się przez kościuszkowską rewolucję wzbogacił i nosa do góry z tego powodu zadzierał, zwyczajem podobnych sobie nieproszony i niedziękowany wcierał się gwałtem w lepsze towarzystwa i poufalił się bezwstydnie ze znakomitszymi ludźmi, żeby się tą poufałością przed hałastrą popisać i tym sposobem jakiejsić sobie dodać powagi.

Raz na obiedzie u biskupa Strojnowskiego, gdzie się kwiat wileńskiego towarzystwa znajdował, wyłazek nasz, mówiąc o jakimś wypadku, który miał miejsce u dawnego rosyjskiego gubernatora Friesla, rzekł głośno do siedzącego z drugiej strony stołu naszego marszałka: „Lachnicki! Lachnicki! wszak

musisz to pamiętać?... byłeś także ze mną razem na tym obiedzie!"

— „Jakże nie!" odpowiedział Lachnicki, udając dobroduszność zupełną: „pamiętam to dobrze! A toć, przypomnij pan sobie, właśnie na tym samym obiedzie, nie wiedząc co z niemi zrobić, podane szparagi od grubszego końca jeść zacząłeś!"...

(*„Plotki. Czterdzieści i Oko"*).

17. *a)* Bojanus, jeden z najuczeńszych i najgodniejszych ludzi w Europie, poważnej i prześlicznej urody i twarzy mężczyzna, był w Wilnie profesorem weterynarji w Uniwersytecie. Wiadomo, jak w Rosji, a nawet i w Polsce mają weterynarję za proste konowalstwo, a konowałów — za nic. Przechodziły pułki jakieś przez Wilno. Żona korpuśnego generała miała szpica, którego bardzo lubiła. Ten się jej rozchorował w drodze, nieborak. Skoro więc do Wilna przybyła, zaczęła się rozpytywać natychmiast, azali niema tu konowała. Żyd faktor, chcąc się tak wielkiej ruskiej pani przysłużyć, powiada jej, że jest tu sławny konował, Bojanus. Dodają więc Żydowi żołnierza, który, znalazłszy Bojanusa jeszcze w szlafroku, wzywa go do szpica. Bojanus uśmiechnął się dobrodusznie i zapewnił go, że natychmiast przybędzie. Ubrał się tedy w swój złotem lśniący profesorski mundur, wszystkie ordery na sobie zawiesił i w karecie do szpica pojechał.

Łatwo pojąć można ambaras i przerażenie państwa generałostwa! Zdawało się im, że pięć dukatów za tę wizytę będzie jeszcze niedostatecznie! Bojanus pieniądze wziął i, śmiejąc się, jak dziecko, do siebie wrócił.

b) Pułkownik Rozen, urzędnik pocztowy w Wilnie, bardzo nieładny i ślepy na jedno oko, a wielce, Bóg wie czego, dumny człowiek, zakochał się był namiętnie i ożenił się natychmiast z osobą, do której, jak wieść niosła, profesor Bojanus smalił cholewki i bodaj, że tam coś więcej nad wzajemność zaszczepił. Rozen się tego ani domyślał.

W siedm miesięcy po ślubie rodzi mu żona prześliczne i bujne dziecko. Rozen widzi, że nie w porę. Trwoży się o dziecię, że żyć nie będzie! Że niedonoszone to biedactwo! Niespokojny

lata po całem mieście, a pyta się i radzi to tej, to owej. Wszystkie sproszone kwoki, obejrzawszy dziecię, powiadają, że jest dobrze ukształcone, że mu ani jednego nie braknie paznokcia. Niema się o co lękać. Będzie żyło!

Rozen nie wierzy. Pyta się więc jeszcze profesora akuszerji Mikołaja Mianowskiego, sławnego z judaszowego i kociego dowcipu. Ten, wiedząc, co o tem myślić, powiada serjo Rozenowi: „Bądź pan spokojny. U kobiet w pierwszym połogu po ślubie to się często zdarza. Ale dalej ręczę, że tego nie będzie!"

Rozen do tego stopnia był zaślepiony, że się nie domyślił niczego. Owszem na paradnych chrzcinach u siebie głośno publicznie przed wszystkimi gośćmi słowa Mianowskiego powtórzył!

18. Jakkolwiek to w nas przyganiają, a przyganiają może i słusznie, zdaje mi się jednak, że dla Polaków długo jeszcze będzie jedną z najzabawniejszych pociech słyszeć poczciwego Niemca, serjo mówiącego po polsku i tysiącem sposobów łamiącego, wykręcającego i kaleczącego nasz biedny język. Im więcej Polak chce się pod tym względem ucywilizować i ugrzecznić, tem więcej starania jego marnemi zostają! Sznuruj, jak chcesz gębę, nie dotrzymasz jej, rozjedzie ci się od ucha do ucha, jak ci tylko Niemiec bąki po polsku rżnąć zacznie! Poczciwy Weiss przypomina mnie, żem po śmierci ojca mojego znalazł w jego papierach cyrkularz, za rządu pruskiego przez królewskiego komisarza do obywateli w Zapuszczańskiem wydany, którego ledwie że nie każdy wyraz wart dukata. Kiedy ten kraj Prusy wziąć raczyły, każdy Niemiec, jak tylko umiał powiedzieć „dzień dobry" i „bodaj zdrów", sam wierzył, że umie nasz język, sadzany był tu przez swój rząd na różne znakomite posady i przez Prusaków za nieocenionego uważany był lingwistę. Takim widocznie był ów rządowy *Commissarius*, którego cyrkularze w polskim języku, po całym okręgu przylepiane na słupach i karczmach, ojciec mój, wracając z Warszawy, widział i, nie dotrzymawszy, zdarł jeden na pamiątkę i do Litwy za osobliwość przywiózł. Brzmi on tak co do słowa:

„A iż ponieważ z rozkazu Króla Jegomości Pana mojego Miłościwego, danego mi, ażeby drogi reperować dzierżawcom,

przeto zalecam i rekommenduję, ażeby Jmć Panowie dzierżawcowie, nie oczekując diety królewskiej, sami przez się drogi reperowali, gdyż wkrótce tędy truppy (*die Truppen*—wojska przyp. St. Mor.) Króla Jegomości przechodzić spodziewają się. Co, ażeby wykonanem było, Król Jegomość żadną miarą tego chce.

Królewsko-Pruski Commissarius".

19. Dawna surowość i ostrość rodziców, której ja sam, chociaż już w nieco innej urodzony epoce, w najzupełniejszej rozciągłości doświadczyć z woli Stwórcy musiałem, wzbudzały ślepe ale bierne posłuszeństwo, mało namiętnej albo serdecznej, wiele religijnej czci i miłości, wiele uszanowania. Ufności, a raczej poufania — żadnego.

Wiek znowu późniejszy za drugi ostateczności chwycił się koniec i wszystko gorzej jeszcze poszło, bo ciągłemi biednych i do zbytku powolnych rodziców okupywało się łzami.

Nie myślcie jednak, żeby ta dawna srogość, przy której ledwie nie co słowo o batogach mówiono, rzeczywiście batogami objawiała swoje istnienie! O nie! Byli wprawdzie tyrani ojcowie. Ale to rzadko. To też są i teraz i daleko częściej, choć napozór daleko łagodniejsi niby. Srogość dawna była więcej u nich w mowie i obejściu się, niż w rzeczy. Była więcej hałaśliwa, niż w materjalnym objawiająca się czynie. Ojciec dawny polski był to cesarz chiński, był to król Sjamu, na którego podnieść oczu nie było można, albo na którego sam podnieść oczu nie śmiałeś, boś tego nie wart. Który, kiedy ci rękę do pocałowania wystawił, już cię w swoim rozumieniu osypał takiem dobrodziejstwem moralnem, jakiego wdzięcznością całego życia twojego nie wart byłeś okupić. Który, kiedy tupnął nogą, pchły pozdychały na tobie, nie wiedzieć dlaczego, choćbyś miał lat trzydzieści.

Bywały czasem wprawdzie i ostre ojców fantazje, chodzące anegdotami po świecie i utrzymujące tradycyjnie pomiędzy dziećmi tę patrjarchalną rodziców powagę. To był fortel dyplomatyczny ojców dla zatamowania strachem opowiadanego czyjegoś rygoru możebnej emancypacji synów.

Tak, naprzykład, ojciec Antoniego Prozora, magnata, ozdo-

bionego już podówczas gwiazdą Ś-go Stanisława, zobaczywszy, że syn jego odważył się w jego obecności usiąść za nim w ławce w kościele, za powrotem do domu od tego zaczął, że mu własną ręką całe sto bizunów wyliczył! To całemu światu było wiadome. A nawet sam stary Prozor z tego się chełpił. „Bo ręka ojca, to błogosławieństwo", mówił. Tak, naprzykład, tenże sam ojciec powiedział raz do syna: „Przybierz się waszeć w drogę, pojedziemy do Mohylewa, a weź waść z sobą najokazalsze, jakie masz, suknie i nie zapomnij swojego orderu". Syn rozkaz wypełnił. Pojechali.

W Mohylewskiem mieszkała bardzo bogata i zacna wdowa, pani Niezabytowska. Zajeżdżają do niej. Ojciec synowi, wysiadając dopiero, powiada: „Oświadczam waszeci, że tę zacną białogłowę przeznaczam na dozgonną towarzyszkę waścinego życia. Ale to od podobania się tej białogłowie zależeć będzie, bo ona sama sobą już rządzi. Jak mi się nie podobasz — weźmiesz sto bizunów za powrotem do domu. Popraważe-no waszeć gwiazdę swoją na piersiach, coś się skrzywiła". Słowa ojca, wiadomo było, że są żelazne. Zawsze bywało dotrzymał!

Gosposia wychodzi do swoich gości. Była to sławna, ale to sławna na cały kraj tamtejszy z niedostatku wdzięków i urody osoba. Ale była nadzwyczaj bogata. Antoni Prozor wiedział dobrze, jak są silne w każdym względzie postanowienia ojca. Stary przy spotkaniu, ucałowawszy rączki, zarzuciwszy wyloty i podłożywszy konfederatkę pod pachę, powiada do niej komplement i dodaje: „Mam honor prezentować waćpani dobrodzice syna mojego i polecić łaskawym jej względom". Antoni Prozor, spojrzawszy na babę, widząc, co go czeka w małżeństwie, i wiedząc, co go czeka, kiedy nie podoba się damie, ze swoimi czterdziestu laty i z gwiazdą swoją upadł, jak długi, na podłogę i zemdlał... Musiała być piękna!...

To historyczne. Dla ciekawości waszej dołożę: małżeństwo to dla niezależnych od syna powodów nie doszło do skutku i bizun na kołku spokojnie wisiał...

(„Szlachta-Bracia").

20. Pomiędzy wielu pociesznemi anegdotami, które mnie ta baba, tłumacząc się z przyczyn rozwodu z pierwszym swym

mężem Narbuttem, opowiadała, była następna. Narbuttowie po pobraniu się mieszkali w Wilnie w domu Müllera. Tamże mieszkała i generałowa Łobarzewska, o której na początku tych pamiętników wspomniałem. Asystował jej ciągle, jako *factotum*, krewny jej, niejaki ksiądz Grosmani, który liczne tej naszej litewskiej Aspazji psoty powagą wytartej sutanny swojej przykrywał i który w wiele lat potem, kiedy już Łobarzewska i admirałową Szyszkowową i ministrową oświecenia została, przy jej protekcji umarł prałatem kapituły wileńskiej!

Narbuttowa wkrótce po zjechaniu do Wilna z zadziwieniem postrzegła, że ni stąd ni zowąd na męża jej nieraz szczególne napadają szusy, że wieczorem często dziwaczył się i kłócił się z nią najokropniej po brutalsku i że bez najmniejszego z jej strony powodu robił jej to, co nazywają *une querelle d'allemand*. Że za każdym podobnego rodzaju wybuchem szedł zwykle na godzin dwadzieścia cztery i więcej zupełny rozdział od małżeńskiego łoża. Narbutt w takich razach wpadał z gniewem do swego gabinetu, tarzał i suwał gwałtownie krzesłami i potem, uchodziwszy się nieco, zasiadał do pisania i tam całą noc przepędzał. Bolało to młodą żonę. Ale, widząc w tem prosto dziwaczny charakter męża i jawną względem siebie niesprawiedliwość, chciała mu także swoje pokazać różki — i, płacząc z rozpaczy cicho w poduszkę, długo bardzo udawała, że niewiele dba o te jego fochy. Raz po takiej burzy, kiedy ją leżącą już w łóżku rozdąsany Narbutt opuścił i kiedy się sama czuła do tego, że jakimsiś kaprysem dała powód do kłótni, przyszło jej na myśl, czy nie byłoby lepiej użyć z nim łagodności i dobroci. Czyby nie pójść może do niego i z pokorą męża przeprosić. Wahała się długo. Miłość przemogła. I kiedy nawet po północy słyszała ciągły skrzyp mężowskiego pióra w gabinecie, żal się jej nieboraczce, zrobiło, że z jej powodu ten biedny mąż całą noc pisze! Wstawszy tedy z łóżka cichutko, włożyła meszty, rzuciła na siebie szal i w takim malowniczym stroju skradła się na palcach do drzwi gabinetu. Mąż przy dwóch świecach w szlafroku pisał a pisał, a okrutnie piórem po papierze skrobał. Podbiegła tedy do niego, a ująwszy raptem ztyłu za szyję, nuż go całować ze łzami, wołając: „Przebacz mi, niechże już będzie zgoda, mój najdroższy mężu".

Ale jakież było jej zadziwienie, kiedy, otworzywszy oczy, tak tkliwemi łzami zalane, postrzegła, że całuje... kogo?

Księdza Grosmaniego, brzydkiego, czerwonego i trędowatego księdza, który, ubrany w szlafrok męża, zupełnie tym wypadkiem zbity z tropu i straciwszy kontenans, niemiłosiernie piórem po całym arkuszu wywijał floresy. Cóż to było? Łobarzewska zbałamuciła Narbutta. Ten każdym razem, mając iść na umówioną z nią schadzkę, kłócił się zawsze z żoną umyślnie, żeby miał pretekst opuszczenia jej i wyjścia do gabinetu, gdzie już dobrze ozłocony usłużny Grosmani czekał na niego i, ubrawszy się w szlafrok mężowski, stawał się jego socjuszem, póki sam Narbutt rozkosznych z Łobarzewską używał wczasów.

21. Za czasów Wileńskiego Uniwersytetu było w Wilnie Cesarskie Towarzystwo Lekarskie, założone przez Józefa Franka i dosyć kwitnące, którego i ja miałem zaszczyt być członkiem.

Wszystkich nas podług ustawy obierano przez wota sekretne. Profesorem historji naturalnej po sławnym i zacnym Jundzille był Eichwald, Niemiec, z Petersburga nasłany, ale uczony. Tylko, jak mówią, nudny był pedant, intrygant, a przytem cierpki bardzo i zarozumiały kolega. *Vae victis!*... więc go, chcąc nie chcąc, szanować musiano. Chciało się Eichwaldowi, jak kani dżdżu, zostać członkiem tego uczonego towarzystwa. Prosił więc Pelikana, który był wtedy jego prezydentem i razem wszechwładnym rektorem Uniwersytetu i ledwie przy protekcji Nowosilcowa że nie panem całego Wilna, żeby mógł zostać członkiem Towarzystwa. Pelikan zgodził się ochotnie. Obiecał przedstawić do wotów. I rzeczywiście przedstawił.

Nim się to posiedzenie zaczęło, na którem losy Eichwalda ważone być miały, wobec całej zebranej publiczności, śród której znajdował się i sam kandydat, Pelikan, jako szczery Eichwalda przyjaciel, chodził od krzesła do krzesła, od członka do członka i prosił za nim. Ściskał za ręce. Ale przytem na ucho mówił każdemu: „Ja wiem, że państwo wszyscy go nie lubicie; on sam siebie przekreskuje, ale przynajmniej zróbcie to dla mnie; nie kompromitujcie go bardzo". Członkowie kłaniali się wszechwładnemu Pelikanowi. Eichwald, słów jego nie słysząc, a widząc tylko giesta, rósł, jak na drożdżach.

Otworzono posiedzenie. Rzucają gałki. Najpierwszą rzucił prezydent Towarzystwa, Pelikan. Skończono. Przystępują do liczenia wotów. Odkrywają wazon. Pelikan cały zmieniony na twarzy wyznać musi, że ani jednej białej gałki niema w wazonie! Że wszystkie padły *negative*... On sam spodziewając się, że ktokolwiek z członków da białą, zdradził protegowanego i przyjaciela swojego!

Obadwa wzięli naukę, jaka każdemu z nich należała.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

22. Był to zresztą czas, że się wszyscy, nawet najgłupsi, brali na różne sposoby, żeby zostać członkiem jakiego uczonego towarzystwa albo i wielu nawet, gdyby się to gładko udało. Wilno za Uniwersytetu pływało ciągle w atmosferze uczoności i pedanterji. Główną podnietą do starań o zaszczyt należenia do uczonych towarzystw był przykład sławnych profesorów tej szkoły, którzy z powodu dzieł swoich znajomi całej Europie, ledwie że nie wszystkich całego świata uczonych towarzystw byli członkami. Tytułów uczonych, naprzykład, Józefa Franka na dwóch kartach zwyczajnego druku nie zmieściłbyś na pewno. Chodziło więc każdemu o to i chciało się każdemu, kto czegoś liznął, żeby to mieć, chociażby w homeopatycznych rozmiarach! To przypomina mnie dosyć komiczną anegdotę, lubo tu nie o członkostwo uczone rzecz idzie, ale o tytuł na kopercie, bez którego żaden wiejski obywatel kroku dać u nas nie może i dotąd, chociażby największy przeciw wszelkiego rodzaju arystokracji podnosił hałas. Sędziów, którzy ani jednej pchły nie osądzili na śmierć, zostawując tę operację miłosiernym paluszkom żon swoich, mamy kopami; podkomorzych, którzy tylko nos swój w cudzą wścibiali komorę, mamy drugie tyle; chorążych, którzy co fest i niedziela zaledwo na kościelną chorągiew obrócili oczy, a żadnego rodzaju chorągwi ani w głowie, ani w ręku nieść nie umieli i nieść nie chcieli, — całe nałożyłbyś achtele. Otóż nabroił był kiedyś i grubo w Wilnie urząd miejski tego miasta. Zdzierstwo i krzywdy to z powodu kwaterunków, to z powodu podatków od domów, to z powodu bramnych i rogatkowych poborów i tym podobne żale doszły nakoniec do wyższej władzy. Naznaczono komisję „dla wykrycia nadużyć, przez urząd miejski

popełnionych w Wilnie". Dużo szlachty miało tu swoje domy. Więc pomiędzy członkami, od korony naznaczonymi, wybrany został do tej komisji za deputata od stanu szlacheckiego mąż również wielką nauką jako i zasługami obywatelskiemi znakomity, dotąd ze sławą, krajowi naszemu przynoszoną, żyjący — Michał Baliński.

Przewód interesu objawiał się naturalnie po rusku. Nadużycie po rusku nazywa się *„złoupotreblenje"*. Poczciwe jakieś obywatelisko, pisząc do Balińskiego w tym interesie i nie mogąc, jak zwykle, opuścić jego honoru i tytułu, napisało po polsku na kopercie tak: „Jaśnie Wielmożnemu Panu Michałowi Balińskiemu, członkowi złego użycia!"

Pobratymczy temu albo, jak mówią, *pendant* do tego był następujący przypadek.

Biskup Strojnowski, mając jedno czy z własnych, czy z beneficjalnych dóbr wypuścić w dzierżawę, musiał się ciągle widywać z ludźmi, którzy się o tę dobijali arendę. Raz powiadają mu słudzy, że jakiś jegomość dla tego interesu czeka w przedpokoju. Biskup, chociaż miał gości u siebie, kazał prosić natychmiast. Szlachcic wszedł i opowiedział swoje.

— „Skąd wpan rodem jesteś?"

— „Ze Żmudzi, jwpanie!"

— „Jak się pan nazywasz?"

— „Hm! hm!... nie śmiem jwpanu powiedzieć", odrzekł szlachcic, uśmiechając się gapiowatym śmiechem.

— „Jakto?... czemuż?"...

— „Wstyd trochę, jwpanie, bo to kobiece narzędzie"...

Biskup aż o dwa kroki od szlachcica odskoczył. Szlachcic kończył, mówiąc: „Nazywam się Jan Motowidło, do usług jwpana"...

23. O tym Bécu, profesorze medycyny i pierwszym lekarzu, co w samym początku wieku tego wprowadził do Wilna wakcynę, przypominam sobie dosyć zabawną kalamburową anegdotkę.

W 1812 roku, kiedy napłynęli do Wilna Francuzi, tak mało było pomieszczenia dla oficerów, że przy tysiącznych nadużyciach, przez nich robionych, wciskali się oni siłą i do takich

mieszkań, które sama władza wojskowa francuska od kwaterunku była uwolniła. Do takich właśnie wyjątków należały mieszkania profesorów Uniwersytetu. Jakiś pułkownik francuski wdarł się gwałtem do mieszkania profesora Bécu w czasie jego nieobecności i rozlokował się tam bez żadnej ceremonji. Bécu nadchodzi i, widząc to, rozgniewany powiada do pułkownika: „*Monsieur, je vous somme de décamper à l' instant. Ce logement est à moi. Je suis le professeur Bécu, membre de l' université*".

Pułkownik, rozwalony na kanapie, wręcz bez najmniejszego namysłu z najzimniejszą krwią odpowiedział mu tak:

„*Ah! Ah! Monsieur, j'en suis ravi! Vous êtes monsieur le professeur Bécu! Eh bien! Monsieur! je l' honneur de vous prevénir de ma part, que fussiez-vous le professeur A-cul, C-cul, D-cul, F-cul, fussiez-vous même le cul de tout l' alphabet, je n'en ferai rien!*" I został tam na kwaterze.

24. Mówiąc o sprawach, grzechem byłoby pominąć jedną z nich, choćby dlatego, że — niepospolita, że bardzo osobliwością trąci. Sprawa ta dopiero przed siedmiu czy ośmiu laty ukończyła się; zaczęła się jednak za czasów pierwszej mojej młodości i pobytu w Wilnie. Treść jej, smak, miazga — takie.

Niejaki Piotr Wasilewski, dzisiaj dorobkowy dziedzic wielu donośnych folwarków i współpowietnik mój w trockim powiecie, do którego przez nowe rozgraniczenie gubernji przyłączony niedawno z moim majątkiem zostałem, niejaki, mówię, Wasilewski sam wszystkiemi natężonemi siłami pracował, wszystkich starań dokładał i cztery tysiące nawet rubli srebrem na to w Petersburgu wydał, żeby oficjalnie, dekretem najwyższej instancji to jest wyrokiem, albo, jak mówią, ukazem Senatu za złodzieja uznany i publicznie ogłoszony został!! I dokazał swego. Idę *de plagis*, dam konia z rządem, jeśli najbieglejszy jurysta w całej Europie trafi na trop, jak ten osobliwszy wytłumaczyć fenomem. A rzecz z siebie najprostsza.

Od początku bieżącego wieku Troki, tak dawne litewskie miasto, jakąś mistyczną może za zdrady Witołda dotknięte klątwą, słynęły, jako miejsce największej obrzydliwości, jako jedyne i przodkujące w całej Litwie *emunctorium*, w którem *fecessa* sprawiedliwości najhaniebniejszym zmysły raziły odo-

rem. Jeszcze w 1810 r. Antoni Gorecki, opisując Marcinowi Zaleskiemu grzechy i wrzody naszego kraju, powiedział:

„I Solon, sławny mądrych praw ustawą,
Niechby dziś do Trok przyszedł z jaką sprawą!"

Jaśniały tu wprawdzie zacne, poczciwe i możne familje — Romerów, De-Raësów, wojskich Zaleskich, Kleczkowskich, Godaczewskich, Żylińskich, wszelkiego poszanowania godne, stare trockiego lasu jesiony i dęby, ale zrażone ogólną powiatu niecnotą uciekały od gniazda swojego i wolały w Wilnie w gubernji piastować urzędy. Długą listę niecnych urzędników trockich przed kilku laty zamknęli sobą na nasze szczęście w sądownictwie — prezydent Aleksander Tur, w policji ziemskiej — niejaki Haegerstaedt czy Egerstedt, co wszystkich przyjaciół swoich, trocczan, w 1831 roku z przebranymi za kozaków Żydami zrabował, a potem wspólników swoich na Syberję wysłał, sam czystym, jak złoto, zostawszy! Kupili obadwa ci panowie teraz pod nosem wszystkich bez żadnej żeny i wstydu piękne majątki i spokojnie w nich siedzą. Ale imiona ich długo pamiętne będą! Jeszcze nawet za Tura Izba Sądowa trocka była czysta *spelunca latronum*. Prezydent i sędziowie grali w karty na sądowym stole. Publiczność cała paliła tytoń i bawiła się z Żydówkami i dziewczętami, *ad hoc* przybyłemi. Każdy, kto chciał, kazał sobie tutaj przynosić śniadania, wódki i inne trunki! Nie zawierzy nikt temu, kto tego nie widział. A jak jedna procederująca strona dała dziesięć rubli, a druga dała dziesięć i groszy dwadzieścia, to te dwadzieścia groszy przeważały szalę Temidy i dekret na tę już stronę zapadał. Strony już się tylko o to jedno starały, jak mogły, żeby co do grosza wiedzieć istotną cyfrę danego od przeciwnika kubana. Ojciec mój, najniesłuszniej kiedyś pozwany przez młodą, hożą, ale pieniać się lubiącą wdowę, najzupełniej był już sobie w tym duchu ubezpieczył wygraną. Pewny, że jutro sprawę wygra, spał sobie smaczno. Nie przewidział tego nieborak, że strona przeciwna, na rozpaczliwe rzucając się fortele, gwałtem się nocą do łoża prezydenta wciśnie, niosąc mu niby w ofierze kapszuk od tytoniu! Z wielkiem tedy zadziwieniem nazajutrz

sprawę z kretesem przegrał i aż w Wilnie dopiero w Izbie Cywilnej rzecz swoją poprawił.

W liczbie takich urzędników był i pan Wasilewski, egzaktorem, kasjerem powiatowym, czy, jak teraz mówią, kaznaczejem trockim. Brał on od nieświadomych ruskiego języka i wówczas Bogu duszę winnych wszystkich trockich obywateli najmniej półtora raza tyle podatku, ile rzeczywiście wypadało, i tę trzecią część do własnej wnosił kieszeni. Trwało to lat kilkanaście. Zbogacił się grubo tym manewrem, zaczął kupować majątki, obudził zazdrość. Wzięto się do niego i wszystko odkryto. Pod sąd oddany, w więzieniu trzymany, na poręke wzięty, żył spokojnie lat kilkanaście, nim do sprawy przyszło. Tymczasem najgorzej skrzywdzonych byle czem zagodził. Sprawa, idąc żółwim krokiem, szła dalej. W Izbie Kryminalnej wileńskiej sędziowie rozróżnili się w zdaniach pod względem orzeczenia przestępstwa Wasilewskiego. Jedni nazywali to „przedajnością", drudzy poprostu „złodziejstwem". Lubo kary za jedno i drugie mało się od siebie różnią.

Z tą różnicą zdań sprawa ta, jadąc na raku, przeszła do Senatu i tam wisiała. Aż nakoniec szczęśliwie nam panujący monarcha, żeniąc syna swego, następcę tronu, wydał z tej okoliczności dla ludu swojego manifest. Takowe manifesta zwykle zawierają w sobie ulgi i łaski. W tym było uwolnienie z więzień wszystkich złodziejów i rozkaz zaniechania wytoczonych im procederów. Nawiasem mówiąc, cały kraj zrazu tą łaską wielce się zatrwożył. Taka masa złodziejów raptem wypuszczona na wolność. Senat pokazał, żeśmy krótko i krzywo widzieli. Raz dlatego, że *de facto* sto razy więcej i gorszych złodziejów chodzi wolno po świecie, drugi raz dlatego, że wypuszczeni grzesznicy z miejskich, gdzie się utrzymują, więzień, miani na oku policji, natychmiast na nowo sztuki swoje zacząwszy, jeśli nie tego samego wieczora, to dosłownie tejże nocy na nowo schwytani i osadzeni w turmach zostali. Tak, że to tylko przepadło, co komu przez dwadzieścia cztery godzin potrafili ukraść. Owóż Wasilewskiemu, ponieważ o przedajności w manifeście mowy żadnej nie było, a stąd, gdyby go za przedajnego uznano, karany być by musiał, szło o to, żeby dobrodziejstwem manifestu pokryć się, sprawę umorzyć i od wszelkiej

odpowiedzialności nadal wolnym pozostać. To tylko w takim razie udać się mogło, gdyby czyn jego za złodziejstwo został uznany. Dopiął swojego przy silnej forsie. Okrzyczano go urzędowo złodziejem. Jest teraz obywatelem, jak i my wszyscy, ale może trochę bardziej od nas dostatnim. Owszem, nie znając go osobiście, słyszałem na własne uszy na ostatnich sejmikach, jak o cnocie i poczciwości urzędników wymownie rozprawiał.

Sprawiedliwość każe tu dodać, że to, com o dawniejszych Trokach powiedział, do teraźniejszych stosować się nie może. Bóg przenajświętszą łaską Swoją to sprawił, że, chociaż i tu, jak wszędzie, nie może, jednakże Troki od lat kilku, jakkolwiek na oko z nędzną porównać się nie dadzą wioszczyną, pod względem zalet urzędników pierwszą teraz miejsce niezawodnie w całej gubernji trzymają. A że i jam się do tego dzieła wyborem głównego kandydata, bo prezydenta sądu, czynnie przyłożył, choć sam spraw nie mam, codzień Bogu za innych dziękuję.

Co się zaś tyczy zbijania artykułów statutu i konstytucji, cytowanemi przez drugą stronę ukazami, przypominam sobie z tego powodu, że Puciłowski, pierwszy z talentu stary adwokat wileński, kiedy raz w owym czasie strona przeciwna, do muru dowodami jego, z prawa wziętemi przyparta, ukazem, inaczej zupełnie brzmiącym zasłonić się chciała, rozdrażniony w niebacznym zapędzie zapomniał się do tego stopnia, że powiedział na publicznej sesji: „A to prawo takie chyba w Algierze pisano!" Algier wtedy jeszcze do dejów należał. Doszło to do wiadomości władzy i Puciłowski za to na całe życie od sprawowania obowiązków publicznego obrońcy odsądzony został.

25. Wojciech Pusłowski, marszałek słonimski, i rozumem i majątkiem, którego się sam w największej części głową i pracą swoją dorobił, nad innymi górował i za to wielu miał nieprzyjaciół. A że jemu samemu prawdziwie nic zarzucić nie można było, zawiść puściła się prześladować imię jego w prałacie, którego czy słusznie, czy niesłusznie oskarżono o złupienie funduszów i skarbca kartuzów. Między innemi zarzutami, jakie prałatowi w tej rzeczy robiono, było i to, że ogromny lany krzyż srebrny jakoby sobie przywłaszczył i srebro stołowe z niego porobić kazał. Raz na sejmikach, kiedy Wojciech Pusłow-

ski szedł do marszałkostwa, prałat w jego imieniu wydawał dla szlachty obiad. Zasiedli wszyscy do stołu. Ogromna srebrna waza stała na stole. Admirowano jej fason i robotę. Ze słowa do słowa przyszło skądsiś komu zapytać, jak waza po łacinie. Różni różnie mówili. Aż tam z szarego końca, podniosłszy się nieco, jakiś wyga szlachcic, nieprzyjazny widać Pusłowskim, śmiałym głosem zawołał: „Waza po łacinie? — *Crux Cartusianorum!*"

Kiedy jeszcze Pusłowski nie był magnatem, zdarzyło się, iż raz obiadował z wielu innymi również, jak i on, młodymi podówczas ludźmi u Adama Littawora Chreptowicza, z którym ojciec mój do śmierci w najlepszych żył stosunkach. Chreptowicz tak jak i ojciec jego, podkanclerzy, całe życie był anglomanem. Mieszkając podówczas w Wilnie, trzymał kilkanaście rasowych koni na stajni. Po obiedzie zaproponował gościom przejażdżkę wierzchem na jego koniach. Zgodzili się inni. Pusłowski, proszony o to także, zgodził się jechać, ale, tłumacząc się niezdrowiem i niewielką siłą, zgodził się pod warunkiem, że mu jego kobyłkę z domu przyprowadzić każą, bo na tej tylko wierzchem jeździć może. Kiedy już wyjechano, zaczęła sobie młodzież drwić z kobyły Pusłowskiego, nie najlepiej przy Chreptowicza koniach wyglądającej. Cierpiał długo i milczał. Ale, kiedy się dalej quolibety sypały, z największą flegmą powiedział: „Prawda, że moja kobyłka niebardzo piękna i trochę chuda, ale — moja własna". Tem słowem, jakby na klucz, zamknął odrazu swoim śmieszkom gęby.

Ta naiwna, a pełna dowcipnej zemsty i taktu odpowiedź przypomina mnie wiele podobnychże odpowiedzi sławnego poety Karpińskiego. Że o innych ledwie nie wszyscy wiedzą, powiem o tej, która zda mi się nikomu wiadomą nie jest, a świadczy o anielskiej duszy tego człowieka. Ojciec mój znał się z nim dobrze i, będąc raz na jakimsiś dużym wieczorze czy balu u Prozorów, siedział obok niego i rozmawiał. Na środku sali tańczono. Naokoło tańczących stały, jak zwykle, tłumy młodzieży. Większość chodziła wtedy jeszcze po polsku. Karpiński już po francusku w trzewikach i pończochach się nosił. Przed ojcem moim i Karpińskim, który miał wówczas na sobie białe pończochy, czarne racymorowe krótkie spodnie i frak granatowy z manszestry,

stał jakiś młody, czupurny, zaburmaszysty, kręcący się ustawicznie, a po polsku ubrany człowiek. Raptem, nie zważając, czy kto jest za nim, chrząknął, odwrócił się i nie chcąc, plunął w same oczy Karpińskiemu. A potem się znowu do tancerzy odwrócił. Karpiński, nie rzekłszy ani słowa, dobył chustki z kieszeni i twarz ocierać zaczął. Ojciec mój, gorączka i żyża, chwyciwszy się za karabelę, zawołał: „Ach, mości dobrodzieju, czyż waćpan dobrodziej takiemu błaznu to grubjaństwo przebaczysz?"

Karpiński na to z największą łagodnością i uśmiechając się odpowiedział: „Przebacz! — lepiej w oczy, jak za oczy!"...

b) Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, który za Stanisława Augusta ciągle pod jego ręką kanclerza litewskiego obowiązki sprawował i zacnemu Littaworów imieniowi sobą samym coraz nowego dodawał zaszczytu; mąż wielkiej cnoty, rozumu, zdolności, nauki, wiadomo, jak w Szczorsach i innych dobrach swoich z włościanami i z urządzeniem gospodarstwa rolnego postąpił. Ponieważ i sam się do angielszczyzny zaprawił i syna swego, Adama, do zamiłowania angielskich zwyczajów nakłonił, i syn, i ojciec jedynym jeszcze podówczas w całej Litwie przykładem za anglomanów i Niemców liczeni byli.

Że się wiecznie po kraju naszym pełno głodnej, szalbierskiej, szukającej chleba przez okpisz, obcej włóczyło się hałastry, a wieść po upadku podskarbiego Tyzenhausa o protekcji przez Chreptowicza, cudzoziemcom dawanej, po całym rozbiegło się kraju, siaki taki szołdra podróże swoje po Litwie od Szczors zwykle zaczynał. Syn Joachima, Adam, ścisłą z ojcem moim aż do śmierci przyjaźnią złączony, rad był często widzieć ojca mojego w Szczorsach. Ten wzajemnie, szczerze go kochając, często tam zajeżdżał.

Raz tedy w obecności ojca mojego powiadają kanclerzycowi, że przyjechał jakiś Niemiec, umiejący doskonale po polsku, i rekomenduje się do niego na służbę. „A prosić go tutaj", rzekł Littaworów potomek. Niemiec wchodzi. Był to ogromny, pleczysty mężczyzna. Krew z mlekiem ledwie że mu przez wszystkie nie tryskała pory.

— „Jak się waćpan nazywasz?"

— „Carl, Willibald, Heinrich Haberfrost".

— „Uniżony sługa waszmości", rzecze kanclerzyc: „Czego waćpan chcesz ode mnie?" — „Służby, Excellenz".

— „Czyś waćpan już sługiwał, gdzie w naszym kraju?"

— „W Nieświeżu, w Slucku y u pan Nezabytowski".

— „Dobrze. Do czegoż waćpan jesteś usposobiony?"

— „Przepraszam, Excellenz, nie rozumi"...

— „Jaki fach waćpana?" — „Wszystki — co jasno pan każe".

— „Ale co przecie? — Czy waćpan mechanik?" — „Ni".

— „Może gorzelnik?" — „Ni"...

— „Rachmistrz?" — „Ni"...

— „Ekonom?" — „Ni"...

— „A cóż u licha?" — rzecze znudzony kanclerzyc: — „że trafić na talent waćpana nie mogę!" — A że się wielce w pięknych koniach kochał i miał je rasowe, prosto z Anglji sprowadzone, rzecze tedy: „Ach, to waćpan pewno berajter?"

— „Ni, Excelenz!... Ale na kalamaszka — ja perfekt kawalier"... To dać może ideę jacy to bezwstydni ludzie i przychodzili do nas z zagranicy i przyjmowani po domach naszych bywali.

(„Plotki, Czterdzieści i Oko").

26. W tej epoce wielkiej świetności Wilna, o której nieraz już wspomniałem, choć sam jej świadkiem nie byłem, bo to był czas niemowlęctwa mojego, prócz ciągłych redut, maskarad, balów kostjumowych i tym podobnych wystawnych zabaw bywały i amatorskie teatry, to jest widowiska sceniczne, grane przez amatorów.

Pani Choiseulowa, z domu Potocka, córka Szczęsnego, która potem za generała Bachmietjewa wyszła, prym tu brała wszędzie z piękności, urodzenia, dostatków i efronterji. Dziwnym w kokietkach przykładem, bałamucąc roje młodzieży, sama kochała się serdecznie, szczerze, zapamiętale, do głupstwa, do mdłości w Sewerynie hrabi Rzewuskim, już sześćdziesięcioletnim podówczas starcu. Oto jedna z tej okoliczności anegdotka, śliska i tłusta wprawdzie, *grivoise*, jak mówią Francuzi, ale nie pozbawiona dowcipu.

Dawano Fedrę. Udział w niej miał sam kwiat towarzystwa

wileńskiego. Fedrę grała Choiseulowa, Hippolita grał dziwnie pięknej twarzy i rzadkiego układu młody natenczas człowiek, Michał Römer, Teramenesem był Seweryn Rzewuski, Tezeuszem sam Choiseul. Śród sztuki właśnie przy furorach Tezeusza padła na scenę, nie wiedzieć skąd, karta z temi dwoma wierszami:

„Tezeuszu, na syna nie bądź tak złej woli!
„Nie Hippolit, — Teramen twoją Fedrę goli"...

27. *a)* Książę Dołgoruki, będąc po rewolucji 1831 roku generałem-gubernatorem Wilna, starał się tam zaprowadzić i zaszczepić różne narodowe zwyczaje rosyjskie, a między innemi i tak nazwane w czasie zapust i Wielkiejnocy „*kaczele*" albo po naszemu „*hece*". Kazał tedy na Antokolu wystawić kosztem miasta hojdawki, maszty *(mât de cocagne)*, kołyski, wierciołki, karuzele i inne w stolicach Rosji uświęcone zabawy. Jakoś to się nie brało, nie przypadło do gustu wileńskich mieszkańców, którzy woleli w ostatnim tygodniu postu tłumnie odwiedzać groby. Żeby więc ich zachęcić, sam książę, puściwszy na kilka dni pierwiej słuch o tem, z czołem dam naszych, ciągle mu nadskakujących, otworzył jednego roku te zabawy i sam się kołysał i hojdał, choć był grubszy od pięciu bernardynów w jedno sklejonych. Młody jakiś malarz, patrząc zboku na te farsy i widząc w gronie tych dam arcybrzydką, arcygrubą, arcytłustą i razem arcypełną pretensji do wdzięków, zbytkownej elegancji i dumy osobę, panią Ł......, z domu Morykoniankę, zrobił karykaturę, wyobrażającą tę panią w momencie, kiedy śród tych kaczeli lezie niby na maszt hecowy w obliczu mnóstwa ciekawych widzów. Trudność ruchów w tak tłustej kobiecie podjęła jej suknie o tyle, o ile tylko suknia kobiety podjęta być może. Twarz wtył od masztu do publiczności obrócona najzupełniej podobna i ogromne rozmiary okrągłości ze strony przeciwnej zrobiły tę karykaturę wielce interesującą i ponętną. Dużo ludzi ją widziało, cieszyło się, śmiało i plotka o tem po całem się mieście rozeszła. Usłużni przyjaciele dowieźli ją i do Kojran do Ł....., nielubianej a nawet o sekretne delacje powszechnie podejrzanej pani. Ta ze skargą i łzami rzuciła się do przyjaciela swojego, Dołgorukiego. „Otóż to nagroda naszego

poświęcenia się księciu! Te błazny, te łotry malują nas i w najśmieszniejszych przedstawiają pozach!" Dołgoruki już i bez tego na biedę był na ten raz w czarnym humorze. Kucharz jego przysłał mu perjodycznie co godzina dla niego pieczone paszteciki i niezupełnie gorące i z ogromnym zakalcem! Rozchodził się tedy o karykaturę, jak hiena. Natychmiast zbójcę, zuchwałego malarza wraz z rysunkiem policmajstrowi stawić przed sobą kazał. W kwadrans malarz stanął ze spuszczonym na kwintę nosem i z trąbką papieru w prawym ręku. Dołgoruki łajał go i beształ, nitki poczciwej na nim nie zostawił, sromocił, co się zmieściło. A potem wyrwał mu z rąk zwinięty w trąbkę rysunek i spojrzał w niego. Ale, jak tylko rzucił tam okiem, i zakalca i gniewu zapomniał, pojechał ze śmiechu, że mu nie było uchodu; ucałował malarza, na obiad go zaprosił i losem jego mimo całej przyjaźni dla Ł..... starannie się zajął.

Inną podobną szatańską karykaturę, której nie dośledzono autora, zrobiono na pełniącego obowiązki biskupa wileńskiego, Cywińskiego. Ks. arcybiskup litewski z unitów prawosławny, Józef Siemaszko odprawia *pontificaliter* przodem rozumie się, do ołtarza służbę Bożą swojego obrządku, a nasz katolicki biskup wileński, Cywiński, także *pontificaliter* ubrany ze wszelkiemi oznakami najwyższej czci i poszanowania, podniósłszy ręce do góry, klęcząc, przykłada usta swoje do obnażonego arcybiskupiego *revers de la médaille.* Treść i sens tego rysunku nie potrzebują komentarza.

b) Po uśmierzeniu powstania na Litwie w 1831 r. cesarz Mikołaj przy innych w tym kraju reformach zmienił i sądownictwo nasze. Skasował sądy grodzkie. Sprawy, do ich atrybucji należące, oddał sądom ziemskim, łącząc w jedno sprawy cywilne i karne. Te zaś znowu sądy sądami powiatowemi nazywać kazał w powiatach. Sądami ziemskiemi policję wiejską czyli ziemską przezwano. To postanowienie sprowadziło do sądów powiatowych nawał interesów i spraw albo kryminalnych, albo takich, które przez indagację czyli śledztwa, a nie przez głosy adwokatów rozstrzygane być musiały. Każdy łatwo pojmie, jak podobna zmiana wszystko na lat kilka w sądownictwach zawieruszyć musiała. Rząd tymczasem, spełniając wolę monarchy, pilnował szybkiego, o ile być może, biegu spraw w sądach powiatowych,

to jest, należytego co do ruchu przynajmniej wymiaru sprawiedliwości. Obowiązek ten włożony jest pomiędzy innemi na gubernatorów i generał-gubernatorów. I to jest powodem, że oni raz na rok zwykle wyjeżdżają na tę zabawkę, którą rewizją powiatów albo gubernji nazywają powszechnie.

Wiadomo, że dla uniknięcia ciężkiego prześladowania tak nazwani raskolnicy czyli rozmaitego rodzaju sekciarze i heretycy rosyjscy od kilkuset już lat masami przenosili się do Polski i Litwy, nie przewidując tego, że się niedługo potem i Polska i Litwa do Rosji przenieść będzie musiała. Ludzi tych znają tu powszechnie pod nazwiskiem burłaków. W powiecie kowieńskim są całe wsie pełne tych nieszczęsnych burłaków, z rozboju i złodziejstwa sławne. Burłacy bowiem, lud skądinąd i przemyślny i zręczny, od prapradziadów swoich są ciągle wierutni złodzieje i zbójcy. A gdzie tylko zamieszkali, tam już spraw o kradzieże, zabójstwa i inne rozmaite zbrodnie tysiące zawsze do sądów przychodzi. Są oni prawdziwą zarazą w tym kraju! Zarznąć człowieka, jakbyś mu dał zjeść kawałek chleba z masłem!

Generał-gubernatorem był wtedy książę Dołgoruki. Sędzią powiatowym, czyli prezydentem sądu powiatowego był Hulewicz; dobra dusza, wielce zabawny z układu swojego człowiek, a po rusku ani w ząb nie umiejący. Kiedy mówił tym językiem, mówił z chłopska po rusacku.

W ciągu rewizji swojej w Kownie przyszedł Dołgoruki zkolei do sądu powiatowego, wlokąc za sobą tłumy urzędników dla większej powagi.

— „Czy dużo ma pan spraw niezałatwionych?" — zapytał Hulewicza.

Hulewicz odpowiada: „Cywilnych spraw niewiele, j. o. panie! Kryminalnych zaś dość dużo. Gdyby nie ci poganie, nie ci przeklęci ruscy — złodzieje, oszusty, zbójcy — wszystko byłoby już załatwione!"

— „Co-o-o-o?" zawołał zczerwieniały i zadziwiony Dołgoruki, że ktoś mu śmie w oczy taką rzecz mówić...

I już aresztować i pod sąd oddać biednego Hulewicza chciał, kiedy otaczający go urzędnicy wytłumaczyli mu, że Hulewicz to wszystko bez złej i wstecznej myśli o burłakach mówi.

(*„Płotki. Czterdzieści i Oko"*).

28. Wiadomo, że konstytucje nasze naznaczyły sejmiki dla województwa smoleńskiego w Wilnie, dla czernichowskiego w Włodzimierzu, jako dla województw, w 1686 roku do Rosji odpadłych. Spodziewano się je kiedykolwiek na nowo odebrać. Szlachta, która tam dobra swoje straciła, nie chcąc pod panowaniem carów pozostać, przeniósłszy się w te strony, *exulantami* powszechnie nazywaną była. W Olicie, powiat starodubowski, całą połowę województwa smoleńskiego kiedyś stanowiący, i sądy swoje i sejmiki egzulanckie odbywał. Długo jeszcze po zaborze kraju jeździli do akt w Olicie różni smoleńszczanie, a i nasi Litwini niejeden stąd potrzebny i tutaj przyznany wyjęli dokument.

Sejmiki te nieraz bywały bardzo zażarte i żwawe. Chociaż bowiem tytuły powiatowych urzędów mniej więcej drążkowemi były, wybierano tu jednak kandydatów i na posłów sejmikowych i na deputatów na Trybunał Litewski. Młodzi starali się na początek o jakikolwiek tutejszy urząd dla samej koperty. Pamiętam, że jeden z krewnych moich, pan oboźny P......, przedziwny staruszek, siwy, jak gołąb, z tłustym na spinkę od koszuli spadającym podbródkiem i gęstym z węgierska, jak mówiono, noszący się wąsem, opowiadał mnie, dziecku, następującą swoją przygodę, która go właśnie w Olicie spotkała. Pan oboźny bawił sobie podówczas dla interesów to w ziemi nurskiej, to w Łomży, kiedy go wezwał umyślny, od Sapiehów przysłany, żeby wszystko rzucił i natychmiast pod kpem do Olity jechał. Że drogi były na ten raz najgorsze i wielkie wszędzie błota i wody, oboźny konno wyruszył, wziąwszy tylko z sobą masztalerza i małego do usług pokojowych pachołka, którego pajukiem nazywał. Znalazł w Olicie gwar i szum wielki. Szło o deputatów. Partje z sobą zawzięcie się ścierały. Szlachta na szlachtę ostrzyła szable. Mnóstwo panów, obcych na oko sejmikom, zjechało się tutaj dla forsy. Buttlerowie z Sapiehami trzymali, Pacowie, Zenowicze, Ładzcy w jedną szli rękę. Brzostowscy nic w sobie nie postanowili jeszcze, to na tę, to na ową skłaniając się stronę. Sapiehowie pana oboźnego koniecznie deputatem mieć chcieli.

Jak się to rozeszło, nim jeszcze oboźny przyjechał, już go u Paców roznieść na szablach postanowiono. Nierad był oboźny własnej nadstawiać skóry, ile że się wtedy jak na licho kochał

i narzeczonej swojej junackich po twarzy nie chciał przywieźć kresów! Więc, stanąwszy w Olicie, krył się nieborak do czasu. A to tem ochotniej, że i drogą był wielce zmęczony i że tę radę od samych Sapiehów otrzymał, a więc honor jego szlacheckiego klejnotu od wszelkich glos tem samem wolnym na zawsze zostawał i sława osobistej jego odwagi na szwank narażona nie była. Tymczasem szły swoim trybem sejmikowe intrygi, pojono wszędzie szlachtę nazabój. Strzelano wszędzie na wiwaty, do celu. Strzelano, chociaż się wszyscy z tych strzałów gorszyli, bo naczelnicy partyj od kilku tygodni najpokorniej szlachtę prosili, żeby się tylko z chłodną bronią na sejmik stawiła. Ale, jak pan Ignacy Wirbiłło, chorąży, o kroków dwadzieścia z tureckiego pistoletu czarnemu i białemu kogutowi raz po raz kulą grzebień, jak nożem, obciął, a pan Mikołaj Dymsza, stanowniczy, korek z pod pantofla idącej ulicą Żydówki także kulą wysadził, już szlachtę od użycia broni palnej żadną żywą miarą wstrzymać nie było można. Im więcej zaś było podobieństwa do prawdy, że nasz oboźny będzie wybrany, tem więcej na niego pacowska huczała i jurzyła się szlachta! Po kilku dniach oboźny, nie mogąc już dłużej wytrzymać w swojej niewoli, jak się trochę ściemniło, wymknął się na świeże powietrze i poszedł sobie ulicą. Huk, szum, wiwaty, hałas, tartas, muzyka zatrzymały, na nieszczęście, jego ciekawość przed mieszkaniem Paców. Był to właśnie sam koniec biesiady! Wybiegli raptem z kagańcami na ulicę pachołki i zrobiło się światło, że choć szpilki zbieraj. Rozchodząca się hurmem pijana szlachta runęła nagle po schodach. Oboźny usłyszał, jak zawzięte na niego ze wszystkich ust miotano pogróżki! Źle! Jak go tutaj, myśli sobie, zastaną, porąbią na sztuki! Nie da sobie rady. *Nec Hercules contra plures!* Co tu robić? Uciec już nie można!

Oboźny rzuca się w bramę tego samego domu i wrotami siebie zasłania. Szlachta tłokiem waląca, zawsze na nieobecnego, jak mniemała, oboźnego odgrażając się zawzięcie, a pełna miodu i wina, czuła po długiej biesiadzie potrzebę lekkiego wypróżnienia się i ulżenia sobie. Gdzieżto zrobić dogodniej, jeżeli nie w bramie? Każdy więc z nich robił to pod bramą, każdy lał, co mógł, na oboźnego, który się był, jak zając, przyczaił. Wszystko na świecie musi mieć swój koniec. Skończyła się i powódź!...

Wyszedł stamtąd oboźny, żywy wprawdzie, ale tak mokry, jakby się w Niemnie wykąpał! Oboźny zawsze, śmiejąc się, opowiadał ten swój smutny przypadek, ale też potem i srogiego zawsze nastawiał marsa, żałując do samej śmierci pięknego ówczesnego swojego kontusza. Znalazły się bowiem podówczas w Polsce cudzoziemskie przedziwne sukna, dwuliczne, to jest z oddzielnym na każdej stronie kolorem. Tak, że jeden kontusz, sobie właściwym kunsztem krawieckim uszyty, albo taśmą lub wąskim galonem po szwach obramowany, dwa z siebie czynił kontusze: i dzisiaj zielonym, jutro, jakeś go na drugą stronę przewrócił, żółtym, naprzykład, bywał. Owóż oboźny, lekko wybierając się w drogę, wziął z sobą tylko takie dwa kontusze, które miały mu wystarczyć na cztery zmiany. I oto, jak wrócił do siebie i odzież wysuszył, tak się w niej i papuzie i kanarkowe działaniem partji przeciwnej popsuły kolory, że ją natychmiast na tatarską kurtkę dla pajuka swojego przerobić musiał. A tymczasem rzecz całą i smutek swój cały długo bardzo w głębokiej trzymał tajemnicy, żeby go, Boże broń, na zawsze na języki nie wzięli.

Ten pan oboźny, żeby już raz na zawsze o nim rzecz skończyć, mnie, dziecko podówczas, wielce zadziwiał najosobliwszym talentem, który jednakże, jak on zapewnial, wielu starych posiadało dawniej Polaków. Oboźny nie mógł cierpieć balwierza. A że się do śmierci ze łbem podgolonym nosił, sam sobie tedy od lat pięćdziesięciu golił potylicę! Staruszek, śmiejąc się, zaręczał nas ciągle, że od lat czterdziestu pięciu nie pamiętał, żeby się kiedykolwiek zarżnął i zakrwawił.

(„Z każdej chatki po chłopku. Od Merecza do Kowna").

29. Granowski, magnat, bodaj sekretarz W. Ks. Litewskiego, teść także magnata, Aleksandra Pocieja, oboźnego litewskiego, czy sam siebie, jak wielu innych, grafem mianować pod koniec przeszłego wieku począł, czy też może usłużni, a już wszystko na krój francuski szyjący pochlebcy tym tytułem chrzcić go zaczęli. Tego rodzaju odznaczenie się nie było wcale do smaku panu S......, szambelanowi, człowiekowi wielce jadowitego dowcipu, który, ścisłym będąc przyjacielem Pocieja, z Granowskim się nie lubił. Raz tedy na obiedzie u pana S......,

na którym i Granowski się znajdował, gospodarz, chcąc go ukłuć, ustawicznie mu białe wino *de Graves* podstawiał i chociaż wybornie po francusku mówił, ciągle mu powiadał: „Proszę pana na to wino; to jest *vin de Graf...ff*". Granowski zniósł to parę razy cierpliwie. Ale kiedy go mimo to pan S...... drażnić tymże samym nie przestawał konceptem, skosztowawszy wina, zmarszcząwszy się umyślnie najokropniej i odsuwając ku gospodarzowi kieliszek, rzekł: „Nie! wypij to waszmość sam, bo to jest *vin de huncwot!*".

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

30. Kiedy jeszcze, lubo za rosyjskiego rządu, wszystka szlachta należała do sejmików, szlachcic pewien jeszcze kontuszowy, przybywszy na te wybory do Wilna, które się zwykle odbywały w wielkiej ratuszowej sali, przechadzał się sobie po placu. Zamyślił się, chrząknął, kichnął. Za chustkę od nosa, — a chustki niema! Źle! Co robić? Pobiegł więc prędko do domu, a stał tuż na Rudnickiej ulicy, wziął inną chustkę, zaśpiewał *requiem* skradzionej i dalej przechadzać się znowu. Wypadło zażyć tabaczki. Szlachcic znowu się bierze do chustki. Znowu niema! znowu ukradli!

„Ehe, dobrodzieju", myśli sobie nasz sejmikowicz: „trzebaż tu, mospanie, zadrwić z tego łotra złodzieja".

Wraca więc do siebie, przyszywa koniec wziętej na nowo chustki do kieszeni i znowu na plac wychodzi. Szlachcic już się ma teraz na wielkiej baczności. Jakoż i dwóch razy tam i zpowrotem nie przeszedł, kiedy czuje, że mu ktoś chustkę ciągnie. Raptem się tedy obróci — i chwyta złodzieja za rękę. Był nim sołdat rosyjski, który, bynajmniej nie zmięszany wypadkiem, a rozgniewany za zdradę i przyszycie chustki, silnie kułakiem w piersi szlachcica od siebie odtrącił, mówiąc: *„Kak ty smiejesz hosudarskawo czełowicka obmanywat'!"*

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

31. Znajomy dosyć jest z pism swoich prawniczych niejaki pan Kurowicki, były profesor w Uniwersytecie Wileńskim. Człowiek dobry, uczony, niegłupi nawet, ale wielce osobliwszego komicznego układu. Ten kiedyś gdzieś na wakacji poznał się

był i zakochał w pannie Łopacińskiej, osobie z dosyć znakomitego rodu na Litwie. Wiedział on to, że panny dobrowolnie za niego nie wydadzą. Że jednak dziwnym cudem, snać z powodu zupełnego braku mężczyzn w tym okręgu i panna potrafiła się w nim wzajemnie zakochać, wykraść ją zatem postanowił nasz profesor i *nota-bene* profesor jurysprudencji.

Ale to był wielki roztrzepaniec, a większy jeszcze daleko skąpiec. Zamiast tedy rozstawić konie, albo wziąć pocztę dla większej oszczędności, najął sobie budę żydowską i w niej na tak drażliwą wyprawę się puścił. Udało się. Panna z ochotą wykraść się dała. Nim się to jednak udało, przeszło kilka dni czasu. Tak, że, kiedy już Kurowicki jął ze skarbem swym uciekać, o trzy mile od domu rodziców panny, szabas Żyda zaskoczył. Trzeba się było zatrzymać!

A tymczasem ojciec z domowymi swoimi, dopędziwszy uczonego naszego, córkę odebrał, a jemu w sepet całe sto odliczył.

(*„Plotki. Czterdzieści i Oko"*).

32. W Białymstoku, stolicy podówczas okręgu, czyli obwodu tegoż nazwiska, w mieście, mającem wszelkie prerogatywy i wszystkie władze miast gubernjalnych rosyjskich tylko z daleko większą płacą urzędników, znajdował się oprócz wydziału lekarskiego, wraczebną uprawą zwanego, jeszcze i instytut położniczy, szkoła poświęcona chwalebnie ukształceniu akuszerek. Obu tych instytucyj oddawna już był naczelnikiem i za obie pobierał płacę poczciwy staruszek, który, bardzo już podeszłego doczekawszy wieku, od lat kilku wyniszczeniem czyli marazmem starców silnie był dotknięty. Był to niejaki de-Michaelis. Są i dzieła jego. Gubernatorem obwodu białostockiego był tamtejszy obywatel, hrabia Wołłowicz, Polak. Działo się to za Aleksandra I-go, cesarza. Wtedy na te posady dawano tutaj Polaków. Nawiasem i to powiedzieć można, że obwód białostocki był wówczas jakąś bezprzykładną w tym kraju oazą. Szczęście, wesołość, dostatek, wszystko tam było. Ale ludzie zawsze ludźmi!

Główny zarząd całej Litwy, a zatem i tego zakątka miał sobie dany wielki książę Konstanty Pawłowicz, brat cesarza.

Cały wszakże kraj był zawsze statecznie na stopie wojennej czyli w stanie oblężenia. To jest, że każdemu z jego mieszkańców o każdej porze w łeb zapalić można we dwadzieścia cztery godziny najdalej, jak tylko temu, kto to zrobić może, przyjdzie do tego ochota.

Widząc ciągle kaszlającego i krztuszącego się co chwila poczciwego de-Michaelisa, siaki taki z ludzi, łakomych na jego posady, wczesne robił zabiegi o zapewnienie sobie po nim sukcesji. W skutku tych starań kancelarja w. księcia w Warszawie obrała już była sobie takiego sukcesora. Kupującemu i kupionym szło tylko o to, żeby de-Michaelis jak najprędzej umarł... De-Michaelis, nakoniec, zapada doprawdy obłożnie i ciężko. Choruje długo, bo zawsze w takim wieku rogata dusza. Jego tajemny nominat-sukcesor udaje gorliwego przyjaciela i filantropa. Nawiedza go codzień statecznie po dwa razy z prawdziwem poświęceniem się, z prawdziwie cnotliwem i chrześcijańskiem spółczuciem. A tymczasem do Warszawy pcha i pcha listy! A tymczasem szafirkuje, jak może, Wołłowiczowi, żeby ten mu znowu przypadkiem w interesie nie szkodził. Nakoniec de-Michaelis umarł. „Chwałaż Tobie, Panie!"... woła sukcesor. I natychmiast, jakby o co najważniejszego chodziło, leci od gubernatora o tem sztafeta do w. księcia.

W. książę odbiera ją i każe wybrać i naznaczyć nowego urzędnika na miejsce zmarłego. Ale tylko co papier o tem wygotowany i do podpisu księciu podany został, wpada nowy zabłocony kurjer z Białegostoku z doniesieniem, że de-Michaelis po kilkogodzinnym letargu odżył i do dawnego zdrowia powrócił. Książę się tem nieco zadziwił. Kancelarja jego zmarszczyła się. Nominację zdarła.

Owóż, zaledwie się nieco uspokoili, nowa przybywa sztafeta o tem, że nasz nieborak de-Michaelis, postękawszy kilkanaście godzin, umarł sobie po raz drugi, doprawdy. — „A pókiż to tego będzie!?" krzyknął zniecierpliwiony książę i o włos Wołłowicza pod sąd wojenny nie oddał. I książę gniewał się słusznie. Gdyby bowiem nie było nikczemnych intryg, o których ani książę, ani Wołłowicz nie wiedzieli, nie śpieszonoby się tak z wysyłaniem tak potężnemu panu fałszywych, a przynajmniej niedokładnych doniesień.

38. Adam Ob......, sędzia ziemski mozyrski, dziedzic przez żonę, Wołodkowiczównę, majętności Siennej, miał z tejże żony oprócz dwóch synów, wcześnie zmarłych, całe aż cztery córki. Dwie z nich najstarsza, Józefa, i najmłodsza, Ewa, warte czegoś były. Ale dwie średnie, Anna, co się przeszła potem za R...... i Regina, co, przeszedłszy się niedawno za generała rosyjskiego, Eysymontta, dla samego tylko tytułu, w parę dni po ślubie na pocztowej kibitce od niego uciekła, dwie te średnie, mówię, takie były kozaki, że wielka bieda była z niemi staremu ojcu! Djabeł ciągle w piecu im palił!... No, już jak tam było, to było! Ale to im szkodziło najwięcej, że język ich był obosieczny, rzadki, a tak dotkliwy i ostry, że na nikim poczciwej nie zostawiał nitki. To też prawie wszystkich czy otwartymi, czy tajemnymi nieprzyjaciółmi miały.

Panna Regina, jak sobie na ucho mówiono, jakoś się była parę razy grubo potknęła. Ale te jej przypadki zamiast ją uspokoić, upokorzyć i zrobić skromniejszą bardziej jeszcze emancypowaną zrobiły z niej lwicę. Obracając żądełkiem, panna Regina obraziła raz srodze pewnego młodego i bardzo drażliwego człowieka. Ten, chcąc się lepiej nad nią zemścić, ukrył w sobie obrazę, znajomości nie zrywał, czekał sposobnej pory. Jakoż, gdy dzień imienia jej matki się zbliżał, zamówił dużą partję młodzieży, żeby się na tę fetę do Siennej zjechała. „Zobaczycie". powiadał: „jak się tam pannie Reginie i za siebie i za was wszystkich ślicznie wypłacę". Przyszły imieniny. Sale jak nabite. Przyjeżdża i nasz zemstą pałający gniewosz. Wchodzi, wita się, przeciska się przez tłumy, a czatuje na swoją zdobycz. Aż oto, nakoniec, panna Regina, robiąca honory domu, akurat mu się śród dużego grona mężczyzn i kobiet nawija.

— „Całuję rączki, pani dobrodziki, jakże jej zdrowie?" rzecze do niej, kłaniając się z uszanowaniem, gość pełen zemsty.

— „Wybornie. Jak pan widzisz", odpowiada panna Regina.

— „A maleńki?"...

— „O którego się w. pan pytasz?... bo ja ich dwóch miałam"...

Taką nadspodziewaną śmiałością i zuchwalstwem panny zbity z tropu i zdurzony kawaler zapłonił się za pannę Reginę, jak wiśnia! I ten, co ją zawstydzić pragnął, sam, bezwstydem

jej zawstydzony, wyniósł się co prędzej za drzwi, przysiągłszy na wieki wieków, że się już nigdy w takim sposobie mścić się nad wszetecznemi kobietami nie będzie.

(*„Plotki. Czterdzieści i Oko"*).

34. Stanisław Czapski, potomek dawnej niemieckiej familji, z kapelusza na czapkę w indygenacie naszym przerobionej, a z domem Radziwiłłów bliskiem pokrewieństwem złączony, w pierwszej zaraz młodości opatrzył się prędko, że stan jego fortuny dalekim jest od położenia, do jakiego mu urodzenie dawało prawo. Że był człowiek bardzo sprytny, śmiały, nawet zuchwały, domyślił się tego, że trzeba mu z bratem swoim razem czatować na chwilę wyjścia z opieki księcia Dominika Radziwiłła, bo znał już wspaniałość bez miary, a raczej rozrzutność tego magnata. Jakoż skoro tylko książę objął rządy, nadbiegli wnet Czapscy, podobali mu się i dla honoru krwi natychmiast po miljonie na ząbek od niego dostali.

Obadwaj bracia Czapscy, Stanisław i Karol, byli ludzie nietylko rozumni, ale zadziwiającego, natychmiastowego, ucinkowego dowcipu. Była wszakże kolosalna pomiędzy nimi różnica. Karol, starszy, sam z siebie wiecznie najprzedziwniej, najcudowniej żartował. Stanisław najpocieszniej żartował z drugich. Ale powiem tu przykład, jak nieraz grubjańsko umiał być ostrym, kiedy go draśnięto, szczególniej w takim, jak nazwę, domu.

Po pierwszem rozgospodarowaniu się w swoich bajecznej rozciągłości dobrach, zacny, szlachetny, uprzejmy, popularny, delikatny, jak panienka, książę Dominik czuł się do obowiązku odwiedzić wszystkich tych, którzy z nim w jakiemkolwiek pokrewieństwie byli. Puścił się więc na tę wesołą podróż, mając z sobą zawsze Stanisława Czapskiego. Zkolei przyszło na hetmanową Branicką, ową sławną, niezmiernemi bogactwami opchaną siostrzenicę Patjomkina czy, jak u nas mówią, Potemkina, Engelhardtównę z domu. Wiadomo, że baba była do nieuwierzenia skąpa. Warkocze dziewek swoich przedawała perukarzom! Jaja, na daninę noszone, w umyślnem na to próbowała kółku. Jak się jaje nie zatrzymało, brakowane było. Ale skąpa-nieskąpa z taką figurą jak książę, trzeba było się popisać, przyjąć go

z wystawą po pańsku. Sproszono więc dużo gości do Białej-Cerkwi — i nielada jakich.

Na pierwszym zaraz obiedzie księcia Dominika obok siebie z największymi honorami posadziła Branicka. Ale o jego orszak nie dbała. Czapski młody, dumny, zarozumiały, który się dotąd z podobnem lekceważeniem nigdzie był nie spotkał, przymuszony był siedzieć na szarym końcu. Wściekał się więc ze złości tem więcej, że przed nim zamiast lepszych win wyżej stojących nędzną jakąś przez skąpstwo postawiono lurę. Książę Dominik, czując uchybienie, zrobione krewnemu i faworytowi swemu, często się do niego aż w sam kąt stołu z rozmową odwracał, pewnym będąc, że tym sposobem da mu pole do popisania się z przyjemnym dowcipem, do zwrócenia na niego powszechnej uwagi, a razem, że da zręcznie uczuć pani Branickiej, ile gościnności uchybia. Ale Czapski niebardzo już był panem siebie i wcale nie miał humoru.

Poznała nakoniec i hetmanowa, o co rzecz idzie. Chcąc tedy jakkolwiek naprawić pomyłkę, szukała pretekstu do zaczęcia sama z Czapskim rozmowy. A widząc, że ciągle pełny i niedotykany ma przed sobą kieliszek, rzekła: „Mosanie Czapski, czemuto pan wina nie pijesz!"

Czapski, skrzywiwszy usta, odpowiada: „Nie piję, mościa dobrodziko, bo nadto już kwaśne! Prosiłbym chyba o tę butelkę, co to tam przed panią stoi".

Tknięta do żywego tak nadspodziewaną otwartością, czy brutalstwem Branicka postanowiła znowu ze swojej strony się zemścić i, udając, że familja Czapskich jest zupełnie jej nieznajoma, podniosłszy głowę, jakby coś sobie napróżno przypomnieć chciała, powiada znowu: „Czapski! Czapski!... nie przypominam sobie! Jakich to waćpan Czapskich jesteś!" Czapski, na to zapytanie śród tak wielkiego zgromadzenia bardziej jeszcze rozwścieczony, wręcz jej odpowiedział, dobrze głos podniosłszy: — „Dziwię się bardzo, że aśćka takiego nie pamiętasz nazwiska! Wszakże to nie tak jeszcze dawno, jak ojciec mój męża wpani dobrodziki na śmierć osądził!"

Wiadomo, że hetman osądzony był (zaocznie) na szubienicę.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

35. *a)* Wspomniałem już o Karolu Czapskim, człowieku zacnym, godnym, poczciwym, miłym, pełnym samodzielnego dowcipu. A to bardziej i obowiązywało i bawiło słuchacza, że zawsze sam na siebie nakładał góry. Mówił do tego przez nos, to jest miał głos nosowy, co mu także jakiś rodzaj oryginalności dawało.

Do takiego niepospolitego, o jakim mówię, dowcipu łączył on nadto w części wrodzoną, ale w znacznej też części i umyślnie, jak podejrzewam, udawaną dystrakcję, bo ta mu nigdy przy jego dobrym sercu szkodzić nie mogła, pomagała zawsze. Przebaczano mu też wiele na ten rachunek.

Otóż ten Karol Czapski, znajdując się raz dla interesów w Mińsku, znalazł potrzebę dać wielki obiad dla całej śmietany urzędników gubernjalnych. Dzień naznaczył. Osób zaprosił mnóstwo. Ale przez wiadome już roztrzepanie głównej rzeczy zapomniał, to jest zapomniał zaprosić pierwszą w mieście osobę, gubernatora Ignatjewa, człowieka wielce dumnego, drażliwego i ostrego w obejściu się.

Dzień obiadu nastąpił. Przyszła i godzina, kiedy zastawić go trzeba. Zjechali się wszyscy. Czekają gubernatora. Tu dopiero Czapski chwyta się za głowę, przypomina, że go zapomniał zaprosić, i powiada do gości swoich: „Poczekajcie chwilkę, na miłość Boską, ja zaraz jadę do niego i z sobą tu go przywiozę". Pojechał — i trafił tam właśnie na moment siadania do stołu. Ignatjew prosi go na obiad. Czapski zdurzony, zapomniawszy znowu, po co tam przybył, siada i je obiad u gubernatora, myśląc, że je u siebie. A co moment się zżyma, jakby szydłem był kłuty. Wstawszy nakoniec od stołu zawsze w tem przekonaniu, że to jego był obiad, „Mój generale" rzecze do zdziwionego Ignatjewa: „daruj mi łaskawie, bo umieram ze wstydu, żem ci taki haniebny dał obiad! Pojąć nie mogę, co się tam memu kucharzowi stało. Ale, prawdziwie, każda potrawa była nie do zniesienia!"

b) Wiecie wszyscy, że na Św. Józef są w Mińsku kontrakty. Bywa czasem o tej porze, że się i doprawdy zaczyna wiosna i że dni piękne i ciepłe bywają.

Owóż nasz Karol hrabia Czapski, będąc tam właśnie w tę porę, chodził z rana za interesami, mając surdut watowany na fraku. Ale, jak się już bardzo około południa ociepliło, zaszedł



Wiktorja z Potockich, 1° v. Okławjuszowa hr. Choiseul-Gouffier,
2° v. generałowa Bachmietjewowa.

do domu, zrzucił swój surdut, jak niepotrzebny ciężar, i znowu wyszedł do miasta w jednym tylko fraku. A miał do Kamieńskiego, co był z Tepperówną, córką owego bankiera, co mu w łeb za bankructwo strzelono, żonaty. Kamieński, usunięty od plenipotencji w interesach księcia Dominika Radziwiłła za ważne jakoby nadużycia ufności, został w Mińsku wicegubernatorem. Idzie tedy Czapski zamyślony do tych Kamieńskich i, pamiętając zawsze, że miał na sobie surdut, który przez cały ranek w przedpokojach zostawiał, tu zrzuca frak z siebie, bo już surduta nie miał i tak do Kamieńskich wchodzi. Ci znali go już dobrze oddawna. Więc Kamieński, zobaczywszy go w takim stroju, zaczął mrugać na żonę, żeby nic nie pokazywała po sobie.

Postrzegł mruganinę Czapski. Uderzyło go to jakoś. Zafrasował się z tego powodu na nowo tak, że, podszedłszy do Kamieńskiego pocałował go w rękę, a samą Kamieńską w twarz, w same usta. Po takiem pozdrowieniu zbliżył się poprawić czuba i włosy przed wielkie stojące lustro i tam dopiero, widząc siebie w kamizelce tylko i z białymi rękawami od koszuli, do ochwatu przyszedł! Na tej jednakże dystrakcji nic wcale nie stracił, bo Kamieńska, którą w samą pocałował buzię, była wtenczas jedną z najpiękniejszych kobiet na Litwie. A jak potem pojechała do Rzymu, wszyscy kardynałowie nawet, jak wiadomo, powarjowali dla niej.

O śmierci zaś jej ojca, Teppera, taką mi rodzic mój kiedyś rozpowiadał gadkę, że po bankructwie domu jego, którego historję dla wielu powodów zapewne ktoś inny opisze albo już opisał, Tepper zrozpaczony, że tylu zgubił, ukrywał się przed okiem ludzkiem i siadywał zamknięty w pokoiku swoim na dole pałacu, który miał w Warszawie na Miodowej ulicy. Pewnego dnia wieczorem, a jeszcze szaro nawet było, począł ktoś wołać z ulicy pod oknem: „Panie Pietrze! panie Pietrze!" Tepper na ten głos, zapewne sobie znajomy, otworzył furtkę i głowę wytknął. W tej samej chwili posłyszano strzał z pistoletu, który Teppera położył na miejscu. Ci, co go zbliska znali, powiadali, że lepszego wart był losu.

c) Mając ważny proceder w Senacie, Karol Czapski zmuszony był udać się do Petersburga. Robił tam, jak zwyczajnie,

wszelkie starania i zabiegi u dołu u panów sekretarzy, obersekretarzy, prokuratorów, u wszystkich, jak Pan Bóg dał. Ale chciało mu się jeszcze dla zupełnej pewności wyłożyć swój interes i przed samym ministrem sprawiedliwości, którym wtedy był podobno Troszczynskij.

Przez związki i stosunki, jakie miał w stolicy, potrafił już wprzódy dobrze i uprzedzić o sobie i zobowiązać na swoją stronę ministra, który nawet bardzo był ciekaw poznać tak oryginalnego człowieka. Czapski prosił o audjencję. Minister dał mu godzinę. Przyjeżdża nasz Czapski, jak należało, w mundurze i ogromnych botfortach. Minister go przyjmuje, sadza obok siebie i pozwala wyłożyć stan interesu. Czapski rozpędził się i w roztrzepaniu swojem chwycił ze stolika chustkę od nosa ministra i, biorąc za swoją własną, użył jej, jak należy, a potem nie mając wygody w mundurze, który miał na siebie, zatknął ją za cholewę swojego botforta.

Minister zadzwonił. Wszedł kamerdyner. „Podaj mi chustkę", rzekł do niego. Sługa rozkaz wypełnił. Rozmowa szła dalej z Czapskim. Pomimo to minister zmuszony był podobne dzwonienie i podawanie chustek razy kilka powtórzyć. Czapski zacietrzewiony niczego nie widział, nie domyślał się niczego. Owszem każdą podaną i już umyślnie za przynętę na stoliku kładzioną chustkę ministra chwytał i za but sobie zatykał. Nakoniec posłuchanie zamknięte. Czapski wielce rad z uprzejmego przyjęcia, chcąc się jak najprędzej pozbyć munduru, każe zacinać konie, wraca do siebie, rozbiera się... i sam wyjść z podziwienia nie może, że aż całych sześć chustek w botfortach swoich od ministra wyniósł! Można sobie wyobrazić jego ambaras!...

Odwiózł mu je nazajutrz i razem z ministrem obadwa wielce się z tego naśmieli; owszem, to bodaj do wygrania sprawy najwięcej się przyłożyło.

d) Karol Czapski takie na siebie, naprzykład, rzucał potwarze.

Wracając z podróży za granicę, zajechał był na czas jakiś do Wiednia, który mu się był z wielu powodów bardzo podobał, a szczególniej z tego, że to było jedyne miasto w Europie, nie wyłączając nawet Włoch, gdzie wszystko, co żyło, od najwyższych

do najniższych warstw społeczeństwa szczerze się kochało w muzyce. Czapski bardzo muzykę lubił i rzekł do siebie: „Dlaczegożbym i ja się do tego przyłożyć nie miał?"

Szukał więc i znalazł najlepszego w całym Wiedniu metra. Poznał się z nim i prosił go, żeby mu lekcje śpiewu dawał. Ale że się z kilku jeszcze rodakami w jednej ulokował oberży, chciał więc, żeby te lekcje dla uniknienia przerw i dystrakcji odbywały się w mieszkaniu metra. Zgodził się na to nasz Niemiec zrazu z wielką ochotą. Kiedy jednak do umowy przyszło, nauczyciel, rozumie się, kazał Czapskiemu dobyć z siebie głosu. Po tej próbie Niemiec kręcić zaczął głową, mniej okazywał ochoty i, pomyślawszy nieco, lekcję każdą po luidorze za godzinę ocenił. Uczeń, naturalnie, przez polski punkt honoru zgodził się na to, choć mu się to nadzwyczaj drogiem wydało. Czapski tedy w skutku umowy nazajutrz i codzień potem wziął jedną i drugą i trzecią lekcję, a za każdą natychmiast gotowym groszem zapłacił. Przychodzi na czwartą. Aż tu Niemiec na spotkanie jego wybiega i powiada mu: „Cicho! cicho!... Panie Hrabio! Przebacz mi łaskawie. Nie mogę dotrzymać słowa. Zrzekam się umowy. Oto są luidory, któreś pan mnie dał za tamte godziny. Wracam je panu... ale dalej służyć nie mogę!"

— „A toż znów, czemu?" rzekł zadziwiony Czapski.

— „Ach, panie hrabio! nie mówmy już o tem", odrzekł ze łzami w oczach Niemiec: „żona moja po wczorajszej lekcji od głosu pańskiego pierworodnego syna mojego zroniła"!

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

36. Pod koniec pierwszej ćwierci naszego wieku żył, był w kowieńskim powiecie obywatel Szwojnicki, człowiek nieubogi wcale, dobry i zacny człowiek, ale bojaźliwy nadzwyczaj, ograniczony bardzo, łatwowierny bajecznie. Tytułowano go: „panie sędzio". Ale nie wiem, jakie piastował urzędy. Mnie, dzieckiem jeszcze, dziwił on zawsze tym szczególnym swoim defektem, do którego wszyscy już starsi byli przywykli, że, aby cokolwiek silniej ręką poruszył, natychmiast ta ręka jego ulegała wywichnięciu w łopatce. Już mu, widać, sam Pan Bóg dał w tem miejscu tak słabe antaby. Gotowy na rozkazy kamerdyner jego natychmiast te zbłąkane członki odstawiać musiał i było cicho.

Któregoś tam roku we wrześniu ojciec mój, Franciszek Kozakowski, marszałek kowieński, Antoni Meyer, wicemarszałek, i pułkownik Bernard Pęczkowski zmówili się zajechać z Kowna do Żeym do godnego, światłego i gościnnego obywatela, Michała hr. Kossakowskiego, niegdyś pisarza polnego litewskiego. Przyjechali. Dzień był pochmurny. Grano w bilard, gadano, żartowano. Ale jakoś na wielką wesołość nie zabierało się zupełnie. A byli tylko sami mężczyzni. Nadjechał na to asesor policji ziemskiej Kurdzikowski, wyga i bywalec. A tuż za nim, jakby umyślnie i zmównie, nadbiegł i naczelnik policji powiatu, sprawnik Chłopicki, także psotnik niemały. Na parę miesięcy przedtem w telszewskim bodaj powiecie zdarzył się był doprawdy osobliwszy przypadek. Student jakiś Wileńskiego Uniwersytetu, t. j. akademik, jak ich wtedy zwano, jadąc pocztową bryczką na wakacje do rodziców swoich, w momencie jakiejś wściekłej niecierpliwości ubił z pistoletu na miejscu pocztowego woźnicę za to, że ten pomimo prośb i groźb pasażera, objadłszy się grochu z kapustą, ciągle mu bez miłosierdzia pod nos swędził a swędził i jeszcze za wymówki gniewał się i burczał. Sprawa ta w połowie jako żart, w połowie jako prawda i zbrodnia była właśnie w tej chwili przedmiotem rozmowy w Żeymach, kiedy stojący u okna postrzegli i poznali cug Szwojnickiego, który w pięknym warszawskim koczu z przypadku i fantazji sąsiedzkiej do Żeym jechał sobie w gościnę. „Mości panowie", rzecze Kozakowski, wielki facetus i wielce miły człowiek w towarzystwie: „zróbmy co z tej historji dla Szwojnickiego!" I znając poczciwego sąsiada, podał projekt, ułożył program wszystkiego, co się stać miało, role porozdawał, sposoby trafienia do celu oznaczył.

— „Dobrze! wybornie!" zawołali wszyscy: „ale czy się da wziąć na taką wędę?" — „Zobaczycie". A tu już i z bicza trzasnął przed gankiem Szwojnickiego woźnica. Wychodzą wszyscy na spotkanie gościa. Przyjmują go jak najlepszego przyjaciela, ale tak skwaszeni, z takiemi długiemi nosami, że aż żal na nich patrzeć! Widzi to Szwojnicki. I zląkł się w sercu.

— „Co to jest panowie moi? Czego tak smutni jesteście?"

— „At! co tam i mówić! Jak tu nie być smutnymi. Pięknych doczekaliśmy czasów!... Każdy człowiek grzeszny, ręczyć za siebie nie może!"

— „Ależ dla Boga, powiedźcie, o co idzie! Ja o niczem nie wiem".

— „To też, panie sędzio, do tej chwili jesteś właśnie od nas szczęśliwszy. Wiesz o awanturze tego nieszczęsnego akademika z pocztyljonem?"

— „No, wiem, — abo co?"

— „No, no... otóż widzisz, że w skutku tego wyszedł teraz ukaz cesarski, że ktokolwiekby śmiał pierzchnąć, czy głośno, czy zdradliwiej jeszcze, jak ukaz powiada, bo skrycie, w obliczu świadka, ma być natychmiast aresztowany, kryminalnie sądzony, na Syberję odesłany, a majątek jego na skarb odebrany! Właśnie teraz pan sprawnik i pan asesor ukaz ten nam do przeczytania przywieźli!... Och!..."

— „Ach! ja nieszczęśliwy! Co też to waćpanowie dobrodzieje mówicie! Cóż to się ze mną stanie! Zginąłem; niema co, jak ruda mysz zginąłem!"...

— „A tak!" odrzekli wszyscy, ledwie że nie ze łzami w oczach: „I waćpan i my zginęliśmy wszyscy. Kto takiej rzeczy przy świadku nie zrobi?"

— „Otóż to" rzecze Szwojnicki: „ja i tak mam słabe zdrowie, a teraz mi jeszcze pan Kowalski zapisał hemoroidalne proszki".

I nasz Szwojnicki, rachując się w swojem sumieniu pod względem warunków tego ukazu, najzupełniej upadł na duchu. Dano do stołu. Szwojnickiemu nic w gębę nie lezie. Każdy kawałek chleba rośnie mu w ustach i pęcznieje, jak gąbka. Po obiedzie wyszli wszyscy do ogrodu. Zaczęto inne materje. Podano węgrzyna. Umysły się jakoś rozweseliły. Nasz sędzia także nieco ból serca swojego ukoił. Zaczęto swawolić. Dążać się. Gnieciono, dręczono sędziego. Ale kiedy ten mimo wszystkie starania żadnego z siebie głosu nie wydał, zniecierpliwiony i wcześnie na taki raz gotowy Kozakowski porwał go jeszcze raz w dążki i tak trzasł, jak koń, co się wyrwie ze stajni i buja. Ale w tenże sam moment wszystko, co tam było obecne, i sam Kozakowski odskoczyli od Szwojnickiego, jak od zapowietrzonego człowieka, i odstępowali ze zgrozą coraz dalej i dalej, udając, że to jego robota.

On do juramentu chce stanąć, że nie. A tu wszyscy

z bólem serca grzech zwalają na niego. A każdy jeszcze dodaje ze spółczuciem te słowa: „Panie sędzio! cóż robić! Prawda, to nieszczęście, to wielkie nieszczęście, ale przynajmniej o juramencie nie gadaj! Nie obciążaj sumienia swego daremnie. Katolik-że przecie jesteś!"

Chłopicki znowu i Kurdzikowski, jak zwarzeni, z żałobną miną podchodzą do niego i, wyjmując z zanadrza po rusku pisany papier, którego sędzia czytać nie umiał, głosili mu, że go z największym smutkiem aresztować muszą. Szwojnicki ledwie nie zemdlał. „A czy mnie licho tutaj przyniosło!" woła. W płacz, w modlitwy, w targi!

Po długich, wielce komicznych układach zgodzili się nakoniec urzędnicy policyjni milczeć o tym zbrodniczym sędziego postępku — za cztery konie, za kocz i za sto dukatów złotem. Tu dopiero odkryto mu cały haniebny na niego spisek. Naśmiano się jeszcze razem z nim do syta. I poczciwy sędzia, nienalegany nawet, wysłał nazajutrz i sprawnikowi, i asesorowi po parę beczek owsa dla ich wesołych koni.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

37. W 1839 roku mieliśmy w Wilnie gubernjalne sejmiki. Pomiędzy innymi chodziło o wybór prezydenta Izby Cywilnej na lat sześć. Ludzie, rozważni, rozsądni i dobrze ogółowi życzący, pragnęli mieć na tym niezmiernie ważnym urzędzie Gaspra Hornowskiego, zacnego, tęgiej głowy i wytrawionego na różnych urzędowaniach człowieka, ale surowego, prawego i nie dającego się niczem do jakiejś prywaty w zdaniach swoich nakłonić. Takie zalety, kiedy je sędzia posiada, niebardzo są u nas lubione. Młodzieży więc nierozważnej, która potworzyła była między sobą partje, ludziom prawującym się, którzy na stosunkach i związkach opierają nadzieję wygrania sprawy, a szczególniej na Żmudzi, która za naczelnikiem, kiedy go raz sobie wybierze, ślepo kulę w kulę do wazonu niesie, zachciało się koniecznie wybrać na tę posadę jednego z hrabiów Platerów żmudzkich. Platerów tych było aż siedmiu rodzonych braci podówczas. Bardzo poczciwi, bardzo zacni, bardzo bogaci — ale jeden w drugiego głupszy. Salomonem pomiędzy nimi był Stefan, człowiek młody, żonaty z Żabianką. Zwano go powszech-

nie „krokodylem", choć on o tem nie wiedział. A zwano tak z tego niby powodu, że, powróciwszy z podróży, w 1826 czy 1827 roku po Egipcie odbytej, miał się z tem przed kimś wymówić, że tam na krokodylu jeździł. Bardzo wszakże być może i to, że rzecz taką wymyślono na niego, a może źle go słuchano. To pewna, że kiedy mnie w Petersburgu jeden z braci jego opowiadał różne epizody tej podróży, rzekłem: „Zapewne brat pański opisze i ogłosi to wszystko". — „O, bez wątpienia", odpowiedział Plater: „brat mój wkrótce zajmie się serjo tem dziełem, a tymczasem już napisał do niego przedmowę"... Tego to właśnie podróżnika naszego prezydentem Izby Cywilnej mieć chciano. Dla powiększenia zaś liczby kresek wszystkich braci jego tu sprowadzono.

Ludzie rozsądni ostrzegali całą tę partję, że Stefan Plater nie będzie potwierdzony przez władzę, bo nie ma za sobą kwalifikacji prawnej, że zatem podług organizacji będziemy w takim razie mieli urzędnika danego sobie od korony. Żadne uwagi nie pomogły. Obrano Platera. Nie potwierdzono go i na lat kilka na zgubę naszą przysłany był tutaj na tę posadę od korony niejaki Konoplin! Ale tu nie o to idzie. W Wilnie podówczas najlepszy traktjer był u Tytiusa. Po odbytem posiedzeniu sejmikowem cisnęliśmy się tam codzień wszyscy na obiad. Dawno w tym zakładzie znajomy, pewnego dnia, kiedy natłok był znaczny, dostałem z łaski gospodyni maleńki stolik, na którym dla mnie tylko jednego nakryto. Na lewo na kanapie siedział sławny z dowcipu baron Krauze, który się tylko bawił dla konkokcji cygarem, bo obiad dawno już był skończył. Wkoło niego, że stół był duży, wielu siedziało jedzących.

Zrazu nie zważałem na nich. Ale ciągłe hałasy i śmiechy zwróciły wkrótce uwagę moją w tę stronę: tłumy gaduł już tam stały. Zebrało się około Krauzego dużo obywateli i kilku z braci Platerów. Ci Platerowie właśnie, jak można, najniezgrabniej drwinkowali sobie z Krauzego, kontenci, że ten każdy ich dowcip dobrze przyjmował i bynajmniej się nie odcinał. Inni słuchali. Ta jednak powolność dziwiła wszystkich, co znali Krauzego i wiedzieli, że nietylko wrzodu w gębie nie ma, ale ma tam pięćdziesiąt przynajmniej żądeł. Nakoniec i Platerów dowcip jakoś się urwał. Ustali.

Wtedy Krauze powstaje z miejsca swojego, bierze kapelusz i laskę, zabierając się do wyjścia, i zapytuje Platerów: „Powiedźcież mnie, czyście już skończyli?"

— „Cha, cha, cha! Chi, chi, chi!" — rzekli, śmiejąc się, jak gapie: „Skończyliśmy".

— „Otóż", rzecze Krauze: „mości panowie, biorę was tu wszystkich obecnych za świadków. Słyszeliście rzecz całą. Niestety. Przyznajcież, że Opatrzność jest czasem niesprawiedliwa! Jak widzicie dla ichmościów (pokazując na Platerów) po kożuchu i po dziesięć rubli jurgieltu na rok byłoby aż nadto... po miljonie każdemu z nich dał Pan Bóg!" — I wyszedł.

Taki jurgielt i kożuch daje się zwykle na Żmudzi pastuchom.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

38. Niema nic obrzydliwszego na świecie, niema nic obrzydliwiej dumnego i napuszonego na kuli ziemskiej nad bogatego albo wzbogaconego Żyda. My jeszcze na Litwie tego nie znamy. Ale chcąc się takim rzeczom przypatrzyć — proszę do Warszawy.

Józef Epstein, Rotszyld warszawski, bankier i fabrykant świec stearynowych, zachorował raz ciężko. Wszystko co w łapserdaku, i wszystko, co z łapserdakiem ma rodową już styczność, a któż jej w Warszawie teraz już nie ma, o tym tylko ważnym wypadku mówiło.

•U księcia Paskiewicza, namiestnika Królestwa, pomiędzy dworskimi jest jakiś rodzaj marszałka dworu, niejaki Kamiński, niski i krępy brzuchal, do którego wydziału należy, naprzykład, zapraszanie na wieczory, obiady, bale, w zamku dawane, dowiadywanie się o zdrowie i temu podobne zajęcia. Znają tego Kamińskiego tam wszyscy, jak zły szeląg. Ten Kamiński, filut, wyga jakich mało, chwyciwszy języka o chorobie Epsteina, codzień przez cztery czy pięć tygodni, rano i wieczór, przyjeżdżał dowiadywać się o zdrowie jego. Żyd pewny, że on przyjeżdża od księcia, już ze samego honoru tego prędzej, niż trzeba było, o kilka tygodni wyzdrowiał, a codzień regularnie po dukacie Kamińskiemu dawał na piwo. Jak się już dobrze poczuł i mógł wyjechać, Epstein, poradziwszy się ze swoją córką, oczywista,

że pierwszą wizytę swoją dziękczynną poświęcił namiestnikowi, który nic o Bożym świecie nie wiedział.

Skonfundował się tedy Żyd bardzo, kiedy po wyrecytowanym komplemencie książę, który go przyjąć kazał, myśląc, że mu jakiś finansowy projekt przywozi, oświadczył mu szczerze i otwarcie, że nie rozumie, czego on chce. Że mu nigdy przez głowę nie przeszło dowiadywać się o bardzo skądinąd szacowne, ale dla księcia najzupełniej obojętne zdrowie pana Epsteina. Zawołany Kamiński nie zapierał się wcale, że zajeżdżał do Epsteina, ale wprost od siebie z powodu dawnych swoich z nim stosunków i zapewniał mu w oczy, że tylko duma i zarozumiałość żydowska mogły w błąd wprowadzić chorego.

(„Plotki. Czterdzieści i Oko").

39. ...Ale znowu twierdzić nie można, żeby i w Niemonajciach nic się nigdy nie stało. Słuchajcie tedy, co się tu stało nie dalej, jak przed trzema laty.

Proboszczem od kilku zaledwie miesięcy był tutaj wówczas młody jeszcze człowiek, niejaki ks. Orwid, jak widać, na biedę już samą i na nieszczęście w życiu stworzony. Tylko co się bowiem był z trudnej bardzo sprawy i srogiego prześladowania wyplątał i zaraz w nowe już webrnął!

Dawny jeszcze nałóg, dawna siła rzutu, która ten kraj z zaniemeńską stroną tak długo łączyła, jest bodaj przyczyną, że księża tutejsi i księża tamtej strony często się potajemnie, zdradzając baczne strażników oko, przez granicę przemykać zwykli. A robią to tylko jedynie dla odprawienia wzajemnie w kościołach dwóch już dzisiaj krajów nabożeństwa w bardziej uroczyste święta. W święta, które dla różnicy kalendarza inaczej u nas, inaczej u nich przypadać zwykły. Czy to jest prosta tylko niewinna duchowna zabawka, czy też śród służby Bożej, modląc się tu we Mszy Świętej, i tajemną jeszcze myśl jaką, i tajemny jeszcze cel mają, — to tylko samemu Bogu wiadomo. Może, zamieniając wzajemnie cnotliwe uczucia, proszą Stwórcę naszego, żeby ten Niemen nie był już długo przegrodą pomiędzy nimi! Może i proszą, żeby Królowa Korony Polskiej, Najświętsza Marja Panna, i tutaj, i na tą stronę swoje rozciągnęła berło!

Kto zgadnie myśl osobliwie taką, której mieć w głowie nawet nie wolno?

Otóż przed trzema laty, — a było to w czasie, kiedy się nikt jeszcze ani domyślał owego wielkiego burzenia się ludów, które króla Ludwika Filipa wysadziło z zawias, było to w czasie, jak się nam wszystkim zdawało najzupełniej spokojnym, było to w czasie, kiedy mimo to u nas prawnie i z urzędu żądano koniecznie od dzieci, starających się o przyjęcie do korpusów kadeckich, a urodzonych w 1840 roku, świadectwa, że one do rewolucji 1831 roku osobiście nie należały, było to w czasie, kiedy wszędzie tylko emisarjuszów, Bóg wie dlaczego, widziano; — poczciwy proboszcz z Olity Polskiej, ks. Ciechanowicz przemknął się był w zimie cichaczem do Niemonajciów na celebrę Mszy Świętej. Jak na biedę, niezgoda, która się nawet do Niemonajć przebrać się ze swoim żądłem umiała, zwaśniła była jakoś w tej chwili gospodynię księdza proboszcza z miejscowym nadstrażnikiem celnym. Księża gospodyni i ksiądz sam starym zwyczajem u nas dosyć niesłusznie uchodzą zawsze za jedno nierozłączne ciało. Nadstrażnik tedy, Rosjanin, pragnący zemsty, będąc dnia tego w kościele naszym, wietrzyć i podejrzewać zaczął, że celebrant tamtą stroną pachnie, że tajemnie do nas z za polskiej przeszedł granicy. Nic mu na miejscu jednakże nie robiąc, kazał go pilnie czatować zpowrotem na Niemnie, a i po uliczkach warty zasadził, chcąc tym sposobem tutejszego plebana wprawić w kłopoty. Proboszcz znowu miał swoich przyjaciół. Ostrzeżono go o gotującej się burzy. Na wspólnej w skutku tego dwóch duchownych radzie postanowiono czekać zpowrotem za Niemen aż do nocy. Na to wszystko nadjechał opasły bernardyński kwestarz, kwestujący już wtedy *jure caduco*, bo i bernardynom równie, jak innym zakonom, po zabraniu funduszów dano jakąś płacę, a zatem ich mniemane czy rzetelne ubóstwo przestało już być bernardyńskiem ubóstwem. Zabroniono im włóczyć się po świecie. Kwestarz, jak zwykle, do plebana zaprosił się na noc. Zmęczony drogą, podjadłszy do syta, łyknąwszy haust jeden, drugi, dziesiąty, dwunasty, bernardynisko nasze, niedługo myśląc, zrzuciło nakoniec swój habit i, ułożywszy się w pościel, twardo, trzepiąc pacierze, zasnęło. Zbliżył się też i czas, kiedy ks. Ciechanowicz czekające na niego

miał zmylić czaty. Na biedę noc nie była zupełnie czarna! A ubiór księdza i postać jego wszystkim strażnikom naczelnik doskonale już opisał. Jakże więc oszukać przynajmniej uliczne po miasteczku zasadzki! A tu, jak duch kusiciel, właśnie pod ręką leżał bernardyński habit!

Proboszcz tedy olicki, kontrabanda duchowna, nakłada na siebie ten habit i w towarzystwie chłopca z plebanji, przez którego miał habit odesłać, puszcza się za Niemen. Ale zaledwie uszedł kilka kroków od brzegu, aż go pod krami i śniegiem ukryci publikanie obskoczyli zewsząd i w całej tej maskaradzie stroju przed nadstrażnikiem stawili. Gdyby nie podła złość tego człowieka, rzeczby się skończyła na malutkim ojca duchownego strachu i na dużej torbie wspólnego śmiechu.

„Posłuchajcież, co zrobiła
Niecnych odszczepieńców siła!"

Tak mówią kantyczki w pieśni o męczeństwie Św. Józefata Kuncewicza, rodaka naszego. Posłuchajcież tedy, co zrobiono natychmiast, żebyście mieli jakąkolwiek przynajmniej miarę, czego to u nas zrobić nie można:

Poszły zaraz raporty do władz właściwych: jako trafunkiem szczęśliwym i w skutku niespracowanej gorliwości naczelnika celnej straży zatrzymano tutaj człowieka, przybyłego tajemnie z zagranicy, człowieka, który się nie bez jakiegoś nadzwyczajnego celu w dwóch księżych sukniach na tę stronę przeprawił, miał bowiem na świeckiej sutannie i wilkach habit bernardyna; jako wypadek taki i towarzyszące mu okoliczności słusznie rodzić muszą podejrzenie, że człowiek ten jest właśnie jednym z tych strasznych emisarjuszów, których przez lat piętnaście napróżno dotąd szukano; jako nakoniec z miejscowych pilnie zebranych języków nie ulega wątpliwości, że proboszcz niemonajcki tajemnie we własnym domu przechowywał tego niebezpiecznego człowieka.

Zlecieli się natychmiast, jak krucy, urzędnicy właściwi, jakby na bal jaki. Obu księży porwano, wożono, więziono, a nikt niby nie wierzył, że ten proboszcz olicki jest olickim proboszczem! Dopiero aż po roku śród różnego rodzaju udręczeń po przekonaniu się o prawdzie depozycji mniemanego zbrodnia-

rza, po dopełnionych władz tutejszych z władzami w Warszawie wzajemnych objaśnieniach, obu księży z miejsc i posad plebańskich oddalono na zawsze.

Niemniej politowania godny był niewinny, a brzuchaty i tłusty nasz kwestarz! Nosząc wszystko na sobie, pozbawiony jedynego swojego habitu i w jednej zostawszy bieliźnie, słuszne mu smutkowi swojemu najpocieszniejszy przydawał widok. Śpiący nieborak na biedę napadł! Zaplątany w trudny interes, z trudnością usprawiedliwić mogąc zabronione już kwestarstwo, ani się w koszuli jawić w swoim klasztorze, ani się w plebanji, pozbawionej już gospodarza, innego mógł doczekiwać habitu. Dobił się nakoniec pokorą i łzami do swojej duchownej koperty, straciwszy zapewne w tych próbach niejednego tłustego barana, i, otrząsając pył z obuwia swojego, na tej złośliwej i niegościnnej ziemi, śród ręce z rozpaczy załamującego, bo kochającego kwestarzów ludu przysiągł przed wielkim ołtarzem, że go już Niemonajcie nigdy odtąd widzieć nie będą. Ale mimo te wszystkie swoje barany, nie wybiegał się jednakże biedak od kozy, z którą kilka miesięcy, nim się śledztwo o nim skończyło, bawić się musiał!

(„Z każdej chatki po chłopku. Od Merecza do Kowna").

40. ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Zabawka żółciowa i złośliwa, poświęcona Antoniemu hrabi Chrapowickiemu.

Kennst du das Land, wo die Citronen blühen?
Goethe.

Znasz-li ten kraj, gdzie żołędzie rosną,
Gdzie śniegiem, lodem sypie na nas maj,
Gdzie ledwo w lipcu spotykasz się z wiosną;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie Ewy, w zalotach
Szafując jabłkiem, które zrodził raj,
Zdradzając mężów, kochają się w trzpiotach;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie zbrodzień i głupi
Pod rękę chodzą, jakby bracia dwaj,
Ojca przedadzą! — jeśli go kto kupi...
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie o język, uszy,
O usta, oczy ciągle drżyj i dbaj,
Żebyś nie wydał tego, co masz w duszy;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie szlachcic się rodzi
Z dumą magnata, choć ma parę staj,
Choć w łapciach, w błocie całe życie brodzi;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie żydowskie plemię
Rżnie chrześcijanina, a wrzeszczy: „Aj waj!"
Co zdradą, fałszem plugawi tę ziemię;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie sędziemu dłonie
Ciągle tak świerzbią, że mu tkaj a tkaj,
Że ci zabierze owce, woły, konie;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie asesor z dzwonkiem
Woła nad uchem: „Daj kubana, daj,
Bo ci te nogi skrępuję postronkiem!"
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie, choć ojce dawni
Nie znali krzyża, tylko święty gaj,
A jednak byli poczciwi i sławni;
Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj, gdzie dziś krzyż na czole
A w duszy piekło, choćby mógł być raj,
Gdzie gnuśność, karty, pieniactwo, swawole;
Znasz-li ten kraj?

Nie znasz? nie widzisz? ślepota cię jasna
Objęła raptem? Toć go przecie znaj! —
— O znam go, znam go, że to ziemia własna,
Litewski kraj!

12 października 1849 r.

PRZYPISY

Do str. 7. Michał Dłuski (1760—10. IV. 1821), sekretarz bisk. Massalskiego, pisarz Sądów Nadw.; od 1795 r. audytor przy bisk. wil. J. N. Kossakowskim; od 1812 r. deputat duchowny w Sąd. Gł. wil. II depart.; czł. Tow. Mas. i wybitny dział. mas.; mistrz katedry lóż „Doskonała Jedność" i „Gorliwy Litwin"; autor głośnego pisma mas. p. t. „List rabina Lizbońskiego do rabina Brzeskiego z dyalektu rabińsko-talmudycznego wytłumaczony" (Wilno 1817). Wiele prac jego z dziedziny historji, teologji, filozofji, technologji pomieściły ówczesne czasop. lit., warsz., lwow. Por. Dziennik Wil. 1821. II. Nr. 3. Enc. Org. więks. VII. 143. Przyałgowski „Żywoty bisk. wil." Petersb. 1860. III. 184. 225. Załęski „O masonii w Polsce" Kraków 1908. 195 sq. Szantyr „Wiad. do dziej. kośc." Poznań 1843. 300. Ign. Chodźko „Pisma" Wilno 1880. II. 457. J. Frank „Pamiętn." Wilno 1913. II. 63; „Dłuski był człowiekiem niepospolicie rozumnym" III. 44. 148. S. Askenazy „Łukasiński" Warsz. 1908. II. 192. 232. Portret znajdował się w Muz. Arch. w Wilnie.

Dawid Pilchowski (1735—1803), jezuita, po kasacie zakonu prof. liter. w Szk. Gł. Lit. i Un. Wil., bisk. sufr. wil., mąż wielkiego serca i prawy obywatel kraju. W 1794 r. czł. Dep. Centr. W. Ks. L., zarządzający wydz. instr. narod. Portret w H. Mościcki „Gen. Jakób Jasiński" Warsz. 1917. 228. Por. Tyg. ill. 1876. II.; Ks. Fijałek „X. Dawid Pilchowski" druk w Kwart. teol. wileńskim I.

Kapituła Wileńska stworzona została w 1387 r. w składzie 2-ch prałatów oraz 10 kanoników; w XV w. powiększona przez utworzenie godności prałata-archidjakona, prałata kustosza, scholastyka, kantora i 2 kanonji. Od samego początku członkami jej byli ludzie z wyższem wykształceniem, Litwini ze szlachetnego rodu; w późniejszych czasach wymagano herbowej legitymacji z pięciu pokoleń i po mieczu i po kądzieli, albo odznaczenia się stopniem naukowym, urodzenia i zasłużenia się na Litwie. Nowych członków przedstawiał król albo biskup; kapituła miała prawo odrzucenia kandydata. Przyjęty odbywał nowicjat 5-miesięczny, bez dochodów. Ten okres zwał się *annus carentiae;* po śmierci członka doliczano spadkobiercom dochód z całego kwartału — *annus gratiae.* Początkowo kapituła utrzymywała się z dóbr biskupich; w 1391 r. Jagiełło darował jej maj. Strzeszyn nad Dnieprem wraz z całym powiatem. Witold ofiarował 8 domów w Wilnie, a zczasem

z zapisów i darowizn powstały wielkie dobra kapitulne. Por. ks. J. Kurczewski „Biskupstwo wil." Wilno 1912. 105 sq. „Kościół zamk. w Wilnie" Wilno 1914. III. pass.

Do str. 8. Franc. Milikont Narwojsz (1742—1819), jezuita, wybitny prof. mat. w Szk. Gł. Lit. i Un. Wil. Józef Mickiewicz (1741—1817), jezuita, dziekan wydz. fiz.-mat. Un. Wil. Por. L. Uzięblo. Kwart. Lit. 1910. I. 81 sq. Jędrzej Benedykt Kłągiewicz (1766—1841), prof. teol., dogm. i hist. kośc. w Un. Wil., od 1828 r. do grudnia 1842 r. zarządzał djec. wil. Działalność bisk. K. naogół niedostatecznie znana sprzecznym ulega sądom. Por. Podr. Enc. Kośc. Warsz. 1910. XXI. 148 sq. Obszerny życiorys w duchu apolog. skreślił ks. Franc. Rogoziński (rkps B. O. K. Nr. 2900). Ks. bisk. A. Krasiński „Wspomnienia" Kraków. 1901. 68—74. Jan Kanty Chodani (1767—1823). prof. teol. mor. Un. Wil., wybitny kaznodzieja; uprawiał poezję, tłum. „Henryadę" Woltera. Odyniec „Wspomn." Warsz. 1884. 79. 87. Tadeusz Kundzicz (1747—1829), jezuita, prof. mat. w Szk. Gł. Lit. Por. Jundziłł. Pismo zbior. wil. 1859. 118. 119. Jan Cywiński, herbu Puchała, (1780—1846). Od 1842 r. admin. djec. wil. Por. Tygodnik Petersburski 1846 Nr. 94. Pam. rel.-mor. IV. XII.

Do str. 9. Rukojnie, miast. w pow. wileń., okr. wiejski i dobra o 18 w. na płd.-wsch. od Wilna przy trakcie oszmiańsko-mińskim. Michniszki, wieś w pow. trockim, gm. Troki. Brzostowski Paweł Ksawery, kanon. i archidj., refer. W. Ks. L., znany ze swej działalności społecz. w dobrach swych Pawłowie; był w Rukojniach proboszczem (1825—1827). W ostatnich latach życia proboszcz turgielski. Por. Généalogie de la maison Brzostowski. Rome 1797. 84 sq. Korzon „Wewn. dzieje Polski za St. Aug." I. 328 sq. H. Mościcki „Pod znak. Orła i Pog." Warsz. 1915. 260. W bibl. dzikowskiej rkps. (Nr. 19) p. t. „Historja Pawłowska od 1767 do 1795 r. etc." M. Baliński „Pam. o Janie Śniadeckim" Wilno. 1865. I. 891. II. 460 sq. Po rozbiorach Pawłów kupił Okt. hr. Choiseul-Gouffier, mąż Wiktorji Potockiej. L(eon P(otocki) „Pam. Kamertona" Poznań 1869. II. 277.

Do str. 10. Michał Goleniszczew-Kutuzow, obd. za 1812 r. tytułem „ks. Smolenskij", był gen.-gub. wil. dwukrotnie: od grudnia 1799 r. do lipca 1801 r. i od lipca 1809 r. do kwietnia 1812 r. O jego stosunku bardzo przychylnym do ludności polskiej i popularności, jaką zyskał, por. J. Frank „Pam." Wilno 1913. pass. Skibiński „Pam. aktora" Warsz. 1911 pass.

Łobarzewska z Narbuttów generałowa, późn. ministrowa Szyszkowowa, por. J. Frank. l. cit. pass. Przecławski „Al. Sem. Sziszkow" Russ. Starina 1875. XIII. Siostrę jej Frank zowie Dolińską, a nie Dalecką.

Autor myli się, twierdząc, że Eneasz Sylvius miał na myśli jedną tylko rodzinę; odpowiedni ustęp jego „Opisu Polski, Litwy i Prus" dotyczy wogóle stosunków obyczajowych na Litwie i brzmi: „*Matronae nobiles publice concubinos habent, permittentibus viris, quos matrimonii adiutores vocant. Viris turpe est ad legitimam coniugem pellicem adiucere. Solvantur*

tamen facile matrimonia mutuo consensu et iterum atque iterum nubunt. Pistorius „Poloniae hist. corp." Basileae. 1582. I. 2. Morawski korzystał prawdopodobnie z przekładu Niemcewicza „Zbiór pamięt. o dawn. Polsce", Warsz. 1822. I. 9—10.

Do str. 11. Generał Karol hr. Morawski, herbu Dąbrowa, z Zausza. Syn Ignacego, gen.-lejtn. wojsk lit., pis. W. Ks. L., posła na sejmy, marsz. Tryb. Lit., i Teofili z Radziwiłłów, siostry rodzonej Karola R. „Panie Kochanku". Ur. 1767 r., z pierwszej żony, Anny Jundziłłówny, córki Tadeusza, marsz. grodzieńskiego, miał córkę Teofilę (1791—1828) 1-o v. Józefową Starzeńską, 2-o v. Dominikową Radziwiłłową, 3-o v. gen. Czernyszewową, żonę ministra i faworyta Mikołaja I. Był więc dziadem Stefanji z Radziwiłłów Wittgensteinowej, (1809—1832), córki Dom. Radziwiłła. Według Bignona (Polska w r. 1811 i 1813. Wilno 1913. I. 157) za Katarzyny II za udział w powst. kościuszkowskiem zesłany i wrócony przez Pawła. Był pułk. wojsk lit., gen.-maj. wojsk. ros. i szamb. Aleksandra I. W 1812 r. wszedł w służbę Napoleona jako gen. jego sztabu. Po Jundziłłównie, która, rozwiódłszy się z nim, wyszła za Piotra Bielińskiego, później senatora Kr. Polsk., ożenił się z Jezierską, a po tej z Teresą Rempelówną. Umarł 6. X. 1841, przeżywszy i jedyną córkę, Radziwiłłowę, i wnuczkę, Wittgensteinową. Pochowany w Duszkowie, w Mińszczyźnie. Zausze, dobra poradziwiłłowskie nad Uszą, lewym dopł. Niemna, w pow. nowogr., gm. Horodziej, o 66 w. od Nowogródka, o 10 w. od Nieświeża, 7 w. od Horodzieja. Własność Teofili z Radziwiłłów Morawskiej, nast. Teofili z Morawskich Radziwiłłowej, z wianem przeszło do Wittgensteinów, a następnie do Hohenlohów. W 1785 r. bawił tu Stan. August, w 1818 r. — Aleksander I.

Do str. 12. Masonerja na Litwie powstała około 1770 r. w postaci loży „Złoty pierścień" w Białymstoku, która w tym właśnie roku zmieniła nazwę na „Przyjaźń" i rychło zawiesiła swoje prace. 1778 r. Mateusz Żyniew, star. starodubowski, otworzył lożę w Wilnie „Dobry pasterz", która w 1780 r. podzieliła się na trzy: francuską — „Dobrego pasterza" pod młotkiem pułk. Ant. Goddina, polską — „Gorliwego Litwina" pod młotkiem Żyniewa i niemiecką — „Świątynię mądrości" pod młotkiem Domin. Przezdzieckiego. Koło 1781 r. powstały jeszcze dwie: — „Doskonała jedność" i „Doskonała wierność" (żeńska). W tymże roku otwarto „Szczęśliwe Oswobodzenie" w Grodnie; w 1783 r. w Wilnie powstała jeszcze jedna — „Doskonałe milczenie". W okresie rozbiorów i w pierwszych latach porozbiorowych loże zawiesiły działalność. Została ona wskrzeszona koło 1810 r., przerwana w 1812-ym i ożywiona ponownie w 1816 r. W latach 1818—19 działało na Litwie 14 lóż: „Szczęśliwe Oswobodzenie" w Nieświeżu, „Węzeł jedności" w Nowogródku, „Pochodnia północna" w Mińsku, „Palemon" w Rosieniach, „Władysław Jagiełło" w Słucku, „Przyjaciel ludzkości" w Grodnie, „Złoty Pierścień" w Białymstoku, a w Wilnie — „Gorliwy Litwin", „Gorliwy Litwin reformowany", „Dobry pasterz", „Szkoła Sokratesa", „Słowiański Orzeł" (rosyjska) i „Doskonała jedność" (kapituła). W 1820 r. przybyła „Góra Tabor" w Mińsku. Wśród członków tych lóż znajdujemy prawie wszystkie

wybitniejsze osobistości litewskie i znaczną ilość duchowieństwa. „Gorliwy Litwin" w 1816—1818 r. liczył na stu kilkunastu członków 10 duchown. katol. (1 biskup, 1 prałat, 5 kanon. etc.). Prałat Michał Dłuski w roku śmierci miał za sobą 37 lat pracy masońskiej. Starszym od niego co do ilości lat pracy był J. Kościałkowski, star. kaczkowski, gdyż liczył ich 45, gen. Karol Morawski był zaś dopiero od 28 lat masonem. Ks. Stan. Załęski „O masonii w Polsce", Kraków 1908. S. F. Dobrianskij „Mason. łoži w Litwie" Wilno. 1911. K. Kaczkowski „Wspomn." I. 126 sq.

Do str. 13. Kościół św. Stefana, leżący przy końcu ul. tejże nazwy, obecnie wpobliżu toru kolejowego, założony został w 1600 r. przez jezuitę ks. Wysockiego. W 1737 r. ks. Jan Turczynowicz przy tym kościele założył Zgromadzenie panien marjawitek, które opiekowały się neofitkami Żydówkami.

Do str. 14. Zamkowa brama. Od 1505 r. Wilno było otoczone murem wysokim na 23 łokcie a długim na 450 prętów. W tych murach było 17 bram. Zburzono je na początku XIX w. Zamkowa brama, znajdująca się przy końcu placu katedralnego prawie na rogu Zamkowej ulicy, przetrwała do 1837 r. Por. Jan ze Śliwina „Przechadzki po Wilnie", Wilno 1859 i „Wilno z przed stu lat w akwar. Smuglewicza." Wilno 1912. Obecnie istnieje jedna tylko brama — Ostra, z kaplicą cudownego obrazu Najśw. Panny Marji.

Rustem Jan, wybitny malarz portretowy. Od 1787 r. adjunkt przy Smuglewiczu. Od 1807 r. do zamknięcia Un. Wil. prof. zw. malarstwa. Wielce zasłużony jako nauczyciel, był bardzo lubiony jako zacny człowiek. Smokowski, Wizer. i roztrz. nauk. Wilno. 1838. IV. 91—137. E. Rastawiecki „Słown. mal. polsk." Warsz. 1850. 145—150.

Do str. 16. Rejestracja strat, poniesionych przez obywateli litewskich w 1812 r., prowadzona była przez wznowiony na wiosnę 1813 r. Główny Komitet dla wojsk. powinności, który istniał poprzednio w 1812 r. od czerwca do opuszczenia Litwy przez Rosjan. Komitet ten w 1813 r. składał się z następujących osób: Adama Chreptowicza, wice-gub. Bobiatyńskiego, marsz. Wojciecha Pusłowskiego, Ignacego Lachnickiego, Onufrego ks. Lubeckiego, Adama Günthera, prezesa Sądu Gł., i marsz. Antoniego Łapy. W 1814 r. powołano jeszcze Tomasza Umiastowskiego i Antoniego Chrapowickiego, a w 1815 r. Jana Marcinkiewicza — Żabę, Chmarę, b. woj. mińskiego, Ogińskiego, Lipskiego, Kazimierza Platera Mayznera i Starzyńskiego. Straty według obliczeń Komitetu były olbrzymie. Gub. wileń. miała tylko w ruchomościach—19.273.007 rb. sr., gub. grodz. — 8.141.261 rb. sr., gub. mińska—10 miljonów rb. sr. Rząd rosyjski nigdy nie wypłacił odszkodowań, starając się uchylić od tego. Litwa powróciła do normalnego stanu dzięki fenomenalnym urodzajom 1813 i 1814 r. Por. J. Iwaszkiewicz „Rej. i indem. strat wojen. na Litwie po 1812 r." Warsz. 1917.

Ignacy Lachnicki, pułk. wojsk polsk. w 1789 r., autor cennej „Biografji włościanina, nad brzegami Niemna powyżej Łosośny mieszkającego" (Warsz. 1815), wybitny obywatel kraju i wzorowy gospo-

darz. Tłumaczył Woltera. Por. W. Enc. Ilustr. t. 41—42, str. 805. Uruski „Rodzina".

Do str. 17. T. zw. Komisja Radziwiłłowska utworzona była na podstawie ukazu z dn. 24 lut. st. st. 1814 r. dla oczyszczenia z długów sukcesji po zmarłym w 1813 r. Dominiku Radziwille, ordynacie nieświeskim, i oddzielenia dóbr alodjalnych od ordynackich. Działała ona do 1839 r.; generalnym prokuratorem był Michał Zaleski, b. podkomorzy rosieński, star. szwentowski, — sekretarzem generalnym z pensją 1200 rb. as. Konstanty Nowomiejski. Ważniejsze materjały do jej dziejów: „Pełny Zbiór Praw", „Dokumenty, odnoszące się do kom. Radziwiłłowskiej" (rkp. B. O. K. Nr. 319b), Karczewski „Pamiętnik" (rkps. włas. pryw.), Mikołaj Malinowski „Upadek fortuny radziwiłłowskiej" (rkps. włas. pryw.) Por. S. Rubinsztejn „Wileńskij Wiestnik" 1888 Nr. 61, 67, 68. J. Iwaszkiewicz „Bibl. Warsz." 1911.

Do str. 20. Jezno, miasteczko, nad jeziorem tejże nazwy o 103 i pół w. na zachód od Wilna, o 59 w. od Trok położone. Szklana ulica leży w żydowskiej dzielnicy Wilna, zwanej Czarnem Miastem, i prowadzi od ul. Wielkiej do zbiegu ul. J. Klaczki i Żydowskiej. Jest to typowa ulica ghetta.

Do str. 22. Niemczewski Zacharjasz, (1766 — 10. XII. 1820 r.) prof. matem., od 1817 r. dziekan wydz. fiz.-mat. Człowiek wykształcony wszechstronnie. „Łagodnego charakteru, wesoły", anegdociarz, „ścisły w obowiązkach, stateczny w przyjaźni, głęboko zastanawiający się. Dobroczynny za życia uwiecznił pamięć swej cnoty, zapisując około 5000 rubli na wieczny fundusz dla czterech ubogich uczniów przy szkole krożskiej, 100 cz. zł. na szpital parafji wojnickiej i do 700 rubli na wileński dom Dobroczynności". Por.: J. Bieliński „Uniw. Wil." Kraków III. 274 sq. L. Janowski „W promieniach Wilna i Krzemieńca", Wilno 1923. 209—10. Znosko Jan, ur. 1772 r. zm. 1833 r., od 1802 r. adjunkt, wykład. logikę, od 1815 r. prof. ekon. polit., dziekan wydziału mor.-polit. t. j. prawnego. Człowiek miernych zdolności, niedołężny profesor, zaledwie streszczający ekon. polit. Adama Smitha. Tłumaczył logikę Condillaca, prac oryginalnych nie ogłosił. Por.: J. Bieliński loc. cit. III. 361; Jundziłł „Pamiętniki" Kraków 1905. str. 64—65.

Do str. 23. Bobiatyński Michał, senator, był w latach 1813—1816 i 1823—24 wicegubernatorem wileńskim.

Do str. 29. Józef Gorski, marsz. gubern. wileń. (1830—1834), szamb. dworu ros., właściciel dóbr Ginteliszki w pow. telszewskim i Koźliszki w pow. wileńskim. Żona jego Katarzyna z domu Walentynowiczówna, siostra ks. Zubowowej, była 1-o v. za Pisanką, 2-o v. za Bobiatyńskim. Józef Zabiełło, marsz. kowieński w latach 1814—1817, syn Ignacego, kaszt. kowieńskiego, i Anny Białłozorówny, zmarł bezpotomnie. Stanisław Karwicki-Dunin, herbu Łabędź, syn Jana Nepomucena gen.-majora wojsk kor., posła na sejm czteroletni, marsz. cudnowskiego, i Eleonory z Moszyńskich; był właścicielem Karpowiec w pow. żytomierskim, prez. II depart. Tryb. wołyńskiego. Jako członek kom. prowincji wołyńskiej Tow. Patrjotycznego „okazał dużą rzutkość" w organizowaniu tej prowincji w 1821 r.; „figura ruchliwa a mizerna" podczas śledztwa okazywał „tem większą stra-

chliwość i skruchę, sam siebie nazywał tchórzem i wyznaniami swemi mnóstwo naraził ludzi" (S. Askenazy „Łukasiński" Warsz. 1908 II. 76.322); po roku 1825 żołnierz wojska rosyjskiego, zmarł w Woronežu 1834 r. Z Jukowską miał córkę Kazimierę za Złotnickim, marszałkiem szlachty, i Ewelinę za Madeyskim Leonardem, marszałkiem szlachty kijowskiej, „człowiekiem bardzo popularnym i bardzo bogatym" (Wspomnienia Wołyniaka, Lwów 1897, str. 36)

Do str. 32. Janowiczowa, stolnikowa, Brygida, córka Józefa Kaszyca, cześnika smoleńskiego, starosty czudniańskiego 1753 r., porucznika petyhorskiego 1763, posła z Inflant 1763, właśc. majątków w wojew. mścisławskiem i nowogrodzkiem, i Ewy z Bohdanowiczów (Boniecki. IX. 343), a żona Marcjana Janowicza, horodniczego 1770, regenta ziemskiego słonimskiego 1768—1780, cześnika 1775—1778, podczaszego 1780, podstolego 1782, stolnika wiłkomierskiego 1790 i posła na sejmy. (Uruski „Rodzina" V 365). Siostra jej Tekla umarła niezamężna. Syn jej brata Michała, Józef Kaszyc był oficerem 19 p. ul. (1812—1814), w 1830 r. marszał. nowogródzkim, w 1831 r. emigrował.

Do str. 33. Frank Józef (1771—1842), dr. med., syn Jana Piotra Franka, słynnego lekarza, profesora Uniw. Wil. 1804—1805, sam wybitny lekarz i uczony prof. początkowo patologji, potem med. praktycznej na Un. Wil. w latach 1804—1823. Kształcił się w Getyndze i w Pawji, odbył podróż naukową po Europie. Prof. kliniki terapeutycznej w Pawji, od 1796 r. do 1804 lekarz szpitala miejskiego w Wiedniu. Zasługi jego dla Un. Wil. są olbrzymie. Wpłynął bardzo dodatnio na organizację jego, na podniesienie poziomu i na rozwój. Klinikę wil. podniósł do wybitnej wysokości. Stworzył wileńską szkołę lekarską, do której należeli wszyscy wybitniejsi lekarze XIX w. na Litwie. Zawdzięcza mu wiele również Wilno, w którem założył szereg instytucyj, między innemi Tow. Lek. Wil., istniejące dotychczas, konwikt skarbowy dla niezamożnych studentów, ambulatorjum dla ubogich i t. d. Człowiek wysoko i wszechstronnie wykształcony, amator muzyki i teatru, wykwintny towarzysko wpływał również w wielkim stopniu na życie kulturalne Wilna, urządzając wspaniałe koncerty, przedstawienia amatorskie nawet opery. Pozostawił po sobie pamiętniki, wydane w 1913 r. w Wilnie przez d-ra Wł. Zahorskiego, a stanowiące prawdziwą skarbnicę dla każdego, kto chce się zapoznać z życiem naukowo-kulturalno-towarzyskiem w „Atenach litewskich" w pierwszej ćwierci XIX w. K. Kaczkowski „Wspomn." I. 67 sq. O zapatrywaniach szlacheckich na studjowanie medycyny: „Odrazę do medycyny w Litwie podtrzymywał jeszcze przesąd narodowy: że żaden szlachcic, czyli dobrze urodzony *(bene natus et possesionatus)*, trudnić się nie mógł łokciem, kwartą i doktorstwem, jako wyłącznie należącem do Żydów i Niemców." M. Czarnocki „Krótka wiadomość o Tow. ucz. Un. Wil." O wrażeniu studjowania medycyny przez autora pamiętnika: „Morawski (to) pierwszy panicz, oddający się ścisłym naukom, mającym widoczne zastosowanie, pomiędzy któremi pierwsze miejsce trzymała medycyna — i to zwróciło nań uwagę pierwszego przewodniczącego „Miłośników nauki." Tomasz Zan. Uwaga na marginesie rękopisu M. Czarnockiego: „Krótkiej wiadomości o Tow. ucz. Un. Wiln."

Do str. 34. Konstanty ks. Giedroyć był sekretarzem Sekretarjatu Stanu Królestwa Polskiego w Petersburgu. (Por.: Korespondencja Lubeckiego z Min. Sekr. Stanu. Kraków. 1909. III. 379). Ur. 1805, zm. 1844 r. szambelan dworu ros.

Do str. 36. Ksiądz Jakób Falkowski, dominikanin, kaznodzieja (1778—1836), uczęszczał na Uniw. Wil. w latach 1803—6. Nauczyciel szkoły powiatowej w Nowogródku. W latach 1820—1829 był przeorem klasztoru św. Jakóba na Łukiszkach w Wilnie, w latach 1829—32, przeorem w Dereczynie. Kazania jego ukazały się p. t. „Nowa kaznodziejska bibljoteka" Wilno 1823. 2 t. „Dzieło kaznodziejskie" Wilno 1829. 12 t. etc. Por. Podr. Enc. Kośc. XI—XII. 198. Lejboszyc albo Liboszyc Józef pochodził z Pragi czeskiej, umarł w 1824 r.

Do str. 38. Z Lubeckich Teresa Scipionowa, córka ks. Franciszka-Ksawerego, kasztelana pińskiego, i Genowefy Olizarówny, rodzona siostra ks. Franciszka-Ksawerego, ministra skarbu Król. Polskiego, wielkiego męża stanu, a żona Józefa Scipiona del Campo, starosty lidzkiego. Córka jej Marja poślubiła w 1807 r., mając lat 14, swego wuja, ministra. Teresa Scipionowa, siostra i teściowa zarazem, wywierała wielki wpływ na ministra. Por. K. Kaczkowski „Wspomn." 1876. I. 183.

Do str. 39. Tomasz Umiastowski, reg. ziem. lidzki, następnie oszmiański, regent Tryb. Gł. wil., od 1792 r. sędzia ziemski oszmiański, następnie prezes Sądów Gł. Prow. litewsk. Pracowity i niezmiernie zdolny. Wydał „Proces litewski", ogólnie używany. Popierany przez pis. lit. Sulistrowskiego dzierżawił od Kaz. Sapiehy, gen, art. lit. Gieranony i Lipniszki. W 1784 r. kupił Berdowszczyznę w pow. oszmiańskim. W 1794 r. był członkiem Rady Najw. Nar. Lit. Po upadku powstania emigrował, przekazawszy majątek bratu Jakóbowi. W 1796 r. kupił dla niego i brata Marcina Klewicę. Później nabył Orłowciszki, Gielożę, Giedunie, Kwiatkowce, Tomaszpol, Antonowo, Subotniki, Żemłosław i t. d., które po śmierci jego w 1822 r. przeszły na synów Jakóba: Antoniego, Ludwika i Kazimierza. Synowie Jana Umiastowskiego: Hilary, Hieronim i Jakób dostali 300.000 złp. Por.: Czesław Jankowski „Powiat Oszmiański" Petersb. 1896—1900. III. 126—128. Tamże portret, zniszczony podczas wojny ostatniej. Panny święto-wicholskie — zakonnice klasztorne p. p. benedyktynek przy kościele św. Michała w Wilnie.

Do str. 40. Barankiewicz Maciej, dr. med. i chir., lekarz szpitala św. Jakóba w Wilnie, działacz społeczny i autor kilku prac fachowych, zmarł w 1829 r. Zob. Bieliński. „Stan nauk lek." Warszawa 1886; Mościcki. „Pod znakiem orła". Lwów 1923. 223.

Do str. 42. Generał-gubernatorami Litwy od 1794 r. do 1850 r. byli w następującym porządku: 1) Mikołaj ks. Repnin, słynny ambasador Katarzyny II w Warszawie, od 30/X 1794 do 26/XI 1798 r., 2) Borys Piotrowicz O'Brien de Lacy od 26/XI 1798 do 26/X 1799, 3) Iwan Piotrowicz Goricz 13/XI — 19/XII 1799, 4) Michał Ilarjonowicz Goleniszczew-Kutuzow od 19/XII 1799 do 11/VII 1801, 5) Leoncjusz syn Leoncjusza

Bennigsen od 11/VII 1801 do 20/IX 1806 r., 6) Aleksander Michajłowicz Rimskij-Korsakow od 5/X 1806 do 3/VII 1809 r., 7) Michał Iłarjonowicz Goleniszczew-Kutuzow (powtórnie) od 3/VII 1809 do 17/IV 1812 r., 8) Aleksander Rimskij-Korsakow (powtórnie) od 17/IV 1812 do 24/XII 1830 r., 9) Mateusz Chrapowickij od r. 24/XII 1830 do 23/III 1831 r., 10) Mikołaj ks. Dołgorukow od 23/III 1831 do 18/III 1840, 11) Fiodor Mirkowicz od 1/IV 1840 do 28/II 1850.

Gubernatorzy wileńscy w tymże okresie: Jakób Bułhakow, b. ambasador Katarzyny II w Warszawie od 1797 r. do 1799; Iwan Friesel, b. wicegubernator w 1796 r., od 1798 r. do 1802; Moensch; Golicyn; Rückmann w 1806 r.; Bagniewski 1806 do 1808; Brusiłow od 1808 do 1811; Ławinskij 1811—1813; Franciszek ks. Lubecki 1816—1824 (nominalnie, za niego rządzili wicegubernatorowie); Piotr Horn 1824—1830; Obreskow 1830—32. Dopelmeyer 1833.

Gorecka Anna z Reuttów, żona Walentego, wojsk. wil., patrjoty i działacza w 1794 r. (był członkiem Rady Najw. Rządz., czł. Kom. indagacyjnej, czł. Dep. Centr. W. Ks. L., zarządzającym wydziału bezpieczeństwa) miała z nim oprócz 3-ch córek: Róży 1-o v. Wysogierdowej, 2-o v. Zambrzyckiej, Wańkowiczowej, matki malarza, i Zambrzyckiej, matki męża Wysogierdowej, — jeszcze dwóch synów; Antoniego, znanego poetę — bajkopisarza, i Rajmunda-Józefa. Charakterystykę jej domu, zgodną z opisem Morawskiego, podaje Odyniec („Wspomn. przeszłości". Warsz. 1884. 211). Tamże o jej śmierci. Por.: G. z Güntherów Puzyniny „Moja Pamięć" (pamiętnik, rkps. własn. pryw.) Syn Józef, karciarz i samobójca, był wogóle człowiekiem marnym. Stanisław Szumski w swym pamiętniku (1790—1851, rkps. włas. pryw.) notuje, że podczas odwrotu z Moskwy J. G. wiózł dwie ikony w bardzo drogich sukienkach, zrabowane w jakiejś rezydencji magnackiej, czy też w jakiejś cerkwi.

Do str. 44. Kozietulski Jan Leon, syn Antoniego, star. będzińskiego, i Marjanny Grotowskiej, sędz. ziem. rawskiej, ur. 1781 r., wszedł do wojska w 1806 r., za odznaczenie się pod Eylau w 1807 r. mianowany szefem szwadr. szwoleżerów gwardji, w 1808 r. w Hiszpanji dowodził szarżą pod Somo-Sierra, w 1809 r. za bitwę pod Wagram został oficerem legji honorowej, w 1811 otrzymał tytuł barona Cesarstwa Francuskiego. Chlubnie odznaczył się w kompanjach 1812—1814. W 1812 — major gwardji. W 1815 r. pułkownik 4 p. ułanów. W 1820 r. wziął dymisję. Umarł w 1821 r. Uruski „Rodzina" VII. 1910. 374. A. Rembowski „Sources docum. du regim. des chevaux-légers". Varsovie 1899. 596.

Do str. 45. Kossakowska hetmanowa, Teresa z Potockich, 1-o v. Hylzenowa, wojewodzina mścisławska, córka Michała, wojew. wołyńskiego, a żona Szymona, hetm. w. lit., powieszonego w Wilnie dn. 1794 r. Stan.-Kaz. Kossakowski „Monografje" Warszawa 1859, str. 261. Otton Ślizień „Z pamiętników" Pam. Tow. lit. A. Mickiewicza II. 1888 Uruski „Rodzina" XIV. 290.

Do str. 48. Nowomiejski Konstanty. Do jego charakterystyki: „Jednem z najmilszych wrażeń tej bytności w Zalesiu (1838 r.) było

poznanie p. Konstantego Nowomiejskiego, znanego oddawna memu ojcu. Pani senatorowa (Ogińska, żona Michała Kleofasa), której interesami kierował (bo znał się na prawie) nazywała go „*une mouche blanche parmi les noires*". Prawość, wypływająca z dobrze pojętej religji, była tłem jego charakteru i kluczem postępków; do tego dowcip miły i słodycz niewyczerpana, a choć stary kawaler, ani szarmant, ani gderacz; coś kapłańskiego namaszczało jego mowę i dziwnym przywilejem umiał prawdę mówić w oczy, nie gniewając nikogo, owszem zyskując nią coraz więcej przyjaciół" G. z Güntherów Puzynina „Moja Pamięć" (rkps. cytowany). Nowomiejski był członkiem Tow. Patrjotycznego i jako taki pociągnięty do sprawy tego Tow.; zaliczony do kat. VI-ej, t. j. członków, przyjętych przed wydaniem zakazu towarzystw tajnych i odtąd nieczynnych. S. Askenazy „Łukasiński" Warsz. 1908. II. 324.

Do str. 50. Fiorentini miał sklep z galanterją. G. Puzynina w „Mojej Pamięci" (rkps.) pisze: „Po rękawiczki paryskie, perfumy, biżuterje, bronzy, kryształy i różne graciki na przyjacielskie upominki jechano w wigilję imienin do Fiorentiniego, gdzie jedyne było natenczas wejście od rogu, a na ulicy już pachniał śliczny magazyn, w którym zawsze można było spotkać kogoś z eleganckiego świata".

Do str. 53. Emme inaczej Ema, lekarz w Nowogródku, wielki szuler, który często przy kartach zapominał o swych chorych. Pewnego razu zagrawszy się, spóźnił się tak, że pacjenta nie zastał przy życiu; wypadek ten miał dać powód przysłowiu: „Pan Ema, pan Ema, a gdzie twoja enema?" Zob. (Jackowski) „Powieść z czasu mojego." Poznań 1858. 18.

Do str. 55. Apolinara Platerowa, córka Tad. Żaby, ost. woj. połockiego, była za Kaz. Platerem, star. subockim. Zacna matrona umarła w 1847 r. Tadeusz Żaba, w 1770 r. podwoj. wileń., w latach 1780—83 kaszt. połocki, od 1784 r. woj. połocki, kaw. ord. św. Stanisława i Orła Białego, ces. tajny radca. Pan możny i bogaty, był star. kaniowskim Litwy. Sławny dzikością, okrutny, dumny niewyrozumiały. Przeszedł do pieśni ludowej i do przysłów. Ign. Chodźko. „Pam. kwestarza" Wilno 1850. 34. J. Bartoszewicz. Enc. Org. XXVIII. 907—908.

Radziwiłłowie żyrmuńscy. Żyrmuny (Żermony), miasteczko nad bezimiennym dopływem Dzitwy w powiecie lidzkim, 14 w. odl. od Lidy płn.-płn.-zachód, o 75 w. od Wilna przy drodze z Lidy do Wilna. Własność niegdyś Zawiszów. Z wianem Barbary Zawiszanki, wojw. mińskiej, żony Mikołaja XX Faustyna Radziwiłła, wojw. nowogr., przeszły w dom Radziwiłłów. Od syna Zawiszanki, Stanisława IV Radziwiłła, ur. w 1722 r., zm. w 1768 r., krajczego W. Ks. L., idzie linja R—ów żyrmuńskich. Syn jego z Franciszki Buttlerówny, Mikołaj, gen. wojsk lit., miał dwie córki: Julję 1-o v. Judycką, 2-o v. Mateuszową Radziwiłłową z Berdyczowa, 3-o v. Aleksandrową Lubomirską i Annę 1-o v. Narbuttową, 2-o v. Chrapowicką, instyg. lit., 3-o v. gen. Łaszkiewiczową (patrz rozdz. VII niniejszego pamiętnika str. 262 sq.) i czterech synów: Karola, Franciszka, Michała, pułk. wojsk polskich (ojca Marceliny Czartoryskiej, uczenicy Chopina) i Mikołaja. Ten ostatni z Narbuttówny miał dzieci: Mikołaja—Filipa, Stefanję, Wandę i Marję. Jedna

z nich za Tyszkiewiczem wniosła mu w wianie Żyrmuny. Franciszek „poczciwy i potulny", Mikołaj „miał ustaloną reputację nicponia pod wszystkiemi względami", Julja „piękna i rozumna, ale bynajmniej nie za wzór cnót uważana" (T. Bobrowski „Pamiętniki" Lwów 1900. I. 223 przypisek). Por.: Słownik Geograficzny XIV. Kotłubaj „Galerja nieświeska" Wilno 1857. 361. 373. sq.

Radziwiłłowie berdyczowscy idą od Udalryka I Krzysztofa (1717—1770), syna Mikołaja XX Faustyna, woj. nowogr., i Barbary Zawiszanki (por. J. Bartoszewicz. Pismo zbiorowe wileń. 1859. 132—158. Wł. Konopczyński „Feniks samojedny" Bibl. Warsz. 1911. II. 316—353). Z drugiej żony Eleonory Kamieńskiej Udalryk R. miał syna Mateusza, rzecz. radcę stanu ros., ożenionego z Zakrzewską a zmarłego w 1818 r. Ponieważ syn Mateusza Aleksander umarł młodo i wcześniej od ojca, Berdyczów przeszedł na Mikołaja R., syna Mikołaja, gen. wojsk lit., z Żyrmun. O R. berdyczowskich por. T. Bobrowski „Pamiętniki" Lwów 1900. I. pass.

Do str. 56. Tyzenhauz stary, Ignacy, syn Michała, star. posolskiego, i Barbary Zyberkówny, ojciec Konstantego, Rudolfa, Aleksandry hr Güntherowej i Zofji hr Choiseul-Gouffier, słynnej przyjaciółki Aleksandra I-go, autorki pamiętnika o nim, wyd. w 1829 r. i powtórnie w 1862 r. w Brukseli.

Do str. 57. Michał Römer, Ignacy Zawisza, Strumiłło, Wagner, Czarkowski, Karol Prozor byli aresztowani w sprawie Tow. Patrjotycznego. Por.: S. Askenazy „Łukasiński" Warsz. 1908. pass. H. Mościcki „Pod znakiem Orła i Pogoni" Warsz. 1915 pass. G. z Güntherów Puzynina „Moja pamięć", rkps.

Do str. 58—59. Autor pamiętnika, po śmierci Fatymy Siemaszkówny, nieletniej córki wuja, Siemaszki, mieszkającego w Paryżu i zmarłego tam koło 1829 r. odziedziczył sumę 80.000 franków. Dla wywindykowania tego spadku bawił w Paryżu w listopadzie i grudniu 1833 r. Ponieważ suma spadkowa została przywłaszczona przez niesumiennego adwokata i potrzeba było przeprowadzić przeciw niemu proces, prosił o przedłużenie urlopu jeszcze na trzy miesiące. Zostało mu ono przyznane, ale, nie otrzymując zawiadomienia o tem, zmuszony był udać się w podróż powrotną i rozminął się z urzędowym papierem. Z czasu pobytu w Paryżu przechował się list francuski do Turkuła, z którego dajemy następujący ustęp w tłumaczeniu polskiem: „Niewielką ilość czasu, która mi pozostaje, używam na zwiedzanie wszystkiego, co jest godne widzenia w Paryżu... Niestety, ileż rozczarowań przy widzeniu tego, co tak pompatycznie jest opisywane w tylu książkach przez tylu podróżników!... Przebiegam Paryż i w tych brudnych, wąskich i cuchnących ulicach, w tych placach, z których ani jeden nie ma rozmiarów przeciętnego podwórza Zimowego Pałacu, w tych małych, zanieczyszczonych teatrach, w których kuksają nieznośnie i cisną, nadaremnie szukam imponującego dostojeństwa, które wszak musi posiadać stolica świata... Wstyd mi, lecz muszę wyznać, że się zaczynam nudzić — w Paryżu! Zresztą proszę zważyć moje położenie. Rosjan w Paryżu niema, nie mogę i nie chcę zawiązywać znajomości z moimi rodakami, a Francuzi są zbyt zajęci sobą i zbyt zmęczeni obcokrajowcami, by chcieli zawierać z nimi stosunki towarzyskie..."

W 1835 r. wobec zagmatwania sprawy spadkowej Morawski starał się znowu o pozwolenie na wyjazd do Paryża. W liście do min. St. Grabowskiego pisze między innemi: „Postępowanie moje w Paryżu w czasie daleko burzliwszym, niż dzisiaj, nie zasłużyło na naganę. Toż postępowanie, jak się zdaje, dostateczną być może gwarancją, że ufności, położonej we mnie, nie potrafię nadużyć... Służba moja poczciwa tak pod naczelnictwem Jaśnie Wielmożnego Pana, jako i ta, którą w kilku wydziałach Min. Inter. Wewn. pełniłem, lubo od ostatniej wziąłem przed wyjazdem ze Stolicy dymisję, robi mi nadzieję, że Cesarz Jegomość pozwolenia... odmówić mi nie raczy..."

Tym razem jednak pozwolenia nie otrzymał. (Arch. Sekr. Stanu Kr. Polsk. w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. Fascykuły: Rok 1833. Nr. 2; 1835 — Nr. 264). Grabowski Stefan, syn Tomasza, generała wojsk lit., i Doroty z Ottenhauzenów, dzielny wódz w powstaniu 1794 r., obrońca Wilna, więzień ros., gen. bryg. 1812 r., dyrektor w min. wojny 1815 r., minister sekretarz stanu dla spraw Król. Polskiego 1825—1839. Zmarł w 1847 r. Por. Smolka „Koresp. Lub." Kraków 1909. I. XVI—XVII.

Do str. 59. Dołgorukow Mikołaj książę rządził Litwą od sierpnia 1831 r. do marca 1840 r. Objął urzędowanie po Chrapowickim, jego następcą był gen. Mirkowicz. Dosadną jego charakterystykę przez Morawskiego (patrz Aneks 11) w zupełności potwierdzają inni pamiętnikarze. Stanisław Szumski w swym pamiętniku (rkps. cyt.) pisze o nim: „tłuste sadło, jedzące i pijące, ...wiele złego dla Litwy przyniósł. On to bowiem pierwszy, wchodząc w intencję carską, dekatolizował nas, depolonizował demoralizował i dewalizował, do zbytku przymuszając". Podobnie G. z Güntherów Puzynina w rkps. „Moja pamięć": „Książę Dołgoruki, pan Wilna, satrapa, czerwono-siny, gruby, jakby słoń, o którym ktoś złośliwie, ale trafnie powiedział, że uosabiał śmiertelne grzechy. W rzeczy samej pycha błyszczała mu na piersiach, obżarstwo i lenistwo wypełniały mundur, gniew zapalał krew, a z oczu patrzyła mu zazdrość i coś jeszcze, o czem wspominać się nie chce". Kazimierz Skibiński w swym „Pamiętniku aktora" (Warsz. 1911. 304 sq) podaje obszerny opis fety, wydanej na cześć D-go przez marsz. Osztorpa w Dukorze. Prowokował on podobne uroczystości w celu zrujnowania ziemiaństwa polskiego na Litwie i łatwiejszego wysadzenia go z ziemi. Sobarri „Obr. Litews." Poznań 1874. 17—23. (p. dalej str. 515 sq.).

Do str. 61. Autor pamiętnika za zasługi, położone przy zwalczaniu cholery w Rosji, został odznaczony orderem św. Anny 3-go stopnia. Przy ustąpieniu ze stanowiska urzędnika Sekr. St. dla Król. Polsk. w 1838 r. otrzymał order św. Włodzimierza 4-go stopnia. (Arch. Sekr. Stanu Kr. Polsk. w Arch. Akt Dawn. w Warszawie. Rok 1838, fasc. Nr. 221). Ciechanowiecka, Paulina, córka Stanisława, marszałka czauszowskiego i Anny z Chrapowickich, zamężna potem za Konstantym Tyszkiewiczem.

Do str. 63. Turkułł Ignacy, ur. w 1797 r., zm. w 1857 r., syn Wawrzyńca, pazia Stanisława Augusta, po ukończeniu studjów uniwers. w Wiedniu w 1818 r. wicereferendarz Min. Skarbu w Warszawie, w 1822 r. dyr. kanc. Sekr. St. Kr. Polsk. w Petersburgu; w 1832 r. mianowany zastępcą

Stef. hr. Grabowskiego, min. sekr. st., w 1833 r. prez. Kom. Kodyfikac. Kr. Polsk., w 1839 r. minister sekr. st. i czł. Rady Państwa, w 1841 r. czł. Rady Ministrów. Faworyt Mikołaja I, zdolny urzędnik. Typ bardzo oryginalny. Zmarł w Warszawie jako min. sekr. st. Kr. Polsk., pochowany na Powązkach, gdzie mu rząd ros. rozkazał wystawić okazały pomnik. Por. J. Przecławski „I. Turkułł, min. sekr. stanu" — Russ. Star. 1875. XIV. 131 sq. St. Szumski „Pamiętnik" (rkps.). F. M. Faleński „Pamiętnik" (rkps). K. Wł. Wóycicki „Cmentarz powązkowski" Warszawa 1858.

Kożuchowski, główny plenipotent Stefanji z Radziwiłłów i Ludwika Wittgensteinów, przyczynił się ogromnie do rozwikłania ich interesów majątkowych, zaco został wynagrodzony sumą, dochodzącą miljona rb. sr. O nim obszernie Mik. Malinowski „Upadek fortuny radziwiłłowskiej" (rkps.)

Do str. 64. Kisielew Paweł, syn Dymitra, hr., rosyjski mąż stanu (1788—1872), minister dóbr państw. w latach 1838—1856, wyróżniający się swą owocną pracą. Faworyt Mikołaja I. Mąż Zofji Potockiej, córki Szczęsnego i Zofji de Czelicze. Por.; Zabłockij—Diesiatowskij. „Graf Kisielew i jewo wremia." Petersburg 1882 4 t.

Konstanty książę Lubomirski (1786—1870), syn Franc.-Ksaw. z linji dubrowieńskiej, gen.-por. wojsk ros., i Teofili Rzewuskiej, woj. podolskiej, generał-major w ros., marsz. szl. wołyńskiej 1841 r., żonaty z Katarzyną Tołstojówną (1789—1870), córką Mikołaja, wielk. mistrza dw. ros., właściciel Zdołbunowa i Piatyhor na Wołyniu. Odbył wojny napoleońskie w armji ros., brał czynny udział pod Frydlandem, Lützen, Bautzen. W 1830 r., nie chcąc walczyć przeciw wojskom polsk., kiedy dyw. jego otrzymała rozkaz wymarszu do Polski, prosił ces. Mikołaja o wysłanie na Kaukaz; gdy się ten nie zgodził, podał się do dymisji. Rozgniewany car udzielił mu jej 30 gr. 1830 r. z rozkazem, aby nigdy nie zjawiał się w Petersburgu. Por. ks. Z. Sz. Feliński „Pamiętn." Lwów 1912. 87. W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russ. Portr." V. Petersb. 1909. 167. 168. Bardzo pochlebna charakterystyka jego w Leona ks. Sapiehy „Wspomn." Lwów, wyd. I str. 76.

Do str. 66. Spohadać = współczuć, z białoruska. (Słown. Jęz. Polsk. Warszawa. VI. 1912. 310).

Do str. 71 sq. Nagurscy. Rodzina herbu Pobóg odm., osiadła na Żmudzi. Członkowie jej, żyjący w końcu XVIII wieku — ojciec Jakób, podk. żmudzki, i jego synowie — Kajetan, chor. szawelski, i Jan, poseł na sejm czteroletni, zrodzeni z Puzynianki, wyróżnili się chlubnie swą patrjotyczną działalnością podczas ostatnich lat istnienia dawnej Rzpltej. W 1792 r. ojciec ofiarował 100 tys. złotych na uformowanie stukonnej chorągwi, której rotmistrzem został syn, Jan, ze swej strony wystawiwszy jeszcze stu ochotników. W 1794 r. Nagurscy wystawiają znowu własnym kosztem pułk jazdy z 500 ludzi (1-szy pułk ks. Żmudzkiego) pod dowództwem Jana, mianowanego gen.-majorem ks. żmudzkiego. Kajetan N. wydał w 1782 r. w Wilnie „Lenglet du Fresnoy. Geografja krótko na lekcje podzielona dla nauki młodzi przez ...... podkomorzego księstwa Żmudzkiego na język ojczysty przełożona" (str. 317). W 1794 r. był czł. Rady Najw.

Nar. lit.. Po upadku insurekcji bawił na emigracji w Wenecji, gdzie również brał czynny udział w zabiegach około losów ojczyzny. Umarł w 1802 r. Por.: H. Mościcki „Generał Jakób Jasiński, Warsz. 1917. pass., M. Kukiel „Próby powstańcze po trzecim rozbiorze" Warsz. 1912 pass., Michał Ogiński „Memoires" Paris 1828 pass; Cz. Jankowski „Powiat oszmiański" I. Petersb. 1896. str. 359 sq.

Do str. 73. Karpiówna Joanna, ur. 1778 r. córka Benedykta, wyszła za Michała Tyszkiewicza z Wołożyna, rotm. kaw. nar. uczestnika 1812 r.; od nich poszła birżańska linja Tyszkiewiczów. Ojcem Michała był Józef, star. wielatycki (1724—1815), syn Michała hr. na Łohojsku i Berdyczowie. Z Karpiów Tyszkiewiczowa słynęła ze skąpstwa. Por.: Meysztowicz, „Karpiowie." Wilno 1907. 40. J. Frank „Pamiętniki" Wilno 1913. II. 220. O gałęzi Tyszkiewiczów wielatyckich, patrz Żychliński „Złota księga" X; Czesław Jankowski „Powiat Oszmiański" Petersb. 1897. II. 88 sq.

Do str. 75. Hufeland C. W. (1762—1836), jeden z najznakomitszych lekarzy niemieckich pierw. poł. XIX w. Od 1810 r. profesor patologji i terapji szczegół. w Uniw. berl. Założyciel pierwszej w Prusach polikliniki dla niezamożnych chorych. Filantrop. Wśród lekarzy polskich miał wielu uczniów, którzy w 1833 r. z Warszawy przesłali mu w hołdzie w dzień 50 jubileuszu doktoryzacji srebrny puhar z wierszem Osińskiego.

Do str. 77. Pryza = doza, szczypta, od francuskiego *priser le tabac*, zażywać tabakę.

Do str. 83. Siostra Marji de-Neri 1-o v. Nagurskiej, 2-o v. senatorowej Ogińskiej była za hr. Scotti. Por. „Wspomn. o rodz. Załuskich". Druk. jako rękopis 1907. (Kraków). Kurtowiany, miasteczko i obszerne dobra, o 3 mile od Szawel na Żmudzi. Przez Kajetana Nagurskiego w 1802 r. zapisane żonie, Marji de Neri, późniejszej Michałowej Ogińskiej. Następnie przeszły w ręce Bułharynów i Parczewskich, wkońcu Platerów. Słow. Geogr. IV. 940.

Do str. 84. Królowa Krystyna szwedzka i Monaldeschi por. K. Chłędowski „Rzym. Ludzie baroku". Lwów 1912. 354—358.

Do str. 85. Ogiński Michał Kleofas nie był i nie mógł być faworytem Pawła I, gdyż wrócił do kraju z emigracji dopiero w 1802 r. za pozwoleniem Aleksandra I. Paweł w 1799 r. stanowczo odmówił mu pozwolenia na powrót, obraziwszy się, że Ogiński zwrócił się o to za pośrednictwem ministra pruskiego. Ogiński „Memoires". Paris, 1826. II. 315.

Do str. 86. Amelja z Ogińskich Załuska, żona Karola, marsz. upickiego w 1829 r. a naczelnika rządu powst. w Upicie w 1831 r. Urodziła się w 1805 r. w Zalesiu. W 1826 r. wydana zamąż, umarła w Ischii w 1858 r. Dobra, zacna, rządna i dzielna kobieta, dobra żona, dobra matka dziewięciorga dzieci, wykazała w ciężkich chwilach życia (1831 r. 1846 r.) wielką tężyznę ducha. Oprócz niej Michał Kleofas Ogiński miał z Marją de-Neri jeszcze syna Ireneusza i dwie córki: Emmę Brzostowską, 2-o v. Wysocką i Idę Kublicką, która rzuciła męża i dzieci i uciekła z Moskalem. Ireneusz (1808—1863), tajny radca ros., ochm. dworu, szambelan, marsz.

szlachty pow. rosieńskiego, kurator szkół kowieńskich, wybitny obywatel kraju, znakomity gospodarz. Ożeniony dwukrotnie z siostrami Kalinowskiemi. Na synach jego, Bohdanie i Michale, wymarła gałąź książęca rodu Ogińskich. Por. „Wspomn. o rodz. Załuskich", druk jako rękopis; J. Gieysztor „Pamiętniki" Wilno 1913. M. Malinowski „Księga wspom." Kraków 1907.

Do str. 87. Senatorowa Ogińska bynajmniej nie kryła się później ze związkami swojemi z dygnitarzami petersburskimi. G. Puzynina, unikająca w „Mojej Pamięci" (rkps.) stale poruszania ujemnych stron swych współczesnych, opisując Zalesie, rez. Ogińskich, i całą ich rodzinę, powiada: „Sama zajmowała jedną z tych wież kwadratowych, której ściany wewnętrzne były mozaiką portretów generałów, książąt i hrabiów obcego nazwiska i nie krewnych. „*Ce sont mes amies*", mówiła otwarcie pani senatorowa, nie kryjąc bynajmniej, jakiego to rodzaju była przyjaźń". Umarła w 1852 r., pochowana w Pizie. Dzieje fortuny Mich. Kleof. Ogińskiego podaje w ogólnych zarysach Cz. Jankowski „Pow. oszm." Petersb. 1897. II. 139—200. Uratowanie Retowa, por. „Wspomn. o rodz. Załuskich".

Do str. 88. Ogińscy — Tadeusz i Ksawery. Ksawery, zm. 1837 r., refer. stanu Kr. Polsk., utalent. muzyk. Jego syn Feliks, refer. stanu, mistrz dw. ros., ożeniony z bar. Rönno, a powtórnie z Narzymską, zmarł bezpotomnie. Tadeusz, zmarły w 1844 r., oż. również z bar. Rönnówną (1-o v. Borewiczową) pozostawił trzy córki: Gawrońską, Krasicką i Wołłowiczową. Eksdywizja — nazwa postępowania sądowego, które pomiędzy wierzycieli wydzielało z majątku dłużnika ziemię w naturze, długami przeładowaną. Eksdywizje powodowały liczne procesy i zatargi na Litwie w pierwszej ćwierci XIX w., co m. in. odbijało się w licznych artykułach „Wiadomości brukowych". Zob.: Korowicki. „Proces cywilny lit". Wilno 1826. 217 sq.; „Dziennik Wileński" z 1816—17 r.; „Wiadomości brukowe", pass.

Do str. 89. Bennigsen hr. Leoncjusz syn Leoncjusza (1745—1826). Początkowo służył w armji niemieckiej. W 1775 r. przeszedł do służby ros. W drugiej wojnie tureckiej Katarzyny II pozyskał sławę wyb. dowódcy. W 1797 r. gen. major. W 1798 stracił zaufanie Pawła I i wysłany na Kaukaz, skąd wezwał go Pahlen w celu wciągnięcia go do spisku. Przybywszy tajnie nad Newę, wziął udział w morderstwie Pawła, bijąc go i dusząc własnoręcznie. „Człowiek bez zasad i cynik, twierdził potem bezczelnie, że nie ma powodu wstydzić się z powodu swego udziału w spisku". Aleksander jednego tylko jego nie usunął od siebie. W 1801 r. mianował go gen. gub. Litwy a w 1802 r. gen. jazdy. B. wziął wybitny udział w wojnach napoleon. W 1806 r. po bitwach pod Pułtuskiem i pod Eylau — głównodowodz. arm. ros. Za porażkę pod Frydlandem usunięty. W 1812 r. nacz. sztabu Kutuzowa, odznaczył się pod Borodinem i Tarutinem. W 1813 r. za bitwę pod Lipskiem otrzymał tytuł hrabiego. W 1818 r. dymisjonowany zupełnie. Z Katarzyną Andrzeykowiczówną miał dwóch synów: Adama i Aleksandra. „Był to typ kondotjera. Wysłużywszy w arm. ros. 45 lat nie nauczył się nawet mówić

po rosyjsku. Osypany rangami i orderami czuł się obco w Rosji i na formularzu swoim napisał: „Nie chciałem być wiecznie poddanym rosyjskim i nie jestem do tego zmuszony przysięgą". W. ks. Mikołaj Michajł. „Russ. Portr." IV. 5. Udział swój w zabójstwie Pawła opisał w swych pamiętnikach. Por. wyd. zbior. p. t. „Carieubijstwo 11 marta 1801 g." Petersburg 1908. 135 sq.

Pahlen hr. Piotr syn Aleksego (1745—1826). W 1769 r. brał udział w wojnie tureckiej. W 1787 r. gen.-major. W drugiej wojnie tureckiej odznaczył się pod Oczakowem. W 1795 r. gen.-gub. kurlandzki. Za Pawła początkowo w niełasce, dymisjonowany, potrafił jednak pozyskać zaufanie cesarza i doszedł do najodpowiedzialniejszych stanowisk, otrzymał tytuł hrabiowski i miał poleconą opiekę nad rodz. ces. Wciągnięty przez Panina do spisku, stanął na jego czele. Intrygami wyłudził od Aleksandra zgodę na detronizację Pawła. Po zabójstwie usunięty od wszystkiego, wysłany do majątku, gdzie umarł, chlubiąc się, że dokonał czynu wiekopomnego. W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russ. Portr." III. 186.

Zubow hr. Walerjan syn Aleksandra (1771—1804), młodszy brat ks. Platona, ostatniego kochanka Katarzyny II. (p. str. 498). Bardzo piękny mężczyzna wzbudził obawę w bracie, że może stać się jego rywalem, i wskutek tego wysłany do armji Potemkina, gdzie odznaczył się przy zdobyciu Izmaiłowa. W 1794 r. brał udział w wojnie polskiej, podczas której stracił nogę od kuli armatniej. W 1796 r. dowodził armją, wysłaną przez ks. Platona na podbój Persji. Za Pawła odwołany, mieszkał w swym majątku w Kurlandji, aż w 1800 r. mianowany dyr. 2 korpusu kadetów uczestniczył w spisku na Pawła. Za Aleksandra I czł. Rady Państwa. Ożeniony z Marją z Lubomirskich 1-o v. Protową Potocką. W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russ. Portr." V. 120.

Do str. 97 sq. Marjanna z Korwellów Morawska, żona Dominika M-go, h. Nałęcz, dyrektora teatru w Wilnie w latach 1796—1801. Po śmierci męża prowadziła teatr do 1807 r., poczem sprzedała go Każyńskiemu. Właścicielka domu przy ul. Trockiej i maj. Działuny w pow. wileńskim (24 w. od Wilna). Powtórnie prowadziła teatr w latach 1810—1811, zarwawszy aktorów. Por. Dr. Titius „Rys historyczny etc." Wiz. i roztrz. nauk. Pocz. II. 1841. K. Skibiński „Pamiętn. aktora" Warsz. 1911. 8. 43. 52. 54. Rulikowski „Teatr polski na Litwie" Wilno 1907.

Platerów, starostów giegobrodzkich, było paru; tu prawdopodobnie mowa o Kunegundzie z Wołłowiczów, córce Michała, starosty ugijskiego, a żonie Ludwika Broel-Platera, starosty giegobrodzkiego, syna Jana Ludwika i Emerencjanny Broel-Platerówny, starostwa giegobrodzkich, dziedziców Antuzowa, Piotrowszczyzny i Grawenburga. Uruski „Rodzina" XIV. 67.

Do str. 98. Zorycz Siemion Gawriłowicz, gen.-lejtn. wojsk ros., jeden z faworytów Katarzyny II, z pochodzenia chłop serbski. W 1778 r. wypadł z łaski i osiadł w darowanym mu Szkłowie nad Dnieprem, skonfisk. po I rozb. Czartoryskim. Słynął ze swej rozrzutności. Por. L. N. Engelhardt „Pamiętniki". Moskwa 1868.

Do str. 100. Soroka Skalnik Jerzy, prez. ziemski z Oszmiany, ur. koło 1750 r. w woj. wileńsk., wychowywał się i czas dłuższy bawił na dworze Adama Czartoryskiego, g. z. p. Czas pewien przebywał z poselstwem polskiem w Konstantynopolu. Po powrocie służył wojskowo. Z Czartoryskim podróżował zagranicą. Czas jakiś bawił na emigracji. Wróciwszy do kraju po śmierci ojca, osiadł w Krzywsku, maj. rodz. w Oszmiańskiem. Poważany dla cnót obywatel, rozjemca w sporach. W 1831 r. stanął na czele rządu powst. w Oszmianie i wydał odezwę, wzywającą do walki. Umarł w listopadzie 1831 r. w więzieniu ros. w Wilnie. „Miał ten charakter mocny i szlachetny, który nie zawodzi nigdy ani podczas pokoju, ani czasu wojny. Wspaniałej postawy. Strój polski, konfederatka i szeroka szabla przy boku nadawały mu wygląd typowy dawnego Polaka". J. Straszewicz „Die Polen etc." Stuttg. 1832—37. 238. Cz. Jankowski „Pow. oszm." Petersb. 1896. I. A. E. Odyniec „Wspomn." Warsz. 1884. 69. 70. Pamiętnik Soroki „Tyg. Ilustrow." 1881 r. Wrotnowski „Zbiór pam. o powst. Litwy". Paryż 1835. 255 sq.

Do str. 101. Wierzulin, dowódca oddziału wojsk ros., wysłany przez gen.-gub. wil. Chrapowickiego dla zwalczania powstania w powiecie oszmiańskim, a który w d. 14 kwietnia 1831 r. stoczył z częścią oddziału Karola Przezdzieckiego krwawą bitwę pod Oszmianą. Podczas tej bitwy mocno ucierpiało miasto i bezbronna jego ludność; Wierzulin wykazał względem niej nieludzką bezwzględność. F. Wrotnowski „Zb. pam. o powst. Litwy". Paryż 1835. 240—2.

Bieńkuński Felicjan, szamb. Stanisława Augusta, właściciel majątku Łubianka w pow. oszmiańskim, brat Seweryna; obaj synowie Michała B-go, strukcz. oszm., właściciela Łubianki, Sylwerstowszczyzny i Pogir. Wyjątkowy typ pieniacza. Słynne były jego procesy z bazyljankami wileńskiemi, właścicielkami Daukszyszek, z Stefanem Wereszczaką, podk. nowogródzkim, właścicielem Bołtupia, wreszcie z Jędrzejem Śniadeckim, który w 1806 r. stał się właścicielem tego majątku. Śniadecki zmógł nałogowego pieniacza i w 1815 r. wysadził B-go z Łubianki, otrzymawszy po rozparcelowaniu jej niemałą część. Znakomite dopełnienie charakterystyki B-go, podanej przez Morawskiego, zawiera pamiętnik Józefa Karczewskiego, pozostający w rękopisie. Por. Cz. Jankowski „Powiat Oszmiański" Petersb. 1896. I. 176—181; A. Wrzosek „Jędrzej Śniadecki" Kraków, 1910. 136 sq.

Do str. 103. Woelkowie bracia, Aleksander i Paweł, synowie aptekarza w Wilnie, obaj pozyskali stopnie dr. med. w Un. Wil. w 1824 r. Aleksander Woelk, pozostawiony przy Uniw., był początkowo prosektorem, następnie pomocnikiem prof. położnictwa i prowadzącym szkołę akuszerek. W 1836 r. mianowany prof. nadzw. farmakognozji i receptury w Akad. Med. Chir. Po zamknięciu tej uczelni pozostał w Wilnie i zasłynął jako akuszer. Umarł w 1869 r. J. Bieliński „Uniw. Wil." II. 334. III. 356.

Do str. 104. Karol Przezdziecki, syn Michała, pis. lit., i Mostowskiej Marji, dowodzący 21 p. wojsk lit. w 1812 r., kawaler legji honorowej, właściciel Smorgoń, ożeniony 1-o v. z Chrapowicką, 2-o v. z Kornelją Gorską, naczelnik siły zbrojnej pow. oszm. w 1831 r., emigrował i zmarł

w kwietniu 1832 r. w Królewcu bezpotomnie. Smorgonie skonfiskowano mu. Obszernie o nim pisze Puzynina w rkps. „Moja Pamięć". Por.: Czesław Jankowski „Powiat Oszmiański" Petersb. 1898. III. 177—192.

Antoni ks. Giedroyć — prez. gub. graniczny wileński, wychowanek ks. Stefana Giedroycia, bisk. żmudzkiego, patrz str. 357—359 niniejszego pamiętnika.

Gabrjel ks. Ogiński (1784—1842), syn Ignacego, star. dorsuńskiego, i Józefy z Ogińskich, woj. trockiej, ostatni z linji dorsuńskiej, właściciel Strawiennik, Kroń, Jewja i t. d. — olbrzymiej fortuny, jeden z wybitniejszych patrjotów polskich na Litwie w 1831 r. W 1812 r. dowodził pułkiem, w 1813—1814 pozostawał w sztabie Napoleona, oficer legji honorowej, potem długoletni prezes Sądu Główn. Lit., w 1831 r. stał na czele powstania w powiecie trockim i emigrował do Paryża wraz z żoną, Kunegundą z Broel-Platerów, córką Jana, star. subockiego; utrzymywał się tam z introligatorstwa. Cała jego magnacka fortuna została skonfiskowana. Za wstawiennictwem Ludwika-Filipa, który go znał osobiście i darzył przyjaźnią, uzyskał, trawiony nostalgją, w 1840 r. pozwolenie na powrót do kraju. Więziony 11 miesięcy, rychło po zwolnieniu umarł. Człowiek zacny, wysokiej kultury, bibljofil, starał się krzewić przemysł; założył w Strawiennikach przędzalnię oraz tkalnię. Oboje Ogińscy byli wysoce szanowani przez współczesnych. J. Straszewicz „Die Polen und die Polinnen etc." Stuttgart 1832—1837, str. 504 540. G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.)

Do str. 106. Seculi, właściwie Szekely, słynny ze swych okrucieństw dowódca oddziału pruskiego w 1794 r.; wzięty do niewoli przez Polaków w Bydgoszczy, ranny w lewą nogę kulą armatnią, przyśpieszył swój koniec, odrywając bandaże. Por.: Skałkowski „Jan Henryk Dąbrowski" Warsz. 1904. 342 (relacja Rymkiewicza).

Do str. 107 sq. Müllerowie. Według „Skazkowej" księgi R. 1795 w Arch. miejskiem Wil. Nr. 1972, karta 26 — „Jan, syn Jana, Müller, nowoosiadły, lat 46, nobilitowany w r. 1790, rodem ze Lwowa. Żonaty z panną Elżbietą Krauzówną, córką Jakóba Krauza, rodem z Warszawy. Ma synów dwóch: Xavier, lat 14, Stanisław, lat 11. Ma dom murowany na ul. Trójcy pod N-rem 427 przez samego kupiony od JW. Zienkowiczów na gruncie ziemskim. Zawsze żyje w mieście, nigdzie się nie oddalając przez lat 20. Dopiero mieszka w pałacu J. O. księcia Sapiehy generała pod 432" (Pałac Sapiehy przy ul. Śto-Jańskiej Nr. 21 był potem darowany przez rząd rosyjski organizacjom rosyjskim wileńskim na „Dom rosyjski", obecnie mieści się tu Centralny Związek Chrześcijańskich Związków Zawodowych). Bawi się handlem kupieckim. W r. 1789 był ławnikiem i delegatem na sejm, w r. 1791 sędzią apelacyjnym, w r. 1793 delegatem na sejm grodzieński i radnym" (Informacje udzielone łaskawie przez p. Wacława Studnickiego). Jan Müller był członkiem Dep. Centr. W. Ks. Lit. (H. Mościcki „Generał Jakób Jasiński" Warsz. 1917), burmistrzem Wilna, a ojcem Müllerów, o których pisze Morawski. Rodzina Müllerów, acz z niemieckiem nazwiskiem, była, jak widać z wyżej podanego, polską z ducha. Według informacji, łaskawie udzielonej przez

dr. Wł. Zahorskiego, w karecie Müllera wieziono hetm. Kossakowskiego na miejsce egzekucji. Dom Müllera, przy ulicy Niemieckiej Nr. 3 położony, dawniej pałac podsk. Fleminga, po nim Brzostowskich, mieścił w sobie również salę balową, w której odbywały się reduty, maskarady i t. p. zabawy. Müller miał zatarg z konfraternią kupiecką za to, że przy reducie otworzył „loterję". Stanisław Müller (1787—1847), b. kapitan artylerji gwardji ros., odbył kampanję 1807–1808 r., wydał u Zawadzkiego w 1830 r. dwutomowy „Słownik Polsko-Rosyjski", drugie wydanie zaś w 1841 r., „Słownik Francusko-Polski" 1826—28 r. Pozostawił w rękopisie „Słownik Powszechny Francusko-Polski" i „Wspomnienie podróży do Niemiec i Włoch" „Zadziwiająca dobroć serca i światły umysł powszechny zjednały mu szacunek, wielu nieszczęśliwych wspierał datkiem". Jan ze Śliwina (A. H. Kirkor) „Przechadzki po Wilnie" wyd. II, Wilno 1859, str. 292. Marjański, por. K. Kaczkowski „Wspomn." I. 86 sq.

Do str. 108. Awuls, z łac. *avulsus*, mały folwarczek bez wsi włościańskiej, do większej posiadłości należący.

Do str. 112 sq. Chackiewicz Ignacy, właściwie Chodźkiewicz. Por.: S. Askenazy „Napoleon a Polska", Warsz. 1919. III. 79. 408; H. Mościcki „Generał Jakób Jasiński" Warsz. 1917. 111. sq. 375. A. z Güntherów Puzynina „Moja Pamięć" (rkps. cyt.)

Do str. 112. Bułharyn Tadeusz, rosyjski autor i dziennikarz, Polak z pochodzenia (1789—1859), wydawca pism „Siewiernyj Archiw", „Syn Otieczestwa", „Siewiernaja Pczeła". Figura marna, ale pióro zdolne. Znienawidzony przez postępową część prasy rosyjskiej jako denuncjant przed cenzurą i policją. Puszkin puścił w obieg na niego swój znany epigramat. Autor niegdyś bardzo poczytnych romansów: „Iwan Wyżygin" i „Piotr Iwanowicz Wyżygin". „Pamiętniki" B-na wyszły w latach 1846—49 w języku rosyjskim i zawierają dość ciekawy obraz życia na Litwie od początku XIX wieku. Dosadną jego charakterystykę podaje Fryd. Skarbek „Pamiętniki" Poznań 1878. 181, ks. A. Krasiński „Wspomnienia" Kraków 1901. 59-60.

Do str. 115. Bobiatyńska Paulina z Montwiłłów, żona wicegubernatora Michała. O niej mówi Frank („Pamiętniki" Wilno 1913. I. 54): „Jego żona, również Polka, wcale niebrzydka, miała dziwnie naiwny wyraz twarzy, co nie było pozbawione pewnej oryginalności. Nie miała ona wprawy w języku rosyjskim i niekiedy prawiła rzeczy, których nie odważam się powtórzyć". Zm. w Dreźnie 11/IX 1820 r. w 33 r. życia.

Do str. 117. Zbasił się prawdopodobnie = stał się miękkim, przycichł, od słowa baśka. Słown. Jęz. Polsk. (Warszawa 1900—1915) tego słowa nie notuje.

Do str. 121. Jelska z Sapiehów, Emilja, podkomorzyna starodubowska, córka Aleksandra-Michała, kancl. w. lit., marszałka konfederacji generalnej W. Ks. L., i Magdaleny z Lubomirskich, a żona Franciszka Jelskiego, czł. Rządu Tymcz. w Wilnie w 1812 r. Zmarła w Wilnie w klasztorze klarysek 1835 r. „Sapiehowie". Petersb. 1894. III. 432.

Do str. 129. Rosołowski Stanisław (1797—1855). Gimnazjum skończył w Wilnie. Studjował medycynę w Un. Wil. Stopień dr. med. otrzymał w 1818 r. Mieszkał czas jakiś w Pińszczyźnie. Potem stale w Wilnie. Dokładny spis poezyj Rosołowskiego ogłosił Dr. Szeliga w „Bibliografji czasopism wileńskich" (1805—1860). Por.: J. Bieliński „Uniw. Wil." III. 465—466. Jan ze Śliwina „Przechadzki po Wilnie" Wilno 1859. 298—301.

Leduchowska Józefa z Truskolawskich (1780—1847), jedna z najznakomitszych artystek dramat. polskich. Scenę opuściła w 1833 r. Enc. Org. XVI. 790. W Wilnie, jak podaje Frank, („Pamiętniki" Wilno 1913. III. 240) debiutowała w lipcu 1822 r. „Była ona zachwycającą, szczególnie w roli Lady Mackbet. Wydałem na jej cześć wielki obiad artystyczny".

Werowski Ignacy (ur. w Wilnie 1783 r. — um. w Warszawie 1841 r.) W 19 r. życia wstąpił na scenę w Mińsku. Grał potem w Wilnie w teatrze Każyńskiego jako pierwszy komik. Wezwany do Warszawy przez Osińskiego przerzucił się do ról dramatycznych. Wystąpił ostatni raz w 1841 r. Umarł w parę miesięcy potem. Enc. Org. XXVI. 692.

Günther v. Hejdelshejm Adam, ostatni z rodu Michała Günthera, osiadłego z nad Renu w Polsce za Sobieskiego, czł. Izby Adm. depart. mińskiego 1812 r., nadzorujący szpitale wojskowe, czł. Kom. Centr. dla powinności wojen. dla gub. lit. i białor. w 1813 r., prez. depart. cyw. w Sądzie Gł. mińskim, prez. Tow. Dobrocz. w Wilnie, właśc. Dubrowlan w pow. święciańskim, Starzycy, Pokorszewa, Zamościa w pow. mińskim, ojciec Gabrjeli Puzyniny, miłośnik sztuki. Pozostały po nim obfite teki. Por. G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.)

Do str. 132—133. Obchody uniwersyteckie: Otwarcie roku akad. — M. Baliński „Pam. o Janie Śniadeckim" Wilno 1865. 748. Zamknięcie roku akad. — John of Dycalp „Kilka wspomnień uniwers." Wilno 1854. 52—56. Doktoryzacja — K. Kaczkowski „Wspomn." 1876. I. 138 sq.

Do str. 135. Jouy Wiktor Józef (1764—1846), autor dram. i powieściopisarz, czł. Akad. Franc. od 1815 r. W 1812 r. zaczął ogłaszać cykl powieści p. t. „*Ermite de la Chaussée d'Antin*", który zrobił mu imię w ówczesnej literaturze i zapewnił niezwykłą poczytność dzięki temu, że daje w eleganckiej, dowcipnej formie obraz współczesnego społeczeństwa. Obecnie zupełnie zapomniany.

Faublas. *Amours du chevalier de Faublas*, słynny romans Louvay de Couvray, wydany w 19 częściach w latach 1787—1790. Jest to nieprzerwany łańcuch awantur miłosnych młodego szlachcica franc. XVIII w., znakomicie odtwarzający lekkie obyczaje ówczesne. Jedną z bohaterek tego romansu, postacią czystą, dodatnią pod każdym względem, zbawiającą bohatera, jest Polka.

Do str. 139. Józef Zawadzki, ur. w Poznańskiem w 1778 r., zmarły w Wilnie w 1838 r., wybitny i niezwykle czynny nakładca wileński. Księgarnię prowadził od 1805 r., wydał 400 dzieł, pomiędzy któremi kilkadziesiąt wysoce wartościowych, naukowych. Księgarstwo traktował jako działalność społ.-kult., zachęcał autorów do pisania, chętnie podejmował się

nawet bardzo kosztownych nakładów i w taki sposób przyczynił się wielce do podtrzymywania i rozwoju ruchu literackiego na Litwie. Wysoce ceniono go za przymioty umysłu i serca i otaczano powszechną przyjaźnią i szacunkiem. Synowie jego prowadzili księgarnię w tym samym duchu. Firma i księgarnia istnieje dotychczas w ręku rodziny. W ostatnich czasach ożywiła znacznie swą działalność. Por. Enc. Org. XXVIII. 364. M. Baliński „Pam. o Janie Śniadeckim" Wilno 1865. 834.

Renner Jan, naucz. muzyki w Un. Wil., wykładał 3 godz. tygod. teor. i prakt. w 1826 r. W późniejszych prospektach lekcyj do zamkn. Un. nie spotyka się jego nazwiska. (J. Bieliński „Un. Wil." III. 303). „Muzyk Renner, przestając z motłochem po szynkarniach, lecz biegły fortepianista, bawiąc pana kuratora i księżnę Zubow brudnemi śpiewkami i płaską bufonadą, otrzymał posadę w Uniwersytecie z pensją 400 rs.; godny ten kolega wyciera uniform haftowany po szynkowniach" (Lelewel „Polska, dzieje jej etc.", Poznań 1859. VII. 314). „Jan Renner, nauczyciel muzyki, był duszą tych zebrań (u rodz. autorki); o jakiej bądź porze posłać do niego, stawił się natychmiast z cukierni czy łóżka. Zawsze rozczochrany, zawsze zaspany, cóż było robić? byle grał, śpiewał i tańczył" (Puzynina „Moja Pamięć" rkps.) Por. „Prozą i wierszem" przez autorkę „W Imię Boże". (Gabr. Puzyninie). Wilno 1856. Jan Renner. Opowiadanie artystyczne.

Do str. 142. Gastel Antoni, b. kapitan wojsk polsk., b. kupiec, był członkiem loży mas. „Gorliwy Litwin", a potem „Dobry pasterz".

Szurłowski i Jacek Krysztalewicz. „W Wilnie słynął przez długie lata poeta Szurłowski, którego imię i pamięć żyje dotąd w tradycji miejscowej. Oprócz bowiem własnych konceptów służył chętnie za parawan innym, którzy nieraz z za plec jego satyryczne strzały puszczali, a on ich imion, jak sekretu spowiedzi nie wydał... Ja go już w Wilnie nie zastałem przy życiu, zastępujący zaś niejako miejsce jego Krysztalewicz, żyjący także z jałmużny i to prawie studenckiej, był to poprostu pół-warjat, idjota..." (A. E. Odyniec „Wspom. z przeszł." Warsz. 1884. 128. 131). „Wkrada się jakiś człowieczek pokorniuchny, bladej twarzy, wycieńczony widocznie ciągłem natężeniem myśli i bezsennością, z uśmiechem pełnym dobroci, z rzemiennym ośmiokątnym kartuzem (czapką p. w.) pod ręką i sporym zwojem papierów w drugiej ręce" (John of Dycalp. „Kilka wspom. uniw." Wilno 1865. 4) Obszernie dzieje tego nieszczęśliwego człowieka, niegdyś studenta Uniw., który zwarjował wskutek natężonej pracy i bolesnych przejść, podaje A. Walicki w dłuższem opowiadaniu. Kraj. Petersb. 1892. Nr. Nr. 25 i 26. Por. Cyprinus (Przecławski) „Kalejd. wospom." Russ. Arch. X. 1872, str. 2277. Teobald „Wospominanja." Wilno 1890. II. 20 sq. „W. Enc. powsz. ill." XI. „Wspomnienie o Krysztalewiczu" w John of Dycalpa „Chaosie" Wilno 1842 str. 191—195. John of Dycalp „Anegdoty i fraszki". Wilno 1847, str. 19—20.

Do str. 143 sq. Szydłowski Ignacy (1793—1846), pisarz wzorowy, biegły znawca w rzeczach piśmiennictwa, syn duchown. unickiego z Hajna w pow. borysowskim. Szkoły średnie skończył w Mińsku, uniwersytet w Wilnie ze stopniem mag. fil. Początkowo był nauczycielem wymowy,

poezji i hist. lit. w Grodnie, następnie do 1826 r. w Wilnie. Do 1828 r. był cenzorem ksiąg. Od 1832 r. wydawał „Wizer. i roztrząs. naukowe". Mnóstwo jego artykułów w „Dzien. Wil.", w „Dziejach Dobrocz.", „Tyg. Wileń." „Wiadom. Brukowych". „Szydłowski gruntowną i rozległą posiadał naukę, pilnie uważał, mocno się zastanawiał, lotnie obejmował i roztrząsał, trafnie wnioskował, słusznie oceniał, umiejętnie wybierał, sprawiedliwie wyrokował, przewybornie pisał... Zakończył życie w ubóstwie. Dowcip, wesołość, obfita rozmaitość w rozmowach miłym go i poszukiwanym w posiedzeniach czyniły" E. Tyszkiewicz „Opis. pow. borys." Wilno 1847. 277 sq. Por. Enc. Org. XXIV. 857. M. Baliński „Pam. o Janie Śniadeckim" str. 801. „Tyg. Ill." 1896. II, 781. Ujemna charakterystyka u Mik. Malinowskiego „Księga wspomnień" Kraków 1907. 78. „Człowiek oddany haniebnemu nałogowi pijaństwa, a wszelkiemi nienawiściami nienawidzący ludzi, głównie zaś Mickiewicza... mając sam siebie za wielkiego poetę... Nie przestawał dostarczać Pelikanowi wiadomostek, które można było za buntownicze przedstawiać".

Do str. 144. Abramowicze, h. Abramowicz czyli Jastrzębiec odmiana, stara szlachecka rodzina, pochodząca z Mazowsza, w XVI w. osiadła na Litwie w Wornianach w pow. oszmiańskim (Czesław Jankowski „Powiat Oszmiański" Petersb. 1892. III. 135—156; Uruski „Rodzina" I. 3) W XVII w. już liczyła dwóch wojewodów: Jana smoleńskiego (zm. 1602) i Mikołaja mścisławskiego (zm. 1651), myli się więc Morawski, przypisując im pochodzenie żydowskie.

Mikołaj i Ignacy Abramowicze byli synami Andrzeja, star. hubskiego i citowskiego, i z domu Sierakowskiej.

Mikołaj Abramowicz był podp. wojsk polsk. w 1812 r., marsz. pow. wil., szamb. dw. ros.; powiesił się w 1836 r. Szczegóły ożenienia się z Cichocką, Bachmińską z domu, podaje J. Frank („Pamiętniki" Wilno 1903. II. 138 sq.), o jego sposobie życia, rodzinie, żonie, domu — Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.). Niesłusznie pisze o nim Morawski, że występował jako szpieg Napoleona w wojsku rosyjskiem: Stanisław Szumski w swym „Pamiętniku" (rkps.) szczegółowo opisuje, jak napotkał i przeprowadził do oddziałów francuskich Abramowicza, wysłanego przez ks. Bassano z Wilna do Napoleona. Ignacy Abramowicz, oficer wojsk polsk., pułk. wojsk ros. na Kaukazie, następnie gen. lejt., oberpolicm. m. Warszawy za czasów Paskiewicza, admin. księstwa Łowickiego, dyr. teatrów warsz. W 1818 r. sprzedał swój majątek Dubrowlany w pow. święciańskim Adamowi Güntherowi, ojcu Puzyniny i, jak mówi ona w swym pamiętniku, „poleciał do Paryża, by tam całą wartość dziedziczną (miljonową), rozłożoną na raty, przez lat kilka zjeść, przehulać, jednem słowem, puścić z dymem". O roli Ignacego A-cza: „Używano wtedy (1841 r.) życia aż do użycia. Ale tak właśnie rząd opiekuńczy uprzejmie życzył, więc sposobności po temu nie brakło, — owszem na każdym kroku ją nastręczano. Bystrym nadzorcą wszelkich możebnych uciech w tej liczbie prezesem dyrekcji teatrów był naonczas wielce poufny Paskiewiczowi oberpolicmajster Abramowicz, zaczem samo już połączenie dwóch tych władz w jednem ręku dostatecznie o ich wzajemnej pomocy objaśnia.

Więc tedy dramatu jakiegoś podnioślejszego ani było marzyć. Szekspira, Boże uchowaj, zato komedje, ile możności, jak najweselsze, najbrudniejsze i najgłupsze" F. M. Faleński „Pamiętnik" (rkps.) Słynna była w swoim czasie awantura między Ig. A-czem a tancerką Lolą Montez. Por.: K. Skibiński „Pamiętnik aktora" Warsz. 1912 248—257.

Do str. 146 sq. Kontrym Kazimierz, syn Józefa, pogrobowiec, urodził się w 1776 r. w folwarczku Bohdanowie, w pow. wilejskim, własności ojca, kształcił się w Wilnie; w 1794 r. służył jako szeregowiec w artylerji, w 1795 r. mianowany regentem wydz. krym. „b. Litewsk. Zarządu Najwyższego", w 1796 — sekretarzem wileńskiego rządu gubernjalnego, w 1797 — archiwistą Sądu Nadw. gub. lit. wil., w 1799 — sekretarzem cenzury wileńskiej, w 1803 — buchalterem Uniw. Wil., w 1805 — pomocnikiem bibljotekarza z tytułem adjunkta. W 1808 opuścił bibljotekarstwo i został sekretarzem Un., w 1812 r. obok tego — sekretarzem Kom. Skarb. Komisji Rządzącej oraz konsyljarzem Kom. Policji. Ocalony od represyj rosyjskich po ustąpieniu Napoleona przez ks. Czartoryskiego, w 1814 r. wraca na swe poprzednie stanowisko do bibljoteki Un. W 1818 r. proponowano mu stanowisko dyrektora w bibljotece Un. w Warszawie; odmówił temu zaproszeniu, czując się zbyt związanym z Wilnem, gdzie był założycielem Tow. wspierania niedostatecznej młodzieży, redaktorem „Dziennika Wileńskiego", najczynniejszym członkiem Tow. Szubrawców i wszystkich innych stowarzyszeń. „Najużyteczniejsza sprężyna widoków Czartoryskiego o dobro kraju" (Zan.) Podczas procesu Filaretów organizował pomoc więzionym. W 1824 r. złożył podanie o dymisję, której mu udzielono w 1825 r. bez emerytury. Na żądanie Nowosilcowa „ten człowiek, działający od lat dawnych na szkodę szkół i ku szerzeniu ducha niespokojnego w sposób najbardziej skryty i dość chytry" w kwietniu tego roku przemocą wydalony z Wilna. Zamieszkał na prowincji w Niestaniszkach u siostry, następnie u brata na Żmudzi. W 1828 r. objął posadę redak. „Biblj. Handl." wydaw. przez Bank Polski w Warszawie. W 1829 r. odbył wycieczkę na Polesie dla poznania kraju pod wzgl. handl.-wytw. Opis tej wycieczki ukazał się w Poznaniu w 1839 r. W 1831 r. czł. rządu insur. w Rosieniach w wydz. wojsk. następnie radca wydz. Skarb. Rz. Centr. dla Litwy. Nie emigrował, uszedł prześladowań, umarł w Szydłowie na Żmudzi w 1836 r. Por. M. Brensztejn „Bibl. Uniw. w Wilnie do 1832 r." Wilno. 1922. pass.

Do str. 147. Sękowski Józef. Obszerne o nim wspomnienie i charakter. przez autora pamiętnika w „Ateneum" Warsz. 1898. I. oraz „Moje wspomnienia z Petersburga (1827—1838)", które ukażą się wkrótce nakładem Inst. Wyd. „Bibl. Polska". Por. Mościcki. „Pod zn. Orla." Lwów 1922. 237.

Mianowski Mikołaj (1783 w Łucku — 1843 w Solecznikach). Uniwersytet ukończył w Wilnie w 1802 r. ze stopniem dr. fil., zajmował się botaniką i był pomocnikiem Jundziłła w ogr. bot. Po przyjeździe Franka zaczął studjować medycynę. W 1805 r. mag. med., w 1807 r. — dr. med. W 1809 r. adj. Un. Wil., w 1810 r. — wykłada fizjol., w 1812 r. jako zastępca wykłada po Lobenwejnie anat. oraz akuszerję. W 1815 r. prof. nadzw. fizj.

W latach 1816—17 podróżował zagranicą. W 1818 r. objął katedrę położnictwa. Sumienny prof., świetny praktyk. Po Lobenwejnie dziekan wydz. med. wykazał dużo energji. Jeden z założycieli Tow. wspier. biedn. uczniów. Za rektorstwa Pelikana powtórnie dziekan do zamkn. Un. Likwidował Uniwersytet. W 1832 r. czasowy prez. Akad. Med.-Chir. później jej rektor. W 1842 roku wyszedł w stan spoczynku. Inteligentny, dobitnie zaznaczył się na wszystkich swych stanowiskach, ale jednocześnie zasłużył na miano „szambelana dworu słonimskiego" t. j. poplecznika Nowosilcowa. Por. J. Bieliński „Stan nauk lekarskich". Warszawa 1889. K. Kaczkowski „Wspomn." 1876. I. 78.

Ignacy Emanuel Lachnicki (1793—1826), synowiec Ignacego (p. str. 466), dr. fil. Un. Wil., wydawca „Pam. magn." w latach 1816—1818 i 1826—28. Był ojcem Cyprjana, miłośnika i zbieracza dzieł sztuki, dyrektora honor. t. zw. „Muz. Sztuk Piękn." w Warszawie za czasów rosyjskich, szamb. dw. ros., który testamentem w 1906 r. przekazał Muzeum Miejskiemu w Warszawie swe cenne zbiory sztuki. Por. M. Malinowski „Ks. Wspomn." 1907. 90.

Poszman Antoni — głośny na pocz. XIX w. mistyk. Zob.: P. Chmielowski „Liberalizm i obskurantyzm". Warszawa. 1898. 90 sq.

Do str. 156. Kościół franciszkanów pod wezw. Wniebowzięcia N. P. Marji mieścił się wraz z obszernym klasztorem przy ul. Trockiej. Był to jeden z najstarszych i najokazalszych kościołów wileńskich. Zbudowany wraz z klasztorem w XIV w. Kilkakrotnie był niszczony — przez Tatarów, Moskali (1406, 1655), przez Szwedów (1705), przez Francuzów (1812). W 1864 r. kościół władze ros. zamknęły i przebudowały na Arch. og. juryzdykcyj sąd. W takim stanie trwa dotychczas. W murach poklasztornych mieści kilka inst. użytecz. publicznej.

Do str. 157. Zakret właściwie Zakręt, lesista miejscowość na zakręcie Wilji. Stan. Radziwiłł, marsz. W. Ks. L., darował ją jezuitom, którzy tu wybudowali pałac i kaplicę. Po kasacie kupił go bisk. Massalski, po którym odziedziczyła bratanica Helena 1-o v. ks. de Ligne, 2-o v. Winc. Potocka. Drogą kupna przeszedł później do Bennigsena, od którego kupił go Aleksander I. W 1812 r. mieścił się tu szpital, który spalił się ze wszystkimi chorymi. Obecnie własność Uniw. im. Stef. Batorego; ma tu być założony ogród botan. Przysłowie „Zarobił jak Zabłocki na mydle" znane w całej Polsce, o jego pochodzeniu zob. Wójcicki. „Przysłowia narodowe". Warszawa 1830. III. 177. W okolicach Wiłkomierzu i Upity istniało przysłowie:

Zarobił, jak Zabłocki na mydle,
Sworacki na bydle,
Kurzeniewski na hucie,
Rymsza na reducie.

Do str. 158. Kolegjum księży pijarów przy ul. Dominikańskiej, mieściło się w domach, istn. dotychczas pod Nr. Nr. 3 i 5. W 1799 r. Ant. Kaz. Sapieha darował je pijarom, którzy pomieścili tu klasztor i *Col. Nobilium*. W 1756 r. dzięki intrygom jezuitów kolegjum zamknięto i pozwolono prowadzić konwikt dla 26 młodz. W 1834 r. rząd ros. skonfiskował je

i urządził w 1848 r. Inst. Szlachecki, zamknięty w 1863 r. W latach 1870—1915 mieścił się tu Inst. Maryjski Panien, podczas wojny świat. okup. urzędy niemieckie, po zajęciu Wilna przez wojska polskie — urzędy Zarządu Cyw. Ziem Wschodn., a od 1920 r. — komenda policji.

Do str. 160. O pochodzeniu przysłowia „Wyrwał się jak Filip z Konopi" zob. Darowski. „Przysłowia polskie". Poznań 1874. 39 sq. Przysłowie: „Szukszta Pukszta" itd. istnieje też w warjancie:

Szukszta, Pukszta, Łopatta, Puciata,
Zebrały się kpy z całego świata.

i jest satyrycznem odbiciem walk sejmikowych w rosieńskiem, na Żmudzi.

„Lepszy Pan Bóg, jak pan Rymsza" — o pochodzeniu tego przysłowia mówi Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" (Ks. XI), wspomniany tam proces z dominikanami prowadził Ignacy Rymsza, oboźny nowogródzki.

Do str. 161. Białopiotrowicz Jerzy, h. Habdank, strażn. lidzki, w 1771 — łowczy lidzki, sekretarz pieczęci mniejsz. litews., w 1780 r. sędzia grodzki nowogródzki, czł. Rady Nieustającej, nast. pis. wojsk. lit. do 1787 r., rotm. kaw. nar., w 1792 deput. do ułożenia kodeksu praw, w 1794 r. czł. Rady Najw. Rząd. i Dep. Centr. W. Ks. L. w Wilnie, wybitny patrjota, szanowany dla swych cnót obywatelskich. Um. 1817 r. Por. Dzieje dobr. kr. i zagr. II. 470.

Do str. 167. Malewski Szymon (1759—1832), rektor Un. Wil. w latach 1816—1822. Studja kończył w Szk. Gł. Lit., przy której zostawiono go jako wiceprof. Za Targowicy mianowany prof. zw. prawa przyrodzonego i ekonomji. Potem sekretarz Un. Wil., dziekan, w końcu rektor. Świetny administrator. Pełen taktu. Za czasów jego rektorstwa Uniw. doszedł do punktu kulmin. rozwoju „Posiadał mało nauki i nie napisał ani jednej książki. Łagodny, ale jednocześnie stanowczy, żył w zgodzie z całym światem. Nikt lepiej nie znał Uniw., ponieważ był on prawą ręką poprzednich rektorów." J. Bieliński „Un. Wil." III. 71—75. J. Frank „Pamiętn." pass.

Jundziłł Stanisław Bonifacy (1761—1847). Pijar. Początkowo nauczyciel w konwikt. pijar. w Rosieniach, Wilnie, Szczuczynie. Słuchał wykł. w Szk. Gł. Lit. W 1791 r. wydał „Opisanie roślin lit." i został wiceprof. Sz. Gł. Następnie kształcił się w nauk. przyr. zagranicą. Powróciwszy 1797 r. założył Ogr. Botan. i był jego dyrekt. W 1801 r. mianowany prof. zw. publ. W 1822 r. wyszedł do emerytury. Oprócz szeregu dzieł przyrodn. pozostawił po sobie dwa pamiętniki. Jeden — osobisty — ogłosił w Krakowie 1905 r. dr. Kurpiel, drugi — zawierający hist. Uniw. Wil. p. t. „Zbiór ułamk. wiadom. etc." zaginął w całości. Ustępy zostały ogłoszone w „Piśmie zbior. wil." (1859 r.) i w Sobarriego „Obrazk. lit." (Poznań 1874) wreszcie w L. Janowskiego „O pism. histor. i liter. Jundziłła" („W promieniach Wilna i Krzemieńca" Wilno 1923). Życiorys jego ogłosił Jan Jundziłł w Bibl. Warsz. 1850. I. 15 sq. Dziukiem, od słowa dziuk = uderzenie, szturchnięcie, a więc = skokiem. (Słow. J. Polsk. Warszawa. I. 1900. 659).

Do str. 173. Spór o Krzemieniec zapoczątkował H. Rzewuski swemi: „Mięszaninami obyczajowemi Jarosza Bejły". Brał w nim go-

rący udział w obronie Krzemieńca dr. Karol Kaczkowski; jego artykuły były umieszczane w „Gwieździe" i „Atheneum" wileńskiem.

Dr. Karol Kaczkowski (1797—1867) wybitny lekarz-praktyk, prof. higjeny w Krzemieńcu, prof. med. praktycznej w Un. Warsz., generalny lekarz sztabowy w polsk. 1831 r. Po upadku rewolucji mieszkał do 1835 r. we Lwowie, potem na Wołyniu. Przebywał również w Odesie. Przeniósł się następnie do Żytomierza, gdzie był kuratorem gimn., założył Tow. Lekarskie, Tow. Dobroczynności a z Aleks. Grozą i gronem obywateli spółkę wydawniczą drukarską i księgarską, która niestety nie rozwinęła się i upadła. W 1863 r. internowany w Wałujkach w gub. woroneskiej, założył tam szpital. Umarł w Chersoniu. Filantrop i znakomity obywatel kraju. Por.: jego „Wspomnienia" Lwów 1876. J. Bieliński. „Uniw. Wil." III. 413 sq. Fryczyński Michał, agronom (1792—1859 r.). Wysłany za granicę przez Czartoryskiego, studjował agronomję u sławnego Thaera. W 1824 r. mianowany nauczycielem agronomji w Krzemieńcu, w 1829 r. prof. agronomji praktycznej i dyr. inst. agron. w Zameczku pod Wilnem. Po zamknięciu Uniw. Wil. otrzymał w dzierżawę tenże folwark. Ogłosił kilka rozpraw naukowych. J. Bieliński „Uniw. Wil." III. 173. Piasecki Marjan, filomata, prawnik, wysłany do Rosji, dzięki wybiegowi wrócony (ks. Ad. St. Krasiński „Wspomnienia" Kraków 1901. 59.), był później jednym z plenipotentów w Petersburgu, gdzie m. innemi sprawami zajmował się interesami więźniów politycznych i zrobił na tem dużą fortunę (dr. Stan. Morawski. „Wspomnienia. Żelwietr" rkps.) Piotrowski Eligi, prawnik, obywatel gub. wołyńskiej, podkom. pow. żytom., prezes Izby Krym. woł., cieszący się uznaniem wśród współczesnych za działalność społeczną; zajmował się też pracami naukowemi, zgromadził cenny księgozbiór. Zob.: Helenijusz (Iwanowski), „Wspomn. lat min." Kraków 1876. I. 165 sq. Morzkowski Józef, chor. podl., podstar. żytomierski, prezes Izby Cyw. w Kijowie, dorobił się wielkiej fortuny i wysokiej w społeczeństwie powagi. Żył w końcu XVIII w. i w pierwszej połowie XIX w.

Medeksza Piotr ogłosił w Wilnie w 1842 r. „Wianek paproci czyli Zbiór poezji", 12° str. 143, mieszczący w sobie wiersze Jana Onoszki, Januarego Filipowicza, Feliksa Maruszewskiego i t. p. W 12-ym katalogu księgarni Stan. Gieysztora (Lwów 1894) zanotowany jest rękopis Medekszy Piotra p. t. „Do JW. Mik. Nowosielcowa Kur. Wil. Un. wiersz 1 stycznia 1825 r." in 4. kart 5.

Do str. 175. Borowski Leon (1784—1846), prof. poezji i wymowy w Un. Wil. W 1801 r. przybył do Wilna jako urzędnik kanc. Szk. Gł. Lit., słuchał przytem wykładów. W 1803 kand. fil. W 1805 r. buchalter Uniw. W 1811—1814 naucz. gimn. wileń. W 1814 po Euzeb. Słowackim objął katedrę poezji i wymowy. W 1816 r. mag. fil., w 1818 — adjunkt, w 1821 — prof. nadzw., w 1823 — prof. zw. Pozostał na tem stanowisku do zamkn. Uniw. Przez kilka lat cenzor ksiąg. W 1833 r. prof. homil. teor. i prakt. oraz hist. lit. w Akad. Duch. w Wilnie. W 1842 r. uwolniony ze służby. Por. D(ominik) Ch(odźko) „L. Borowski" Atheneum (wileńskie) 1847. I. 115—151. P. Chmie-

lowski — Enc. Wych. (1882) II. 236—252. A. E. Odyniec „Wspom." Warsz. 1884 pass. J. Bieliński „Un. Wil." II. 138 sq.

Do str. 176. Bojanus Ludw. Henr. (1776—1827). Studjował w Jenie, Wiedniu, Paryżu. Uczeń P. Franka i Cuviera. W 1804 r. wybrany na prof. weter. w Un. Wil., przybył do Wilna w 1806 r. i darował swą bibl. Uniw. W 1807 r. uczestniczył w dozorze szpitali wojsk. W 1810 r. ogłosił broszurę „O ważniejszych zarazach bydła rogatego i koni" i rozesłał ją lekarzom powiatowym. W 1812 r. wyjechał do Petersburga, gdzie wydał rozprawę o owodni i został czł. Akad. Nauk. Powróciwszy do Wilna w 1814 r., rozpoczął wykł. anat. porówn. Przygotował rozprawę o anat. owcy z 600 rys.; wielkie koszty uniemożliwiły mu wydanie jej. W latach 1819—1821 ogłosił własnym nakładem w Wilnie swą obszerną pracę o anat. żółwia; podczas jej przygotowania pokrajał 500 żółwi. Prowadził badania nad embrjologją ludzką, nad żubrami oraz paleontol. Ma wielkie zasługi jako organ. szkoły weterenar., gabin. anat. porówn. i nauczyciel. W 1824 r. opuścił Wilno, zamieszkał w Darmstadzie i tam umarł. Pozostawił wybitn. uczniów: Fortun. Jurewicza, Ad. Ferd. Adamowicza i Kar. Muyschela. Był wszechstronnie wykształcony, władał 8 językami, interesowały go poezja, muzyka, sport. „Tkliwy, silnych uczuć, temperamentu żywego, prawy, otwarty, w przyjaźni stały, pracowity, systematyczny... śledził za postępem nauki, na naukowe badania kosztu ani zdrowia nie szczędził". Por. A. F. Adamowicz „Ludwik Bojanus". Wizer. i roztrząs. nauk. Wilno. 1836. IX. 50 sq. K. Kaczkowski „Wspomn." 1876. I. 73. 108.

Do str. 177. Barakanik = rodzaj tkaniny wełnianej (Słow. Jęz. Polsk. Warszawa I. 1900. 96). Biszpingowie czyli Bispingowie. Mowa tu o Piotrze Biszpingu, marsz. pow. wołkowyskiego, który z Józefy Kickiej, córki woj. Onufr. Kickiego miał cztery córki: Natalję, Różę, Ludwikę i Walerję. Natalja wyszła potem za swego wuja gen. Ludwika Kickiego, który zginął pod Ostrołęką. Teresa Kicka, córka woj. Onuf. Kickiego i Józ. Szydłowskiej, siostra Piotrowej Biszpinżyny i gen. L. Kickiego, jedna z wybitniejszych postaci towarz. warsz. za Ks. Warszawskiego. Umarła niezamężna.

Do str. 179. Fortunat Jurewicz wykładał od 1823 r. do 1826 r. zool. na zasadach anat. porówn.; utopił się w 1827 r. J. Bieliński „Un. Wil." III. 209, G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.); K. Kaczkowski „Wspomn." 1876. I. 109 sq. Weiss inaczej Weys Krystyn, pomocnik typografa Un. Wil., członek loży mas. „Gorliwy Litwin", potem „Dobry pasterz".

Do str. 180. Bosaczki — zakonnice klasztoru karmelitanek bosych przy kościele św. Józefa na t. zw. „Bosaczkach" w Wilnie. Pohulanka, miejscowość z restauracją, na pocz. XIX w. leżąca za miastem. Obecnie zabudowana (Zarząd kolei, Teatr i t. d.) W 1794 r. stała tu artyl. ros., w 1812 r. przez Pohulankę wszedł do Wilna 8 p. ułanów pod dow. Dom. Radziwiłła. W 1839 r. na wzgórzu koło rogatki na lewo rozstrzelano Szymona Konarskiego, w 1861 r. kozacy poranili wielu manifestantów. Markucie, miejscowość zamiejska naprzeciw Belmontu w wąwozie po drugiej stronie Wilenki. Niegdyś rezyd. królowej Heleny, żony Aleksandra Jag. Rybiszki —

znajdują się w bliskości Markuć, przedzielone od nich jarem; leżą na górze. Była tu sala masońska, potem bardzo uczęszczana restaur. podmiejska.

Do str. 185. Nowosilcow Mikołaj syn Mikołaja — por. charakterystykę jego — Cyprinus (Przecławski) „Kalejd. wospom." Russ. Star. X. 1872 str. 1708 sq. St. Smolka „Polityka Lubeckiego" Kraków 1907. H. Mościcki „Wilno i Warszawa etc." Warsz. 1908. S. Askenazy. „Łukasiński". Warsz. 1908. E. T. Massalski „Pamiętn." (rkps.).

Do str. 186 sq. Proces Filaretów — por. H. Mościcki „Wilno i Warsz.", Warsz. 1908. Tamże charakterystyka wszystkich uczestników Kom. Śledcz. i wszystkich wybitniejszych oskarżonych. Nakładem Inst. Wyd. „Bibl. Polska" wkrótce ukaże się p. t. „Z filareckiego świata" zbiór pamiętników, spisanych przez filaretów. Znajdzie tam czytelnik obfite dopełnienie wiadomości podanych przez Mościckiego i Morawskiego. Twardowski Józef (1786—1840), rektor Un. Wil. w latach 1823—24. Nauki pobierał w Wilnie. W 1807 r. ukończył wydział mat.-fiz. ze stopniem dr. fil. Niepospolicie zdolny, zwrócił na siebie uwagę Czartoryskiego. Potem mieszkał w maj. Weleśnicy, gospodarząc wzorowo i pracując naukowo nad matematyką. Był podkm. pińskim, wizyt. szkół gub. mińskiej, czł. honor. Un. Wil. Chcąc go zrobić rektorem, Czartoryski mianował go publ. prof. zw. matem. wyższej. Przy jego pomocy miał zamiar przeprowadzić szereg reform. Po nominacji zabrał się energicznie do pracy; niestety podczas sprawy Filaretów nie okazał taktu i hartu ducha. Od 17 maja do 9 lipca 1823 r. był więziony na rozkaz gen.-gub. Korsakowa. Zwolniony przez Nowosilcowa, zrażony przejściami, ustąpieniem Czartoryskiego, podał się do dymisji. Osiadł na wsi, po powstaniu 1831 r. marsz. pow. pińskiego i na skutek fałsz. denuncjacji aresztowany pod zarzutem stosunków z emigrantami. Zob.: „Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce". Kraków. 1890. VI. 170 sq.

Do str. 187. Michał Plater, syn Tadeusza Broel-Platera, asesora Sądu Gł. gub. wil., marsz. szl. wil., samobójcy w 1822 r., i Racheli Kościuszkówny. Ur. 1807 r., służył w wojsku do 1830 r., um. w 1835 r. Zob.: Mościcki. „Wilno i Warszawa". Warszawa. 1908. Nesselrode hr. Fryderyk, człowiek uczciwy i światły, krewny kancl. ros. Nesselrodego; z żony Tekli Nałęcz-Górskiej miał córkę Marję 1-o v. Calergis, 2-o v. Muchanowową, słynną piękność i pianistkę. Zm. w Warszawie 1868 r. Por. Mościcki. „Wilno i Warszawa", 166.

Do str. 190. Stanisław Morawski w czerwcu 1821 r. był członkiem Komitetu naukowego, który miał urządzać kursy przygotowawcze i pomocnicze dla studjów uniwersyteckich. Wraz z nim do tej komisji należeli: Malewski, po jego wyjeździe — Czeczot, Kozakiewicz Stan., Piasecki Kazimierz, Kowalewski Józef.

Do str. 191. Szymon Ławrynowicz, prefekt szkoły kowieńskiej; por. obszerniejsze wspomnienie w rękopisie d-ra Stanisława Morawskiego p. t. „Szlachta-Bracia", który będzie stanowił trzeci tom pamiętników jego w naszem wydawnictwie. Michał Zaleski „Pamiętniki" Poznań 1879, str. 297.

Do str. 193. Dominikowa Radziwiłłowa, z domu Czechnicka, była żoną Dominika (1747—1803), rodzonego brata Michała, ostatniego woj. wil. Dominik i Michał byli synami Marcina Radziwiłła, krajcz. W. Ks. L., który zajmował się naukami przyrodniczemi i medycyną, a pod koniec życia wpadł w obłęd religijny i pod wpływem tego otoczył się Żydami i miał zamiar przejść na judaizm. Jedna z córek Dominika, Anna Elżbieta, była za Atanazym Raczyńskim, założycielem słynnej galerji obrazów w Berlinie i gałęzi ordynatów na Obrzycy. O zatargu Dominikowej z Michałem Radziwiłłem o zamiar jakoby otrucia jej dzieci, por. L. Dembowski „Moje wspomnienia" Petersb. 1898. I. str. 150.

Dominikowa Radziwiłłowa, z domu Morawska, była żoną Dominika, syna Hieronima, podkm. W. Ks. L., i Zofji ks. Thurn — Taxis, a dowódcy sztyftowanego przez się pułku jazdy Ks. Warsz., ostatniego ordynata na Nieświeżu i Ołyce ze starszej linji, zmarłego od kontuzji w Lauterecke w 1813 r. Jest to typ kobiety, zasługujący na bliższe poznanie. Życie jej było bardzo burzliwe. Urodzona 1791 r., w 1805 wydana za Józefa Starzeńskiego porzuciła go w 1807 r., rozkochawszy w sobie młodziutkiego kuzyna, Dominika Radziwiłła, tylko co ożenionego z Mniszchówną. Z tym żyła bez ślubu lat parę, spłodziwszy w tym czasie syna, Aleksandra (1807). Wyszła za Radziwiłła dopiero w 1809 roku po uzyskaniu przez oboje rozwodów. Wówczas miała córkę, Stefanję (ur. 1809), wobec nieuprawnienia syna jedyną spadkobierczynię olbrzymich dóbr alodjalnych radziwiłłowskich. Po śmierci Dominika R-łła romansowała z „polskim Lovelacem" — Arturem Potockim i miała nawet wyjść za niego. Wtem poznała Aleksandra Czernyszewa, faworyta Aleksandra I-go, i pomimo jego „tatarskiej fizjonomji i smagłej cery" nabiła nim sobie głowę i przeniosła go nad „najpiękniejszego z Polaków". Zerwawszy zamierzone śluby swoje z Potockim i Czernyszewa z panią Żerebcow wyszła za niego w 1816 r. „Wnet jednak po ślubie wzgardziła swoją zdobyczą" i zaczęła kokietować naraz dwóch: Aleksego Orłowa i Kisielewa, co dało w. ks. Konstantemu powód do dowcipnego powiedzenia, że na balu widziano koło niej „le passé, le présent et le futur" (Potockiego, Czernyszewa i Orłowa). Wobec tego rychło sobie zbrzydziła trzeciego męża i rozeszła się z nim w 1819 r., powróciwszy po długotrwałym rozwodzie do nazwiska Radziwiłłowej. „Pełna dobrych zalet puściła żagle losu na igraszkę wszystkich wiatrów" i wreszcie, zakochawszy się w pięknym i młodym oficerze Berobrazowie, stała się ofiarą jego brutalności i braku serca. Wszyscy trzej mężowie znaleźli w nim swego mściciela. „Cudna piękność, średniego wzrostu, blondynka, z płcią tylko u Angielek spotykaną, z rysami regularnemi i posągowemi", „piękna, miła, rozumna", „usłużna, dobroczynna, wesoła, łatwa w obejściu, *une mauvaise tête*" — „goniła zawsze za szczęściem, nie mogąc go znaleźć. Upatrywała je w wolności tylko... Dużej inteligencji i uczuć religijnych, nigdy nie potrafiła opanować swej fantazji i ujarzmić namiętności. Serce jej potrzebowało mocnych emocyj, a nadmiar egsaltacji nad to żywej wyobraźni" czynił, że życie jej, będąc ciągłą walką między złym i dobrym aniołem, to pchało ją ku światu, to rzucało do stóp ołtarzy i konfesjonału pokorną, skruszoną i żałującą". Nadmiar romantycznych przygód,

męki serdeczne i przejścia, których przyczyną był ostatni kochanek przyprawiły ją o suchoty. Chora nawróciła z drogi, którą kroczyła. „Żal jej, skrucha, pokora, stały się tak głośnemi, jak było głośnem jej życie gorszące." Umarła pogodzona z sobą i z Bogiem w d. 10 sierpnia 1828 r. w Wilnie. „Śmierć jej była anielska", pisano o niej. Por. Dembowski „Moje wspomnienia" Petersb. 1898. I. 161—166; Gajewski, „Pamiętniki". Poznań (1913) I. 194; W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russk. Portr." II. 50; Wirginja Jezierska „Notatki pamiętnikarskie" (rkps.) Gabrjela Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.) M. Malinowski „Upadek fortuny radziwiłł." (rkps.)

Do str. 200. Nabożeństwa żałobne za papieża Piusa VII (Barnabę Chiaramontiego) zm. dn. 20 sierpnia 1823 r., rozpoczęły się z wielką uroczystością w Wilnie dn. 8 paźdz. 1823 r. i trwały w katedrze przez całą nowennę t. j. do dn. 16 paźdz. włącznie. Brało udział w tych nabożeństwach duchowieństwo rz.-katol. i grecko-katol. z biskupami Kossakowskim i Hołownią na czele. Wspaniały katafalk urządził W. Podczaszyński, prof. archit. Uniw. Wil.; por. Kurjer Litewski 1823 r. Nr. Nr. 122 i 128.

Mickiewicz i jego towarzysze zostali aresztowani w nocy z dn. 23 na 24 paźdź. 1823 r.; por. J. Kallenbach „Adam Mickiewicz" Lwów 1923. I. 308.

Do str. 201. Bobiński Wincenty, z pow. kobryńskiego gub. grodzieńskiej, kandydat praw, ur. 1798 r., filareta, członek grona liljowego (prawnego), w 1824 urzędnik kanc. gen.-gub. petersburskiego. Szetkiewicz Józef, z pow. rosieńskiego gub. wileńskiej, student praw, ur. 1795 r., filareta, członek grona liljowego. Pietraszkiewicz Onufry — ur. 1794 r., zm. 1863 r.; filomata, jeden z najczynniejszych działaczy w związkach młodzieży wil. zob.: Pietraszkiewiczówna. „Dzieje Filomatów". Kraków 1912; charakterystyka u Kallenbacha „Ród Filomatów". Bibl. warsz. 1914. I. 218. — Piasecki Kazimierz — ur. 1798 r., zm. 1882 r.; filomata, zob.: „Archiwum Filomatów", pass.; „Księga pam. na uczcz. setnej roczn. ur. A. Mickiewicza". Warszawa 1899. II. 77 sq.

Do str. 203. Jeżowski Józef — przewodniczący Tow. Filomatów. Zob.: „Archiwum Filomatów" — protokóły i korespondencja, piękną charakterystykę J-go daje Domeyko w liście „O Filaretach i Filomatach". Poznań 1872, oraz prof. Kallenbach w art. „Ród Filomatów". Bibl. warsz. 1914 r. I. 211.

Do str. 204. Pelikan Wacław, ur. w Słonimie w 1790 r., syn nadwornego muzyka w orkiestrze hetm. Ogińskiego. Bardzo zdolny. Od 1807 r. studjował przyrodę i filozofję w Wilnie. Później wysłany na koszt rządu do Petersburga do Akad. Med.-Chir. W 1813 r. otrzymał złoty medal i dypl. I kl. i został subinspekt. studentów oraz p. o. adjunkta przy kat. chir. teor. W 1816 r. dr. med. W 1817 r. po Niszkowskim prof. zw. chir. w Wilnie. Jako profesor ma wielkie zasługi. W 1824 r. dziekan wydz. lek. oraz zastępca rektora. W 1826 r. rektor dożywotni, trwał na tem stanowisku do 1831 r. Od 1824 r. prezes kom. dla reorgan. szkoln. litew. W 1825—1830 inicjował szereg śledztw w szkolach litew., zaco chwalony przez Nowosilcewa i przed-

stawiany do coraz wyższych odznaczeń. Od 1829 r. kierował wil. kom. cenzury. Wywierał wpływ demoralizujący na profes. i młodzież przez zaprowadzenie szpiegostwa. „Fundusz naukowy trwonił... dom swój w stek szulerstwa zamienił. Zaprowadził się zwyczaj noszenia kosztownych darów w każdą rocznicę imienin rektora, żony i familji jego". Niezwykle przedtem popularny i lubiony osiągnął to, że „cała publiczność miała go w nienawiści i otwarcie nim gardziła. Zagęściły się paszkwilne napisy na ścianach co noc prawie, bezprzykładną prawie praktyką wybijano okna... tak dalece, iż, nie widząc się bezpiecznym we własnym mieszkaniu, wojenną strażą otoczyć się musiał. Przyszedł rok 1831. Pelikan 20 maja o godzinie 3 z północy przy eskorcie Kirgizów oraz licznej szpiegów i najpodlejszej służalców zgrai do Petersburga wyjechał. Wolen od dręczącej bojaźni, d. 10 lipca do Wilna powrócił, obity kijem na ulicy obmierził sobie dalszy pobyt w Wilnie i 20 października do Petersburga bezpowrotnie udał się". (Sobarri „Obraz. lit." Poznań 1874 str. 153). W Petersburgu czł. Kom. reorgan. Ak. Med.-Chir. W 1838 r. gł. lekarz szpitala wojen. w Moskwie. W 1846 r. dyr. med. depart. w min. wojny, w 1851 r. prezydent Ak. Med.-Chir. W 1863 r. otrzymał 4 tys. dziesięcin w gub. saratowskiej. W 1865 r. prez. rady lek. przy min. spr. wewn. W 1873 r. otrzymał najwyższy order ros. Aleksandra Newskiego. Zm. w 1873 r. w maj. Pelikany w gub. kowieńskiej. Por. H. Mościcki „Wilno i Warsz." 1908. 134—139, 192. H. Mościcki „Pod znakiem Orła i Pogoni" Warsz. 1922. 171 sq. 237 sq. J. Bieliński „Uniw. Wil." 1900. III. 88—92. K. Kaczkowski „Wspomn." I. 80.

Pelikan Franciszek, malarz, początkowo minjaturzysta, potem portrecista. Umarł koło 1817 r. Por.: W. Smokowski — Atheneum (wileńskie) 1847. I. 159—160.

Do str. 205. Hornowa gubernatorowa, żona Piotra, od 1824 r. gub. cyw. wil. J. Frank nazywa ją „Karoliną, wenecjanką, wyłowioną w Berezynie". Pierwsza żona Horna była Helena Godin, pasierbica prof. Brioteta; po jej śmierci Briotet mieszkał przy zięciu; Karolina „kobieta zła, skąpa i niewykształcona" była bardzo dla niego przykra. J. Frank „Pamiętn." II. 53. 54. Jundziłł. „Cudzoziemcy w Uniwer." w L. Janowskiego „W prom. Wilna i Krzemieńca", Wilno 1923. str. 43.

Niszkowski Jan Fryderyk (1774—1816), świetny chirurg profesor chir. teor. w Un. Wil. Ukończył Szk. Gł. Lit. W 1797 r. wiceprof. Powróciwszy z podr. zagr. w 1806 r. adj. przy kat. chir. W 1808 r. prof. nadzw. W 1811 prof. zwycz. i dyr. kliniki. Serdeczne o nim wspomnienia w Franka „Pamiętn." I, II, III, pass.

Lobenwejn Jan Andrzej (1758—1820). Wiedeńczyk. Od 1783 do 1785 r. wykładał chir. w szkole chir. w Petersburgu. W 1787 r. powołany do Wilna na prof. anat. i fizj. Od 1809 r. wykładał również med. sądową. Nieznośny intrygant. J. Bieliński „Un. Wil." III. 247—250. J. Frank „Pamiętn." pass. Jundziłł w L. Janowskiego „W prom. Wilna i Krzemieńca" Wilno 1913. 49—50 K. Kaczkowski „Wspomn." I. 75 sq.

Romer Michał, zasłużony działacz społeczny i pol. na Litwie, w 1812 r. mar. m. Wilna, w 1817 r. marszałek pow. trockiego, w 1819 prezydent

komisji sądowo-eduk. Uniw. Wil., do 1822 marszałek gub. wil., w 1826 prezes Komisji Radziwiłłowskiej; jeden z założycieli wil. Tow. Dobr., prezydent Sądu Głównego wil., wielki mistrz loży „Gorliwego Litwina"; za udział w Tow. Patrjotycznem skazany na kilkoletnie więzienie w twierdzy i wygnanie do Woroneża, gdzie do 1832 r. przebywał. Zmarł w Wilnie 26 stycznia 1853 r. Zob.: Mościcki. „Pod znakiem Orła i Pog." Lwów 1923. 67. 215.

Do str. 207. Groddeck Godfryd Ernest (1762—1825). Pochodził z rodz. śląskiej. Urodził się w Gdańsku, tamże skończył gimn. Studjował w Un. w Getyndze. Pierwszą rozprawę ogłosił w 1782 r. W 1786 dr. fil. Od 1787 r. nauczyciel młodych Czartoryskich w Puławach. W 1793 r. naucz. Lubomirskich w Równem. W 1797 r. bibl. w Puławach. Od 1804 r. prof. zw. jęz. i lit. greck., od 1808 r. również łacin. Prefekt bibl. Uniw. Wil., w 1805 r. dziekan oddz. lit. i sztuk wyzw. Wybitny filolog, znakomity prof., kochający młodzież i od niej kochany. J. Bieliński „Un. Wil." III. 184—189. M. Brensztejn „Bibl. Uniw. w Wilnie" Wilno 1923 pass. A. A. Kryński. W. Enc. Ilustr. XXVI. 870. Węclewski „Wiadomość o życiu i pismach Grodka" Kraków 1876; St. Schneider. „Groddeck". Lwów 1904; „Sami sobie". Książka zbior. Warszawa 1900. str. 139 sq. K. Kaczkowski „Wspomn." I. 121 sq.

Do str. 209. Sand Karol, ur. 1795 r., stracony 20 maja 1819 r., uczestnik tajnych związków niemieckich, zabójca w d. 9 marca 1819 r. szpiega rosyjskiego, Augusta Kotzebuego.

Kotyrować się = łączyć się, zapewne od słowa kotyra = grudy nierozsypujące się, lecz trzymające się kupy (Słow. Jęz. Polsk. Warsz. II. 1902. 501).

Do str. 210. Tomasz Zan zmarł w Kochaczynie dn. 19 lipca 1855 r.

Do str. 212. Kwestjonarjusz statystyczny p. t. „Opis jeograficzny", opracowany przez T. Zana i Fr. Malewskiego w 1821 r., wydrukowany tajnie w 200 egz. w druk. bazyljańskiej — ogłosił H. Mościcki w „Wilno i Warszawa", 1908, str. 151—165.

Do str. 217. Dobrowolski Stanisław, pref. szk. kowieńskiej (zm. 1857 r.) por. dr. Stan. Morawski „Szlachta bracia" (rkps); L(eon) P(otocki) „Pamiętn. pana Kamertona" Poznań 1869. I. str. 190.

Do str. 223. Bajkow. Charakterystyka por. H. Mościcki „Wilno i Warszawa" 1908; Leon ks. Sapieha „Wspomn." Lwów, wyd. I str. 51. Ks. Wiaziemskij „Star. zapisn. knižka". F. Wigel „Zapiski". Rus. Arch. 1891. zesz. 11. str. 107.

Sposób życia, choroba, operacja, romans z Zofją Chłopicką — „Bajkow. Z kartek pamiętn. rękopiśm.", Kraków 1913. Śmierć — G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.)

Kochowskij, właściwie Kachowskij Aleksander syn Michała, gen.-major w. ros. za czasów Katarzyny, brat przyrodni słynnego gen. Jermołowa, dożywotnik star. puńskiego. Obszerne o nim wspomnienie — dr. Stan. Morawski „Od Kowna do Merecza" (rkps.), które podamy w „Moje wspomnienia z Petersburga". Por.: Mościcki. „Pod znakiem Orła". Lwów 1923, str. 227.

Do str. 224. Botwinko Hieronim wywodził się ze szlachty polsk. — Butwiłowskich Botwinków, h. Starykoń; do służby ros. wstąpił w 1795 r.; w 1809 r. sekr. cyw. gub. mohylewskiego, w 1813 r. był „pomocnikiem polowego pocztdyrektora i za znajdowanie się w 1812 r. przy główno-komenderujących armją: ks. Bagrationie i ks. Goleniszczewie-Kutuzowie, za spełnienie sekretnych poruczeń od nich sobie danych i za szczególne postępowanie w zwierzeniach zasłużył na Najwyższe podziękowanie"; w 1814 r. zaliczony w poczet szl. petersb.; w 1816 r. grodz. „gubernski prokuror", ozdobiony licznemi orderami; w 1819 r. nabył od masy radziwiłłowskiej maj. Kłobinie w pow. wiłkomierskim; żonaty z Martą Fiodorowiczówną, córką podpor. wojsk ros., miał z nią czworo dzieci. („Wypis z ksiąg szt. gub. lit.-wil." z r. 1820). Od 1818 r. „gubernski prokuror" gub. lit.-wil. Brał udział we wszystkich komisjach śledczych, działających na Litwie od 1823 r. do 1831 r. Ogółem miał 7-ro dzieci: 3 córki i 4-ch synów. Ci, chcąc zmazać hańbę z imienia ojcowskiego, postanowili żyć w celibacie i oddać się pracy dla dobra społeczeństwa. Przyrzeczenia swego dotrzymali i zasłużyli na miano dobroczyńców włościan i najuczciwszych ludzi. Jedna z córek była za Florjanem Woyniłłowiczem. Pozostawił po sobie pamiętniki, niestety niedostępne dla badaczy. Żoną Piotra Szłykowa, radcy dworu, policm. wil., była Justyna Gorska, córka Stanisława-Augustyna, kasztelanica żmudzkiego, pis. Skarbu W. Ks. L., posła na sejm czter., właściciela maj. Berżany, star. użwentskiego, i Anny ze Szczyttów, a siostra Kornelji Karolowej Przezdzieckiej, Kazimiery 1-o v. Gorskiej, 2-o v. Żukowskiej, 3-o v. Tyszkiewiczowej, Amelji Chrapowickiej i Tekli Hrebnickiej.

Do str. 226. Projekty połączenia Litwy z Królestwem Polskiem w okresie 1813—1830 — H. Mościcki „Pod berłem carów", Warszawa 1924. str. 78—102.

Do str. 231 sq. Pobyt gwardji, w. ks. Mikołaja i w. ks. Michała w Wilnie i na Litwie. Tomasz Massalski w swym pamiętniku rękopiśmiennym opowiada: „Rok ten (1822) odznaczył się w Wilnie pobytem gwardji, która była wysłana z Petersburga do Litwy, jak powiadano, za jakąś pokutę, lecz rzeczywiście podobno za demonstrację czyli pogróżkę komuś podczas ówczesnych zawichrzeń włoskich czy hiszpańskich. Oficerowie na wszystkich zgromadzeniach rej chcieli prowadzić, stąd zachodziły nieraz przykre zajścia z akademikami. Wielki książę wówczas i komenderujący brygadą, stojącą w Wilnie, Mikołaj obrażał się temi zajściami, a co go najwięcej przeciw nam i przeciw Wilnu jątrzyło, to, że nikt go samego bardzo nie szanował, zwłaszcza na akademików był urażony, iż czapki przed nim nie zdejmowali. Sam był zawsze ponury, wywiędły, zgoła niepodobny do tego, jak potem, zostawszy cesarzem, wyglądał. Jeżeli pokazał się kiedy na ulicy, to szedł szparko ze spuszczoną głową, kwaśny, jakgdyby z siebie i z całego świata niekontent; a przez cały czas w domu nic więcej nie robił, tylko po całych dniach musztrował w sali swoich sołdatów, co przez okna widywaliśmy. Nikt go też nie lubił, nie przewidując nawet jeszcze, że on wkrótce zostanie naszym panem, ale może przeczuwając, jakim będzie. Michał, także ko-

mendant brygady, stał w Święcianach. Ten tylko hulał, ale po swojemu. Naprzykład, na rozrywkę obrał sobie jeżdżenie na Żydach. Skoro deszcz wypadł, a w miasteczku niebrukowanem zrobiło się błoto, zwoływał Żydów, kazał im stawać na czworakach, siadał na najroślejszego jak na konia, za nim na drugich cała świta oficerów i tak kazali siebie obwozić po ulicach, płacąc im wprawdzie za to hojnie". Por.: Michał Czarnocki „Pamiętnik" w „Roczniku Tow. Przyj. Nauk w Wilnie". 1907; J. Frank „Pamiętniki" Wilno 1913. III. 241 sq. Ignacy Domeyko „Filareci i Filomaci" Poznań 1872.

Do str. 232. Zajście Pułjanowskiego z Pelskim miało miejsce dn. 4 marca 1822 r. Opowiada o nim Ign. Domeyko w swym znanym liście p. t. „Filareci i Filomaci" (Poznań 1872) i Otton Ślizień w swych „Pamiętnikach" (Pam. Tow. Lit. A. Mickiewicza II. 1888, str. 225), zbiór zaś dokumentów urzędowych w tej sprawie ogłosił dr. Zygm. Bujakowski — „Sprawa Zana i Domeyków z chorążym Pelskim" Lwów 1913.

Do str. 235. Zakrewskij hr. Arsenjusz syn Andrzeja (1783—1865), min. spr. wewn. w latach 1828—1831, człowiek mało wykształcony, ale sprytny. Podczas walki z cholerą w 1830—31 r. nie wykazał zbytniej energji i wskutek tego dostał dymisję. W latach 1848—1859 był gen. gub. w Moskwie.

Do str. 238. Wawrzecki Michał, syn Stanisława-Jakóba i Anny z Sielickich, dziedzic Widz, Felicjanowa etc. W 1809 r. był prez. ziem. brasławskim, potem podk., wreszcie marsz. szl. brasławskim. Um. 1844 r. Był ożeniony z Konstancją Łopacińską. Pozostawił córkę Emilję za Tomaszem Mineyką, marsz. szl. wileńskim. Żychliński „Złota księga" V. 412. Djabeł po litewsku nie *Wialnis* lecz *Wełnis*.

Do str. 246. Ślężanowski Józef — filareta, zob. „Archiwum Filomatów", pass. Makowieccy — Stanisław, ur. 1803, i Stefan, ur. 1807 r., z Mohylewszczyzny, Filareci. Budrewicz Wincenty — ur. 1795, z Kowieńskiego, filomata. Zob. „Archiwum Filomatów"; Domeyko. „O Filaretach i Filomatach". Poznań 1872. Cyprinus (Przecławski) „Kalejd. Wospomn." Russk. Arch. 1872. Kowalewski Józef, ur. 1800 r., zm. 1878, filomata, znakomity orjentalista, w 1855 rektor uniw. kazańskiego, w 1862 prof. w Szkole Głównej warsz. Zob.: „Arch. Fil."; „W. Enc. powsz. ill." XXXIX. 373.

Kułakowski Feliks, ur. 1798 r., zm. 1831 r., filareta. Zob.: „Arch. Fil."; W. Enc. powsz. ill." XLI. 467. „Księga pam. na uczcz. setnej roczn. ur. A. M-cza". Warszawa (1899). I. 53 sq.

Czeczot Jan, ur. 1797 r., zm. 1847 r., filomata. Zob.: „Arch. Fil."; „Sto lat myśli polskiej". Warszawa, 1907. III. 298 sq.; Tretiak. „A Mickiewicz w świetle nowych źródeł". Kraków. 1917, pass.

Łukaszewski — zapewne Łukaszewski Hilary, krzemieńczanin, kandydat praw, prawdopobnie filareta, albo Łukaszewski Stanisław, filareta, członek grona białego (prawnego). Zob.: „Arch. Fil. Korespondencja". II. 43. IV. 82.

Do str. 247. O zabawach wileńskich w 1805 r. pisze J. Frank („Pamiętniki" Wilno 1913 I. str. 56) „Obiady, wieczory, bale, wydawane przez towarzystwo, dodawały Wilnu świetności. Otwarto kasyno w domu

Müllera, w którem urządzano maskarady i inne zabawy. Chociaż przybyłem z Wiednia, byłem zdumiony zbytkiem, jaki na tych zabawach panował. Szampan i porter spijano, jak zwykły napój, a za kolację płacono po 3—5 dukatów". Por. L(eon) P(otocki) „Pamiętniki Kamertona", Poznań 1869 II. 277 sq.

Rzewuski hr. Seweryn, syn Stanisława-Ferdynanda, chorążego W. Ks. L. i gen.-lejtn. i Katarzyny Radziwiłłówny, wojew. wileńskiej, siostry Karola „Panie Kochanku", brat Adama-Wawrzyńca, a więc stryj Henryka, powieściopisarza. Syn jego Florjan, zruszczony, był w 1848 r. policmajstrem w Wilnie. Por. T. Bobrowski „Pamiętn." Lwów. 1900.

Potocki Jarosław (1784—1838), syn Szczęsnego i Józefy Mniszchówny, generał-major wojsk ros., marsz. dw. ros., dziedzic Sitkowiec, Mohylowa i innych. Po nim idzie jedyna dotychczas żyjąca linja potomków Szczęsnego, ordynatów na Peczarze i Sitkowcach na Podolu.

Choiseulowa z Potockich Wiktorja (1780—1827), córka Szczęsnego i Józefiny Mniszchówny, żona Oktawjusza hr. de Choiseul-Gouffier, para Francji, oficera gwardji ros., szambelana dworu ros., właściciela dóbr Plotele, a syna b. ambasadora franc. w Konstantynopolu. Rozwiódłszy się z Choiseulem wyszła za gen. Bachmietjewa, namiestnika Besarabji. „Rysy jej twarzy godne dłuta Praksytela, wzrostu wysokiego, postawy wspaniałej, włosy nosiła krótko ostrzyżone. Królową piękności ją uznano". L(eon) P(otocki) „Pamiętniki Kamertona", Poznań 1869. II. 277 sq. „Rozumna, sprytna, lubiąca dobrze zjeść i wskutek tego bardzo pełna, wywierała wielki wpływ na swego męża (Bachmietjewa). Według „Pamiętników" Wigiela „jak każda Polka, lubiła władzę i dlatego kochała swego męża, pozbawionego nogi, chorego i starego; ...lubiła pieniądze i dlatego lubiła dziką Besarabję, gdzie znalazła dla siebie kopalnię złota. Towarzystwo przy niej bawiło się, używało, a ziemia ponosiła koszty. Jej ministrem finansów był arcybiskup ormiański Grzegorz, tyle uprzejmy, ile rozpustny. Poborcami zaś niezupełnie dobrowolnych darów — sprowadzeni z Podola Żydzi". W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russkije Portriety" III. 162.

Do str. 249. Anegdoty o Naksarym, opowiedziane wierszem przez Placyda Jankowskiego, mieszczą się w „Pismach przed-ślubnych i przed-splinowych" Johna of Dycalpa. Wilno 1841. II. 134—138. O przyszyciu głowy str. 137—138.

Do str. 251. Cioska (ciosko, ciosek) = jednoimiennik, z białoruska (Słow. Jęz. Polsk. Warszawa I. 1900. 358).

Do str. 252. Dominik Radziwiłł, rejterując z Napoleonem w 1812 r., zostawił „mniemanym przyjaciołom w najlepszej wierze na wypadki nieprzewidziane blankiety" przez siebie podpisane. Po sekwestrze dóbr Dominika przez rząd rosyjski na tych blankietach „poczęto zapisywać obligi prawa zastawne, dożywotnie i inne, a gdy prawdziwych zabrakło, nie wahano się udawać ręki księcia i zmyślać pieczęcie". Stąd kwestjonowanie później tych obligów przez Komisję t. zw. Radziwiłłowską. Por. Mik. Malinowski „Upadek fortuny radziwiłłowskiej". (rkps.)

Kardynalją dotychczas jeszcze nazywa się dom, pod Nr. 21 przy ulicy Wielkiej położony. Nazwę tę pozyskał od tego, że mieszkał tu kardynał Jerzy Radziwiłł, biskup wileński (ur. 1556, zm. 1600). W 1812 r. zatrzymali się tu Wincenty Krasiński i Dominik Radziwiłł, w 1816 r. mieszkał Tomasz Zan. W traktjerni od strony kościoła Ś-go Jana w 1831 r. zbierali się tu w pokoiku na piętrze organizatorzy powstania w Wilnie, w latach zaś 1837—38 Szymon Konarski z uczestnikami jego organizacji. Stefanja Radziwiłłówna wniosła go w wianie Wittgensteinowi. W 1850 r. dom ten został kupiony przez rząd ros., który urządził tu pocztę, mieszczącą się wraz z telegrafem dotychczas.

Do str. 255. Poczobut-Odlanicki Marcin (1728—1810), jezuita, wybitny astronom, założyciel obserwatorjum astron. w Akademji wileńskiej, prof. matem. i astronomji w Akademji od 1764 r., w latach 1780—1799 rektor Akad. a następnie Szk. Gł. Litew. Ustąpił z katedry i obserwat. w 1807 r.

Wyrwicz Antoni, (1791—1865), dr. fil. Uniw. Wil. 1811 r., matematyk, prof. zwyczajny publiczny Un. Wil., w 1820 r. wykładał astronomję.

Szahin Antoni (1790—1845), dr. fil. Un. Wil. 1816 r., matematyk, od 1817 pomocnik przy obs. astr.; w latach 1821—23 zastępczo wykładał astronomję teoretyczną. Od 1826 r. do zamknięcia prof. geodezji Un. Wil. Po zamknięciu naucz. matem. w gimn. w Witebsku. Od 1834 do śmierci prof. astronomji w Uniwers. charkowskim.

Sławiński Piotr (1795—1881), dr. fil. Un. Wil. 1817 r., od 1823 r. adjunkt na katedrze astronomji teor. i prakt. Od 1826 r. prof. zwycz. publ. na tejże katedrze. Po zamknięciu Uniw. Wil. dyrektor obs. astr. w Wilnie do r. 1843.

Do str. 262. Weronika bar. Osten-Sacken z Gojcieniszek była krewną, przyjaciółką i sąsiadką Puttkamerów z Bolcieniszek. „Z urody, humoru i ułożenia, jak dwie krople podobna do obrazu Djanny Vernon, w powieści Walter Skotta p. t. „Rob-Roy" tem bardziej, że, jak ona, przy amazonce zielony kapelusik nosiła. Admiratorem jej był p. Adam Rymsza, który też w lat parę z nią się ożenił"... A. E. Odyniec „Wspomnienia z przeszłości", Warsz. 1884, str. 306.

Do str. 265. Kościałkowska Teresa, żona Michała, starosty strubiskiego. Pągowska Apolonja, żona generała wojsk kościuszkowskich. Obie znane były w Wilnie z gorącego patrjotyzmu i ofiarności dla uwięzionych filaretów. Zob.: Mościcki. „Wilno i Warsz." Warszawa 1908. 72, 176.

Do str. 266. Aleksander Lubomirski (1802—1893), syn Franciszka-Ksawerego, wojewodzica kijowskiego i gen. wojsk ros., i Marji Naryszkinówny, a więc brat przyrodni Konstantego (p. str. 474), fundator w 1885 r. kosztem miljonowych sum schroniska dla chłopców w Krakowie i zakładu magdalenek w Łagiewnikach pod Krakowem. Julja z Radziwiłłów 1-o v. Judycka, 2-o v. Mateuszowa Radziwiłłowa, 3-o v. Aleksandrowa Lubomirska, rozszedłszy się z trzecim mężem, mieszkała stale w Petersburgu pod opieką i w domu urzędnika magi-

stratu Gumowskiego. Prof. Juljan Talko-Hryncewicz, znający ją w owych czasach (1869), w swym rękopiśmiennym pamiętniku tak pisze o niej: „Księżna z powodu wieku już chodzić nie mogła... zwykle podczas największego rozwoju zabawy wwożono księżnę, ustawiano jej fotel przy oknie obok stolika przy papugach i klatce z kanarkami naprzeciw ogromnego zwierciadła tak, aby mogła siebie widzieć. Pomimo zgrzybiałości i niedołęstwa fizycznego i umysłowego dziewięćdziesięcioletnia księżna miała postawę i twarz, zdradzającą jej niezwykłą urodę. Była wzrostu wysokiego o długich, gęstych siwych falujących włosach, o prawidłowych rysach, pięknej oprawie niestety gasnących już oczu. Formy ciała zewnętrzne nie szły w parze z zaletami wewnętrznemi. Mało kombinowała... żyła tylko przeszłością, powtarzając wciąż o swych koligacjach i trofeach miłośnych, które nieprzyjemnie brzmiały w ustach tej lekkomyślnej staruszki... Życie jej było istną sielanką miłosną, kochanków zmieniała jak rękawiczki. Opowiadania, jak podbijała serca swoją urodą w Wiedniu, w Paryżu i w Londynie, były najulubieńszym tematem jej rozmów. Ostatni z kochanków porzucił ją zaledwie przed kilka laty, wyzuwszy ostatecznie z majątku i klejnotów i uciekłszy na Kaukaz. Ciężkie sprawiała wrażenie ta zatwardziała jawnogrzesznica, ta trzy razy księżna, jak zwykle mawiała o sobie, która zamiast skruchy żyła na starość wspomnieniami swego wyuzdania, będąc pośmiewiskiem młodzieży."

Do str. 267 sq. P l a t o n k s. Z u b o w, ur. 1767 r., jako syn nieznaczącego szlachcica. 18 czerwca 1789 r., kiedy nastąpiło zerwanie Katarzyny z Mamonowem, dowodził wartą. Sałtykow zwrócił na niego uwagę Imperatorowej. Już 21 czerwca, a więc w trzy dni potem, pozostawał z nią sam na sam do godz. 11 w. Na drugi dzień otrzymał 10 tys. rubli i pierścień. Wkrótce posypały się nań ordery i dostojeństwa. Po śmierci Potemkina zajął jego miejsce; został mianowany szefem korpusu kawalergardów, generał-adjutantem, generał-feldzechmistrzem, generał-gubernatorem jekaterynosławskim i taurydzkim, naczelnikiem floty czarnomorskiej, otrzymał w darze 30 tys. dusz na Litwie i w Kurlandji i najwyższe odznaczenia orderowe. Cesarz Rzymski nadał mu w 1793 r. tytuł hrabiowski, a w 1796 — księcia ces. rzymskiego. Paweł I w grudniu 1796 r. wysłał go za granicę. Pahlen w 1800 r. sprowadził go do kraju; mianowano go szefem korpusu kadetów. Razem z bratem Walerjanem wziął udział w zabójstwie Pawła. Podobnie jak wszyscy inni uczestnicy mordu nie miał potem żadnych wpływów. Zamieszkał w swych olbrzymich dobrach. Zmarł w 1822 r. „*Tête sans portée*", według zdania współczesnych, osiągnąwszy najwyższe stanowisko w państwie, układał dzikie projekty to zawojowania Konstantynopola przy pomocy floty, dowodzonej przez 70-letnią Katarzynę, to włączenia do Rosji Berlina i Wiednia i stworzenia w Europie nowych państw: Austrazji i Neurazji. Bardzo przebiegły, umiał przekonać Katarzynę, nazywającą go, „*noiraud fort aimable*", że jest w niej zakochany i że ma umysł wyższy. „Za Katarzyny zbroił się przeciw rewolucji, w 1801 r. nosił w kieszeni konstytucję". Gdy czuł się mocnym, stawał się chełpliwym, aroganckim i niewdzięcznym. Wyzyskiwał swych chłopów, którzy zmuszeni byli wprost żebrać,

a w podziemiach pałacu w Janiszkach gromadził złoto, którem się rozkoszował. „Jaśnie oświecony książę" wałęsał się po jarmarkach małomiasteczkowych ze świtą faktorów żydowskich. „W epoce potęgi u nóg jego leżała cała Rosja: wnukowie Katarzyny zabiegali o jego łaski, Rumiancow-Zadunajskij sławił go w swych listach, Dierżawin w odach, przyszły książę Smoleński (Kutuzow) przygotowywał mu czekoladę, a wybitny specjalista od artylerji Melissino całował go po rękach". W. ks. Mikołaj Michajłowicz „Russkije Portriety" V. Peterb. 1909. 50. „...Miłej bardzo powierzchowności i, co się zowie, ładny mężczyzna. Ale co do przymiotów moralnych, te bardzo ograniczone były; głowa bardzo pospolita..." Seweryn Bukar „Pamiętniki" Drezno 1871. 114—117. „Russkaja Starina". 1876. XVI—XVII. O ożenku Zubowa z Walentynowiczówną por.: J. Frank „Pamiętniki" Wilno 1913. III. 252—254. E. T. Massalski „Pamiętnik" rkps. włas. pryw. O rodzinie Walentynowiczów por.: G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps.) „Pełna taktu matka umiała tak się znaleźć z wielkim panem, iż ten, nie mogąc przystąpić do pięknej panny inaczej, jak w roli pretendenta, nie poprzestał na próżnem bałamuctwie... Matka (ks. Zubowowej), oprócz 3-ch córek już zamężnych mająca jeszcze 4-ry na wydaniu (a wszystkie jedna od drugiej piękniejsze), osiadła była w Wilnie i zwolna, nie śpiesząc się, ale też nie tracąc okazji i czasu, wydała wszystkie dobrze i świetnie nawet. Młodsze jej córki były staranniej wychowane od starszych. O księżnie Zubowowej mówiono, iż, ufna w swe wdzięki, nie chciała wcale kształcić się umysłowo pomimo, że małżonek jej wymagał tego. Cytowano o niej zabawne rzeczy, a między innemi i to, jak, będąc już wdową po księciu Zubowie, rozmawiała z cesarzem Aleksandrem, kiwając się, przyklęknięta na krześle. Nauka tak ją straszyła, że nie odwiedzała osób, mających opinję uczonych i rozumnych, mówiąc o nich, że to są szelmy, które ją egzaminować będą z historji". Ojciec ks. Zubowowej umarł w 1808 r.; por. J. Frank „Pamiętn." II. 13.

Pizus = golizna, bieda, niedostatek, ubóstwo (Słown. Jęz. Polsk. Warszawa IV. 1908. 215).

Do str. 271. Sauvan Ludwik, syn emigranta francuskiego, urodził się w Warszawie 1798 r. Medycynę studjował w Wilnie; dyplom doktorski otrzymał w 1823 r. Następnie mieszkał stale w Warszawie, zajmując się praktyką; leczył hydropatją, w 1830 r. założył zakład hydropatyczny w Wierzbnie. W 1834 r. towarzyszył Zygmuntowi Krasińskiemu podczas pobytu w Rzymie. Umarł w 1845 r., mając 45 lat. Pochowany na Powązkach. Por. Dr. Antoni J. „Szkice" IX. str. 8—9 Kraków 1893. Wóycicki „Cment. Powązk." III. Kosmiński „Słown. lek. polsk." Warszawa 1883—85. J. Bieliński „Stan nauk lek." Warszawa 1885.

Skirmunt Aleksander, ur. w Mołodowie gub. grodzieńskiej z ojca Szymona i Elżbiety z Orzeszków; po ukończeniu w 1818 r. Uniw. Wil. ze stopniem magistra nauk fiz.-mat., oraz licznych podróżach zagr., założył w 1830 r. w Mołodowie jedną z pierwszych na Litwie cukrowni, następnie w r. 1836 fabrykę sukienną w maj. Porzecze pod Pińskiem. Wybitny, światły ziemianin i działacz społ. Zm. w Kastelu nad Renem, 22 lipca 1870 r.

Salmonowicz — jeden z plenipotentów t. zw. Masy Radziwiłłowskiej; Józ. Karczewski w swym pamiętniku rękopiśm. mówi o licznych jego nadużyciach i nazywa „wychrztą".

Do str. 272. Jan Borejko-Chodźko (1777—1851). Szkoły skończył w Wilnie, potem gospodarował w Krzywiczach i był kolejno sędzią, podkom., prez. Izby Cyw. mińskiej. Dom jego w Mińsku był ogniskiem oświaty i ruchu umysłowego. Mason, w. mistrz lóż w Mińsku i Wilnie. Pociągany do odpowiedzialności w spr. Tow. Patrjot. w 1826—27 r. Prokurator masy radziwiłłowskiej. Czł. „Szubrawców" — Wajżgontos. Honor. czł. Un. Wil., wizyt. szkół gub. mińsk. i wileń. Podczas powstania listop. wysłany do Permu. (Xaw. Grocholska „Pamiętn." Kraków 1895). Zapalony teatroman, autor dramat. i powieści. Jego „Pan Jan ze Swisłoczy" ukazał się w Wilnie w 1821 r. Zbiór dzieł tamże w latach 1837—1842. „Charakteru żywego, łatwego, jednostajnością humoru, uprzejmem obcowaniem, płynną nadzwyczaj wymową ujmował, ozarował". Wesoły i dowcipny, pogodę umysłu zachował do śmierci. „Z posuwającym się wiekiem ulubił wspomnienia przeszłości i te podały mu myśl utworzenia z nich pamiętnikowych przeszłowiecznych obrazków powieściowych... Wszystkie opisane przez niego osoby żyły przy schyłku XVIII w. Wszędzie, gdzie tylko znalazł ku temu miejsce, zostawił wspomnienia to o Radziwiłłach, to o innych znakomitych wtedy w Litwie osobach". Por. Dominik C. Chodźko „Jan Chodźko. Obr. życior." Teka Wileń. Nr. 5. 271—292. Synowie Jana Ch.: Józef, gen.-major inż. w wojsku ros., wykonał triangulację Kaukazu i wszedł na szczyt Araratu. Aleksander, poeta, orjentalista, Stanisław, prof. chemji w Fryburgu. Feliks, Michał, emigranci po 1831 r.

Do str. 273. Stroganow hr., Sergjusz, syn Grzegorza (1794—1882), gen. kaw., gen.-adjut., czł. Rady Państwa. W latach 1831—1834 gub. wojen. w Rydze i w Mińsku. W 1835—1847 kurator okr. nauk. moskiewskiego. Ten okres jest epoką największego rozkwitu Uniw. Mosk. Człowiek kolosalnie bogaty, właśc. 80 tys. dusz i 1.200.000 dziesięcin ziemi, wysoko wykształcony, inteligentny i dobry; mecenas sztuki i nauki. Opiekun uczonych i uczącej się młodzieży. W 1859—1860 gen.-gub. moskiewski, w 1863—65 prezes kom. kol. żelaznych. Wychowawca synów Aleksandra II. O jego zacnem, szlachetnem i ludzkiem zachowaniu się w Mińsku w 1831 r. w stosunku do ludności polskiej obszernie pisze G. Puzynina w „Moja Pamięć" (rkps.), oraz Tomasz Edw. Massalski w swym „Pamiętniku" (rkps).

Do str. 274. Pałkuć; w Słown. Jęz. Polsk. (Warszawa. IV. 1908) brak tego słowa. Jest natomiast pałkierz = u dawnych studentów: — ten, co poczyna chodzić do szkoły, wstępniak, nowicjusz. Czy tu nie mamy do czynienia z tem słowem zlituanizowanem? Kindziuk = żołądek barani albo wieprzowy (Słown. Jęz. Polsk. Warszawa. II. 1902. 339).

Do str. 276. Berkman albo Baerkman Jan Karol doktoryzował się w Berlinie w 1814 r., nostryfikował się w Wilnie w 1817 r. Dzięki protekcji ks. Zubowowej i Nowosilcowa w 1826 r. prof. zwycz. Uniw. Wil. na katedrze med. sądowej, polic. lekar. i higjeny. Toż samo stanowisko

zajmował w Akad. Med.-Chir. Po zamknięciu tej uczelni osiadł w Petersburgu, gdzie oddawał się dewocji. Um. 1856 r.

Do str. 280. Arendt Mikołaj syn Teodora (1756—1859), znakomity chirurg ros., słynny z dokładnych, starannych i niezwykle umiejętnych operacyj. Odznaczał się nadzwyczajną czystością w zabiegach i opatrunkach. W 1821 r. Kom. Ministrów nadał mu bez egzaminu stopień dr. med. i chir. Od 1829 r. był osobistym lekarzem ces., od 1847 r. insp. lekarskim inst. ces. Marji Teodorówny.

Do str. 283. Tekla z Walentynowiczów ks. Zubowowa w 1826 r. wyszła za Andrzeja hr. Szuwałowa, późn. marszałka dworu ces. Nowosilcow, który po tym ślubie został na koszu, „zapytywał złośliwie panią Walentynowiczową, chcąc ją upikować niską rangą zięcia, Szuwałowa: „Jakże się ma pani porucznikowa?" lecz ta, nie w ciemię bita, odpowiedziała: „Chcesz mówić o księżnej? Alboż nie wiesz, że ona już nie księżna, ale hrabina". (G. Puzynina „Moja Pamięć"). Owocem tego małżeństwa był między innymi syn, Paweł, ur. 1830 r., gen.-adj., gen.-infant., czł. Rady Państwa, w latach 1894—1896 gen.-gub. warszawski. Hr. Szuwałowowa 1-o v. ks. Zubowowa dożyła późnej starości i umarła dopiero w 1872 r.

Do str. 287. Dom Franka stoi właściwie przy ul. Wielkiej pod Nr. 37, przy rogu Szwarcowego Zaułku. Mieszkał tu w swoim czasie Frank, a po nim w jego mieszkaniu Jędrzej Śniadecki, który tu umarł w 1838 r. Bazyljanie — klasztor, znajdujący się przy ul. Ostrobramskiej, założony w XV w. jako monaster prawosł. W 1608 r. oddany bazyljanom. Podczas procesu Filaretów więziono tu ważniejszych oskarżonych. Po filaretach w tym samym więzieniu przebywali Konarski i członkowie jego organizacji. Od 1845 r. mieściło się tu prawosł. seminarjum litewskie. Obecnie gimnazjum białoruskie.

Do str. 288—296. Zgierski Wincenty, według Mikołaja Malinowskiego („Księga wspomnień" Kraków 1907, str. 84—88) „ubogi szlachcic i sierota z Drohiczyńskiego, dostał się na fundusz korsakowski w Wilnie, gdzie odbył szkoły. Po skończeniu gimnazjum począł uczęszczać na Uniwersytet. Nie zbrakło mu pamięci, ale była to głowa płytka, przytem nadzwyczajnej zarozumiałości". Pod wpływem wykładów Jędrzeja Śniadeckiego, żądny sławy, napisał „jakąś ramotę chemiczną, w której nie było ani ładu ani składu". Skrytykowany przez Śniadeckiego, rzucił wydz. fiz.-matem. i przeniósł się na literacki. Utrzymywał się z korepetycyj, a następnie z zapomogi, udzielonej mu przez obywatela z Galicji Antoniego Zgierskiego. „Rozkochał się w poetach rosyjskich i nabył pewnej łatwości pisania w tym języku. Ponieważ wówczas mało kto z ludzi młodych po rosyjsku umiał, a konsystorz wileński potrzebował translatora, uprosił sobie to miejsce u ówczesnego oficjała, biskupa Tadeusza Kundzicza, człowieka małego rozumu, ale niezmiernie lubiącego pochlebstwa. Zgierski umiał trafić w tę słabość niedołężnego starca, który prędko dał mu posadę sekretarza konsystorskiego. Kundzicz był chciwy i przedajny, najwięcej ciągnął nieprawych dochodów z rozwodów, w czem Zgierski pracowicie mu dopomagał... Kochał się też w sztu-

kach pięknych, żadnej więc ramoty nie wypuścił bez rysowanej winiety. Tak na tragedji „Złota wolność" przedstawił nagiego kupidyna ze skrzydłami, z łukiem w ręku, z kołczanem na żołądku i w ułańskim kaszkiecie. Druga wydrukowana przezeń tragedja „Chodkiewicz pod Chocimem" tem się odznacza, że bohater tragedji ani razu nie okazuje się na scenie...

Chcąc się zemścić na Ignacym Szydłowskim wybrał jedną z niewinnych jego piosnek i kazał przedrukować ją na oddzielnym arkuszu, a po czterech rogach polecił sztycharzowi Podolińskiemu wyobrazić głowy ośle z rozdartą paszczą, z wystawionym nazewnątrz językiem i nadzwyczaj długiemi uszami, a pod każdą taką głową napisać: „śpiewy — ziewy" (co miało znaczyć, że osioł nawet ziewa, słuchając śpiewu Szydłowskiego...). Kiedy Nowosilcow zapytał go na komisji, dlaczego młodzież u siebie zbiera, Zgierski powiedział, że dla poprawy gustu, który nędzne wierszydła Mickiewicza w młodzieży zepsuły, zbiera ich dla czytania własnych swoich wierszy i dla sprostowania ich na dobrą drogę"... Tłumaczył pod wpływem Łobojki ody Dierżawina i wydawał je swoim kosztem. W Petersburgu wydał prospekt na poemat bohaterski we dwudziestu czterech pieśniach na cześć cesarza Mikołaja p. t. „Nicolaida". Gdy ze względu na bezsens jego ramot zakazano mu druku tego poematu „Zgierski głośno żalił się, że Mickiewicz przez zazdrość przeszkodził wyjściu dzieła, któreby wszystkie jego własne nędzoty zaćmiło". Przydomek „Liberaparte" wziął od dewizy herbu Kiszków „Liber a parte" (daleki od stronnictw). Michał Baliński w swych „Pamiętnikach o Janie Śniadeckim" (Wilno 1865. I. 771) opowiada: „Wysilił się na napisanie i ofiarowanie (Janowi Śniadeckiemu) w dowód najgłębszego uszanowania bajek, przez siebie ilustrowanych takiego samego talentu rysunkami jak poezje. Rękopism mu ofiarowany zawierał tylko kilka bajek z wielkiej liczby, w tece autora pozostałych. Bajka dwunasta z księgi trzeciej miała tytuł „Chluba Polaków z polskiego Newtona"; inna — „Kopernik wskrzeszony czyli zaleta Uniwersytetu Wileńskiego"; i wszystko to były bajki! A co większa! Kiszka-Zgierski, przekonany, że mu się lepiej koncept udał, oświadczał pocichu znajomym, że inne bajki tego rodzaju jeszcze są lepsze, a mianowicie bajka pod tytułem „Cnota J. W. Rektora" i druga „Głęboka nauka jego". Por. A. E. Odyniec „Wspomn. z przeszł." Warsz. 1884, str. 131 sq. „Listy" 1884. I. 61 sq. Ks. A. St. Krasiński „Wspom." Kraków, 1911, str. 69. „Korespondencja filomatów", pass.

Dzięki łaskawej uprzejmości p. Michała Brensztejna, któremu tu jeszcze raz składamy podziękowanie, możemy zreprodukować jako ilustrację podobiznę pierwszej strony Nr. 1 wydawanej przez Zgierskiego „Egidy". (Malinowski mylnie zwie ją „Merkurym", zapewne zapamiętawszy pierwsze zdanie w pierwszej szpalcie polskiej). Estreicher podaje w „Bibljografji", że „Egida" wychodziła w języku polskim, rosyjskim, niemieckim, włoskim i francuskim w Petersburgu 1832—33 r., wyszło 6 zeszytów.

Do str. 290. Mezzofanti Józef kardynał (1771—1848), słynny poliglota i filolog włoski. Niezwykle zdolny, mając lat 15, ukończył już studja filozoficzne. Znał 58 języków staro- i nowożytnych i władał niemi znakomicie, odróżniając nawet dialekty. Oprócz tego był wszechstronnie wy-

kształcony. Od 1838 r. był bibljotekarzem watykańskim. Frank w niewydanej przez d-ra W. Zahorskiego części „Pamiętników", opisując swą wizytę u Mezzofantiego w 1840 r., opowiada, że kardynał naprzód zwrócił się do niego po niemiecku, czysto i poprawnie; dowiedziawszy się, że przebywał w Rosji zaczął rozmawiać wprawnie po rosyjsku, wreszcie skończył rozmowę wyraziście po polsku. Na zapytanie Franka, skąd poznał polski, odpowiedział, że nauczył się go od oficerów i żołnierzy z legjonów Dąbrowskiego, gdy był jeszcze proboszczem parafjalnym w legacji bolońskiej. „Dziwnie jakoś polubiłem Polaków i piękny ich język". Najtrudniej mu było się nauczyć po niemiecku. Por. streszczenie pamiętn. Franka „Na dziś" Kraków 1873. III. 41—42.

Do str. 290. Bąka Józef, ur. 1707 r. zm. 1780 r., jezuita, nauczyciel kol. w Dukszatach, prefekt przy kościele św. Jana w Wilnie, wzięty kaznodzieja; był autorem osławionej książeczki p. t. „Uwagi śmierci niechybnej..." Wilno 1766, 1807; Warszawa 1878, Wilno 1855. Liter. o nim zob.: Korbut. „Lit. pol." Warszawa 1918. II. 60.

Do str. 293. Kotuszek = ciasne pomieszczenie, od kotuszyć się = dusić się, tłuc się w ciasnocie (Słown. Jęz. Polsk. Warsz. II. 1902. 506).

Do str. 294. Marewicz Wincenty Kościesza, rotmistrz trocki, autor licznych wierszy okolicznościowych i sztuk teatralnych bez wartości literackiej. Zob. E. T.(yszkiewicz). „W. Marewicz" Warszawa 1870. Weis Izydor, sztycharz, miał sklep, w którym sprzedawał sztychy, obrazy, karykatury (Dziennik Teodora Krasińskiego. rkps. B. O. K.). Członek lóż masońskich „*Zum guten Hirten*" i „Gorliwy Litwin" w Wilnie. Ks. St. Załęski „O masonii w Polsce" Kraków 1908.

Do str. 296. Chwostow hr. Dymitr syn Iwana (1757—1835), ober. prok. Synodu, czł. Akad. Nauk w Petersburgu, grafoman, pozbawiony wszelkiego talentu, uważający się za wielkiego poetę. Sam wydawał swoje „dzieła" i sam je wykupywał, całemi masami rozsyłając je potem znajomym.

Do str. 297. Kankrin hr. Jegor syn Franciszka, min. finansów Ces. Ros. w latach 1823—1844, znany z walki, jaką toczył stale z Lubeckim, min. skarbu Kr. Polskiego. Niemiec, urodzony w Hanau, drukował swe prace ekon. po niemiecku. Iliński hr. Józef August, senator (1760—1844), tajny radca ros., właściciel Romanowa na Wołyniu, zasłużył się narodowi polskiemu tem, że pod jego wpływem ces. Paweł uwolnił Kościuszkę, Ign. Potockiego, Niemcewicza i innych z więzienia. Niezwykły oryginał. Por. o nim, jego rodzinie, sposobie życia: Berlicz Sas „Dwie babki"; Bukar „Pamiętn." Drezno 1871; T. Bobrowski „Pamiętn." Lwów 1900; G. Puzynina „Moja Pamięć" (rkps); H. Stecki „Wspomn. mojej młod." Lwów 1895; J. D. Ochocki „Pamiętn." L. Dembowski „Moje wspomn." Petersb. 1898, I. T. Massalski „Pamiętn." rkps. Syn jego, Janusz (1785—1860), muzyk, kompozytor, poeta i romansopisarz, tajny radca ros., senator, szamb. dw. ros., marsz. szl. wołyńskiej.

Do str. 299. Gołuchowski Józef (1797—1858), wybitny prof. filoz. na Un. Wil. w latach 1823—24. Uczeń Schellinga. Niezwykle zdolny,

dużej miary uczony i znakomity prelegent, został usunięty dzięki zabiegom władz wileńskich, które obawiały się jego popularności. J. Bieliński „Un. Wil." II. 406—419, III. 180—182. Józ. Gołuchowski „Filozofja i życie". Warszawa 1903 (wstęp).

Onacewicz Ignacy (1780—1845). Kształcił się w Białymstoku, Ełku i na uniw. w Królewcu. Magistrował się w Wilnie. Później nauczyciel hist. w gimn. białostockiem. Po Lelewelu zast. prof. hist. powsz. Po powrocie Lelewela objął wykłady statystyki i dyplom. Na tej katedrze — do 1828 r. Bardzo zdolny, wykształcony, wybitny badacz, sumienny prof., był jednak popędliwy i kłótliwy. Początkowo żył dobrze z Pelikanem, Mianowskim i innymi, w końcu jednak wskutek kłótni z nimi wpadł w ich niełaskę i dzięki ich intrygom usunięty po długim procesie nawet w Senacie. Osiadł potem w Petersburgu, gdzie prowadził w dalszym ciągu badania nad hist. Litwy, które po śmierci zaginęły w rękopisie. Wydał z rękopisów Albertrandego „Panow. H. Wal. i Stef. Batorego". J. Bieliński, l. c. III. 282 sq. „Enc. powsz. ill. V. 267; Janowski. „Lata uniw. Słowackiego". Lwów 1909 (por. „Bibl. warsz." 1910. I. 374); J. Iwaszkiewicz „Plemię Sarmatów". „Arch. wil." 1924. z. III.

Daniłowicz Ignacy (1789—1842). Kształcił się w gimn. białost. i na Uniw. Wil. Na koszt Uniw. badał archiwa petersb. i mosk. W 1819 r. adjunkt, w 1822 r. prof. nadzw., w 1823 r. prof. zwycz. prawa krajowego. W 1824 r. przeniesiony do Charkowa na kat. dyplom. Potem wezwany do Petersb. do Kom. dla rewizji praw. Następnie prof. Un. Kijow., od 1838 r. prof. Un. Mosk. Znakomity badacz i wydawca dyplomatów, odnosz. do dziejów Litwy. J. Bieliński, l. c. III. 153—156. „Biograf. słowa prof. imp. uniw. św. Władimira". Kijów 1884, str. 147 sq.; „Tyg. ill." 1871, str. 285 sq.; „Album zasł. Polaków". Warszawa 1903; Nolde. „Popytka kodyfik. pol.-lit. prawa". Petersburg 1906, str. 88 sq.

Capelli Ludwik Alojzy, b. prof. prawa Un. w Pizie, jeden z najwybitniejszych prof. Un. Wil. (1804—1832). Po zamknięciu Un. Wil. prof. w Ak. Duch. w Wilnie. W 1838 r. wyjechał do Włoch i w tymże roku tam zmarł. W J. Bieliński, l. c. III. 149—150.

Wolfgang Jan Fryderyk (1775—1859). Dr. fil. Un. Wil. w 1807 r. Prof. farmacji i farmakologji w Un. Wil. (1810—1831). Wielkiej nauki, szanowany dla swej prawości, kochany dla dobroci serca. J. Bieliński, III. 358—359.

Oczapowski Michał (1788—1854). Dr. fil. Un. Wil. Uczeń Thaera. Prof. gosp. wiejsk. Un. Wil. do zamknięcia. Potem od 1835 r. do śmierci dyr. Inst. Gosp. Wiejsk. i Leśn. w Marymoncie pod Warszawą. J. Bieliński, l. c. III. 278—279.

Myli się, jak widzimy, autor pamiętnika, mówiąc że Capelli, Wolfang i Oczapowski usunęli się w 1824 r. z Un. Wil.

Kukolnik Paweł (1795—1884). Urodził się w Zamościu, gdzie ojciec był nauczycielem. Skończył szkołę parafjalną. Potem był kolejno kancelistą w Kol. Rz.-kat. w Petersburgu, urzędnikiem Min. Dóbr Państw. departamentu poczty, Min. Sprawiedliwości. Od jezuitów w Połocku otrzy-

mał doktorat praw. W 1824 r. mianowany prof. zw. hist. powsz. Un. Wil. W Akad. Med.-Chir. prefekt bibl. i naucz. jęz. ros. W Ak. Duch. naucz. hist. Cenzor ksiąg, naucz. hist. sem. katol. W 1866 r. emeryt.

Münich Wilh. Fryd. Prof. lit. greck. i łac. po Groddecku. Poprzednio prof. Un. Krakow. Um. 1830 r. Słynął ze skąpstwa.

Bielkiewicz Adam. Od 1824 r. prosektor, od 1825 r. adjunkt, w 1827 r. prof. zw. anat. W Ak. Med.-Chir. prof. zw. anat. Wybitny preparator i pracowity prof. Bardzo wzięty lekarz praktyk. Zgromadził bogaty zbiór ptaków i zielnik. J. Bieliński, l. c. III. 125—126.

Waszkiewicz Jan (1797—1859). W 1820 r. mag. praw. i naucz. gimn. wil. W 1824 r. adjunkt ekon. pol. Un. Wil. Następnie prof. nadzw. aż do zamknięcia. W Ak. Med.-Chir. radca wydz. gospod. Od 1835 r. cenzor ksiąg. Umarł jako dyr. szkoły rabinów w Wilnie. J. Bieliński, l. c. III. 354.

Łobojko Jan. Małoros. Od 1822 r. prof. jęz. ros., lit. i hist. Rosji Un. Wil. Podczas procesu Filaretów czł. Kom. Śled. z ramienia Un. Później prof. Ak. Med.-Chir. i Ak. Duch. Po zamknięciu tych zakładów opuścił Wilno.

Bécu August (1771—1824). Ur. w Grodnie. W 1793 r. dr. med. Szk. Gł. Lit. Od 1797 r. wiceprof. patol. i mat. med. W 1799 prof. zw. W latach 1803—1805 podróżował zagranicą. Po powrocie zajął zpowrotem swoją katedrę. Zabity przez piorun w sierpniu 1824 r. J. Bieliński, l. c. III. 118—120. Dodatnia charakterystyka — Jundziłł „Pamiętn.", Kraków 1905. str. 114. Por.: Mościcki. „Wil. i Warsz." Warsz. 1908. Str. 131, 191. Kaczkowski „Wspomn." I. 79.

Do str. 300. Głowacki Józef, syn wybitnego malarza Antoniego, malarz, późniejszy dekorator teatrów warsz. Por. E. Rastawiecki „Słownik mal. polsk." Warsz. 1850, str. 174, oraz sztych, reprod. w Kaz. Skibińskiego „Pam. aktora" Warsz. 1912.

Odnowienie kościoła Ś-go Jana. „Tegoż roku odnawiano czyli rujnowano piękny kościół Ś-go Jana, niegdyś jezuicki: znoszono ołtarze, których było tyle, ile filarów, wygładzano rzeźby na ścianach, zostawiając tylko ołtarz takim, jakim był. Wykrzykiwano na ten wandalizm, którego źródłem i celem była spekulacja... Ktoś wziął podrad na odnowienie kościoła i oszpecił go, obdzierając te ściany z dawnej bogatej szaty, by wdziać na to miejsce jakby śmiertelną koszulę, wprawdzie białą i czystą, ale zacierającą ślad przeszłości" (G. Puzynina „Moja Pamięć" rkps.) Ciekawe szczegóły o przeróbkach w Uniwersytecie i w kościele Ś-go Jana podaje M. Homolicki w przypisku do streszczenia pamiętników Franka — „Na dziś", Kraków 1872. II. 28—34. Kościół Ś-go Jana, założony przez Jagiełłę w 1387 r. oddany jezuitom w 1571 r. Ci założyli przy nim kolegjum, przekształcone przez Stef. Batorego na Akad. W 1737 spalił się, odbudowany w 1740 r. Od 1803 r. należał do Uniw. Podczas restauracji, raczej rabacji, w 1828 r. usunięto 24 bocznych ołtarzy i zniszczono wiele zabytków. Wnętrze jest bardzo obszerne. Główny ołtarz wraz z 9-ma otaczającemi wywiera wrażenie swem bogactwem. Dzwonica 50 *m* wysoka dominuje nad całem miastem.

Do str. 301. Adamowicz Adam Ferdynand (1802—1881), syn Józefa, naucz. szkół powsz., pochodzącego z Królewca, i Zofji z Jocherów.

W gimn. wil. zwracał uwagę swojemi zdolnościami. Zajmował się szczególnie filologją i jako uczeń kl. V-ej ogłosił w tym zakresie rozprawkę naukową. W 1818 r. zapisał się na wydz. fiz.-mat., w 1819 r. przeniósł się na medycynę. W 1822 r. mag. med. i drogą konkursu zajął stanowisko pomocn. prof. anat. porówn. Bojanus przygotowywał go sobie na następcę. W 1824 r. dr. med.; w 1825 r. objął wykł. anat. i patol. porówn. dla studentów med. W 1828 r. adjunkt, w 1829 r. udał się w podróż nauk. za granicę. W 1832 r. po powrocie do Wilna objął wykł. w Akad. Med.-Chir. W 1834 r. prof. nadzw., w 1835 — prof. zw. W 1842 r. z zamknięciem uczelni uwolniony od obow. prof. Długoletni prezes Tow. Lek. w 1872 r. obchodził jubileusz 50-letn. pracy nauk., dr. honor. causa Uniw. Jag. Pisał i drukował dużo. Wybitny przedstawiciel ruchu umysłowego w Wilnie. Ułatwił Pelikanowi zniszczenie V tomu Pamiętników Franka, a po jego śmierci ogłosił apologję. Por. J. Bieliński „A. F. Adamowicz" Ateneum (Warsz.) 1885. II str. 116. „Uniw. Wileń." III. 111—114.

Do str. 302. Muyschel Karol Justus, dr. med., prof. zw. Ak. Med.-Chir. w Wilnie. Ur. w Rydze 1799 r. Kształcił się początkowo w Dorpacie. W 1818 r. zapisał się na med. w Wilnie. Zwrócił uwagę Bojanusa, który roztoczył nad nim opiekę. Filareta. W1823 r. mag. med., w 1829 r. dr. med. Od 1823 r. wykładał anat., farmację, chir. zwierząt dom. w prakt. szkole weter. W 1829 r. wysłany na studja za granicę. W 1832 r. powołany na prof. anat. i chir. zwierząt w Ak. Med.-Chir. w Wilnie. Zorganizował klinikę praktyczną. W 1836 r. prof. zw. i czł. kom. egzamin. Od 1824 r. organizował gab. anat. zwierz. dom. Od 1841 r. opiekował się gab. chem. i gab. farmakologicznym. Był bardzo zamiłowany w oper. prakt. i nadzwyczaj w tem biegły. Erudyta, botanik. Wykładał jasno, łatwo i zrozumiale. „Uczuć delikatnych, silnej woli, żartkiego dowcipu, człowiek serca, w całem znaczeniu człowiek". (R. Podbereski. Pam. nauk.-liter. Wilno 1849. II. 28 sq.) Jeden z najpracowitszych profesorów. W rodzinie mówił po niemiecku, wykłada po polsku. Um. w Mokniunach w 1843 r. Por. J. Bieliński „Stan nauk lek." Warsz. 1889. 588. 589. Niestety pomiędzy rękopisami Morawskiego niema i nie było, jak widać ze spisu własnor. autora, życiorysu Muyschela.

Do str. 312. Córka Marji z Zakrzewskich i Ksawerego Müllerów, Aleksandra, wyszła dn. 25 sierpnia 1840 r. za Stanisława Moniuszkę. Por. Aleksander Walicki „Stanisław Moniuszko" Warszawa 1873, str. 35—41.

Do str. 320. Pusłowski Wojciech (1762—1833), marsz. słonimski, poseł na sejm czter., rz. radca st. ros., zdolny finansista, jedna z najwybitniejszych postaci na Litwie w pierwszej poł. XIX w. Pozostawił po sobie wielki majątek, zgromadzony rzetelną pracą. Ożeniony z siostrą Ksaw. ks. Lubeckiego, ministra, wywierał podobno na niego wielki wpływ i służył mu radą.

Do str. 321. Treść anegdoty o Mejerze, Rimskim-Korsakowie i ros. pułkowniku zgodna z rzeczywistością. W aktach wil. Dep. Szlach. znajduje się istotnie arkusz z nadpisem: „Czynność ta tak ważna ma w przedmiocie osłodzenie i szczęśliwość znacznej masy ludu i ma oznaczać cechę wiekopomną

powrotu prawa człowieka", dalej następują dwie rubryki: w jednej wypisano: „Zgadzam się na ustanowienie uchwalonego już przez szlachtę gubernji tutejszej Komitetu dla ułożenia projektu polepszenia bytu włościan i na dowód własną podpisuję ręką. Marek Aureljusz"; w następnej rubryce: „Nie zgadzam się i t. d. Dyonizjusz Neron". Zob. Mościcki. „Pod znakiem Orła i Pogoni". Lwów 1923. 221.

Do str. 324. Ks. Wiażewicz. „Oszust, darmozjad, hultaj" — J. Frank „Pamiętn." I. 118—120. Tamże potwierdzenie zupełne zdarzenia z Rousseau. Wiażewicz starał się wyzyskać starego Franka podczas jego pobytu w Petersburgu.

Do str. 325. Zamiar sprowadzenia J. J. Rousseau do Polski i ofiarowania mu domu w puszczy Białowieskiej powziął podskarbi Antoni Tyzenhauz w r. 1778; w tej sprawie pośredniczył ks. Ksawery Bohusz. Zamiar ten został udaremniony wskutek nadużyć, popełnionych w stosunku do Rousseau'a przez Wiażewicza. Zob. Baliński. „Starożytna Polska". Warszawa 1886. IV. 640.

Bohusz Ksawery, ex-jezuita, działacz społeczny i pisarz, uczestnik spisku 1793—94 r. Zob.: „Rocznik Tow. Przyj. nauk warsz." 1824 r. XVII. 141 sq.; Enc. Org. III. 905; Mościcki. „Gen. Jasiński", pass.

Do str. 330—348. Na tle miłości do Ksawerowej Müllerowej, choroby Stanisława Müllera, nastroju Wilna podczas procesu Filaretów oraz innych przeżyć i wypadków ze swej praktyki lekarskiej osnuł autor pamiętnika nowelę p. t. Pierwsze półrocze lekarskiego życia (patrz Nr. 2 spisu rękopisów, str. XIII).

Do str. 350. Równie względnie potraktował sowietnik Ławrynowicz i Odyńca; por. „Wspomn. z przeszł." Warszawa 1884. 274—281. W Archiwum Akt Dawnych w Wilnie w spr. Nr. 84, fasc. 190/1824, na str. 104—107 znajdują się *„Punkta zapytań byłemu uczniowi Wileńskiego Uniwersytetu Stanisławowi Morawskiemu z polecenia jaśnie wielmożnego rzeczywistego tajnego radcy, senatora i kawalera Nowosilcowa dla odpowiedzi dane. Roku 1824. Februarji 23 dnia"*. Podajemy niżej odpowiedzi autora pamiętnika, opuszczając pytania i modernizując pisownię.

„**1.** Zowię się Stanisław Morawski, wieku lat mam dwadzieścia trzy. Religji rzymsko-katolickiej. Dowodem urodzenia mojego szlachetnego jest dekret Deputacji Wywodowej Wileńskiej, znajdujący się w ręku ojca mojego. Rodem jestem z gubernji wileńskiej, powiatu kowieńskiego. Nie posiadam sam żadnego majątku. Rodzice moi mają dobra, Ustronie zwane, w powiecie kowieńskim leżące. Nauki początkowe pobierałem w Kownie. Przybyłem do Uniwersytetu w roku 1818, w nowembrze, chodziłem na oddział medyczny, kurs ukończyłem w roku 1823, w którym też otrzymałem stopień doktora medycyny. Utrzymywałem się i utrzymuję kosztem rodziców. Nigdy nie byłem pod sądem lub śledztwem.

2. Skończywszy nauki w Uniwersytecie, po odbytych dwumiesięcznych wakacjach wróciłem do Wilna dla praktyki medycznej, którą się dotychczas zajmuję.

3. Do Towarzystwa Promienistych należałem, ale sumiennie zaręczam, że nie wiem, kto pierwszy do tego podał był projekt. Zawiązało się ono w roku 1820 w miesiącu maju. Celem jego była zabawa, połączona z nauką. Ustawy tego Towarzystwa, w dwunastu, jak mi się zdaje, punktach zawarte i przepisy szlachetnego w pożyciu ludzkiem zachowania się obejmujące, potwierdzone były przez rektora ówczesnego, Malewskiego. Nie było tam żadnych naczelników i urzędników, członków zaś bardzo wielu, których nazwiska w liście Filaretów, ile spamiętam umieszczę. Trwało to Promienistych Towarzystwo dwa miesiące tylko, a to z powodu odwołanego utwierdzenia przez tegoż rektora Malewskiego. Dowiedziawszy się, że młodzież akademicka zbiera się dla zabawy, poszedłem na takową rozrywkę przez ciekawość, a tem samem już bez żadnych innych obrządków członkiem Promienistych zostałem.

4. Nie byłem wówczas w Wilnie, gdy się projekt zamienienia Promienistych na Filaretów utworzył; ale za mojem przybyciem, gdym się o tem dowiedział równie, jak i o należeniu do grona granatowego, które się z samych medyków składało, udałem się na zebranie tego grona w domu Podbipięty dla wybrania urzędników. I była to pierwsza sesja, na której byłem obecny. Podzielenie się na drobne grona pochodziło z niedostatku miejsca dla znacznej liczby osób, a mianowicie dlatego, żeby się w każdem z tych gron tacy tylko znajdowali, którzy się razem jednemu poświęcali przedmiotowi. Na sekret wydawano zaręczenie w wyrazach, których nie pamiętam, to wiem tylko, iż każdy na słowo honoru dotrzymanie go na piśmie zaręczał.

5. Celem Towarzystwa Filaretów było ćwiczenie się wzajemne w nauce i wsparcie ubogich dobrej konduity młodzieńców. Kto ustawę ułożył, nie wiem, bom ją gotową za moim do Wilna przyjazdem znalazł. Ile miała artykułów, nie pamiętam już dzisiaj; w pierwszych punktach po wyrażeniu celu, o którym wspominałem, wzbronione były wszelkie religijne i polityczne dyskusje, w dalszych obowiązki urzędników, ich wybór oraz porządek w czasie posiedzeń były przepisane. Ustawy te nie znajdują się u mnie i nie wiem, czy są u kogo, jak to później wyjaśnię. Jacy byli przewodnicy w Towarzystwie Filaretów w innych gronach, nie pamiętam, w gronie zaś granatowem ja byłem nim przez dziewięć miesięcy większością głosów obierany, poczem Heydatel zajął miejsce moje. Za mojego urzędowania radcą był Heydatel, pisarzem Dolner, członkami Drzewicki, Jurewicz, Muyschel, Zan Ignacy, Gnoiński, Popeyko, Kamiński, Stankiewicz, Hamlikiewicz, Welk Paweł, Ćwiklicz, Koczan, Szymkayło (który potem dostał pomięszania zmysłów), Zahorowski, Rodkiewicz. Jeśli ich więcej później do tego grona przybyło, nie wiem o tem, gdyż po dziewięciu miesiącach zupełnie się z tego Towarzystwa oddaliłem. Kto tych członków wprowadzał, nie pamiętam, sam żadnego nie wprowadziłem, a stąd nie wiem, jakie były wystawiane mającym się wprowadzić widoki.

6. Ponieważ Towarzystwo Promienistych, mające za cel zabawę wzbronione było, zdaje mi się, że sekret dlatego był zalecony, ażeby i na te nowe, lubo równie niewinne, oka Uniwersytetu nie ściągnąć. Mówiłem jednak już pierwiej, żeśmy żadną do sekretu obligowani nie byli przysięgą, ale tylko wyżej wzmienionem zaręczeniem.

7. Przy wprowadzeniu nowego członka miewałem przemowy, których treść była, ażeby się starał serce i umysł swój kształcić tak, iżby społeczności miłym był członkiem i na dobre w niej imię zasłużył; wystawiałem wprowadzonemu medykowi korzyść, jaką odnosi z łatwego sposobu oświecenia się w swoim i obcych mu przedmiotach przez proste tylko słuchanie pism, które się na posiedzeniach czytały. Czyli inni przewodnicy podobnież postępowali, nie wiem. Wyrazów: „że połączenie się, rozszerzenie Towarzystwa, miłość i jedność braterska może za błyśnieniem pomyślnej chwili posłużyć do odzyskania Ojczyzny" — nie słyszałem nigdy. Członkowie, u mnie przynajmniej, nigdy podobnych nie miewali głosów, tak bardzo od przedmiotu medycznego odległych. Sam nigdy na posiedzeniach innych gron bywać dla zatrudnień nie mogłem, wysyłani zaś czyli delegowani na takie posiedzenia nigdy w swoich raportach nic podobnego nie wymieniali.

8. W gronie granatowem same tylko polskie i łacińskie medyczne lub do historji naturalnej służące czytane były rozprawy, żadne zaś wiersze, jako niestosowne do naszego przedmiotu, miejsca nie miały. W innych gronach jakie były pisma, nie pamiętam i nie wiem.

9. Wiem o Instrukcji do postrzeżeń statystycznych drukowanej; podobno, że ta była przez Franciszka Malewskiego wypracowaną. Że zaś opisy takie przez znających tylko ten przedmiot wykonywane być mogą, więc, lubom ją widział, nie brałem jej, żadnegom podobnego nie zrobił opisu i nie wiem, czy inni członkowie to wykonali. Zdaje mi się, że cel takowych opisów taki był, aby wspólną pracą zrobić dzieło, którego jeszcze w naszym języku nie dostaje.

10. Na żadnej nigdy nie byłem uczcie i podobnego rodzaju zabaw nie było u nas nazwiska. Wiem, że dwa razy robili jakieś święcone, na którem się nie znajdowałem. Ja zaś sam z kilku tylko filaretami należałem do składki na obchód imienin Zana, ale ten na przeczytaniu kilku i bardzo niewinnych wierszyków przez Aleksandra Chodźkę i na herbacie się skończył. O pierścieniu i o wieńcu słyszałem, twierdzić jednak o tem z pewnością nie mogę, gdyż się na takowym nie znajdowałem obchodzie.

11. O księgach, bibljotece, gazetach nic zgoła nie wiem, ani też, kto się tem wszystkiem zatrudniał.

12. O żadnych podobnych towarzystwach w kraju lub zagranicą nie słyszałem.

13. Z członków Towarzystwa Filaretów za granicę wyjechali: Franciszek Malewski i Marjan Piasecki, żadnej od Towarzystwa nie biorąc instrukcji.

14. Zalecony w Towarzystwie sekret do tego się mianowicie ściągał, aby o tem zgoła nic zwierzchność Uniwersytetu nie wiedziała, i dlatego pewny jestem, iż się żaden z członków tej zwierzchności o istnieniu Filaretów ani domyślał. Działania Zana tak były ograniczone, iż nie spodziewam się, aby w nich czyjegokolwiek potrzebował kierunku. Z kim żył lub od kogo był protegowany, nie wiem. W obiorze zaś prezydenta wolność wszelka zostawiona była każdemu mianowania, kogo się podoba. A zatem, jaka była przyczyna częstego potwierdzenia Zana, nie wiem.

15. Ponieważ wielu o istnieniu Towarzystwa domyślać się zaczęło, a zdarzone w czasie bytności gwardji nieporozumienia z młodzieżą na Filaretów rzucone być mogły, zgodzono się z Zanem, aby przed przyjazdem cesarza na rewję na zawsze to Towarzystwo rozwiązać, a papiery, ustawy i protokóły spalić. Na tem grona granatowego rozwiązaniu raz pierwszy po złożeniu Urzędu przewodnika ja się znajdowałem. Działo się to w roku 1822 w miesiącu aprylu.

16. Nicem nigdy nie słyszał o zgromadzeniu się u Kiszki-Zgierskiego, który nie był członkiem Filaretów i którego nie znałem i nie znam.

Takowe odpowiedzi w szesnastu punktach zawarte podpisuję. Stanisław Morawski, medycyny doktór.

Do powyższych moich odpowiedzi to jeszcze przydaję: że mnie nikt do Związku Filaretów nie wprowadzał, gdyż od początku byłem jego członkiem. Wezwany od Zana dla znajdowania się na pierwszem posiedzeniu grona granatowego w domu Podbipięty, byłem na niem i na niemże przewodnikiem obrany zostałem. Na tejże sesji radcą Heydatela, pisarzem Dolnera zrobiono. Jacy zaś członkowie nas obierali, tego już dzisiaj nie pamiętam. Stanisław Morawski, medycyny doktór.

Odbieraliśmy odpowiedzi. Radca stanu Szłykow. Sowietnik gubernjalnego rządu Wincenty Ławrynowicz".

Sowietnik Ławrynowicz, radca tytul., w 1805—1806 strapczy w sądzie niższym rosieńskim, w 1818 r. konsyljarz rządu gub. wil., członek lóż mas. „Gorliwy Litwin" i „Szkoła Sokratesa" zmarł nagle w 1824 r.

Do str. 353. Sulistrowski Kazimierz, syn Alojzego, pis. w. lit., posła na sejm czteroletni, członka Rady Najwyższej w Wilnie, i Antoniny Oskierczanki; w latach 1812—1815 był marszałkiem szl. wileńskiej, od 1815 gubernatorem mińskim. Umarł w 1816 r. Jego córką była Antonina, synowa Jędrzeja Śniadeckiego, znana patrjotka, więziona za sprawę Konarskiego. Żychliński. V. str. 324.

Do str. 354. Ogińska hetmanowa Aleksandra z Czartoryskich, córka ks. Fryderyka Michała, kancl. W. Ks. L., i Eleonory de Waldstein. Pierwszy raz była zamężna za Michałem Sapiehą, podkanc. lit., drugi raz za Michałem Ogińskim, hetm. w. lit. Zmarła w 1798 r.

Do str. 356. Sulistrowska Karolina, z domu Przyłuska (Żychliński V. 1883. 321 — pisze Przeuska), żona Józefa, właśc. Wiszniewa, Kornaj etc., zmarłego w 1815 r., była jedną z bardzo licznych kochanek Aleksandra I. „Była ona raczej przystojna, aniżeli piękna, ale nie brakło jej rozumu i tematów do rozmowy". J. Frank „Pamiętn." Wilno 1913. II. 185. Aleksander poznał ją na balu w Wilnie, wydanym w trzecie święto Wielkiejnocy 1812 r. przez Bennigsena. W czerwcu, opuszczając Wilno, kazał doręczyć jej pieniądze na podróż do Petersburga. Przechwalała się, że syn jej Edmund jest synem Aleksandra.

Do str. 357. Plater Ferdynand, prawdopodobnie syn Adama-Tadeusza, gen.-adj. króla Stanisława-Augusta, właśc. Kurkl i Szwabiszek, i Marjanny Zabiełłówny, oficer wojsk napoleońskich, zmarły bezp. „Był swego czasu osobliwością i w zupełnej sprzeczności sam z sobą, bo z twarzą

gorzej, jak niepiękną, i tak chudy, że gdyby nie wata, straszyłby postacią pająka; był jednak szarmant, ugrzeczniony, wyperfumowany, wyżabotowany, ufryzowany, całował rączki dam, patrzył im czule w oczy, przymilał się, komplementował i podobał się niejednej. Pewna dama dla przekonania się, czy to, co o nim mówiono, jest prawdą, wetknęła mu raz prątek w łydkę i tak przebity, nie wiedząc o tem, chodził po bulwarach... Miał wszystkie szlachetne gusta..." G. Puzynina „Moja pamięć" (rkps.).

Do str. 361. Ksiądz Nosewicz Bonawentura, słynny kaznodzieja wydał kilka mów i kazań w Wilnie 1816—1823. Por. Pelczar „Zarys dziejów kaznodz." II. 342; Teodor Krasiński „Dziennik" rkps. B. O. K.

Do str. 362. Kotyzowano się = składano się, od franc. *cotisation* rozłożenie podatków, składek (Sł. Jęz. Polsk. Warszawa. II. 1902. 507).

Zabawy w kasynie wileńskiem opisał A. Edw. Odyniec w wierszu, nastrojonym na ton „Zofjówki", p. t. „Kasyno wileńskie w 1823 r." Zob.: Ant. Edw. Odyniec. „Poezje". Wilno 1826. II. 37 sq.; „Ustawy Casyna wileńskiego w roku 1823 zaprowadzonego" (druk współcz.); Lelewel. „Listy". Poznań 1878. II. 22.

Do str. 364. Czarnowski Ludwik był istotnie „ekscytarzem towarzyskim." (G. Puzynina. „Moja Pamięć") „W grach bieganych brał na siebie rolę pajaca; figle jego trochę się powtarzały, ale jakże było nie śmiać się za każdym razem, gdy, zmykając od pytki, podnosił kołnierz, a w garnuszku dla lepszej pewności zabierał krzesło z sobą."

Do str. 366. Rönno Feliks, czł. loży mas. „Gorliwy Litwin", ojciec księżn. Ogińskich: Tadeuszowej (1-o v. Borewiczowej) i Ksawerowej.

Do str. 368. Horodecki Ignacy (1776—1824). Kształcił się w Szk. Gł. Litew., którą ukończył w 1799 r. Od tego czasu był nauczycielem fizyki i hist. natur. w gimn. wil. w 1817 r. objął katedrę mineralogji w Un. Wil. Od 1822 r. był członkiem Tow. Lek. Wil. J. Bieliński l. cit. III. 20. Tyzenhauz Rudolf, syn Ignacego (p. str. 472) i Marji z Przezdzieckich, pułk. art. w. p., brat Konstantego, sławnego ornitologa. Szymkiewicz Jakób, dr. fil. i med., czł. wielu tow. uczonych, praktykował w Wilnie. Był wybitnym działaczem masońskim, pierwszym prezesem Szubrawców. Um. 1818 r. w maj. Tankiele, w pow. wiłkom., zapisawszy grunty na własność chłopom, a fundusze na cele dobroczynne. S. Kośmiński „Słown. lek. polsk." Warszawa 1883. 504. ks. Stan. Załęski „O masonii w Polsce". Kraków 1908 pass. J. F. Dobrianskij „Mas. loži w Litwie" Wilno 1911. pass.

Do str. 378. Wiszniewski Szymon, h. Trzaska, syn Stefana, pisarza grodzkiego kowieńskiego, pochodził z rodziny mazowieckiej osiadłej na Litwie, w 1792 podstarosta kowieński, następnie starosta krownicki; za Król. Pol. mianowany prezesem Sądu apelac., w 1825 r. sensencjonarjuszem sądu Najwyższego i kasztelanem; Kawaler ord. św. Stanisława I kl. Zmarł w 1826 r. Z żony Anieli z Middletonów zostawił syna Józefa, posła na sejmy Król. Polsk., córkę Annę Magdalenę zaśl. Wincentemu Rola Gawrońskiemu, oraz córkę Paulinę zaśl. b. porucznikowi kościuszkowskiemu, Jerzemu Konarskiemu, matkę Szymona Konarskiego.

Do str. 383. Massalski ks. Ign. Jak., (1729—1794), bisk. wil. syn Michała, kaszt. wil. i trock., hetm. w. l. W 1774, mając lat 15, był już kanonikiem wil., kształcił się w Rzymie. Od 1762 r. bisk. wil. W 1774 r. pierwszy prezes Kom. Eduk., był też zarządcą funduszów publ. wych. na Litwie, ale usunięty, posądzony o roztrwonienie ich. W latach 1789—1792 bawił zagranicą. Wróciwszy, przystąpił do konf. targowickiej. Powieszony 28 czerwca 1794 r. Człowiek niezwyczajny. Sądy o nim sprzeczne. Wysoko wykształcony, starający się podnieść kulturę, ambitny, dążył do wywyższenia swego rodu, sam zabiegał o kapelusz kardynalski. Stronnik Rosji. Rozrzutny. Enc. Powsz. Org. 1864. XVIII. ks. J. Kurczewski „Biskupstwo wil." Wilno 1912. 55—61.

Malewski Franciszek (1800—1873), wybitny prawnik, syn Szymona M., rektora Un. Wil. Bardzo zdolny, pilny, poważany, filomata, jeden z najbliższych przyjaciół Adama Mickiewicza. Po ukończeniu Un. wysłany na dalsze studja do Berlina. Po rozpoczęciu procesu Filaretów sprowadzony do Wilna policyjnie. Po wyroku wysłany z Mickiewiczem do Rosji, gdzie dzielił z nim losy. W 1822 r. został urzędnikiem przy Speranskim w II oddz. włas. kanc. ces., gdzie dosłużył się rangi radcy tajnego. Był dyrek. metryki litew. Założył „Tyg. Petersb.", w którym umieścił wiele art. swego pióra. Ożenił się z Heleną Szymanowską, siostrą Celiny Mickiewiczowej, miał z nią trzech synów, urzęd. ros., i córkę, żonę Wład. Mickiewicza. „Człowiek niezłomnego charakteru i dziwnej bezinteresowności" — (Cyprinus-Przecławski. Russ. Arch. 1872. str. 1928). Z rodziną Malewskich autor pamiętnika był bardzo zaprzyjaźniony, o czem świadczy ożywiona korespondencja. Nakładem „Bibl. Polsk." ukaże się rychło dziennik Malewskiego z czasów procesu Filaretów w zbiorze p. t. „Z filareckiego świata".

Do str. 386. Korzeniewski Alojzy ks., dominikanin (1766—1826), wykształcenie pobierał w Szk. Gł. Lit., gdzie otrzymał stopień d-ra nauk wyzw. i fil. Przełożył fizykę Hańya (Wilno. 1806. 2 t.). Jego „Kazania na niedziele i urocz." ukazały się w 4 t. w Warszawie 1824 r. Filantrop. W latach 1812—13 opiekował się chorymi i jeńcami. Por.: Teodor Krasiński „Dziennik" rkps. B. O. K.

Pinetti na Litwie w 1796 r.; por. Michał Małuski w P. Bykowskiego „Dwór król. w Grodnie". Warszawa 1884. 91—101. Pinetti umarł na początku XIX w. w Berdyczowie i tam pochowany. Por.: Aleks. Groza „Mozaika kontraktowa. Pamiętnik z roku 1851". Wilno 1857 str. 236—256.

Do str. 390. Sztyftowało pułki w 1812 r. kilku magnatów litewskich, ponosząc $1/_{8}$ kosztów umundurowania (66.821 zł. $28^{1}/_{2}$ gr. na pułk piechoty i 76.137 zł. $7^{1}/_{2}$ gr. na pułk jazdy) i zastrzegając sobie zato szefostwo pułku. Napoleon z powodu braku gotówki zgodził się na to i 13 lipca 1812 r. mianował Aleksandra Chodkiewicza pułkownikiem 18 pułku piechoty, Konstantego Tyzenhauza — 19 p. p., Adama Biszpinga — 20 p. p., Antoniego Gielguda — 21 pp., Stanisława Czapskiego — 22 p. p., Michała Tyszkiewicza — 17 p. jazdy, Karola Przezdzieckiego — 18 p. j., Konstantego Rajeckiego — 19 p. j., Ksawerego Obuchowicza — 20 p. j.

Aleksander Pociej ofiarował 10 tys. dukatów na formację 23 p. p. i 21 p. jazdy. Dowódcą 18 p. p. miał początkowo być Józef Wawrzecki, brat Tomasza, ale nie mógł wywiązać się z zobowiązania i musiał ustąpić miejsca Chodkiewiczowi. Do tego należy dodać Dominika Radziwiłła, który na czele wystawionego przez się p. jazdy, wcielonego do wojska Ks. Warszawskiego jako 8 pułk jazdy, od samego początku wojny był w szeregach napoleońskich i szedł w czołowych oddziałach Wielkiej Armji. Por.: Janusz Iwaszkiewicz „Litwa w roku 1812" Warszawa 1912. str. 161 sq. i 366.

Do str. 391 sq. A n t o n i P a c, pis. W. Ks. Lit. od 1750 r., syn Krzysztofa Konstantego, kaszt. połockiego, i Barbary z Ogińskich. W 1745 r. ożenił się z Teresą Radziwiłłówną, 1-o v. Jozefową Scipjonową, marsz. nadw. lit., a córką Mikołaja Faustyna, woj. nowogr. Ten ożenek dał mu znaczny posag i poparcie dworu, stąd zapewne zaznaczenie zapomocą herbów w Jeznie związków z Radziwiłłami. Drogą układów z Sapiehami i Potockimi stał się właścicielem Hołowczyna, do którego rościł pretensje po babce, Zofji z Hołowczyńskich Aleks. Pacowej. W 1754 r. pułkownik znaku petyh. buławy lit. Człowiek miękkiego i tchórzliwego serca. Um. w 1774 r. Synem jego był M i c h a ł (1754—1800), w 1774 kapitan wojsk lit. W 1775 r. ożenił się z Ludwiką Tyzenhauzówną, córką Michała. W 1774 r. star. kowieński, w 1776 — borciański, w 1783 r. gen.-major wojsk lit. Pozostawił synowi L u d w i k o w i (1778—1835) ogromny majątek, ale tak zadłużony, że musiał Hołowczyn i Jezno oddać na eksdywizję. Ludwik Pac dziedziczył po wszystkich wymierających krewnych. W 1807 r. wstąpił do gward. Napoleona. W 1808 r. odbył kamp. w Hiszpanji, odznaczony legją hon. i mianowany szefem szwadronu. W 1809 r. odznaczył się pod Essling i Wagram. W 1810 r. przeszedł do wojsk Ks. Warszawskiego, jako pułkownik. W 1812 r. dowódca 15 p. ułanów. W Wilnie mianowany gen.-brygady i pozostawiony w orszaku Napoleona. Podczas odwrotu uratował Napoleona pod Małojarosławcem. Nie powrócił na termin, wyznaczony przez Aleksandra I, wskutek czego zasekwestrowano mu dobra. W 1813 r. za bitwę pod Lützen otrzymał krzyż komand. *Virtuti*. W 1814 r. gen.-dywizji, dowódca trzech pułków jazdy. W 1815 r. po amnestji wrócił do kraju i rozpoczął wzorową gospodarkę w dobrach. W 1817 r. ożenił się z Karoliną Małachowską, zm. w 1822 r., a z którą miał córkę Ludwikę, która w 1840 r. wyszła za Ksawerego ks. Sapiehę, syna Pawła i Pelagji z Potockich. W 1824 r. Ludwik Pac uznany hrabią, w 1825 r. sen. kaszt. Kr. Polsk. W 1830 r. zastępca Chłopickiego, po upadku powstania emigrował. Olbrzymia fortuna jego skonfiskowana. S t e f a n P a c, 1587—1640, syn Michała, podkom. brzeskiego i Zofji Sapieżanki, w 1615 r. pis. w. lit., w 1626 r. referend. i kaszt. witebski, w 1629 r. marsz. Izby posel., w 1630 r. podsk. w. lit.; w 1635 podkanc. lit. Fundator kośc. św. Teresy przy Ostrejbramie i św. Józefa w Wilnie. Z Anny-Marcyjaneli Rudominianki (2-o v. Kossakowskiej) syn K r z y s z t o f (1621—1684), wybitny mąż stanu XVII w. W 1646 chor. w. l., w 1650 marsz. Tryb. Lit., w 1656 podkanc. a w. 1658 kancl. w. lit. i administrator skarbu lit. Z Klary Izabeli Eugenji hr. de Mailly-Lascaris, przybyłej razem z Marją-Ludwiką, dzieci nie miał. Umierając zapisał Jezno, kupione przez

Stefana Paca, podkanc. lit. w 1633 r. od. Kiszków, swemu bratankowi Mikołajowi Andrzejowi, star. kowieńskiemu, wnukowi Zofji z Hołowczyńskich Pacowej. Tego wnukiem był Antoni, pis. w. l. (p. wyżej). Kazimierz Pac od 1666 r. bisk. żmudzki, brat Michała Kazimierza, hetm. w. lit., zmarł w 1695 r. Por. J. Wolff „Pacowie" Petersb. 1885. Hołowczyńscy, książęta z rodu Ruryka. W W. Ks. Moskiewskiem zwali się Riapołowscy; w 1499 r. prześladowany przez Iwana III ród przeniósł się na Litwę do Hołowczyna w pow. orszańskim, skąd wzięli swe nazwisko, przybrawszy herb Łabędź. Rychło doszli do stanowisk senatorskich, dzierżąc kilkakrotnie kasztelanję i wojew. mścisławskie. Wygaśli w XVII w. Por. J. Bartoszewicz. Enc. Pow. Org. XII 73—79.

Do str. 398. Wittgensteinowie v. Sayn-Berleburg, hr., starożytna rodzina niemiecka, osiadła w Prusach i w Hesji. Chrystjan W., oficer armji Fryderyka W., wzięty do niewoli w 1761 r., wstąpił do armji ros. W 1768 r. urodził mu się syn Piotr, który w 1794 r. był wolontarjuszem przy armji Derfeldena na Litwie. Jako dowódca pułku huzarów walczył w wojnach 1805, 1806 i 1807 r. W 1812 r. dowodził korpusem piechoty i bronił drogi do Petersburga. W 1813 r. zajął Berlin i obronił go przed armją Eug. Beauharnais. Później był feldmarsz. wojsk ros. i księciem. Umarł w 1842 r. Ze Snarskiej, bardzo pięknej i znanej w towarzystwie petersburskiem osoby, miał syna Ludwika, który ożenił się ze Stefanją Radziwiłłówną, córką Dominika i Teofili z Morawskich, i za nią wziął olbrzymi majątek.

Do str. 400. Chomiński, Franc.-Ksaw., woj. mścisławski od 1788 r., poseł na sejm czteroletni, marsz. sejmu 1784 r., marsz. Tryb. Lit. w 1786 r. Człowiek niepospolitych zdolności i wykształcenia naukowego, poeta i autor, zaufany przyjaciel hetm. Ogińskiego, zarządz. jego dobrami. Nie chciał przystąpić do Targowicy i wskutek tego zesłany; przez Pawła wrócony i mianow. tajn. radcą. Umarł w 1809 r. Por. J. Bartoszewicz. Enc. Org. V. 451—453, J. Frank „Pamiętn." Wilno 1913. II.

Do str. 401—402. „Berenika królowa Palestyny" tragedja przekładania Ign. Graffa Molla. Wilno. 1807.

Antoni Gorecki. Ogólna charakterystyka jego osoby i jego poetyckich utworów — por.: A. E. Odyniec „Wspomnienia z przeszłości" Warsz. 1884, str. 125 sq. 213—215. Ant. Górecki, Pisma. Lipsk 1886 (przedmowa). O jego karjerze wojskowej — Stanisław Szumski „Pamiętnik" (rkps).

O czterowierszu do Wielopolskiej — J. Falkowski „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce" Poznań 1887. V. str. 205. Według Falkowskiego była to nie panna, lecz pani Janowa Wielopolska, z domu Potulicka, znana z dowcipu i szybkiej decyzji. Odpowiedziała ona Goreckiemu wnet czterowierszem:

Błędnem, choć dowcipnem, często mędrków zdanie,
Gdyż śmiech płodem natury tak, jak zająkanie.
A kto dowcip zaostrza i płeć słabą łaje,
Dobrego wychowania dowodu nie daje.

Na to znowu Gorecki replikował:

Już jest wszystko skończone, dajmy pokój sobie;
Można rzec, że z triumfem wyszły strony obie.
Więc schowajmy już ostre dowcipu sztylety.
Skromność, grzeczność, łagodność to jest broń kobiety.

(Z listu Tomaszowej Łubieńskiej do Wiktora Ossolińskiego d. 17 września 1829. rkps).

Do str. 403. Dom Fittinhoffów przy ul. Niemieckiej Nr. 1, róg ul. Trockiej; w XVIII w. należał do Antoniego Tyzenhauza, podsk. lit. Przebudowany przez budowniczego Knakfussa w stylu klasycznym. W tym domu mieszkał czas pewien Jan Kiliński. Mieściła się też tu „Srebrna sala" która konkurowała z kasynem w domu Müllera.

Dyzma Bończa-Tomaszewski, poeta, autor „Jagiellonidy" i sekretarz kanc. Stan. Augusta, konfederat barski, sekr. posel. polsk. w Petersburgu, stronnik Szczęsnego Potockiego, deputat do Tryb. Lubel., sekr. gen. konf. targowickiej, czł. honor. Uniw. Wil. Zmarł w 1825 r. Por. Dr. Antoni J. „Opow. hist." Ser. III t. I. Warszawa 1882. 127—168. Ignacy Reszka (1760—1830). Przy Poczubucie pomocn. przy obserw. wileń. W 1797 r. na rozkaz Pawła I mianowany prof. astron. Pozostawał na tem stanowisku do 1808 r. Jundziłł zwie go nieukiem. Jako emeryt był cenzorem ksiąg, wizyt. szkół. Tomasz Życki (1762—1839). Dr. fil. Szk. Gł. Lit. W latach 1791—1804 wykł. matem. elem. Do 1807 r. dyr. gimn. wil. W latach 1807—1817 prof. nadzw. alg. Uniw. Wil. Potem wizyt. szkół. W 1820 r. po Niemczewskim dziek. wydz. fiz.-mat., po uwięzieniu Twardowskiego krótko pełnił obow. rektora. Bieliński. l. cit. III. 364.

Do str. 404. Ogińska, star. dorsuńska, ze Strawiennik, zapewne Antonina z Białłozorów, żona Józefa, matka Ignacego, star. wojgowskiego i dorsuńskiego, a babka Gabrjela (p. str. 404), zmarła w 1811 r. Słynęła ze swej dobroczynności. Żychliński. V. 190. Brzostowski Michał, marsz. wileń., syn Stanisława, woj. inflanckiego, poseł na sejm czteroletni, obywatel i patrjota, szafujący swą fortuną na cele narodowe, kilkakrotnie za to prześladowany. Z Ewy Chreptowiczówny, córki Joachima (p. str. 431), miał syna Karola, fundatora Sztabina w Augustowskiem. Marsz. B. zmarł w 1806 r. Por. J. Frank „Pamiętn." I. 136.

Do str. 406. O romansach Dołgorukowa z Łucją z Wawrzeckich Ignacową Zabiełłową i z Anielą z Podbereskich Bazylową Kołkowską opowiada Sobarri (H. Kirkor) w „Obrazkach litewskich", (Poznań 1874 str. 18—22), co następuje: „Kochał się on (Dołgoruki) w pani Anieli Kołkowskiej, z domu Podbereskiej (z pretensją na herb Druck, bo to dawało prawo na księstwo, gdyż byli rzeczywiście na Litwie książęta Druccy-Podberescy, jak byli Druccy-Sokolińscy, Druccy-Gorscy i jak są do dziś dnia Druccy-Lubeccy). Śliczna, jak anioł, młodziutko wydaną została zamąż za Bazylego Kołkowskiego, radcę Izby Skarbowej, najzacniejszego w świecie człowieka, a zakochanego po uszy w swojej młodej i hożej małżonce, z której miał

synka Mikołaja. Zaraz prawie po przyjeździe do Wilna (w jesieni 1831 r.) postrzegł on (t. j. Dołgoruki) w towarzystwie Kołkowską i upodobał. Lubieżny satrapa zaczął od tego, że wysłał męża w interesach rządowych do Białegostoku, a dla zjednania go sobie dał mu krzyżyk na szyję. Pani Kołkowska, jak większa część pań owego czasu, należących do wyższej sfery, zgoła nie miała wyobrażenia o cnocie, o obowiązku i honorze. Była nawet moda na Moskalów nie dlatego, ażeby się urodą odznaczali, ale dlatego, że mieli pieniądze, że posiadali władzę, że byli natarczywi i zuchwalsi od Polaków... Łatwo więc było do obrzydliwości zatyłemu księciu pozyskać jeżeli nie serce, to względy pięknej Kołkowskiej. Mąż nie miał już poco wracać do Wilna. Z pokorą więc znosił upokorzenia swoje w Białymstoku, pocieszany od czasu do czasu krzyżykiem lub rangą. Wszakże skoro się dowiedział, że jego małżonka zbyt się zapomina, zażądał rozwodu, a chociaż biskup Jędrzej Kłągiewicz był wielkim ascetą i nikomu rozwodów nie dawał, nie mógł się oprzeć rozkazom księcia jegomości, gdyż, jak mawiał prałat Grosmani, ojcowie kościoła nie mogli przewidzieć, że książę Dołgoruki może zażądać tego lub owego, co jest zabronionem przez ojców kościoła. Pani Kołkowska została więc rozwódką. Mieszkała wspaniale, kłaniano się jej, dobijano się o jej przyjaźń, a dobijały się pierwsze panie, jak np. dama dworu cesarskiego hrabina Ł... i wiele innych. Były wszakże i wśród arystokracji poważne matrony, które najskrzętniej unikały wszelkiej styczności z pałacem. Na czele tych zacnych pań, które święcie przechowywały tradycje lepszych czasów i cnoty, nie zbezczeszczonej rozpustną epoką Stanisława-Augusta i jeszcze rozpustniejszą wszechwładztwa moskiewskiego, stała zawsze Apolinara hrabina Platerowa, z domu Żabianka, córka głośnego wojewody połockiego Żaby, a matka zasłużonego dziś Władysława hr. Platera... Ale wróćmy do pani Kołkowskiej. Piękna, sprytna, a rozumna, jak djabeł, była pani Aniela; nie mogła jednak na zawsze przykuć do siebie satrapy. Wpadła mu w oko córka zacnego generała Wawrzeckiego, małżonka hr. Zabiełły, marszałka szlachty kowieńskiego. Zrazu przeniósł go na gubernjalne marszałkostwo do Wilna, od korony, bez wyborów, co jemu pochlebiło, bo był głupi a próżny. Spodziewając się większych dla siebie awansów, chętnie się zgodził na rozwód z żoną, zaco, chociaż marszałkostwo jego krótko trwało, został mianowany radcą stanu, szambelanem dworu carskiego i kawalerem orderu św. Włodzimierza klasy 3. Wypłacił mu też Dołgoruki i gotówką znaczną gratyfikację. Podobno, że i Wawrzecki ustąpił część posagu córki, byleby się tylko pozbyć ze wszech względów niedobrego człowieka. Poczciwy starzec łudził się nadzieją, że romans z księciem skończyć się musi weselem, co mu zawsze solennie przyrzekał Dołgoruki. Jednakże niełatwo mu było rozstać się i z Kołkowską. Umiała ona jeszcze wywierać wpływ na satrapę, a do tego była w poważnym stanie. Pamiętamy jak dziś skandaliczną scenę wyjazdu jej do wód za granicę. Jechała po pańsku kilku powozami, a kilka jeszcze powozów wiozło niektóre jasne panie wileńskie i na czele ich starą hr. Ł.., ażeby się jeszcze pożegnać i uścisnąć serdeczną przyjaciółkę. Czuła ta scena odbyła się w Ostrej Bramie, gdzie kochanka księcia jegomości rzewnie modliła się, płakała, a szczere przyjaciółki nie mogły się nadziwić pobożności i rzadkim przymiotom serca!

Wolniej odetchnął Dolgoruki po wyjeździe Kołkowskiej. Daleko młodsza od niej, piękna, może nie taka rozumna, ale z daleko większem wykształceniem hr. Zabiełłowa owładnęła zupełnie satrapą wileńskim, a to tak dalece, że hr. Ł... i cały szereg przyjaciółek Kołkowskiej nagle się przerzuciły i zostały admiratorkami nadskakującemi młodej hrabiny. Mieszkała ona przy rodzicach w domu Zawadzkiego, dawniej Olizarów, przy zamku Bernardyńskim. Dołgoruki nie robił sekretu ze swych miłostek. Jakoż co wieczór jechał do hrabiny, otoczony kozakami lub żandarmami z policmajstrem Mieżniowem na czele. Cała ta kawalkada wjeżdżała na dziedziniec, bramę zamykano a eskorta z policmajstrem czekała kilka godzin, czasami do świtu, aż dopóki książę pan *izwolit nalubit'sia* dosyta, jak mówili kozacy. Wróciła i Kołkowska, a przywiozła lubemu synka. Przyjął ją bardzo czule w pokoju, umyślnie dla tego urządzonym i zamienionym w altankę z samych róż najpiękniejszych. Znowu zaczęło się odwiedzanie jednej i drugiej; wszakże ostatnia widocznie brała górę. A skoro Zabiełłowa ostatecznie zwyciężyła, pani Kołkowska udała się do klasztoru panien benedyktynek przy kościele św. Katarzyny, gdzie odbyła sześciotygodniowe rekolekcje; tymczasem przyjechał do Wilna eks-mąż Bazyli Kołkowski z Białegostoku. Nieszczęśliwy ten człowiek kochał zawsze wiarołomną! Zgodził się więc chętnie wziąć ją do siebie; powtórny ślub odbył się cicho (latem 1838 r.) w obecności kilku krewnych, potem obiad w Tivoli za miastem na Antokolu i wkrótce państwo staro-młodzi udali się do Petersburga, ale już bez asystencji i hucznych pożegnań... Kołkowski otrzymał posadę prezesa Izby Skarbowej naprzód w Smoleńsku, później w Orle. (Stan. Szumski w „Pamiętniku" (rkps) mówi, że był wicegubernatorem). Zacny to był człowiek; rozumny, prawy urzędnik, najlepszy Polak, pobożny katolik. Ale cóż, całe jego życie złamała, zatruła niedobra ta i swawolna kobieta. Zagryzła go, zadręczyła. Umarł w Orle, gdzie wybudował kaplicę cmentarną. Synowi (własnemu) i żonie zostawił znaczny fundusz. Wróciła ona do Wilna... Wpadła w dewocję, przeplataną wybuchami istnej warjacji, i umarła nareszcie prawie 70-letnią staruchą w Wilnie w sierpniu 1872 r."

Ignacy Zabiełło, ur. 1801 r., był synem Onufrego, podk. kowieńskiego, właściciela Łabunowa, i Krystyny Vossberg, a wnukiem Ignacego, kaszt. kowieńskiego, synowcem zaś Józefa, marsz. kowieńskiego (p. str. 467); o nim por. Alkar „Bajkow. Z pamiętnika rękopiśmiennego" Kraków 1913, przypisek ze słów A. Walickiego: „U Zabiełły wszystko było na sprzedaż, więc gdy Dołgoruki zaproponował mu odstąpienie żony, przyszło i tu do zgody. Otrzymawszy sto tysięcy rubli gotówką i jakiś tam jeszcze order, zrzekł się żony i wziął rozwód". Stanisław Morawski kolegował z Ign. Zabiełłą w szkole pow. kowieńskiej i na pensji u Stan. Dobrowolskiego. Por. „Szlachta-bracia" (rkps).

Do str. 411. Ludwik XVIII jako emigrant pod nazwiskiem hr. de Lille przebywał w Warszawie od 4 marca 1801 r. do 25 lipca 1804 r. Zimą mieszkał naprzód w domu Wasilewskiego, który stał na obecnym skwerze przy Krak. Przedm. koło pomnika „Wdzięczności Ameryce", potem zaś

w b. pałacu Kazanowskich (obecnie Resursa Obywatelska), wówczas własności siostry Stan. Augusta, Janowej Zamoyskiej, pani Podolskiej; por. A. Kraushar „Burboni na wygnaniu". Warsz. 1899 r.

Do str. 414. Rückmann, gub. cyw. wil., „stanowczy, szczery, prawy i wyborny administrator... pierwszy pomyślał o oczyszczeniu Wilna z brudów, które było istną stajnią Augjasza. On to właśnie zabronił świniom spacerować po ulicach, co dało powód do zjadliwych satyr". Frank. Pam. I. 182 sq. „Ulicznicy wil. znieważyli jego pogrzeb za to, że kazał był sługom polic. zabierać wieprze, swobodnie wałęsające się po celniejszych nawet ulicach". M. Homolicki „Na dziś" 1872. II. 24. Traskin był zięciem Rückmanna. Frank. l. cit.

Do str. 416. Towarzystwo Szubrawców powstało w 1817 r. i przetrwało do lata 1822 r. „Wiadom. Brukowe" zaczęły wychodzić w 1816 r. w czerwcu. Lachnicki Ign. Em. wydał wówczas 2 Nr. Nr. Wznowione ku końcowi t. r. zwinięte zostały w czerwcu 1822 r. Ogółem ukazało się 287 Nr. Nr. Por. J. Bieliński „Szubrawcy w Wilnie" Wilno 1920, oraz recenzje H. Mościckiego Bibl. Warsz. 1911. i L. Janowskiego „W promieniach Wilna i Krzemieńca" Wilno 1923. 187.

Kopsz i jego żona. Według Franka (Pam. III. 24—25) Kopsz Józef mieszkał dawniej w Moskwie, gdzie ożenił się z Angielką, Karoliną Darie, niezwykle urodziwą i wykształconą. W 1812 r. mianowany przez Francuzów czł. municypalności moskiewskiej, rejterował z żoną do Wilna, gdzie osiadł na stałe i założył sklep z drobnemi przedmiotami stalowemi. Piękność żony ściągała klientów, ale narażała ją na ciągłe upokorzenia. Kupujący, którym ceny wydawały się zbyt wysokiemi, zapytywali: „Czy w tej cenie jest także piękność pani?" Panie zaś przypatrując się jej przez lornetki mówiły głośno: „Wcale przystojna, szkoda tylko, że ma figurę Angielki". Kopszowa bardzo interesowała Franka, ale jakoby platonicznie. Kopsz był czł. loży mas. „Gorliwy Litwin".

O zamierzonej w masonerji, z inicjatywy Jakóba Szymkiewicza, reformie zob.: Dobrianskij. „Mason. loži w Litwie". Wilno 1911. 19 sq.

Do str. 417. Baliński Michał (1794—1864). W 1815 mag. filoz. Uniw. Wil. Wybitny historyk. Ożeniony z Zofją Śniadecką, córką Jędrzeja. Wydał m. in. „Pamiętniki o Janie Śniadeckim" (Wilno 1865. 2. t.) Był kurat. honor. Inst. Szlacheckiego w Wilnie, wiceprezesem Kom. Archeol. i współredaktorem jej „Pamiętników". Dobry obywatel i pożyteczny pracownik na polu społecznem.

Do str. 418. Strojnowski Hieronim (1752—1815), od 1783 r. prof. Szk. Gł. Lit. a potem Un. Wil., od 1794 czł. kapituły wil., w latach 1799—1806 rektor U. W., od 1803 r. koadjutor łucki, od 1806 r. bisk. in part. inf., po bisk. Kossakowskim adm. djec. wil. Za jego rektorstwa zreformowano Un. Wil. oraz rozpoczął się świetny okres szkolnictwa polsk. na Litwie i Rusi. Por. J. G. Rudomino „Żywot H. Str." Wiz. i roz. nauk. 1839. J. Bieliński „Un. Wil." III 47 sq. J. Frank „Pamiętn." passim.

Do str. 419. Taką samą anegdotę o Bojanusie opowiada bisk. St. A. Krasiński w swych „Wspomnieniach" (Kraków 1901. 46) z tą różnicą, że wzywającą do chorego pieska miała być ks. Sapieżyna i że Bojanus, otrzymawszy za wizytę tyle, ile żądał, t. j. 100 dukatów, odesłał je Tow. Dobrocz.

Rozen Fryderyk, baron, urz. dyr. poczt., prezes konsystorza ewang. luterskiego, czł. czynny i honorowy wielu lóż masońskich w Wilnie i na Litwie; por. ks. S. Załęski „O masonii w Polsce". Kraków 1908. 230.

Do str. 421. Prozor Antoni, syn Józefa, woj. witebskiego od 1780 r. do 1787 r., zmarłego w 1789 r. Był to brat rodzony Karola, oboźnego w. lit., wybitnego patrjoty i działacza w 1794 r.

Do str. 423. Grosmani, prałat kap. wil., był istotnie człowiekiem bardzo marnym. „Był skończonem bydlęciem i dopomagał Zuzannie Dolińskiej w miłostkach. Dawał on jej na schadzki swe mieszkanie, za co musiała mu ofiarowywać filiżanki porcelanowe". J. Frank „Pamiętn." Wilno 1913. II. 64. Tamże opowieść o skradzeniu w 1811 r. przez Grosmaniego brylanta z rękojeści szpady Eug. ks. Wirtemberskiego. W czasach gen.-gub. Dolgorukiego uczęszczał na bale, dawane przez tego. „Pewnego razu, kiedy mu to wymawiał bisk. Klągiewicz, cytując przytem któregoś z ojców kościoła, Grosmani odpowiedział: „Ależ, w. eksc., alboż to ojciec kościoła mógł przewidzieć, że mnie wezwie na bal książę". Sobarri „Obrazki lit." Poznań 1874. 29.

Do str. 424. Towarzystwo lekarskie w Wilnie założone w 1805 r. Zob.: Zahorski. „Zarys dziejów ces. Tow. lek. w Wilnie". Warszawa 1898. Eichwald Edward pochodził z Mitawy, doktoryzował się w Wilnie. W 1821 r. docent w Dorpacie. Od 1823 r. prof. zool. i akusz. w Kazaniu. Od 1827 r. prof. publ. zw. zool. w Wilnie. W 1829 r. odbył podróż naukową po ziemiach litewsko-ruskich aż do Odesy w towarzystwie Andrzejewskiego i innych, której wyniki ogłosił. Po zamknięciu Uniw. prof. Akad. Med.-Chir. Od 1838 r. prof. zool. i miner. w petersb. Ak. Med.-Chir. i paleont. w Inst. Górn. Um. w 1876 r. Bieliński (Un. Wil. III 162—163) nazywa go znakomitym prof., wykłady zaś jego najświetniejszemi w Wilnie.

Do str. 431. Chreptowicze: Joachim, syn Marcjana, star. werbelskiego, i R. Wojnianki, (1729—1812), jeden z najwybitn. mężów stanu i obywateli kraju za Stan. Augusta, w 1773 r. podkanc., od 1793 r. kancl. W. Ks. L., inicjator Kom. Eduk., opiekun szkoln. na Litwie i Szk. Gł. Lit., jeden z założycieli Tow. Prz. N. w Warszawie, założyciel bibl. w Szczorsach Z Konstancji Przezdzieckiej, podkancl. lit., miał kilkoro dzieci, z których najstarszy Adam po ukończ. Akad. wil. dłuższy czas bawił w Anglji. Był potem posłem na sejm czterol., rotm. kaw. narod. wojsk lit. Po rozbiorach komis. sądowo-edukac. i wizyt. szkół lit. Światły, miłujący nauki człowiek, wybitny agronom i obywatel, uczynił ze Szczors „Puławy litewskie". Zm. bezpot. 1844 r. Por. C. Jankowski „Pow. oszm". Petersb. 1896. I. 290—299. G. Puzynina „Moja pamięć" rkps.

Do str. 433. Amatorskie przedstawienie „Fedry" Racine'a w tłum. Fr. Ks. Chomińskiego, woj. mścisławskiego, odbyło się wedł. J. Franka (Pam. II. 14, 43) w 1808 i 1809 r. Skibiński (Pam. aktora Warsz. 1912. 92—96), mylnie podając 1815 r., opowiada, że grający Tezeusza (a więc Choiseul), chcąc podtrzymać animusz, nadużył trunków i zasnął na scenie. Przytacza również wiersz satyryczny z tego powodu skomponowany.

Do str. 439. Granowski Michał, w 1783 r. pis. w. kor. w 1784 r. sekr. w. kor., miał za żonę Marję z Radziwiłłów 1-o v. Leonardową Pociejową, był więc ojczymem Pocieja Aleksandra, oboźnego w. lit. 1794 r., adjutanta gen. Jakóba Jasińskiego w 1794 r. pana olbrzymiej fortuny, którą stracił między innymi na wysiłki ratowania kraju: „Wspierał rodaków, udających się za granicę, i znaczne sumy przesłał do kasy legjonów" Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz" VI. 521—525 i przypisek.

Do str. 440. Kurowicki właściwie Korowicki Aleksander (1797—1864) ukończył Un. Wil. ze stopniem mag. obojgu praw. W 1826 r. powołany do wykładów prawa cyw. krajowego, w 1827 r. — do wykładów prawa cywil. rosyjskiego. Po zamknięciu Uniw. przeniesiony do Petersburga do kom. dla rewizji praw. Od 1841 r. prof. zwycz. na Uniw. w Moskwie, od 1845 r. wykładał prawo polskie dla młodzieży z Królestwa. Umarł na emeryturze w Warszawie. J. Bieliński „Uniw. Wil." III. 228.

Do str. 441. De Michaelis Jakób Feliks za rządów pruskich był w Białymstoku pierwszym asesorem chirurgji deput. lekarskiej i kamery sanitatis, lekarzem hetmanowej Branickiej, pani Krakowskiej, siostry króla Stanisława Augusta; za czasów rosyjskich — członkiem białostockiego wydz. lekarskiego i pierwszym dyrektorem szkoły akuszeryjnej, istniejącej od 1811 r. do 1837 r. Umarł w 1820 r. Por.: Stan. Kośmiński „Słown. lek. polsk." Warsz. 1883. 317. Wołłowicz Joachim hr. (1783—1842), syn Antoniego, ostat. kasztelana mereckiego, senat. kasztelana Kr. Polskiego, i Teofili Mikoszówny, 1-o v. Matuszewiczowej, kaszt. brzeskiej; był gubernatorem obwodu białostockiego od 1815 r. do 1832.

O gubernatorach Polakach na Litwie i Rusi pisze M. Malinowski w „Księdze Wspomnień" (Kraków. 1907 str. 103): „Aleksander I. chcąc po traktacie wiedeńskim wywiązać się z przyrzeczenia nadania prowincjom polskim rządu narodowego, mianował następnych gubernatorów Polaków: w Wilnie księcia Ksawerego Lubeckiego, w Grodnie generała Andrzeykowicza, w Białymstoku hr. Wołłowicza, na Wołyniu Bartłomieja Giżyckiego, na Podolu Mikołaja Grocholskiego, w Mińsku Kazimierza Sulistrowskiego."

Po śmierci Sulistrowskiego w Mińsku był mianowany Giecewicz.

Do str. 444. Czapscy-Hutten: Stanisław i Karol, synowie Franciszka-Stanisława, woj. chełmińskiego od 1766 r., konf. barskiego, i trzeciej jego żony, Weroniki Radziwiłłówny, córki Michała, h. w. l., i Anny Mycielskiej, a więc siostry przyrodniej Karola „Panie Kochanku" i rodzonej Hieronima, podkom. W. Ks. L. Byli tedy ciotecznymi braćmi Dominika

Radziwiłła. Matka ich żadnego wiana nie dostała i podczas małoletności Dominika R. wytoczyła opiece proces o posag. W 1811 r. Dominik R. załatwił tę sprawę polubownie, przeznaczywszy swej ciotce 2 miljony złotych, które zostały wypłacone w dobrach: Stańków w pow. mińskim i Żuprany z Nowosiołkami w pow. oszmiańskim. Cz. Jankowski „Pow. oszmiański" Petersb. 1896 I. 127—140. Karol Cz., ur. 1777 r., marsz. szl. miński, czł. kom. eduk. lit., kurator szkół gub. mińskiej, właśc. Stańkowa, Żupran i Nowosiółek, por. J. Frank „Pamiętniki", G. z G. Puzynina „Małe a prawdziwe opowiadania" Wilno 1857. „Moja pamięć" (rkps). Stanisław Cz., ur. 1779 r., pułk. wojsk polskich, kawal. legji honorowej, *Virt. mil.*, właściciel Kiejdan. Anegdota o odpowiedzi Stan. Czapskiego hetm. Branickiej mało prawdopodobna, gdyż w epoce, w której Dom. Radziwiłł mógł ją odwiedzić, hetman żył jeszcze.

Do str. 446. Ignatjew Mikołaj, gen.-major, komendant twierdzy bobrujskiej, gubernator wojenny miński w 1812—15 r.

Do str. 447. Kamieński Ludwik, plenipotent Dom. Radziwiłła w latach 1810—1814. Według Mik. Malinowskiego „Upadek fortuny radziwił." przyczynił się w wielkim stopniu do odłużenia i zrujnowania olbrzymich dóbr Dominika R.

Do str. 448. Troszczynskij Dymitr syn Prokopa (1754—1829), wybitny mąż stanu rosyjsk., w latach 1802—1806 minister apanaży cesarskich, w 1814—1817 minister sprawiedliwości.

Do str. 452. Hornowski Gaspar, syn Kazimierza, skarb. orszańskiego, służył w wojsku Ks. Warszawskiego od 1810 r. w 17 p. piech. w 1812 r. przeszedł jako porucznik do 19 p. p., odbył kampanję rosyjską, w 1813 r. był w oblężeniu Modlina, w 1815 przeszedł do 1 p. p. linjowej. Miał srebrny krzyż *Virtuti militari*. Por.: Sew. Uruski „Rodzina" V. 1908. 188.

Stefan Broel-Plater, marsz. wil. w 1858 r., właściciel Szwekszni, Giełwan etc., syn Jerzego, szamb. Stanisława Augusta, gen.-majora wojsk lit., i Karoliny Giedroyciówny. Miał nie sześciu, lecz pięciu braci: Aleksandra, Franciszka, Jerzego, Józefa i Kazimierza; był ożeniony z Aliną, córką Jana Marcinkiewicza — Żaby, wnuczką Tadeusza Żaby, wojew. połockiego, a więc z siostrzenicą Apolinary Kazimierzowej Platerowej (p. str. 471). Ojciec Aliny, Marcinkiewicz, ożeniony z Cecylją Żabianką, wojewodzianką połocką, za zezwoleniem cesarskiem przyjął do swego nazwiska — nazwisko „Żaba".

Michał baron de Kelles Krauz uchodził za dowcipnika w Wilnie, w pierwszej połowie XIX w.; pozostawił podobno w rękopisie inter. pamiętniki.

I N D E K S

* Kursywą są oznaczone przypisy.

SPIS ILUSTRACYJ

SPIS RZECZY